

BIBLIOTEKA DZIEJÓW I KULTURY WSI T. 5.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

DR. FIL.

PISARZE LUDOWI

WYBÓR PISM
I STUDJUM O LITERATURZE LUDOWEJ

Z PRZEDMOWĄ PROF. DR. FRANCISZKA BUJAKA

TOM DRUGI

LWÓW 1938

NAKLADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEŚ” WE LWOWIE,
UL. TRZECIEGO MAJA 11.

CENA OBU TOMÓW 6 ZŁ.

WYDAWCA: ZEMŁOWA I KULTURY WSI T. 5

KAROL LUDWIK KONINSKI

PISARZE LUDOWI

PISARZE LUDOWI

BIBLIOTEKA DZIEJÓW I KULTURY WSI T. 5.

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

DR. FIL.

PISARZE LUDOWI

WYBÓR PISM
I STUDJUM O LITERATURZE LUDOWEJ

Z PRZEDMOWĄ PROF. DR. FRANCISZKA BUJAKA

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH~~

~~Nr 2030~~

~~TOM DRUGI~~



LWÓW 1938

NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „WIEŚ” WE LWOWIE,
UL. TRZECIEGO MAJA 11.

BIBLIOTEKA DZIEJÓW I KULTURY WSI T. 2



Kon
Pis
80

2690



821.162.1(091); 929-0322] "19/20"

19897

B) PUBLICYŚCI, MOWCY, MORALIŚCI.

XII. FRANCISZEK MAGRYŚ

Zyciorys i charakterystyka, por. r. III (T. I, Pamiętnikarze).

*

Franciszek Magryś, *Żywot chłopca działacza*. Opracował Dr. Stefan Inglot. Z przedmową Prof. Dr. Franciszka Bujaka. Lwów 1932. (*Bibl. Dziejów i Kultury wsi*, T. 1).

Wybór wierszy, artykułów, listów i protokołów z posiedzeń rady gminy Handzlówki, str. 125—223. Tam bibliografja Magrysia, 119 pozycyj, 1889—1918.

172. [Duma chłopska, 190].

(*Stany*, art. w piśmie *Związek chłopski* 1905, str. 118—9).

Pan Bóg stwarzając człowieka, nie stworzył różnych stanów, ale jednego pierwszego rodzica Adama i Ewę dla niego, jako pierwszą matkę rodu ludzkiego i rzekł do nich: „rośnijcie, mnożcie się i napełniajcie ziemię“ jak mówi Pismo św. Z tego można poznać, że Najwyższy Stwórca nie stworzył różnych stanów, ale jeden, jedyny stan chłopski. I dziś w całym świecie ta nazwa istnieje, gdyż każdego mężczyznę, niech on będzie jakiegobądź stanu, nazywają ogólnie chłopem i dodają: to tęgi chłop, albo: to lichy z niego chłop itp.

Otóż my chłopcy jesteśmy dumni z tego, że się trzymamy pierwszej, powszechnej nazwy, którą się chlubimy, gdyż w całym świecie najwięcej jest lu-

dzi, którzy się do chłopskiego stanu zaliczają. I w naszym kraju polskim my chłopci największą także liczbę stanowimy.

Inne stany utworzyły się dopiero później, w miarę, jak się ludzie rozmnażali i chcieli jedni nad drugimi zapanować lub ich w niewolę ująć. Stąd też, jedni zostali panami i zagrabili innych mienia, a drugich uczynili niewolnikami bez majątku, prawa, pozbawiając ich nawet własnej woli. Tak powstało niewolnictwo: gdy człowiek zniósł pierwotną nazwę chłop, nazwał się samowolnie panem, a drugich niewolnikami. I tak było całe wieki.

Dopiero Jezus Chrystus, Boski nasz Zbawiciel, zniósł Boską swoją nauką niewolnictwo i zrównał wszystkie stany, gdyż nakazał każdego miłować, jak siebie samego i stąd znowu pierwotna nazwa przyjęła się razem z braterstwem w Jezusie Chrystusie. I pierwsi chrześcijanie, jak czytamy w dziejach apostoelskich, wszyscy bez wyjątku nazywali się braćmi w Jezusie Chrystusie, to też nazwa pan, niewolnik nie miała miejsca, ale wogóle każdy był chłopem. — — —

173. O dzieleniu gruntów, 154.

(*Związek chłopski* 1897, str. 133).

Numer 9. naszego pisma z dn. 1 kwietnia zamieścił był artykuł pod tytułem: „Targanie gruntów“, który podpisali Franciszek Nowak i Franciszek Krystjan z Zakrzowa, którzy podają, że wszelka bieda wypływa z tego dzielenia gruntów zgubnego, że przyczyną dzielenia gruntów jest fałszywa miłość rodziców ku dzieciom, którzy targają grunt na drobne kawałki i tak każdy na dziady wychodzi,

i że takie targanie przyczyną tylko nieskończonego zaciągania długów, że jak tak dalej pójdzie, to we wsi zostaną tylko śludzy, żebraki i „panowie żydzi“. Otóż odpowiadam, że z dzielenia gruntów nie pochodzi cała nasza bieda, ale są inne tysiącne naszej biedy przyczyny: 1) zaniedbanie starszej braci i pozostawienie ludu bez oświaty na pastwę żydostwa, wyszynków, lichwy, 2) brak całkiem szkół zawodowych, fachowych, braki w prowadzeniu fachowem rolnictwa, sadownictwa, pszczelnictwa i ogrodnictwa, 3) brak fabryk, rzemiosł i wszelkich gałęzi przemysłu, 4) zabranie handlu przez żydów. Dzielenie gruntów nie pomnaża biedy, bo ja to widzę (choć w naszej górskiej okolicy), że gdzie dawniej jeden gospodarz na 50 morgach nie mógł wyżyć, dziś osiem i dziesięć familij mają więcej chleba, niż dawniej jeden z całego. Każdy dziś znawozi i lepiej stara się obrobić. A ten da za synem kawałek, tamten za córką i połączą te dwa kawałki i mają ładne gospodarstwa i więcej chleba niż dawniej. A gdzie podzieć dzieci? Przecie każdy widzi się szczęśliwym, że ma swój kąt i gdzie głowę położyć, przecie i ci, co po fabrykach pracują, dążą całemi siłami, aby mieć swój kąt. Tać trudno tę miłość wyrugować z serc rodzicielskich, aby jednemu dać, a reszta dzieci, aby poszła w służbę na tarapaty na całe życie.

Dzielenie gruntów ustanie, gdy będzie można syna i córkę z pewnym widokiem utrzymania życia gdzie umieścić. A teraz, nim to nastąpi, trudno ograniczyć dzielenie gruntów i przez ustawę odbierać wolność rządzenia swoją własnością! Wpierw trzeba się starać o jak najwięcej szkół zawodowych, o zakładanie fabryk, gdzieby każdy mógł

znaleźć korzystne utrzymanie, dalej postarać się o wprowadzenie w życie włości rentowych¹⁾. Co do koni zaprzęgowych, o które się wyż wspomniani korespondenci frasują, to i my możemy krokami robić, które nam i grunt obrobią i mleko dadzą, jak jest w niektórych krajach, a jednego konia wystarczy mieć, jak to mówią, komu trzeba będzie od parady lub księdza przywieźć do chorego. A jak małe grunta będą się zdawały za małe do zasiewu, to je zamienimy w ogrody jarzynowe i owocowe, a obszary dostarczą chleba. Tyle mojego zapatrywania, do rozwagi wszystkich dobrze myślących.

1) „Włością rentową“ nazywa się gospodarstwo zaciągające długoterminową pożyczkę hipoteczną, nisko oprocentowaną, na podstawie wysokiego oszacowania, spłacalną anuitetami czyli rentą roczną, pod warunkiem zrzeczenia się na czas trwania pożyczki dzielenia gospodarstwa. Włości rentowe są wypróbowanym na Zachodzie środkiem „utrzymania i wytwarzania żywotnych gospodarstw rolnych średnich rozmiarów“. Galicja rozpoczęła tę działalność w r. 1906 (Wydział Krajowy, tj. autonomiczny rząd krajowy wyłoniony ze Sejmu lwowskiego), — wyprzedzając w tem resztę krajów austriackich. (Bujak, *Galicja*, I, 484).

174. Potrzeby rolnictwa w Galicji, 160.

(*Związek chłopski* 1899, str. 61—62).

— — Padnie tylko klęska, już całe wsie w największej nędzy. A gdzie postęp naukowy? Otóż posłowie nasi powinni jak jeden mąż stanąć w obronie rolnictwa! Powinni się postarać o zabezpieczenie rolnictwa od klęsk elementarnych: Padnie grad, posucha, inne wypadki, całe wsie w nędzy. Powinny na takie wypadki być tanie rządowe za-

bezpieczenia od gradobicia. Powinna być osobliwa rządowa asekuracja, gdzieby się całe gminy tanim kosztem ubezpieczały; lub powinien powstać fundusz krajowy, opłacany bardzo małym dodatkiem do podatków, na wypłatę szkody gminom po oszacowaniu przez zaprzysiężonych rzeczoznawców. Asekuracja powinna być krajowa — nie państwowa, bo kraj zna swoje wioski i miasta. Aby niesłusznie nie obciążyć biednej ludności, powinien być dodatek krajowy nałożony tylko na takie gminy, gdzie są domy zgęszczone i zagraża całym osądom niebezpieczeństwo. Dla innych gmin, naprzykład górskich, gdzie domy są porozrzucane i tylko pojedynczym domom zagraża niebezpieczeństwo, powinna być ustawa osobna. Takie gminy tylko bez potrzeby płaciłyby podatki na asekurację, gdyż jeżeli się zdarzy wypadek, to jeden dom spłonie i to niebardzo kosztowny. Zatem dla takich gmin, jak powiedziałem, powinna być osobna ustawa, gdyż same gminy utworzyłyby fundusz z bardzo małych opłat, któryby wpływał do kasy pożyczkowej gminnej. Zatem z tak małych datków powstałaby kasa gminna dla wygody mieszkańców, a gmina znów, aby na wypadek mieć kapitał, powinna mieć kredyt w kasie powiatowej, któryby potem ratami ze swej kasy spłacała.

Dalej: Wszystkie urzędy, fabryki, urzędnicy, a nawet teraz robotnicy, mają swoje zabezpieczenia na wypadek choroby, śmierci, starości — jedno rolnictwo nic niema; tylko jak ojciec rodziny umrze, nieraz nie ma za co pogrzebu sprawić mężowi, musi ostatnią krowinę sprzedać żywicielkę lub jeżeli jest ksiądz dobry, poczeka, to potem musi się ciągnąć i oddać. I pogrzebu jeszcze nie zaspokoi, a tu już

pertraktacja! Dzieci z głodu mrą, ty płac detaksatorów, notariuszowi od spisu aktów, opłatę spadkową. I nieraz kawałek gruntu trzeba wydzierzać, albo zastawić, lub nawet wieczyście sprzedać! A teraz długi! Dzieci wyżywić, wychować, dać edukację. Żadnej opieki, ratunku, pomocy!

Tak to w tem rolnictwie biedna familja po śmierci ojca zostaje bez ratunku! Gdy w urzędzie, fabrykach, a nawet robotnicy mają choć chwilowy ratunek. Naprzykład przytoczę z mojej gminy świeży wypadek.

Umarł ojciec dopieroco w poście, zostało sześcioro dzieci. Wprawdzie pozostało 15 morgów gruntu, to syn wziął sierotę za żonę, sam się pobudował, na co musiał zaciągnąć dług w Towarzystwie zaliczkowem. Każdy wie, jaki to ratunek dla rolnictwa to Towarzystwo: z tego co pożyczasz zapłać udział, wpisowe, procent od skryptu, koszta podróży ręcycieli; — otóż wspomniany zmarły też miał to nieszczęście się zadłużyć. Rok nieurodzaju, on cały rok choruje, umiera. Zaraz koszta pogrzebu, potem pertraktacja, spłata pożyczki, obsianie gruntu, a na to niema nic. To strach, co tu począć? Musi wdowa grunt sprzedać, bo jej nikt nie pożycz, giń! Notariusz, taksa nie poczeka. A teraz sześcioro małych dzieci wyżywić, dać edukację!

Niechno kto sobie wyobrazi takie położenie. Do ludzi nie śmie ręki wyciągnąć, bo ma grunt, młoda, — od dzieci nie odejdzie na zarobek, bo samych nie zostawi, giń z dziećmi z głodu! Cóż myślicie: ile to takich wypadków? To w jednej gminie. Gdzie tu ratunek? A przecie na wszystko jest rada.

Aby to rolnictwo tak nie niszczało, powinni

o tem nasi posłowie pomyśleć jak jeden mąż! Ale co? Oni się porozbijali na stronnictwa, każde sobie rzepkę skrobie. Powinni pomyśleć o przymusowych towarzystwach, gdzieby każdy człowiek w państwie był zabezpieczony od szkód elementarnych, na wypadek choroby, starości, śmierci itp. — —

175. [O projekcie gminy zbiorowej.
Karczmy, 166].

(„Czasowi“ od chłopca, Związek chłopski 1900,
str. 77).

— — — Im po głowie krążą ciągle te gminy zbiorowe, o których cały lud słyszeć nie chce¹). Zarzucają, że zwierzchność gminna całkiem niedbale obywa policję nad karczmami i wyszynkami. To nie zupełnie zgodne z prawdą. Nie wszędzie, ale większość wykonuje dość energicznie, tylko jej dajcie moc, a to całe złodziejstwo karczmarskie zniknie jak kamfora z gmin! Czy panowie przełożeni obszarów podawali kiedy petycje o zniesienie karczem? Nie słyszałem. A zwierzchności gminne były takie co wносиły i otrzymały (po zbadaniu przez żandar-mów) odpowiedź... odmowną! Lubicie ankietę, zwołajcie ankietę i zapytajcie: „ile jest takich zwierzchności gminnych, żeby rade dziś się pozbyć karczmy z gminy, ale nie mają mocy po temu?“ To one winny? Mówicie, że zwierzchności gminne nie wykonują skutecznie policji nad wyszynkami. Na czyjem to terytorjum stoją karczmy, jeżeli nie terytorjum obszaru dworskiego? Zatem obszar dworski, jako odosobniona od gminy władza, powinna była wykonać na swoim terytorjum policję nad karczmami, a czy ją wykonał który obszar kiedy?

Nigdy! Zawsze i wszędzie wykonywały policję zwierzchności gminne i po największej części miały do czynienia z różnymi szkodnikami, którzy służąc na obszarze dworskim, najczęściej wyprawiali awantury po karczmach. Z nimi i po dziś dzień ma zwierzchność gminna do czynienia, pod nazwą „dworaków“, na których obszar dworski wzywa wójta, aby (jak mówią) zrobił ład, bo obszar dworski jest bezsilny. Mógłbym przytoczyć mnóstwo przykładów, ale pomijam, gdyż sprawa każdemu znana. Trzeba być bardzo naiwnym, aby się tak „młodszej braci odpłacić“.

A dawno to temu, jak nawet ksiądz na ambonie miał słowo związane przeciw karczmom, aby się dworowi nie narazić — albo nawet starości!?! Któż tam chodził do starosty? Czy zwierzchności gminne?

Niech panowie nie myślą o gminach zbiorowych, tylko o naprawieniu stosunków krajowych, bo lud bardzo i tak rozgoryczony, gdyż stańcy, liberaly i demokraci tyle szkód w kraju narobili, tyle brudnych kradzieży, że lud mówi: „chęć gmin zbiorowych, aby im było lepiej lud za łeb wodzić i kraść!“

¹⁾ Doświadczenie z gminą zbiorową wypadło ujemnie: Podrożenie kosztów administracji gminnej, przykry biurokratyzm, utrudnienia komunikacyjne i straty czasu dla mieszkańców, osłabienie wychowawczego znaczenia samorządu gminnego.

176. Karczmy, 146.

(*Związek chłopski* 1895, str. 236—7).

— — Karczmy są dla ludu prawdziwą plagą. Taką plagą są one i dla naszej gminy, gdzie ich oddawna na taką małą gminę mamy trzy, a czwarta

tuż przy samej granicy, szczególnie obliczana jak łapka na myszy, na naszą gminę, piąta też taksamo na samej drodze do Łańcuta z Albigowej. Wszystkie są na drodze; więc największa sposobność dla rozpijania. 4 karczmy na 7 kilometrów drogi, a w Łańcutcie pełno wyszynków. — — —

— — U nas gmina górska¹⁾, biedna, gleba licha, splukana, lud pracuje, haruje, jak to mówią aż kości trzeszczą, wozi wciąż kamień, szuter do miasta, drzewo opałowe, tak, że niema dnia prawie, aby nie było wyjazdu, wychodu do Łańcuta, a tu tyle karczem; więc oczywista pokusa.

— — W tym roku w styczniu podaliśmy petycję do Wysokiego Sejmu krajowego o zniesienie trzech karczem czyli wyszynków, widząc w nich całą zgubę naszej gminy. I co? Przysłali nam żandarma na skontrolowanie, który się wyraził, że to było głupie podanie. Jakby żandarm znał lepiej nasze położenie od nas samych, którzy cokolwiek mając rozumu, sercem ściśnionem, patrzymy na to utrapienie, które jest naszą ruiną. Po skontrolowaniu niebawem otrzymaliśmy pismo następującej treści: „L. 14476. Do Zwierzchności gminnej w Handzlówce. Wskutek petycji gminy tamtejszej wniesionej do Wysokiego Sejmu krajowego względem zniesienia nadmiernej liczby szynków istniejących w gminie tamtejszej, oznajmia się po przeprowadzonym dochodzeniu, iż gdy gmina tamtejsza, licząca wedle spisu ludności z roku 1890, 1052 mieszkańców, posiada od dawnych lat trzy wyszynki, zatem nie więcej jak wiele innych miejscowości o tej samej ludności, gdyż szynki te są tak położone, iż Zwierzchność gminna może nad nimi z ła-

twością dozór policyjny wykonać. Łańcut, 25 czerwca 1895 r.“²⁾).

1) Wieś Handzlówka znajduje się w okolicy pagórkowatej.

2) Dokument niepocholebie świadczący o ówczesnych rządach kraju, skądinąd zresztą wcale troskliwych, gdyż niepodobna zaprzeczyć, że Galicja pod rządami autonomji krajowej rozwijała się pomyślnie. (Magryś nie podaje jaka władza wydała przytoczone orzeczenie).

177. [Pijaństwo. Pożywienie, 210]

(*Roboty w bród, Piast, 1917, nr. 3*).

Fizycznie lud nasz w ostatnich dziesiątkach lat ogromnie podupadł. Ja sam pamiętam czasy pańszczyźniane i wiem, że ludzie byli wtedy mocniejsi, silniejsi, rośli i żyli znacznie dłużej niż dziś. Kiedy myślałem, jaka była tego przyczyna, doszedłem do przekonania, że głównem powodem było to, że ludność odżywiała się prościej, naturalniej, a mniej piła, bo nie było czasu i nie było gdzie. Po pańszczyźnie, lud został bez oświaty, panowie nastawiali karczem, poosadzali w nich żydów; chłop, nie mający żadnej nauki rolniczej, rozpił się, i trzeba to otwarcie powiedzieć, że karczmy i gorzelnie się mnożyły, żydzi się bogacili, a chłopci upadali coraz bardziej, musieli szukać chleba poza granicami kraju, a wreszcie żydzi zaczęli im i ziemię zabierać. Dopiero kółka rolnicze położyły kres temu stałemu upadkowi chłopca i dopiero w ostatnich latach chłop na wsi zaczął się dźwigać. Patrzyłem własnymi oczyma na ten rozwój stosunków i twierdzę, że karczma i wódka — to były¹⁾ największe wrogi ludu naszego, a tem samem całej naszej Ojczyzny.

Sposób odżywiania zmienił się niby na nowożytny, ale grubo gorszy. Dawniej na weselach pito barszcz, napój zdrowy i smaczny, a sto razy pożywniejszy od rozpowszechnionej dziś kawy i herbaty. Zakorzeniony nałóg palenia fajek, cygar i tytoniu, ogarniający w miarę czasu coraz młodszych chłopaków, robił też swoje, tak, że fizycznie karleliśmy coraz bardziej. Z tego musimy się podnieść, bo czeka nas robota olbrzymów, a sił nam braknąć nie może. — —

1) „Były“ — więc w czasie, gdy píše jest trochę lepiej; podobnie i Słomka stwierdza, że pijaństwo raczej zmniejsza się.

178. [Strój narodowy, 141].

(Bez tytułu, *Niedziela*, 1893, str. 875).

— — — wszystko świadczy o pobożności, dobrości, dobrem gospodarstwie i ofiarności Albigowian. A co ich jeszcze podnosi do sławy, to to, że dotąd zachowali nasz polski, ładny, strój narodowy. Kto by chciał, może iść lada święto do kościoła, a zobaczy, jak w lecie mężczyźni w pięknych białych płótniankach, w zimie znów w ładnych tzw. kosieńskich [*sic*] kozuchach. Płótnianki i kozuchy naśladowują w kroju kościuszkowskie sukmany, bardzo ładnie wyglądają. Kobiety znów wszystkie jakby zakonniczki, w bielutkich jak śnieg rąbkach, czyli jak tu zowią rańtuchach, haftowanych swoim haftem. Co, jak się człowiek popatrzy, wygląda jak wojsko uszykowane. I prawda, taki strój, szczególnie kobiet, to strój zaszczytny, narodowy, gdzie się w nim odbija czystość obyczajów, prostota serdeczna, skromność i wstydlivość, kobietom przyzwoite, co w domu Bożym podnosi ducha nabożeństwa. Otóż to są zalety, które podnoszą Al-

bigowian do godności prawdziwych obywateli kraju i Ojczyzny i mogą służyć wielu do zbudowania.

Jakże bardzo nieprzyjemny i prawie hańbiący widok się przedstawia po innych parafjach, gdzie już poczęści wyrugowano polski strój narodowy, a mężczyźni i kobiety ubierają się w żydowskie tak zwane kurtki i burnusy, a kobiety w czerwone krase spódnice, chustki i płachty¹⁾. Tam wszedłszy do kościoła, razi cię najpierw ta różność barw, jakby nadętość, niby przepych, nie skromność w ubiorze, co odrywa cię mimowoli od skupienia ducha, z jakim powinien człowiek w Domu Bożym się znajdować. W takiej wiosce, gdzie jest przeważnie jeden tylko stan włościański, gdy się zbierze w swoim kościółku, nie powinno być i różnicy w stroju. Płótnianka i rąbek kobiecy, to równość stanu wyraża i czystość obyczajów, gdy tymczasem w tych kurtkach, burnusach, czerwonych chustach, to jakby się zeszli różnorakiego stanu ludzie. Mężczyźni w tych kurtkach jakby Niemcy, to znów w tych żołnierskich burnusach niby z kiepska po wojskowemu. Kobiety to jak mieszczyki, przekupki lub jakieś modniarki wystrojone. A wiem to z doświadczenia, że tam, gdzie zmieniono strój narodowy, owładnęła jakaś manja strojów, tak, że co niedzieli kobiety pragną, aby mieć inną a coraz bardziej upstrzoną chustkę, spodnicę i płachtę, aby się w czemś nowem pokazać, a drugie, widząc znów, zazdroszczą i dalej: skąd bierz, to bierz — na borg bierz u żyda, a strój się. A przez to taka gmina ubożeje, niknie czystość obyczajów, skromność, prostota i Dom Boży staje się znieważony płocnością niewiast. Przeto przezacni kapłani powinni pilną baczość mieć na stroje i karcieć

zbytki, bo stroje są przyczyną rozluźnienia obyczajów.

¹⁾ Konserwatyzm za daleko idący: żywe barwy stroju ludowego są jego bodajże najlepszym urokiem — i co należy dodać, rozwinęły się przeważnie już po zniesieniu pańszczyzny — tak, że w. XIX, mimo, że strój ludowy w nim zanika, jest równocześnie „klasycznym wiekiem“ stroju ludowego — i wogóle, — jak go charakteryzuje T. Seweryn, „złotym wiekiem“ sztuki ludowej.

179. [Dzielna dziewczyna i zacofani ludzie, 203].

(Bez tytułu, *Piast*, 1917, Nr. 1.)

— — — Mielіśmy zdolnego organistę, kawalera, który się zamierzał we wsi ożenić. Wojna go nam wydarła i słych o nim zaginęła. Szczęściem znalazła się dziewczyna Cwynarówna, która należała do chóru, wyuczyła się swego czasu śpiewu, kupiła sobie stary fortepian i mając pociąg do muzyki, w wolnych chwilach grywała. Co to było we wsi gadania i urągania: „A jaka to hrabianka! A co jej po fortepianie“ itd. Bo ojciec niebogaty ma może półtorej morgi gruntu. Ona jednak na docinki nie zważała zwłaszcza, że kupiła sobie ten fortepian za pieniądze, zarobione krawiectwem, bo się i krawiectwa dobrze wyuczyła, ale uczyła się dalej grać. Ludzie zaś smutni, smutnieli coraz bardziej, gdy nawet w niedzielę, podczas nabożeństwa, nie mogli słyszeć w kościele organów. Aż wreszcie ksiądz, którego brak muzyki również w kościele bolał, zaprosił Cwynarównę na próbę do organów. Próba się powiodła i dziś Cwynarówna gra na organach i prowadzi chór doskonale, ku zadowoleniu całej parafji

Przestali ludziska urągać, bo się pokazało, że każda nauka jest dobra, że nigdy nikomu nie zaszkodzi, ale korzyść przynosi i przynieść musi. — — —

XIII. JAKÓB BOJKO.

Urodził się w r. 1857 dnia 6 lipca¹⁾, z ojca Gabrjela i matki Heleny z Kamyszów. Ojciec jego uszedł przed branką rosyjską z Królestwa Polskiego. Początkowo służył u różnych gospodarzy, potem był ekonomem u księdza, u którego został obdarowany dwumorgowem gospodarstwem. Dzieci miał troje.

Jakób Bojko uczęszczał do szkoły w Gręboszowie, gdzie uczył go Marceli Stohandel, surowy, ale dobry pedagog, który nauczał dzieci o wiele więcej ponad miarę ówczesnego programu szkół elementarnych; Bojko o tym „człeku niezwykłym“ wspomina z wdzięcznością. Jest to wogóle rys znamienny dla niejednego z pisarzy ludowych, że mieli dobrych nauczycieli, którym wiele zawdzięczali. Bojko celował w historii polskiej, a „obrazki i książki otrzymane jako nagrody pilności pieczęłowicie chowa w swej bibliotece“. Po zgonie matki jako kilkunastoletni chłopiec idzie na służbę do gospodarzy, potem jest kościelnym. Gdy ma lat 20, biorą go włościanie ze wsi Biskupic do uczenia zimą dzieci za wikt i 10 reńskich. Jeszcze przez kilka lat tak uczy dzieci. W r. 1878 dla poznania kraju jedzie z flisakami aż do Gdańska. Powtarza tę podróż na drugi rok. Wraca z Królestwa pieszo, zwiedza po drodze sławne Gidle z cudownym obrazem Matki Boskiej Gidelskiej, co później opisuje w książeczce pt. *Pod trzeciego króla*²⁾. W 23-im roku życia obejmuje ojcowiznę i żeni się. Zostaje sekretarzem

gminnym w Gręboszowie, potem wójtem. W r. 1895 wybrany po raz pierwszy do sejmu lwowskiego zwyciężony przez hr. Męcińskiego. W sejmie przez konserwatystów i posłów duchownych źle powitany. Jeden z konserwatystów zapytał go raz: „Czy to prawda, żeś poseł dawniej bydło pasał?“ Na to Bojko: „Tak jest, ale dziękuj Panu Bogu, żeś pan bydła nie pasał“. „A dlaczego?“ — pyta ten skwapliwie. „A bobyś pan pewno do dziś dnia jeszcze pasał“ — odparł filuternie Bojko. Szyderca odszedł jak znyty i już się nikt Bojki o pasanie bydła nie pytał. Na jednym posiedzeniu sejmowem Bojko rozgoryczony stałem odrzucaniem wniosków ludowców przemówił: „Panowie, wszystkie nasze wnioski a limine odrzucacie i żebyśmy nawet postawili wniosek o odbudowę Polski, tobyście go odrzucili jedynie dlatego, że od chłopów wyszedł“. Na to powstała wrzawa w całym sejmie, poseł Jordan rzucił pod adresem Bojki słowo „bydło. Marszałek Stanisław Badeni łzy ocierał, a zajadły lubo uczciwy człowiek i mówca znakomity wygłosił słynną mowę przeciw Bojce i żądał przeproszenia sejmu. Nawet prezes klubu ludowców Bernadzikowski z płaczem wyparł się Bojki, a tylko sędziwy ks. Czartoryski, który zawsze głosował za wnioskami chłopów kiwał ręką życzliwie na Bojkę“. Gdy się skończyła kadencja sejmu, w którym Bojko brał udział, przy następnych wyborach w r. 1901 Bojko upadł dwoma głosami, a wtedy Lwów go wybrał swym posłem dzięki Badeniemu, marszałkowi sejmowemu, który za nim dużo agitował i mieszczañstwu lwowskiemu. W r. 1902 odwiedza Poznań, Pragę czeską, co rok jeździ do Rapperswyłu, gdyż towarzystwo Muzeum polskiego w Rapperswyłu

wybrało go członkiem swego zarządu. W r. 1928 zostaje wybrany do sejmu w Warszawie z trzynastu okręgów wyborczych, z listy państwowej. „Jak na pastuszka od bydła bez szkół, to chyba prawie“. Dopiero niedawno wycofawszy się z polityki jako starzec 78 letni wypoczywa u boku swej sędziwej towarzyszki życia, z którą dochował się 14-ro dzieci — „i dał mu Pan Bóg, że ze swą pracownicą żyje w zgodzie i miłości 60-ty rok życia“.

Naczelny utwór Bojki (*Dwie dusze* 1904) — to walka o zdobycie godności, prowadzona z tą wysoką szczerością, na którą tylko prawdziwie inteligentny człowiek pozwolić sobie może i umie. B. odślania swój, tak obecnie zwany, „kompleks niższości“. On, chłop polityk, chłop, który raz po raz, na stopie równości, styka się w sejmie galicyjskim z potomkami magnatów i szlachty — a zmuszony częstokroć twardo im się przeciwstawiać, na nich wywalczać ustępstwa dla wsi polskiej — czuje się jednak, w głębi duszy upokorzonym i załamany tą myślą haniebną, że jest potomkiem tych, co byli niewolnikami jego adwersarzy: zna dobrze na pamięć, „co przodkowie tego lub owego wartali, co on sam zaczął, wie, że równy im wobec praw boskich i ludzkich“, a jednak często coś mu w duszy szepta: „za małyś do niego, twój ojciec jego ojcu pańskie robił i był jego niewolnikiem...“ Haniebne poczucie, które „jak pijawka wpiło się w całe plemię chłopskie, a zatem i w moje“. *Duszą pańszczyźnianą* nazywa się to poczucie niższości, które przez setki lat pańszczyzny napełniło całą psychikę chłopską. Chłop musi do gruntu przerobić się, jeśli nie chce pozostać „chamem“. Bojko nie waha się tem słowem uderzyć we współbraci.

Jakimże sposobem tego „niewolnika duchowego“, „pańszczyźniaka“, pokonać w osobie? Uczuciem wolności, uczuciem własności, uczuciem solidarności ze swą krwią chłopską, uczuciem solidarności z narodem. W polemice Bojki, gdy o gospodarskiej niezależności chłopa mówi, słyhać jakby echo chwalczy szlacheckości, Stanisława Okszy Orzechowskiego!... Odczuwa to pokrewieństwo rasowe z dawnymi wolnymi Polakami Orkan, kiedy w przedmowie do wyboru mów i pism Jakóba Bojki powiada: „Ile razy czytałem jakiś artykuł Bojki, zawsze miałem wrażenie, że słyszę głos któregoś ze szlacheckich pisarzy polskich XVI w., nawołujących do poprawy Rzeczypospolitej“. Można uzupełnić to wrażenie: Swoją odświętną kierezję Bojko nosi z tym samym animuszem, z jakim szlachcic którejś tam konfederacji nosił swoją delję. Ze swoim ciętym dowcipem, temperamentem zuchwałym, ale i ze swoim konserwatyzmem, nie zacofaniem broń Boże, ale konserwatyzmem zdrowego rozsądku, ze swoim głębokim sentymentem do dawności, który wcale jednak nie wyklucza ani uczucia wolności, ani odwagi do walki z autorytetami, Bojko jest podobny do tych najsympatyczniejszych z pomiędzy dawnych Polaków wogóle. Tej swojej własnej przyrodzonej dobrej rasy, która się w nim buntuje przeciw nabytej wiekami, „historycznej rasowości“ pańszczyźnianej nietylko w sobie broni Bojko, lecz chciałby jej udzielić swym współbraciom ze wsi. Ośmiela więc ich, prostuje im karki, uzdrowia wewnętrznie, do rozcięcia w sobie kompleksu niższości zbroi ich różnymi sposoby, a silnym jego argumentem jest s z y d e r s t w o, nielitościwe i nie-trwożne (niepobawione jednak rubasznego humoru).



Książeczka o „dwóch duszach“ wyszła w ogniu walki, jaką ludowcom za poduszczeniem konserwatystów krakowskich i kardynała Puzyny, wypowiedział biskup tarnowski X. Wałęga; jest to więc rzecz bojowa, a jej ostrze godzi w synów chłopskich, którzy ze wsi wyszli, w urzędników, nauczycieli, ale przede wszystkim w księży, których większość przedstawia mu się jako najtypowsi przedstawiciele duszy pańszczyźnianej. Ale jeśli Bojko był zwany „wywrotowcem“, to nie ma nic ponad to niesprawiedliwszego. Jest to, jak Orkan już zaawżył, „konserwatysta z ducha w najszlachetniejszym znaczeniu“. Umie potępiać czasy pańszczyźniane, ale nic nie jest mu dalsze niżli zerwanie z historją narodu. Owszem Bojko jest duszą nawskróś historyczną. Poszukuje swoich przodków, wyrzuca chłopom, że nie mają zwyczaju pamiętać o przodkach. Jest zbieraczem starych rzeczy i starych tradycyj, regjonalistą, erudytą. Kto takie rzeczy lubi, ten okazuje, że nie jest wrogiem przeszłości bezwarunkowym, że dostrzega w niej walory niezaćmione, B. nie pragnie jakiejś wyłącznie chłopskiej Polski, ale chce, nimniej ni więcej, tylko wolnego i cywilizowanego o głębokiem poczuciu godności osobistej i historycznej chłopca: „Sąśmy już nie cesarscy jak nasi ojcowie, ale głośno się przyznajemy do tej matki ojczyzny, która nam tyle wieków była straszną macochą, i z chlubą zowiemy się ludem polskim. A jeżeli pokrzywdzeni przez nas starsi bracia w r. 1846, mówią przez usta poety Wyspiańskiego: *myśmy wszystko zapomnieli*, to my dawno wołamy z Szelą Wyspiańskiego: dawaj bracie kubeł wody, ręce myć, nogi myć, suknie prać, nie będzie znać [krwi]....“.

Taka narodowa a nie klasowa, konserwatywna, ale nie zacofana postawa Bojki nie jest mu zzewnątrz narzucona: wynika z jego — akcentujemy to raz jeszcze — psychofizycznej „rasy“. Jego *Dwie dusze*, mimo iż wyrosły z konfliktu, który należy prawdopodobnie uznać za akcydentalny raczej niż istotny — pozostaną w historii piśmiennictwa i kultury polskiej jako dokument, którego nie wahać się nazwać epokowym, jako arcydziełko publicystyki, na zawsze aktualne, jako pierwszy, tej siły, tak świadomy i w tak dojrzałej formie, głos wyzwalającego się już chłopca polskiego. Niema tu już moralizatorstwa zacnego, ale lęklivego jeszcze i szablonowego — lecz jest już polemika, drgająca nutą zupełnie osobistą: Jest już indywidualność i to indywidualność dramatyczna, a w dramatyczności tej inteligentnie szczerą³⁾.

¹⁾ Daty biograficzne wedle rękopisu w mem posiadaniu pt. *Życiorys własny Bojki*.

²⁾ *Pod trzeciego króla*, w czasopiśmie *Tydzień*, t. XIII potem odbitka. Prócz tego szereg artykułów w czasopismach ludowych, publicystyka, opisy wycieczek, przyczynki etnograficzne, historyczno-regjonalne, niektóre zebrane w tomiki pt. *Okruszyny z Gręboszwa*, Kraków 1911; inne w *Pismach i mowach* (p. niżej); osobno *Dwie dusze* (p. niżej); ponadto: *Spiz, wrażenia z wycieczki do sąsiadów na Spizu*, Kraków 1914.

³⁾ Nb. była tu mowa o Bojce - pisarzu, o sylwetce duchowej, jaka z jego pism (i żywej fizjognomji) wyziera; Bojko-polityk (i jego perypetje) zgodnie z założeniem niniejszej pracy, nie był brany pod uwagę.

Jakób Bojko. *Pisma i mowy*. Z przedmową Władysława Orkana. Wydawnictwo im. Kasyldy Kulińskiej. 1904.

180. [Chłop pańszczyźniany, 121].

(z art. *Poznajmy własną sprawę*).

— — — Za czasów pańszczyźnianych chłop pracował cały tydzień, nie umyty, nie uczesany, z kołtunem na głowie, w lichej odzieży, o lichej strawie. Nie wiele się troszczono, czy był w kościele, byle tylko pańskie odrobił i „powinności kościelne wernie pasterzom swoim oddawał“. Nie myślał też chłop o niczem w świecie, tylko o robocie pańszczyźnianej, nie mogła go nic obchodzić polityka, zmiana rządów i panujących. To nie dla niego było. Chłop miał pracować — jemu kazano w niskiej pokorze orać, zbierać i znów orać. A gdy mu się już cierpliwość wyczerpała, poszedł do karczmy i tam starał się utopić swoje strapienia, a upiwszy się, nucił: „Nie boję się pana, ani ekonoma, odrobiłem pańskie, będę siedział doma“. O religję mało kto go pytał, bo i kiedy: a jak kartkę ze dworu z pozwoleniem ożenku dostał, to pleban ślub dał.

I płynął tak wiek po wieku — chłop milczał, jak grób. Jemu zdawało się, że tak był musi, że to już z dawien dawna „taka postanowa“.

Był zadowolony, czy nie był, ale nie wolno się było pożalić na pana, a jeśli kto chciał, to się musiał podług ustawy — przed nim samym na niego żalić¹). Całą jego rozkoszą było wesele, karczma i dożynki, na których jegomość tańczyli z przodownicą, a jejmość z parobkiem parę razy obeszli wkoło. Za pijaństwo grzechu nie było, bo wódka była pańska — kraść, hm, o to także nie było tyle harmideru, co dziś — i mówiło się wtedy o lu-

dzie: „Ten lud jest pracowity, spokojny“. Nawet dziś piszą niektórzy, że dawniej był bogobojniejszy.

1) Ściśle biorąc nie „przed nim samym“, ale przed „mandatarjuszem“, który jednak był urzędnikiem dworskim (acz tylko częściowo dworskim, bo był on zarazem podwładnym „justycjarjusza“, urzędnika do spraw między dworami a gromadami).

181. [„Chłop ostrzyżony z kołtuna“, 123].

Chłop wiele przeżył, przecierpiał i cierpi, a jeszcze niewiele mówił, bo był niemową. Teraz przemówił, a ci bojąc się, aby nie powiedział co go boli, dręczą go moralnie, aby napowrót oniemiał. I tak pewni ludzie pragną postąpić z ruchem ludowym¹⁾, jak sobie postąpiło dwóch popów moskiewskich z pieskiem. A stało się to tak:

Było dwóch popów, obydwaj byli owdowiali, a mieli pieska Filusia. Jeden był już stary, a drugi młodszy i ten chciał koniecznie Berlin kiedy zobaczyć.

Opowiada tedy ów młodszy starszemu, że jeden Niemiec w Berlinie jest taki mądry, że uczy psy mówić, i radzi, by Filusia dać na naukę. A trzeba dodać, że Filusia i bajki ten starszy pop ogromnie lubił. „Dobrze — powiada — ale ja już stary, chyba ty z Filusiem pojedziesz“. I dał mu na drogę grosza, a młodszy pop zabrał Filusia i jazda do Berlina. W drodze psa z wagonu wyrzucił, a sam się cieszył Berlinem. Gdy przybył do domu, pyta go pop starszy: „A cóż tam nasz Filuś?“ „Ho! ho! — odpowie młody pop — co się z naszego Filusia za łajdak zrobił, to straszne rzeczy. Jak bestja był w domu i nie gadał, to był taki pokorny, potulny, taka miła psina; jak go ten

Szwab nauczył mówić, co on tam nagadał na was samego, bo to zawsze w waszym pokoju sypiał i różne rzeczy widział — i na waszą gosposię! Szczęściem, zem go wziął stamtąd i wrzucił do wody; łajdak nie będzie gadał tego, co nie potrzeba“, — „No, dobrześ zrobił — odparł pop — ja myślał, że jak Filusia nauczę mówić, to będzie inaczej, a tu sukinsyn jął wygadywać“ — — —

Pop Filusia udusił, i ten zamilknąć musiał.

My, Bogu dzięki, sąśmy ludźmi; przejrzawszy na oczy, gdy się nam związka języka rozwiązała, będziemy wymawiać dobrze dalej. Ludzie, którzy wierzą w Boga i Jego przykazania, — ludzie, którzy kochają czynem bliźniego, jak siebie samego — ludzie, którzy kochają kraj ojczysty prawdziwie, którzy pragną jego odrodzenia, którzy mają zresztą czyste ręce i sumienia, nie boją się, że chłop przemówił, że się dobija praw swoich. Owszem, cieszą się, widząc, że lud przestał być niemy Filusiem! Ale ludzie, którzy tylko dla karjery udają katolików, którzy kochają bardziej swoje brzuchy i kieszenie, niż Pana Boga, — ludzie, którym wszystko jedno, czy my kiedyś będziemy narodem, jak ongi, czy się obrócim w Niemców, Moskali, w jakibądź naród lub w nicość — ludzie, którzy się tuczą krwawą pracą chłopca — tym to w niesmak, że chłop, ostrzyżony z kołtuna²⁾, ogolony, umyty, i trzeźwy, mówić zaczyna, że chce korzystać z praw obywatelskich, że książki i gazety czyta, że już nie jest dobroduszny, potulny, jako dawniej.

Ci, co chcą widzieć chłopca potulnego, powinni o tem wiedzieć, że ciemny lud bywa bardziej skrytym i zdradzieckim³⁾, a oświecony jest otwartzszy i przyjaźniejszy.

1) Por. cenną książkę W. Bronikowskiego *Drogi postępu chłopca polskiego*, Warszawa 1934, nakł. Państw. Inst. Nauk. Gosp. Wiejsk. w Puławach, str. 54: „Twórcą ideologii „ludowej“ był Bolesław Wysłouch, ziemianin z Polesia, który musiał uchodzić przed władzami rosyjskimi, wśród represyj po powstaniu styczniowym. Osiadł we Lwowie i zajmował się dziennikarstwem. Pisał dużo, wydawał aż trzy pisma, zwłaszcza założony przez siebie w 1889 r. tygodnik *Przyjaciel Ludu*. Punktem wyjścia w działalności B. Wysłoucha był taki pogląd: „Program nasz musi być ludowym, bo, po pierwsze, chce tego etyka społeczna, która dobro ogółu, interesa mas ludowych za cel w działaniu społecznym uznaje; bo powtóre, wówczas tylko wyzwolą się siły uwięzione mas ludowych, które podejmą energicznie i świadomie prace nad rozwiązaniem problemów społecznego postępu; zachowanie i rozwój naszej narodowości oprą się temsamem na gruncie realnym; sprawa polska stanie się sprawą kilkunastu milionów ludzi, z którą prędzej czy później państwa i ludy sąsiednie liczyć się będą musiały; bo wkońcu, po trzecie: w tem właśnie widzimy ideowe pogodzenie naszych ideałów narodowych z ogólnym, demokratycznym ideałem wszechludzkim, w imię którego walczą dziś wszystkie lepsze siły w świecie całym“.

Redaktorską działalność B. Wysłoucha wspierała jego żona Marja z Bouffałów, wnosząca dużo patriotyzmu do jaskrawej naogół treści pism ludowych. Oni też zachęcili włościan do pisania w swej gazecie“, byli nimi pierwsi chłopci popańszczyźnianego pokolenia w Sejmie lwowskim w r. 1889. W r. 1894 grupa skupiona około Wysłouchów tworzy Polskie Towarzystwo Demokratyczno-Ludowe. W r. 1895 zmieniono swą nazwę na Polskie Stronnictwo Ludowe i wprowadza do Sejmu 7 włościan. (W r. 1891 do Parlamentu wiedeńskiego jeden poseł ludowy, w r. 1897 — trzech).

2) Mocny zwrot stylistyczny, plastycznie maluje różnicę między człowiekiem ciemnym i niewolnikiem, a wolnym i oświeconym: dzieło wieku XIX-go!

3) 1846!

182. Obrazy w chłopskiej chacie, 139.

— — Każdy rozumniejszy człowiek, bawąc w chatach wieśniaczych, musiał zauważyć nędzne

bohomy, któremi jest nabita nieraz cała ściana. Daremnie oko szuka jakiegoś lepszego malowidła, któreby człeka pobudziło do jakichś wznioślejszych uczuć; niemasz go. Wiszą tu tak obrzydliwe karykatury, że się aż ckliwo robi, patrząc, i dziwić się trzeba, dlaczego ktoś na to ludowi uwagi nie zwróci. Byłoby jeszcze pół biedy, gdyby pod tą babraniną był choć polski podpis, ale ten bywa zwykle niemiecki, francuski, a nierzadko rosyjski.

Jakże to boleśnie widzieć i czytać w polskiej chacie niby wizerunki świętych z niemieckim podpisem: Heilige Anna, Abendmahl Christi, Herr Iesu itp. Albo co sobie polski wieśniak myśli, gdy czyta pod obrazem napis: „Św. Pokrowa“. — „Cóż to za obraz kupiliście, matusiu?“ — pytam pewnej kobiety, która kupiła obraz z niemieckim napisem. — „A to mi kramarz gadał, że to Matka Boska przytulająca“.

Można przysiąc, że żaden Niemiec nie ścierpiałby w swej chacie obrazu z polskim napisem, a u nas tyle krzyku o to, co nie trzeba, a na to niema kto uwagi zwrócić ludowi, aby byle jakiej bazgraniny z nienieckim podpisem nie kupował.

Sposobność do nauczania ludzi w tej sprawie mają np. ks. wikariusze, chodząc po kołędzie. Znałem jednego, co takiego towaru dosyć w ogień kazał powrzucać, a sprowadziwszy dosyć ładne obrazy, po 30 ct. za sztukę sprzedawał je, rugując szwabską babraninę.

Jeszcze większy brak daje się widzieć w chatach ludowych obrazów historycznych. Czyby je lud kupował, nie wiem; ale to pewna, że trudno o takowe. Lud to kupuje, co mu kramarz w odpust przyniesie — ponieważ ten obrazów takich nie sprzedaje, to gdzie chłop może je nabyć?

Kiedy zrobiono odbitkę ze sławnego obrazu Matejki: „Kościuszkę po bitwie racławickiej“ i pewien z proboszczów sprowadził 50 sztuk, a jeden z tych obrazków zawiesił na bramie kościoła, objaśniając jego znaczenie, to w lot ludzie rozchwycili. Czyżby to nie było wskazaniem, aby się u nas zajął kto tem, by takie obrazki rozpowszechnić pomiędzy ludem — a niktby tego tak nie dokazał, jak właśnie księża proboszczowie. Ileby na tem sprawa narodowa zyskała — gdyby w domu na ścianie wisiał obraz takiej królowej Jadwigi, Sobieskiego, Kościuszki, Poniatowskiego i innych. Dzieci od małości jużby były oznajomione pokrótce z historją naszych sławnych bohaterów i pragnęłyby jaknajwięcej dowiedzieć się o ich życiu¹⁾.

¹⁾ Uwagi aktualne jeszcze dzisiaj. Gdyby ktoś (może z poparciem Instytutu Kultury Ludowej?) zabrał się do wydawania masowego tanich a estetycznych obrazów świętych i patriotycznych, napewnoby na tem nie stracił. (Byleby uderzyć w rzeczywisty gust ludowy: Bez przesadnej stylizacji na swoistość i ludowość, bez zbytnich uproszczeń formistycznych; tradycjonalizm, idealizowany realizm, bogactwo przyjemnych barw. Wzorem stylu mogłyby stać się „chóry anielskie“ Matejki z kościoła Marjackiego w Krakowie, — albo, bardziej ludowe i swojskie, ale bez przesady rażącej widza ludowego, a pełne wdzięku obrazy religijne Anieli Pawlikowskiej. (Por. album graficzny *Bogarodzica*, Medyka, 1935, niestety o wiele za drogie jak na nabywcę ludowego).

*

Jakób Bojko, *Dwie dusze*. Kraków 1904. Nakładem „Przyjaciela Ludu“.

183. [Dusza starej, brzydkiej pani, 1].

— — Wiedzą to wszyscy, że jest taka gadka między ludźmi, iż człek jak umrze, to duszyczka

jego nie odrazu idzie na tamten świat Boży, ale jeszcze jakiś czas pokutuje tutaj.

Znam takie kobiety, a nawet i mężczyzn, co święcie wierzą, że dopóty dusza siedzi przy zmarłym ciele, póki nie usłyszy głosu dzwonu, a inni mówią, że póki ksiądz ziemi na zwłoki nie porzuci. Znam i takich, co w syczącym patyku mokrym, lub w węźle powróśla, palącym się w piecu, słyszą jęk duszyczki. — — —

— — Ile w tem wszystkim prawdy, ja nie wiem, ale na to przysiąc mogę, że w nas chłopach pokutuje dotąd, prócz naszej duszyczki, jeszcze druga. A choć to talmud żydowski pisze, że jeno żyd, a i to na szabas, dostaje drugą duszę, to ja na całe gardło wołam śmiało, niech mi robią, co chcą, że chłopci prócz swej własnej, mają jeszcze drugą duszę.

Tam do djabła — powie ten lub ów czytelnik, a pobożne dusze wiem, że aż ręce załamają i okrzykną mię bezbożnikiem, ale, moje dusze, tak jest. W nas pokutuje dusza bardzo starej, brzydkiej pani, która zmarła w roku pańskim 1848, a zwała się pańszczyzną. Pani ta trzymała w niewoli strasznej 400 lat nasze chamskie plemię i zabiła w chłopie człowieka, a zrobiła po prostu grat, maszynę, z którą to można było zrobić, co ta pani chciała. A gdyby, broń Boże, ten chłop chciał się coś lekutko sprzeciwić, ta pani miała sposób, aby to jemu, jego dzieciom i wnukom wybić z głowy, na całe sto lat.

A niech sobie piszą co chcą, ale był i taki wypadek, że w Boże Ciało wypędzony lud siał za pańskie na polu, a Tatarzy już z lasu ukazywać się zaczęli, by chłopów zabrać do strasznej niewoli. Jeden ekonom woła: „chłopi, uciekajcie, gdzie kto

może, bo Tatarzy“, drugi zaś surowo zakazał, i chłopci póty stali, póki ich Tatarzy do niewoli nie zabrali. Wiedzieli, co za los ich czeka w niewoli tatarskiej, a tak się bali tej nieludzkiej pani, że musieli pozostać na miejscu, kiedy taka wola jej była.

Musieli tej pani wszystko zrobić, co tylko sobie życzyła. I nie było nic zrobione u niej na roli, w lesie, ogrodzie i domu, czegoby ręka nieszczęsnego chłopca nie zrobiła i to za darmo.

Komunikował ksiądz ludzi w kościele. Chłopowina jedna, już otworzyła usta na przyjęcie Komunii, ale że kapłan zauważył po jego wyglądzie, jako żadnej świadomości nie ma ten człek, toż usunął mu świętość z przed ust i pyta: „Dobry człowieku, a wiesz-że ty, kto ten świat stworzył“? — Chłopek zgłupiał do cna, — myśli, myśli, wreszcie uchwycił plebana za nogi i rzekł: „Proszę Dobrodzieja, a to pono my go za pańskie zrobili“.

Wszystko za pańskie zrobili chłopci, toć nie dziw, że ten biedak rozumiał, że i świat jest ich roboty....

Musieli robić, słuchać i milczeć, bo jak Pol powiada w Pieśni o ziemi naszej: „że nieposłuch, chłopu trumna“.

Ale dał Bóg, że ta pani straszna zachorowała i zmarła raz na zawsze. Nie godzi się mówić o ludziach po śmierci źle, tak powiadają, trzymając się przysłowia, że o umarłym mów tylko dobrze. I my tej pani darowali wszystkie wybryki, jako że ta baba tak rabiła na całym świecie, — to jedno, a drugie, że tak ona jak i ci, których gnębiła, — pomarli, i nie masz z nich ani proszku, ale całkiem o niej nie można zapomnąć [*sic*] mimo woli. Bo cóż, że ona skapała, jak ten śnieg od południowego

wietrzyku, skoro dusza jej tak się wpiła w chłopski kadłub, że ani się jej śni opuścić, mimo, że ciało od 55 lat gnije.

Ta groza pańszczyzny tak weszła w krew ludu, że się to dziś dzień odbija na nim w rażący sposób, a to nie tylko na prostym ludzie, ale nawet na tych jego synach, którzy zajęli, dzięki szkołom, i wysokie stanowiska nawet. Duch pańszczyźniany, duch niewolniczy, tkwi w nas wszystkich, a kto nie wierzy, niech czyta dalej.

184. [Nazywasz się gospodarz, 4].

Oto jesteś chłopem. Jest cię na tyle wszcz i wzdłuż, Bóg ci dał urodę, jak gdzieindziej baba takiej nie ma, dorobiłeś się coś nie co, masz dzieci, i żonę nie ostatnią i nazywasz się gospodarz. I niechno ci co żona lub kto inny wlezie na uczciwość, to wpadasz w pasję i mówisz: ho, ho! jeszcze tu ja pan i ja gospodarz! No, bracie złoty, ja ci powiadam, że ty masz rację. Tak jest, pan -eś choćby i na morgu roli, tak wielki, jak nawet o tem pojęcia nie masz! Ty, mimo twego ubóstwa, jesteś większy pan na swem własnym śmieciu, jak, dajmy na to grabarz¹⁾, jak organista, jak ks. wikary i pleban, jak propinator, jak woźny, jak pan komisarz, jak starosta, jak kasjer i sekretarz rady, a nawet i wyżej. Niech grabarz zapali papierosa od ludowca, to go proboszcz wypędzi, że ani wącznie łopaty. Organista, jeżeli nie donosi księdzu bajek, co ludowcy robią, to bez powodu po 25 latach najwierniejszej służby kościołowi, pleban go wyrzuci na drogę i ani zipnie. Wikarego, jak by co brykał, a już tego ukryć się nie da, bo 20 świadków

przed biskupem o jego sprawkach gada, to go usunąć muszą. Nawet proboszcza, co dobrze „uwa-
dzi“, a rady nie ma, to go na wikarego duchem
wpakują. I propinator, jak chłopci się zmadrzą i wo-
lą dziecku kupić koszulę, a pić maślankę, niż się
bez miary djabli wiedzą czem zalać — musi iść
chajty. Woźny, skoro nie podoba się raz swemu
pryncypałowi, komisarz, starosta, gdy już za nadto
jego sprawy dojadą ludowi i robi się „za głośny“,
to go przenieść muszą albo na pensję, albo do na-
miestnictwa. Kasjer, gdy coś ukradnie, to wylecieć
musi — jak nie do kryminału, to na świeży wiatr...

A ciebie chłopie, jak podatek i procenta a ka-
pitał regularnie płacisz, jak rekruta a powinności
gminne odrobisz, — jakieś nic nikomu nie winien,
jakieś nie jest złodziejem, pijakiem i sądu unikasz,
toś pan całą gębą i jedna tylko śmierć cię z domu
wypędzić może, a zresztą nikt²⁾. Słyszysz? Nikt,
nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, na-
wet król nie może cię wypędzić.

Wiesz ty chłopie o tem?

Wiem — powiadasz.

Dobrze, wierzę ci, ale powiedz mi, czy ty masz
odwagę cywilną, do twego dzisiejszego państwa,
i przy tem prawie, jakie ci przysłuża...

Milczysz.... To ja ci powiem, jak to bywa...
Jakieś ty tylko tak w dwóch a trzech... coś ty
za odważny, co ty masz do gadania, to o panu,
to o księdzu, to o urzędniku... i widzi Bóg, że
ty najczyściejszą prawdę nieraz mówisz. I gdybyś
miał odwagę cywilną powiedzieć im w oczy sło-
wa prawdy, to niejedna sprawa innyby obrót
wzięła. Ale cóż, kiedy ty, luboś taki zuch i wolny,
niezależny gospodarz, nie możesz się zdobyć na od-
wagę, bo ci nie da dusza niewolnicza — pańszczyź-

niana, a zobaczywszy nawet policjanta, nawet kościelnego... języka w gębie zapomniałeś, i blagujesz ludzi, na swoją i ich szkodę.

A cóż gdy wstępujesz np. do jakiego wyższego urzędnika, świeckiego czy duchownego. Dusza twoja ucieka ci aż w pięty, a ta druga pańszczyźniana robi z ciebie cielę, bałwana, który wtedy gnie się w pas, jak niewolnik, i nie tylko, że sobie nic tem dobrego nie zrobi, ale sprawę nieraz własnych braci — za darmo sprzeda... I spojrzysz na niego, to się pali od wstydu i poci jak mysz, a oczy ma w dół spuszczone — bo wie, że źle robi, ale nie mógł się wyzbyć tego przekłętą gada z siebie, to inaczej robić nie może. Dopiero wtedy ta dusza z niego na chwilę wyjdzie, gdy się zgniewa o coś... ale to już niema wartości taka odwaga.

Czytelnicy! połóżcie rękę na sercu i powiedzcie, czym choć na włos zełgał, czy my nie mamy duszy pańszczyźnianej? Mamy, a tych, którzy się jej pozbyli i otwarcie i jasno prawdę ludowi głoszą, zowią dziś wywrotowcami, burzycielami itd.

Ale idźmy i patrzmy, czy ci, co wyżej z chałup wydrapali się — mają jedną, czy dwie dusze...

¹⁾ Naturalnie ironja!

²⁾ Czy się nie przypominają tu dumne słowa Stanisława Orzechowskiego: „Polak [szlachcic] nie ma na sobie niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchniemu, innego winien, jeno to: tytuł na pozwie, dwa grosze z łąnu a pospolitą wojnę; czwartego Polak nie ma nic, coby jemu w królestwie myśl dobrą kazilo...“.

185. [Szczere wyznanie, 11].

Ażeby mi nikt nie zarzucił, że o „kim przy-mówka, a o sobie ani słówka“, to wybaczcie

bracia czytelnicy, że muszę z żalem pisać i o sobie i przyznać się, że i mnie ta druga dusza dotąd całkiem nie opuściła.

Zrodzon z rodziców, co robili pańszczyznę i w Królestwie i w Galicji, to nie tak łatwo wyzbyć się tej bestji, która jak pijawka wpiła się w całe plemię chłopskie, a zatem i moje.

Dzięki Bogu, od lat 13-tu pędzę ją od siebie co sił mam (a nawiasem powiem, że ta dusza niewolniczo-pańszczyźniana nie boi się ani święconej wody, ani krzyża, jeno najbardziej boi się książki i gazety), a mimo, że człek się cokolwiek ogładził, i może nawet z organistą wziąć się do gadania, mimo, że stykam się z ludźmi, którzy paragrafy uchwalają i nie samą kapustą się karmią, to jednak zawdy człek czuje jakąś tremę, gdy się wypada chwycić za barki z wyżej urodzonymi.

Znam dobrze, na pamięć, co przodkowie tego lub owego wartali, wiem dobrze, co on sam zaczął, wiem, że równy wobec praw boskich i ludzkich, a jednak ta czarownica z przed r. 1848 staje mi często przed oczyma i szepta mi „za małyś do niego, twój ojciec jego ojcu pańskie robił i był jego niewolnikiem“.

I rób co chcesz z tą bestją!

Ale choć mi takie obrazy rzuca dusza z przed r. 1848 i nieraz mi tępi język i pióro, to chwala Bogu bronię się jak tylko można, i da Bóg, że się pozbędę tej potwory.

A jednak mimo tego, że mię często czuć starą skórą, to i tak mię mają na wątrobie ci, którzyby radzi byli, aby chłop nigdy inny nie był, tylko jak za czasów pańszczyzny, aby milczał, klęczał i warował, a swego zdania objawić nie mógł i nie śmiał.

Niech się wymawiają, jak chcą — widzimy aż nadto i w sejmie i w radach powiatowych i na plebanji i w starostwie i u władz wszelakich, że lizunów a pochlebców lubią, oklaskują, bronią i popierają. A czem większy blagier-chłop albo głuptak, to ma dla niego ucho i biskup i pleban i starosta i prezes. Oni dobrze wiedzą, co wartają ci pańszczyźniani, ale wołają ich, bo wielkim mile się przypominają te czasy, kiedy samo takie niewolnicze plemię skakało koło nich. A jednak ta dusza pańszczyźniana w ludzkie zdechnąć musi, żeby sobie ktoś i na głowie stawał w jej obronie, bo jeżeli inne narody, które także miały niewolę, pozbyły się tej zabójczej cholery, to da Bóg, i nasz naród dziś czy jutro, pogrzeb tej duszy pańszczyźnianej sprawić musi, jeżeli będzie chciał istnieć.

186. [O Stojalowskim, 50].

— — — I wysunął się na widownię ks. Stojalowski¹⁾, który, obcując z ludem, a znając dobrze, co się z tym ludem wyrabia, co się mu należy, a co się mu daje, uderzył w ton ostrzejszy, którego chłop nigdy dotąd nie słyszał. I wtedy padł postrach na panów, którzy zręcznie umieli opętać ksiąząt Kościoła i wmówili w nich, że to prąd antychrześcijański, a ci najnierozważniej kazali kapłanom, chłopskim synom, ten ruch ich braci najostrzej zwalczać i puścili z bronią duchowną braci na braci! Nasze kochane dotąd dzieci, z których kapłaństwa tyle było uciechy, których nauki tyle lud kosztowały — musiały na swych braci uderzyć — bo tego wymagał interes panów!

Znalazła się paczka o chłopskiej, pańszczyź-

nianej duszy, która, łaknąc odznak i łask swych przełożonych, poszła dalej jak może było w intencjach przełożonych, i tego człeka z talentem i umiejącego grać na sercach ludu, zamiast przytulić i ruch wszczęty przez niego poprowadzić pod swoją komendą do walki o prawa ludu — rzucili nań niesumienne kamienie, które, jak się okazało, zaszkodziły bezpowrotnie nie Stojałowskiemu wówczas, ale niebaczny i krótkowidzącym.

I słyszeliśmy z ust braci naszych, kapłanów, którzy mieli wolną duszę katolicką, z jaką boleścią musieli podpisywać protest przeciw temu, który miał wówczas wodze ruchu ludowego w ręku. Oni duchem proroczym przeculi, że ten ruch ludowy, mądrze poprowadzony dałby korzyść i ludowi i im samym, że tu chodzi o korzyść panów, nie o wiarę, o którą dziś jedynie tylko chłop dba, ale nie panowie. Ci widzieli lepiej, jak ich generałowie, że lud raz poznawszy, że ma prawo wołać dla siebie o lepszą dolę, nie da sobie więcej oczu mydlić, ale broniąc swego wodza musi się rzucić nawet na tych, których dotąd ślepo słuchał, a co gorsza, mieć ich w strasznem podejrzeniu, że oni mu są nieżyczliwi, że go zdradzają.

I gdy im przyszło podpisywać przeciw Stojałowskiemu protest, to płakali i złorzeczyli komendzie... A płytkiego rozumu karjerowiczom kpiny do głowy przychodziły. Znając serca kolegów, mówili: musiała to drzeć ręka temu i temu księdzu, gdy to pismo podpisywał!

I tę to chwilę trzebaby krwawemi głoskami zapisać w rocznikach Kościoła! I tu jest początek rozdziwienia między nami a wami, mili bracia. Tu jest wina po stronie naszych i waszych generałów,

którzy nas lekkomyślnie odepchnęli i nie chcieli nam w tej walce o byt przewodniczyć.

I ta chwila była stosowną, aby chłopski syn kapłan zebrał to, co siał od 30 lat, żeby ta szkoła, którą on budował i w której się uczył, żeby ten chłop tak pielęgnowany i tresowany przezeń, miał w tej twardej walce jego za wodza... — — —

Wtedy to lud powiedział: „hola dzieci!... Wy za nasz chleb kamieniem nas bić chcecie? W was tchnięto duszę niewolniczą — wy przysięgali słuchać biskupów, ale my nie, w tym wypadku. My o swe prawa bez was walczyć musimy!“.

A wtedy wyszedł trzeci numer *Przyjaciela*, który we Lwowie wydrukowano, a który wymawiał na czele wybranych chłopskich postów: Potoczka, Kramarczyka i Stręka. I gdy Potoczek Stanisław kandydował w Dąbrowie do Wiednia, a pisząc roznosił *Przyjaciela* i dawał chłopom do czytania, to księża już rozgoryczeni i już napojeni ideą swych przodowników, pytali: „a znasz ty tego Potoczka“?

Ale z Potoczka rzeka nie powstała, jak mniemano, Kramarczyk się wolał pokramarzyć, i dano mu order i pocztę, toć *Przyjaciela* kopnęli i poszli do żłóbka, a na nas za nasze przekonania, każą wam chłopscy synowie kapłani — rzucać gromy, zowiąc wilkami, burzycielami i każą wam wojować z nami Kto? Panowie — — —

1) O Stanisławie Stojalowskim, Bronikowski, l. c. 53: „Z pochodzenia ziemianin, wykazał w życiu dużo różnorodnych cech charakteru, z których podkreślić trzeba głęboką religijność, demokratyzm pojęć i postępowania, ogromną pracowitość oraz wytrzymałość w dążeniu do celu, a obok tego brak zrównoważenia, chęć wyróżnienia się i krańcową lekkomyślność w niektórych wypadkach. Widział wyzysk, krzywdę i upokorzenie mas ludowych, to też starał się im

dopomóc w miarę możności. W postępowaniu zawodził się ciągle, bo nie był głębokim znawcą spraw i ludzi, (ale instynktownie ciągnęło go do działania. Z wolnomyślnego młodzieńca poszedł na zakonnika, a gdy sukienka zakonna (jezuicka) krępowała jego ruchy — przeszedł do świeckiego duchowieństwa. W uświadomieniu ludu zdążył do pojednania wszystkich warstw (pod hasłem „z szlachtą polską polski lud“), ale okazało się, że panujący ziemianie nie chcieli uznać nowej rosnącej siły i wtedy musiał obrać drogę walki z nimi, oraz powołnymi im urzędnikami. Sam religijny i z wierzącymi działając, chciał się oprzeć o duchowieństwo, ale wobec narzuconej księżom niechęci do niego, musiał i tych omijać i zwalczać. I tak wypowiedział walkę nie tylko stronnictwom rządowym, ale i lichwiarzom żydowskim, to też śledzono każdy ruch jego, a działalność bezwzględnie utracono“.

Stojałowski rozpoczął swą działalność w r. 1875 od wydawnictwa dwóch pisemek *Wieniec* i *Pszczołka* (później złączonych razem), organizuje i agituje wśród chłopów, w r. 1877 urządza wielki wiec chłopski we Lwowie — (pierwsza tego rodzaju impreza) — w r. 1893 na obchód zwycięstwa pod Wiedniem gromadzi w Krakowie 12.000 chłopów, w r. 1889 wprowadza swych kandydatów do sejmu, choć sam na czas wyborów uwięziony. Z więzienia wychodzi usposobiony bardziej radykalnie. Postowie chłopscy w sejmie zrywają jednak ze Stojałowskim, a w r. 1895 wchodzi do sejmu 7 włościan, z których tylko jeden zostaje przy nim. Stojałowski obciążony suspensą, ma mimo to wprost legendarną sławę między ludem: Jego msze chyłkiem odprawiane, jego wędrowki po wsiach, pasują go na ryrcerza sprawiedliwości.

(W r. 1937 wyszedł I-szy tom monografii poświęconej ks. St. Stojałowskiemu przez Franciszka Kąckiego, w *Badaniach z dziejów społecznych i gospodarczych* wydawanych przez prof. Fr. Bujaka).

187. [Wolna dusza rozmawia z duszą pańszczyźnianą, 70].

A dyć i baran, gdy go zarzynają, to przecież jęknie na ostatku. Cóż my, co w tem stronnictwie

od początku jesteśmy¹⁾, co tyle walki musieliśmy stoczyć i tyle upodlenia znosić za swe przekonania?

Ta dusza pańszczyźniana wychyliła swój głupkowato-lokajski łebek i pyta:

— A więc będziesz tak śmiały i będziesz śmiał krytykować kurendę twego przełożonego?

Ale wolna dusza odparła:

— Moja kochana, kto wydaje pojedynek i wyciąga miecz na przeciwnika, musi być na taki cios, a może i ostrzejszy przygotowany, tem więcej, że tu idzie tylko o politykę.

— Dobrze, — mówi tamta, — ale to twój biskup?²⁾

— Nawet tak barbarzyńscy poganie niegdyś, jak Rzymianie, dali swym niewolnikom takie prawo, że był jeden dzień w roku, w którym niewolnicy mogli swym panom rozkazywać i prawdę powiedzieć, jaką uważali, a tyś przecież wolny obywatel... Toć śmiało chłopie, tylko rznij prawdę, a o więcej nie pytaj, — odpowiada wolna, na nic i na nikogo się nie oglądająca dusza — a że to kogoś zaboli, to już nie twoja wina.

1) P. S. L., por. przyp. 1. do cyt. 181.

2) Ma na myśli znany okólnik ks. Walegi, biskupa tarnowskiego, przeciw ludowcom.

188. [„Gdyby Bóg chciał, żebyśmy się cofali...“, 102].

— — — I nie może być inaczej, tylko wolna dusza musi zwyciężyć pańszczyźnianą, choćby sobie ta ostatnia nie wiem jakich środków używała. Chłopi pańszczyźniaki — starzy, wymrą, a młodzi, którzy dziś sami nie wiedzą, co w trawie piszczy,

przekonają się, że im Pan Bóg na to dał oczy przed sobą, aby szli naprzód. I gdyby Bóg chciał, abyśmy się w tył cofali, toby nam choć jedno, jakie takie oko w tyle głowy umieścić. — — —

189. [„Dajcie bracia kubek wody...“, 100].

— — — Opisując to piekło nie miałem na myśli rozgoryczać ludu przeciw tym, którzy los jego mieli całe życie w swem ręku, bo czyż można mieć żal do tych, co kazali stałą w krzesiwku dobywać ogień, a nie zapalkami szwedzkimi? Ale jak się wmawia w nas, żeśmy są nieszczęśliwsi od naszych ojców, tom musiał przedstawić szczęśliwość ich życia na podstawie dokumentów — i wziąć w opiekę tych, co po misjach, kościołach, szkołach, kółkach rolniczych w celu uszczęśliwienia naszego przecież coś robią. Chyba, że to się robi na naszą zgubę, to się myślę. Tego twierdzenia żaden człowiek z stanu szlacheckiego nie podnosił i podnieść nie śmiał, to musiało niestety wyjść z pod pióra... syna chłopskiego... Bądź, co bądź, Bogu — największemu Przyjacielowi chłopów — dzięki, dziś sąśmy wolni ludzie i sąmy przecież do ludzi podobniejsi. Sąmy już nie cesarscy, jak nasi ojcowie, ale głośno się przyznajemy do tej matki ojczyzny, która nam tyle wieków była straszną macochą, — i z chlubą zwieemy się ludem polskim! A jeżeli pokrzywdzeni starsi bracia przez nas w r. 1846, mówią przez usta poety Wyspiańskiego, że „myśmy wszystko zapomnieli“, to my dawno wołamy z Szelą Wyspiańskiego: „dajcie bracia kubeł wody, ręce myć, suknie prać, nie będzie znać...“¹⁾.

¹⁾ To znaczy: „nie będzie znać krwi“ (z dramatu

St. Wyspiańskiego pt. *Wesele*). Jak głęboko odmienny ten wolny chłop, walczący z taką werwą o chłopską godność i postęp od niektórych młodych ludzi ze współczesnego pokolenia ludowego, którzy austriackiego najemnika Szełę radziby ubronzować na bohatera ludowego!

190. [„Jestem, żyję, i chcę żyć!“, 106].

Z Bogiem tylko polski ludu, do pracy. Porzuć żale, bo z tego doli nie wykrzeszesz, ale stanij twardo ramię przy ramieniu i wolną duszą, krzyknij przeciwnikom: Jestem, żyję i chcę żyć!

Pamiętajmy słowa poety Asnyka, i idźmy za tem, co pisał ten przyjaciel ludu:

 Nie pomogą próżne żale,
 Bogu ból swój trzeba zlecić,
 A samemu wciąż wytrwale
 Trzeba naprzód iść i świecić.

Gręboszów, w setną dziesiątą rocznicę bitwy racławickiej dnia 4. kwietnia 1904.

Jakób Bojko.
włościanin.

XIV. WINCENTY WITOS.

Zgodnie z założeniem tej pracy, Wincenty Witos będzie oceniany i cytowany nie jako polityk, ale jako publicysta i mowca ludowy, który najwyższe dzierży miejsce w hierarchji naszego piśmiennictwa ludowego. Jeśli tak się zdarzy, że będą chcieli w osobie jakiegoś pisarza ludowego uczcić udział autentycznego chłopca polskiego w kulturze ogólnonarodowej, w jej treściach i w jej sposobach wyrażania się, to całkiem niewątpliwie zaszczyt ten należeć się będzie Witosowi.

Wincenty Witos urodził się w 8-em dziesięcioleciu ub. wieku (ok. r. 1874) we wsi Wierzchosławice (w pow. tarnowskim, znowuż w tej samej urodzajnej w przodownicze jednostki ludowe, urodzajnej lössowej ziemi we widłach Sanu i Wisły) — jako syn małorolnego chłopa. Młodzieńcem, zarabia jako drwał w lesie sanguszkowskim. Bierze udział w ruchu ludowym; w r. 1905 wchodzi do rady powiatowej w Tarnowie; od r. 1908 posłuje do sejmu lwowskiego, gdzie czynnie uczestniczy w kilku komisjach, stawia wnioski, wygłasza mowy; w r. 1913 obejmuje kierownictwo Pol. Stron. Ludowego; w r. 1911 wchodzi do parlamentu wiedeńskiego; tam w r. 1917 wygłasza pierwsze swoje (po polsku) przemówienie na plenum, upominając się o krzywdy przez ludność polską doznanę po odmarszu Rosjan od wojsk austriackich i sprzymierzonych, o niesłychane gwałty, zdzierstwa, szubienice. Przez cały czas swej działalności politycznej, przez 20 lat przeszło, jest wójtem w swej wsi rodzinnej. W r. 1918 po pokoju brzeskim, ogłasza odezwę protestującą, wzywając naród do solidarności: „Do was się zwracam Polacy, do Was ludu włościański: przygotujcie się do czasów ciężkich. Przygotujcie się na ofiarność w większej mierze niż dotychczas. Ufajcie swoim politycznym reprezentantom, a przede wszystkim wiercie, że sprawa polska nie została w Brześciu ostatecznie załatwiona...“. W r. 1920 zostaje prezesem Rządu Obrony Narodowej, odwołany (dosłownie) od pług. Dalsze jego losy są powszechnie znane¹⁾...

Wśród publicystyki Witosy, niezmiernie obfitej²⁾, której ocena należy już do historii politycznej czasu, uwagę zwracają jego mowy.

Mowa przytoczona (cyt. 191) nie jest to „mowa ludowa“, w sensie jakiejś częściowej zaledwie dojrzałości kulturalnej. To jest mowa prawdziwego męża stanu, ważącego każde słowo, bez efuzyj lirycznych, bez naiwności retorycznych, w swej ekonomji i lapidarności słowa mająca w sobie coś monumentalnego; a w tem powiedzeniu o żołnierzu, który „wrył się stopą w piach mazowiecki“, głęboko piękna i pamiętna ³⁾.

Na tym przykładzie dokładnie doświadczymy, że w twórczości ludowej najprawdziwiej podoba się nam to, co, wyzbyte już z wdzięku naiwności — jest już kulturalnie dojrzałem i do czego można już przykładać wysokie miary dojrzałego poziomu kultury. Rosnąć jest dobrze, ale rośnie się poto, aby być dojrzałym.

1) Daty biograficzne według następujących prac: Jan Brodacki, *Wincenty Witos*, Tarnów, bez daty, wyd. J. Pizsa, z wizerunkiem Wincentego Witosa; Stefan Kora, *Wincenty Witos a państwo polskie*, z przedm. prof. Fr. Bujaka, Lwów 1936, *Biblioteka Dziejów i Kultury Wsi*. (Gruntowna rozprawa o politycznej działalności Witosa). Nieznana mi brosz. A. Anusza, *O Wincentym Witosie*.

2) Publicystyka Witosa wymagałaby osobnego monograficznego opracowania, ze ścisłym uwzględnieniem całego tła politycznego, dokładnego przeglądu nie tylko roczników *Piasta*, lecz i stenogramów Sejmu lwowskiego, Parlamentu wiedeńskiego i szeregu innych dokumentów. Prof. Fr. Bujak opracował notatkę bibliograficzną, dotyczącą broszur Witosa: *Mowa posła o reformie rolnej*, Kraków 1919, str. 19; *Reforma rolna i jej znaczenie*, Kraków 1919, str. 13; *Prawda o kontraktach leśnych*, Cieszyn 1922, str. 35; ... i *Dąbski Jan*, *Walna rozprawa z wstecznikami*, Warszawa 1922, str. 40; *Zagadnienia państwowe i społeczne Polski*, *Bibl. Siewcy*, t. I. 1924; *Wielka mowa prezesa Wincentego Witosa*, Tarnów 1924, str. 16; *Gdzie jest zbrodnia i kto jest*

zbrodniarzem, Warszawa 1925, str. 7; *Chłopi polscy. Czytajcie! Rozważajcie! Postanówcie!* Warszawa 1926, str. 8; *Czasy i ludzie*, Tarnów 1926, str. 15. Brodacki podaje na str. 18 broszury W. Witos tytuł pierwszej broszury Witos: *Dlaczego chłopi muszą politykować*. Niestety nie udało mi się, ani w Ossolineum ani w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie, odszukać daty i miejsca wydania (F. B.).

³⁾ A. Anusz (cyt. Kora, 36) charakteryzuje mowy Witos: „Uderzył w męski ton władzy i w swych mowach sejmowych (w Warszawie) roztoczył przed społeczeństwem rozległe perspektywy pracy państwowotwórczej“.

191. Mowa na zgromadzeniu publicznem w Tarnowie, w dniu 22. sierpnia 1920¹⁾).

— — — Wojska polskie, cofające się od paru tygodni, wojska pędzone paręset kilometrów, bite, niezaradne, wątpiące, miały bronić Warszawy. Byłem między temi wojskami. I ujrzałem, że nie liczba, nie masa, ale świadomość, iż się walczy o dobrą sprawę, ale męstwo i wiara, mogą zmienić położenie.

Ci, którzy byli pędzeni przez hołotę, bo tak trzeba powiedzieć, gdy mowa o armji bolszewickiej, zrozumieli, że niebezpieczeństwo zawisło nad państwem, nad narodem, nad całością. — Byłem świadkiem, że żołnierz, który zwątpił, żołnierz nagi, bosy, ale o gorącym sercu polskim, poczuł się naraz odpowiedzialnym za państwo, poczuł się panem swej ziemi, zrozumiał swoje posłannictwo. Trzeba było widzieć żołnierzy z pułku, który za karę został rozwiązany, aby się przekonać, że wczorajsi tchórze stali się bohaterami. Na kilka kilometrów od pierwszej linii tworzyły się trzecie okopy. Murem stanęli w nich chłopi, robotnicy, stanęła młodzież polska. W oczach naszych dokonała się niesły-

chana przemiana. Żołnierz stanął, zarył się stopą w piach mazowiecki i uratował Warszawę.

Przyjaciele, sojusznicy nasi, wielkie potęgi zachodu, wąpiły w nas. Jeden z dyplomatów rzucił mi pytanie, które biło w twarz, paliło wstydem, pytanie, na które nie było właściwie odpowiedzi: „Czy Polacy chcą bronić swej niepodległości, czy do obrony są zdolni?“ Pytanie to skierował ów dyplomata do mnie, jako do kierownika rządu. Należało dać odpowiedź, ale dać czynem. Nie wiem, czy Polska będzie jeszcze przeżywać taką chwilę, gdy jednak patrzę na to, co się stało, widzę, że naród dał odpowiedź. Drugie pytanie, jakie ów dyplomata skierował do mnie, brzmiało: „Ciebie, przedstawiciela ludu, postawiono na czele rządu, czy lud, czy robotnicy, czy inteligencja pracująca jest na tyle polską, by odpowiedzieć zadaniu?“ Moją odpowiedzią była wiara i wezwanie ludu do spełnienia obowiązku wobec ojczyzny. I stała się rzecz nieoczekiwana. W chwili rozstrzygającej, w momencie największego niepokoju, gdy atakował wróg nienawistny, gdy Warszawa stała otworem, gdy z Moskwy wyszło hasło aresztowania rządu, uderzyły pierwsze pułki na wroga. A była to chwila, w której cały naród zrozumiał, że broniąc Warszawy broni niepodległości państwa, broni własnego bytu.

Przeżyliśmy kilka dni, brzemiennych w wypadki. Przeżyliśmy kawał historii Polski. W ciężkich dniach smutku, kiedy przed narodem stanęło groźne: Być albo nie być! — odpowiedź nasza poszła tylko w tym kierunku: Być!

Rząd zażądał od was ofiar i to ofiar wielkich, bo ofiar mienia i krwi. Skoro o tem mowa, to

stwierdzić muszę, że Rząd nie myśli głaskać nikogo. Rząd myśli rozkazywać! Rząd nie chce być despotycznym, jest i będzie demokratycznym, ale chce być przedewszystkiem rządem, który zabezpieczy byt państwa — — —

— — — To, co było największem zwycięstwem w tej wojnie, to było odnalezienie siebie i własnych sił przez naród. Ja na tem budowałem. Czy za parę tygodni będę mógł stanąć przed wami i powiedzieć: Polska uratowana! — tego nie wiem! Ale to wiem, że jeśli wysiłek narodu, pójdzie dalej jak dotąd, zwycięstwo Polski jest zapewnione.

Zaznaczyć muszę, że chwilowe zajęcie części ziemi lwowskiej, że okrążenie Lwowa i postępy hord bolszewickich zbałamuconych przez agitację, podnieconych obietnicą mordy i korzyści, to rzeczy przykre, ale zostaną w krótkim czasie zlikwidowane — — —

— — — Ratowanie niepodległości, bytu państwowego i przyszłości narodu ze strony całego narodu było tak wydatne, że nie potrzebowaliśmy niczyjej pomocy. Wierzę, że za dni parę nasz byt będzie uratowany. I z dumą stwierdzam, że uratowany będzie nie obcą siłą, ale siłą i ofiarnością narodu. To nam daje zadośćuczynienie.

Myśmy wolność i niepodległość odzyskali tanio. Są narody, w pierwszym rzędzie bohaterska Francja, które wolność swoją okupiły potokami krwi. Francja w obronie swojej wolności straciła 5.000.000 ludzi. Myśmy teraz, w tych ostatnich tygodniach, okupili naszą wolność. Krew bohaterska, przelana w walkach z bolszewickim najazdem sementuje trwałość i całość państwa.

Przeżywamy chwile wielkie. Na czele rządu

postawiono chłopą, przez co stwierdzono, że państwo się na ludzie opiera²⁾). Okres ten zapisze historia na jasných kartach, jeżeli do końca wytrwamy, jeżeli do końca nie stracimy wiary w siebie, jeżeli dalej ochotnie składać będziemy ofiary, jakich ojczyzna zażąda. — — —

1) Wyjątki według rocznika czasopisma *Piast*, z r. 1920.

2) Jeżeli w tej mowie na rynku do zgromadzonych mas ludowych, tak podkreślał udział ludu w ocaleniu Rzplitej to nie znaczy, ażeby nie doceniał patriotyzmu inteligencji; oto co powiada w mowie sejmowej 24. IX. 1920: „Inteligencja polska spełniła swój patriotyczny obowiązek — — — Był państwowy został uratowany — — — wysiłkiem wspólnym wszystkich warstw“. Biograf Witosa (Brodacki) powiada, że w tych miesiącach, Witos jako szef Rządu Obrony Narodowej, w pełni pojął, co jest naród: „W okopach Miłosny i innych wziął Witos w swą duszę sumienie historii polskiej“.

*

Wiktor Stoupal¹⁾, *Morawa*. Cieszyn b.r.

192. [Wieś czeska a nasza].

— — — To wszystko, co się na wsi morawskiej widzi, wcale jednak nie usprawiedliwia ani wprowadzonych urządzeń, ani stopy życiowej, ani też panującego dobrobytu. Ziemia tamtejsza wcale nie lepsza od naszej, kultura rolna nie wiele wyżej stoi od tego, co widziałem w Poznańskim, na Pomorzu, a także i w niektórych powiatach Małopolski i Królestwa. Chłop nasz pracuje z jeszcze większą wytrzymałością, a na każdą dobę zapewne dłużej, oszczędza też aż do ostatniego skąpstwa. A mimo to wobec chłopą morawskiego wyglądać musi na żebraka.

Ten ma codziennie mięsny obiad, nasz kilka razy do roku najwyżej. Gdy ten ma oświetlenie elektryczne w stajni i chlewach, nasz siedzi przy lichej lampie naftowej, często łojówce, a nie rzadko i po ciemku. Gdy tu na niejedną wieś wypada nieraz po kilkadziesiąt egzemplarzy pism codziennych, u nas tego chłopci nie posiadają w całym województwie. Nic dziwnego, że niektóre z tych pism codziennych mają po paręset tysięcy egzemplarzy nakładu, gdy nasze robią bokami. Kiedy tu niemal u każdego chłopca znajduje się kilka tygodników politycznych i fachowych, u nas jest wiele wsi, gdzie ani jeden egzemplarz gazety nie zbłądzi. Gdy u nas do niedawna jeszcze czytającego gazety uważano za pomyłonego dziwaka, tu czyta każdy, począwszy od dziecka, służącej, a skończywszy na 70-letniej staruszce.

Kiedy u nas w gimnazjum i na uniwersytecie znajdują się już tylko głodujące niedobitki synów chłopskich, tu te zakłady synami chłopskimi są po brzegi zapełnione. (Na samym uniwersytecie w Pradze jest przeszło 700 akademików, należących formalnie do stronnictwa agrarnego, 450 w Bernie, 400 w Bratysławie).

A to, co może najprzykrzejsze, ale co należy powiedzieć, kiedy tutaj przychodzi się z pomocą wszystkim uboższym i potrzebującym akademikom, nie pytając się o przynależność partyjną, u nas dostają ci, co zaprzędają swoje poglądy, jeżeli nie honor i godność.

Tu chłop dopuszczony do każdej dziedziny pracy, u nas pozostaje ona tylko dla wybranych. Tu począwszy od policjanta, każdy urzędnik stara się robić ułatwienia, u nas należy do dobrego tonu

pokazywanie urzędowej wielkości i kierowanie się bardzo często zwyczajną złośliwością. Niezawodnie, że biurokracja tutejsza nie stanowi zapewne jakiegoś chwalebego wyjątku, zachowanie się jej ma źródło w tem, że ona tu jest na służbie społeczeństwa, a nie społeczeństwo u niej. Stan ten stwarza kontrola publiczna i rządy demokratyczne.

Niezawodnie chłop tutejszy zrobił i robi sam bardzo wiele, ale nie wszystko jest jego zasługą, gdyż wytworzone stosunki pomagają mu bardzo wiele. Jeździ doskonałą asfaltową szosą, nie łamiąc wozu, ani nie męcząc zaprzęgu, potrafi za dzień zrobić dużo więcej, niż nasz gospodarz przy największym wysiłku w ciągu dwóch dni. Do uprawy gruntu używa najnowszych narzędzi rolniczych, jeżeli nie własnych, to przez spółkę rolniczą dostarczonych. Zbiór mu nie znarnieje, nawóz nie przepadnie, bo rzeki uregulowane i ziemia zdrenowana. Praca i wkłady włożone mu się opłacają, gdyż za swoje bydło, zboże i wszelkie produkty dostaje znacznie wyższą zapłatę. Nie czeka też z młócką aż mu myszy snopy na pół przegryzą, jak bywa u wielu naszych gospodarzy, ale młóci zaraz po żniwach, nie uroniwszy jednego ziarnka.

Z wielką skrupulatnością prowadzi rachunki i kontrolę działów i roślin w swoim gospodarstwie i stara się hodować tylko to, co mu się najlepiej opłaca. Nic nie robi dla tradycji, ani z przyzwyczajenia. Stąd niektóre okolice przerzucają się dość gwałtownie do różnych systemów gospodarowania. Nie naruszone zostały tylko plantacje buraków cukrowych, które oprócz niezłej zapłaty i dużej wydajności, stanowią najlepszą paszę dla bydła.

Rolnik tutejszy obchodzi się zupełnie bez po-

średnika, a owoce swojej pracy spożywa sobie sam w całości. O cenie jego produktów nie decyduje przypadek, handlarz i oko, ale waga i giełda codzienna. Produkty sprzedaje spółce albo kooperasiwie, której sam jest członkiem, od niej też nabywa towary mu potrzebne. Nawet do mleczarni nikt z mlekiem nie biegnie, bo załatwia to za wszystkich jeden człowiek jeżdżący wozem albo samochodem — —

1) Pseudonim W. Witosa.

193. [Czeska reforma rolna].

Sprawa reformy rolnej była na Morawach jak i w całej Czechosłowacji zagadnieniem nie tylko społecznym i gospodarczym, ale w pierwszym rzędzie wielkim zagadnieniem państwowym i narodowym. Tamtejsza wielka własność zajmująca ogromny procent ziemi należała prawie w całości do feudalnej szlachty niemieckiej, w drobnej części do szlachty czeskiej, przeważnie zniemczonej, trochę do żydów, a nawet do garstki magnatów węgierskich.

Według materiałów statystycznych stanowiących podstawę do opracowania ustawy o reformie rolnej, 35 procent ziemi na Morawach znajdowało się w ręku 90 rodzin. Sam zaś książę Liechtenstein posiadał tylko na Morawach 135.000 hektarów ziemi i lasów. Pomiędzy wielkimi właścicielami znalazł się także Polak, hrabia Stadnicki z 25.600 ha ziemi. Dobrze uposażone było też arcybiskupstwo ołomuńskie, bo posiadało 48.000 ha, a kapituła ołomuńska 17.000 ha ziemi. Obydwie te instytucje były przez Niemców opanowane i prowadziły politykę germanizacyjną. Na tłuste arcybiskupstwo ołomuńskie pchali się nawet członkowie rodziny cesarskiej. Tymczasem chłopci nie tylko, że przeważnie

siedzieli na drobnych skrawkach ziemi i biedowali, ale byli także zależni od niemieckich właścicieli, tak pod względem gospodarczym, jak często i pod względem politycznym. Jeżeli na przestrzeni 16 proc. ziemi w kraju mieściło się przeszło 80 procent ludności, a 90 rodzin zajmowało 35 procent ziemi, to cyfry te dają dostateczny obraz położenia.

Sejm i rząd miały dość ciężkie i skomplikowane zadania pogodzenia problemu narodowego z potrzebami gospodarczymi, uwzględnienia słusznego żądania mas ludowych i robotniczych, a równocześnie uchronienia od zniszczenia wysoko postawionych i dla kultury koniecznych obiektów, zabezpieczenia utrzymania różnych instytucyj i budowli mających historyczne znaczenie i wartość, uposażenia niższego duchowieństwa.

Że ustawa o reformie rolnej ma wszelkie cechy kompromisu pomiędzy sprzecznościami, świadczy następujące zestawienie:

Z ogólnego wymiaru morawsko-śląskiej ziemi, wynoszącego 2.676,616 ha, względnie wymiaru ziemi ornej wynoszącej 1.618,437 ha, przejęto na reformę rolną 786.586 ha, z czego przypadało na ziemię orną 211.670 ha. Przejęto więc 29,2% ziemi w stosunku do obszaru całego kraju. Czynnością tą objęto 281 wielkich właścicieli posiadających razem 344 wielkich majątków i 1.167 folwarków.

Z ziemi przejętej przez państwo najwięcej przydzielono drobnym właścicielom, czy to na rozszerzenie istniejących gospodarstw, czy też na utworzenie nowych. Ten dział dotyczy 118.070 rodzin. Pozostawiono 342 ośrodki z rozparcelowanych folwarków i przydzielono je rolnikom ze specjalnemi kwalifikacjami. Utworzono również szereg gospodarstw

wzorowych ponad 30 ha ziemi wynoszących. Rzecz oczywista, że ci wszyscy nowonabywcy są prawie wyłącznie Czechami. Część obszarów i to przeważnie leśnych, nie nadających się do rozdziału, zostało przejętych na własność państwa albo też zwrócono je dawnym właścicielom. Utworzone specjalne spółki przejęły też pewną część obszarów leśnych i przejmują je w dalszym ciągu.

Ze szczególną łagodnością potraktowano biskupstwo ołomunieckie, ks. Liechtensteina, hr. Kińskiego i tych wielkich właścicieli, którzy się do Czechów od dawna dobrze odnosili. A podobno takich nie brakło nawet pomiędzy Niemcami. Sporo ziemi przydzielono także duchowieństwu wiejskiemu, szczególnie tam, gdzie jej dotąd nie posiadało. Zostawiono też poważne obszary przy budowlach i zamkach na rzecz państwa przejętych.

Ta połowiczność i łagodność wywołała duże protesty u gorętszych, choć rozważni mówią, że nie można było zrobić inaczej, bo z jednej strony nie powinno się niszczyć nagromadzonych pracą i wiekami wartości, a z drugiej można przeprowadzić dalsze zmiany, o ile się okażą potrzebne. Lepiej więc mieć pewne zapasy. Na razie sprawę tę uważa się za ukończoną i zamkniętą.

Nawet i ta, rzekomo łagodnie przeprowadzona reforma rolna, zmieniła zupełnie stan posiadania. Ogromną większość majątków niemieckich zabrano, pewną część Niemcy sprzedali sami. Sporo się ich też wyniosło, nie mogąc się pogodzić z wytworzonymi stosunkami. Potęga ich została więc złamana i to zapewne bezpowrotnie.

Refleksje.

Nie czuję się powołanym do wydawania sądów, ani udzielania rad komukolwiek, ale z tego co widziałem i co zupełnie bezstronnie przedstawiłem, muszą się nasuwać pewne refleksje i wnioski.

Podane cyfry wskazują, że chłopci morawscy siedzą na gospodarstwach tak samo rozdrobnionych prawie jak i u nas, stanowią przytem ogromną mniejszość, bo mniej niż 30% całej ludności kraju.

Mimo to potrafili doprowadzić oni do tak wielkich wyników na polu pracy organizacyjnej i ekonomicznej i na wszystko co się robi w państwie zdobyli sobie wpływ decydujący. Nietylko, iż się tam nic nie dzieje przeciw nim, ale nie dzieje się także i bez nich.

Przedewszystkiem, wszyscy uznają pożyteczną pracę rolnika i odnoszą się do niego z szacunkiem i życzliwością. Nikt się nie gorszy jego dorobkiem, ani też nie niszczy inicjatywy. Na przeszkodzie nie stoją mu urzędy, przepisy i ustawy, ale przychodzą mu z ułatwieniem i pomocą.

Przy doborze ludzi, dawanej pomocy i subwencji, nikt się nie pyta o przynależność partyjną, ale kieruje się względami rzeczowemi. Każdy wie, że jeżeli jest jakieś prawo, to ono obowiązuje wszystkich, urzędnik zaś, czy policjant muszą być tylko jego stróżem. Rolnik nie może się też stać ofiarą ich nienawiści, czy samowoli.

Widząc, że chroniona jest jego własność i dorobek, że ceniona i uznawana jego praca, że nienaruszone pozostaje prawo, że niema dla nikogo specjalnych przywilejów, staje się on nietylko pewnym jutra i siebie, ale także obywatelem zdolnym do

pracy publicznej i ofiar z pracą tą związanych.

A każdy chyba przyznać musi, że zupełnie inną wartość dla państwa i dla społeczeństwa posiada taki obywatel, niż nędzarz żyjący ledwie z dnia na dzień, słaniający się przed każdym wiatrem, popychany przez nieodstępного policjanta i wyciągający rękę po kawałek chleba, albo też przymierający codziennie głodem, a przytem rozgoryczony na wszystko.

*

194. Wspomnienie o Paderewskim.

Polsko-amerykańskie Towarzystwo Historyczne w Chicago wydało z okazji 75 rocznicy urodzin Ignacego Paderewskiego książkę pamiątkową, poświęconą działalności znakomitego pianisty i męża stanu. Książka zawiera zbiór listów, życzeń i wspomnień o Paderewskim, pochodzących od osób zajmujących wybitne stanowiska w społeczeństwie amerykańskim i polskim. Do książki pamiątkowej nadesłał również swe wspomnienie o Paderewskim Wincenty Witos. Pisze on, m. in.¹⁾:

— Nawet najwięcej świadoma część ludności wiejskiej przez długi czas bardzo mało wiedziała o Paderewskim. Nie mogło nawet być inaczej, gdyż swoje wiadomości czerpała z pism ludowych, które się Jego talentem i pracą mało zajmowały, a przytem były rzadkością na wsi. Do tej gromady i ja należałem. Po raz pierwszy jego imię odbiło się wielkiem echem na wsi w roku 1910, — kiedy gruchnęła wiadomość, że nietylko funduje w Krakowie pomnik na pamiątkę 500-iej rocznicy zwycięstwa oręża polskiego nad Krzyżakami pod Grunwaldem, ale i sam na obchód przybędzie. Chłopi ruszyli masami do Krakowa, ażeby zobaczyć uroczystość, pomnik i tego, o którym już chodziły

legandy. Podążyłem i ja z kilkoma sąsiadami, już jako poseł do sejmu galicyjskiego. To zapewne było powodem, że poseł i prezydent m. Krakowa dr. Leo przedstawił mnie i moich sąsiadów mistrzowi Paderewskiemu. Przywitał się On z nami tak po przyjacielsku jak z równymi sobie i dobrymi znajomymi. Moi sąsiedzi oszołomieni wspaniałością obchodu, wielkością spiżowych postaci na pomniku, o wszystkim potrosze zapominali, ale to pamiętali zawsze, jak ten wielki człowiek obszedł się z nimi, gdy przed lada pisarczykiem, musieli stać z odkrytą głową!

— — Jego praca i zasługi w Komitecie Narodowym w Paryżu²⁾ były szeroko znane na wsi, choć bardzo gorliwie starali się obniżyć ich wartość uparci do końca polscy germanofile. Największym blaskiem okrył swoje imię, gdy w roku 1918 wkroczył do Poznania, wydzierając odwieczną polską dziedzinę żarłocznemu Prusakowi i oddając ją prawowitemu właścicielowi — Polsce. Na trudnym urzędzie prezydenta polskiego rządu znosił ciężkie jarzmo obowiązków, borykając się z przeciwnościami, które nasuwały stosunki w państwie, powstałem na pobojowiskach, cmentarzach i gruzach fizycznych i moralnych. Przyszedł do władzy drogą legalną, odszedł, nie próbując nikomu zamącać spokoju. Polsce dał wszystko, co mógł, ale nic od niej nie chciał i nie wziął!. Nie zaciążył nad jej losem, ani swoją wielkością, ani zasługami. Nie ważył ich ani nie mierzył, nie żądając nic wzamian. Był sługą narodu, wiedząc, że tylko na wolnym obywatelu można budować państwo i przyszłość. Był w Polsce, gdy potrzebowała jego pracy, odszedł, gdy zaczęto zbierać jej owoce. Pomnik krakowski, przypomi-

nający wielkie wypadki z przed wieków, wskazuje groźną swoją postaćia polskiemu narodowi, że Niemcy byli i są jego śmiertelnymi wrogami, a gada krzyżackiego nie da się ugłaskać. Trzeba, by naród tam spojrział, jeśli go doświadczenia wieków nie zdołały przekonać. Wieś polska dobrze to rozumie!

1) Cyt. wedł. *Głosu Narodu* z 27. lutego 1936.

2) Podczas Wielkiej Wojny; w r. 1919 Ignacy Paderewski jako przedstawiciel Polski podpisał Traktat Wersalski przyznający Polsce niepodległość i dostęp do morza.

XV. JÓZEF NIECKO.

Józef Niecko nie należy właściwie do „pisarzy ludowych“ w znaczeniu tu przyjętem, bo choć z ludu pochodzi i jest samoukiem, ale już opuścił warstwę społeczną pracującą fizycznie; należąc jednak do średniego (współcześnie) pokolenia ruchu ludowego, zwrócił na siebie uwagę opinii publicznej — i jak się spodziewam, interesującym będzie dla Czytelnika zaznajomienie się z nim. (Zdaję sobie sprawę, że popełniam błąd kompozycyjny tu umieszczając, zamiast w Dodatkach tego pisarza, ale niech ten błąd będzie wybaczony ze względu na zajmujące i charakterystyczne idee Niecki).

Niecko urodził się w r. 1891 we wsi Kozłówka, pow. lubartowskiego w b. zaborze rosyjskim. Przez 3 zimy chodził do szkoły elementarnej i dopiero około 18 roku życia zdobył własnymi siłami umiejętność czytania książek. Do 23 roku życia był traczem w lasach. Bierze udział w konspiracji niepodległościowej w P.O.W. W r. 1915 uwięziony,

został wysłany na Syberję. Wraca w r. 1918; od roku 1922 jest kierownikiem Związku Młodzieży Wiejskiej, od r. 1929 redaktorem *Wici*¹⁾.

Znaczne zainteresowanie wzniciła broszura Niecki pt. *O wewnętrzne życie wsi* (1930). Jest to próba nowego światopoglądu, takiego mianowicie, w którym by się wypowiedzieć i wyżyć mogła wieś polska. W pewnym względzie rzecz ta przypomina poniekąd idee czeskich agrarzystów²⁾ i rasistów niemieckich (myślę o religijnych ideach Rosenberga³⁾), którego Niecko zresztą nie znał). Ale tak tu, jak i tam, semityzm ze swym fanatyzmem, ale nadewszystko „Rzym ze swym pragnieniem panowania“, z „religji czyniący politykę“ — są uważane za klątwę chrystjanizmu. Niecko wyraża żal (teraz jakby za Chodakowskim, romantycznym folklorzystą i archeologiem⁴⁾) — która to znowuż uwaga nie pretenduje do jakiejś niewczesnej wpływologii!), że zbyt wiele pogańskich tradycyj zostało przez chrystjanizm wyniszczonych. Niecko pragnęłby „chrześcijańsko-państwową kulturę“ zastąpić kulturą „ludu rolnego“, kulturą, jeżeli nie pogańską, to jakąś taką, któraby była syntezą chrystjanizmu, od wszystkich politycznych tendencyj uwolnionego, z jakąś pogańską (panteistyczną?) obrzędowością na cześć miłości społecznej i potęg życia, przejawiających się w przyrodzie. (Ale i jakby echa niektórych myśli Jana Ludwika Popławskiego, jednego z twórców polskiej myśli demokratyczno-narodowej, tu usłyszymy; także i echa jakby *Godów życia* Dygasińskiego dolatują nas z tych myśli). Uważa, że takim jest istotne pragnienie duszy aryjskiej a w szczególności słowiańskiej — rolniczej. Najistotniejszą (tu znów mimowolna zgoda z Rosen-

bergiem) ideę tego nowego poglądu na świat będzie idea tworzenia. Byłoby jednak niesprawiedliwym iść w tej paraleli za daleko: Niećko jest bezwątpienia chrześcijaninem — a paralela ta ma na celu tylko zwrócić uwagę na podobne tęsknoty, od siebie niezależnie się budzące. Centralną uczuciową intonacją tych poglądów jest poczucie, że religijność współczesna jest oschła, zbyt mało miłości i solidarności niecąga wśród ludzi, zbyt także oderwana od mistycznego — właściwie mitycznego — odczuwania przyrody. Centralnem zagadnieniem Niećki jest więc jak religję odrodzić, a przez religję — całe życie moralne i społeczne, jaką znaleźć ideę potężną, coby „nowe ognie życia rozpałała“? I przekonany jest, że te „nowe ognie“ buchną ze wsi, jeśli tylko wieś wejdzie głębiej w swojego ducha, jeśli wytworzy sobie zgodne ze swoim rodzajem bytowania „życie wewnętrzne“. Miasto współczesne, ze swoim materjalizmem, centralizmem, stłoczeniem mas ludzkich, to istne cmentarzysko. Kres temu życiu cmentarnemu przyjść musi. Prawdziwe życie przechowuje jeszcze wieś ze swą pracą przy ziemi i na ziemi — oraz z przechowaną jeszcze w szczątkach religijnością naturalną, „polegającą na żywym i bezpośrednim stosunku powszechności wiejskiej do ziemi i słońca, na poczuciu wewnętrznej harmonji tworzenia łącznie z ziemią i słońcem“. Stąd „we wnętrzu wsi tkwi sens życia“. Te neopogańskie akcenty zaniepokoiły niektórych polemistów. W odpowiedzi im Niećko wyjaśnił, że nigdy się Chrystusa nie wypierał, lecz „można być oficjalnym poganinem, ale w istocie swej chrześcijaninem“ bliższym Chrystusowi, niż niejeden chrześcijanin oficjalny. Co się zaś tyczy obrzędowości chrze-

ścijańskiej, to wskrzeszenie jej nie oznacza wcale nawracania do pogaństwa: „W tradycjach pogańskich nie wszystko było pogańskie. Wiele było chrześcijańskiego“, i te właśnie pierwiastki chrystjanizm uświęcił i wziął w siebie.

Drugim skrzydłem tej myśli jest troska o „samorodność“ życia wsiowego. Niećko pragnąłby, ażeby wieś sama ze siebie wydawała swych przewodników, ażeby jej miasto i państwo nie narzucało swych ludzi i swej centralizacji. Popularna dziś wśród inteligentnej młodzieży ludowej idea „samorodności kultury ludowej“, otrzymuje u niego pogłębiony, ale i skrajny swój wyraz. Stąd nawet udział wsi w życiu parlamentarnem nie budzi jego zadowolenia.

Nie potrzebuję dodawać, że taka jak u Niećki postawa ducha — aczkolwiek z jednej strony bardzo dużo poważnych wątpliwości i sprzeciwów u każdego trzeźwo myślącego o kulturze ludowej i narodowej wogóle, wywołać musi — to jednak uznać należy, że jest w niej zarazem coś głęboko zdrowego: Jest myślenie to radykalnem przeciwstawieniem komunizmu, który, jak żaden inny ustrój, poddaje wieś miastu i państwu. Myśl Niećki jest jakąś formą nierealnego, ale rdzennie polskiego, o szlachetnej tonacji, anarchizmu, jest nawskróś romantyzmem i znowu bardzo polskim marzeniem o idylli słowiańskiego gminowładztwa wieśniaczego, braterskiego, radosnego, dzielącego się chlebem i miłością w życiu codziennem i w świątecznym obrzędzie. Z tym romantyzmem nie może Niećko nie być mesjanistą: jest mesjanistą wsiowym: od wsi polskiej, słowiańskiej, pójdzie myśl, co odrodzi naród i narody.

Z temi jednak uczuciami i myślami Niećko czu-

je się w swem środowisku, młodej inteligencji ludowej, dość osamotnionym, wyraża nawet w swym artykule, cytowanym poniżej, jakby nadzieję, że w środowisku nacjonalistycznym będzie lepiej zrozumiany. Ze względu na ten rodzaj nastawienia duchowego i ze względu na język i styl, zaliczam Nieckę do pisarzy tego typu co Marcinowska, Siwik, Małkowski, może Grossek - Korycka, może Artur Górski — choć nie wiadomo mi, czy Niecko faktycznie z tymi ludźmi żył, lub wogóle ich wpływowi ulegał. Między książkami, które czytał, wymienia Niecko (choć się nie pisze nań) Schurého. Edward Schuré ze swoim „celtyzmem“, to jest ten sam rasizm, ale rasizm romantyczny, humanitarny, mistyczny, estetyczny, najbliższy chrześcijaństwu, rasizm, który nie chce nic słyszeć o antropologii, ale marzy o starych Arjach i ich spadkobiercach prawych, jakichś entuzjastycznych Celtach, o dobrych Słowianach, uprawiających łagodnie glebę, czczących Słońce i Ziemię, o duszach *naturaliter christianis* — rasizm wypływający z woli dobrej, tak odmienny od imperjalistycznego rasizmu germańskiego jak niebo od piekła. Poetyczne to, głębokie i szlachetne marzenie — ale niecałkiem bezpieczne⁵⁾, a ponadto dość fantastyczne: dlatego to i formy tych myśli nie może mieć precyzji. (Pozatem tu i ówdzie niezręczność w budowaniu zdań).

Z temi myślami, z tą formą, która, mimo tego com jej zarzucił, jest zupełnie dojrzałą, rozprawa Niecki jest nawskróś inteligencką, wchodzi w piśmiennictwo inteligenckie i jest, jak myślę, pomimo niektórych naiwności, jakie jej łatwo zarzucić można, jednym z głębokich znaków oglądającej się za nowem życiem współczesności oraz objawem

jednego z wysokich i trwałych marzeń o sobie rasy polskiej. Natomiast nie mogę jej uznać za wyraz znamieny „duszy ludowej“. Podobnie marzyli niektórzy romantyczni szlachcice polscy na emigracji, jacyś Świętosławscy i Worcelle — nie mówiąc o Mickiewiczach i Słowackich — podobnie może marzyć każdy inteligent, bez względu na socjalne pochodzenie, byle podobnego usposobienia.

¹⁾ Daty biograficzne według B. Suchodolskiego, *Ideaty kultury a prądy społeczne*, 1933, oraz wedł. art. Niecki, wymienionego w cyt. 207.

²⁾ Uwaga o „czeskich agrarzystach“ prof. F. Bujaka.

³⁾ Alfred Rosenberg, autor książki *Mit XX wieku*, główny ideolog hitleryzmu.

⁴⁾ Zorjan Dołęga Chodakowski, (pseudonim szlachcica Adama Czarnockiego), chodził po kraju i zbierał materiały ludoznawcze i archeologiczne. Wielkie wrażenie pośród ówczesnej romantycznie nastrojonej młodzieży wywarła rozprawa jego, w r. 1818 w Warszawie wydana, *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej*. Tezy Chodakowskiego nie mają charakteru naukowego, był to raczej poeta-marzyciel, ale jako śmiały i szczery entuzjasta ludowości wiele korzystnego fermentu umysłowego wywołał. Później, niestety, jako słowianofil, ugrzązł w Rosji, a jego (obfite?) materiały rękopiśmienne gdzieś się zapodziały.

⁵⁾ Nietylko chrześcijanie, lecz i wszyscy ci, dla których istotą cywilizacji i wprost człowieczeństwa jest wydzwiganie się człowieka nad przyrodę, nie mogą godzić się na żaden nawrót do religii naturalnej, religii przyrody. Co innego głębsze, poetyczne, niemechanistyczne pojmowanie przyrody — i do tego myśl współczesna nawraca. Być może, kiedyś w przyszłości, gdy nauki przyrodnicze i nauki okultystyczne wiele tajemnic odkryją — okaże się, że we wierzeniach ludowych było trochę prawdy — i wtedy powstanie nowa kultura syntetyczna, naukowo-ludowa, — a także chrześcijańsko-okultna. Ale dziś to jeszcze tylko „muzyka przyszłości“ — i jakiegokolwiek nawroty do poganizmu mogą być tylko zabawą, i w każdym razie zabawą szkodliwą — podwa-

żając nauczanie moralne chrześcijańskie, — i tym sposobem spływając życie moralne. Natomiast, co innego zachować niektóre tradycje obrzędowe, nadając im interpretację symboliczną — ale te, niemal wszystkie, są już dawno „ochrzczone“ — i nie widać żadnego zgoła powodu — o ile się na sam chrystjanizm ktoś godzi — dlaczegooby im ten „chrzest“ odbierać? W marzeniach Niecki ta jest niewątpliwie słuszność, że pragnie, nie sam jeden, aby nauka chrześcijańska i sama nawet obrzędowość chrześcijańska, wzięły w siebie więcej serdecznej, psychologicznie, a nie tylko dogmatycznie ważnej — i treści — i symboliki.

*

Józef Niecko *O wewnętrzne życie wsi*, Warszawa 1930, nakł. Instytutu Kultury i Oświaty im. Staszyca.

195. [Siły „odgórne“, 36].

Demokracja.

To odgórnio nastawiony aparat do samobiczowania się mas.

Komunizm?

To nowy dogmat odgórny, nowy strychnielec uczucia człowieka, nowy kościół zbawiający masy poprzez śmierć i niewolnictwo w imię takiego czy innego bożka.

Samorząd, który może poszczycić się konkretnym i okazałym dorobkiem, również nie jest wyrazem siły społecznej wsi — siły ze zrozumienia samej istoty i ducha społecznego, jeno wyrazem mniejszej lub większej sprężności biurokracji urzędniczej ze starostą na czele.

Samorząd to taki sam nakaz, jak i każdy inny nakaz od góry idący, to taka odgórna konieczność państwowa, jak i wybory do Sejmu, które ten wy-

grywa, kto więcej obiecuje, kto więcej kaznodziei posłać podola, kto się narzuci i opanuje.

Miejscowi działacze polityczni to dobrzy uczniowie swych mistrzów posłów, to liczna rzesza kandydatów na zbawców ludu. Jeżeli nadzieje ich zawiodą i nie dane im będzie z legitymacją poselską zbawiać wieś — wówczas wędrują od stronnictwa do stronnictwa i tam się zatrzymują na dłuższy czy krótszy popas, gdzie więcej wyczują pewności wyrobienia sobie legitymacji poselskiej. Polityka, podobnie jak i oświata, a także jak i samorząd, robi się poza wsią i ponad wsią — wieś się jej tylko poddaje.

196. [Obecna kultura wsi, 8].

A już najbardziej się lęda ci, którzy wierzą w kulturę z ducha wsi wyrastającą¹⁾. Bo o ile można mówić o oświacie, cywilizacji, samorządności, polityce, a nawet i demokracji jako o pojęciach mających taki czy inny wyraz w życiu wsi, o tyle trudno cokolwiek powiedzieć o kulturze czucia i tworzenia wsiowego.

Wycinanka, strój ludowy, piosenki, melodie, gadki, gwara i przysłowia, kapliczki, sprzęt, budownictwo itp. — to przecież wyraz tego, co ongi było i co zanika, czego już prawie wcale niema. To już tylko wspomnienie, niewyraźny ślad zdeptany nowościami, które ku wsi przyszły i panowanie swe ogłosiły. Wieś nowości zrodzone poza wsią i ponad wsią przyjęła i w dużym już stopniu przyswoiła sobie — i tylko tyle.

Nowość przyszła i nie tylko panowanie swe rozpostarła nazewnątrz, ale i do duszy sięgła.

Zanika gwałtownie samopomoc wzajemna pomiędzy sąsiadami i w gromadzie, choć spółdzielcy cyframi dowieść potrafią, że idea spółdziałania się rozwija²⁾.

Zanikła bezinteresowna gościnność — ślad jej w przysłowiu jeno pozostał: „gość w dom, Bóg w dom“. W życiu już jej prawie niema.

Ale mimo wszystko rzecznicy kultury ludowej twierdzą, że ona jest i pokazują nam stare wyszywanki, znaki na stragarzach, spróchniałe skrzynki i podrutowane malowane garnki.

W tem wszystkim tkwi jakiś zasadniczy błąd. Błąd w pojmowaniu wsi i w podejściu do wsi. Czy nie wartoby ten błąd wyszukać i dokładnie zdać sobie sprawę z faktycznego stanu rzeczy?

Czy nie wartoby odnaleźć — czy też zdać sobie sprawę z istotnych, przyrodzonych wartości duszy wsi — i zorjentować się w źródłach, z których wypływają ku wsi nowe wartości — wartości wątpliwe, a jednak przemożne, panowanie swe ponad wsią roztaczające?

Sądzę, że warto.

1) Dodać w myśli: już obecnie.

2) Widocznem jest, że autorowi idzie nietyle o jakieś instytucje, ale o spontaniczną, odwewnętrzną dobroć człowieka w konkretnych osobistych stosunkach między ludźmi. Jest to raczej bardzo rasowe, staropolskie „kochajmy się“ — niż dobrze obmyślany program racjonalnych instytucyj społecznych.

197. [Folklor a istota kultury ludowej, 13].

— — niechaj uczeni etnografowie prowadzą dalej swoje dzieło segregowania w muzeach wszelakich

wygrzebalisk widomych i wedle wymiarów, czy wzorów rysunkowych i sposobem porównawczego systemu określają, które, skąd i z jakich czasów pochodzą; niechaj to czynią, bo to jest rzeczą wielce pożyteczną.

My szukajmy istoty rzeczy, — szukajmy ciągłości życia duchowego, szukajmy w niej nowych dróg wybiegających naprzód ku wyżynom ducha społecznego¹⁾.

1) Zależy mu na tem, aby odkryć co jest żywotnego i potężnego w samejże ukrytej uczuciowości ludu wiejskiego, zależy mu na tem więcej, niż na odrębnościach ludowej kultury materialnej i umysłowej.

198. [Dusza słowiańska, 33].

— — — bieżną nasze oczy ku ołtarzom pogańskim Słowiańszczyzny.

I w tym momencie widzimy jak przed tysiącleciem chrześcijaństwo z ideją świeckiego panowania zjednoczy — wali o ziem świętą dęby, gasi, niszczy, zasypuje źródła wody najczystszej.

Ostrem żelazem zmusza lud leśno-rolny do uległości i poddania, do budowy kamiennych¹⁾ kościołów, klasztorów, zamczysk i pałaców wszelakich.

I odtąd kościół chrześcijański staje się powszechnym, ale nie w duchu, jeno w kamieniu przytłaczającym ducha powszechności.

Słowiański poganizm religijny pada.

Niesłusznie może poganizm, raczej Słowianizm, ściśle plemiona Arjów ze „Słowem Żywem“ tutaj przybyłe.

Słowo żywe w powszechności, a nie w jednostkach nad powszechnością panujących.

Wolność powszechnego czucia, tworzenia i dźwiękania się ku wyżynom.

Słowo żywe w żywych, twórczych i czynnych duszach.

I dzisiaj po tym poganizmie niema żadnych wiekopomnych nagrobków, które zadziwiłby mogły świat.

Poganizm nie zostawił świątyń w kamieniu.

Bo czyż mógł pobudować wspanialszą świątynię od tej, jaką miał w swej duszy powszechnej? — —

— — Czy nie były jedną wielką świątynią polany i pola chlebne, zagrody w oswojoną zwierzynę zasobne, barcie pszczelne, ogniska domowe i słońce i gwiazdy ponad tą świątynią panujące?

Wszędzie i zawsze ilekroć razy nasz słowiański pradziad odczuł potrzebę modlitewnego wczucia się w siebie, wszędzie dość godne były miejsca po temu.

Chrześcijanizm duszy słowiańskiej nie zmógł.

Zmusił ją jeno do skurczenia się w sobie, do utajenia się, powstrzymał jej rozwój, skaził semickim fanatyzmem i rzymską demagogją, ale nie wyrwał.

Powszechność słowiańska Chrystusa nawet odczuła i uczyniła go swoim Jezusikiem chadzającym po polach, łąkach i lasach.

Swoje pieśni radosne i skoczne mu śpiewała — i trzeba przynać, że dusza słowiańska w swym poganizmie bliższą była idei Chrystusowej, aniżeli kościół z sercem kamiennem uzurpujący rząd dusz w imieniu tegoż Chrystusa.

I nic dziwnego: „Słowo Żywe“ Arjów w istocie swej tak bliskie, tak ściśle się wiążące ze słowem Chrystusa.

1) Podobnie o przeciwieństwie kamiennej, hierarchicznej, indywidualistycznej kultury pańskiej i kościelnej, a drewnianej, ludowej, gromadzkiej kultury rodzimej ludów Północy — Strzygowski, niemiecki historyk sztuki, zniemczony Polak z Bielska, — Niećce nieznanym.

199. [Ruch młodej wsi, 56].

— — — dusza słońca, ziemi i chleba odradzać się poczyna.

I w tem trzeba szukać źródła, z którego wypływa siła ożywiająca ruch młodej wsi, która wbrew rodzicom i duchowieństwu rośnie, jednoczy i duchową więź tworzy, do tworzenia nowego jutra wiedzy.

Z tego dopiero rodzą się te rzeczy wtórne, idące w tysiące bibliotek, w tysiące wyhodowanej sposobami ulepszonemi żywności, czy też różnorodnych roślin do spożycia służących.

Z tego rodzą się nowe formy radości życia w przeciwstawieniu do zabaw karczemnych, których duch zrodził się w czasach pańszczyźnianych.

Z tego też odradza się radosna, życiodajna pieśń, zmierzająca do harmonji z przyrodą, pieśń przed wiekami żywa, a potem przydławiona ponurością i kazalnianą grozą kamiennych kościołów¹⁾.

To wszystko nie jest dziełem zrozumienia interesu zawodowego, czy politycznego, boć przecie młodzież tych interesów jeszcze nie posiada.

1) Ludowe pieśni kościelne, które się wznoszą błagalnym hymnem i opadają, kołyszą się, jak łan zboża, nie są niczem, coby duchowi ludu było przeciwne, owszem głęboko go oddają. Gdyby tak nie było, ani Jan Kasprowicz, genialny chłop polski, nie byłby mógł z tych hymnów tak wspaniałe utwory wyśpiewać — i tak najgłębiej polskie,

ani mógłby Reymont dać swych świetnych i znowuż tak rdzennie polskich opisów rozśpiewanego i rozmodlonego ludu polskiego. A kolędy? Nietylko w Polsce zresztą, także i indziej, w starodawnym śpiewie kościelnym wyraziła się dusza ludów — (jaka np. w średniowiecznych kolędach francuskich wyraża się istotna, głęboka i melancholijna powaga duszy tego ludu...).

200. [Dom Społeczny, 59].

Czucie powszechności rolnej usymbolizowane zewnętrznym znakiem — Domu Społecznego — winno się wznosić i szczyty własne tworzyć, szczytową swoistą treść polskiego ducha wysubtelniać i nieskruszoną pełnią harmonji tworzyć. Od najniższych aż do najwyższych tonów winno wszystko być zharmonizowane i silnie jednym systemem nerwów i krwionośnych tętnic spojone.

Jedno drgnienie od dołu do góry i od góry do dołu¹⁾.

1) Por. wszechstronnie a bardzo konkretnie i trzeźwo ujęty program działalności domu ludowego u J. Cierniaka, *Wieś Zaborów i zaborowski dom ludowy*, Zaborów 1936, nakł. Towarzystwa Domu Wioski Zaborowa.

201. [Przeżycia w gromadzie, 48].

Wszędzie, gdzie tylko istnieje ruch młodej wsi, tam istnieją te przeżycia świątalne, głęboko uczuciowe i jednocześnie radosne.

Tęsknota tych przeżyć w gromadzie skupia wszystkich ze wsi, a nawet rozszerza się poza jedną wieś, obejmuje naraz kilka wsi, a nawet kilkanaście wsi w jedną gromadę wielką, świątalnością ową sementowaną.

Przeżycia takie duchowo gromadę łączą, zagrzewają i ożywiają do wspólnych wysiłków w imię wzajemnego dźwignania się wzwyż — ku jasnościom słonecznym.

202. [Dożynki, 53].

— — — Gdy nad Słowianami zawisła i zwyciężyła idea panowania i niewolenia, święto żniwne stało się aktem pańszczyźnianym ludu rolnego w stosunku do panoszy.

Ale oto teraz, w ostatnim dziesięcioleciu, bez trudu możemy zaobserwować, jak w życiu młodej wsi świąteczny ten moment w dziejowej swej treści poczyna się przeżyć, godność swą odradzać i stawać się momentem twórczym.

Co roku w okresie późniejszym młódź składa najstarszym ze społeczności wsiowej symbole zbiorów dokonanych. Tym, którzy swem doświadczeniem społeczności służą i przyczyniają się do umiejętnego i celowego gospodarzenia plonami i tworzenia nowych wartości społecznych. Tym, którzy, gdy odejdą w zacisza cmentarne na wieczne wypoczywanie, mocą swego ducha nad społecznością będą się unosili i błogosławili dziełu tworzenia i wyzwalań życia jako teraz błogosławiają duchy dziadów i pradziadów, unoszące się nad polami i Polską i całą Słowiańszczyzną rolną¹).

Z trudem i powoli otrząsa młoda wieś z tego święta naleciałości z okresu niewoli pańszczyźnianej, jednak stale ten moment pogłębia, odradza i ku właściwym wyżynom go dźwiga.

I nie czyni tego z wyrozumowania, czy z nakazu, czy też z pobudek jakichś korzyści. Czyni

to z wewnętrznej potrzeby, rodzącej się z radości żniw i z poczucia odpowiedzialności za plony, któremi godne ręce mogą gospodarzyć.

[55]. Wysunąłem te dwa momenty świątalne, które już teraz najżywiej się ujawniają w młodej wsi. Poczynają się odradzać w duchu słowiańskim, w duchu kultury ludu leśno-rolnego.

1) Połączenie kultu zbożowego z kultem zmarłych jest trafne nie tylko z estetyczno-literackiego punktu widzenia, lecz i folklorystycznego. Człowiek pierwotny chętnie łączy myśl o nowym zbożu wykwitającym z zasiewu podziemnego — z myślą o zmarłych.

203. [Obrzęd wigilijny, 49].

Uprzytomnijmy sobie t. zw. „wieczór wigilijny“ — ową świątelną noc, która wszak przecież [*sic*] jest daleko starszą od chrześcijaństwa, a nawet w chrześcijaństwie niema żadnego uzasadnienia, jeśli chodzi o łamanie się chlebem i wspólne wieszanie.

„Wigilja“ — była wigilją zwycięstwa słońca nad ciemnościami.

Stary, słoneczny rok się skończył, a kędyś w przestworzach tajemnych nowy się poczynął.

Moment, w który świątelną w duszach powszechności wzbierała i do wzajemnego wczuwania się i do wspólnego przeżywania tego momentu składała.

Niezadługo bowiem zwyciężające słońce z nową mocą żyć i odradzać życie miało poczynąć.

I powszechność ludu rolno-leśnego pospołu ze słońcem i ziemią w tym dziele odrodzenia i tworzenia współdziałać miała.

Nie miało to być nowe dzieło tworzenia, jeno nowy okres słoneczny, okres nowych wysiłków dźwignania życia wzwyż.

Powszechność w tym momencie się wczuwała i uświadamiała sobie, wszystko, co w minionym okresie słonecznym stworzyła, a co było dobre i pożyteczne i w istocie swej z wewnętrznem czuciem szarmonizowane — co zawdzięczała zgodnemu współżyciu w gromadzie.

Zgoda wzajemna i spokój tworzenia i wzajemnego współdziałania były zasadniczymi warunkami rozwoju chleba żywota.

W tym więc momencie przełomowym skupiała się powszechność w sobie, pospólnie poglądała w miniony okres i wyszukiwała momentów najbardziej twórczych i czuciowo wzajemnie z temi momentami się wiązała w jedną całość gromadną i patrzyła oczyma duszy w nową przyszłość, ku świtanom nowego jutra, które wraz ze słońcem i ziemią miała tworzyć.

I z tego oto nastawienia świątlnno-twórczego rodziła się pospólna wieczerza wigilijna poprzedzana dzieleniem się okruchami chleba żywota, tem ziarnem pszenicznym, zamienionem poprzez ziemię, wodę, powietrze, słońce i twórczą pracę człowieczą na śnieżną białości kruszynę chleba¹⁾.

[51]. — — — gromada pospólnie wieczerzała, spożywając wszystkiego potrochu, wszystkiego z wody, z ziemi i z lasu, co mijający okres słoneczny po sobie zostawił.

To spożywanie nie było łąpczywem najadaniem się — było świątlnnem spożywaniem tworzywa w imię nowego tworzenia — było sposobieniem się do nowego, lepszego życia w gromadzie²⁾.

Poprzez tysiąclecie chrześcijaństwa zatracił ten moment wiele ze swej świętowości.

Z gromady rodowej zeszedł do szczupłej rodziny i do rodzinnego odosobnienia się przystosował.

Po zatraceniu pełni swego sensu, stał się momentem świętujących egoizmów rodzinnych.

I oto dopiero teraz w młodej wsi poczynają się odradzać i stawać się momentem gromadnej spójności duchowej, sposobieniem się do tworzenia nowej doli słonecznej, wspólnej, powszechnej.

Moment ten w istocie swej, tak głęboko religijny, daleki był od ponurości obrzędów kościelnych, był raczej radosny, pełen wiary niezłomnej w lepsze jutro słoneczne³⁾.

Wspomnijmy sobie choćby tylko niektóre obrządki i zwyczaje po świętowej wieczerzy, sprawowania których szczątki do dziś przetrwały.

Oto wywoływanie z tchnących przestrzeni nowego czasu słonecznej doli, owe owiązywanie powrótami drzew i rozmowy z nimi prowadzone o przyszłej ich rodności⁴⁾, a potem te melodje śpiewania radosnego i skoczego — zabawy młodych. Wszystko co się z radości życia rodziło. — — —

¹⁾ Porównaj co o wieczerzy wigilijnej mówi J. L. Popławski, *Szkice literackie i naukowe*, Warszawa 1910:
„— — — Lud nasz, wierniej niż inne, pokrewne mu rasą, przechował właściwy tej uroczystości prastary charakter. Akcesorja, któremi legenda polska uzupełniła i przystroiła legendę biblijną, mają wyraźnie aryjskie piętno. Ta drewniana „obora“, jakiej nie było i niema do dziś dnia w Palestynie, ci pastuszkowie, którzy przed świtem śpieszą na powitanie Zbawiciela, to otoczenie żłóbka (krowa była „świętem“ zwierzęciem Arjów, czcią powszechną otoczonem w ich kulcie pierwotnym), wszystko to jest przeniesieniem Bożego Narodzenia na tło aryjskie.

To jest odwieczne aryjskie święto przesilenia dnia z nocą, święto życia i słońca, święto „dobrej nowiny“, że światło zwycięża mrok. Budzą się i zmartwychwstają gdzieś na dnie naszej duszy, ukryte w nieświadomych instynktach naszej natury wspomnienia zamierzchłej przeszłości. I oto duch aryjski, duch naszej rasy w jednej chwili zrzuca z siebie cały ciężar wieków, który go przygniata, otrząsa się z obcych mu wpływów i naleciałości egipskich, chaldejskich, semickich i objawia się w swej promiennej, młodzieńczej krasie, jak Rama w pieśni sławiącej jego czyny, jasny i czysty, śmiały i swobodny, „pan swoich namiętności“.

Tak, pan swoich namiętności zwleka z siebie i depce to wszystko, co go krzywi i poniża, co go zakaża i rozstraja, co go znieprawia i upadla, złość i nienawiść, chciwość i zazdrość, kłamstwo i obłudę — trucizny życia społecznego i zarazem bodźce, podniecające rzekomo jego intensywność“.

2) Poważny, obrzędowy sposób jedzenia, nie tylko podczas wieczerzy wigilijnej jest właściwy wieśniakowi polskiemu, gdy się nie zdeklasował. Widziałem przy wojsku austriackiem chłopów polskich, jak nad menażką najlichszego „końskiego zębu“ nie nachylali się inaczej, jak zdjawszy przedtem czapkę, a często i przeżegnawszy się.

3) Zupełnie nie wiadomo o tem, żeby obrzędy kościelne na Boże Narodzenie miały być tak ponure... W każdym razie trudno za ponure uznać śpiewane w tym okresie kolędy.

4) Zwyczaj ten jest szeroko rozpowszechniony. Seweryn Udziela idąc w r. 1899 przez wieś Przeclaw, przy linii kolejowej z Krakowa do Lwowa (między Dębicą a Rzeszowem), we wieczór wigilijny, usłyszał jakieś tajemnicze głosy około domów; podszedł do jednego z nich i usłyszał rozmowę „Zatnę — mówi głos poważniejszy. Nie ścinaj — prosi głos niewieści czy chłopięcy. Będiesz rodziło? — pyta głos pierwszy. Będę — odpowiada drugi. — — — Rozmowy te przebiegały całą wioskę od chaty do chaty“.

(*Lud* XXV, 61). Obrzęd bardzo pierwotny i z czasów prastarych pochodzący, został opisany w niedawnej powieści E. Szelburg-Zarębiny *Wędrówka Joanny*.

Niećko tutaj przeczy sam sobie: niedawno, jak widzieliśmy, lekce sobie ważył folklor, przypisując mu tylko

zabytkowe znaczenie. A czemuż innem mogą dziś być, u chłopca oświeconego podobne obrzędy? Kto dziś wierzy, że drzewo jest istotą żywą, której można nakazać pod groźbą kary owocodajność? Poetyczność tego obrzędu jest naszym tworem — inteligentkim — dla człowieka pierwotnego, który go wykonuje nie jest on „poetyczny“, ale ma całą powagę czynności praktycznej, czysto technicznej, jak np. dla rolnika nowożytnego rozsypywanie nawozu, co musi być dokładnie uskutecznione. Podtrzymywanie obrzędów tego rodzaju może być conajwyżej zabawą. Jeżeli zaś są obrzędy ludowe pierwotne, które mogą nabrać nowego symbolicznego sensu — będzie to już inteligentka, a nie typowo ludowa postawa.

Lud jest przede wszystkim praktyczny, i cała obrzędowość ludowa ma sens służenia praktyce życiowej, jest magiczną lub mistyczną techniką.

204. [Miasto nie ma duszy, 61].

— — — od szczytów idzie obcość. Nie współżycie i współtworzenie — jeno obcy duch spływa wraz z mocą odgórnego tresowania w obcości.

Tresura w posługiwaniu się poszczególnymi różnorodnymi mechanizmami i sztukami powiększania wydajności chleba i wszelkiego żywienia dla innych, którzy także tworzą, albo tylko stworzone mierzwią¹⁾. Ale jeśli tworzą szczytowe subtelności — to ducha obcego w nie wtłaczają i nie dla powszechności je tworzą ino dla mierzwiących²⁾.

Powszechności za solenną jeszcze dopłatą ochłapy zmechanizowanego estetyzmu ciskają: Śpiewający obce melodie gramofon i oledruki ścienne.

Poezja powszechności, pełna czaru niepojętego w chropowatości spoczywa — zaś wysubtelniacze szczytowi obce tętno chwytają i dziwolągi tworzą dla możnych na szczytach. Zaś ich naśladowcy dla powszechności kalwaryjskie wierszydła fabry-

kują i sobą, jako odpadkowością, powszechność karmią.

Miasto — siedlisko szczytów społecznych tworzy oblicze życia polskiego.

A jakimże oblicze miasta jest?

Czy polskie, trwałe w rozwoju swym i nieustępliwe — swoiste?

Zmienne z dnia na dzień.

Nikiej giełda pieniężna, która niekiedy po kilkakroć razy w ciągu jednego dnia skacze. W pełni podporządkowane wszystkiemu co płynie z miast obcych. W duchowym obliczu miasta czuć obcość Paryża, Berlina, Londynu i wielkich miast amerykańskich. Jenó język jeszcze polski — ale dusza? Czy zresztą miasto ma jakąś jednolitą duszę? Mniejsza już o to, złą czy dobrą — ale czy jednolitą.

To zlepek różnorodnych dusz. W polskim ucieleśnieniu jazgocze wszystko co najgorsze odprysnęło z duchowości murzyna, czy czerwonoskórego indjanina. W takt jazbandu wije się na salach miejskich na sposób paryski wypolerowana dusza miasta, spowita w szaty na sposób angielski skrojone — czy też po indjańsku wyneglizowane. — — —

1) Zdanie niezręczne — mało zrozumiałe: ma chyba na myśli tresurę techniczną mas ludowych po to tylko, ażeby zdołały wyżywić warstwy wyższe.

2) „Mierzwiących“: pasożytujących?

205. [„Sens życia we wnętrzu wsi“. Człowiek wsiowy, 38].

Czy możemy liczyć, że z ducha wsi wytryśnie nowa idea, idea potężna, któraby zdołała porwać czucia zastygłe, rozplómić je i nowe ognie życia rozpalić? — — —

To sprawa szersza, powszechnie ludzka, to sprawa daleko idącej mechanizacji życia, której wyrazem i najpotężniejszym symbolem jest giełda pieniężna, — — —

— — — może nie?

Ale wtedy musimy być przygotowani, że po zagładzie sensu życia przyjść musi kres tego życia, kres tej kultury, która na cmentarzysku swego ducha dość już nagromadziła nagrobków żelazo-betonowych.

Przyjść muszą ludy nowe, nowi Arjowie z nowym Słowem i na tem cmentarzysku rozpocząć nowe dzieło tworzenia.

Nie bawmy się jednak w tak daleko idące przewidywania.

Stwierdźmy lepiej, że sens życia tkwi we wnętrzu wsi. Mniejsza w tej chwili o to, czy mechanizm jakiś grozi temu sensowi, czy nie — dość, że sam istnieje, że odradzać się pocyna.

Sens ten to głęboka religijność wsi tkwiąca zdala od kamiennych kościołów bez serca, ciskających z górnych kazalnicy grozę potępienia i grozę piekła — z ich mechanizacją praktyk religijnych i z obcym, w obcym języku sprawowanym rytuałem.

Religijność polegająca na żywym i bezpośrednim stosunku powszechności wiejskiej do ziemi i słońca, na poczuciu wewnętrznej harmonii tworzenia łącznie z ziemią i słońcem¹⁾.

To nietylko instynkt samozachowawczy nakazuje powszechności wiejskiej stąpać z nastawieniem duchowo-religijnem po ziemi rodzicielce — ale i wycucie jej wołania rodnego, jej tęsknoty do ziarna siewnego.

Wycucie tchnień idących ku ziemi od ducha słonecznego, którego skierkę wyczuwa w sobie powszechność wiejska.

To tęsknota do tworzenia życia, do wznoszenia się przez życie ku źródłom najwyższym, ku celom niepojętym, nieśmiertelnym, wiecznie żywym, poprzez wiekiistość ku idei pełnego wyzwolenia się idącym.

To nie frazes. — — —

1) Panteizm; por. uwagę 5. do wstępu o Niecce.

*

Józef Niećko, *Rzecz rozgrywa się o wewnętrzne życie wsi*, w czasopiśmie *Młoda Myśl Ludowa*, luty, marzec, kwiecień, 1934.

206. [Józef Niećko o sobie].

— — — rozwój myślenia i chęć rozumienia wielu rzeczy i zjawisk w przyrodzie i stosunkach społecznych — rodziły się we mnie nie z idei wykształtowania sobie jakiegoś zawodu. Pomimo to, że rosłem we warunkach bytowania bardzo ciężkich. Do lat jakichś szesnastu w drobnem i biednem gospodarstwie, a potem, do 23-ch — najmita na dworskiem, — a najczęściej przy traczce po wsiach i po lasach. A tylko, gdy zbrakło zarobków — wtedy w gospodarstwie ojcowskiem. A jeśli w 23-im roku życia swego uciekłem z chaty ojcowskiej — to nie z myślą znalezienia lepszych warunków bytowania, ale poprostu dławiący zbieg okoliczności to spowodował. Zbyt głębokie i momentami tragiczne przeżycia były przyczyną, że uciekłem w świat. Wszystko to było zbyt osobiste, a zarazem bardzo głęboko szarpiące, — — —

— — — Zjawienie się moje w Warszawie motywowałem chęcią kształcenia się, — — —

— — — Siedząc na wsi, utrzymywałem już więź pewną z szerszym światem poprzez pisanie artykułików do *Zorzy*. Potem zaś, gdy z inicjatywy Chętnika¹⁾ — młodzi pisujący w *Zorzy*, zgromadzili się by wydawać pismo młodzieży wiejskiej, brałem współdziałal w pracach założycielskich tego pisma. Gdy pismo zaczęło wychodzić — współpracowałem, pisując ze wsi artykułiki na różne tematy społeczno-oświatowe i wychowawcze. — — —

— — — zdążyłem wstąpić już do dwóch organizacji niepodległościowych: „Narodowego Związku Chłopskiego“ i „Drużyn Strzeleckich“. Nocami biegałem na ćwiczenia do lasów wawerskich — a w parze z tem kończyłem teoretyczny kurs podoficerski. Mieszkając z Chętnikiem — wiedliśmy spory o niepodległość i — o dziwo! dowodziłem, że sposób bytowania dawnych naszych przodków słowiańskich był idealny. W „Narodowym Związku Chłopskim“ od czasu do czasu byłem pomocny w wydawaniu tajnej *Polski*. Gdy wojna wybuchła „kręciłem się“ — wstąpiłem do P. O. W. — dostałem się do więzienia, do Rosji, nad Ural, a potem rewolucja jedna, druga — powrót — Polska wybuchła i co? Ze swoją przeszłością nie mógłbym zostać posłem? Nie, nikt nie znajdzie takiego polityka, któryby mi zrobił zarzut, iżem ubiegał się o mandat. Wróciłem do zastanawiania się nad możliwościami rozwoju myślowego młodych pokoleń chłopskich. Ale nie umiałem zastanawiać się teoretycznie, w oderwaniu od poczynań praktycznych. Załączałem pracować w ruchu młodzieży, zapoczątkowanym przez „Drużynę“. Ale były to nowe warunki pracy. Miałem do

czynienia z fachowcami oświatowcami — i wogóle ze szkolarskim nastawieniem w pracy oświatowo-kulturalnej. Momentami temu ulegałem — momentami buntowałem się i ciskałem nowe oświecenia spraw społeczno wychowawczych. Nie umiałem tego formułować — ale umiałem obserwować życie. Umiałem wyczuwać co w podświadomości młodych pokoleń nurtuje i ku wyzwolinom się pręży. Przyczem rozumiałem jedno: Wszyscy chłopci nigdy nie będą kończyli szkół wyższych któreby mogły im dawać widzenie prawd człowieczych i społecznych. A przecież wszyscy chłopci powinni mieć szerokie widzenie tych prawd²⁾. Żadni zaś instruktorzy — fachowcy i ludzie szkolarscy perspektyw widzenia im nie odstąpią, bo najczęściej sami tych prawd nie widzą, tkwiąc całem swem jestestwem w poszufladkowanych i zatechłych formułach tzw. nauki. Pozatem — sami tresowani — tresować tylko umieją. Zdolni są do podawania recept gotowych, do bezmyślnego stosowania. Z tego też rozumienia — między innymi — zrodził się we mnie i ten bunt, który został zawarty w mojej broszurze³⁾.

¹⁾ Adam Chętnik, działacz ludowy, obecnie dyrektor Muzeum ludoznawczego w Nowogródku Łomżyńskim.

²⁾ Podkreśliłem to zdanie doskonale ujmujące zagadnienie oświaty i wogóle kultury ludu.

³⁾ Zależy mu na sposobie mówienia do ludu: nie w tym stylu pełnym „izmów“ od jakich roi się oficjalne oświatnictwo — ale w sposób prosty i umysłowo uczciwy, tak jak mogą mówić ludzie inteligentni, ale którzy czują prostego człowieka.

207. [O Chrystusie i chrześcijaństwie].

— — — Książkami nie gardzę, myśli zawarte w książkach nie imponują mi, bo i śmieszne są nieraz. Nie zaimponowały mi i bzdury astrologiczne Stena i arcykatolickiego Sedira¹⁾. Piękniejszy i bliższy prawdy jest w moim przeświadczeniu pogląd na Chrystusa naszego polskiego poety i mistyka — Micińskiego (*Walka o Chrystusa*). Najbliższa zaś prawdy — jest sama prawda. A prawdą jest życie świata i wszechświata. Życie jest największą i jedyną prawdą. Nie zrozumcie tylko źle mojego pojęcia o życiu. Mam na myśli życie powszechne, wszechobecne, nieskończone, nieśmiertelne.

— — — Wyzwała się z utajenia nieświadomego, kształtuje się w świadome, do boskości zmierza. I — zdaje mi się — bliski byłbym w tym rozumieniu prawdy Słowackiego — zawartym w *Genezis z Ducha*.

Życie — to jedyna księga, poprzez pryzmat której usiłuję zawsze i stale patrzeć na wszelkie zjawiska zaobserwowane w życiu. — — —

— — — W tradycjach pogańskich nie wszystko było pogańskie. Wiele było chrześcijańskiego — i wiele pierwiastków chrześcijańskich w poganiźmie chrześcijanizm uświęcił i przyswoił sobie. — —

¹⁾ Zarzut uczyniony mu przez znanego działacza ludowego X. Ziębę.

208. [„Objętościowość myśli narodowej“].

— — — objętościowość myśli narodowej jest dość duża i żywa. Dzisiaj, gdy wsłuchujemy się w głosy różnych publicystów narodowych¹⁾, to nieraz

z przerażeniem²⁾ zauważamy gwałtowne przemiany — poprostu przebudowywanie się społecznej myśli obozu narodowego — coraz żywiej występuje tam sprawa powszechności ruchu narodowego — coraz głośniej mówi się tam o radykalnej przebudowie stosunków społecznych siłami powszechności. Szuka się tam źródeł entuzjazmu i napięć psychicznych mas ludowych. Słowem, to co nurtuje światem całym, znajduje żywy oddźwięk w obozie narodowym.

1) Ma na myśli art. K. L. Konińskiego pt. *Zajmujące naiwności*, *Szczerbiec* 11/12/931.

W art. tym było powiedziane, co i Niecko cytuje: „Cała ta rozprawa [O wewnętrzne życie wsi] zajmująca jest przez to, że odzwierciedla pewne intencje, z którymi się współcześnie spotkać można u jakiejś części młodzieży wykształconej, pochodzącej ze wsi; znalazłszy się w masie, nie są oni już jak dawniej, asymilowani jednostkowo przez środowiska miejskie, owszem, powstają osobne grupy, usiłują więc, jak każda wogóle grupa, znaleźć sobie sens grupy, wytworzyć sobie ideologiczną podstawę swej godności zbiorowej. Usiłują przeto, sami przed sobą, udowodnić, że mają jakąś specjalną wartość wypływającą z ich pochodzenia wiejskiego, i do tego dobudowuje się, nieraz dobroduszenie, nieraz z zawartością klasowej niechęci, teorie o szczególnych, ba, jedynych wartościach duszy chłopskiej. Robi się mit o duszy chłopskiej, jedynie nieskażonej, jedynie twórczej. U ludu bez historii z takiego ruchu wyrasta naród. Tam, gdzie już naród gotowy, ze swoją wyższą kulturą, tam ruchy takie, albo pozostaną w sferze estetyzmu i jako takie mogą być dla podniesienia kulturalnego ludu wcale pożyteczne — albo też przerzucają się do otwartej nienawiści klasowej i w takim razie są poprzednikami przewrotu. Nie będzie to niebezpieczne, jeśli ci „ludowcy“ uświadomią sobie, że oni sami wracając w lud ze swą ideologią samopoczucia ludowego, nie są już dołem bezimiennym, ale są bądź co bądź — „odgórnymi“, ludźmi, co skąpali się i kształcili w kulturze warstw oświeconych — —

Myśl żywołów, które mają ambicję, żeby całość narodowego życia zorganizować, powinna być na tyle objętościową, żeby i nad podobnemi zjawiskami zastanawiać się“.

2) „Z przerażeniem“ oczywiście tyle co „ze zdumieniem“.

XVI. JAN WANTUŁA.

Jan Wantuła, ur. w r. 1877 w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim, syn hutnika-rolnika, z kilku pokoleń tkaczy-rolników, na tej samej roli, na ustrońskich „Gajach“ osiadłych, skończył 3-klasową ewangelicką szkołę prywatną, był uczniem celującym. Zaraz po szkole poszedł pracować do hut w Ustroniu: wyrobił się na majstra hutniczego i na ślusarza maszynowego. Równocześnie pracuje na swem gospodarstwie, a w szczególności jest zamiłowanym sadownikiem, za swoje ładne jabłka i gruszki bierze nagrodę na wystawie pomologicznej. Porzuca z czasem pracę w hucie, poprzestaje na gospodarstwie i na zajęciach przygodnych, jak np. na kierownictwie odcinka przy regulacji Wisły; od paru lat jest z amatorstwa bibliotekarzem biblioteki, starej i obfitej, przy ewangelickim Kościele Jezusowym w Cieszynie, nie przerywając zresztą ulubionych zajęć w ogrodzie. Jest żonaty, ma dwóch synów, jeden ukończywszy szkołę rolniczą, wziął gospodarstwo po ojcu, syn starszy, po ukończeniu teologii w Warszawie i Montpellier, jest pastorem w Wiśle.

Od wczesnych lat Wantuła jest zamiłowanym „piśmiarzem“ (czytelnikiem). Tak się o tem zwierza¹⁾: „Uważałem siebie zawsze za chłopa, mającego mało gruntu i zmuszonego zarabiać, aby na-

leżycie żyć i móc kupować książki, bo cóż małe gospodarstwo przyniesie? — — — Nikt, kto ma książki i różne sposoby zaspokojenia potrzeb umysłowych do dosyту, nie odczuje nigdy, co podobny jak ja człowiek pracy, odcięty od źródeł kulturalnych, musiał się naborykać, nim książkę nabył, bo o pożyczeniu nie było mowy — ile głowy nieraz nałamać, aby książkę zrozumieć! Te latynizmy, te *metody indukcyjne* i *dedukcyjne*, te *assocjacje* i *indyferentyzmy* itp. nadwyręzały mózg — — — Czy taki p. X. odczuje kiedy, ile to trzeba było pracy i ślęczenia, ażeby prosty chłop-hutnik odbył rozwój umysłowy aż do pisania rozpraw treści historycznej z okrucichów nazbieranych w starych szpargałach? Rozwój, dzięki któremu mogę czytać prace górnych umysłów pisane zawiłym naukowym stylem, przeznaczone dla przygotowanych przez długoletnie studia, którym profesor codzień dawał strawne dawki i wyjaśniał wszystko? — — — Książki są jadowite. Ja w młodości zakaziłem się miłością dla książek, przez nie miłością do polskości, i żadne późniejsze wpływy nie uleczyły mnie z tej choroby. Uświadomienie ludu polskiego na Śląsku to nie dzieło szkoły, ale dzieło dokonane przez polskie książki i czasopisma. Czytający zaczerpnęli u źródła, niecili ducha narodowego u nieczytających i tak ta świadomość narodowa rosła. Tacy jak ja, co z masy, z tłumu wyrosli, ale się z niej nie wyłączałi, w nim trwali, nadawali kierunek ludowi. Podoficerowie nie odróżniający się zewnątrznie od zwykłego żołnierza niemniej ważną rolę spełniają niż generałowie. Był czas, że mnie chciano z szeregów ludu wyrwać na stanowisko zajmowane przez inteligentów, w znacze-

niu takich co szkoły wyższe pokończyli, ofiarując redaktorstwo, ale nie przyjąłem, nie z przyczyny bym nie potrafił, ale bałem się, że przestanę być chłopem, a wobec chłopów i robotników nie chciałem uchodzić za *panka*...“ (Oto co się, nawiasem powiedziawszy, nazywa świadomością nie klasową ale stanową).

Dla tej swojej miłości „jadowitej“ do książek poświęcił wszelkie inne rozrywki, nie pije i nie pali. Zebrał księgozbiór bogaty, parę tysięcy tomów, w którym ma niezmiernie obfite ilości *silesiaców* oraz zabytki literatury staropolskiej, niektóre tak rzadkie jak Reyowa *Apocalipsa*, w R. P. 1565 u Macieja Wierzbięty w Krakowie wydana, albo wielki rękopis słowacki Jerzego Trzanowskiego (XVII w.) pt. *Komentarze do Objawienia św. Jana*, dzieła ze słuchu tylko słowackim historykom literatury znanego; rękopis ten Wantuła znalazł u jakiejś starowiny we Wiśle, między rupieciami; jest on gorliwym poszukiwaczem i szczęśliwym odkrywcą białych kruków po śląskich strychach i zakamarkach, a ostatnio, jako bibliotekarz wspomnianej już biblioteki kościelnej, prawdziwie sobie używa... Jego listy pełne są rasowej bibliofilskiej uciechy... Ale nie tylko antykwarską jest biblioteka Wantuły, owszem zawiera i historję, krytykę literacką, beletrystykę, publicystykę, religjonistykę, słowem powiedzieć można, że kwiat piśmiennictwa polskiego (wraz z przekładami) znalazł się w tym robotniczym księgozbiórze²⁾. A dodać trzeba, że nie jest to księgozbiór samolubny: Wantuła, w przekonaniu, że „książka w szafie jest martwa“, pożyczca swoje książki chętnie, i ileż z nich nie wróciło — niestety —, ileż wróciło zaczytanych do nie

poznaki, ku zadowoleniu zresztą swego właściciela... Ten rys podniesiony tu, aby zaznaczyć, że Wantuła jest nie tylko czytelnikiem, ale i zasłużonym organizatorem czytelnictwa w swym środowisku. Wawrzyn (srebrny) Polskiej Akademji Literatury w r. 1935, był mu sprawiedliwie udzielony.

Już jako młody człowiek zaczął pisać korespondencje z fabryki o rozmaitych bolączkach robotniczych. Z biegiem czasu zakres jego korespondencji i artykułów rozszerza się znacznie³⁾, i jest on autorem kilkuset artykułów mniejszych i większych, drukowanych (przeważnie pod pseud. Jan Gojański) w prasie śląskiej, ale i w lwowskiej *Zorzy Marji* Wysłouchowej i nawet w *Myśli Niepodległej* Andrzeja Niemojewskiego. Wszystko to w wolnych chwilach, wieczorami, niedzielami, w czasie ukradzionym od pracy zarobkowej i gospodarskiej, od rozlicznych zatrudnień po stowarzyszeniach robotniczych i oświatowych — a także polityczno-narodowych; należy bowiem nadmienić, że brał ożywiony udział w ruchu polskim na Śląsku Cieszyńskim, potem w plebiscycie śląskim, a w czasie pobytu Legjonistów na Śląsku w Jabłonkowie, dobrych parę mil ten niestrudzony szczupły i suchy człowiek — ale tęgi piechur! — na plecach nosił im książki, itd., itd. Śmiało mógł o sobie rzec: „Czy to ja mało zrobiłem w życiu?“ Opuściwszy fabrykę ma już więcej czasu, by z zasobów swej erudycji, w śląskich zwłaszcza rzeczach niezrównanej, z plonów swych szperań, z niezliczonych swych notatek, dawać przyczynki historyczne i historyczno-literackie, przyczem zwraca uwagę na ludzi, historjografij śląskiej albo mało, albo całkiem nieznanych; w rękopisach ma o wiele więcej, np.

przygotowuje rzecz o udziale Ślązaków w powstaniu 1863 roku⁴).

Wantuła należy do tych, na szczęście nierzadkich ewangelików śląskich, którzy nie dali się uwieść owym 10 pastorom śląskim, co pod przewodem słynnego tam Otokara Haasego, superintendenta śląskiego, uwierzyli, że polskość jest wrogą ewangelicyzmowi, iż jedynym dlań ratunkiem jest, na wypadek odrodzenia Polski, być przyłączonym do Niemców... Wprawdzie ewangelicy polscy zostali przez X. Franciszka Michejdę, pastora w Nawsiu, w śląsko-cieszyńskim odłamie Stronictwa Narodowego zorganizowani i przy Polsce utrzymani, ale te czasy zostawiły w duszy Jana Wantuły bolesny zadziór, drażliwość na wszystko, cokolwiek tylko podaje w wątplenie patriotyzm ewangelików Polaków. Chętnie chwyta za pióro, by za to walczyć — tem chętniej, że sam nie ma w sobie nic z niechęci wyznaniowej do katolików. Wogóle, jest to człowiek niepodległego myślenia, z usposobienia spokojny i nawskroś rozważny w swoich sądach.

Zjawisko takie jak Jana Wantuły, jest bardzo znamienne dla Śląska Cieszyńskiego, przy tamtejszej zacisznej, prawdziwie regionalistycznej, tradycjonalistycznej i książkowej atmosferze⁵); także i kontakty z inteligencją polską były tam liczne; w pobliskiej Wiśle poznał jako młody człowiek mieszkającego tam Ochorowicza, od którego ma trochę jego dzieł, przez Ochorowicza Bolesława Prusa (od którego ma *Lalkę* z własnoręczną dedykacją), potem Zofję Daszyńską-Golińską, A. Wróblewskiego, Benedykta Dybowskiego, Wincentego Lutosławskiego, Wystouchową, której wiele zachęty

zawdzięcza; w stowarzyszeniach śląskich wiele osób z inteligencji pracowało; więc wszystko temu rozwojowi sprzyjało. Ale i to prawda, że nigdyby się ten rozwój nie był zaczął, nigdyby kontakty te nie były zostały nawiązane, gdybyśmy znowuż nie mieli tu do czynienia z człowiekiem na to urodzonym, aby być przodownikiem i przedrzeć się ku jaśniejszemu i większemu życiu, przejąc się wielkościami i szlachetnościami swego narodu; jeszcze raz jesteśmy tu w towarzystwie z człowiekiem z tej naszej dobrej ludowej rasy różnorako utalentowanej i pracowitej, ciekawej świata i czulej na wzniosłość.

1) W liście do autora Antologii; stamtąd daty.

2) Na księgozbiór ten i na zajmującą osobistość jego właściciela zwróciłem uwagę w art. *Robotnik bibliofilem. Przyczynek do bibliofilstwa na Śląsku (Silva Rerum, VI, 1931, zes. 1/6)* i odbitki w 25 egzemplarzach numerowanych.

3) Pisze np. w *Gazecie Mierników* (Warszawa) art. o rozstrzygnięciu sporów granicznych — i jest proszony przez redakcję o dalsze współpracownictwo.

4) Niektóre prace Wantuły: *O ks. Franciszku Oszeldzie, pierwszym mowcy na wiecach w r. 1848; Andrzej Foltyna, męczennik o zniesienie poddaństwa chłopów na Śląsku, 1770; Exlibris Trzanowskiego* (w *Kalendarzu Ewangelickim* za r. 1930), *Dr. Paweł Oszelda, bojownik o wolność ludu w r. 1848*, Cieszyn 1935 (broszura, str. 51).

5) O tem szerzej: K. L. Koniński, *Kartki z dziejów polskości Śląska Cieszyńskiego, Przegląd Współczesny*, 157, 158, 162/935, 164/936.

*

Jan Wantuła. *W interesie prawdy*. Osobna odbitka z *Posta Ewangelickiego*, 1929. Nakładem Czytelni Ewang. W Ustroniu. (broisz. str. 20).

209. [Przeciw nienawiściom wyznaniowym].

— — — Jeśli ewangelicy potrafili pracować dla Polski za dawnych ciężkich czasów, cierpieć i znosić szykanowanie dla swej polszczyzny — to czyż, doczekawszy się spełnienia marzeń ojców i pragnień całego życia — Zmartwychwstania Polski — mielibyśmy ochłodnąć w miłości dla Niej? Kochamy Polskę z całej duszy taką, jaką jest, z Jej brakami, ułomnościami. Nie zrazi nas do niej nawet niekiedy macosze traktowanie ewangelików; wiemy, że to nie Polska-Matka, ale niezawsze życzliwe rodzeństwo winę ponosi... Ale Polska dla nas święta, jest naszą Ojczyzną! Wiemy, jaki los tych Polaków, którzy nie znaleźli się pod skrzydłami Orła Białego. Tem więcej cenimy szczęście, że żyjemy w Polsce. Ale też czujnie śledzimy, co kto u nas robi, i chcemy, by każdy, co w Polsce chce żyć, przyczyniał się do rozrostu i pomnażania dobrobytu, do utrwalania bytu, przez skupienie sił do utrwalenia granic Polski! A zaczepki, drażniące i obrażające nas ewangelików, utrudniają — współpracę. Czas skończyć z tem, że gdy się gdzieś pojawi krytyka osoby, gdy ktoś ujawni niemiłą opinię o kimś, pierwsze pytanie: Czy to nie nagonka wyznaniowa? Największy szkodnik w społeczeństwie, jeśli tylko udowodni, że niehonorowe czyny zarzuca mu ktoś nie jego wyznania, wszczyna krzyk: Nagonka wyznaniowa! Ze wszystkiego robi się sprawę wyznaniową. — — —

*

Jan Wantuła, *Najdawniejszy polski exlibris*.
Warszawa MCMXXXV. (Nr. 5. *Biblioteki To-*

warzystwa Miłośników Exlibrisów w Warszawie, brosz. str. 22, wydanie ozdobne).

210. [Czytelnictwo ludowe na Śląsku, 11].

Dziwnem się może wydać: exlibris¹⁾ chłopa. Czyżby był taki chłop, któryby miał własny znak biblioteczny? A jednak podobizna exlibrisu w dwu odmianach, wyżej reprodukowanych, dowodzi niezbicie, że exlibris taki istnieje. Co dziwniejsze, że nie jest to exlibris współczesnej, istniejącej biblioteki chłopskiej — takich na Śląsku Cieszyńskim znaleźć można sporo, — ale biblioteki z początków XIX stulecia „rozparcelowanej“ między członków rodziny po śmierci właściciela.

W czasach, gdy na reszcie ziem polskich mało było chłopów, umiejących czytać, kiedy nawet szlachcic podpisywał się często krzyżkami, — na Śląsku chłop, odrabiający pańszczyznę, kupował za ciężko zapracowany grosz książki, a nawet zaopatrywał je w skromne znaki biblioteczne. Chłopem tym był Jerzy Gaydzica albo, jak sam się podpisywał, Jura, niekiedy Jurek Gaydzica, ze wsi Małej Ciesownicy koło Ustronia w okolicy Cieszyna na Śląsku²⁾. — — —

— — — Przyszedł na świat w dobre, kiedy chłopci śląscy uzyskali zniesienie poddaństwa i znaczne zmniejszenie pańszczyzny, a ludność ewangelicka na Śląsku dzięki patentowi tolerancyjnemu korzystała już ze swobody wyznania.

Na Śląsku bowiem szlachta od XVI wieku wraz z licznymi wówczas gałęziami panujących rodzin książęcych Piastów przyjęła nową wiarę ewangelicką, a za ich przykładem poszła i ludność wło-

ściańska. A kiedy później część szlachty i ostatni Piastowie cieszyńscy powrócili do katolicyzmu, lud wiejski pozostał wierny swej nowej wierze pomimo nacisku zwierzchności i licznych prześladowań. Kiedy pozamykano kościoły i powypędzano księży, wierni ewangelicy zgromadzali się potajemnie w lasach i niedostępnych miejscach i tam odprawiali swoje nabożeństwa. Zbierali się nocami w dworach szlacheckich i po chatach wiejskich na czytanie Biblii, kazań i różnych ksiązek treści religijnej, krzepiąc się na duchu nadzieją, że prześladowania muszą się kiedyś skończyć. Nie mając możliwości jawnego odprawiania nabożeństw, pozbawieni księży, ewangelicy śląscy skazani byli na zaspokajanie swoich potrzeb religijnych głównie drogą modlenia się z ksiązek, — starali się zatem usilnie, aby możliwie każdy z nich umiał czytać. Dzięki temu nauczyli się uważać ksiązkę za wielki skarb, który nawet za pieniądze trudno nabyć. Książki zatem na Śląsku ceniono ponad złoto.

Każda rodzina ewangelicka uważała za obowiązek posiadanie choćby Biblii, zbioru kazań i pieśni religijnych. Kiedy z upadkiem protestantyzmu zamarł ruch wydawniczy polskich ksiązek, książki polskie wychodziły w dalszym ciągu w Królewcu, a jeszcze w XVII wieku rozpoczęto wydawnictwo polskich ksiązek ewangelickich w Brzegu Śląskim, w którym dotrwało do najnowszych czasów.

Rzadkie, a szczególnem upodobaniem cieszące się druki, jak *Wykład Apokalipsy* Mikołaja Reya, zbiory kazań — nieraz grube tomy odpisywano.

Prześladowcy urządzali obławy na książki, szukając ich po chatach i dworach. Wiele ksiązek zabrano i zniszczono, paląc je publicznie, ale właści-

ciele książek nauczyli się je ukrywać w tajemnych skrytkach leśnych.

Mam książki ze śladami przemoczenia podczas przechowywania ich w dziuplach drzew leśnych. Dziwnymi drogami trafiały książki polskie podchłopskie strzechy, przynoszone z dalekich oficyn drukarskich, ośrodków polskiego innowierstwa: Królewca, Torunia, Wilna, Gdańska i wielu innych. Ze Słowaczyny i Czech przywozili książki exulanci i czescy rozbitkowie husycy.

Pierwodruki ewangelików polskich: Reya, Krowickiego, Budnego, Kraińskiego, Grzegorza z Żarnowca, Dambrowskiego i wielu innych ze złotego okresu dziejów Polski — do dziś zachowały się w mniej lub więcej licznych okazach u chłopskich ewangelików śląskich.

Dzięki polskiej Biblii i licznym polskim postylom³⁾ zachował lud śląski po dziś dzień nie tylko swą wiarę, ale i swój język polski w szacie archaicznej i przywiązał się do polskości.

Wspomniałem wyżej, że ewangelicy śląscy przez wieki zapomocą książek zaspakajali swoje potrzeby religijne, dlatego też starali się, aby każdy z nich umiał czytać i aby w każdym domu były książki.

Gdy z nadaniem patentu tolerancyjnego (1781) pozwolono ewangelikom budować kościoły, równocześnie zaczęto otwierać i szkoły. Dzięki wstawianictwu króla szwedzkiego Karola XII mieli ewangelicy śląscy na obręb całego Księstwa Cieszyńskiego aż po Pszczynę jeden kościół w Cieszynie już od roku 1709, a przy kościele szkołę elementarną, która w krótkim czasie wzniosła się do typu szkoły średniej, tak że wychowankowie z jej wyższych klas stawali się nauczycielami nowozakładanych szkół po wsiach.

Zanim jednak szkoły te powstały po wsiach, uczono czytać we dworach, uczył jeden drugiego... A nawet, gdy już szkoły były, ojciec czy matka uważali za swój obowiązek nauczyć dzieci czytać.

Tak było do niedawnej przeszłości. Piszącego te słowa też matka nauczyła czytać i trochę pisać. Jeszcze wtedy sporo było matek, co za punkt honoru uważały, gdy dziecko do szkoły do zapisu przeprowadzały, by to dziecko obok pacierza czytać w elementarzu, a nawet druk gotycki potrafiło.

Naszkcicowałem zwięźle środowisko, z jakiego wyszedł, w jakim wyrastał i żył Jurek Gaydzica, ponieważ bez tego trudno byłoby zrozumieć jego zamiłowanie do książek.

1) Ekslibris: Kartka ze znakiem (jakimś rysunkiem, herbem, alegorją, oraz z nazwiskiem) właściciela biblioteki, wklejona do książek, na górnej okładce od wewnątrz.

2) Cytacja z pamiętnika Gaydzicy w dziale: Wzmianki o innych pisarzach ludowych.

3) Postylla: zbiór kazań.

XVII. PIOTR BOROWY.

Piotr Borowy, ur. się w r. 1858 w Rabczycach na Orawie, jako syn gospodarski. Gdy miał lat 18 ślubował, (pod wpływem tz. „ruchu sidzińskiego“¹⁾ dozgonną czystość i apostołstwo. Węduje pieszo od wsi do wsi, głosi kazania, gromi nietylko pijaństwo i rozpustę, lecz i zabobon; na odpusty i jarmarki chodzi z wędrownym kramikiem książek religijnych. Gdy w r. 1919 przychodzi do plebiscytu na Orawie i Spizu, a X. Ferdynand Machay, przywódca ludu polskiego na węgierskiem Podhalu polskiem, jedzie do Paryża, jako delegat

tegoż Podhala, to bierze ze sobą Borowego z Orawy (a ze Spisza, zmarłego już także, Wojtka Halcyna). W swej kapitalnej, pełnej humoru relacji z tej wycieczki Machay podaje opis wizyty swojej i gazdów u Wilsona. Borowy, (który, za młodu i w Ameryce 2 lata przebywał), kiedy prezydent S. Z. zapytał: „*Pocście tu przybyli?* — stanął sobie bliźutko Wilsona, wziął jego prawą rękę do swojej lewej, a prawą ręką w ciągu przemówienia ciągle głaskał Wilsona swą ręką. Mówił zaś tak: *My tu przybyli z dwóch małych krajów tatrzańskich, ze Spisza i Orawy. Ludność tych ziem jest czysto polska. Ziemie nasze są teraz przez Czechów nieprawnie okupowane. Przyślijmy prosić konferencję pokojową, aby nas oswoodziła od jarzma czeskiego, a przyłączyła nas do Polski, do tego państwa, które do nas ma jedynie prawo* i tutaj Piotr zmienił głos w opowiadaniu i z radosnym uśmiechem, ciągle głaskając po prawicy mówił dalej: *Jesteśmy niezmiernie szczęśliwi, że możemy Waszą Wielkość tak zbliżka — z oczu do oczu oglądać, widzieć jego miłościwą twarz i słyszeć bicie jego szlachetnego serca — —*“. Nie cytuję dalej tej przepysznej relacji²⁾. Natomiast przytoczę poniżej jedną z mów, których wiele Borowy wygłosił tak na terenie plebiscytowym, jak i po miastach Polski.

Zwracam uwagę na lapidarność i symetrię zamknięcia przypowieści i apostrofy. Takich mów, zawsze tak budowanych, zawsze opartych na przypowieści, za każdym razem odmiennych, było 30, „a wszystkie mają teocentryczną ośnowę duchową, Polska przedstawiona jest w tych dowcipnych mowach - bajkach jako idealne państwo Boże“³⁾. Prócz mów, w spadku po Borowym, mamy: *Nauka*

księdza Blaszyńskiego ze Sidziny, *Rozmyślania człowieka na sprawy boskie, O zabobonie, Siedem głównych grzechów, Kazanie o krzyżu lewego łotra, Złote myśli*, zawierające „przewodnie myśli sztuk teatralnych, których Borowy ułożył kilka i sam ze swoim zespołem odgrywał. Wielka szkoda, że żaden z tych *tejatrów* nie pozostał w rękopisie, stało się zaś tak dlatego, ponieważ Borowy, jako odtwórca głównej roli, zawsze improwizował, a tylko wykonawcom innych ról podyktował co mają mówić“. Zwracam uwagę na ten bardzo ciekawy przyczynek do zagadnień teatru ludowego.

Borowy wszystko to spisał w ostatnich trzech latach swego życia, zachęcony przez X. Machaya; życiorysu swego, z pokory religijnej nie chciał pisać. Ale gdy wziął się do spisywania z pamięci mów plebiscytowych, okazało się, że rękę ma „ciężką do pisania“, wtedy kupili mu przyjaciele maszynę, na której do jesieni r. 1931 nieustannie, jak opowiada X. Machay, „klepał i klepał. Wszystko co wyklepał jest chlubnem świadectwem, że w swej miłości dla Chrystusa ani na chwilę nie ostygł. — — W jakiej pokorze i w duchu jakiej pokuty wykonywał swą służbę dla Chrystusa tego wymownem i wiernem odbiciem jest *Sąd grzesznika sam nad sobą*“. Jest to naczelnny Borowego utwór.

Nie chciałbym przesadzać, ale słyszę w tej śmiałej i przenikliwej analizie moralnej — jakby jakieś wprost Eklezjastowskie echa⁴⁾). Ta spowiedź chłopca polskiego, utwór z rodzaju *confessiones*, jest spowiedzią prawdziwie inteligentną, w jakimś bynajmniej nie okrojonym sensie tego słowa: nie o grzechy tu idzie pospolite, których ten sędziwy a bogobojny i sprawiedliwy człowiek nie miał;

ale tu jest tragiczny wgląd w ten ostatni, najcichszy, najskrytszy opór psychiczny przeciwko wybranemu, beżennemu, ascetycznemu, mijającemu już żywotowi. Borowy jest dla duszy swej nieubłaganym, czasem aż zdolnym do tego cynizmu, który nie jest obcy rzetelnemu chrystianizmowi. Ten prosty katolik dobrze wie, że w chrześcijaństwie tylko wewnętrzny człowiek znaczy.

Głęboka treść spływa w tym utworze w formę nawskróś zdyscyplinowaną. Język utworu dosłownie przez wydawcę *Sądu* zachowany, tylko transponowany fonetycznie na literacki, jest językiem, do którego wcale nie potrzeba przystępować z jakąś dobrotliwą wyrozumiałością; język to dojrzały, rzeczowy, oszczędny, o wyrazistej akcentacji, brzmiały echami z klasycznej literatury religijnej (np. księgi *Eklezjastes* lub *Listu do Rzymian*, wogóle Biblii), bez niczego, coby trąciło cikliwą stylistyką dewocjonalną, język męski, czasem już monumentalny. Ta religijność i ta mowa to już jedno.

Kompozycja, pomimo wielkiej przejrzystości, okazuje się przy bliższem wejrzeniu kunsztowna: Każdy rozdział, prowadzony przez jeden refren (np. *Takie rzeczy widział ja, Co będzie ze mną? Czy to ja nie jestem ten?* itp.), okazuje jednolitą strukturę logiczną; np. w rozdziale *Takie rzeczy widział ja*, w całości 7 wersetów, zawsze jakby brał dystans od siebie samego, jakby się zdala patrzył na los własnej duszy „prowadzonej na powrozie na placówkę śmierci“. — Albo znów, w rozdziale *Co będzie ze mną*, zawsze, każdy werset mówi o dojściu do pewnego celu i konieczności odwrotu itp.

Zastanawiający jest inny rys kompozycyjny: tych 10 rozdziałów ma razem 70 wersetów,

regularność, któraby wskazywała na wysoce świadomą wolę artystyczną. Może zaś podział siódmkowy wybrany został ze względu na sakralność liczby 7? A może stało się to mimowoli? Wtedyby może ta regularność kompozycyjna podkreślała jeszcze muzyczną istotę tego utworu, która się już w refrenach objawiła?

Ten starzec z Lipnicy Górnej pod Babią Górą, apostoł religijny, działacz, mówca, miłośnik książek, samorodny organizator teatralny, samorodny „dyplomata“, a nadewszystko duch religijny w najpoważniejszym tego słowa znaczeniu — i przytem człowiek, który pozostał chłopem ze stroju, mowy, wejrzenia, gestu, typowym gazdą z owej rzeźkiej góralskiej rasy orawskiej, — pozostawił w swem dziełku ascetycznym unikat naszej literatury ludowej, utwór, który wchodzi do piśmiennictwa polskiego, jako poezja prozą, wysoce dojrzała i wysoce stylowa, — a który na poziomie pisarstwa polskiego ludowego stanowi zjawisko zupełnie niepospolite.

Czy ascetyczna literatura katolicka, a w szczególności ascetyka popularna, przyjmie to dziełko do siebie — przyszłość okaże.

Borowy umiera w r. 1932; w r. 1935 grono przyjaciół funduje w kościele parafjalnym w Lipnicy Górnej (pow. nowotarski) tablicę pamiątkową z piersiem⁵⁾.

¹⁾ Tzw. „siedziniarze“ byli to zwolennicy i wielbiciele (przeważnie zresztą kobiety, „siedziniarki“) proboszcza w Siedzini pod Jordanowem, X. Wojciecha Błaszyńskiego (1806—1866), syna góralskiego z Chochołowa, który swem świętobliwem życiem oraz swem bardzo rygorystycznym i ascetycznym nauczaniem religijnem, a w szczególności spowie-

dziami, zabłysnął szeroko wśród ludu, ale przez duchowieństwo był niejednokrotnie surowo zwalczany, jako podejrzany „o herezję“. Wiersz obywatela ziemskiego z Toporzysk pod Jordanowem, Wielkoszewskiego (z r. 1866), opowiada: „— — — W on czas, gdy lud popełnił grzech srogi Kainowy (1846), on skruszonych oczyszczał bez żadnej odmowy — — — Zapytaj się od Gdowa, aż po Tarnów ludu, skąd by obmyć sumienia, nie żałują trudu. — — — Wiem, gdyż był mym sąsiadem, że gromił pijaństwo, choć mam propinację (!), czczę takie kapłaństwo — — —“. (Por. *Krótki opis życia X. Wojciecha Blaszyńskiego, b. plebana w Sidzinie*, itd. Kraków 1870, Druk. Uniwersyt. Jagiell. (Imprimatur). Autorem tej rzadkiej a ciekawej broszury jest X. Tyburcy Paulin ze Skalki — (wedle objaśnienia prof. J. G. Pawlikowskiego, który mi na tę książkę zwrócił uwagę i jej użyczył).!

²⁾ X. Ferdynand Machay, *Nasi gazdowie w Paryżu*, Wspomnienia z podróży, Kraków, 1919, nakł. Polskiego Komitetu Plebiscytowego dla Spisza i Orawy.

³⁾ Piotr Borowy, gazda z Orawy, *Sąd grzesznika sam nad sobą*, Kraków 1933, nakładem i z przedmową X. Ferdynanda Machaya (pt. *Jak gazda Borowy stał się pisarzem?* Stamtąd daty biograficzne).

⁴⁾ *Eklezjastes* — księga Starego Testamentu, przypisywania królowi Salomonowi.

⁵⁾ Rzeźba artysty Karola Hukana.

*

Mowy Piotra Borowego. (Maszynopis autora, w posiadaniu X. dr. Ferdynanda Machaya w Krakowie).

211. Dziewiąta mowa we Warszawie.
Przy odchodzie z Warszawy¹⁾.

Po odejściu z Paryża podróżowałem jednorażki po lesie, a natrafiłem na tej drodze małe zwierzątko, tak zw. łasica, która niesła swój noworodek, ale od strachu przedemną rzuciła swoje małe i uciekła. Ja stoję nad tem, dziwuję się, co

będzie. To młode zwierzątko nie władało uciekać, piszczało, kwiliło, walało się po ziemi. Ale matka tego noworodka zrzuciła strach na bok. Nagle wyskoczyła z poza krzaków pod moje stopy, porwała swoje małe i uciekła z niem. Tak ratuje miły miłego.

Moja droga Polsko, Spisz, Orawa, jest twój ród, mowa twoja, twoja religia, twoje kościoły, twój lud, a tu teraz stoi nad tem pokoleniem Hus renegacki, Czech, chce ten naród renegować, obracać na Husów, a twój polski lud piszczy, płacze. Moja droga Polsko, strach nabok, trzeba skończyć i porwać. Tak ratuje swój swojego.

¹⁾ Ortografja Borowego, tu jak i w następujących przytoczeniach poprawiona; zachowano tylko właściwości fonetyczne. (Język Borowego, jak stwierdził prof. Kazimierz Nitsch — (wedł. informacji ustnej) — nie jest typową tamtejszą (orawską) gwarą).

*

Piotr Borowy. *Zabobony i wroski*¹⁾. (Maszynopis autora w posiadaniu X. Ferdynanda Machaya).

212. O złych oczach.

Teraz pytanie takie: Jeżeli jest na świecie człowiek taki, coby miał takie złe oczy albo ręce, żeby z jego udów choroby i nieszczęścia wychodziły, dlatego aby do drugich ludzi włąziły, aby mordować go i jego gospodarkę psuć i niszczyć, to w pierwszym rządzie dlaczego już w swoim domu nie wyniszczył i nie wymordował całą familję i całe swoje gazdowstwo? Przecież on tymi oczami w swo-

jem domie na wszystko poziera i w domie swoim rękami wszystkiego swojego dotyka. — — —

1) „wroski“ : wróżki : wróżby. Borowy notuje u boku: „Izajasz, kap. 44“. (Jest to rozdział, w którym Pan Bóg potępia bałwochwalstwo).

213. [O guślach].

Ale mi powie ktoś, taki co wierzy w guśła, że jest taki zły człowiek, co ma złą wolę na drugiego, a wtedy oczami jak pożry na niego albo dotknie się jego rzeczy, to mu szkodzić może?

Na to jest taka odpowiedź: Gdyby źli ludzie spojryniem oczami i za dotknięciem rękami mogli szkodzić temu na kogo się gniewają, to wtedy na co się biją nożami, kijami, a strzałami, dlaczego się nie mordują oczami, dlaczego nie robią szkody jeden drugiemu za dotknięciem rękami, choćby nawet w gniewie rozpalony zły człowiek bardzo sobie życzył tego, żeby takie niewidzialne giloty¹⁾ w oczach miał i rękach, wtedyby nie potrzebował zabierać fuzji — — —²⁾.

Ale że się tak nie dzieje, zatem tyż i guślarze i ci co wierzą w guśła są w okropnej ćmie. — —

Guślarz od siebie szkodzić nie może, jeśli szkodzi, to przez djabła, a djabeł tylko wtedy jeśli Bóg pozwoli, ale trzeba przy Bogu stać stale, a nie raz jego prosić a raz do guślarza chodzić.

1) „giloty“: prawdopodobnie nowotwór językowy Borowego, od „gilotyń“.

2) Mamy tu więc dwie „teorje“, z którymi polemizuje Borowy: Jedną, że z człowieka wychodzą szkodliwe emanacje bez jego woli (w ust. 212), drugą, że emanacje te zależą od złej woli człowieka. Z obiema walczy Borowy, odwołując się do zdrowego rozsądku.

214. [O rzeczach poświęcanych].

— — P. Jezus mówi tak: On mówi: „O cokolwiek będziecie Ojca prosić w imię moje, to da wam“, ale zaś tego nie mówi: „Nie musicie się modlić, ale weźmijcie dzwonić, to dostaniecie“. Tego nie mówi.

— — Taki baboniarz¹⁾ tak myśli, że czego się ta woda taka mocno święcona dotknie, to wszystkie złe przygody od jego domu uciekną, będzie zdrowy i bogaty. Tu jest okropny pomysł, bo święte rzeczy upotrzebowane tam do tego, gdzie P. Bogu poszanowania nie dadzą, to złej przygody nie odzyna, ale jeszcze więcej nieszczęścia zleją. — — —²⁾.

¹⁾ „baboniarz“: taki co chodzi do „bab“, tj. czarownic; ale w ogólności przesądny, tj. zabobonny.

²⁾ Widoczną jest tutaj intencja Borowego do pogłębienia religijności ludowej, oparcia jej na trwałym i etycznym stosunku do Boga, a nie na powierzchownych praktykach *ad hoc*; tu okazuje się też, że religja sumiennie pojęta usuwa zabobony magiczne.

*

Piotr Borowy, gazda z Orawy. *Sąd grzesznika sam nad sobą.*

(Por. uwagę 3. do wstępu o Borowym).

215. [Takie rzeczy widział ja..., 13].

Kto z tym światem związany: ten nie wie, co ma robić, ani jakim człowiekiem ma być. —

Takie rzeczy widział ja!...¹⁾.

Kto zaślepiony tym światem: ten niezna ducha swojego. —

Takie rzeczy widział ja!...

Kto nie zna ducha swojego: tego napadają takie żądze, żeby rzucił nabok wstyd i bojaźń. —

Takie rzeczy widział ja!...

Kto rzuca od siebie wstyd i bojaźń: tego miłość boska nie pędzi, lecz taki duch, co robi z ludzi potwory. —

Takie rzeczy widział ja!...

Komu się poczucie do Boga nie rwie: ten jest wiedziony złym duchem na powrozie marnych rzeczy. —

Takie rzeczy widział ja!...

Kto jest związany marnymi rzeczami: ten jest prowadzony na placówkę śmierci, która jest bez nadziei. —

Takie rzeczy widział ja!...

1) Można by tu przypomnieć z *Kaznodziei Salomonowego*, rozdz. VI, początek: „Jak złe, którem widział pod słońcem, a jest zwyczajne“ itd.

216. [Rzecz przeraźliwa, 19].

Nic nie zważam na to, by do grzechu nie upaść, a gdy upadnę, to grzech jest dla mnie utrapieniem. Utrapienie to przypisuję Panu Bogu, i odzywam się nawet w ten sposób: nie wiem za co mnie Bóg karze¹⁾. Taka jest moja złość.

Co będzie ze mną w ten czas?

Grzesznikiem, tobym nie chciał być, ale walczyć z pokusami, by do grzechu nie upaść, to w tej sprawie jestem wielce leniwy. Zatem

co będzie ze mną?

Chciałbym, żeby za moje grzechy kary nie było. Ale że moje grzechy Pana Boga męczą, tego się nie lękam.

To jest rzecz przeraźliwa!²⁾.

O to się mało troszczę, żebym w czym Pana Boga nie obraził, ale gdy mi Pan Bóg jaki krzyżyk

da, to wtenczas bardzo narzekam. I to jest ta moja podłość! ³⁾).

— Tak mało zważam na to, żebym nie zgrzeszył, i z tego powodu nie widzę, nie wiem, w czemi ile razy grzeszę ⁴⁾). To jest ta moja podłość!

Jestem głupi na to, by szukać nauki, jeżeli kiedy, gdzie, w czym, jakoś i tyle razy Boga obrażę. I to jest ta moja podłość!

Nie mogę się wstrzymać, żebym Boga nie obraził, ale za tę obrażę Jemu nie mam co dać, tylko: Boże, Boże, bądź miłościw! ⁵⁾).

1) Pyta za co go Bóg karze, skoro dopuścił, że on popadł w grzech, ale pytanie to potępia w sobie.

2) Grzeszenie jest egoizmem wobec Boga i to jest czemś przerażającym.

3) „podłość“ czyli brak lojalności w stosunkach z Bogiem.

4) Oskarża się o brak uwagi na postępowanie.

5) Uważa, że jest to błahe zadośćuczynienie.

217. [Co będzie ze mną?, 15].

Mam wielki pociąg do tych rzeczy, które lubię. Choćby były dla mnie złe, to mnie nic nie obchodzi — i dlatego co będzie ze mną?... ¹⁾).

Nie mam siły... dziwnie słaby, aby działać coś cnotliwego. A ponieważ człowiek bez cnoty jest nieczłowiekiem — to co będzie ze mną?...

Raduję się, gdy swoją wolę wykonam... i w końcu ta wola moja mnie dręczy i trapi — tedy co będzie ze mną?...

Mam wielką i ciężką pracę... bom się nauczył czegoś, czego się muszę oduczyć ²⁾). Chcę być szczęśliwy ³⁾), ale jestem przytem dziwnie leniwy —

co będzie zemną!...

Boleść wielką mam w nieszczęściu, ale tego co mnie do nieszczęścia wiedzie, to się nie waruję — to jest ta

bieda ze mną!...

Nie cieszy mnie żywot moralny, a bezbożność i grzech mnie trapi —

To jest ta

bieda ze mną!

1) Por. u św. Pawła. Do Rzymian, VII, 19: „Nie czynię dobrego które chcę, ale zło, którego nie chcę, to czynię“.

2) Przywiązanie do świata.

3) Zbawiony.

4) Cnota nie daje mu zadowolenia ale, z drugiej strony, grzech smuci go.

*

218. [Sprzeczności, 26].

Prosić Boga o coś, a nie chcieć tego przyrzec Bogu — taka mowa jest pośmiechem¹⁾.

Grzech znieważa Boga... i dlatego: z radości grzeszyć i wesołem sercem grzechom się przypatrywać, a przytem mówić Bogu: święte Imię Twoje niech będzie pochwalone, i znów tak działać, taka mowa jest albo pośmiechem i złością, albo głupstwem²⁾.

Oddać zmysły swoje i wolę swoją pod władzę złej pożądliwości, a nie chcieć siebie z tego wyzwolić, i mówić Bogu: Przyjdź Królestwo Twoje — taka mowa jest pośmiechem albo głupstwem.

Silnie swoje złe żądze wykonywać; jeżeli ich nie można wykonać; to się o to gniewać, a mówić Bogu: bądź wola Twoja — i w uporze chcieć do

śmierci tak działać — wtedy te słowa: bądź wola Twoja — są pośmiechem albo głupstwem.

U nieprzyjaciela boskiego służyć i pracować, a u Pana Boga śniadanie, obiad i wieczerzę darmo jadać — to rzecz zdumiewająca!

Źle ludziom i krzywdę działać, a mówić Bogu: tak i Ty mnie czyń — taka mowa jest złością!³⁾

Mówić Bogu: nie uwódź mię w pokuszenie, a sam za pokuszeniem gonić, pokuszenia szukać, za pokuszeniem płakać, i gniewać się oń, to jest taka mowa: ja chcę, ale Ty, Panie Boże, mnie od tego wstrzymaj⁴⁾. Jest to rzecz zdumiewająca!

Taka sama sprawa, mówić: zbaw, mnie od złego złem gwałt robić.

¹⁾ Wnikliwa analiza psychomoralna: Dusza pragnie cnoty i nawet modli się o nią, lecz równocześnie obawia się, że się może stać cnotliwą...

²⁾ Szydzi z tego coby nazwać „werbalizmem“ religijnym, czyli gołosłowną modlitwą, której nie towarzyszy rzeczywista dobra wola.

³⁾ Może zna ludzi, którzy upominani że krzywdzą innych, odpowiadają „niech i nam tak będzie!“ — ?...

⁴⁾ Zgodnie z sensem całego rozmyślenia, należy to rozumieć jako szyderstwo: „Ja chcę złego, ale Ty mnie Panie Boże od tego wstrzymaj“ — jest w tem coś paradoksalnego („rzecz zdumiewająca“). — Miałbym ochotę, zwłaszcza przy lekturze tego wstępu, zatytułowanego (przezemnie) „Sprzeczności“, nazwać Borowego „chłopskim Pascalem“... *).

*) Błażej Pascal, francuski myśliciel religijny (katolicki) z XVII wieku, lubował się w wykazywaniu sprzeczności trapiących duszę ludzką.

O innych publicystach we Wzmiankach; o „pierwszych mówcach ludowych“ we Wzmiankach. Ponadto por. mowy u Słomki i Wojciechowskiego (T. I, str. 78, 180, 183, 191).

C) BELETRYŚCI.

Uwagi wstępne.

Ten dział (Beletryści) wstawiony został do Antologii już w czasie druku książki, gdy bowiem do pierwszego półrocza 1936 mogłem zanotować zaledwie jeden utwór powieściowy (mnie osobiście prawie nieznanego polskiego ludowego pisarza południowo-amerykańskiego), to w drugiej połowie tegoż roku ukazują się powieści trzech autorów robotników, samouków, więc autentycznych pisarzy ludowych. Są nimi: Władysław Pawlak, szewc z Łodzi, którego powieść *Kamienica wielkiego miasta*, jedna z kilkunastu nagrodzonych pomiędzy kilkuset nadesłaniami na konkurs powieściowy *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*, była drukowana w tem piśmie; Jan Brzoza, cieśla ze Lwowa, autor powieści *Dzieci*, wydanej przez Książnicę, i Henryk Worcell, autor *Zakłętych rewirów*, wydanych przez Gebethnera¹⁾.

Kamienicy wielkiego miasta trudno przyznać wyższe walory literackie, aczkolwiek ze wszystkich tych trzech książek najbliższą jest gatunkowi „powieść“. Jest to wprawdzie więcej opis surowy życia, niż artystyczna kompozycja, ale autor nie idzie drogą stosunkowo najłatwiejszą, tak dziś przez pisarzy debiutantów uczęszczaną, autobiografji, lecz o sobie milczy, mówi o cudzych żywotach. Na rachunek

autora zapisać należy obfitość i dokładność informacji, dającej prawdę w życiu, choć życiowo raczej niż artystycznie, obraz życia proletarjackiego — oraz moralną powagę i sumiennoscę spojrzenia na świat. *Dzieci* też nie są powieścią, w sensie jednolitego jakiegoś pnia kompozycyjnego, ale ten szereg obrazków z życia małych lwowskich uliczników odznacza się, mimo lekkich zmanierowań, językiem dojrzałym, stylem szczerze poetyckim, barwnym i melodyjnym, tchnie serdecznem ciepłem współczucia i nadaje się jako jedna z najlepszych lektur dla młodzieży. *Zakłete rewiry* mają niewątpliwie charakter autobiograficzno-reportażowy (autoreportaż), są mniej „powieścią“ niż np. *Kamienica wielkiego miasta*; uzyskały szeroką poczytność, częściowo tytułem „sukcesu skandalu“, częściowo, a może i głównie dlatego, że opowiadają szaremu czytelnikowi o życiu i obyczajach eleganckiej restauracji, oglądanej przez autentycznego kelnera — ale zarazem zwróciły na siebie uwagę krytyków przez zupełnie u autora-samouka niespodziewany poziom artystycznego wyrobienia i nawet pewnego wyrafinowania. Z książki Worcella możnaby obciąć jedną trzecią przynajmniej, a całośćby nie straciła, owszem zyskałaby w oczach czytelnika, który nie ma czasu na wyłapywanie po książkach ciekawostek, ale pragnie przy lekturze powieści doznawać wzruszeń zwanych estetycznemi; są jednakowoż w tej książce miejsca i chwytty, które bezsprzecznie takich właśnie wrażeń dostarczają. Wszystkim trzem autorom należy przyznać, że, nie unikając w swych opisach scen brutalnych, lub erotycznie drażniących, nie dają sobie łatwej w tym kierunku folgi, obliczonej na łatwe u czytelnika powodzenie; naj-

dyskretniejszy jest Brzoza, ale i Worcell, mając najwięcej o tych i tamtych rzeczach do opowiedzenia, nie przekracza tej granicy, poza którą byłoby już, poprostu powiedziawszy, tzw. „babranie się w świństwach“. Gdy Pawluk ledwo przekracza poziom naiwny, to Brzoza, a przede wszystkim Worcell, już wchodzi do „literatury literackiej“, liczącej na konsumpcję wśród czytelników wykształconych. Wspólną ich wszystkich trzech niedomogą jest kompozycja „odpisowa“, nieprzebieranie w materiale życiowym, brak ożywionej fabuły, ten ostatni brak najmniej zresztą u Pawlaka dający się zauważyć; wspólną ich zaletą jest językowe wyrobienie, sympatycznym urokiem — zupełny brak stylistycznego snobizmu i półinteligentkiej pretensjonalności³⁾, uczciwa odwaga i powaga, z jaką zabierają się do swojej rzeczy.

Te trzy debjuty nasuwają kilka refleksji, na temat miejsca pisarzy samouków przychodzących wprost z ludu, bez przejścia przez szkoły, w całości kształcie współczesnego piśmiennictwa, a szczególności powieścio-pisarstwa. Musi bowiem zarówno im samym, jak i życzliwemu badaczowi na tem zależeć, ażeby zdobyli sobie zarówno konsumpcję, któraby im dała utrzymanie, i to konsumpcję „bezinteresowną“, w tym sensie, że pobudzaną nie przez pobłażliwą życzliwość dla autorów, ale przez nagą artystyczną wartość ich dzieł. Zależeć też musi na tem, ażeby rozwinęli możliwości swoich samorodnych talentów i weszli do tej literatury, która się liczy na serjo i w niej na stałe pozostali. Jest bowiem obawa, żeby pisarze tego typu nie okazali się przemijającymi, modnymi efemerydami — co byłoby dla nich niewątpliwie tragiczne. Jeżeli

prosty człowiek raz wybił się i pewną dojrzałość pokazał, niechże nie cofa się, ale dalej idzie w górę. Niebezpieczeństwo, i to specjalnie, gdy idzie o powieściopisarzy z gatunku reportażowego i autobiograficznego, jakimi są właśnie nasi trzej tu wymienieni, ale i wielu innych współczesnych ze środowiska ludowego pochodzących, (którzy jednak w tej książce uwzględnieni być nie mogą, jako że ukończywszy przynajmniej szkołę średnią do autentycznych pisarzy ludowych liczeni być nie mogą) — niebezpieczeństwo to więc w tem tkwi, iż z jednej strony powieść tego gatunku okazuje się rodzajem najłatwiej dostępnym dla pisarza samouka, ale z drugiej strony zauważyć dziś możemy kryzys powieści reportażowej i autobiograficznej³⁾.

nie mówiąc już oczywiście o nagminnie szerzącej się grafomanji, biorąc pod uwagę tylko tych, którzy rzeczywiście cośkolwiek „mają do powiedzenia“ i umieją to w sposób co najmniej poprawny wyrazić, stwierdzić należy, że mamy do czynienia z zalewem powieści stosunkowo najłatwiejszej, będącej odpisem życia nie zawsze intelektualnie interesującego, operującej stosunkowo najłatwiejszymi efektami artystycznymi, jaką jest nastrojowość, tzw. „atmosfera“, pretensjonalna metaforyka stylu, brutalność i drastyczność opisów, przy zupełnem kompozycyjnem rozluźnieniu, lub na odwrót efekciarskich sztuczkach kompozycyjnych, nie uzasadnionych myślowo. Publiczność czytająca mniej wybredna odwraca się ku powieściom nawet starszym, zajmującym przez kunsztowną i ożywioną fabułę, czytelnicy wybredniejsi sięgają po starych lub niedawno jeszcze za przestarzałych uznawanych, wytrawnych majstrów powieści psycholo-

gicznej (taki nawrót ku pisarzom dawniejszym nie jest naturalnie niczem niepożądanem). Stąd wynika dla pisarzy dziś zaczynających, iż stają przed coraz surowszemi egzaminami krytyki; krytyce musi zależeć na tem, ażeby stworzyć pewne tamy i utrudnienia szeroko rozlewającej się fali powieścio-pisania: gdzie jest wielka podaż, tam wybredniejszym staje się popyt. Ostatecznie każde życie ludzkie — (może z wyjątkiem życia darmozjadów, nieinteligentnych próżniaków?) — jest nieskończenie, absolutnie, ważne: ale czy każdy opis każdego życia może mieć taką samą ważność? Jeśli nie ma życia tak prozaicznego, aby nie można dać zeń sprawozdania artystycznie zajmującego, to w każdym razie potrzeba tęgiego artysty do takiej sprawy. Teoretycy powieści zastanawiają się nad tem, jak z powieści zrobić trudniejszy rodzaj pisarski niż dotychczas, odpowiadający wymaganiom artystycznym twardszym i bardziej wyrafinowanym⁴). Wymagania te, z natury rzeczy, w pierwszym rzędzie muszą celować w pisarzy, którzy nie mieli czasu i sposobności kształcić się literacko i ogólnie.

Ale znów byłoby to bardzo dziwne, gdyby dzisiejsze warstwy pracujące fizycznie, wstrząsane wielkim dreszczem ambicji i pragnień politycznych i kulturalnych, nie miały swoich ludzi, pośród nich urodzonych, z nimi pospół pracujących, żyjących ich życiem, przez którychby się wypowiadały. Ze wszęch stron życie zaczyna głościć się, krzyczeć, mówić o sobie. Niema czasu na artyzm, kiedy to, na czem życiu zależy jest ważne, kiedy to, o czem życie ma do powiedzenia jest straszne⁵). Ale odrazu, dopóki istnieje kultura wyższa, a w niej sztuka i literatura, w danym wypadku beletrystyka — dopóty

zależać musi na tem, aby się to mówienie życia o sobie nie rozlewało falą szumną ale płytką, lecz obracało w głęboki nurt mowy intelektualnie i artystycznie zdyscyplinowanej, obwałowanej formami stylu. Nie pozostaje więc nic innego jak tylko postulat, już w tej książce raz wystawiony, jakiejś mianowicie rozsądnej pedagogji i jakiejś opieki literackiej (także rozsądnej! — nie idzie o darmochę) nad tymi pisarzami ludowymi, ale tylko tymi, którzy na to rzeczywiście zasługują. Trzeba im ułatwić kształcenie się literackie i ogólno-umysłowe. Tylko bowiem przez kulturę literacką i intelektualną powieść reportażowa może się podnieść na poziom wysokiej powieści, tylko przez taką kulturę pisarz (każdy pisarz!) może odnaleźć swoją drogę do tzw. „zagadnień wiecznych“. Powieściopisarz ludowy zajmuje nas w każdym razie, ze względu na wiadomości, które przynosi, zajmuje nas tem szczerzej, im jest szczerzy, im rzetelniejszym jest informatorem; ale niech nauczy się pisać tak, aby przydawka „ludowy“ oznaczała tylko miejsce, w którym on stoi, a nie jakąkolwiek, by i jak sympatyczną naiwność. Jest wprawdzie jakiś żal, kiedy się widzi odchodzącą bezpowrotnie porę naiwności, w życiu zbiorowym tak jak indywidualnem; ale rośnie się poto, żeby dorosnąć⁶⁾.

¹⁾ Por. rozdz. XVIII, XIX, XX, tam biografje i cytacje.

²⁾ Por. I, 194, mowa weselna u Wojciechowskiego; także I, 45.

³⁾ Por. cenne uwagi K. Irzykowskiego w art. pt. *Autobiografizm* jak: „Prawdziwa autobiografja jest pewnego rodzaju bohaterstwem i może być tylko czynem wyjątkowym, a nie epidemicznym“ i inne na ten temat (*Rocznik literacki* za r. 1936).

4) Znany poeta francuski, Valéry, powiada, że nie mógłby napisać powieści, bo nie miałby ochoty do pisania tyłu i takich rzeczy „niepotrzebnych“, jak np. „wszedł i otworzył drzwi“ itp. Powieść stanie się dziełem sztuki, zgęszczona do relacyj rzeczywiście (artystycznie) potrzebnych, koniecznych.

5) W ten sposób traktuję smutną powieść J. M o r t o n a, *Spowiedź*, Rój, 1937, przedstawiającą życie artystycznie mniej zajmujące, ale która zwraca opinii uwagę na dolę studenta-*nędz*arza.

6) Por. też uwagi w T. I, str. 23, 28, 38.

XVIII. JAN BRZOZA.

Jan Brzoza¹⁾, ur. w r. 1910 we Lwowie, w rodzinie mieszanej rusko-polskiej; ojciec cieśla, z ruskich chłopów z okolic Rohatyna, którzy mieli w swym rodzie Tatarów, matka szlachcianka polska z okolic Sądowej Wiszni. Matka odumiera go wcześniej, ojciec żeni się powtórnie, macocha nie jest dobra dla pasierbów. Wybuch wojna, ojciec udaje się do wojska, oddając chłopca do terminu u szewca, gdyż macocha nie chce go trzymać w domu: „U szewca jest mi bardzo źle, przechodzę wszelkie przykrości, na jakie tylko może być narażony chłopak na praktyce bezpłatnej. Głód, wszy, bicie, szykany“. Nie mogąc wytrzymać dłużej, ucieka po kilku miesiącach, zostaje bezdomnym ulicznikiem, sprzedaje gazety, zapalki, kradnie, śpi gdzie się uda. Ojciec przyjeżdża z frontu na urlop, zmusza macochę do przyjęcia go w dom. Przykrości powtarzają się. Chłopiec zmuszony jest zarabiać przygodnie rozmaitemi posługami. Kończy jednak 7-klasową szkołę powszechną (tzw. wówczas „wydziałową“). W r. 1919 ojciec wraca z wojny, uczy go przy sobie ciesiołki. Brzoza uczęszcza teraz na

kursy rzemioł budowlanych w szkole przemysłowej we Lwowie, potem na pierwszy rok Państwowej Szkoły Drogowej. Przychodzą lata inflacyjne, oszczędności, które zebrał sobie jako cieśla, mające mu służyć przez czas nauki w szkole drogowej, niszczej, szkoły tej nie może ukończyć, zaczyna wędrówkę za pracą w zawodzie ciesielskim, wędruje aż na Śląsk. Żeni się. Nadchodzi tymczasem bezrobocie (1929), B. chwyta się prac przygodnych, jest pomocnikiem murarskim, stolarzem, robotnikiem ziemnym, kolporterem ulotek reklamowych, zamiataczem śniegu, potem z kolei subjektem w księgarni, i znowuż czyścicielem podłóg, zbijaczem paczek w fabryce itp. Przechodzi wraz z rodziną (ma tymczasem już czworo dzieci) okresy dolegliwego głodu. W r. 1931 bierze udział w konkursie na pamiętnik bezrobotnego, otrzymuje nagrodę, pamiętnik jego jest drukowany w *Pamiętnikach*²⁾. To go zachęca do pracy literackiej, do której miał inklinację, już na dobre ima się pióra. Znajduje życzliwych, którzy mu w tym zamiarze pomagają, dyr. rozgłośni lwowskiej Juljusza Petryego i dr. Włodzimierza Jampolskiego, red. *Nowin Porannych*. W r. 1933 wygłasza przed mikrofonem nowelę *Koń*, w lwowskim Związku Literatów odczytuje napisany tymczasem dramat *Zaloga A*, drukuje od tego czasu w pismach, mówi w radjo. W czerwcu 1936 wydaje powieść *Dzieci*, która uzyskuje przychylnie recenzje w dziennikach i czasopismach literackich³⁾. Talent Brzozy jest niewątpliwy i poetyczny; czy jednak starczy go na to, aby utrzymać pisarza zawodowego wraz z rodziną i nie wycieńczyć się, przyszłość okaże. Byłoby, tak sądzę, pożądanem, aby Brzozie zapewnić jakieś wystarczające utrzy-

manie stałe poza literaturą, aby mógł pracować nad swym rozwojem i unikł inflacji pisarskiej. Siłą tego pisarza jest jego uczuciowość — ale uczuciowość jako siła pisarza, może być zarazem jego słabością, jeśli nie idzie z nią krok w krok skupienie i dojrzewanie intelektualne; uczuciowość nie da się bezkarnie eksploatować literacko; pisarz o wyższym wykształceniu, i wogóle pisarz, któremu jego życie w środowiskach inteligentkich i burżuazyjnych, daje szerszy widok na komplikacje epoki i życia cywilizowanego, ma o wiele obfitszą do rozporządzenia tematykę pisarską i napotyka na zawiłłą problematykę form i treści niż pisarz — samouk, który tkwi w życiu ścieśnionem i surowem, bądźco bądź mniej pobudzającym (chyba że będzie to jednostka tak intelektualistycznie nastawiona, jak inny z naszych tu beletrystów). Takiemu pisarzowi, ażeby się nie zmarnował i nie zmarnował, trzeba dać warunki, aby mógł być cierpliwym, nie spieszyć się z pisanem i ogłaszaniem, spokojnie wzrastać, uczyć się, więcej wiedzieć, dostrzegać opory intelektualne, zawiłłania, trudności, zagadnienia — i do nich się u m y ś l o w o podciągać, nietylko sercem i stylem reagować, choćby i to serce i ten styl były szlachetne.

1) Pseudonim; właśc. nazwisko Józef Worobiec. Czuje się Polakiem (wyznania nie podaje): „Wychowanie odebrałem polskie. Pierwsze nauki odebrałem w szkołach lwowskich św. Elżbiety, św. Marji Magdaleny, H. Sienkiewicza“. (Wedł. maszynopisu (5 str.) w mem. posiadaniu, pt. *Autobiografia*).

2) Pam. nr. 55. Pamiętnik ten zwrócił i moją uwagę, nie wiedząc, że to utwór przyszłego literata, zamieściłem tu wyjątki zeń (wyj. 124, 125, 126, I, 249—250).

3) Z biblijografji Brzozy: *Zaloga A*, dramat, drukowany

w miesięczniku warszawskim *Droga*, 1935, 9, 10; wystawiony w Teatrze Polskim w Katowicach w r. 1933 *Szyb Zosia*, dramat; *Pieśń o Hołowaczu*, dramat; *O dwóch poczciwcach, którzy napisali komedję*, komedja (autor nie podał mi bliższych wzmianek, gdzie to drukował; prócz tego feljetony, nowele). (*O Załodze A*, por. Leopold Kielanowski, *Nieocukrzony tematy, o Janie Brzozie, robotniku-poecie*, *Pion* 10/933: „Dzieło Jana Brzozy nie jest faktomontażem. Nie poprzestaje on na ukazaniu zewnętrznych wypadków, lecz rzuca na ich tło obraz duszy robotniczej. Ukazuje jej porywy, tęsknoty i zmagania z losem w walce o prawo do życia. Poszczególne obrazy odznaczają się sugestywną prawdą i wstrząsającym realizmem. Wstrząsająca w swym tragicznie jest scena wynoszenia robotników załogi A po 11-dniowym pobycie w sztolni — — —“. Dramat *Szyb Zosia* ma za tło zagłębienie naftowe małopolskie (Borysław, gdzie też Brzoza przebywał): „Szyb naftowy „Zosia“ niby fatum tragiczne włada życiem i śmiercią wielu ludzi. Historia zatem pewnej wieży wiertniczej, systemu kanadyjskiego, przyczepionej malowniczo do jakiejś tam góry, gdzieś w zapadłym kącie Europy, daje przekrój życia tych, których całe istnienie jest z nią związane. Nietylko robotnicy naftowi w Borysławiu, ale i wielu ludzi na szerokim świecie, w Paryżu czy Montrealu, uzależnia swój byt od wybuchu ropy w szybie „Zosia“. Zarówno świat kapitału, jak i świat pracy mają swoje troski i nędze. — — — Jakże daleki jest Brzoza od klanu agitacyjnych pisarzy proletarjackich, bielących 100% owo robociarzy, a czerniących bez pardonu burżujów. Nie agituje, gdyż nie przyjmuje żadnych gotowych doktryn społecznych. — — — — powoduje się przekonaniem, że zagadnienia moralne są najistotniejszym terenem twórczości literackiej — — —“.

219. [Praca pisarska¹⁾].

Zaznaczam, że praca moja pisarska nie „wybuchła“ wskutek jakichś nadzwyczajnych okoliczności (jak np. konkursowa nagroda) ale jest wytworem nieustannej, w bardzo trudnych warunkach,

nieomal od dzieciństwa trwającej pracy samokształceniowej. Będąc jeszcze bezdomnym ulicznikiem postanowiłem sobie, że czegoś dokonam „wielkiego“. Marzeniem mojem było zawsze uczyć się. Niestety warunki nie pozwoliły mi na ukończenie jakichś studjów. Te wszystkie szkoły, które oficjalnie ukończyłem z wielkimi trudnościami i przeciwieństwami równają się poziomowi 3 klas szk. śr. Od 14 roku życia musiałem zarabiać na życie. Takie zarabianie nie sprzyjało absolutnie nauce. Mimo to uczyłem się nieustannie. Korzystałem z każdej okazji z każdej książki, każdego afisza — z każdego seansu kinowego, czy przedstawienia teatralnego. Jestem samoukiem. Kiedy chodziłem do popołudniowej szkoły, a przed południem biegałem z wezwaniami miejskiego biura rozdawnictwa kart chlebowych — nie uczyłem się lekcji prawie zupełnie i nie przynosiłem zadań. Nie miałem na to poprostu czasu i było z mojami notami bardzo źle; mimo to zwrócił na mnie uwagę nauczyciel śp. Kotuski. On to powiedział mi, że mam zdolności literackie — on broił mnie i wyjednywał jakie takie noty, on pożyczał mi dzieła klasyków polskich i obcych. On starał się o umieszczenie mnie gdzieś w zakładzie naukowym i bardzo ubolewał, że się mu to nie udało. Już wtedy postanowiłem zostać pisarzem. Życie jednak rzucało mną, jak liściem i zawsze stawało wpoprzek moim dążeniom. Niemniej dopiąłem swego. Nietylko jednak chodziło mi o jakąś „sławę“. Chcę pokazać światu ludzi pracy fizycznej i umysłowej. Chcę pojednać ludzi, którzy wprowadzili pomiędzy siebie mylne pojęcie „walki o byt“. Walka o byt odbywa się tylko pomiędzy gatunkami, a nigdy w tych samych gatunkach. Chcę

udowodnić, że praca jest jedynym i wyłącznym rodzajem szlachetnego współzawodnictwa. Jeżeli mi się to uda choć w małej części — dokonam czegoś „wielkiego“.

1) Z rękopisu w posiadaniu autora Antologii.

*

Jan Brzoza, *Dzieci*, Powieść, Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa, 1936.

220. [Dzieci ulicy, 5¹].

O tak — jest ich dużo, aż się w głowie mąci. Rankami, gdy miasto budzi się z ciężkiego, chorobliwego snu, a ulice zatopione są jeszcze we fioletowej mgłę świtu — gdy syreny fabryczne wyją ochryplym chórem rozpaczy — gdy na placach i halach targowych rozkładają się krwawe płaty mięsa i góry jarzyn — gdy pierwsze tramwaje wysuwają się cicho z czarnych jeszcze pudeł remiz —

— albo zimą, gdy granatowe sylwety pracowni spychają siny śnieg z zawianych chodników —

— albo jesienią, gdy na bruku rozpościera się wilgotna rosa, jak rozsmazane łyży — — —

— wtedy z zadyszanych drukarni i zatęchłych redakcji wybiegają niezliczone gromady dzieci.

I chociaż biegną przez całą szerokość ulicy, tupotu nóg nie słyszą. Jest tylko szum — szum biegnących postaci, biegnących szybko bosemi, lub na pół bosemi nogami.

A potem krzyk.

Szum i krzyk.

Dzieci nawołują piskliwymi głosami, a ponieważ biegną przytem, głosy ich drżą i wygląda to tak, jak płacz. A — molowy płacz ulicy.

I tak zaczyna się dzień.

Na przodzie biegą chłopcy starsi i dziewczęta prawie już dorosłe. Dalej lecą mniejsze. A na samym końcu drepcą te najmniejsze. Drobniemi stopami przebiegają niezdarnie i podobne są do małych kacząt, a pęki gazet, trzymane oburącz, są tak wielkie, że wydają się większe od dźwigających je dzieci. Wołają przytem cienkimi głosikami aż do zachrypnięcia. Ulica szumi, a powietrze drży, jak od oddechu śmierci. Stęchły zaduch nędzy rozwiął się już. Pęki gazet rozprysnęły się po całym mieście.

I wtedy zaczyna się dzień. Oto nagle hale targowe zakwitły różowemi płatami mięsa, pachnie krew i patrzą wytrzeszczone przedśmiertnym strachem oczy rozplątanych głów. Oto sterty rumberbarum, jarzyn i chleba, chleba całe góry. Otwierają się sklepy z przeraźliwym zgrzytem. Pachnie wosk do podłóg i nocna knajpa. Na podwórzach trzepią kołdry. W kuchniach dzwonią tłuczki i stukają siekacze. Grajkowie rzepolą smętne tanga. Bębnią fortepiany i na skrętach zgrzytają tramwaje, a tam: wrzasnęła nagle orkiestra wojskowa...

Gdy lato rozgrzeje bruki i mury kamienic na peryferjach — krzyk tam jest i brzęczenie, jak w jakimś olbrzymim ulu. Dzieci brudne, dzieci półnagie, obdarte bawią się. Rzucają piłkami, kamieniami, biegają i płaczą się pomiędzy przechodniami, grzebią w rynsztokach i błocie.

I gdy zapadnie zmrok, wówczas krzyk dzieci jest głośniejszy i zabawa raźniejsza. A gdy miasto zapłonie łuną świateł i głośniki radiowe zaskrzeczą muzyką — wówczas pod ciemne niebiosy wzbija się znowu krzyk dzieci. To wieczorne gazety ogłaszają miastu najświeższe nowiny z placu boju: „Abisyńcy zdobyli czołg!“...

A potem przychodzi noc cicha. Zegary dzwonią smętnie odwieczne godziny. Albo w zimie, jest tylko sama cisza. Nie słychać nigdzie głosów dziecięcych. Tylko w parku suną saneczki za saneczkami w oślepiającej bieli puszystego śniegu. Dzwonią śmiechy najczystszym srebrem i płoną rumieńce na pyzatyh twarzyczkach. A na lodzie gra muzyka „Księżniczkę czardasza“. Migocą barwne ubiory w takt cygańskich walców, a na ulicach dzieci sprzedają zapałki, jak w baśni Andersena.

Sprzedają zapałki i gazety.

Z otwartych ust wybuchają wraz z kłębami pary okrzyki: „Włosi rzucili sześć tysięcy kilogramów bomb“....

1) Wstęp do powieści (przygrywka).

221. [Mała gazeciarka, 171].

— — — zaczyna się robić coraz ciemniej i lampy coraz więcej rozbłyskują, odbijając się na mokrym bruku. A ludzie, którzy idą, są tacy wielcy, jak cały świat. I wyglądają tak, jakby chodzili po wodzie. Ulica cała iskrzy się i mieni tysiącami różnobarwnych ogników, które tańczą po bruku w takt padającego deszczu. A deszcz pada i pada. Tramwaje płyną po tych światłach i wyglądają, jak czerwone banie noworoczne, które niosą w rękach kołędnicy. A samochody to tylko tak huczą, ślizgają się smugami światła i bryzgają błotem po twarzy. Najdziwniej wyglądają wozy zaprzężone w konie. Konie są jakieś takie¹⁾ długie, a wozy krzywe w zygzaki czarne. Woźnice są tacy śpiczaści. A deszcz pada i leje się za kołnierz zimną strugą, i zęby kłapią,

że nie można ich już utrzymać w spokoju, i język robi się taki sztywny, i noga boli, i całe ciało piecze ogniem, i wargi pękają, i ręce tak drżą, tak się trzęsą, że nie można nawet reszty wydać i gazety podać. Dziewczynka skuliła się tak, jakby chciała wleźć cała w te szmaty liche, przyklepłe do wątego, jakże wątego ciała, zimnym, aż boleśnie zimnym okładem. Ale znowu przypłynął czerwony tramwaj i trzeba biec, wskakiwać na stopień, wołać, prosić! A potem wyskakiwać szybko, bo tramwaj już wziął pełny bieg.

I wówczas stało się to.

Ostry dziecięcy pisk.

Nagły zgrzyt hamowanego wozu tramwajowego. Beładna bieranina ludzi, wielkich, jak cały świat. Przerażone twarze, zbity tłum, chóralne okrzyki, wydłużone konie, alarmowe gwizdki i ten krzyk...

Przejmujący do szpiku kości krzyk dziecka.

A potem cisza.

Cisza taka, że nawet deszczu padającego nie słychać.

A potem ten znany przeciągły, tremolowy ryk trąbki karetki pogotowia ratunkowego.

Tyle wszystkiego.

Józek podniósł z mokrego bruku plik zamoczonych na nic gazet, które wypadły raz na zawsze z rąk dziewczynki Baški. — —

1) Nadużywa tego „jakiś taki“, zasadniczo uzasadnionego tem, że stara się zbliżyć do stylu dziecięcego.

XIX. WŁADYSŁAW PAWLAK.

Urodził się na Boże Narodzenie r. 1902 w Łodzi; ojciec i matka, oboje robotnicy fabryczni. Z po-

czątkiem wojny wyjeżdżają do puszczy Białowie-
skiej, gdzie i on jako czternastoletni chłopak już
pracuje w tartaku. Po wojnie wracają do Łodzi;
ojciec niebawem umiera, on zarabia na utrzymanie
swoje i matki. Jest gońcem biurowym, wieczorami
uczęszcza na kursy gimnazjalne. Ma nadzieję zostać
urzędnikiem, tymczasem traci posadę, ulega bezro-
bociu, chwyta się różnych zajęć, jest jakiś czas
agentem handlowym, wkońcu zabiera się do szew-
stwa, pracuje jako chałupnik u krewnego majstra.
Pracuje od wczesnego ranka do późnego wieczora
przy naprawie butów, tygodniowo zarabia od 10 do
12 złotych. W wolnych chwilach i dniach, a głów-
nie nocami, pisze. Nagroda konkursowa za po-
wieść¹⁾ zastaje go przy tej pracy. Żeni się teraz.
O pisaniu marzył — jak się reporterowi zwierza²⁾ —
od dziecka: „Byłem jeszcze chłopcem, gdy opętała
mnie idea: pisać, wyrażać co myślę, co czu-
ję...“ Czyta dużo, największe na nim wrażenie wy-
wiera Siemkiewicz, a potem Żeromski. W swej
powieści, (którą posyła na konkurs nie mógłszy
znaleźć wydawcy), chciał „możliwie najwierniej
przedstawić życie robotnicze, środowiska z którego
pochodzi, w którym wyrósł: *Kamienica wiel-
kiego miasta* jest kamienicą syntetyczną. Po-
stacie mojej powieści to materiał życiowy, który
staralem się na miarę mych sił przetworzyć na war-
tości artystyczne“. Zamierza oddać się zawodowi pi-
sarskiemu: „— — — Jestem ocalony, bo w r a c a m
do siebie, do zajęcia, o którym zawsze marzyłem,
a marzenie to podtrzymywało we mnie siły w chwila-
ch najbardziej ciężkich i mrocznych“. Myśli teraz
o powieści, w którejby oddał życie młodego poko-
lenia na tle ciężkiej epoki. Należy młodemu sympa-

tycznemu pisarzowi życzyć, aby rozwijając się, zdołał znaleźć wielu chętnych czytelników dla swej odkrywczej pracy, którą wykonywa tak rzetelnie, z talentem literackim nie błyszczącym wprawdzie, ale niezaprzeczalnym a bezpretensjonalnym.

1) VII nagroda konkursu powieściowego *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* w r. 1936. Jury konkursowe o utworze Pawlaka wydało następujące orzeczenie:

„*Kamienica wielkiego miasta* maluje świat robotniczy po raz pierwszy bodaj w literaturze polskiej, odtworzonej z taką prostotą, szczerością i bezpośredniością.

Artystyczny dobór tematów, bystra obserwacja, spokój akcji, pulsujący jednak żywą krwią, plastyka postaci, żyjących życiem prawdziwym i pełnym, tragizm nie „robiony“ i przez to naprawdę tragiczny, umiejętność operowania zbiorowości, jako „bohaterem“ powieści, unikanie łatwych efektów i sztywnych tendencji, świadczy niezbicie o talencie autora.

Jest to zapewne jednak talent samorodny, nie posiadający wyrobienia literackiego i stąd grzeszący nieporadnościami stylu“.

(Właściwie mniej tu „nieporadności stylu“, niż w niektórych innych na tym konkursie nagrodzonych powieści, inteligentkich i półinteligentkich...).

2) Por. wywiad: *Chalupnik szewski z Łodzi powieściopisarzem*, *Il. Kurj. Codz.* 13. VI. 1936.

*

Władysław Pawlak *Kamienica wielkiego miasta*. Powieść drukowana w *Il. Kurjerze Codziennym*, 1936/37.

222. [Medycyna ludowa].

— — Tej nocy Kurpikowie mało co spali. Jadzia grymasiła, aż do świtu, budząc rodziców. Kurpik i dzieci to jeszcze, ale ona to dopiero, gdy dziecko zmęczone całodziennym płaczem zdrzemnęło, zasnęła przy niem.

Jadzia całe pół dnia była przy niej niespokojna i Kurpikowa wiedziała, że dziecko jest chore. Ciężko zmartwiona poszła do fabryki.

Po południu Jadzia mocno gorączkowała, bezradny Kurpik z niecierpliwości klapsnął dziecko, wreszcie przed wieczorem posłał po Zosię.

Nieszczęśliwa matka wróciwszy z fabryki, zastała niemowlę nieprzytomne i jak ogień rozpalone.

Robiła dziewczynce zimne okłady — napróżno. Dziecko zrywało się w kołysce i krzychało przeraźliwie, trzeba je było wciąż na rękach nosić.

Sąsiadki wchodziły do Kurpików i doradzały jedna przez drugą.

— Una sie tak stracho, jakby sie czego przelinkła — mówiła Janiakowa, przyglądając się Jadzi.

— I to być może — odpowiedziała Kurpikowa — mój robił wczoraj ambarasy, to mogła sie i przestraszyć.

— To możeby wosku przeloc, to sie uspokoji — wtrąciła Nowakowa¹⁾.

— Sama już nie wim, co robić — Kurpikowa była niezdecydowana — takie to dobre było, a tero naroz takie uprzykszone [*sic*]. Jutro zrana zaro do Kasy chorych pójdę — rzekła.

— Niech pani zrezykuje przeloc wosku, może pomoże, co to szkodzi. Ma pani grómnice w domu? — zapytała Andźka.

— Jes.

— Bo nima co jutra czekać, a odrazu sie wziuć — rzekła znowu.

— Pomoże i do Kasy chorych nie bedzie pani potrzebowała chodzić — dodała Nowakowa.

Kurpikowa dała się nakłonić.

Kurpik zdjął gromnicę wiszącą w rogu nad łóżkiem, zeszkrobał wosku i że się ze Szczepaniakiem gniewali, Andżka poszła doń po różgi z miotły.

Gdy przyniosła, połamali, puścili na talerz z wodą. Kurpikowa po ułożeniu Jadzi w kołysce, trzymała talerz nad dzieckiem, a Kurpik topił wosk. Topiony padał na wodę skwiercząc i zaraz zastygwał.

Po skończeniu oglądali wszyscy. Na talerzu potworzyły się jakieś niby grudki ziemi wyrzuconej przez kretów na ścieżki ogrodowe i pływające po wodzie, z których wszystkiego można było się domyśleć.

— Wychodzi tak — deliberowała Janiakowa — jakby tu jaki dziód przychodził i dziecko się go przelinkło. Nie przypomino sobie pani Kurpikowo, albo wy dzieci?

— Mało to dziadów chodzi, dźwi sie przed nimi nie zamykajum, może sie i jednygo przelinkła — rzekł Kurpik.

— To być może — powiedziała Kurpikowa.

— Pamięta mamusia te cyganki, co były u nas przedwczoraj — przypomniała Zosia. — Jadzia zaraz przy nich zaczęła krzyczeć.

— I cyganki mogła sie przelinknuć — przytaknęła Janikowa.

Kobiet w izbie nie ubywało, a coraz któraś się wsuwała, dopytując, jak dziecku i wszystkie radziły.

Po dziewiątej weszła i Kamińska.

— Może una sie przełumała — rzekła, przyrzawszy się Jadzi, trzymanej na rękę przez Kurpikową — bo tako jakoś skulono.

— Doktorzy nie wierzum w przełamania — rzekła Andżka.

— Co tam doktorzy, jim tyż wszyskiego wierzyć ni można — odrzekła Kamińska — żeby wierzyli, to może mniej garbatych byłoby na świecie. Niech pani położy poduszkę na stole, to dziecko przemierze.

Położyli poduszkę na stole, a na niej Jadzię.

Kamińska po nasmarowaniu obu dłoni tłuszczem, chwyciła jedną ręką dziewczynkę za rączkę, a drugą za przeciwległą trzymanej rączki, nóżkę, zgięła je w stawach i przyciągała kolejno raz lewą, to prawą nóżkę do łokcia rączki.

Dziecko krzyczało, lecz Kamińska nie zważała, raz po raz zmieniała nóżki i rączki niemowlęcia, że kosteczki w niem chrobotwały.

— Uu — sapała ze zmęczenia — na dzisiaj dosyć — rzekła.

Weszła i Zawadzka dowiedzieć się o zdrowie Jadzi.

— Tak boczkami robi — mówiła, patrząc na dziecko — jakby zapalenie płuc miała.

— Na zapalenie płuc najlepsi wziunć zimny wody prosto ze studni i nagie całkim zanurzyć, to choroba zaro przejdzie — radziła malarka.

— Czy to tak można wszystko robić, co kto powi? — rzekła strapiona Kurpikowa.

— Trzeba dziecko ratować — rzekła Janiakowa.

— Pewnie — wtrąciła Nowakowa — doktorzy tyż, jak im się udo, to dobrze; a nie zgadnie choroby, to chorymu jeszcze gorzy po jejich likarstwach i nie jedyn przez nich ju na tamtyn świat poszedł. Moja kuma — zwróciła się do wszystkich kobiet — ta, co do mnie przychodzi...

— Ta blondyna? — zapytała Kamińska.

— Ta, ta...

— Jak sie to spasała, jak ta beka, wyglundo, że ji poznać ni moge — przerwała Nowakowej Zawadzka.

— Pamintum jak nie tak dawno wyglundowała jak ta śmierć na chorungwi — rzekła Janiakowa.

— A tak — mówiła Nowakowa dalej — doktory jum do tego doprowadzili i żeby jim dłuży wierzyła, możeby ju dawno piosek gryzła. Chodziła do nich pore lat. Likarstw to ji nadawali, że aptyke mogłaby u siebie w domu założyć, a nic ji nie dopomogli. Liczyli jum na żołundek, i wyliczuć nie mogli. W kuńcu powiedzieli, że musi mieć operacje. Nie chciała przystać i mundrze zrobiła. Zoperowaliby z pewnością na zawsze. Bo co jim szkodzi tym rzeźnikiem człowieka porznuć, aby mieli winkszum praktykę.

Wkuńcu zeżułkła, nogi ledwie stawiwała i dopiro sklepowo w jejich dumu doradziła ji, żeby ugotowała czosku i tyn odwar z niego piła. Nie chciała. Wtedy sklepowo ugotowała i przymusiła jum do wypicia. Z wielkim obrzydzeniem wypiała, a późni sama gotowała i trzy razy dzinnie piła. Śmierdziało od ni zdaleka, ale co powita kobity? wyzdrowiała. Bo una roboki na wuntrobie miała, a doktory na żołundek jum liczyli.

— Od czosku pozdychały — rzekła Kamińska.

— Ano tak — odparła Nowakowa.

Wszystkie kobiety gorąco omawiały opowiadanie Nowakowej. Jedna tylko Kurpikowa chodziła po izbie z dzieckiem na ręce.

— A znowu moja siostra — rozpoczęła Zawadzka — miała egiskie zapaliny w oczach. Do doktora codziń chodziła i wyliczyli jum tak, że

ju prawie ślepo była, że jóm trzeba była za rynke prowadzać. Wszyscy my sie martwili, a una ile sie nie napłakała, bo dziewczucha ładno była, a jakby oślepla, to na żebry pod kościół musiałyby iś. Dopiro jedyn we fabryce doradził mojemu ojcu, żeby ji oczy tabakum zasypać. Nie wiedzieliśmy co robić, una z rozpaczy na wszystko sie godziła. Ojciec ji zasypał. Ile sie wtedy nakrzyczała, narzucała, oknym chciała hulać, myślelimy, że zgłupiała, a łzy to ji się tak z oczów loły, jak dysz. Przeszed tak jakiś czas, aż z tego bólu wraziła głowe w pierzyne i tak zasnyła. Jak sie obudziła oczy białe miała i jeszcze lepi widziła jak przed tym. Od ty pory noga jeji u doktora nie postoji.

— Przeżarło ji — rzekła malarka.

— Widzi pani Kurpikowo, że trzeba wszyskiego próbować, aż sie co nado — rzekła Janiakowa.

Kurpik poszedł po świeżą wodę do studni. Nanosił pełną wanienkę, a Kurpikowa rozebrała Jadzię, poczem zanurzyła ją kilkakrotnie w wodzie.

Dziecko za każdym razem wzdrygało się, nie mogąc powietrza uchwycić i przestało krzyczeć.

— Teroz owinunć jóm dobrze i do kolibki — mówiła malarka — a jutro, jakby nie było lepi, to mo pani czas iś do kasy chorych.

— Wita kobity, że ju na schodach cimno — rzekła Zawadzka, uchyliwszy drzwi.

— Oto do domu czas ju spać — zawołała Nowakowa.

— Laboga, jak tu nadół zejś, jeszcze człowieka co wystraszy — mówiła malarka.

Kurpikowie nie zamknęli drzwi, by na korytarzu widno było póty, póki ostatnia sąsiadka nie zniknęła w swem mieszkaniu.

U Kurpików ta noc podobna była do poprzed-

niej. Jadzia całej nie przespała, nie dając i rodzeństwu zasnąć.

Rano Kurpikowa wykąpała ją, przyoblekła czysto i poszła do doktora.

— Dziecko chore na zapalenie mózgu, nie wiem, czy co pomogę. Dawno chore? — zapytał lekarz, gdy Kurpikowa dostała się po długim czekaniu w poczekalni.

— Trzeci dzień... — odpowiedziała.

— Trzeba było zaraz przyjść, albo wezwać doktora do domu, a nie prawie konające przynosić...

Pod Kurpikową nogi się ugięły.

— Lekarstwa nie przepiszę — mówił lekarz — niech się pani śpieszy, by dziecko żywe do domu zaniosta.

Kurpikowa nie wiedziała, co się z nią dzieje. Coś mówiła, nie umiała się z dzieckiem odziać. Jak błędna pospiesznie wracała i rozmyślała:

— Co tam doktor wi, prawdę Nowakowa mówiła? Może sie i nie poznoł, ledwie spojrzol na dziecko. Sama sie wezme, to mi jeszcze żyć bedzie. Albo za pienindze do drugiego pójdę... prawdę ludzie mówium, że te w kasie chorych, to aby sie pozbyć... Co jim to szkodzi... pensje swoje i tak dostanum...

W domu Jadzia już tak osłabła, że słabo już oddychała. Kurpikowa nie kładła jej, a na rękach nosiła. Patrzyła rozszerzonymi źrenicami w dogorywające dziecko, w które własną duszę tchnęłaby; byle tylko ono żyło. Patrzyła na dziewczynkę i kiedy Jadzia ostatnie tchnienie oddała, wstrząsnął ją ogromny ból i za jękiem szloch wyrwał się z piersi.

Za matką i dzieci głośno się rozplakały i sąsiadki jedna za drugą wbiegały zwabione lamentem.

Patrzyły pełne żalu na Kurpikową, cierpiąc wespół z nią. Nowakowa zmusiła wciąż łkającą Kurpikową, żeby położyła zastygające już zwłoki dziecka na łóżku.

Do mieszkania coraz to ktoś wchodził z dorosłych lub dzieci, by popatrzeć na Jadzię. Leżała, jak te pisklęta, które rodzice zostawili, lecąc za żerem, a za powrotem widzą martwe, które otwartymi dzióbkami skarżą się światu, że bez pieczy je zostawili.

— Tak mi się dobrze chowała, zawsze zdrowo była, a tak raptym zgasła — uskarżała się poprzez łzy Kurpikowa.

— To tyż to, pani Kurpikowo — mówiły kobiety — takie, co to wciunż kwynko, to się i wykwynko, a takie roz ino zachoruje i nie wiadomo kiedy się zawinie.

Kurpikowa mało co słuchała, a zawodziła:

— Już mi nigdy nie zapłacze. Chodzić ju zaczynała... Jak przyszłam z fabryki runczyny du mnie wyciungąła... najmilsze to to było i nima ji już... — załkała głośniej i słowa wymówić nie mogła.

— Pani Kurpikowo, Bóg wi lepi od nos, co robi, mo pani jeszcze pińć dzieci — rzekła malarka.

— Gdzie się siedym używi, tam i dło ósmygo starczy — rzekła tramwajarka — łatwo pani mówić woła bosko, ale co boleś dlo matki, to boleś...

— Różne prawa wymyślajum — łkała Kurpikowa — ale takiego, żeby chłop tyle mógł zarobić, żeby matka nie potrzebowała robić i dzieciami mogła się tylko zajmować, to nie wymyślum. To przez to mi umarła, że opieki jak się należy ni miała.

Sąsiadki niosły jej ulgę słowami serdecznymi, ale bólu matczynego ująć nie mogły. — — —

¹⁾ Medycyna ludowa używa na równi zabiegów obrzędowych (magicznych) i naturalnych — przyczem umysłowość pierwotna nie czyni i nie dostrzega żadnej między nimi różnicy. W naszym opisie magja (lanie wosku) zastosowaną jest tylko *diagnostycznie* dla zbadania rodzaju choroby. W „przemierzaniu“ są zmieszane, zdaje się, oba momenty.

XX. HENRYK WORCELL.

„Henryk Worcell“ jest pseudonimem pisarza (który nie życzy sobie rozwiązania go) urodzonego około r. 1910 w jednej z wsi pow. brzeskiego: jest to ciągle ta sama okolica nadwiślańska od Krakowa po Sandomierz, w województwie Krakowskiem, tak obfita w talenty ludowe. Ojciec jego, rolnik na 10 morgach, brał żywy udział w polityce, kandydował na posła, pisywał do *Przyjaciela Ludu*, bywał w Saksonji i Ameryce, przy robotach regulacyjnych nad Wisłą pracował jako starszy dozorca. Syn tak go charakteryzuje: „Wykazywał spryt życiowy i cenił ten spryt u ludzi obcych, stawiał mi jako przykład godny naśladowania chłopców powożących końmi i pracujących w polu — bardziej lubił dzieci obce, niżeli swoje. Czytał dużo książek i gazet, miał własną biblioteczkę, polemizował z sąsiadami, z leśniczym i z księdzem. Brak gruntowniejszej wiedzy stworzył w nim typ człowieka „mędrkującego“, nastawionego antyreligijnie. Był jednak zdolny do czynów wspaniałomyślnych (np. ofiarował księdzu większą sumę na cele parafjalne), ale tylko wówczas, gdy zwyciężał lub czuł się wyższym od tych, którym chciał

wyświadczyć dobro. Pozatem ojciec pił dużo. W stanie nietrzeźwym stawał się awanturniczy, bił żonę. O ile picie ułatwiało mu zawiązywanie stosunków z ludźmi wyższej sfery, o tyle było dla niego zgubne, jako upojenie, którego brak tem dotkliwiej odczuwał w stanie trzeźwym. Był surowy, nigdy nie okazywał czułości wobec ludzi, a zwłaszcza wobec własnych dzieci“.

Charakterystyka godna uwagi, przypomina się mianowicie ojciec Kurasia (I, 90): Taki sam człowiek wiejski inteligentniejszy od otoczenia, nie-zrównoważony, pijak¹).

Pisarz nasz, oddany do gimnazjum, na czwartej klasie kończy, z powodu trudności materialnych. Uczy się słabo: „Nie miałem cierpliwości ślęczeć nad książką szkolną, a natomiast z zapalem zabierałem się do rzeczy przekraczających moźność zrozumienia ich w tym czasie. To samo w pracy fizycznej. Nie wytrzymałem w praktyce w sklepie kolonialnym, gdzie mnie matka umieściła, nie mogłem znieść zależności od ojca, który mnie zmuszał do pracy w lesie i na roli, natomiast, gdy uciekłem z domu i zostałem „samodzielny“, wytrzymałem trzy lata praktyki w restauracji Niemca, gdzie co miesiąc praktykanci uciekali lub zostawali wydalanani, potem pracowałem znów kilka lat w kawiarni tego samego właściciela²). Wytrzymałem tam, młmo że nie byłem pracownikiem wytrwałym i solidnym. Braki te nadrabiałem doskonałością osiąganą w chwilach natchnienia (o ile można mówić o natchnieniu w najzwyczajszej pracy)“.

Odbywa dwuletnią służbę wojskową przy artylerji, naszywa sobie dwa paski kaprała. W r. 1936 wydaje swą powieść pt. *Zakłęte rewiry*, która zwraca

ca nań uwagę prasy, zyskuje mu duże uznanie wielu, także wybitnych, krytyków i rozgłos wśród czytającej publiczności, przenoszący się nawet za granicę, skąd otrzymuje propozycje przekładów. Świat restauratorsko-kelnerski jest poruszony książką, bezlitośnie odsłaniającą tajniki tego życia, moralne, a często i... kulinarne. Worcell książką swą zatrzasnął na zawsze za sobą drzwi do zawodu, który, wbrew powierzchownemu mniemaniu, wymaga pewnej inteligencji, ale ma klasyczne, poniżające godność przywary zawodów obsługi osobistej, — i to obsługi ludzi, wtedy gdy się nie pracy oddają, ale zabawie... Worcell przenosi się do jednej z miejscowości uzdrowiskowych, wchodzi w środowisko inteligentkie, które, zrazu nieufne wobec przybysza ze sfery służebnej, rychło przyjmuje go jako równouprawnionego towarzysza, ujęte jego taktowną, prostotną i uczciwą indywidualnością, nie mającą w sobie nic z parwenjusa, czy zblazowanego i nadpsutego „gigolaka“. Zaczyna drukować nowele po pismach, nowele świadczące o dużej kulturze literackiej, a co najważniejsze, interesujące... Dalszą swą przyszłość, zgodnie ze swym śmiałym rozsądkiem i całkowitym brakiem snobizmu, pojmuje Worcell oryginalnie: Pragnie pozostać pisarzem ludowym, w tym ścisłym sensie tego wyrazu, że nadal człowiekiem pracy fizycznej. Twierdzi, że przy pracy fizycznej mózg pracuje podświadomie, nienużąc, ale zato tak intensywnie, iż po 8 jej godzinach, można jeszcze przez 3 godziny pisać napisać tyle, i co najważniejsza tak samo, jeśli nie lepiej, ileby się napisało oddając pisanie owych 8 godzin...³⁾). Chce zresztą pozostać w środowisku robotniczym,

gdyż spodziewa się, że ono właśnie, jako bądź-cobądź najbliższe mu, da się mu najplodniej użyć jako temat w przyszłej pracy powieściopisarskiej. Przy swym talencie literackim, który zadziwia wy-rafinowaniem estetycznym, poniekąd i psychologicznem, Worcell gotów dać przykład pisarza ludowego w całkiem nowym stylu: Ludowego przez swój styl życia, inteligentkiego przez swój styl wy-razu i artystyczny poziom.

1) Byłoby zajmującym antropologicznem zadaniem zba-dać pod tym względem ojców ludzi utalentowanych, wyszłych z ludu: Czy przypadkiem nie potrzeba pewnego zakłócenia psychofizycznej równowagi, jakiejś „chorobliwości“, aby wstrząsnąć odwieczny intelektualny spokój masy fizycznie pra-cującej, w zaciszu surowego życia — ?

2) W Krakowie.

3) To spostrzeżenie Worcella weryfikuje mi, com hipotetycznie pisał we Wstępie (I, 40), o pogodzeniu pracy pisarskiej z fizyczną.

*

223. [Jak zacząłem pisać¹⁾].

— — — Okres praktyki nie pozwalał mi inte-resować się literaturą i nauką. Dopiero w ostat-nim roku praktyki i w pierwszych latach pracy kelnerskiej rzuciłem się zachłannie na książki. Nikt z otoczenia nie zachęcał mię do tego — przeciwnie: utrudniał. Ale właśnie dlatego czytałem, czytałem nawet w sali restauracyjnej, przy gościach, kelne-rach, kierowniku i gospodarzu. Ukrywałem książ-kę między talerzami i zaglądałem do niej udając, że piszę rachunek dla gości. Kilkakrotnie mnie przy-łapano na czytaniu podczas pracy i zagrożono wy-daleniem z interesu lub grzywną, ale na szczęście

zawsze jakoś unikałem tych kar. W tym to okresie, prócz wielu powieści polskich i obcych, pochłonałem kilkanaście dzieł naukowych: Weiningera, Mulforda, Maeterlincka, Huma, Jeruzalema, Platona, Freuda, Titchenera, Renana, Bergsona, Nietzschego i innych, pozatem dzieła o astronomii, o budowie materji, o życiu organicznem, psychologii i historję filozofji, nie pamiętam jakich autorów. Chodziłem przez jakiś czas na wykłady Heinricha, Rubczyńskiego i Chrzanowskiego, ale wkrótce porzuciłem to, bo wolałem to co oni wykładali czytać powoli i dokładnie w książkach. Zajęty książkami nie współżyłem z kolegami, nie grałem w karty, nie brałem udziału w pijatykach i orgjach erotycznych, tak popularnych wśród kelnerów. Oczywiście jest, że w takich warunkach czułem z jednej strony, że jestem bardziej wartościowy niż moi koledzy, z drugiej upokorzony ciągłem (i w dodatku bardzo bezpośrednio) obsługiwaniem gości, którzy nietylko że nie uwzględniali mojej wiedzy i ambicji, ale nawet wrogo odnosili się do wszelkich objawów wyższości młodego kelnera. Nie mogłem znaleźć pomocy intelektualnej wśród gości kawiarnianych²⁾. — — —

— — — Niechęć gościa do kelnera, który wykazuje wyższe zainteresowania: Jest to zrozumiałe, kelner bowiem jako obsługujący musi być czemś mniej wartościowem od gościa. Byłoby to czemś paradoksalnem, gdyby kelner w rozmowie z gościem wykazywał większe wartości umysłowe niżeli gość. Zauważyłem wielokrotnie, że gość, z którym ośmieliłem się rozmawiać na temat trudny, unikał moich stolików — wolał siąść u innego kelnera, tam bowiem miał gwarancję, że dozna 1) spo-

czynku, którego przecież szuka w lokalu, 2) poczucia wyższości, którego nie odczuwał jako poddany w swej pracy zawodowej i, 3) będzie mógł być śmiałym wobec usługującego, który jest mało uświadomiony w sprawach wykraczających poza jego fach. Gość nie życzy sobie, żeby kelner był inteligentnym, gdyż nie śmiałby wymagać od niego służalczości. Po bliższym poznaniu goście odnosili się do mnie z respektem, ale nie lubili mnie i unikali. Zanim to jednak zrozumiałem, czułem się upokorzony. Zacząłem pisać pamiętnik, a raczej dziennik, w którym pisałem o wszystkim tylko nie o kawiarni i gościach. Nadszedł czas, w którym zacząłem dotkliwie odczuwać jałowość swojego fachu i niemożność wybrnięcia z niego — szukałem ukojenia w pisaniu dziennika — wyżywałem się w nim i jak gdyby odgrażałem za swoje upokorzenie. Były to grafomańskie gryzmoły, pełne patosu i sentymentalizmu, ale wówczas wierzyłem, że pamiętnik stanie się czemś niesłychanie ważnym, odwetem za moje marne stanowisko w społeczeństwie. Trudno przewidzieć czy takby się nie stało. Być może, gdybym pisał dziennik przez siedem lat, ucząc się przy tem ciągle, miałby on dla mnie takie same znaczenie, jakie mają *Zakłęte rewiry*. Poznałem jednak człowieka, który przejrzawszy mój dziennik, zachęcił mnie do napisania powieści z życia kelnerów. Zabrałem się do niej i pisałem — licząc przerwę spowodowaną służbą wojskową i okresami niewiary w siebie (bo nikomu tej rzeczy nie pokazywałem i nie wiedziałem czy ma jakąkolwiek wartość) cztery lata. Przerabiałem tę powieść kilkakrotnie, tak że właściwie z początkowych prób nic nie pozostało. Ponieważ warunki

w domu miałem nieodpowiednie, pisałem ją w kawiarniach, bardzo często po wyjściu z pracy od drugiej w nocy do piątej nad ranem. Z człowiekiem, który mnie zachęcił do pisania, korespondowałem przez kilka miesięcy, potem jednak na długi czas, wskutek niepomysłnych warunków zerwaliśmy kontakt z sobą. Tak się przyzwyczaiłem do pisania po kawiarniach, że gdzieindziej trudno mi było to robić — zgiełk i szmer rozmów stał się dla mnie narokotykiem — trudno mi się było potem od niego odzwyczaić. Bardzo często zdarzało się, że pisałem w jakiejś kawiarni tuż obok gości, których przed paroma godzinami obsługiwałem, lub miałem obsługiwać na drugi dzień w kawiarni, w której pracowałem. Niezbyt przyjaźnie oni na mnie patrzyli, uśmiechali się ironicznie, szeptali do siebie, pokpiwali, posądżali mnie o snobizm. Również koledzy i właściciele pokpiwali sobie ze mnie nazywając mnie pogardliwie „poetą“, (oni mianem poety określają nie tylko poetę, ale i powieściopisarza i dziennikarza, niemal nawet pisarza kancelaryjnego).

Może warto wspomnieć o reakcji kelnerów i gospodarzy na *Zakł. rew.* Zrozumiałe jest, że byli oburzeni na mnie z powodu niedyskrecji fachowej, odgrażali się „mordobiciem“ i pisali lub chcieli pisać protesty do dzienników. Mniej zrozumiałą jest nienawiść osobista z jaką odnoszą się do mnie ci, którzy kpili, dopóki książka nie ukazała się w druku. Z chwilą, gdy ją wydałem i kpiny ich okazały się nieuzasadnione, usiłowali w jakikolwiek sposób umniejszyć jej wartość, a mnie przedstawić w jak najgorszym świetle. Również ci, którzy nie kpili, odnoszą się teraz do mnie raczej niechętnie — są to osobniki najmniej inteligentne. Środowisko nie

łatwo przebacza człowiekowi, który wyrwał się z niego na lepsze stanowisko — jest zazdrosne.

A teraz zagadnienie zasadnicze: co młody pisarz ma do zawdzięczenia środowisku, w którym żył? Sądzę, że tylko temat. Nie wiem jak się działo z innymi, ja osobiście jestem przekonany, że gdybym pracował w innym fachu, to również napisałbym książkę i uczyłbym się niezależnie od warunków zewnętrznych. W tych sprawach decydują raczej cechy odziedziczone i może atmosfera domu rodzinnego, kiedy dziecko łatwo chłonie w siebie tę atmosferę. Środowisko co najwyżej przyspiesza lub opóźnia rozwój wewnętrzny człowieka. (Kelnerstwo np. opóźnia, chociaż zdawałoby się, że powinno przyspieszać wskutek ruchu fizycznego, obcowania z wieloma ludźmi i sposobności do obserwacji). Pozatem niektóre środowiska (fachy) mogą wytwarzać w ludziach kompleks niższości — ludzie ci tracą wiarę w siebie. Ale jeżeli chodzi o pisarza ludowego, to sądzę, że właśnie ten kompleks może się stać dla niego odskocznią do czynu, jak gdyby odwetem za swoje poniżenie moralne. Może go również złamać, ale w takim razie trudno jest orzec, czy człowiek, który pozwolił się przytłumić, dokonałby czegoś wartościowego, nawet gdyby mu pomagano. W konsekwencji należałoby przyjąć, że wszelka pomoc materialna (np. stypendja) i moralna, potrzebna jest raczej dla naukowca, a zbyt duża (o ile nie szkodliwa) dla artysty. Są bowiem artyści, którzy, aby czegoś wielkiego dokonać, muszą przeżywać cierpienia — dla nich cierpienie jest tem samem, czem dla grzebisza nacisk padliny; grzebisz, gdy nie czuje na swoim grzbiecie ucisku padliny, przestaje kopać ziemię

i przesuwają się w miejsce, gdzie znów ten ucisk daje się odczuć. Artysta, który wyszedł z ludu i nie czuje cierpienia i nie szuka go, staje się człowiekiem bezpłodnym — grafomanem, którego w tej czynności może zastąpić tysiąc innych grafomanów, podobnie jak robotnika w fabryce może zastąpić tysiąc innych robotników.

¹⁾ Wedł. maszynopisu dostarczonego mi (2 str.); stamtąd informacje biograficzne.

²⁾ Tu następują mocno drastyczne informacje obyczajowe, które uważam za stosowne pominąć.

*

Henryk Worcell. *Zakłęte rewiry*. Nakł. Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1936 (str. 425).

224. [Ruch na rewirze, 80].

— — — Oh, sypały się drobne zamówienia, sypały bez przerwy, a z każdą minutą przybywało ich, było ich już tak wiele, że pamięć nie mogła ich objąć, a nogi nadażyć w ciągłej bieganinie między bufetem a kawiarnią. Romek zaczynał podejrzewać gości o tajemną znowę. Oczywiście dlatego mu zamawiają te wszystkie solodrażki, bośniaczki, razowe chleby, suche chrzany, angielskie sosy, siekane cebulki, kostki cukru, plasterki cytryny, wody sodowe i wody do mycia palców, żeby mu dokuczyć. A kiedy i czwarty i piąty stół goście zajmowali, już nie pomagał rozpaczliwy pośpiech i pamięć się na nic nie zdała. O ile przedtem miał nadzieję, że zdoła okiełznać rozbrykany rewir¹⁾, teraz widział już wyraźnie, że się wykoleił, że rewir pędzi swoim torem, a on zjechał gdzieś w bok i ugrzązł — wszystko już się wyzębiało i zaci-

nało. Do jego świadomości docierały tylko głośniejsze, natarczywsze zamówienia, oraz szturchańce i przekleństwa Specjalnego, a wszystko inne, t. zn. ruchliwa masa gości, ręce wyciągające ku niemu jakieś talerzyki i widelce, oczy złe i papastliwe czyhające na każdym zakręcie rewiru, wreszcie orkiestra głucho rzępoląca gdzieś za siódmą ścianą, i cała reszta Pacyfiku wraz z wirującymi wokoło rewirami i ludźmi — to wszystko istniało poza kręgiem jego świadomości — krąg ten zacieśniał się coraz bardziej, dusił go. Coraz częściej napastowała go rozkoszna myśl: rzucić to wszystko, wyzwolić się, wyjść na zewnątrz Pacyfiku, a tu, na rewirze niechby sobie Specjalny głowę urwał, a Kucyk biegał jak kot z pęcherzem przywiązany do ogona. Podobno niegdyś tu jeden pikolo²⁾ zrobił już tak, więc dłączegóždy... Myśl ta jedna miała dodatnią stronę. Romek bowiem wiedząc, że w każdej chwili może zostawić rewir i uciec z Pacyfiku, ciągle odkładał tę ostateczność na później: „jeszcze chwilę zaczekam, jeszcze tylko podam nakrycia“. Tymczasem zbliżała się godzina dwunasta, ruch malał. Z umysłem Romka działo się podobnie jak z lampą naftową: maleńki płomycek zaczynał się powiększać i oświetlać coraz to większą przestrzeń. Romek widział już co się działo przy poszczególnych stolikach, widział coraz wyraźniej, coraz więcej. Rewir zatoczywszy olbrzymią woltę, powoli zbliżał się do tego samego miejsca, w którym był o godzinie ósmej i spotkawszy Romka przystawał jak koń, by zabrać jeźdźca wyrzuconego z siodła³⁾.

[115] Zbliżała się godzina dziesiąta, ruch kolacyjny dosięgwał punktu kulminacyjnego: Nie było już miejsca, gdzieby można wstawić blaszany stół,

odsunięcie jednego krzesła zamykało dostęp do rewiru — ścieżki były tak wąskie, że kelnerzy i pikole zmuszeni byli prosić gości o posunięcie krzesła, lub wspinać się na palcach nóg i przeciskać bokiem, a to udawało się tylko pikolom i szczupłym kelnerom. Nad zbitem rojowiskiem głów unosił się gęsty opar — nie wiadomo, co w tem bardziej namacalne; dźwięki i głosy, czy kurz i dym tytoniowy. Sugestywne spojrzenia gości, pukanie w stoły, dzwonienie w popielniczki, stłumione tony orkiestry — wszystko to tworzyło siekaninę zjawisk fizycznych, a było tak rzeczywiste, że patrząc w lustra czuło się wyraźnie, że to, co się w nich odbija jest złudzeniem, że poza tą szklaną taflą naprawdę nie ma nic¹⁾). Kelnerzy i pikole nie pracowali już — walczyli z bezładem rewirów, kuchni i bufetów. Dopóki mózg panował nad zgrają zamówień, nogi i ręce mogły nadażyć w swoich czynnościach — teraz już dochodzono do granicy, poza którą czaiło się obrzydliwe poczucie niemocy fizycznej i umysłowej, rozpaczliwe błędzenie poomacku wśród chaosu materji, myśli i dźwięków. Wszystko co się działo poza obrębem sali, korytarza i bufetu, było dla nich tak odległe, jak życie wsi dla mieszkańców śródmieścia. Wieści jakie do nich stamtąd docierały, były niejasne i urywane. — — —

¹⁾ Rewir = część sali restauracyjnej przydzielona jednemu obsługującemu.

²⁾ Chłopiec rozpoczynający naukę na kelnera.

³⁾ Artyzm tego opisu składa się z dwóch momentów: a) realistycznego, tego mianowicie, dzięki któremu jesteśmy jakby żywcem wciągnięci w ruch na tej sali i w to „urwanie głowy“ obsługujących, ale ten moment jest hierarchicznie

niższym; wyższym jest moment nadrealistyczny, można go też nazwać mitologicznym, a mianowicie utworzenie z nieskoordynowanego tłumu gości, jakby jednej niesamowitej istoty — i dopiero to upostaciowanie fantastyczne tworzy właściwy artyzm tego i innych podobnych fragmentów — przyczem należy zauważyć, że to mitologizowanie zostało zaznaczone dyskretnie, mimochodem, nie zostało przeciągnięte. Tego rodzaju nastrojowe efekty stanowią o ściśle artystycznej (formalnej) dojrzałości pisarzy, choć, oczywiście, nietylko one!

4) Zdanie bodajże nieporadne, chce prawdopodobnie powiedzieć, że w porównaniu z „rzeczywistością“ (nasiloną) tego co się działo na sali, odbicia lustrzane straciły tę „rzeczywistościową“ zawartość, jaką mają zazwyczaj; (nb. zdanie artystyczne nie mogłoby mieć tego brzmienia, co niniejsza interpretacja).

225. [Tragedja kelnera, 198].

— — Kelner musi być inteligentny, choćby dlatego, że obraca się między „lepszymi gośćmi“ i z konieczności musi się dostosować do ich poziomu umysłowego. Ale w tym właśnie jest tragedia kelnera i tragedję tę Porański¹⁾ bardzo silnie odczuwa. Warunki w jakich kelner pracuje, wyrabiają w nim inteligencję. Ciągły ruch, obracanie się między ludźmi wykształconymi, rozmawianie z nimi, sposobność do obserwacji psychologicznych, wszystko to zmusza kelnera do myślenia, kształci go. Ale następnie co się dzieje? Otóż kelner mógłby zająć tą drogą bardzo daleko, ale tego właśnie sami goście sobie nie życzą. Spróbuj nie dostosować się do umysłowego poziomu gościa, a zobaczysz jak na tem wyjdiesz. Pokaż mu tylko, że jesteś inteligentniejszy od niego, albo nawet żeby się musiał zastanawiać nad tem, co mówisz, to jak dwa a dwa cztery,

że cię będzie unikał i nie usiadzie na twoim rewirze. Więc z jednej strony czynniki sprzyjające umysłowemu rozwojowi kelnera, z drugiej podświadoma może wrogość gościa, hamująca ten rozwój. Ty musisz być czemś podlejszem od gościa, bo ty go obsługujesz...

— Teraz jest demokratyzm, odezwał się Kamiński.

— Demokratyzm z tem nie ma nic wspólnego. Zresztą demokratyzm zupełny nigdy nie istniał i nie będzie istniał.

— — — W każdym lokalu goście mają „swojego“ kelnera — wołają na niego „Kasperku“ lub inaczej, bo najgorszy dziad, urzędniczyna, a nawet pośrednik chce mieć takiego człowieka, wobec którego mógłby grać pana, zawołać go po imieniu, poklepać, wcisnąć do łapy napiwek, a jak się uchła, poigrać sobie z „Kasperkiem“, robić z niego błazna — — —²⁾.

¹⁾ Kelner, organizator ruchu zawodowego, starający się o podniesienie godności tego zawodu.

²⁾ Uczestnicy tej rozmowy nie uwzględniają, że do pewnego poniżenia „pracowników gastronomicznych“ przyczyniają się w znacznej mierze oni sami — jeżeli tylko wierzyć autorowi *Zaklętych rewirów*, który na niejednej karcie, w dość posępnych przedstawił barwach ich stosunek do gości, wazący się między pogardą dla tych, którzy wyglądają na biednych, a służalstwem wobec zamożnych, nie mówiąc już o fałszywych rachunkach, gdy się zdarzy gratka (z bogatymi zwłaszcza) pijakami... Pozatem, system napiwków zawsze musi się przyczyniać do poniżenia każdej kategorii pracowników. Zasadniczo jednak trudno o godność wszędzie tam, gdzie człowiek służy człowiekowi

w jego słabostkach, hulankach i wybrykach... Nie będę już przytaczał z *Rewirów* scen, gdzie w młodym chłopcu budzi się wraz z pogardą nienawiść do wyuzdanych lub próżniaczych „burżujów“, którym zmuszony jest służyć. Świat proletarjacki przedstawiony przez Worcella, acz nie jest typowym, gdyż większość zawodów robotniczych nie jest poniżająca — daje jednak najwyrazistszy obraz klasowego poniżenia i rozdziału.

D) POECI.

Uwagi wstępne.

Żebyśmy odczuli pisarza ludowego, a zwłaszcza ludowego poetę, pojąć musimy istotę jego radości twórczej. Proszę wyobrazić sobie syna ludzi biednych, wędrującego za chlebem, który od chłopca najcięższych ima się robót, byle wyżyć, i proszę wyobrazić sobie czem jest dlań wiersz, który mu się udało złożyć w mowie literackiej, książkowej, inteligenckiej, gładkiej i eleganckiej. Każdy z tych złożonych przezeń kształtów jest dla niego istnem wyzwoleniem się z czarnego świata przyziemnego, uniesieniem w sferę świetlną i świetną, prawdziwą autonobilitacją. Tylko tak czytać należy, kto czytać zechce, tych poetów ludowych, zwłaszcza tych pierwszych, którzy musieli mieć radosne poczucie, że są pierwszymi chłopami, co taką formę wyrażania się zdobywają. Poetom ludowym zarzuca się — czego i ja tu i ówdzie nie uniknąłem, że ich twórczość jest szablonową; z pewnością, im więcej własnego wniesie w swą twórczość poeta, tak ludowy jak i inteligencki, tem ona świeższe da wrażenie; ale przecież jakieś *residuum* formy oficjalnej, powszechnej, w danym czasie jest niezbędne; tem zrozumialsze więc są szablony u poety ludowego — jak i u dziecka, które bawi się w literata; trzeba zrozumieć, że na tym stopniu, jeżeli szablony są pewnem i koniecznem ułatwieniem, to jednakże, żeby tak powiedzieć, ułatwieniem trudnem: samo już zdobycie gotowego szablonu, samo

już osiągnięcie poziomu, który, skądinąd oglądany, jest epigonizmem — tu ma cały czar nowości i wysiłku zwycięskiego. Poezja ludowa ma poziom poprawności, częstokroć ładności, sięgając jednak czasem wyżyn piękna.

Nad twórczością naszych poetów ludowych unosi się jako wzorzec naczelną poezja Konopnickiej, potem Lenartowicza, potem dopiero idą Syrokomla, Pol, Ujejski, Asnyk; Mickiewicz jest czytany, ale wpływów jego nie znać, lub rzadko, podobnież ma się rzecz z wpływami Krasińskiego, Słowackiego i Wyspiańskiego; w jednym wypadku wpływ Norwida.

XXI. JAN RAK.

Jan Rak urodził się w r. 1820 w Husowie pow. łańcuckiego (b. zab. austr.). Do szkoły nie chodził. Zajmował się tkactwem, malarstwem, rzeźbiarstwem, w którym celował talentem, kapelusznictwem, koszykarstwem; był też pisarzem gminnym i oglądaczem bydła, wkońcu utrzymał się przy tkactwie. Wiersze swe pisze na odwrocie okólników gminnych, na certyfikatach weterynaryjnych, paszportach dla bydła, itp. świstkach¹⁾. Jest jednym z kilku, o których nam wiadomo, 'poetów ludowych, że jeszcze za pańszczyzny pisali²⁾. Umiera we wieku sędziwym, bo w r. 1909, we wiosce rodzinnej. W Raku napotykamy zjawisko literackie o zupełnie na obszarze naszej poezji ludowej swoistem obliczu — przytem publiczności czytającej wcale nie — a ludoznawcom prawie że nieznanie.

Rak był zamiłowanym bibliofilem, (a gusta miał zdaje się dość wybredne, bo gazetki ludowe nie bardzo go cieszą). Jako czytelnik książek czuł się dalekim od świata, podczas gdy inni żyli realnie:

„...teraz wiek mię miniony budzi, więc się pytam ludzi: Gdzie dotychczas byłem? Lat czterdzieści śniłem. Wyście zrobili coś dla siebie, ja myślą byłem w niebie, na morzach, górach, jaskieniach (*sic*) i w gwiazdach.Wszyscy stoją odemnie zdaleka, nie mają mię za człowieka...” (pisane około r. 1865). Los człowieka wyższego w środowisku ciemnym.

Dydaktyki niewiele u Raka; częściej satyra i szyderstwo — a szyderstwo jego raz bywa proste, raz już skomplikowane, bo ironiczne; np. jaka gorzka ironja, w dyskretnej a zwięzłej formie: „Chciałem się z tobą zabawić, rodzinę moja i wypić kufel miodu słodkiego... ale natrafił prawie ostatki ze stołu obiadu twego...”.

Dobre są u Raka dowcipne parowierszowe fraszki — niegorsze chwilami od staropolskich. Ale nad humorem szyderczym góruje u Raka melancholja. Połączenie melancholji z rubasnością, nieraz z brutalnością nawet, stanowi o swoistym uroku tych wierszy. Rak rubasznym jest całkiem programowo³⁾.

Ważną część motywów Raka stanowią rozmyślenia o starości; narzeka na nią już w r. 1865 — choć będzie żył jeszcze lat 44! Starość jest marnieniem fizycznym i psychicznym, jest narażona na wzgardę, sama trawi się w uczuciu, że życie marnie upłynęło — i tylko już miłosierdzia Bożego czeka: Starzec „z duchami rozmawia, pościel se poprawia, nie do rzeczy plecie o tem drugim lecie...” ...Starzego szyderczo młokos mierzy: „suchy badyl, ja kwiat świeży, młody, czupurne licho — stary gracie siedzieć cicho!”.

Zagadnienie bytu pośmiertnego niepokoi go

w kilku utworach; nietyle prostaczy lęk piekła, ile (inteligentka raczej) ciekawość, co tam będzie, jak to tam wygląda: „Czyli śmiercią wzrok zamieniony będzie wiecznie otworzony?“... Ale ostatecznie jakaś nadzieja go ogarnia i marzy sobie:

„Nowe światy... nowe niwy... słyhać będzie ptasząt śpiewy... Jakie skarby niepożyte, oczom ziemskim wiecznie skryte!...“.

Rak jest w naszej poezji ludowej pierwszym (i dotąd ostatnim), który ma uczucie niesamowitości życia i śmierci oraz tajemnicy świata. Nie są mu jednak, prócz tych głównie dlań interesujących tematów, obce i sprawy publiczne, narodowe. W 1898 na pamiątkę setnej rocznicy urodzin Mickiewicza czci go wierszem bardzo poprawnym formalnie i pełnym szlachetnego patosu: „Królu poetów, wielki Mickiewicz, ozdobo krain polskich, dzieł wielkich dziedzicu... natchniony twórco Boży...“ itd.

Żyjąc na pograniczu polsko-ruskim, zna język ruski (w którym nawet parę drobnych wierszyków napisał), obcuje z Rusinami; ale martwi się niezgodą bratnich plemion: „Jabym wnet został Rusinem, gdybym nie był polskim synem. Naród ruski wszystkim lubię, choć mię czasem słowem skubie“.

O jego uczuciach patriotycznych niech świadczy wiersz pisany w r. 1865 pt. *Zapust w r. 1864*; „Ty zapustny karnawale, ja cię nie znam, nie znam wcale. Chociaż żyję, jem i piję, serce smutno w pierśiach bije. Wszystko, wszystko się raduje, gra muzyka, dzicz tańczy, Jantek stary, zuchowaty, czapką strząsa, idzie z chaty. Franek jurny jak bestyja, Kuba młynka se wywija. Mateusz wesół wódkę pije, pieśń u gęby mu się wije — — — ... Śmia-

ło powiem, choć o braci: Obląkani, waryjaci! Bracia płaczą, narzekają, a tu nasi błazny grają!“ Ten oglądacz bydlą, pańszczyźniane dziecko, który teraz, w r. 1864, przychodzi do karczmy, gdzie wiejska hulanka, i przy kieliszku wódki siedzi z obliczem smutku i obrzydzenia — bo tam płaczą „panowie“, „Polacy“, górne warstwy jego narodu do którego on, samotny, już poczuł się — jest zjawiskiem historycznym równie interesującym, jak wzruszającym.

Forma wiersza Raka jest bardzo nierówna. Często płyną mu z pod pióra nadzwyczaj rącze i równe wiersze 7 + 6aa, 5 + 5aa, 4 + 4aa, czasem natomiast dziewiątki bez średniówki; lecz oto niespodziewanie się łamie ten rytm i przychodzą rzadki zupełnie nierytmiczne, niepoprawne. To prawda, że niejednokrotnie jest to dostosowanie wiersza do treści: póki treść dziarska, wiersz rytmiczny i dziarski; treść przechodzi w inną tonację uczucia — i wiersz się łamie; ale częstokroć wynika to poprostu z nieopanowania formy, choć we wierszu patetycznym umie zdobyć się na poprawność zupełną. Toż odnosi się do rymu (który jest prawie zawsze dystychiczny, aa, ale z rzadka mieszany abba, często męski⁴) — w związku ze zadzierzystością poety i jego rączą rytmiką.

Rak jest prymitywniejszy, niżli późniejsi, Kuraś i Jantek z Bugaja, co do formy, tem bardziej niżli Sawczuk; ale jego umysłowość nie jest prymitywniejszą od umysłowości tamtych dwóch; z Sawczukiem go porównując, mamy w nim umysłowość pierwotniejszą ale, rzekłbym, bardziej zajmującą: Jan Rak jest z dotychczasowych poetów ludowych, Sawczuka nie wyłączając, najosobistszym

w postawie ducha, najbezpośredniejszym, najkonkretniejszym i najśmielszym, i zarazem najbardziej męskim w wyrazie. A jego prostactwo nie jest nawiąaniem gaworzeniem Kuby Wojciechowskiego; Rak nieomal przyswoił sobie język literacki; jeśli zaś używa wulgaryzmów, to świadomie, z tym samym rubasznym humorem, z jakim na to pozwalał sobie w swych fraszkach stary Sarmata.

1) Wiadomość o Raku od T. Seweryna, który zebrał jego utwory, zarówno pisarskie jak i niektóre rzeźbiarskie, i przygotowuje wydanie wierszy Raka i obszerniejsze o nim studjum. (Por. też rzecz Seweryna o nim, jako miłośniku przyrody, *Rocznik Ochrony Przyrody*, 1936). O Raku pierwszy podał informację Feliks Gwiżdż, *Tydzień* 10/XII 1905, *Pieśniarze wiejscy*; cytuje tam z listu Raka: „Wszystko co miało jakąś wyższą wartość artystyczną wysoce cenilem — Z wielkiem zajęciem oglądać lubiłem stare kaplice, klasztory, obrazy, figury, zamki itd.“ W krakowskiem Muzeum Etnograficznem znajduje się krucyfiks z drzewa przez Raka rzeźbiony, o wartości artystycznej. Była to bujna osobowość, która w odpowiednich warunkach rozwoju byłaby wyrosła na wybitnego pisarza (Gwiżdż widzi w nim jakiegoś ewentualnego Nowaczyńskiego, pomieszanego z Morcinkiem) i artystę. (Art. Gwiżdża udzielony mi przez J. Zborowskiego).

2) Por. we Wzmiankach.

3) Np. niezrównany w realizmie (a dla etnografa ciekawy) wierszyk, opisujący wcale drastyczne ludowe lecznictwo w wypadku tzw. zapalenia się wódki w pijaku...

4) Ze względu na to, że dla okazania zdobyczy techniki wiersza u pierwszych poetów ludowych będę wynotowywał rodzaje układów wiersza, podaję objaśnienie o znaczeniu znakowania. Np. wiersz 7+6 aa.

Ja nie żaden uczony || szkoły nie widziałem, (7+6a)

Tylko prosty czytelnik, || co ja zwędrowałem! (7+6a).

Kreski || oznaczają średniówkę, tj. stały przedział pomiędzy pierwszą a drugą częścią wiersza (rzędu), na tem polegający, iż ostatnia zgłoska przed średniówką jest

końcem wyrazu, a przedostatnia zawsze akcentowana. We wierszu (utworze) regularnym średniówka dzieli rządku na części odpowiednio różnej ilości zgłosek, np. każda pierwsza część każdego rządu ma mieć 7 zgłosek, każda druga 6, itp.; litery aa oznaczają rymy idące parami (dystychiczne); abab oznacza, że się co drugi wiersz rymuje, itp. Rym męski mamy, jeżeli akcentowaną jest ostatnia zgłoska rządu (będę oznaczał dużemi literami).

*

Wiersze Jana Raka, rękopis w Muzeum Etnograficznym w Krakowie.

226. Podróżnik książkowy.

Ja nie żaden uczony, szkoły nie widziałem,
Tylko prosty czytelnik, co ja zwędrowałem!
Powiedzieć ni opisać nie mam na to głowy,
Jaki to kraj obszerny, ciekawy — książkowy.
Mówi sobie niejeden: co mi tam z czytania?
Pacierz umiem i baśni, Boskie przykazania;
To wszystko banialuki, co tam w książkach stoi,
Czyż nie żyli bez pisania pradziadowie moi?
Sam odpowiem — nieprawda — podróżnik książkowy,
Czytaj pisma i książki, badaj, bierz do głowy.
Książki czytać rozumne, rozbierać i badać,
Doświadczać i próbować, innym opowiadać —
Książki to są najlepsi twoi przyjaciele,
Nie wyśmieją, nie zdradzą i nauczą wiele.

227. Włóczęga nocny.

Jedyną myślą żar duszę pali:
Złapią, osądzą, będą wieszali —
Na złym uczynku zabiją pałką,
Powiedz, co myślisz luba gorzałko?
Zmienić już trudno zuchwałej woli —

Piesby nie przyjął tej smutnej doli.
Idzie, chowa się na dzień ponury,
Z ladacznicami spędza wieczory.
Ludek się Boży przy pracy znoi,
On nieszczęśliwiec wyrzeć się boi.
Od lat dziecinnych czy on znał Boga?
Z nory do szynku to jego droga¹⁾.

¹⁾ Czy nie zwięzłe powiedziane wszystko co tu było do powiedzenia?

228. Pójdź Kuba do wójta.

Kończ tve starania, uczciwą pracę
Zamknie cię stolarz w drewnianej pace.
Jeśliś żył zgodnie, oczy załzawią,
Jeśliś miał grosze, pogrzeb ci sprawią,
Jeśliś niemiły, przytem ubogi,
Cicho wyniosą i hejże w nogi.
Coś tam zanuca leniwo właśnie,
Święconą wodą ksiądz trumnę chlaśnie,
Ruszaj braciszku smentarną drogą,
Czeka tam na cię robaków mnogo,
Nieprzeliczone będą ich krocie,
Roztoczą — radzi — już po robocie.
Jak cię nie było, tak cię nie będzie,
Taki odwieczny porządek wszędzie.
Duch twój na skrzydłach wiatru niesiony,
Wzleci z tej ziemi w nieznane strony...¹⁾.

¹⁾ Surowy to i skromny, ale prawdziwy i głęboki artyzm. Ileż w tych 16 wierszach zostało wypowiedziane: Ironiczna ocena stosunku do zmarłych, makabryczna wizja z ponurą melodią zaśpiewu „ruszaj braciszku smentarną drogą“, refleksja o odwiecznym porządku rzeczy, wreszcie na zakończenie, jako pociecha, myśl o nieśmiertelności duszy;

ale myśl bynajmniej nie ujęta szablonowo, lecz realnie: bo nawet myśl o nieśmiertelności, ceną grobu zdobytej jest dla człowieka zwykłego, który nie jest świętym, smutną i posępną; ten duch, który „na skrzydłach wiatru“ ulatuje z cmentarza, leci nie do gotowego nieba, ale w jakieś mgliste, posępne, „nieznane strony“...

229. [Dialog nieboszczyka z żywym]¹⁾.

Ż.: Ciężkie starym lata, ruszaj z tego świata.

N.: Ha, komu czas, biada. Cień śmierci zapada, ciężar tłoczy i gniecie. Gdziem jest, nie na świecie?

Ż.: Taż już po tobie, od dziś leżysz w grobie.

N.: Ach, sąsiedzi mili, toście mnie wsadzili. Do ziemi matusi, co gniecie i dusi?

Ż.: Ani myśl człowiecze, stąd nikt nie uciecze. Świat — nietwoje sprawy, nie bądź już ciekawy. Leżysz przy parkanie, wiecznie odpoczywanie!...

Aż Archanioł Boży te groby otworzy trąbą przeraźliwą: Wstawajcie co żywo...²⁾.

1) Ten utwór ma układ graficzny i podział na osoby dialogu, nadany mu przez autora Antologii.

2) Jaka ironja w tem niby czułem odezwaniu się o ziemi matusi, „co gniecie i dusi“, jaka nienawiść śmierci w tym wierszyku 86-letniego starca (pisane w r. 1906)! Ale zarazem jaki prostotny, a patetyczny finał nadziei religijnej w ostatnim czterowierszu, i także jaka plastyka: Widzi się tego archanioła (barokowa jakaś wizja), nagle przybyłego z trąbą i dmącego w nią wzdętymi policzkami, widzi się go, bo przedtem już wyobraźnia przez ten „parkan“ zrealizowała dlań tło: jakiś prawdziwy cmentarz wiejski....

230. [Pisarz ludowy].

Prosto z mosta widać stąd,
W każdym wierszu znajdują błąd,

Zresztą nie dbam, co, jak będzie,
Czy nieuki tylko w błędzie,
A czy rozum cały posiedli,
Co korce kaszy w szkołach zjedli?
Ja tu na wsi wychowany
Znam co bieda, chleb owsiany,
Znam głodowe, ciężkie lata,
Mały krążek tego świata,
Pisz pismaku, jak siekiera,
Raz być musi prawda szczerą.

XXII. FRANCISZEK MAGRYŚ.

Franciszek Magryś¹⁾ jako rymotwórca należy do wcześniejszej fazy rozwoju poezji ludowej ku dojrzałości literackiej, czyli dorównywania formalnego i treściowego poezji warstw wykształconych. Jego utwory są okazami przeciętnego poprawnego rymotwórstwa szerokiej rzeszy rymotwórców ludowych, która, naogół nie wykracza ponad poziom rymowanej dydaktyki. Ale osiąga on niekiedy jakiś poetyczny patos, np. na początku wiersza *Powitanie ziemi*. O tematach utworów Magrysia niech świadczą tytuły utworów, które łatwo wyliczyć, bo jest ich niewiele: *Nieśmiertelnej pamięci Teofilowi Lenartowiczowi, W smutną stuletnią rocznicę zgonu drogiej ojczyzny* (1895), *Kornelowi Ujejskiemu* (1897), wiersz nazgonny, *W stuletnią rocznicę urodzin wielkiego poety narodu polskiego Adama Mickiewicza, Kolenda*²⁾. Magryś jest zdobywcą formy poprawnej, treści patriotycznej. Utwory swe drukował w pismach ludowych, pierwszy raz razem zebrane w jego pamiętniku (por. I 111): *Żywot chłopca działacza*, 1932. (Cytuję stamtąd).

1) Zyciorys Magrysia w rozdz. III, o publicystyce r. XII.

2) Układy wierszowe Magrysia: 7+6 aa, 2/5+5, 5+3/abab, 3/5+6/, 2+3, aabb. Biorąc w nawias cyfry, oznaczam tym sposobem zwrotki).

*

231. Powitanie ziemi.

(*Ziemia*, 1892) ¹⁾.

Witam cię, ziemię świętą, ojczystą, kochaną,
Od Najwyższego Stwórcy nam Polakom dana,
Który z wszelkimi skarby dla nas ciebie stworzył
I nasze plemię Lasze na tobie rozłożył.

Ziemię moja kochana, Ojczyzno ma miła,
Tyś naszych ojców szczęściem i skarby darzyła
I żywiła tak wielu zacnych Polski synów,
Których dziś świat podziwia z ich chwalebnych

[czynów.

Tyś wydała, zrodziła tyle polskich świętych,
Których my dzisiaj czcimy, jako w niebo wziętych,
A ci niechaj się w niebie wstawiają modłami,
By się Stwórcę łaskawy zlitował nad nami.

I zwrócił cię Ojczyzno do twej pierwszej sławy —
O spuść tę radość z nieba, Boże mój łaskawy!

O Ziemię ukochana, Ojczyzno ma miła,
Któraś nas od kolebki dotychczas żywiła,
Obdarzając wszelkimi skarbami natury,
Jakżeś piękna, a język wysławi cię który?!

Te przepiękne równiny, te prześliczne góry,
Tak, jak są twoje sławne i syny i córy,
Te żytem i pszenicą falujące niwy,
Kto cię nie umie kochać, ten nie jest szczęśliwy.

Wielcy nasi przodkowie tobą się szczycili,
Za ciebie zdrowie, życie, krew swoją toczyli,
Aby cię pozostawić prawnukom w spuściźnie,

By żyli na twych łąnach, a nie na obczyźnie.
Ziemio droga, krwią ojców na wskrósł przesiąk-
[niona,
Powinnaś być jak droga relikw[i]ja czczona,
Powinniśmy cię wszyscy ze wszystkich sił bronić,
By nawet drobnej piędzi z ciebie nie uronić.
Lecz aż się serce krwawi, co się z tobą stało:
Na trzy części rozdarte macierzyste ciało, — — —
Lecz to najboleśniejsze, ojczyzna kochana,
Ześ przez własne syny kurczona, krajana,
Ze lekkomyślnie ciebie dzieci porzucają,
W obce ręce sromotnie, jak Judasz sprzedają.
Polska, ojczyzna miła teraz ubożeje,
Bo aż się serce krwawi, co się teraz dzieje...
Jedni ziemię rzucają za lada durnicę,
By sobie w dusznych miastach kupić kamienicę;
Albo też — jak to czyni nieraz bardzo wielu —
Jadą za twe pieniądze do wieży Eifelu²⁾.
A drudzy lekkomyślnie ojcowiznę trwonią,
Przepijają i tracą i za morze gonią.
Lecz na tych wszystkich kara spełni się do joty,
Bo na obczyźnie umrą z tęsknoty, zgryzoty,
Albo powrócą z niczem dobić życia chwile,
Lecz spoczynku nie znajdą nawet i w mogile; — — —
A więc szanujże szczerzej te ojczyste łąny,
Zaszczep w Polsce oszczędność, ludu ukochany,
Poprawiaj łąki, pola tej polskiej przyrody,
A będziesz żył w dostatku, miał wszelkie wygody.
Czyż mamy być najgorsi między narodami,
Gdy nam dał Pan Bóg ziemię z wszelkimi skarbami?
Tylko podnieśmy przemysł, rolnictwo dźwigajmy,
Starsi młodszych, a młodzi starszych wspomagajmy;
Bo jak tylko nastanie między nami zgoda,
To zaraz w całej Polsce zabłyśnie pogoda...

A więc do pracy wspólnej wszyscy w Imię Boże,
Bóg widząc naszą łączność, pewnie dopomoże
I powstanie na nowo wielki gmach ojczysty,
Co wznosi sławę Polski po jej wiek wieczysty.

1) Z dłuższego wiersza liczącego 104 rządków; bardzo poprawny 13-zgłoskowiec.

2) Wieża Eiffla w Paryżu.

232. Nieśmiertelnej pamięci Teofilowi
Lenartowiczowi.
(*Ziemia*, 1892).

O przezacny Rodaku, przyjacielu strzechy,
Któryś zdala dodawał otuchy, pociechy,
Ognia wiary, miłości, zachęcał do zgody,
Którą się budują, powstają narody.
Wołałeś do jedności, wlewając nadzieję,
Że w zgodzie i jedności naród ocaleje.
Tyś spełniał jakby jakie posłannictwo Pańskie
Śpiewając dla nas pieśni prześliczne, sielańskie,
Sam w nieszczęściu, ofiarą będąc i tułaczem,
Pamiętałeś w obczyźnie o ludzkiej wieśniaczym.
I śpiewałeś prześlicznie dla nas z Bożej woli,
Boś odczuł to wszystko, co nas nęka, boli.
Śpiewałeś naszą wiarę i świętą prostotę,
Która ci milszą była niż korony złote,
I na twojem wygnaniu i tułactwie długim
Cieszyła cię pieśń wieśniacza z wołami za pługiem.
O przezacny Rodaku, wielki Patrjoto,
Twe pieśni skarbem dla nas droższym niżli złoto,
Zostaną dla nas jako wieczyste pamiątki,
A my, czcząc dzisiaj łzami Twe przezacne szczątki,
Serca ślemy żałosne, wierni włościanie,
Bo nic lepszego złożyć nie jesteśmy w stanie.

Dziś! ach dziś! śpisz nam już spokojnie —
Kto naszą boleść i nasz żal kto pojmie?
Kto nam o wioskach, chatach będzie teraz śpiewać?
Kto nas będzie miłością ojczyzny ogrzewać?
Dziś duch twój śpiewa w niebie wraz z serafinami...
Proś, by się dobry Stwórca zlitował nad nami
I spełnił to, co Twoje piosenki budziły:
By spólna matka wstała z wiekowej mogiły,
Aby po śnie wiekowym, cierpieniach i znoju,
Mogła wrócić do życia, szczęścia i pokoju.

233. W smutną stuletnią¹⁾ rocznicę roz-
bioru drogiej ojczyzny.
(*Związek Chtopski*, 1895).

„Wiek“ to krótkie słowo, lecz w swoim przechodzie
Ma wiek znaczenie w ojczyźnie, w narodzie,
Bo albo jest wiekiem szczęśliwości, sławy,
Albo wiekiem nieszczęść, klęsk i walki krwawej.
Tak to dla ojczyzny naszej ten wiek cały
Był wiekiem zagłady i klęski nie małej.
Na samo wspomnienie już się oko łzawi,
Krew się w żyłach ścina i serce się krwawi.
Wszak całemu światu jest jeszcze dziś jawnem:
Byliśmy narodem potężnym i sławnym,
Mając swoich królów, wodze i hetmany —
Dzisiaj kraj rozdarty i obcym oddany.
Czy potrzeba większej narodowi kary?
Gdzie zamki królewskie, dziś mamy koszary —
Gdzie mieszkali nasi króle, senatory,
Dziś mury obdarte, jak zwierzęce nory.
Ty Wawelu sławny, od stu lat wzgardzony!
Znikła twoja sława, królów naszych trony,
Skarby wszelkie, dobra koronne zabrano,
I Ojczyznę na trzy części rozszarpano.

Czy potrzeba większej narodowi plagi?
Niewola Kościuszki i straszna rzeź Pragi,
A tysiące braci, co krew przelewali
Za wiarę, Ojczyznę mienie, życie dali;
Tysiące w niewoli, na Sybir pędzonych,
Tyle wdów płaczących i osieroconych,
Tyle naszych świętych zhańbionych, zabranych,
Kapłanów więzionych, na Sybir wygnanych!
Wszystko ogarnęła nieprzyjaciół siła,
A z Ojczyzny tylko została mogiła.

II.

Głucho i ponuro w Ojczyźnie wiek cały,
Bolem tylko wierne serca oddychały,
Wzdychając pocichu: Ach! Boże, nasz Boże!
Przez niezgodę ludu, całe nieszczęść morze
Spadło na nas wszystkich! Kraj postradał bytu,
Nieszczęść i klęsk srogich mamy do przesytu.
Żyliśmy wiek cały jakby na obczyźnie,
Gdzie nie wolno było myśleć o Ojczyźnie,
Chcieli wydrzeć wiarę, mowę, obyczaje
I ziemię ojczystą. Aż się serce kraje,
Jakie to bolesne i straszne wspomnienia
Nieszczęść i klęsk srogich, Ojczyzny zginienia.
Lecz pomimo katusz, najsroźszych męczarni,
Miłości ojczystej z serc nam nie wydarli!
Bo i zwierz swej jamy jak może tak broni,
I myśliwy go z niej nie prędko wygoni.
Bo albo sam pada, będąc rozstrzelony,
Lub myśliwych rani, będąc rozdrażniony. — — —

1) Błędnie: powinno być: w setną rocznicę.

XXIII. FERDYNAND KURASZ.

Tematami i motywami wierszy Kurasia¹⁾ są wspomnienia dzieciństwa, obrazki przyrody, żale na

kalectwo²⁾), pochwały poetów, uczucia religijno-patriotyczne, wspomnienia historyczne, legendy miejscowe, dola ludu. Forma Kurasia jest najczęściej poprawna, rzadkie są potknięcia, czy to w rytmice lub rymice, gramatyce albo stylu. Częsty rym gramatyczny, ale raczej rzeczownikowy i przymiotnikowy, niż czasownikowy, co jak wiadomo, jest mniej rażące dla wyrobionego ucha. Na 39 znanych mi jego utworów znajduję 21 układów wiersza³⁾ — przyczem wspomnę, że w całej twórczości poetyckiej Reya mamy ich wszystkiego 9, a w polskich wierszach Kochanowskiego tylko 15!⁴⁾. Dowód, o ile bardziej jest wyrobionym technicznie, względnie, z o ile obfitszego zapasu form korzystać może rymotwórca ludowy naszych czasów, niż poeta „inteligent“ nawet „złotego wieku“. Niektóre układy wierszowe Kurasia są wysoce skomplikowane. Kuraś w całej pełni należy do tych poetów ludowych, którzy już są zdobywcami formy literackiej⁵⁾. Gdy go umieścimy na tle literatury narodowej, to wyznaczamy mu miejsce gdzieś pomiędzy naszymi poetami inteligenckimi mniejszego lotu, 3-go i 4-go ćwierćwiecza ub. w., (żebym tylko wymienił sympatyczną poetkę Marję Bartusówną, którą niekiedy niesłusznie zalicza się do ludowych). Na tle jednak literatury ludowej, jest on poetą poczesnym; jest nieraz prawdziwym poetą, a nie tylko pocziwym rymotwórcą dydaktycznym w rodzaju Magrysia i jeśli jeszcze nieraz na tym poziomie poprzestaje, to jednak częściej przechodzi do liryki osobistej, ma melodję i wdzięk, zdobywa się na akcent osobisty, którym jest u niego rzewność i szczerą miłość przyrody. Kuraś uznaje swym mistrzem Lenartowicza, sławiąc go w *Elegji na zgon Lenartowicza*:

O najmiłszy mi z wieszczów polskiej krainy,
Coś nad wszystko ukochał luby kraj rodzinny...

¹⁾ Por. rozdz. IV.

²⁾ Por. I, 98.

³⁾ Najczęstszym układem jest 5+6aa, potem 7+6aa albo abba, bardzo rzadkie są 6+6aa, 5+5aa, ale są i takie strofy jak sekstyna, jak 2/4+4, 5/aBaB, lub 2/5+5, 3+5/abab itp.

⁴⁾ Por. Łoś, *Wiersze polskie* itd. str. 82—3 oraz 90—92.

⁵⁾ Kuraś jest, obok Jantka, jednym z dwóch pierwszych poetów ludowych, którzy nie poprzestali na drukowaniu w pismach ludowych, ale wystąpili z tomikami, obaj w r. 1905, ale Kuraś wcześniej; Jantek z Bugaja w swym art. o Kurasiu (*Wieś i Jej Pieśń* 9/934) wymienia jako pierwszy tomik, z r. 1905, *Dzwoń chłopska pieśni* (u Wojnara); w bibliografjach Gawelka i Bystronia nie znajduje tej pozycji, i nie znam tego tomiku. Podczas wojny miał jeszcze Kuraś wydać jakieś wiersze, ale te nie są mi znane i w bibliogr. Bystronia nie znajdują ich.

*

Z pod wiejskiej strzechy. Zbiorek poezji chłopca z nad Wisły Ferdynanda Kurasia. Kraków, Nakł. Księgarni Ludowej K. Wojnara, 1905. (str. 104).

234. Do zagrody.

Kępo¹⁾ moja kochana z mych dziadów zagrodą,
Zarośnięta szuwarem, okrążona wodą,
Zielonemi wierzbnami dokoła wieńczona,
Świeżą runią pastwiska z frontu umajona —
Ach, jakżeś mi jest drogą, jakżeś sercu miła!
Tyś mi niegdyś — choć krótko — rajem prawie była...
Gdym w czasie lat chłopięcych, w czasie lat swobody,
Po obszarze pól twoich hasał rzeźki, młody,

Uganiając po łąkach zielonych, kwiecistych,
Po polach falujących od łąnów złocistych,
W skowroncze i słowicze wsłuchując się tony,
Co z pod chmur i z wśród krzaków brzmiały na
[wsze strony —
Gubiąc się w bujnych zbożach, rwałem barwne
[kwiaty:

Polne maki, ostróżki, wyczki i bławaty,
Których gdy już obfitość znaczną w rękach miałem,
Swobodny i szczęśliwy do chatki wracałem;
Wtedy matka odemnie owe kwiatki brała
I Najświętszej Paniencie poza obraz tkąta.
Z katedry sandomierskiej, co tuż sterczy zbliśka
Na wzgórzu i swój profil w tafłę Wisły ciska,
Wielki zegar rozgłośnie godziny uderzał
I złoty czas swobody szybko mi odmierzał —
Aż nareszcie odmierzył...

Po chwilowym bycie
Swobody, ciężka doła oplotła mi życie,
Świat stał mi się milczącym, jak w podziemnym
I dusza utonęła w ponurej żałobie²⁾: [grobie
Słowik przestał mi śpiewać, przestał i skowronek,
Umilkło wszelkie ptactwo, przestał dzwonić dzwonek,
Co tak o każdej porze dnia z kościelnej wieży
Wzywa głosem donośnym ludzi do pacierzy;
Zamikły łąnów szumy — słowem wszelkie głosy.
Jak jesienny wiatr liściem, rzuciły mną losy
I dziś w przeszłość szczęśliwszą patrząc łzawem
[okiem,
Błąkam myślą wspomnienia³⁾ po świecie szerokim,
Jak tułacz wiodąc życie wśród cierpień niedoli,
Bez piędzi użyźnionej potem dziadów roli⁴⁾,
Którzy dawne już lata w cieniach grobu toną,
Obok licznych sąsiadów, pod darnią zieloną.

Tam często moje myśli zbłąkane mię wiodą...
Kępo moja kochana, z mych dziadów zagrodą...

1) „Kępą“ nazywa się przysiółek Wielowski w stronę Sandomierza.

2) Opisuje nastanie swej głuchoty.

3) Zwrot niepoprawny, znaczy chyba, że „wspomnienia“ są błąkane (poruszane) po szerokim świecie przez myśli.

4) Pozostał bez własnej roli.

235. Do lasu.

O drzewa moje, wy świerki płaczące,
Wy gibkie sosny,
Woń balsamiczną ze siebie sączące,
Jak kwiaty wiosny —
Wy dębów, grabów, brzóz modrzewi
Leśne gromady,
Z wilg, sojek, kosów, dzięciołów, cietrzewi
Całemi stady!
Jakże ja tęsknię za tą chwilką czasu
W życia rozterce,
By w cieniach waszych, w słodkiej ciszy lasu¹⁾,
Ukoić serce.
Jako w młodości, kiedy to nie znałem
Życia wędzideł:
Gdy żal gniótł serce, zaraz pospieszałem
W cień waszych skrzydeł²⁾.
A taki błogi spokój się rozptywał
W leśnej gęstwinie,
Że zdało mi się, iżem gdzieś przebywał
W rajskiej krainie.
O lesie wonny, przybytku swobody
Jeden wśród świata!
Pod twoje skrzydła, gdzieś pędził wiek młody,

Myśl ma ulata.

Tam, gdzie myśl leci, chciałbym z całej siły

I ja pójść w drogę —

Lecz więzów, w jakie losy mię spowity,

Stargać nie mogę³⁾.

¹⁾ „Cisza lasu“ — w ustach poety głuchego ten zwrot może niepokoić jako konwencjonalny; ale być może i głuchy odczuwa „ciszę“ przenośnie, jako symbol ogólnego spokoju; las tchnie spokojem nawet dla człowieka, który nie „słyszy ciszy“ jego.

²⁾ „Cień skrzydeł“ — nie cień skrzydeł ptaków, bo to byłoby absurdem, ale konary drzew porównuje do skrzydeł; por. niżej.

³⁾ Las o którym mowa jest lasem wspomnianym, lasem z lat dziecinnych, boć mógł pójść do jakiegokolwiek bądź lasu na przechadzkę. Najlepsze 2 ostatnie zwrotki: ani jeden rym gramatyczny, a zwłaszcza piękny jest dwuwiersz: O lesie wonny, przybytku swobody, jeden wśród świata — tak myślowo jak i formalnie: melodyjna symetria samogłosek *e* w *lesie* i *jeden*, po których tu i tam samogłoski niższe muzycznie symbolizują poryw tęsknoty, która musi opaść... Naturalnie poeta użył tego efektu nieświadomie, „z natchnienia“.

236. Bal pożegnalny we dworze.

„A synów moich część się mnie zaparła
Mówiąc: „co matka? Matka już umarła!“

(M. Konopnicka).

Pod Sandomierzem wśród cudnej przyrody,
gdzie z falą Wisły San łączy swe wody, w kątku
bogatym w różne z bojów dziwy, ciągną się równo
urodzajne niwy, gdzieniegdzie jeszcze szumią stare
bory, wśród wiosek liczne rozsiadły się dwory,
niegdyś siedziby synów Polski prawych, którzy
w czas wojen z najeźdźcami krwawych, za miłą

Polskę krew obficie lali i swemi kośćmi te pola zasiali.

Krąży w tych stronach stara pieśń gromadzka, że na tych polach odbywa się schadzka duchów poległych wojowników w boju: Skoro głęboka noc światem zawładnie, rzucają ciszę wiecznego pokoju i w miejscach bitwy kupią się gromadnie, tworząc szeregi, jakby męże, zbrojne w pancerze, hełmy i orężę, i w nieprzejrzaną siłę rosną, rosną... I piosnkę jakąś śpiewają żalosaną.

Ale, jak niesie stara pieśń ludowa, nikt z grzesznych ludzi ni jednego słowa z tej pieśni duchów zrozumieć nie może; atoli każdy, kto przykazy Boże wypełnia ściśle, nie splamiony grzechem, pojmie ją łatwo, jak grobowem echem płynie po polach, lasach, Wisły zdroju, wzywając żywych do świętego boju: „O bracia nasi, wy, którzy żyjecie, w pomoc Ojczyźnie pośpieszajcie przecie! O własnej sile powstać nie jest zdolna; jeśli pragniecie więc, by była wolna, śpieszcie wybawić ją z przydługiej męki! Nas poruszyły jej tłumione jęki — lecz my umarli nic nie zrobim sami, ale w szeregach połączym się z wami i blask pierwotny przywrócim macierzy“. A lud w te wieści zawsze święcie wierzy. A tyle, tyle ten kąt w sobie mieści wierzeń ludowych i wzniosłych powieści, że ze swą jasną przeszłością dziejową Ewangelją mógłby być ludową! A ziemia, ziemia — taka urodzajna! Taka pszeniczna — taka chlebotajna! Że bez trudności jeden taki mały powiat, wyżywić zdołałby kraj cały.

I ot rzecz dziwna! Chociaż owym panom mogło się wszystko wieść jako hetmanom i w gniazdach ojców życie pędzić miło, dla nich tych dworów przecie nie starczyło, z tysiące morgów żyznej, chleb-

nej ziemi!!¹⁾ Więc przeszły dwory wraz z niwy złotemi wokół — w wyłączne żydów posiadanie.

Panowie! Kiedyż nareszcie ustanie to frymarczenie świętą przodków rolą?...²⁾ Czyż ku tej matce stuletnią niewolą znękaną, w duszy waszej niema ciepła? Czyż w sercach waszych krew przodków już skrzepła? Że w rany własnej jęczącej Ojczyzny — sączyć w te rany jad ostrej trucizny — ażeby potem gdzieś w obcej krainie głuścić sumienie przy kartach i winie.

Do dziś pamiętam dobrze, onę chwilę, co mi do duszy wlała wrażeń tyle, co mi na sercu osiadła jak ołów. Było to w sam dzień Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Nad obszarem wioski jakowys spokój rozpostarł się boski i taka cisza, że Wisła szumiąca, jak na zakłęcie, stała się milczącą; i szmer najłżejszy od drzew nie dochodził, i żaden ptaszek z gąszczów nie zawodził. Nawet na błoniu było się pasące legło na trawie posępne, milczące... I gdyby nie to, że pogodne było niebo i słońce cudownie świeciło, zdawałoby się, że jakoweś brzemię śmierci ciężarem swym przygniotło ziemię.

Po odśpiewanym nieszporze w kościele, ludzi we dworze zebrało się wiele; sam dziedzic bowiem, miał wieś porzucić i do siedziby tej więcej nie wrócić, na pożegnalny bal ich tu zaprosił. Lecz cóż za powód, że stąd się wynosił? Czy gdzieś daleko mając liczne syny, zapragnął w gronie kochanej rodziny spocząć po trudach?... Nie. On jeszcze młody i tu nie braknie mu nigdy swobody; a nawet w razie, jeśliby niebiosy zechciały zesać nań przeciwne losy, to wierny ludek zginąćby mu nie dał. Powód wyjazdu: dobra żydom sprzedał — osadził w przodków gnieździe obce plemię! Sprzedał krew przod-

ków, co wsiąkła w tę ziemię! Sprzedał swych przodków rozsiane tu kości! Przyćmił promienie jutrzenki wolności...

O plamo hańby niczem nie zatartej! Znów do dziejowej przyłgnęłaś nam karty... Czyż jeszcze mało tej wstecznej swawoli, co pograżyła Ojczyznę w niewoli? Czyż taką ma być terażniejsza droga do wyzwolenia się z ucisku wroga: Żeby z остатków rodowego mienia wyzuć się na rzecz obcego plemienia?!

Tuż obok dworu na wzniosłym kurhanie, w którym wieczyste mają spoczywanie rycerze zmarli tu na polu chwały, widnieje pomnik rzewny a wspaśniały, który poprzedni pan wsi ufundował i taki napis na nim ugruntował: „Jak długo w sercach naszych krew cnych przodków płynie, tak długo tych walecznych pamięć nie zaginie!“ Hej!... „Nie zaginie!“ Jak długo przodków krew szczerą w nas płynie i nie da umrzeć miłości Ojczyzny, „dla której zjadł smakuja trucizny“³⁾.

Z wydaniem balu jakoś dziedzic zwleka, a tu na dworcu lud gromadnie czeka i niespokojnie spogląda do góry, kędy się niebo przyobleka w chmury... Dziedzic do ludzi czegoś nie wychodzi...

Z oddali głuchy głos grzmotu dochodzi. Wzmagają się wichry, zwiastun bliskiej burzy, i coraz bardziej na niebie się chmurzy i ciemność ziemię dokoła zalega. — Wtem „cicho!“ w tłumie hasło się rozlega i dziedzic zjawił się na progu domu... Aż wtem się rozległ straszliwy gromu huk, i równo piorun w czarnej chmurze błysnął. Lękiem przejęty, wstecz dziedzic się cisnął. Deszcz spadł potokiem, grom po gromie bije i wściekły wichry przeraźliwie wyje;

łamią się drzewa wśród straszego trzasku, goreje niebo od błyskawic blasku, a fale Wisły, tocząc wściekle piany szumią jak morza wzburzone bałwany... A wśród tych szumów i wśród wichrów wycia, wśród dzikich ryków i piorunów bicia, od czego ziemia w swych posadach drżała, jakaś piekielna dzika nuta brzmiała — i taka stała się chwila złowroga! I taka serce ogarnęła trwoga, jak gdyby zbliżał się sąd ostateczny, jak gdyby piekło na spoczynek wieczny „Requiescat in pace“ śpiewało na ziemi, jakby złych duchów tryumf nad dobremi! Że każdy głowę schylając, w pokorze, bił się w pierś grzeszną: „Bądź miłościw Boże!“ I nikt już dłużej na ucztę nie czekał, lecz pełen trwogi ze dworu uciekał. Taki to wielki, huczny, grzmiący, walny w straconym dworze był „bal pożegnalny!“...⁴⁾ ⁵⁾.

¹⁾ Niepoprawna składnia mowy powszedniej.

²⁾ To samo napomnienie słyszymy i u Magrysia.

³⁾ Cyt. z Krasickiego, *O święta miłości kochanej Ojczyzny* itd.

⁴⁾ Zdarzenie prawdziwe, por. I, 105, w wyjątkach z pamiętnika Kurasia; miał wtedy lat 19. Wiersz ten uważam za jeden z najlepszych u Karasia, sugestywnym zwłaszcza jest opis burzy (czy nie z jakimiś echami z *Pana Tadeusza?*...), oraz złowrogiego nastroju przed burzą. Jest to utwór epiczny w tym rodzaju, który uważam za pożądaną drogę rozwojową dla poezji ludowej.

⁵⁾ Zacieram podział graficzny na rzędkie w przekonaniu, że układ „niby prozaiczny“ wiersza, skłania doń czytelników. (Por. Wzmiankę o czytelnictwie ludowym, I, 313).

237. Poświęcenie Japończyków.

Jeszcze nie oschły z krwi Jalu brzegi, nie przebrzmiał odgłos bojowych surm, już się zebrały świeże szeregi, by w Port Artura przypuścić

szturm¹⁾. Stał załogi wódz, Kamimura, i do żołnierzy rzekł: „Znane wam, że na zamknięciu do Portu Artura wejścia, tak wiele zależy nam. A więc, druhowie, czyja ochota sięść na brandery, płynąć pod port i tam u wjazdu założyć wrota, dla uwięzienia rosyjskich hord? Niech się odezwia [sic] ci tylko, którzy czują, że na siłach tyle ich stać, by się najsroźszej mórdz oprzeć burzy, życie w ofierze ojczyźnie dać. Tego dziś bowiem nikt nie zapiera, że to jest próba najcięższa z prób, że na ponury pokład brandera wejść, znaczy tyle — co znaleźć grób!“ ... „Banzaj!“ zagrzmiało tysiące głosów, „banzaj! niech żyje ojczyzna nam! Na tysiąc grotów, na tysiąc ciosów pošlej nas, wodzu — pošlej nas tam!“ I ochotników taka moc rośnie, co kłósów w polu, co w boru drzew, chcących z ochotą, prawie radośnie, dla dobra kraju przelać swą krew.

Wielki się w głównej eskadrze budzi ruch; pięć branderów gotowych już do zatopienia, i zastęp ludzi, chętnych iść w środek armatnich burz. A Kamimura do swej załogi na pożegnanie tych kilka słów wyrzekł: „Wiedzą to łaskawe bogi, żali się w życiu zobaczymy znów? O, dzieci moje — chlubo ma droga! W ciężki was walki posyłam znój: Pod najstraszniejszy działowy wroga ogień, na zgubę za naród swój. Tak chciejcie wierzyć, gdybym w tej chwili rodzonych synów od bogów miał, jakżeby oni wam zazdrościli... sam bym ich posłał na ogień dział. Idźcie, mężnego dzieci narodu, na śmierć odważnie, niech was wróg zna i niech się chlubi kraina Wschodu, że zawsze dzielnych obrońców ma. Walczcie i niechaj w najsroźszej męce, ani na chwilę odwagi duch was nie opuści; jeżeli ręce stracie — walczcie z pomocą nóg. A teraz wzywam tych, którzy bliscy zwątpienia w sprawę

są pośród was, by się stąd cofnąć zechcieli wszyscy, póki ku temu jest jeszcze czas: Krok ten nie będzie dla was nie miły, on was nie shańbi, wierzajcie mi, lecz shańbi opór, gdy w własne siły bodaj cień w duszy zwątpienia tkwi“. Wśród ochotników „Banzaj!“ zagrzmiało, „licz na nas wodzu, we wszelki czas i nie myśl, by się tak źle stać miało, by się stąd cofnąć miał który z nas“. A Kamimura dalej w te słowa: „Słuchajcie, dzieci rozkazów tych: Niechaj z was każdy będzie gotowy zginąć dla szczytnych idei swych. Niech żaden z waszych zgonów nie będzie daremnym, a śmierć w ten tylko czas niech przyjdzie, gdy się całkiem zdobędzie ten zamierzony cel pośród nas. Wina wam nie dam na pożegnanie, umysł wasz bowiem trzeźwy ma być, jasności ducha wasze zadanie żąda, lecz wodę — tę mogę pić. Zatem wypijmy po kubku zdroju, zuchy krainy wiśniowych drzew, i na okręty wasze w spokoju zdążajcie — drogo sprzedać swą krew“. I po tych słowach za kubek wody ująwszy, zdrowie swych druhów pił, pili żołnierze pełni swobody, a zapał męstwa z oblicza im bił. I znowu „Banzaj!“... wzbilo się w chmury, głosem tak silnym, jak gromów grzmot, sztandar słoneczny szumi u góry — drzejcie [sic] potęgi moskiewskich rot!

Moskale zbrojni w Porcie Artura na silnych szanłacach, przy mnóstwie dział, ochryplym głosem krzyczeli: „hura!“ wpatrzeni w morskich bałwanów wał. Gdy wtem w oddali morza odmetry łamiał, się, pienia, wzmaga się huk, to Japończyków płyną okręty, prosto do portu, z nieznanych dróg. Płyną naprzeciw coraz to chyżej, jeszcze do celu armatni strzał...²⁾). Płyną i płyną... już coraz bliżej... Gdy wtem Moskale ryknęli z dział! Zadrżało

morze, ziemia i chmury, obłokiem dymu zakrył się świat: bije i bije w załogę z góry, z ciężkich kolumbryn ognisty grad. Jednak daremne wysiłki wroga, próżny najeźdźców szalony trud, Japończyk nie zna, co to jest trwoga, w tył się nie cofa, lecz dąży wprzód. Bo mimo ciągłych armatnich grzmotów, szlących w brandery tysiące kul, załoga płynie prosto w grad grotów, nie pomnąc na krew i dziki ból. Już jest u celu... okręty płoną w ogniu — wtem straszny powstaje huk — cel osiągnięty: brandery toną kładąc okrętom na drodze próg.

O wschodzącego kraino słońca! Jakże świat cały zazdrości ci Twych synów, w których taka gorąca miłość bez granic ku tobie tkwi! Życie więc wschodu rycerze godni! Niech was wspomaga Wszehmocny Bóg — niech zginie Moskwa, ta córka zbrodni, wasz i nasz — wspólny — śmiertelny wróg!³⁾

¹⁾ Zamknięcie Portu Artura przez brandery japońskie w lutym 1904; (brandery: statki, wysadzone przez załogę w powietrze w wyznaczonym miejscu; Rosjanie strzelali do nich, chcąc je zatopić zanim zdążą do miejsca, w którym miały być wysadzone w powietrze).

²⁾ Na odległość strzału armatniego.

³⁾ Utwór, mimo wszystkich swoich rażących niepoprawności rytmicznych, stylistycznych, w szyku słów, formalnie ciekawy u poety ludowego — jako trudny zamiar zestawienia tylu rymów męskich (31, 62 słów), przy czym raz brakło mu rymu i dał asonans (duch — nóg), a tylko sześć razy zostały użyte rymy gramatyczne (nie licząc do nich rymów rzeczownikowych w tym samym przypadku i liczbie) — ideowo znamienny, jako wyraz powszechnie rozbudzonych w owym czasie uczuć sympatji dla Japończyków i nadziei patryjotycznych; estetycznie, przy całej swej nieporadnej prostocie, nie bez jakiegoś, sędzę, w przemowie Kaminury, prymitywnego monumentalizmu. (Zmieniłem układ graficzny wiersza (4-wierszowe zwrotki 4/5+4/aBaB) na „niby-prozę“.

238. Fortuna kołem się toczy.

Pamiętasz, luba, te minione chwile
Krótkie, lecz pełne uroku,
Ten domek wśród drzew, w którym nam tak mile
Było przy wieczornym mroku?...
Okienkiem promień księżycy przenika,
Przygasa zorza zachodu,
W krzakach nad wodą brzmiały trele słowika,
Woń kwiatów płynie z ogrodu.
A ty w wieczorny mrok twarzą zwrócona
U boku mego siedziałaś,
Głowę swą w moje złożywszy ramiona,
Śpiewów słowicznych słuchałaś.
A ja, wpatrzony w anielską twarz twoją
Miesiąca srebrem oblaną,
Tak byłem pewny, że zostaniesz moja,
Moją na wieki — kochaną!
A czując zbliżenie serca twego bicia,
Twe piersi, jak się podnoszą,
Zdawało mi się, że w raj, gdzie życie
Opływa szczęścia rozkoszą.
Za walki znoje, jakie życie całe
Toczyłem ze samym sobą,
Wierzyłem, że już osiągnęłem chwałę:
Że Bóg nagrodił mię tobą...
Niestety! przysły różowe nadzieje,
Żal tylko serce dziś tłoczy.
O, jakże zmienne są losu koleje —
Fortuna kołem się toczy!...¹⁾

¹⁾ Przysłowie, które dla inteligenta nie ma już poetycznego waloru, dla poety ludowego zachowało jeszcze, jak w danym razie, cały groźny swój sens.

239. Prośba.

Najświętsza Panno, Wspomożenie Wiernych!
Dreńczony smutkiem zwracam się do Ciebie,
Jako rozbitek na wodach niezmiernych,
Zebrząc: Marjo! wspomóż mię w potrzebie!
Patrz, przez lat tyle, odkąd słuch straciłem,
Za krzyż ten przeciw Bogu nie szemrałem,
Zawsze nadzieją w Twoją łaskę żyłem,
Której z pokorą zawsze wyglądałem.
Mienia nie pragnę — już ubóstwo wołę,
Niech najuboższy będę z pośród ludu,
Tylko racz, Matko! złagodzić mą dołę:
Racz mi słuch zwrócić mocą Twego cudu!
Niechbym usłyszał choć Wisły szemranie
I one szumy bujnej zbożem niwy,
Głosik skowronka i fujarek granie,
A czuł się będę nad wszystkich szczęśliwy.
Lecz jeśli takie już me przeznaczenie,
Bym trwał w tym stanie do końca na ziemi,
Daj mi, o Matko! oglądać zbawienie:
Ojczyznę wolną oczyma żywemi!

240. Marji Konopnickiej
(na dzień jubileuszowy)¹⁾.

Jako jaskółka wiosnę zwiastująca,
Z twardego życia ludu biorąc treść,
W struny niedoli jego trącająca,
Pieśń Twa po świecie roznosiła wieść:
Jak ten lud polski zapomniany zgoła,
Nie sprzeda Niemcom swych pól i swych chat,
Jak dziecię marznie pod drzwiami Kościoła,
Wolny najmita jak podąża w świat — — —²⁾.

¹⁾ 1902.

²⁾ Aluzje do utworów Konopnickiej.

XXIV. JANTEK Z BUGAJA.

Jantek z Bugaja¹⁾, urodził się w r. 1874 w przysiółku Bugaj, pow. wadowickiego, w dolinie Wisły, skąd piękny widok na krakowskie Bielany, syn gospodarza; ojciec odumiera go w niemowlęctwie, matka, młoda wdowa, już się za męża nie wydała, chowając czworo dzieci z wielką biedą; w każdą wiosnę były przednówki. Jantek od dzieciństwa miał usposobienie marzycielskie: „nie miałem żadnego obowiązku, bo starszy brat i siostra krowy pasali. Włóczyłem się po gajach, miedzach, przychodząc do chałupy, jak mię głód do tego zmusił. Położyłem się często na wznak pomiędzy zbożami, patrząc godzinami w błękitną powalę niebieską i здавало mi się, że widzę aniołów, Matkę Boską, tam w niebie. Gdy byłem pierwszy raz z matką w kościele, największe wrażenie zrobił na mnie Chrystus na krzyżu, M. B. i św. Magdalena, rzeźbione, stojące na belce w połowie kościoła. Długo potem, oczy miałem zamknięte czy otworzone, widziałem w nocy nad czołem te figury, stojące, takie same jak w kościele. Na wiosnę, w lecie, całymi godzinami kuciałem nad wodą czy gnojówką, w której się topiły muchy, wydobywając je żdźbłem słomy, aby się nie potopiły...“. Chodził do szkoły jednoklasowej, był zdolnym uczniem, tylko „zbyt ruchliwym“. Nauczył się czytać, ale co tu czytać? Niebawem wpadł na sposób zdobycia lektury: „Nauczyciel i ks. katecheta mieli wspólny ustęp zamykany na kłódkę. Przez szparę w drzwiach, zobaczyłem tam przybitą na gwoździu jakąś książkę. Wlazłem pod ustęp i dostałem się do niego. Wziąłem tę książkę i jeszcze cennik na dewocjonalja z obrazkami. Uderzyło mię, jak też nauczyciel i ks.

katecheta mogą brać na taki użytek obrazki świętych, M. Boskiej... Książka nie cała, ale bardzo była ciekawa, miałem kilkanaście dni co czytać przy krów pasieniu. Dwa razy jeszcze podobną kradzież popełniłem, zabierając gazety. Ale zaprowadzono klapę na tę dziurę w ustępie, że się już do niego więcej nie dostałem...". Wypowiadał się przy spowiedzi katechecie, ten go naprzód zbeształ od złodziejasków, ale potem darował mu własne książki, które sam kiedyś dostał na gwiazdkę od rodziców. Braku lektury to nie usunęło na stałe, prócz kalendarza i pisemka dewocyjnego nie było nic do czytania. Zaczął „wiersze klecić dla zabawki“, pierwszy zamieściła mu *Gwiazdka Cieszyńska*; od tego czasu stałe drukował w pismach ludowych. Odbył trzyletnią służbę wojskową, chodził na robotę do Morawskiej Ostrawy, do Prus, do Budapesztu. Poznaje się z Lucjanem Rydlem, który się z nim przyjaźni; Jantek odwiedza poetę z narzeczoną swoją, młodziutką wójtówną Magdusią. Na jubileuszu Konopnickiej zapoznaje się z nią i z Tadeuszem Micińskim. W r. 1905 za staraniem Rydla Friedlein w Krakowie wydaje mu zbiorek wierszy: *Blade kwiaty z wiejskiej chaty*. Tegoż roku, mając lat 29, żeni się z 17-letnią Magdusią, na którą kilka lat czekał, aż urośnie. Na weselu ma Rydla, wielu gości z Krakowa i okolicznych dworów; Konopnicka nie przybyła tylko z powodu choroby, zato książki przysyła w upominku; był też X. Stojalowski, któremu J. redaguje *Cepy*, humorystyczny miesięcznik ludowy. Ze szczerością przyznaje się do jednego, mimowolnego, plagjatu: Przepisał i poprzemieniał trochę wierszyk, który znalazł gdzieś bez podpisu autora, a który mu zwrócono jako

wiersz Zacharjasiewicza: „O małym się nie spalił ze wstydu, alem miał nauczkę na całe życie... Nie wiedziałem wtedy, że podobne postępowanie jest jak każda inna kradzież. Podobnych kradzieży literackich sporo zauważyłem w twórczości poetów niby ludowych, a nawet nie ludowych, bo znam dobrze całą literaturę polską. Jeden z moich wierszy raz dosłownie przepisany widziałem w gazecie ludowej i z cudzym podpisem“. Współpracuje we wielu pismach ludowych, nawet amerykańskich, wielu młodych poetów ludowych szuka jego znajomości i rady, ale nie zawsze wypłacają mu się wdzięcznością... Podczas wojny służy, jak tyłu innych rezerwistów krakowskich, w Albanji, gdzie malarza kosi armję austriacką; on wraca cało. Piękne czasy jego życia mijają: żona dostaje obłąkania, nie poznaje go, wracającego z wojny. Współpracownictwo płatne urywa mu się; kłopoty, długi. Syn, muzykant, który z ojcem grywał (bo J. z Bugaja jest zamiłowanym skrzyptkiem), ulega losowi matki. Biblioteczka, którą sobie dość obfitą zebrał, zniszczono mu: książki z dedykacjami od wielu autorów, wróciwszy z wojny, zastał wrzucone do gnojówki. Drugi syn, słuch. Uniwersytetu Jagiell. musi przerwać studia, bo nie ma na chesne.

Taki jest na starość w odzyskanej Polsce los śpiewaka ludowego, który rozkwitał i radował się w pełnym słońcu pięknych nadziei Młodej Polski...

Jantek z Bugaja, który, jak już przy Kurasiu zauważyłem, jest wraz z nim, jednym z dwóch pierwszych poetów ludowych, występujących z własnymi tomikami, jest podobnie jak Kuraś, „zdobywcą formy“ literackiej, ale mniej w porównaniu z tym poprawnym, natomiast osobistszym. U Kurasia

więcej znać panowanie gotowych sposobów wyrażania się, z literatury inteligenckiej zaczerpniętych, niż u Jantka, który jest, jak słusznie zauważono „chłopem typowym“²⁾, naturalnie w dobrym sensie tego słowa. Więcej u niego autentyzmu, mimo że wpływy, Konopnickiej zwłaszcza, są bardzo wyraźne, ale zato jest i pewna miła rubaszność i niepodrabiana werwa, humor, naogół obcy poetom ludowym; jest i dydaktyka, ale raczej i częściej w kształcie satyry niż moralizowania. U Kurasia zdobycie formy ma akcent na pewną elegancję wyrażenia, u Jantka na zamaszystość i wdzięk³⁾. Jest u niego plastyka i melodyjność. Jeśli w stylu nieraz, powiedziałby ktoś, za dużo „cukierkowości“, to proszę mieć w pamięci to, co w Uwagach wstępnych do działu Poeci było powiedziane: Że ta słodycz, zwłaszcza w erotykach, które u Jantka stanowią dział obfity (co znowuż jest nowością przez niego właśnie do poezji ludowej wprowadzoną), jest w surowem życiu wiejskiem, na tle piosenki ludowej, gdzie erotyzm występuje często, ale nieczęsto jako erotyzm słodki i pieszczotliwy, że owo, wedle gustu wyrafinowanych, „przecukrzenie“, jest w tamtem życiu pewnego rodzaju rewelacyjną nowością; proszę wyobrazić sobie dziewczynę, do której tak słodko, tak niezwykajnie, ktoś zaczął śpiewać i mówić!....

1) Pseudonim Antoniego Kucharczyka; wedł. dostarczonej mi autobiografii.

2) W. Skuza, *Pieśń z pod strzechy*, *Znicz* 5/930; tam bibliografia Jantka: *Wiejskich piosenek żar — na grunwaldzki dar*, *Wiersze, piosnki, z naszej wioski*, *Z łąk i pól*, *W żydowskiej niewoli*, oraz *Pamiętniki Icka*.

3) Najczęściej używa układu 5-6 aa, potem 4-4 aa, 7-6 aa, 5-5 aa, 5-33 aa albo 3-5 abab. Układów wiersza jest

u Jantka, na znanych mi 62 jego utworów tylko 16; jest to w porównaniu z Kurasiem o wiele niższy, że tak powiem „współczynnik różnaitości metrycznej“ niż u Kurasia (tu $16 : 62 = 0.26$, tam $21 : 39 = 0.54$), ale zato większa u Jantka wytrwałość w używaniu układu, podkreślona przez to, że we wierszach o podobnym temacie przeważnie podobny układ rytmiczny. Który sposób świadczy o lepszym wyrobieniu poetycko-formalnym? Nie będę tu rozważał tej kwestji z dziedziny poetyki, zaznaczę tylko, że w porównaniu z prymitywnymi i półprymitywnymi rymotwórcami ludowymi, którzy, „jak pijany płota“ trzymają się, i to niepoprawnie, jednego, dwóch, trzech najwyżej układów wierszowych, ci dwaj są bodajże pierwszymi — nawet pod tym względem Raka nie porównując z nimi — którzy otrzymali formalne wyzwoliny na poetów.

*

Blade kwiaty z wiejskiej chaty. Napisał Jantek z Bugaja, parobek wiejski. W Krakowie 1905. Nakł. księgarni D. E. Friedleina — Warszawa E. Wende i Ska (stron 132).

241. Blade kwiatki.

(Marji Konopnickiej poświęcone).

Na okienku wiejskiej chatki,

Zakwitnęły blade kwiatki,

Śnieżyste.

Zakwitały bladobiałe,

Zamały szybki małe

Przejrzyste.

Kasiunia je podlewała,

I łzami je nakrapiała

Żałośnie.

Jaś kochany ją porzucił

I już więcej nie powrócił,

W tej wiosnie.

Liczka blade jak te kwiatki,
Oczka łzawe jak bławatki,
Dziewczyny.
Smutno wzdycha, płacze, szlocha,
Że nie wróci, że nie kocha
Jedyny.
Już nie kwitnie¹⁾ blade kwiecie,
Na okienku pusto — w chacie
Przejrzysto.
Kasię w trumnę położono,
W blade kwiaty ustrojono,
Srebrzysto.
Wynieśli z chaty rodzinnej
Złożyli w mogile zimnej
Wieczyste;
Na mogile z każdą wiosną,
Blade kwiaty, kwitną, rosną,
Śnieżyste²⁾.

¹⁾ Poprawiam z: kwitną.

²⁾ Jantek wpada tu bardzo udatnie w płynność melodyjną, układ wierszowy i styl Konopnickiej; przypominam rzewny wierszyk o wieśniaku, który „w czarną ziemię, na wiosnę“, wsiął „głowiny chłopiąt swoich — żalodne...“. Poza tem, 3-zgłoskowy odcinek na końcu wiersza (np.: przejrzysto, srebrzysto itp.) częstym jest w poezji ludowej ustnej (pieśni ludowej) i jego tu zastosowanie doskonale podkreśla ludowość tego utworu; jest to oczywiście już ludowość świadoma i zamierzona.

242. Sierota.

Sześć latek miała Magdusia mała,
Kiedy bez ojca, matki została;
Więc ją z litości, wziął jeden z kmieci,
By pasła gęsi, niańczyła dzieci...
I ta malutka sierotka bosa,

Odkąd zaczęła sierocą dołą,
Czy mróz, czy słońca, czy zimna rosa,
Pędziła gąski na paszę w pole.
Za to sierocie biednej jeść dali,
Stare łachmany podarowali,
A za tę nędzną dla niej zasługę,
W domu i w polu mieli posługę.
Ale gospodarz, dzieci, z czeladzi
Każde — odsuwa małą biedotę,
Bądź kto potrąci, złaje, uwadzi,
Jak zwykle każdą biedną sierotę.
W sierocym smutku, nędzy, niedoli,
Rośnie sierota, rośnie powoli,
Dziś już w piętnastej żyje wiosence,
W każdej robocie zdolne jej ręce;
Dziś z niej dziewczica urocza, hoża,
Wyrosła piękna, smukła, nadobna,
Jak ta bez słońka wykwitła róża,
Błada bladością, smutkiem urodna¹⁾.
Lecz pracowitość, uroda, cnota,
To cały posąg, co ma sierota,
Nie dla niej świata ni szczęścia użyć,
Jej los jest zawsze służyć i służyć...

¹⁾ Jak nie „wsiowy“, nie „typowo chłopski“, dworski raczej, jest ten ideał erotyczny ludowego poety. Także i liryczne zainteresowanie biedną sierotą, służącą, wcale nie jest typowem dla gospodarza wiejskiego... tu poeta ludowy okazuje się jednostką wykwiłniejszą, niewspółmierną ze swem środowiskiem. Swoją drogą, podkreślając zaraz „pracowitość“ dziewczyny zwraca do socjalnie normalnego w społeczeństwie małych rolników ideału kobiety.

243. Wspomnienie.

Była to wiosna, noc księżycowa,
Rozkoszna, cicha, jasna, majowa,

Księżyc żeglował ponad dąbrową,
Skrzyły się rosy dyamentowe.

Szedłem ścieżyną, przez zbożne niwy,
Od mej kochanej, ach jak szczęśliwy,
Słowiczek nucił w gęstej leszczynie,
Jam marzył o mej lubej dziewczynie,
Szedłem powoli, krętym chodnikiem,
Porównywałem siebie z słowikiem,
Co nad gniazdeczkiem swojej mileńkiej,
Śpiewał jej do snu śliczne piosenki.
Myślałem: śpiewaj słowiczku luby,
I mnie gdy złączą z dziewczyną śluby,
Zbuduję domek pośrodku niwy,
I będę taki jak ty szczęśliwy...

Znów była wiosna i noc majowa,
Ciemna, pochmurna, cicha, grobowa,
Powietrze było smutkiem ciężarne,
Smutno szumiały drzewa cmentarne,
Jam przez cmentarne mogił kurhany,
Szedł płakać na grób swojej kochanej,
Na jej mogiłę z płaczem się rzucił,
Słowik opodal tęskną pieśń nucił,
Jak smutno, rzewnie lkał ptaszek tkliwy,
Czy i on, jak ja, był nieszczęśliwy?...

244. Do...

Byłem wtedy w kwiecie wiosny,
A tyś — aniołek rozkoszny,
Jak do brata poufała,
Że mię kochasz, szczebiotała.

Tyś mi, dziecię rozpieszczone,
Usteczka wpół rozchylone,

By całować, podawała,
Drobną rączką oplatała.

Ja z twoich pieszczot dziecinnych,
Ustek anielskich, niewinnych,
Rajską rozkosz, słodycz piłem,
Tobą i dla ciebie żyłem.

Lecz przeszły lata anielskie,
Niewinne, pasterskie, sielskie,
I ja we świat iść musiałem,
Pamiętasz jak cię żegnałem?

Dziś wyrosłaś, spoważniała,
Lecz już nie taś moja mała,
Którą w wiosnie wspomnień pieszczę,
Czy pamiętasz? ... Kochasz jeszcze? ...

245. Bocian i wróbel.

Bajka.

Na wiosnę, bocian po łanie,
Szukał żabek na śniadanie,
Wróbel z wierzby go zobaczył,
W rozmowę z nim wdać się raczył.

— A, serwus! panie bocianie,
Polujecie na śniadanie?

— Poluję, bom głodny, słaby,
A tu ani jednej żaby.

— Pociście tak wczas wrócili?

Patrzajcie, jeszcze śnieg się bieli;
Żaby jeszcze w wodach, kałach¹⁾,

Śnią o niebieskich migdałach.

Trza było z miesiąc poczekać,
A z Egiptu nie uciekać;

Nim wyjdą żaby z pod lodu,
Wyciągniecie nogi z głodu!
— Powróciłem, bo tęskniłem,
Bo się tutaj urodziłem,
A tam gdzie się kto ulągnie,
Chociaż bieda, to go ciągnie.
— Dziw, dziw, dziw, dziw, dziw, dziwota²⁾,
Że wy bocian patryota,
Ale ja wam powiem szczerze,
W ten patryotyzm nie wierzę³⁾.

1) Kałużach.

2) *dziw, dziw, dziw, dziw, dziw, dziwota* — dowcipnie użyta onomatopeja, czyli naśladowanie dźwięku w przyrodzie.

3) Satyra na cyników, którzy nie wierzą żadnym szlachetnym uczuciom.

246. Pyrcicka.

Któżby nie znał baby Wicka,
Nazywają ją „Pyrcicka“,
Kiedy dopadnie chwileczki
Zaraz biegnie do kumoszki
I pyrci różne bajeczki,
W których prawdy ani troszki:
Jak tam u sąsiada biedzą,
Co na obiad, wieczór, jedzą,
Jak się wczoraj opił Bartek,
Przyszedł do domu bez portek,
Jeszcze do tego, choroba,
Podbił babie oczy oba.
U Jagaty mleka dużo,
Temu, bo jej czary służą,
Wczoraj o czwartej godzinie,
Różni siewkę na maszynie

Ale popsuli maszynę,
Jasiek przewrócił Marynę,
Mój Wicek wczoraj chorował,
Trzy razy mię pocałował,
I tak dalej i tak dalej,
Pyrci bajki, lub się chwali,
A z tych bajek i obmowy,
Niedługo kłopot gotowy.
Często za tych bajek krocie
Wicków pówróz jest w robocie,
Którym ją po plecach smaga,
Wickowej nic nie pomaga!

247. Kto jest twórcą litanji do Najświętszej Panny Marji?

Kiedy jeszcze Pan Jezus był małym chłopczyną,
Często tkliwie się pieścił z matką swą jedyną.
Raz przyniósłszy Marji uzbierane kwiatki,
Bawił się na kolanach ukochanej matki;
Maluchnemi rączkami objął ją za szyję,
I takimi słowami począł czcić Maryę:
„Święta Maryo, święta Boża Rodzicielko,
Święta Panno nad Panny...“ tak dalej z czcią wielką
Wymawiał te tytuły Jezus młodociany,
Które są w litanji do Najświętszej Panny.
A Najświętsza Panienska z rozkoszą słuchała,
Słodkiej mowy Syneczka nic nie przerywała;
A gdy Jezus maleńki wymówił: „Królowa
Korony polskiej“... — wtedy Matka Jezusowa,
Mocą Syna swojego ,w duszy swej ujrzała
Jaką Ojczyzna nasza przyszłość będzie miała,
Świętych i święte polskie, dni sławy, niedoli,
Nasze krzywdy, cierpienia, krew i łzy w niewoli.
I Najświętsza Panienska rzewnie zapłakała

Polski, co ją królową wybrać swoją miała.
Przed Synem swym, dzieciną, padła na kolana,
Tak poczęła go prosić, cała łzami złana:
„Synu mój, Panie Boże, Stwórco nieba, ziemi,
Wysłuchaj mnie, proszę Cię, zmiłuj się nad niemi,
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,
Powróć wolność dla Polski, skróć niewoli lata!“
Pan Jezus, wysłuchawszy prośby swojej Matki,
Wziął do rączki zbierane przez się dla niej kwiatki,
Które już na jej piersi wszystkie powiędniały,
Przeżegnał je i kwiaty, świeże zmartwychwstały,
I wyrzekł uroczyście: „Amen, niech się stanie,
Na prośbę Twoją, Matko, Polska zmartwychwsta-
[nie“¹).

¹) Wdzięczny i szlachetnie pomysłowy apokryf. (Apokryfy — opowiadania niezawarte w pismach kanonicznych. Wiele legend o Panu Jezusie i Matce Boskiej pochodzi właśnie z apokryficznych Ewangelij. Ten apokryf nb. utworzony przez Jantka).

248. Jestem Polakiem.

Jestem Polakiem, polską mam duszę,
I polskie serce w piersi mej bije,
Polską krew, polskie nazwisko noszę,
Z polskiej-em ziemi wyrósł i żyję.
Polak mię ojciec, matka zrodziła,
Pierś swą za pierwszy pokarm mi dała,
Polskim pacierzem mówić uczyła,
Polską mię pieśnią wykołysała.
Jestem Polakiem, po polsku czuję,
Kocham nad życie polską ojczyznę,
Wszystko co polskie kocham, szanuję,
Jak drogą, świętą ojców spuściznę.
Jestem Polakiem: do mnie należy,

Przeszłość i przyszłość mojej Ojczyzny¹⁾,
Chętnie za wolność Polski, Macierzy,
Oddałbym mienie, życie, krew, blizny.

1) „Jestem Polakiem i do mnie należy przeszłość i przyszłość mojej Ojczyzny“ — jak daleko jesteśmy tu od „chłopa starej daty“ (jakiego odmalowali Słomka i Bojko).

*

249. Jak Jantek z Bugaja Maćka Bzdurę uczył na poetę powiatowego.

(*Gawęda redaktora, Wieś i Jej Pieśń, 7/934*).

Obiecałem wam J. W. Państwo prenumeratorko opowiedzieć jak Maciek Bzdura bierze u mnie lekcje na poetę powiatowego. No, nima rady, „słowo się rzekło, kobyłka u płotu“, albo jej ogona podnieść i wstąpić do sklepu, albo słowa dotrzymać, ino nie tak jako pewien poseł, co obiecał podczas wyborów bułkę z synką, ale tę porcją z niebieskimi pomidorami na przycenek... dopiero na tamtem świecie juzynować będziemy...

Na piersą poetyczną lekcją przysed Maciek we środę wieczór, przed samemi Zielonemi Świętami. Przyniósł we worku ćwierć ugodzonej za naukę pszenicy na świąteczne kołace, z czego się bardzo moja pani redaktorowa ucieszyła i powinsowała Maćkowi, zeby zdoł jagzamin i wybił sie na takiego poetę, aby mu na rąnku w Wadowicach, gdzie baby w cwartki targowe masło i jajka sprzedają pomnik ze scerego cementu postawili na trzeci dzień po śmierci, albo jesce za żywota, jak tego chwalebno-lizońskiego zwyczaj w Polsce nastoł... Wyjął tes Maciek z pod pazuchy prawie ze

litrową flaszkę i postawił na redakcyjnym stole. Tak-żem się ucieszył, że jakżem się po łacinie zdziwował: O! ooo!... Sanacjus spyrytus klapus popolitus monopolus?!... Na to Maciek, wykręcając korek z flaszki: — To jesce nic, wielebny panie Jantoni redaktorze, bo jak zdam jagzamin na powiatowego poletę, to zaproszę całą literacką akademiją z Warszawy na bol. Siedemnaście kogutków na ten bol bedzie upieconych na maśle i becka marcowego w Okocimie. — I ozenis sie jus nareście — wtrąciła pani redaktorowo, a Maciek na to: — A natularnie ze sie ozenie z jaką warszawską łłakie-wicówną i będziemy robić radosną twórczość na całe pióro i na całą poletykę poetyczną. — Jesce nic nie umies Maciuś, powiadam mu, a jus tak wysoko lezies. Trzeba sie przody ćwicyć, a potem licyć! No, ale najijma sie Maciuś przed lekcyjām, bo gęba mo taką nature jak klarnet, co suchy groł nie bedzie. Cyncnylimy wprost z flaszki, bo kieluska pani redaktorowa znalesć nimogła, i zacęna sie lekcyjo:

— Eee wenikrot do Ducha Św. po łacinie, umies Maciek?

— Spiywołem go pore razy na chórze w kościele, z Galosem ze Sosnowic, ale go na pamięć nie umiem, panie Jantoni.

— A no to źle, niedobrze Maćku. Przed każdą lekcyjā na poletę mas sobie odśpiewać wenikrot, albo przynajmniej odmówić, bo ja ci łopatām wiersy do głowy nie nakładę, ani lejkiem do usów nie nasypię...

— Dobrze, panie redaktorze-majsterku — odpowiedział Maciek — na drugą lekcyjā wenikrot se odśpiewom.

— No, tak Maciuś, pamiętoj se o tem na drugi raz, a na dzisioj wystoparcy nam ten spyrytus z wo-

dam, tak wypijma go do reśty zeby nam nie przeszkodzał. Wypiliśmy.

— Krzyż święty umies Maciek zrobić?

Maciek wybałuszył na mnie ocy i po chwili powiada:

— Sanie i korytko lo prosiąt zrobiłem jus tej zimy, ale krzyza jescem nie robił. Spróbuje zrobić la Kaśki Myrdalonki, jak umrze.

— E, głupiś Maciek! ja sie pytom cy sie umies przezegnać?

— Tak sie pytocie opacnie panie Jantoni, przecie piersy lepsy luter, syzmatyk przezegnać sie umią a jo katolik rzęmsko-katolicki przezegnać bem sie nie umiał!

— No to sie przezegnaj.

Maciek sie przezegnał.

— To tak Maćku krzyza sie nie robi! Ozpędziłeś dwie muchy, co ci sie na nosie zaceny parzyć, ale sie dokładnie nie przezegnołeś.

— Eeee, wydziwiocie, ze mną panie redaktore, lepij mie jus zacnijcie ucyć jakiego krakowiaka ułożyć, albo krótkiego wiersyka do wasej gazyty. —

— O! ino sie tak zaraz na początku Maciuś nie gnij, zem ci se przezegnać kozoł, bo najwińksy poleta od Jasła powiedziol ze „bez Boga ani do proga“. Krakowiaka odrazu chces sie Maciuś ucyć a możebyć chciol odrazu i muzykę zebyś go nogami wypróbował, wytarasil heeę?

Spokorniol Maciek Bzdura jak zem mu te racyją fizykę powiedziol, a jo prowadzil dalej lekcyją.

— Rymy cyli składanie do wiersa jest dwojakie Maćku. Sąm rymy chłopskie i sąm rymy babskie. Powiedz mi Maćku jakie rymy są chłopskie a jakie babskie?

— Na iście panie redaktorze, jak układa rymy chłop, to są chłopskie a jak baba to są babskie — odpowiedział Maciek.

— Fiuu fiuuel — zaraz potem, ale nie odrazu Maciuś! Rymy chłopskie, to są na ten przykład słu-p-bób, kos-nos, ciap-hlap, rak-sak-jak-mak, na i tak dalej, to są krótkie słowa, co mają jedną literę w sobie „i“ albo „u“ albo „o“ albo „a“ albo „e“; rozumiesz Maciek?

— Troche kapuję panie redaktorze majsterku.

— Na to dobrze Maćku, a teros jazda dalej: — Rymy babskie to są na ten przykład, fura-kura, skóra-dziura, Katarzyna-kataryna-podbrzusyna, wiewiórka i dziurka na i tak dalij. Teraz mi powiedz Maćku, jaki to rym będzie Jacek-placek?

— A na iście chłopski, panię redaktorze!

— Aha widzisz go! To cie jus mam! To są Maćku babskie rymy, bo mają po dwie litery, „a“ i drugą „e“, a rym chłopski ma ino jedne literę, co sie zgłoska nazywo, rozumiesz ty fistyklójse, Maćku? Chłop-snop, to są Maćku rymy męskie cyli chłopskie, ale chłopcy-snopy to jus są rymy żeńskie cyli babskie, rozumiesz Maćku?

— Rozumiesz jus dokładnie panie redaktorze! — Na ten przykład — lipka...

— Tak, tak, tak! Brawo Maciuś! Mas główkę jak makówkę, zeby ci ino baby, jak Salomonowi, rozumu nie odebrały, albo jak Samsonowi siły, który jak wstrząsnął filorem to kamienicę rozwalił, a jak sie wdoł z babami to o dwóch loskach chodzić nimóg.

— To ja sie tes zdaleka od bab trzemom, tyle ino panie redaktorze mam z niemi, jak mnie która koniecznie uprosi, zebem ją poratował....

— Na ną, ino sie Maćku nie chwał ześ taki świętosek! Pamiętos jak łońskiego roku Śperuda wyprowadził na ciebie Urząd gminny, ześ mu skode w zycie zrobił?

— Je jaką skode, cóz wy to Jantoni na mnie stulocie i fulocie?

— Jaką skode, jaką skode, a ną ześ posed w Zielone Świątki z Pępkową Kaską na Sobótki i zytoście Śperudzie na przyccie zmiętosili!

— Je ktoś wam to Jantoni taką koninę o mnie nabojcył?

— A sam Śperuda, który cie z Kaską w zycie swoim zastoł i logą przyrznał!

Jak zem tak Maćkowi, wywalił kawę na ławę, cokoladę na ladę, ozcierwienił sie, zerwoł z ławy, zakrwawił, zabestyjowoł, cholerę do tego przekleństwa przycenił, hybnał do drzwi, prasnał niemi, jaze miski z pīeca spadły i jus go nie było!

Wyleciołem za niem i wołam:

Maciek! Maciek! wróc sie cyś zwaryjowoł ze takie balady i sonety krymskie wyprawios!

Nie wrócił sie. Jakżeście sie kochani cytelnicy nie ośmioli, z tej pīersej lekcyje u mnie Maćka na poletę, to wam daję receptę, kazcie sie swoim narzeconem, ślubnem połówcekom, po podeswie u prawej nogi paznokietkami pocliwić, poskrobać, to sie rozweselicie, ośmiejecie. — — —

XXV. KAJETAN SAWCZUK.

Ur. się w r. 1892, w chacie włościańskiej na Podlasiu; kończy rosyjską szkołę elementarną, mając lat 19 wchodzi w środowisko ideowe ludowo-niepodległościowe, w ruchu tym bierze żywy udział, oddając mu na usługi swój talent poetycki; jest

współpracownikiem czasopisma *Świt*. Z wybuchem wojny przenosi się do Warszawy, gdzie uczestniczy w pracy konspiracyjnej środowiska skupionego przy czasopiśmie *Zaranie*. Tymczasem zapada na gruźlicę, lecz się jakiś czas w Zakopanem w sanatorjum Akademickiej Bratniej Pomocy, wraca na wieś do rodziców, tam „po krwotokach płucnych, resztą sił gromadzi dzieci wiejskie i uczy je“; prowadzi propagandę legjonową; zapada jeszcze groźniej, ciężko chorego przewożą do Warszawy, gdzie, mając lat 25, umiera w r. 1917. Biograf jego¹⁾, który zresztą żadnych bliższych dat nie podaje, mówi: „Młody chłopski poeta, który w trudnych, niemożliwych niemal do przewyciężenia warunkach, wyśpiewał jednak górną pieśń swoją, posiadał duszę hartowną, o wysokiej moralnej próbie. Ciało niszczało prędko, uległo nurtującej je chorobie, myśl jednak ani chwilę nie zniżyła lotu, wyplątała się ona prędko z powiśnięć przyziemnej ciemnoty i zaszybowała w przestwory niebosiężne; dotarła do krańca najgłębszych zagadek istnienia, ogarnęła całokształt dążeń społecznych i narodowych“.

Sawczuk jest najwyższym, wśród starszego i współczesnego (nam) średniego pokolenia, zdobywcą formy. Co do treści, też jest bardziej wyrobionym, niż tamci. Zbyt rychło jednak ogarnęła go atmosfera psychiczna środowiska szlacheckiego, ale o pewnych schematach wyrażania się i myślenia, która nadwątliła Sawczukowi, nietylko jemu jednemu, ale tembardziej jemu, młodemu chłopcu samoukowi, skłonność do wyrażania się i myślenia bardziej konkretnego. Entuzjazm idealistyczny o akcencie rewolucyjnym, wyraża się w stylu dość mglistym, i w pewien sposób konwencjonalnym.

Sawczuk jest już zupełnie oderwany od poezji ludowej swego czasu, pisze i tworzy tak, jak w jego epoce (1904—1914 i później) pisała i tworzyła poetyzująca młodzież inteligencka. Gdyby Sawczuk był żył i mógł się rozwijać, byłby wszedł w grono poetów zupełnie dojrzałych, gdzieś na linii Tadeusza Nalepińskiego. W każdym razie należy stwierdzić, że w poezji Sawczuka, u którego znajdujemy kilka utworów prawdziwie pięknych, poezja ludowa osiągnęła swój szczyt najwyższy, który po nim dopiero Dobrzyński osiągnie — już innymi sposobami wyrażania się i myślenia operując — i że jeśli poprzednicy, jak Rak, Jantek, Kuraś, i ich następcy, jak większość przez nas tu przytaczanych, dopiero stają na progu artyzmu, (w sensie wartościowania przez warstwę o wyższej kulturze artystycznej), to Sawczuk już niewątpliwie ten próg nie raz przekroczył. Gdy np. Kuraś jest zdobywcą w granicach poprawności i ładności, Jantek w granicach wdzięku, to Sawczuk już ma sposoby do wyrażania subtelniejszych myśli i nastrojów, słowem ma polot.

Znajduję u Sawczuka na 55 znanych mi utworów 30 układów wiersza („współczynnik różnorodności“ 0·55), niektóre strofy wysoce skomplikowane, szeregi oktagów dokładnych, niektóre układy wiersza poprzednim poetom ludowym zupełnie nieznanne; chętnie używa rymu męskiego, rymy gramatyczne i nawet czasownikowe trafiają mu się wprawdzie i to nawet dość często, ale zato robi i eksperymenty rymami, stosując np. w dłuższym utworze refren z tych samych rymów itp., pisuje utwory dłuższe, co oznacza większy dech; ale nadewszystko wybijają się melancholijną śpiewnością wiersza, śpiewnością, w której i jemu Konopnicka była mistrzynią

— tak jak mistrzynią była mu i w myśleniu i stylu. Melancholja Sawczuka napewno jednak rodem nie tylko z poetyckiej lektury, lecz i ze smutnej ziemi rodzinnej i z życia, które się przedwcześnie spalało.

Tematyka Sawczuka: socjalno-prometejska, wspomnienia i refleksje patryotyczne, religijność, także w typie prometejskim, wiele miejsca zajmuje liryka osobista: uczucia osamotnienia i bezsilności człowieka młodego i rwącego się do wysokich spraw, któremu los każe ginąć beczynn timer, tęsknota za Podlasiem, krainą najbliższą sercu, przyczem przyroda jest raczej transponowana na symbolikę nastrojową, niż konkretnie opisywana, wreszcie elegijna erotyka, piękna i szlachetna.

¹⁾ K. Sawczuk. *Pieśni*, Warszawa 1924, str. 104, (ze słowem wstępnem podpisanem K.). Ponadto: K. Sawczuk, *Pozgonne poslanie z ziemi podlaskiej*, *Ponowa* 1/921 (wiersz). (Na Sawczuka pierwszy zwrócił uwagę A. Fischer, *Chłop poeta*, *Kronika Powszechna* 44/912).

*

Kajetan Sawczuk, *Pieśni*.

(Warszawa 1924).

250. Tu na ziemi wieczna skarga.

Tu na ziemi wieczna skarga¹⁾,

Wiecznie sercem boleść targa

Jak pustynny zwierz.

Tu, na ziemi, tylko męki,

Wieczna boleść, wieczne jęki,

Wieczny płacz i żal.

Tu, na ziemi, wieczne noce,

Ciągle płyną łzy sieroce,

Wkoło mroczna czerń.

Wkoło wyje pieśń szatana,
Życie ludzkie — wieczna rana,
Stopy rani cierń.
Tu, na ziemi, wieczna burza,
Brat się we krwi brata nurza,
Syn dla ojca kat²⁾.
Wieczna kłątwa, wieczna niemoc.
Kiedyż zginie fałsz i przemoc? — — —

1) Melodyjny ten zwrot bardzo wyraźnie świadczy o wpływie Konopnickiej.

2) Może ma na myśli smutne a zbyt częste, wiejskie stosunki między starymi rodzicami a dziećmi, które wzięły gospodarstwo?

251. Tęsknota za chatą.

— — — Dni biega, biega, jak woda w ruczaju.
Ja wciąż spoglądam na rodzinne wrota,
Gdzie wieczny spokój, wieczna dusz prostota.
Tęsknię do życia polskiego zwyczaju,
Do tych serc prostych, jak pieśń ptasząt w gaju,
Tęsknię do żrenic, co lśnią prawdą złota,
Do starej ławy u wiejskiego płota,
Do niw, gdzie żyłem szczęśliwy jak w raj.
Żalów sierocych chcę słuchać zaklętych,
I słowiczego w rannej ciszy śpiewu;
Oddychać wonią bujnych niw pożętych,
I wkraść się w duszę szumiącemu drzewu,
Wysłuchać się w szepty skib świeżo porżniętych,
Zgadnąć dumania cichych wód rozlewu — — —

252. Ojczyzna.

(Z wiersza: *Na rocznicę roku 1861*¹⁾).

— — — Czem my jesteśmy, Ojczyzno, bez Ciebie,
I życie nasze, czy życiem zwać warto?

Każdy świat martwy, błędzący po niebie,
Ma własną drogę przez siebie utartą.
Ptaszę się w słońcu swobodnie kolebie,
I chmura nawet swą piersią rozdarta
Ciska pioruny, wyrazy swej woli,
A my? my, ludzie, gnijemy w niewoli! — — —

1) Manifestacje z lutego i kwietnia 1861.

253. Pożegnanie.

— — — Patrzę na ptaki wędrowne, przelotne,
Co w dale płyną na zimowe leże,
Ciągnie za nimi me serce samotne,
Gdy rzuca ziemi rodzinnej rubieże.
A jednak myśl ma ciągle do niej wraca
I tęskni za tem, co pokarmem było.
Ach, te tęsknoty i dumki i prace...
Wszystko, co duszę moją weseliło.
Ja też z ptakami śpiewałem do słońca,
Wzniesiony w błękit, na skrzydłach obłoków
Słuchałem szumu i drzew i potoków,
Marząc o szczęścia krainie bez końca.
Samotny, smutny, jak ta ziemia cicha,
Co każdym szumem drzew do nieba wzdycha,
A każdym świtem dnia o szczęściu marzy,
Co stale kroplą ros się niebu skarży,
Co nie przychodzi nigdy... Więc w błękicie
Chciałem uderzyć w struny harfy złote,
Słonecznym dźwiękiem strun rozbudzić życie,
Zgasić snującą się wśród miedz tęsknotę,
Chciałem kochane te podlaskie bory
Moją serdeczną pieśnią rozweselić...
Miast tego stają przedemną upiory,
Z którymi muszę straszną boleść dzielić.

O ziemi! zamiast śpiewać twoją chwałę
Ja niosę tobie me serce zbolełe. — — —

254. Głos z ziemi łez.

Nie było tu słońca, nie było,
Nie było go komu rozpalić —
Na ziemi zastygłej tą bryłą
Hej, słońca jasnego nie było —
Nie było się komu pożalić.

Gdzieś bywał ty gościu stooki
Przez wieki niedoli, cierpienia,
Czyś zastygł, lub skrył się w obłoki?
A ziemię zaległy wskrós mroki,
Nie widać złotego promienia.

Nie było tu komu zaśpiewać
Tej pieśni, co pieśnią potężną,
Nie było serc komu rozgrzewać,
A w dusze otuchy dolewać,
Rozbudzić brać moją siermiężną.

Nie było tu komu zaorać
Ugorów. Gdzież byli oracze?
Chwast siali, miast niwy te orać,
Nikt z nędzą się nie chciał uporać,
Hej, smutno ... i serce me płacze. — — —

255. [Szukajcie Boga].

(Z wiersza: *Bóg się rodzi...*).

— — — Szukajcie Boga, ale nie w obłokach,
W głębi serc waszych, w tajni duchów własnych¹⁾.
Bóg się narodził! niech brzmi pieśń, nie wrzaski
Mieszane z grzytem fałszu i obłudy,
Los psom żebrzącym nie udziela łaski,
Przyszłość zdobywa się przez ciężkie trudy,

A wielkich czynów wielkie są owoce.
Idźmy więc w duszach rozpalać te moce
Co w skałach życie zdolne są zaklinać;
Uczmy, że kolan nie należy zginać,
Nie dajmy ciała Ojczyzny rozdzierać,
I dla Niej chciejmy żyć, dla niej umierać.
Bóg nam się rodzi!....

1) Interesujące zdanie, ze względu na pojęcia religijne poety; w języku filozoficzno-teologicznym pogląd taki nazywa się „immanentyzm“.

256. Moja pieśń.

— — — Próżne, próżne jęki duszy,
Chłodnych serc tych nie poruszy
Moja prosta pieśń.

— — — We mnie żalu to nie zbudzi,
Że mej pieśni żaden z ludzi
Nie chce w duszę brać.

Czy to niema śpiewać komu?

Hej! polecą pieśni z domu.

Jak swobodny ptak.

Bo, gdy tylko wyjdę z chaty,

Proszą łąki, sady, kwiaty,

Abym śpiewał im.

Gdy nad strumyk pójdę z wioski,

Jemu wszystkie bóle, troski

Opowie ma pieśń.

Pójdę w pole, tam, pod gruszę,

Tam wyśpiewam moją duszę

Bujnym łanom niw.

Kołyszące niwy, łąny,

Porwą pieśń mą w dziwne tany,

I poniosą w dal. — — —

257. Marzenie.

Błogosławione niech będą te chwile
Które przeżyłem u wrót twego serca.
Pomnisz... u ramion nam skrzydła motyle
Wyrosły. Lecząc od kwiatów kobierca
Wraz płynęliśmy w te ciche przestworza
Co płoną łąkami.
Przez nas gadała jakowaś moc Boża
Serca zachwytem...
Niebo i ziemia swe piersi rozwarły
Na nasze żale —
A dusze nasze ku sobie się darły
W miłosnym szale...
A z twoich oczu szła tęcza świetlista
I tyle prawdy na twem czole lśniło,
Tyle uroku w twoim głosie było...
Byłaś tak jasna cała, taka czysta...
Więc w sercu twojem stawiłem świątynię,
W której ma dusza modli się do ciebie
I czeka słowa. Gdy ono wypłynie
Zbawi mnie, lub też na wieki pogrzebie.
O nie wymawiaj go... płynij w ciszy,
Z jasnym, do światła gwiazd zwróconem czołem.
A może skargę serc Bóg usłyszy?
Bądź mi aniołem!

XXVI. WIEŚ I JEJ PIEŚŃ.

Czasopismo pod tym najpierw tytułem zaczęło wychodzić w r. 1933 w Jordanowie, wojew. Krakowskie (por. Wstęp). Wydawcą był Związek Pisarzy Ludowych, w tymże roku za inicjatywą Wojciecha Breowicza założony; na pismołożył aptekarz w Jordanowie, J. Kokoszka, redaktorem na-

czelnym był Antoni Kucharczyk z Ptaszkówki pod Krakowem (Jantek z Bugaja), odpowiedzialnym Antoni Władysław Mirek (Antoni Olcha) zamieszkały w słynnej (z przesadnie pesymistycznego reportażu Jalu Kurka) Naprawie pod Jordanowem. Wyszło około 20 n-rów; w r. 1935 pismo przeszło pod wpływy Marjana Czuchnowskiego (i wychodziło jako *Nowa Wieś*), Jantek ustąpił z redakcji. Styl wierszy od naiwnego prawie prymitywu, aż po awangardowe, ale główny masyw jest w tradycyjnym przedwojennym stylu poezji ludowej, idącej drogami Konopnickiej, Lenartowicza, Poła; awangardowym jest właściwie tylko jeden, Olcha; kilka wierszy nie bez siły lub wdzięku; kilka ale niewiele, w stylu „nowej rzeczowości“ ludowej; całość poprawna, poziom ogólny twórczości „prowincjonalnej“, tradycyjnej. W jednym z ostatnich numerów pisma redakcja zachęca dość ostro do rzeczowej prozy zamiast wierszy. Gdyby mię zapytano ile „talentów“ pokazało się w piśmie, tobym na kilkadziesiąt nazwisk wyliczył kilka. Niewiadomo mi zresztą, ilu jest ludzi od pługą, ilu autorów jest z młodzieży szkół średnich, zwłaszcza seminarjalnej? W każdym razie inteligentem jest znany krytyk i poeta Stanisław Czernik. Dla przykładu przytaczam garść wierszy, które wydały mi się naprawdę ładne, lub też charakterystyczne z jakiegoś powodu.

*

Jan Baranowicz.

258. Chłopski rozum.

(Fraszka).

— Trzej uczeni przechodząc ścieżyną zwyczajną,
natknęli się na śpiące w bródzie czarne łajno:—

„Murzyńskie!“ wrzasną razem. Jednak wnet wypłynie kwestja, skądby się murzyn wziął na tej drożynie.
„Skąd?-samolot!“ — „Et-bajesz—nimby ziemi sięgło, w oparby się rozprysło: — zbyt wielka odległość“ —
Gdy swarzą się, ze wszech stron łuszcząc temat suchy, nadszedł chłop. Spojrzał, splunął: „to mojej dzie-
[wuchy“.
„Co?!“ — krzyknęli, spór widząc rozcięty tak równo,
„Ta i cóżby: — nie z rasy, z czernic czarne.....!“.

E. Bieniówna.

259. Darmo...

Darmo wysilam się i darmo męczę,
Żeby napisać piosenkę słoneczną —
By zapleść do niej jutrzenkę i tęczę
I gwiazd złocistych całą drogę mleczną.
I śpiew słowika, co miłością dzwoni,
Twarzy księżycy świetlany blask złoty
I wszystkie kwiaty o wiosennej woni
I rzewne skargi minionej tęsknoty.
Lecz słów kwiecistych nie nadam piosecie,
Co dźwięczy w duszy, zda się, wspomnień smugą —
I myślę tylko, twarz wsparłszy na rękę,
A z oczu płyną łzy... jedna za drugą...

Wojciech Breowicz¹⁾.

260. Widziałem kiedyś...

Widziałem kiedyś, chłopie-wyrobniku,
żeś grzebał żonę bez kadzidla, dzwonów,
w głębokim dole — przy czarnym krzyżyku —
o „wieczny spokój“ śląc modły do Tronu
i klnąc „pasterza“ — bo żądał tak wiele
za pokropienie twej zmarłej w kościele...

Widziałem zasię tve dziecię zsiniałe,
jak ci na rękach konało w noc ciemną
z głodu i zimna; ty pracy szukałeś
miesiąc, rok, cztery — ale nadaremno...
Wśród nędzy zmarłe dziecię śpi pod jodłą,
a ty przeklinasz sprawiedliwość podłą...
Bracie! widziałem: dobytek ostatni
egzekwowano ci — gdyś z nędzy konał...
Nie ulitował się tobie człek bratni,
choć dzieci głodne i w suchotach żona...
Widziałem wiele... rozpacz mnie ogarnia
i mówić nie chcę... straszna to męczarnia!
Patrz! tam w złocistych komnatach śpiew dzwoni,
szampan się leje — i kielichy dźwięczą...
Złoto szeleści w pasożyta dłoni
w kółku nierządnic — pod użycia tęczą...
— — A tam na śniegu sierota skostniała — —:
Przeklęta taka sprawiedliwość cała!!

1) Por. r. XXXI.

261. Syn — do Ojczyzny.

Polsko moja daleka — Ojczyzno ma święta,
Jak sen złoty w mem sercu, w kołysce zrodzona —
Żywicą sosen tchnąca, pięknem niepojęta,
Pługami i kosami dzwoniąca w zagonach —
Brzmiąca płaczem ligawek i ptaszęcym gwarem:
Czemu duszę mą smutną poisz tęsknot żarem —? ¹⁾

Polsko moja kochana! Przez Twoje mogiły,
W których kości mych Ojców śpią snem wiekiustym
I przez serca tych ludzi, które dla mnie były
Czuciem bratniem, gdym deptał Twój grunt ojczysty —
Czy ja o Tobie kiedyś — przed zgonem — zapomnę,
Czy wizję Twą mi zatraą te morza ogromne —?

Ojczyzno! Celem mojej wędrówki po świecie
Jest: — Braci na obczyźnie grać na Twojej lirze —
I siać, gdzie chwast się pleni, polskiej duszy kwiecie,
Krzepić braci, mdlejących pod tułactwa krzyżem
I do swej piersi tulić tych rodaków wszystkich,
Co drżą na obcym wietrze jak jesienne listki...

I wszystko co najdroższe w mej piersi się żarzy,
Rzucam znękanym sercom z tą miłością brata,
Która chce wszystką brać swą wieść do Twych
[ołtarzy,
Gdzie włodarzy Twa miłość matczyna — skrzydlata —
I kędy wspólnym chórem grzmia serca Twych dzieci
Na chwałę i potęgę Twą długich stuleci...

Ojczyzno! Czemu ciągle śnią mi się Twe niwy
I lasy Twe i rzeki i strzechy wieśniacze —
I czemu na obczyźnie nie jestem szczęśliwy,
I czemu serce moje za Tobą wciąż płacze — ?
Czemu w krew mą swą miłość zaszczepiłaś, Matko,
I tęsknić każesz za ojczystą chatką — ?

Nasze chaty, wtulone w cień drzew puszczy głuchej
Brazylijskiego lasu pieśni słuchające —
Nie budzą w nas tej żywej i mocnej otuchy,
Co chaty braci naszych wśród jabłoni śpiące
Tam — w Ojczyźnie, wiśniami pachnącej i zieleń,
Jałowcem, macierzanką i wiosny weselem...

Skowronki nam nie dzwonią, słowik nie zakwili,
Kukułka, bocian, wróbel — ni jaskółka szara...
— Piękniejsze są Twe niwy od cudów Brazylii,
Cudniejsze Twoje lasy, gdy w rannych oparach

Mgły, dzwonią pieśnią ptaków na chwałę tych
[ludzi,
Których zorza do pług i do kosy budzi..

Sosny polskie ładniejsze od sławnych pinjorów,
Płaczące wierzby wołę od palm olbrzymich —
Gaj brzozowy mi więcej drogi od tych borów,
A jałowiec na wzgórkach, gdy z wietrzykiem dymi
Srebrnym pyłkiem — to cuda ojczystej natury,
Których nam nie zastąpią brazylijskie góry!

Nawet skromna stokrótko, co w przydrożnym pyle
Stoi smutna, bez dziki, co na płocie kwitnie,
Nawet te kartoflane, jesienne badyle,
Czy te na kalenicach szare snopki żytnie,
Wieczne żeńców pieśni, wołania pastusze —
To cuda, za którymi płaczą nasze dusze...

A dęby te odwieczne, co szumią na wzgórzach,
— Mój dąb został nad źródłem o srebrzystych
[wodach —
I te lipy kwitnące na wiejskich podwórzach,
Dojrzały sad przy chacie... Lecz marzyć dziś szkoda
O tych cudach przyrody ojczystej... w rozterce,
Płacz i tęsknij za Polską serce — serce — serce!

¹⁾ Strofy, jak w tym wierszu, nazywają się sekstyny;
składają się z 6 rządków, rymy: ababcc.

262. Pionierzy.

(Parana — Brazylja).

Szumią puszcze ponad rzeką hen — szeroko,
hen — daleko — o tej doli — i niedoli, która
serca nasze boli...

Szumia, szumia dziwną nutą z słońca skwaru
gdzieś wysnutą — szumia puszcze nierąbane, w takt
muzyki swej wsłuchane...

Gra w dolinie pierś potoka, słońce leje żar
z wysoka, dzwonią świerszcze, gwizdzą ptaki, orły
płyną swemi szlaki...

Jakaś tęskność, jakiś smutek idą puszcza —
nieprzeczone, niepojęte — nieprzeznione — idą
borem w swoją stronę...

Góry, lasy — przeolbrzymie, staną czasem
w białym dymie. To gdzieś człowiek szedł milami
i dziewiczą puszcę splamił...

Siadł na chwilę wśród skał czarnych i spojrzaw-
szy w dal puszczy gwarnej, rzekł: — przerąbię
lasu milę, potem legnę w puszczy mogile...

Grom zamącił borów ciszę, wichur głębią
puszczy kołysze — a człek rąbie — człowiek wali —
i powoli las się pali...

Wiem, że spocznię tu na wieki, ale przyjdą
z ziem dalekich bracia moi — tu postawią DOM
— i naród mój rozstawią...

Łzy i pot mój — i trud trudów włożę w pu-
szczę — dla swych ludów... Lżej im będzie się
uporać i zdołają grunt ten zorać...

I chleb będzie — i miód będzie i dobrobyt
wstanie wszędzie — słońce będzie IM łaskawsze —
i zostaną tu — na zawsze...

Stawią domów moc z pinjoru, frontem tam
— gdzie świąty gorą, na wschód słońca — ku kra-
inie, co z najzdrowszych synów słynie...

Wstaną sioła, wsi i miasta, polskość będzie się rozrastać... Stalne tory i fabryki zagrzmią tu — gdzie dziś bór dziki.

Nasz znój krwawy — nasz wysiłek w ogród zmieni tę mogiłę — tę parańską dziką ziemię, co od wieków w słońcu drzemie...

— Piorun mąci leśną ciszę, wicher morzem drzew kołysze — Człowiek rąbie, tnie i wali — coraz więcej puszcza się pali...

Wala puszcze przeolbrzymią, góry, lasy, płoną, dymią... Słońce leje żar z swych stropów — czy też puszcza zdzierzy chłopu? —

Krwia ociekły — zlany znojem, idzie Olbrzym-Chłop przebojem — stanie chwilę — pot ociera — siły zbiera — grzmi siekiera...

To nie dla mnie! To dla dzieci! To dla wnuków — dla stuleci! Ja tu padnę — przyjdą ONI — czy ocenią trud mej dłoni? —

Grom rozdziera borów ciszę, wicher ostatkiem drzew kołysze... Człowiek rąbie — ogień pali — a pług idzie coraz dalej...

Szumcie zboża! Szumcie niwy, tu gdzie dziś jest bór sędziwy! Kędy chodzą wichry, burze, siejcie chleby! Sadźcie róże!

Idźcie myślą w dawne czasy; w Ojców-Słowian bory, lasy... Znój, trud, czyn Ich, niech wam będzie słońcem wszędzie — drogą wszędzie!¹⁾

¹⁾ Jest to wspaniały zaiste hymn naszej kolonizacyjnej dynamiki!

Piotr Franusiewicz (Francja).

263. Głos polskiego tułacza.

W głębiach kopalni, w ziemi francuskiej
Jam biedny tułacz zajęty pracą,
A myśli moje wraz z moim duchem —
W górę się w szybie kołaczą...

I myślę nieraz nad dolą swoją,
I wszystkich polskich tułaczy,
Co w głębi ziemi — tu — na obczyźnie —
Padają trupem przy pracy!...

Setki lat temu polscy pieśniarze
O losie Polski pisali
I za tę prawdę, którą głosili
Też tułaczami zostali...

Dziś w każdym kraju, po całym świecie —
Męczą się polscy tułacze:
Kto to zrozumie, z jakiej przyczyny —
Ten łzawo z bólu zapłacze.

Przecież Ojczyzna nasza bogata,
Bo wszystkie skarby posiada.
Czemuż robotnik przy pracy swojej,
A rolnik przy pługu — — biada!? — —

Robotnik pracą kraj swój podnosi,
Rolnik przysparza plonów:
Dlaczego za to jeden i drugi
Wlecze złą dolę tułaczą?!¹⁾.

¹⁾ Autor tego wiersza wyraża w liście do redakcji radość, że „powstało pismo, w którym ludzie z pod słomianej strzechy mogą drukować i że w ten sposób zdolności ludu polskiego nie będą leżeć odłogiem i marnować się“.

Czesław Łachaciński (Francja).

264. Tęsknota tułacza...

Ukochanemu Ojcu.

Słę do ciebie, ojcze, mej tęsknoty słowa,
A gorzkie ły żalu, z ócz płyną obficie, —
Kiedyż w twych objęciach, spocznie moja głowa?
Kiedyż się skończy, to tułacze życie.

Coraz to smutniejsze dni dla mnie nastają,

Okrutna tęsknota me serce przygniata.

Czemuż inni ludzie do swoich wracają?

A czemu to szczęście odemnie odlata?

Pragnę być przy tobie, ojcze ukochany,

Za lata tułaczki szczęściem się uraczyć,

Może smutny los mój, cierpieniem stargany,

Wreszcie mi pozwoli zdrowym cię zobaczyć.

Moja dusza tkliwa, boleśnie rozpacza,

Kiedy mrok zwątpienia, nadzieje zamroczy,

Czy się skończy wreszcie tęsknota tułacza?

Czy na lepszą drogę me życie nie wkroczy?

Zmiłuj się nademną, litościwy Panie!

Udziel tułaczowi swojej świętej łaski.

Niech mój sen o Polsce raz się jawą stanie,

Oświeć moje życie w złote zorzy blaski.

Kachna Łęczynianka-Lesiowska.

265. Moja chata.

Moja chata taka biedna, ale czyste są w niej ściany,

A wokoło ją otacza ogród niby malowany.

Jasne okna, przeźrocyste, z wiarą patrzą na świat

[boży,

Chętnie drzwi jej są otwarte dla przyjaciół i dla

[wroga.

Nie odejdzie też bez chleba żaden głodny od jej
[proga.
Moja chata taka mała, ale chłopska, polska chata.
Sławą Polski ozdobiona, dumą chłopską wskrós
[bogata.
Choć więc mówią biedni ludzie, że źle w Polsce,
[źle na świecie,
Wiary w Dobro z mojej chaty żaden wicher nie
[wymiecie!

Kasieńka Kirschowa.

266. Chłopi.

Zrzedła mgła i znowu deszcz kropi,
połną dróżką idą oto chłopi.
Schylone głowy, rozrośnięte bary,
w pojedynkę, albo także w pary.
Oczy siwe, zapatrzone w ziemię
i w swą dolę czarną jako ona
ręka w tył zasunięta, druga szuka łona.
Wśród pól, odbija swojsko drogie ludzkie plemię,
ziemia dudni pod stopą, ona woła na nich,
z tą ziemią, jak mąż z żoną na zawsze związani,
wyczuwają co mówi — rozumią się zawsze.
Cieszą się, że dziś niebo nad nimi łaskawsze.
że oto pada deszcz, rosi, rosi, rosi...
Czemuż więc żaden z nich ochrony nie wznosi!
Lecz idzie, w szerokie zapatrzone pola,
idzie w ten oto deszczyk, bo oto ich woła
pójść, zmoknąć, dać się deszczem osmagać i obić!
Zdaje im się, że z ziemią będą się sposobić
do wzrostu i do siły, im ten deszcz żywiołem,
więc w pojedynkę, parą oto idą społem,
patrzeć jak rośnie zboże, jak się tam rozwija

dar boży, a skoro przejdiesz wioską i chłop cię
[wymija,
schyli pokornie głowę — przed Panem na niebie,
Niech będzie pochwalony — tem pozdrowi ciebie!

Antoni Olcha ¹⁾.

267. Bunt dzieci.

Krają nam dusze boleśnie i ostro
w skrzypiących chatach złych łkań płątawice,
a każda chwila tnie nas w łzawe twarze
gnojnością nędzy i głodem jak biczem! — —
Bólu nam nie zaśmierzą od nas głodniejsze matki,
które płaczą tak rzewnie nocami po kątach,
gdy je dzień twardą nędzą ciężko skamieniuje
i rozpaczą bezmierną myśli w burze spląta — —

Na naszych główkach płowość, smętnych jak chat
[widok
dłoń niczyja, niczyja! — nie spłynie pieszczotą.
W pacyny dni, dzieciństwo nasze smutne
wdeptano biedy gruchem i rozsmętnic słotą —
Na ręce nasze wychudłe popatrzcie:
żył krępawicą ściśnięte pod wrzaskiem łachmanów.
Zbyt już nam ciężko dźwigać putnie wody...
i siłą—o, jakże wielką!... lat siedmiu... ośmiu...
drzeć skiby skalnego łanu — — —

Dusimy się w ciasnocie zstęchłych izb!
I ciężko tęsknotą w głuszę przez okienka,
w rozpaczem zaczekaniu, kiedy spuchłą szyję
owinie z nagłą nitka śmierci cienka...
Piecze nam już żołądki jałowość ziemniaków,
za ostro trzeszczy w zębach piach czerwonej soli —
i zbyt długo nas pali za cukrem gorączka,
i chleba daleki, daleki poemat boli!...

— — A gdzieś pieskom wytworne ktoś podaje
[jadło,
ktoś wiersze z szumem pisze, ktoś inny łyzy roni,
ktoś tworzy towarzystwa i wydaje książki
w obronie... pagug i piesków rasowych...

Nam

gdy ciała miljardem komórek bunt podnoszą głodnych,
a pot ugory poi znojnym spływem z czoł —
nikt nie przyjdzie i nie założy Towarzystwa Ochrony
[Dzieci²⁾,

nie pobuduje słonecznych izb ni szkół! — —

Nikt nas nie pożałuje, nie pokrzepi — —

nie wniknie w bezdeń naszej męki: — —

ino czasem — eh! poeta ciśnie,

jak groszem jałmużny — słów pękiem — —

¹⁾ A. Olcha wydał *Przed Świtem*, poezje, Naprawa 1935, *Biblioteka Nowej Wsi* Nr. 1, z przedmową Czuchnowskiego, (str. 31). Olcha jest z pogranicza literatury ludowej, jest absolwentem seminarjum.

²⁾ Trudno autorowi przyznać, żeby nikt nie zakładał towarzystw opieki nad dziećmi i szkół. Owoce pracy takich towarzystw jak TSL i im podobnych przez inteligencję polską prowadzonych i utrzymywanych są wcale okazałe, — ale prawda, że możnaby o wiele więcej robić...

Edward Sobierajski¹⁾.

268. Kiedyż?...

Wieczorową porą w ciszy mrocznej toni
Zegar tylko cyka, serce rytmem dzwoni;
Serce dzwoni rażno, równym rytmem dudni,
Kiedyż w mojej izbie będzie trochę ludniej?
Kiedy mą Zosięnkę do domu wprowadzę
I przy swem ognisku domowem posadzę?
Dudni sobie serce, w piersi mi się tłucze,

Kiedyż kawalerski stan w przyszłości rzuczę?
Kiedy będę mężem pracowitej żonie,
Co będzie pomagać w pracy na zagonie?
Skrzypi stary źóraw, przy drewnianej studni,
Żeń się, mówi serce — zaraz będzie ludniej.

¹⁾ Człowiek wykształcony, półwykształcony, czy pisarz ludowy autentyczny? W każdym razie doskonale uchwycił ton szczerzej poezji ludowej, nawracającej do pieśni ludowej, ton raczej rzadki, który znajduję i w innych utworach tego poety.

Antoni Stopa ¹⁾.

269. Do Matki Boskiej.

O, Ty, Najświętsza — o Niepokalana,
Matko Jedyne go wszechmocnego Pana,
Który utworzył te świata ogromy,
I zszedł przez Ciebie na ziemię widomy —
Jak po promieniu najwyższego słońca —
O, Ty najczystsza Miłości rodząca!
Niebo ma Jedną Najpiękniejszą, Ciebie,
Ty jesteś słońcem w ideałów niebie,
Od Ciebie się Bóg odbija, kryształy,
I z blasku mędrzec wygląda natchnienia,
Kaleka zdrowia, a grzesznik zbawienia!

¹⁾ Z twórczości poetyckiej śp. A. S., (z Góry Ostrys w Makowie Podhal.) (W. J. P.).

Aurelja Turska (Francja).

270. Kochaj książki.

Jak słońce kochaj książki i przez nie dąż do słońca,
Niech w domu twoim nie będzie bez nich dnia jednego,

I, nim dojdiesz swą trasą do wieczności końca,
Czytaj i kochaj książki — jak coś najdroższego.
Ten najlepszy przyjaciel i doradca w życiu,
Będzie ci towarzyszył i pójdzie z tobą wszędzie,
A chociaż zdaleka przed ludźmi w ukryciu
Ten druh twój serdeczny zawsze z tobą będzie.
Więc, mając chwilę wolną, bierz książkę do ręki,
Ona ci łyzy otrze, wypełni gryzącą tęsknotę,
I wśród trudów i ciężkiej życiowej udręki,
Zmieni ją w chwilę szczęścia i w sny jasne, złote.

Edward Wrona.

271. Konferencja pokojowa.

Niech wszystko oszaleje,
niechaj się głowią, wadzą...
ich pokojowe nadzieje
do wojny wciąż prowadzą...
Ja konferuję z Jadwisią
w lesie bukowym, na hali —
Słodki chcę dostać całusek,
co się pragnieniem pali...

Piotr Wykrot.

272. Tłumaczenie psa.

Psem tylko byłem dla was, lecz — o ludzie! —
Choć życie moje podłe było i już meta
Bliska, — poemat śniłem nieraz tam, przy budzie,
Przy gwiazdach marzył pies — nocny poeta:
— On wie, że w życiu, jak w rojnym przystanku
Kłóca się myśli ludzi — przelotnych żórawi,
Że serca ludzkie, jak drzwi wielkich banków
Zamknięte na dwa słowa: pycha i nienawiść.

Wie, że świat ten się spala - jak żywa pochodnia -
Jakże czarna jest miłość rzucona nad miasto!
Że z aniołem pod rękę zawsze chodzi zbrodnia —
Sternicy duszy ludzkiej, ten Polluks i Kastor,
Że każdy czyn, jak oszczep podstępem zatruty:
Nie wie, kiedy pogłaszczą kiedy kopną butem.
Teraz zawyję głośno. Ale, czy — o ludzie
Myślicie, że żal mi życia, lub o litość żebrzę?
Wiem, że inny pies stanie w obroży przy budzie,
I może skakać będzie przed wami jak w febrze,
Że serc waszych zastygłych nic już nie poderwie,
Że dalej brnąć będziecie w własnym ścierwie.
Chyba — że złość się spali w ostrzu własnej szabli
I ogarnie was niemoc na krzyżu rozpięta,
Albo się krwawą łuną nowy bóg rozżagwi
I gromem dłoni rabich strzaska światu pęta!...
Zawyję chorał śmierci. Serce jak membrana
Drży, Hymn popłynie fanfarową strofą:
Śmierć jest tylko triumfem w różańcu konania —
Głos mój uderzy w niebo — bezdenny mikrofon.
A potem zgasną oczy. Serce jak wahadło
Złamane bić przestanie żywą krwią z pod powiek.
Wnet księżyc rzuci blaski w zimnych ocz zwierciadło.
I rano w dół wilgotny kopnie dobry człowiek...¹⁾

¹⁾ Wiersz nie jest bez siły, szczerości i liryzmu, zwłaszcza w niektórych miejscach, ale ma tę kardynalną wadę, że w psie „usta“ wkłada pojęcia i słowa (Kastor i Polluks, membrana itd.), których pies znać nie może — i to na pierwszy już rzut oka nie „psie“; następnie, zachwiała się logika i konkretywizm wyobraźni, np. co znaczy „złość się spali w ostrzu własnej szabli“ — itp.? Wszystko to jest skutkiem ściągania na gwałt rymów; jak wygląda wiersz „psi“ u pisarza o wysokiej kulturze, przytoczę sławne Józefa Ruffera „I ja miałem kiedyś swoją budę...“ Ale i tu jest dobrze: „Teraz zawyję głośno“ aż do słów „we

własnym ścierwie“. Na wyzwaniu się z trudności rymowania, na konkretnej tj. plastycznej i logicznej wyobraźni, na smaku, który odrzuca słowa niepotrzebne itp. — polega kultura umysłowa i artystyczna pisarza. Wyobrażam sobie właśnie, że poradnia dla pisarzy ludowych, ucząc takich rzeczy, byłaby szkołą wyrabiania się umysłowego.

XXVII. STANISŁAW NĘDZA KUBINIEC.

Ur. w r. 1896, w Kościelisku pod Zakopanem¹⁾, syn gospodarza, do szkoły średniej nie uczęszczał; jako żołnierz frontowy służy w armji austriackiej, potem jako podoficer w polskiej, w r. 1920 pod Kijowem wzięty do niewoli, w Rosji spędza 3 lata pośród przygód rozlicznych, wkońcu udaje mu się ująć do Polski, wraca do domu, żeni się, obejmuje kilkumorgowe gospodarstwo po ojcu, dużo czyta, ma bibliotekę liczącą do 2000 tomów, bierze żywy udział w działalności Związku Podhalan i Stronnictwa Ludowego, zasiada w samorządzie powiatowym, jakiś czas jest sekretarzem gminnym w swojej wsi; zaczyna pisać w trzydziestym którymś roku życia, poczynając od wierszyków okolicznościowych i przekonawszy się, że pisanie mu idzie. W r. 1936 nakładem koła Związku Podhalan w Kościelisku wychodzi jego zbiorek pt. *Nu nową perć*.

W książeczce Stanisława Nędzy Kubińca, chłopca autentycznego i jednego z przodowniczych, znajduję wszystkie znaki tej ideowej fermentacji, która wyraża się w głośnych dziś hasłach „kultury ludowej“. A wszystko co się tu dzieje, dzieje się wedle pewnych, znanych już reguł, tych samych które *mutatis mutandis* przy ruchach narodotwórczych działają. Oto ambitny człowiek z ludu, przez wielkie dziejowe zdarzenie, jakim była wielka wojna

i jego osobisty w niej udział, ośmielony w sobie do podejmowania ambicyj, jakie mu natura dała w darze — oto on, w zetknięciu z warstwami wykształconemi czuje nieważność kulturalną własnego środowiska, cierpi z tego powodu, osobiście poniżony, i przemyśliwa nad ustanowieniem dobrego samopoczucia, nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich swoich. Trzeba odszukać podstawę samopoczucia dla własnej warstwy, w jej odrębnym życiu odnaleźć swoiste wartości. Gdy terażniejszość jest mizerna, bo wieś jest biedna, politycznie uciśniona, oświatowo, mimo wszystko co się robiło, zaofana, pozostaje skok w przyszłość. Lecz w przyszłość lepiej się skacze, mając przeszłość za sobą. Ale historyczna przeszłość ludowa była niewesoła. Więc cóż pozostaje? Przeszłość przedhistoryczna czyli mityczna — i oto mamy romantyczny stan ducha, złożony z rewolucjonizmu i z „zadumy nad początkami“, czyli raczej z tęsknoty do prawieca, które było ludowe, kmiecie, piastowe, gminne — i było leśne, drzewne, czarowne, nieokiełzane ascetyczną moralnością, swobodne od panów i kapłanów. Z chrystjanizmem łączy się wspomnienie nowej kultury, murowanej, pańskiej i kościelnej.

„Sićko się kańsi podziało... kanys te gaje świętalne? — Kanys gontyny przy drogach, a w nik objaty proszalne, polańskiego wolnego narodu?... W zgłiszczach... odymiałe, corne... Tylko w nocy na spopieliałych progach, boginki płacom smętarne“. Na ich miejsce „niebieski Bóg kamienny kościołów będzie panem, Pon Bóg co chłopom zapłaci za ziwot znojny i w nędzy, na niebieskie ik bierąc posiadany...“ („Posiady“ nie znaczy „posady“ tylko tyle co: „gawędy“, „rozmowy“).

Nasz poeta oburzony jest, jako człowiek inteligentny i ambitny, tym głębokim kontrastem kulturalnym jaki przedstawia Polska: z jednej strony jest kultura inteligencka, ze swoją wysoką poezją i sztuką, z drugiej zacofana biedacka wieś i — porównywa ten stan z widokiem gotyckiej wieży kościelnej nad wsią z nędznych chat złożoną... Zastanawia się nad tem i przychodzi do przekonania, że myśmy zbyt wczesnie wzięli „na siebie chrzest i styl latyński“, bo na skutek tego w powiśkach jeszcze będąca rodzima kultura samorodna upadła, „genjusz narodu śpi od czasu Piastów“, a ponad nią rozwinęła się pańska, szlachecka, inteligencka i kościelna kultura; są więc dwie kultury, a raczej jedna rozwinięta kultura, obca, i druga rodzima, ale tylko w stanie utajonych możliwości pozostająca. I właśnie literatura ludowa, poezja ludowa, ludowa sztuka, jest to nawrót „do źródła“, do tych rasowych nie użytych i nieużytych potencjałów.

To są te same myśli, które kiedyś romantycznych ludo- i słowiano-filów ożywiały, a dziś takiego ludowca romantyka, antyurbanistę, jak Niećko, takiego wizjonera jak świetny grafik Jakubowski, albo jak, — żeby do całkiem innego sięgnąć świata — zniemczzonego Polaka z Bielska, niemieckiego hi-historyka sztuki, swastyka *avant la lettre*, gloryfikatora drewnianej i gromadnej ludowej Północy, przeciwstawionej hierarchicznemu a indywidualistycznemu murowanemu Południu, katolickiemu i rzymskiemu²⁾.

Ale byłoby wielkiem pominięciem, gdyby się tu nie wymieniło Orkana, z jego *Frankiem Rakoczym*, z jego *Drzewiej*, jego *Wskazaniami*, jako patrona ideowego ruchu „kultury ludowej“. Naszemu po-

ecie, z wyjątkiem Orkana, wszyscy ci są nieznani. Ale mistrzem mu jest góral-ziemianin Kazimierz Tetmajer, autor ksiąg pięknych i mitotwórczych o *Skalnem Podhalu*.

Wspomniane zbieżności mają na celu zauważyć, że w pewnych sytuacjach dziejowych, przy pewnych osobistych dyspozycjach, rodzą się z jakąś koniecznością pewne myśli. Niemiecki ruch swastycki do mitologii chętnie sięgający, jest ruchem ludowym, nie w tym sensie, żeby masa ludowa tak idee ruchu wyznaczała, bo masa nigdy nie wyznacza ideologii, zadawała się chceniami, ale w tym sensie, że jednostki z ludu przodownicze na tej, mitologicznej i paganizującej drodze, szukają bazy dla zbiorowego ludowego samopoczucia.

Dla nauki chrześcijańskiej pozostaje tu uderzać w najgłębsze apologetyczne tony: że tu jest sprawa między poetycznym, niewątpliwie, światem religji naturalnej, która wwiązuje człowieka w przyrodę — a światem nowej wiary, o wzniosłości nieodścignionej, która człowieka ponad przyrodę wyprowadza. Było to historycznym przypadkiem, że „niebieski Bóg“ był niesiony razem z wyrabianiem się tej socjalnej hierarchji, która kiedyś ujarzmi ubożego wolnego człowieka...

A pozatem, należy bronić humanizmu, czyli wskazywać na to, że jest coś, co się nazywa „człowieczeństwo“, jego nietylko niziny, lecz i wyżyny wszystkim wspólne, z których wszyscy czerpiemy najlepsze soki. Wreszcie, nie jest prawdą, jakoby genjusz narodu, od tak dawna spał — i żeby wogóle był spał. Sam nasz poeta ludowy, ileż zawdzięcza tej oświacie, którą z takim zapalem zdobywa, tym polskim dobrym książkom, których tyle ma! To są

już negatywne mity, o tej rzekomej obcości całej dotychczasowej naszej kultury i o jej bezwzględnej obcości dla ludu! Ale słuszne są te idee, które w nich tkwią, że kultura górna nie może zaprzestać być odpowiedzialną za cały naród — i ta, że naród rozwijając swą kulturę ma obowiązek, nie jedyny ale pierwszy, uprawiać i na słońce wywodzić utajone możliwości własnej rasy i masy.

Jestem w posiadaniu prywatnych ustnych komentarzy, do haseł przyszłościowych, które się w zbiorze *Na nową perć*, swoją drogą nie zupełnie wyraźnie, zaznaczają. Dezurbanizacja (odmiastowienie) kultury czyli decentralizacja ośrodków kultury: niech wyższe szkoły i urzędy idą na wieś i na prowincję między ludzi, niech ludzie sami we własnym zarządzie jaknajwięcej spraw załatwiają, niech tak będzie, żeby jaknajwięcej ludzi miało własną małą rolę i chleb z roli, niech jaknajwięcej ludzi będzie chłopami t.j. uprawia ziemię własnymi rękoma: to jest robota, która „mądrość daje“... Ale niech będą chłopami światłymi, wolnymi, godność swoją czującymi. Obawiam się, że jest w tym najzdrowszym na świecie programie uncja czegoś mitycznego... Ale dla krytyka jest ważnem podkreślić jak się w tej poezji ludowej odzwierciadliło ludowe poszukiwanie wartościowego samopoczucia.

Kto tak nie lubi centralizacji, komu tak zależy na ludzkiej i na wsiowej swobodzie, kto widział jak ludzi „w imię idei stawiano pod stienku“, ten musi nie znosić komunizmu. Jeśli mimo to w zbioru Kubińca dużo mówi się o „kosach“, ba nawet, w ustępie, któremu trudno przyznać, żeby był moralnie i narodowo smacznym, chwali się Szełę, to przyczyny tego rewolucjonizmu muszą być inne niż

uleganie bolszewickim podszeptom: „Świat się nie zbawi czerwonym pożarem“. — Więc skąd te kossy i ten Szela?

Wielu ludzi w Polsce jeszcze nie zdało sobie sprawy, jak głęboko przeorała się psychika ludzi, którzy stali z bronią w szeregach armji naprzeciw wroga, z których niejeden asystował największemu z przewrotów socjalnych. Wielu też nie zdaje sobie sprawy, że pewne zdarzenia, które miały mieć sens „wychowawczy“, miały go, ale zupełnie odwrotny: zamiast uciszyć ludzi i uspokoić, obraziły i rozjątrzyły ludową duszę aż do punktu, w którym należy się obawiać, żeby na tem rozjątrzeniu nie zaczął pasorzytować czerwony grzyb... Kryminalna, a nie bohaterska figura Szeli nie może dodawać godności, jeśli się ją wspomina pochwalnie — ale te akcenty należy prawdopodobnie policzyć na karb tej właśnie, o której dopiero była mowa, irytacji. Wolno mieć nadzieję, że z chwilą, w której stanowa godność chłopska uzyska zadośćuczynienie, szelizm⁴⁾ pozostanie wyłączną mitologią bolszewizantów od *lud-kultury*, a zdrowy gazdowski chłop-gospodarz pozostanie przy swoim micie chleba: „Podbijemy świat ten, chleba darem...“: „chleb“ znaczy tu wolną pracę i braterstwo.

Jeśli porównałem pod pewnym względem Kubińca z Niecką, to z innego znów względu, starego Bojkę on mi przypomina, który swe lata młode i męskie spędził na walce z pozostałościami „duszy pańszczyźnianej“, Bojkę, który w swoim temperamentie żywym i hardym, jest rodzonym tych „panów braci“, którzy o swoją — niestety przesadną! — wolność walczyli, ale o wolność...

Kubiniec jako góral, jest dumny z tego, że po-

chodzi z chłopów, którzy więcej wolności, niż inni gdzieindziej, w swoich górach przechowali, zadowolony jest ze swej góralskiej krwi zapalczywej i mocnej: „Hotarski groj!... Niek słysi świat!... będzie mé... jak me béli...“.

I tam gdzie życie góralskie oddaje, tam jest najlepszy. W sile wieku zacząwszy pisać, od jakichś okolicznościowych utworów poczynając, przeszedłszy nieuchronne w rozwoju poety ludowego i literatury ludowej stadjum łatwego wierszowania dydaktycznego, uprawiając rozmaite formy wiersza (np. tercynę, sekstynę, i to niekiedy bardzo udatnie⁵⁾), dając wdzięczne i dźwięczne utwory niektóre, gdzie jeszcze gwara miesza się z mową literacką (np. ładny wiersz o ciszy lasu górskiego, we wstępie do *Pieśni dramatycznej* p. t. *Legenda Tatr*), naśladowując rozmaite style wypowiedzi poetyckiej (ironję romantyczną Słowackiego albo dydaktyzm Norwida w utworze *Chłopski Promethidion*, gdzie za przewodem Norwida dysputuje nad kwestjami literatury ludowej)⁶⁾ — i w utworach tego typu dojrzałość poety prawdziwego osiągając czasem, będąc ciekawszym, jako wyraziciel prądów, niż jako pisarz-artysta, — ostatecznie jednak odnajduje własny styl i własną siłę w utworach zdecydowanie gwarowych, wyraźnie już artystyczny cel mających. Przyszedł do własnego jednolitego stylu i języka, którym umie oddać rytmikę szumno-posuwistego świata harnasiów i przepoić swe, nietylko obrazy, ile — *sit venia!*... — „wizje muzyczne“ nastrojowością zupełnie niepodrabianą, a świadczącą o inteligentnej pomysłowości poetyckiej. Ich poziom literacki wcale nie ustępuje utworom poetów inteligentów, którzy pisują gwarą, owszem, myślę, że styl ustnej poezji ludowej, styl

niesentymentalny, jest tu lepiej zachowany. Jako zaś pisarz ludowy autentyczny, czyli jako wieśniak, który wyższych ni średnich szkół nie kończył i który na roli pozostał, jest jednym z bardzo nielicznych ludowych pisarzy gwarowych — i jest bodajże pierwszym z pośród nich, który staje się już artystą, w sensie całkiem na serjo.

1) Według informacji osobistych.

2) Karol Strzygowski.

3) Por. *Dziela* Władysława Orkana, pod redakcją Stanisława Pigionia (wydane obecnie przez Gebethnera i Wolffa).

4) Z modną, niestety, apologją Szeli doskonale, na podstawie gruntownego studjum dokumentów, rozprawia się J. E. Płomieński w studjum pt. *Ironia dokumentów*, w *Wiedzy i Życiu*, r. 1935.

5) Ostatni pieśniarz jestem chmurnej pieśni,

Rapsod góralski z zielonej hali,

Na jedno słowo mojej klęczy: skrześnij —

Stanie tłum barwny i skra się zapali,

Ta zapomniana, co próchnem już świeci,

A zwie się fantazją ubiegłych stuleci. —

Przykład sekstyny Kubińca (wyjątek z wiersza *Preludjum, Wieś i jej Pieśń*).

6) Por. I, 17.

*

Stanisław Nędza Kubiniec, *Na nową perć*. Kościelisko 1936. Nakł. Ogniska Związku Podhalan w Kościelisku. Str. 71.

Do czytelnika.

Wypuszczając ten zbiorek rymowanych wierszy, bynajmniej nie miałem jakichkolwiek literackich pretensji a chciałem tylko skondensować niektóre myśli, tłukące się uparcie wśród nas chłopów i dać im

pewną formę. Nie siliłem się zupełnie na styl i pisałem najczęściej gwarowo, gdyż, tylko w gwarze mogłem pewne rzeczy uwypuklić. Książka zresztą pisana jest przez brata do braci i ci zrozumią mnie w zupełności — a jeżeli wywoła wśród nich pewną dyskusję, cel jej będzie osiągnięty.

Nędza Stanisław

Kościelisko, w sierpniu 1935 r.

273. [Dusza góralska].

(Z utworu: *Legenda Tatr*).

I widzę was, wy wieczni buntownicy,
Pijani własną mocą, ślebody bez pęt szalem,
Wy wieczni polowace, rycerze i zbójnicy,
I jam się zatchnął waszym ideałem.

I widzę was! — Hań w sinych błękitach,
Grom trzasnął — orla pieśń się śpiewa.

Nad głową Pan Bóg grzmi a w dolinach,
Niewcyrski potok¹⁾, siklawą się przelewa.

Takich was widzę i takich mam w pamięci,
Tacy w mej duszy jesteście zakłęci.

¹⁾ Płynący przez dolinę Niewcyrki.

274. [Kostka Napierski].

(j. w.).

Znam cię w górze... jesteś Kostką-Napierskim...¹⁾
wysoko.

szedłeś na chłopski tron... na pal cię katy włoką.
Rzygnąłeś krwią serdeczną i w strumieniach
ciekących zwolna; wyglądasz jak w płomieniach,
w płomieniach z krwi czerwonej. Dwa kagańce,
to oczy wyszłe z orbit, śmiertelnym bólem, trwogą,
świecą straszliwe i lecą gdzieś w bezkrańce,

ciernistych dróg. — Hej nie pomogą,
nic w twoim od trzewi idącym bolu
ci, których zwoływałeś,
po ciernistem zbierając ich polu,
za których życie dajesz...
Ciemni oni, bydlęcym przeszli smrodem,
od pokoleń ich bito.
A tyś chciał ich mieć nowym narodem,
nową Rzecz-pospolitą.
Dawałeś do rąk miecz, szaloną rwałeś lić,
za wstyd niewoli, znój i ból,
kajdany rwać i szlachtę bić,
chcesz-li być wolnym, sam się zwól.
Próżne hasła! — Schwycili cię panowie,
i na krwawy posadzili tron.
Purpurą krwi obiegły twoje skronie,
w męce, bolu, haniebny twój zgon.
Poleć krew Bogu, w której się cały pławisz,
I naród chłopski klnij... a może duszę zbawisz²⁾.

1) W r. 1649 zerwali się górale pod wodzą Szymona Bzowskiego, który nazwał się Kostką Napierskim i naturalnym synem króla Władysława. Ten związał się z nauczycielem w Pcimiu i ze sołtysem ze Starego Dunajca, zajął 1650 r. Czorsztyn i wzywał górali, aby na znak buntu wywieszali „wieniec chojniany na tyce“ i maili chaty. Wojska biskupie zgniotły jednak ten bunt, a sam wódz zginął w Krakowie na palu, 1651. (W. Sobieski, *Dzieje Polski*, II, 133). (O Napierskim dramaty *Kasprowicza* i *Orkana*, oba p.t. *Kostka Napierski* oraz powieść *Tetmajera Maryna z Hrubego*).

2) Szyderstwo.

275. [Hymn na cześć słońca].

(las szumi).

(j. w.).

Cicho...

wieczór nadchodzi,

nasz Bóg promienny się kryje,
za skalne przęśła turni,
za zielone pasma gór...
Hej smreki-bracia, szaleńcy wiecznie młodzi,
jedlice-siostry, cudne białe leluje,
jaworowie — kochankowie jurni,
modlitewny zaczynajcie chór...
Zacznijcie szept pacierzy,
szumem mocarnych gałęzi,
gdy się słońce-bóg do snu układa.
Zanim z głębi uwięzi,
z ciemnych nocy więcierzy,
duchów mroku wyrwie się gromada.
Zanim zaczną swe igry,
dzieci mroków i cieni,
śród uśpionej zieleni,
hymn nasz słońcu wydźwigny.
Z głębi stuletnich trzew,
z piersi leśnych mocarzy
dziękczynny wyrывa się śpiew.
Za ciepło, którem darzysz,
za światło, którem siejesz,
za wicher, którym wiejesz,
za rosę, którą rosisz
za życie, co przynosisz.
Chwała świetlane, boskie słońce...
maleńkie dzwonią dzwońce,
trawy i kwiateczkowie leśni,
dziękczynne pieją pieśni.
W twych promieniach rodzone
dzieci światła i rosy,
dzwonki tobie święcone,
dziękczynne ślemy głosy: —
Za światło, którem płoniesz,

za wietrzyk, którym wioniesz,
za rosę, która rosi
za deszcz, co życie nam przynosi.
Maleńkie dzwonią dzwońce.
Dzięki ci słońce, złote słońce.

276. [Dusza pańszczyźniana].

(j. w.).

Sablik.

Jakie dziwne som te chłopskie rzese,
Zarośli w ziém, z całom swojom urodom,
wkowali w niom całom swojom huć.
I nic sie śniej nigdy nie wykrzese,
zijom ino déscem i pogodom.
I tak sie marnie dadzom kluć.
Ze fto kce ino, to w jarzmo ik wprzagnie,
i batem wali a chłop ciągnie.

Janosik (w zadumaniu).

Hej jakiéj siły trza, coby śnik ludzi
porobić.
Ojczyców słowiańskich pól...
Olbrzyma, co mocą swą się trudzi,
Sytość z sérokich ciągnie ról...
Jak Piast pradziadek, co u wrót stodoły,
zaprosił na miód chłopcy i janioly.
A kiedy Miemiec seł z ogniem w tén strone,
Wzion miec do ręki — na głowe korone.
I stąd sie sława tym polom wywiła...
A choć był ino chłop... nie ciężyla.

277. [Skarga ostatnich czarownic].

(j. w.).

Ostatnie mé pogorzelnice,
ostatnie stróżki gontyn;

Od dymu, ognia zczerniało mi lice,
podziemnych słyszę jęk świętyń.

Sićko sie kańsi podziało...

Kanyś té gaje świętalne? —

A w nik bogowie mocarni,
bogowie słowa i miodu. —

Kanyś gontyny przy drogach,

a w nik objaty proszalne,
polańskiego wolnego narodu?...

W zgliszczach...

odymiałe, corne...

Tylko w nocy na spopielających progach,

boginki płacom smętarne.

— — — — —

Nie przylecom tu dziewczki z polany,

miłośnej — żadne rady,

ani starcy proszalni po léki...

Jus ik tu nigdy nie bedzie.

Książdz ik w kościoły powiedzie,

ka bedom dziękować pokornie,

za złe i dobre, za sićko —

i w niebie cekać nagrody

nagrody co trwa na wieki.

Niebieski Bóg bedzie ik panem,

Pon Bóg kamiennych kościołów,

Pon Bóg co chłopom zapłaci

za żywot znojny i w nędzy

na niebieskie ik biorąc posiadzy...

Panom zaś sićko na ziemi,

pszeniczne chleby i miody

i nicie złotej przędzy,

i serca twarde bez lęku

i miece stalne do ręku.

278. [Pieśń ludowa].

(Z utworu pt. *Chłopski Promethidion*¹⁾).

Czy wstaniesz Sobą, Ty ludowa Pieśni?...
I widzę ciebie, moja cudna Pani,

Z truchlicy wiecznej, odkryto ci wieka.

Wstałaś w dębowym wieńcu — z piorunami,
Których w gontynie strzegłaś przed pra-wiekiem,
Gdy chłop był kmieciem, kneziem i człowiekiem.

Wstałaś poszumem pól tych, chlebnej ziemi,
Gdzie w dzieży wieków nowy zaczyn rośnie,
I budzisz siewcę, który zboże pleni,
I pieśń mu śpiewasz radosną o wiośnie.
Ty jesteś żagwią płomienistych stanic,
Świecisz na trwozę — „wróg u naszych granic“.

Lękam się jednak moja poez[y]jo,
Chociaż nie jesteś chowaną w cieplarni,
Że cię zabiją mądrą dyskus[y]ją,
Adepci twoi i liczni i gwarni. —
Chcieliby szatę sprawić tobie nową,
Zamiast słowiańskiej, lnianej — flanelową.

Łódzkie maszyny skrzypią — tkając płótno,
Że jestem wiejski tkacz — więc mi smutno.

¹⁾ Cyprjan Norwid w poemacie pt. *Promethidion*, złożonym z poetyckiego *Wstępu*, dwóch dIALOGÓW pt. *Bogumił* i *Wiesław* oraz z prozą pisanego *Epilogu*, zastanawia się nad istotą sztuki oraz jej znaczeniem w życiu narodowym. Głęboką ideą rozmyślań Norwidowskich jest jedność cywilizacji w narodzie, która gubi się, gdy lud zostanie bez sztuki w swem życiu roboczym, zaś inteligencja w swem życiu, czysto umysłowym, „upiornem“, także bez sztuki, — sztuki, która powinna być uszlachetnieniem i upięk-

szeniem wszystkich prac i powinna być przepojona miłością, czyli „z myśleniem ludowem w pracowitej harmonji się kojarzyć“.

279. [Misja ludu].

(j. w.).

Polskę do życia znowu powołała
Dłoń Opatrzności, czy wola mocarzy,
I ona niby z martwych — wolna — wstała
I znowu o niej historia gwarzy.
A gdy jesteśmy swojej doli cieśle,
Ja zbuntowany chłop — plan jej kreślę. . .
Wyjdziemy wkrótce naprzód, my niesycki,
Lecz nie głosować z demokracji gestem,
A tylko nakształt wdół płynących lici,
Usłyszysz gromów krzyk: Matko, jestem.
I już zwycięzka dłoń Ludu podzieli,
Te szmaty działu, które inni wzięli.

I nie weźmiemy od innych szablonu,
Na przebudowę czy na rozbudowę,
Myśl własną weźmiem z czarnego zagonu
I zasiejemy własne ziarno zdrowe,
Które gdy wzrośnie, wypieczem chleb żytni.
Nie będą wśród nas głodni i niesytni.
A gdy nasycim ciało, ducha wzmocnim,
Że wśród pól stanie w narodowej szacie,
Nieuświetlone chaty rozśłonecznim,
I słodkie wtenczas będzie słowo: bracie. —

280. [Powrót do dumy rasowej].

(j. w.).

się wracamy do onego źródła,
Na skrzydłach myśli prędzej tam dolecę,

Moc jego jeszcze wcale nie ochłódła
Choć milczą pieśni co zwały na „wiece“.
I ręce uschły, co kładły pień progów
Gontyn — lub kuły twarze — własnych bogów.
Lecz w was się tworzy dziś to i ustala
I tam wracamy my — powrotna fala...

My otworzymy narodowi dźwierze.

Myśmy zbyt wczesnie upadli pod Krzyżem,
Wzięli na siebie chrzest i styl łatyński,
Niemowlę sztukę — język ognia liże
Lub w sławie tonie w raz z kamieniem młyńskim...
Mieszko z Dąbrówką pojął bogi nowe,
Z czoł w serc głębiny płynie chrzcielna woda.
Toczono miecze, pancerze spiżowe
Przyszły z Miłością, lecz znikła Swoboda.
I znikło wszystko pod obcym pokostem —
Jeśli co rosło, to było narostem.

281. [Polska krainą kontrastów].

(j. w.)

Polska krainą kontrastów.

Genjusz narodu, śpi od czasu Piastów.

Pobudowano gotyckie kościoły,
Które do nieba prują ostrą wieżą.
A obok chaty i krzywe stodoły,
I płoty z chrustu powalone leżą...
Zmanierowane serca Wam nie miękną,
Żeście zabili w prostym Ludzie piękno.

I czemuż znowu jest ta narodowa
Literatura? Ta arka przymierza —
W niej każdy naród swoje skarbce chowa,
U nas jest tylko jak gotyku wieża.
Widok być może — jako zwykle z wieży,
Lecz narodowej nie dojrzysz odzieży.
I błędzą cienie Homera, Byrona,
Słowiańska pieśń gdzieś pod płótem kona.

282. [Sen nad ranem].

Polska zdobyta, czarną chłopską dłonią,
Wszereż pójdzie i wzdłuż i przenikać...

I główna praca to będzie na roli,
A wszystkie inne to tylko dodatki,
Coś jakby lukier, albo kruszec soli,
Wyrosły z wnętrza ziemi — łona matki.

A na tej roli, stanie wolny człowiek,
Gazdą swej doli, chleba panem...
Lza słona z głodu nie kapnie spod powiek...
Sen się wypełni — śniłem go nad ranem.

Przed nami łąki — zaszłe kropel rosą,
Więc naprzód chłopcy, żegnając się kosą.

283. [W Tatrach jęczy...].

Ci nie słysicie? -- w Tatrach jęci,
łasami dudni śmierzć.
Spętany chłopski duk się męci;
na péric się kce wydrzeć,
na péric się kce wynieść.
Śpiéwojcie im, jak downiej, jak drzewiej,

zaklnijcie moc, zaklnijcie duse w śpiewie,
i ciśnijcie tén śpiew jak hrom.

Groście, niek się ozłęgo,
niek idzie hyr, niek idzie sum po lesie,
niek buki drzom, jedlice cuby gnom,
że chłopski lud się dźwigo,
ślebode w rękach niesie.

*

284. Taniec zbójnicki.

(*Prostu z Mostu*, 51/35).

*Hej baco nas, baco nas,
dobryk chłopców na zbój mas...
Jesce-byś ik lepsik miot,
kiebyś stary baco kciot!*

— — — — —
Hej nie na zieloné polanie...

ka wiatry jedle gnom...

Nie przy ognisku pod bukiem...

ka dziwozony śpiom...

Ba... na Nędzówce u Staska...

zesła się młodo brać...

Hotarscy przišli z gęślami...

i wziéni pięknie grać.

— — — — —
Dalej chłopci, do sałasa,

Każdo ładno... to je nasa.

Ej pobijemy bace,

Zrubiemy juhasa.

Zrubiemy juhasa.

— — — — —
I posły nuty prec...

zbérknény wroz ciupaski...

Zadygotała ziém...

ozłóg się gwizd juhaski...

Hej chłopci wroz!...

bo zicie potel trwo...
Pokiela momy huć...

— — — — —
muzyka niek nom gro...
Hej tańcujcie zbójnici,
frajérka niek nie krzici.
Na polanie, na sianie
zakonci sie kochanie.

Jeden za drugim w kółko...
jaz piersi sie zadysom...
Na ocy siednie mgła...
a trzoski pudom z dyli...

Hotarski groj!...
wokoło cie usłysom...
Ze orlik piórek sto...
przed nikim sie nie schyli...

— — — — —
Hej za Tatry, za Tatry,
jest tam ślalcie bohaty.
Nocieżej sie ośmielić,
budzie sie cim podzielić.

Sto hromów!... kaś? — Harnasiu nas!...
cekomé cie w téj kwili...
Hotarski groj!... niek słysi świat...
bedziemé... jak mé béli...²⁾

1) Zwrotki oznaczone kursywą są to popularne piosenki góralskie.
2) O Kubińcu też w r. XXXII.

XXVIII. KONSTANTY DOBRZYŃSKI.

Urodził się „w roku 1908¹⁾ w Łodzi na przedmieściu Chojny, jako syn robotnika fabryczne-

go. Ojciec jego zaginął na wojnie. Matka znalazła się w nędzy. Udała się na Kujawy, do rodziny. Mały Konstanty zarabiał na życie pasaniem bydła u okolicznych włościan. Wieczorami uczyła go matka czytania na książeczce do nabożeństwa. Chodząc za krowami przeczytał prawie wszystkie dzieła Sienkiewicza, które oszołomiły go i nakłoniły do uczenia się. Dostał się do zakładu rzemieślniczo-wychowawczego Braci Franciszkanów we Włocławku. Po kilku latach wrócił do Łodzi, gdzie ukończył szkołę powszechną i był rok w państwowej szkole włókienniczej, którą musiał opuścić z powodu choroby matki, żywicielki rodziny. Pracował dwa lata jako robotnik budowlany, potem otrzymał pracę w fabryce Scheiblera i w tym czasie kształcił się w gimnazjum wieczorowem, kończąc w niem 5 klas. Po odbyciu służby wojskowej był przez lata bezrobotny. Uczył się bez przerwy przy pomocy przyjaciół maturzystów i akademików. W okresie tym zabrał się już na serjo do twórczości literackiej. Nędza robotników wzbudziła w nim ducha buntu. Wkrótce zetknął się z duchem narodowym, który go porwał ideowością. Gdy pojawiły się w Łodzi pierwsze numery *Oredownika*, zbliżył się doń Dobrzyński. Wkrótce poczęły się jego wiersze pojawiać w tem piśmie, a po pewnym czasie Dobrzyński został współpracownikiem łódzkiego oddziału redakcji *Oredownika*¹⁾.

1) Przepisuję dosłownie z przedmowy Marjana Seydy do poezji Dobrzyńskiego.

2) „Twórczość poetycka Dobrzyńskiego, zdrowa, męska, szczerza, żywiołowa, jest przeciwieństwem cheractwa, a częściowo wręcz zwyrodnienia owych wyblakłych dusz, których „poezja“ albo kroczy na szczytach wymęczonej pozy i fał-

szu uczuć, albo tacza się wprost po jakichś obłądnych za-
ułkach szyderstwa z wszystkiego, co piękne, silne i — sen-
sowne. Dwa elementy wypełniają przedewszystkiem duszę
Dobrzyńskiego: wczucie się całym jestestwem w nędzę ludzką
oraz entuzjastyczny poryw dla idei narodowej, przekształ-
cającej polską duszę zbiorową. W zwycięstwie idei narodo-
wej widzi Dobrzyński wybawienie z niedoli tych, co cierpią
głód i chłód. Poezja Dobrzyńskiego, to piękny kwiat, ro-
snący na polskiej narodowej glebie“. — — (M. Seyda).

*

Konstanty Dobrzyński. *Czarna Poezja*. Po-
znań 1936. Nakładem „Oredownika“.

285. Jan Cebula.

Gazety pisały: Dnia 23 stycznia
1935, umarł z głodu i zimna w sza-
łasie na przedmieściu Łodzi 63-letni
Jan Cebula, uczestnik walk o nie-
podległość, długoletni Sybirak.

Knut mu zygzakiem wrastał w plecy hardo,
w mordę pięść wraża tłukła długo, długo...
rzygał zębami i czarnej krwi strugą,
lecz milczał...

Potem na Sybir szedł wisielczym szlakiem,
o sine dale darł dłonie [*sic*] do mięsa
i ból połykał w wielkich skrzepłych kęsach
i rył na śniegach lepkie, czarne znaki.
„Małczat sukinsyn!!“ kozak na popasach
warczał i kolbą prał, nahajem świstał.

— „Jezus!!“.

I była przepaść bezdenna i mglista,
co głucho huczała gdzieś w głowie,
na ustach słoność kutego obcasa...
Potem trza było długo po śnieżycach
tarzać się wścickie w opętanej męce,

w niebo wyciągać skamieniałe ręce
i wyć z tęsknoty, jak pies do księżyca...
Na gwiazdnych żuźlach duszę wciąż przypiekać
i skomleć... skomleć, aby choć zdaleka
przez gorejące na przestworzach kraty
Matce krwawiące całować stygmaty...
Lecz przyszedł grom, co strzaskał pęta,
i wstała Wolna, Niepodległa, Święta...
Wrócił Cebula do ojczystych progów
i łkał ze szczęścia i dziękował Bogu.
A potem... potem
(przekłęte słowo, co jak raną boli)
...konał powoli
w łunach stygnących mroźnego zachodu,
jak pies pod płótem...
Przy boku braci,
za których wolność krwią serdeczną płacił,
konał ...
konał z głodu...
Tak było ciężko konać...
tak ciężko
bezsilne ramiona
dźwigać do mieszkań przytulnych i ciepłych,
i w gorączkowej, potwornej malignie
słyszeć, jak stygnie
reszta za braci niewylanej krwi...
Połykać łyzy,
które krzepły...
A tam...
(O Jezu... Jezu...! Jezu...!)
szaleli!...
A tam...
nurzali się w topieli
zagrabionego na nędzarzach złota!!

Tam wino chlali, likiery, koniaki!!
A tam się gziły pijane kokoty!!
A tam rzygali szampanem w kloaki!!!
Wicher hen za miastem wściekał się i hulał
Gdy konał z głodu starzec Jan Cebula...
Tylko na murach zachód krwią ociekał...
O Polsko... Polsko... jakżeś Ty daleka...
O... nie mów, nie mów starcze bojowniku
swoim poległym w walkach towarzyszom
o takiej gorzkiej za czyny zapłacie...
Nie mów na Boga! Na imię Maryji!!!
Bo gdy twe skargi dławiące usłyszą,
powstaną z grobu w krwi twojej szkarłacie
ze strzępem stryczka wiszącym u szyi
i rany skrzepłe na nowo otworzą
i rąk szkielety wzniosą i zagrożą!!
A potem płacząc, szaty będą darli
i pożałują, że dla nas umarli...
.
.
.
Odszedłeś starcze do mroźnych zaświatów,
Polaku prawy, żołnierzu najszczerzy...
Dziś ja, choć jeden, na grób zamiast kwiatów
rzucam ci garstkę krwią pisanych wierszy.

286. Lipiec.

Wstał...
Zaspane oczy przemył srebrem rosy,
ziewnął szeroko, podciągnął się paskiem
i ruszył w pole przez złociste piaski
ogorzały, bosy.
Aż dosiadł oklep słońce, jak kobyłę —
wiatr mu rozczochrał złotych zbóż czuprynę,
i ruszył cwałem w daleką równinę,
gdzie się wciąż kłóca strumyki zawile.

Dopadł do boru. Zasiadł. Poklepał słońce,
spętał mu nogi, by nie poszło w szkodę
i puścił luzem na niebieskiej łące;
sam poszedł czernić w paprociach jagody¹⁾.
Huknął po lesie rażny i wesoły —
tam pomalował cynobrem maliny,
tu porozsiewał w barwnych kwiatach pszczoły,
aż legł zmęczony pod krzakiem leszczyny.

W południe nurka dał do misy stawu...
Parska... zbytkuje... dłońmi wodę szarpie...
Aż się zdziwiły dobroduszne karpie,
złośliwe plotki śląc nadbrzeżnym trawom.
A potem idzie rozognionym łanem,
przez kark zwiesiwszy z bławatów sukmanę
i do wsi zmierza, gdzie na niego czeka
bochen razowca, gar zsiadłego mleka.

Gdy Anioł Pański obwieszcza wskrąg dzwony,
westchnie żarliwie macierzanki. wonią,
klęknie pokornie cichy, rozmodlony
i w pierś się grzmotnie aż echa zadzwonią.
W ciepłych wieczorów anielskiej słodyczy,
gdy wejdzie księżyc — nocny stróż nad światem —
gwiazdy — psy srebrne, popuszcza ze smyczy
i do snu tuli ciche, senne kwiaty.

Skłoni się zorzy — rumianej dziewczynie,
muśnie pod brodę, pocałuje w oczy,
a gdy już dobrze ziemia się omroczy,
Lipiec śpi twardo w ciepłych chmur pierzynie.

¹⁾ Lipiec maluje jagody na czarno.

287. Wiosna w Łodzi.

Poprzez cień gęstych dymów błysnął promień złoty,
Zśliznął się po kominach i po murów bloku

I do ciemnych suteryn puścił się w zaloty;
Poigrał po śmietnikach, przejrzał się w rynsztoku.
Do fabryk poprzez kraty i szyby się wcisnął —
Przestrzelił chmury pyłu i w twarz robotnika
Spotniała, zakurzona, złotym blaskiem trysnęła!
Robotnik spojrział w górę, i aż się zachłysnął.
Podszedł bliżej, do okna — spojrzął po chodnikach,
Na bruki i asfalty całowane słońcem —
Wychylił głowę z okna i tchnieniem rzeźwiącem
Sycił długo pierś chorą.

Ze skarłałych krzewów
Dolatywał chór ptasich szczebiotów.
I biła hen w niebiosa cudna pieśń radosna.
Robotnik szepnął z cicha: — Prawda, wszak to
[wiosna!

XXIX. JÓZEF JEREMSKI.

Jeszcze jeden poeta robotniczej Łodzi (może pseudonim?), zasługujący na szczególną uwagę, bo poeta epiczny, nienajwyższego wprowadzie lotu, ale o wielkim rozpędzie pracy — i to pierwszy w tym rodzaju poeta ludowy, a jeden z nadzwyczaj nielicznych poetów epicznych współczesnych nam w literaturze naszej¹). Gdym w roku 1935 w mem studjum o zagadnieniach literatury ludowej wyrażał przekonanie, że epos jest bardzo pożądaną drogą dla poezji ludowej (por. we Wstępie I, 37) — nie wiedziałem, że się już przygotowuje epos z życia robotników łódzkich w rewolucyjnych latach 1904/5 w 13 księgach, z wyraźnym przed oczyma duszy autora wzorem *Pana Tadeusza*. *Włókniarze* są nie tylko utworem z gatunku epicznego (poezja opowiadająca o zdarzeniach), ale wprost epos

peją — a tę swoją rangę temu zawdzięczają, iż życie codzienne danego środowiska rzucają na tło dziejowe: i *Pan Tadeusz* nie byłby „epopeją“, tylko „sielanką“, gdyby nad życiem Soplicowa z jego prywatnymi sporami i zabawami, nie była wisiała, jak groźna chmura na horyzoncie, wielka dziejowa sprawa²⁾. Tak i we *Włókniarzach*; nad cichem bytowaniem rodziny robotniczej wisi walka patriotyczna i klasowa, która sięga dramatycznie aż do wnętrza rodziny, której błyskawice rozporaz złowrogo oświetlają izbę robotniczą. Autor, prawdopodobnie sam się w tej izbie wychował, urodzony pewno, jak z poematu można wnioskować, gdzieś około roku 1890, ale przed nim, jako dorastający chłopiec bierze udział (po przeciwnej stronie politycznej niż jego ojciec) w zamieszkach i walkach, on po stronie socjalistycznej, ojciec po narodowej; ojciec ginie z bratobójczej ręki, syn dostaje się do więzienia; ostatecznie jednak poemat kończy się, podobnie jak litewska historia szlachecka, weselem: młody Gadula żeni się z Teklą Borelecką, zapaloną „endeczką“... Na weselu piją w zgodzie obie partje, jak ongiś na weselu młodego Soplicy z Horeszkówną pili pogodzeni Sopliców stronnicy z Dobrzyńskimi, zwolennikami Horeszki... Robotnicze to epos, pisane jest językiem literackim tam, gdzie autor od siebie mówi, nie zawsze doskonale poprawnym i dostatecznie poetyckim, ale żywym i plastycznym, wznoszącym się nieraz do wzruszającej i poetycznej siły; język osób działających jest naogół codzienną mową tamtejszych robotników, nieco ustylizowaną po literacku, ale pełną charakterystycznych dla środowiska zawartości słownikarskich; gwary fonetycznie nie naśladowuje.

Wiersz 13-zgłoskowy, nie bez usterek metrycznych, bardzo liczne rymy niedokładne, dziś zresztą tolerowane, a nawet modne. Bliższą charakterystykę oddaję krytykowi literackiemu, który pierwszy na poemat Jeremskiego zwrócił uwagę i niemal entuzjastycznie go powitał³⁾. Jeszcze tylko podniosę od siebie moralnie i ideowo szlachetną, bezstronną, prawdziwie „epicką“ postawę autora tej epepei robotniczej, w której należy powitać zjawisko literackie bardzo pożądane.

W cytacjach pozwoliłem sobie znieść poiział na rządki, drukując je „niby-prozą“.

1) Poematem epicznym jest Marjana Czuchnowskiego *Powódź i śmierć*, Kraków 1936, *Biblioteka Nowej Wsi nr. 2*, którego tu nie włączam, gdyż Czuchnowski nie jest „poetą ludowym“ w naszym tu ścisłym sensie, ze względu na swe szkoły. (Jest to jednak raczej poemat liryczny, mimo tematu epicznego, i liryczne partje wychodzą najlepiej, niekiedy pięknie).

2) Z tegoż powodu trudno mi „epepeją“ nazwać poemat śląskiego pisarza X. Norberta Bończyka, *Stary Kościół Miechowski*, IV wydanie, Katowice 1936, nakł. Instytutu Śląskiego, opracowany przez W. Ogrodzińskiego (I wyd. 1879). Sympatyczny ten poemat z życia małomiasteczkańskiego i chłopskiego na Śląsku Górnym, który swego czasu zwrócił uwagę Kraszewskiego, z niektórych motywów istotnie przypominający *Pana Tadeusza*, niesłusznie jednak, zdaniem mojem, przez śląskich badaczy literackich podniesiony został do rangi „epepei chłopskiej“: jest to malowidło rodzajowe, to, co się nazywało „sielanką“, temat nie jest rangi epicznej, nie ma tam nad tem życiem zacisznem patosu dziejów. (Przy sposobności pozwolę sobie zauważyć, że sumienne opracowanie p. W. Ogrodzińskiego jest aż z a n a d t o sumienne, zastosowano aparat filologiczny, taki jak np. do wydań nieznanych poematów Słowackiego... Sądzę, że jest to przesada, niepożądana dlatego, że, nie mówiąc już o podrożeniu kosztów wydania, raczej odstrasza tą nauko-

wością przeciętnego czytelnika: poco np. wszystkie odmianki tekstu, poco ten spis nazwisk, poco tak liczne, i nie pod tekstem, objaśnienia?; utwór tego rodzaju powinien liczyć na tych czytelników, dla których był przez poetę przeznaczony: ludowych, powinien być tani, z objaśnieniami i życiorysem poety, owszem, ale bez pedanterji, przydałyby się raczej dobre rysunki)...

³⁾ K. W. Zawodziński, *Rocznik Literacki*, 1936, 45—47, nie przecozając słabych stron poematu, jak: „prymitywizm artystyczny, staroświeckie opisy, prozaiczne wstawki rezonerskie, nieumiejętność dialogu, brak charakterystyki językowej bohaterów, niezbyt wielkie pogłębienie psychologiczne, słabą być może konstrukcję, zbędne ustępy, czasem w złym guście (np. epizod z matką w zakończeniu)“ powiada jednak: „— — — nie szkodzi, że wiersze są dość liche, że mógłby je ktoś nazwać rymowaną prozą: spełniają one swe zadanie w stopniu najistotniejszym dla tego rodzaju literackiego, gdzie i w zakresie wiersza łatwo można „przefajnować“: przypomnijmy złe usługi, jakie oddała kunsztowna oktawa epice polskiej w porównaniu z prostą formą epiki Mickiewicza — — — Władza zaś wierszem Jeremski dostatecznie, by wygadać się nim jasno, nie nadużywając waty słownej dla rytmu i rymu. Więc też choć książka jest duża treść jej zdumiewa bogactwem nawet w stosunku do rozmiarów. — — Dzieje prywatne rzucone są na tło spraw publicznych: życia ekonomicznego Łodzi, jego fluktuacji konjunkturalnych, bezrobocia, czy pomyślności, walk o zwiększenie plac za iście katorżny wysiłek robotnika w niewiarygodnych warunkach fizycznych i moralnych, przedstawionych z przerażającą konkretnością; a także życia politycznego, a w niem przede wszystkim walk wewnętrznych w łonie masy robotniczej, w której rozwija się równocześnie uświadomienie klasowe i uświadomienie narodowe. Powyższy suchy schemat nie daje wyobrażenia o bogactwie i odkrywczej świeżości jego wypełnienia. Tak, jeśli chodzi o rozwój ideowy robotnika łódzkiego, zamiast legendy o bohaterach i męczennikach, tu ujawniają się zupełnie inne, pomijane, lub raczej nieznanne elementy: przenikanie marksizmu z zachodu, a za pośrednictwem żywiołu niemieckiego, reprezentującego nie tylko, jak to się mechanicznie myśli, kapitalizm łódzki, ale i znaczną część, tę wykwalifikowaną, inteligentniejszą, masy robotniczej. — — —

— — — Odczuwa on rozkosz odnajdowania utrwalonego w słowie, nieustannie odpływającego w przeszłość świata, a to właśnie jest podstawą czystej epickości. Widać ją na wszystkim: od ustępów pulsujących wzruszeniem aż do rzeczowego wymieniania płac i cen w kopiejkach i miarach niemetrycznych; od ujęcia spraw wielkich, rozrostu miasta i jego „paleotechnicznego“, jak najdalszego od sielankowego piękna, krajobrazu, od wstrząsających obrazów pracy fabrycznej, zużywającej człowieka jak paliwo czy części maszyn, od krwawych walk bratobójczych — aż do szczegółów jedzenia, mieszkania, umeblowania, obrządków życia codziennego, ubierania się (nie pomijając pojęć o „elegancji“) i rozbierania się (nie pomijając suszenia onucek), słowem wszystkiego jak się dzieje „w robotniczej sferze“: wszędzie obserwacja wierna i po epicku rozmiłowana. Nie pomija też sfery duchowej, uczuć rodzinnych, miłości i nieporozumień między synem socjalistą a ojcem „narodowym robotnikiem“, subtelnie i wzruszająco przedstawiając ciężar tych przeżyć dla stron obu; robotnik, prosty człowiek, jest tu zupełnym człowiekiem, nie tylko umiejącym hawić się i reagować prostacko, ale i czuć głęboko i subtelnie: czy miłość czystą do kobiety, czy jeszcze mniej oczekiwanej oddać się namiętności — muzyce. Boć to jest obraz tego świata nie od zewnątrz, nie z ciekawości literata powstały. Dlatego wolny od egzageracji, od umyślnej deformacji artystycznej, od tendencyjności, od „ressentiment“ do „złego świata“. Językiem takim, jak w owych czasach mówił inteligentny, czytany robotnik, (nieco banalnym, dziennikarskim, posługującym się wytartymi dla nas zwrotami i przenośniami), autor pisze tak, jak należy pisać o swej ojczyźnie, o swym domu, gdzie się widziało szczęście i nieszczęście, oceniane stosownie do ram obrazu, z pogodą, z obiektywizmem — — — równym zawsze i właściwym głosem. Pomiedzy tym światem a sobą nie stawia dystansu, chyba dystans oddalenia w czasie, rzadko kiedy dystans humoru, rzadziej niż autor *Pana Tadeusza*, bo też oddalenie się od tego świata jest raczej mniejsze niż Mickiewicza od szlacheckiego świata Nowogródziny. Dlatego nie mierząc tu talentów poetyckich, niech będzie wolno stwierdzić identyczność gatunku literackiego w najściślejszym znaczeniu i najgłębszej istocie: jest to epos robotniczej Łodzi, rzetelnością prawdy, rozległością

i wielkością ujętych spraw, sposobem podejścia a raczej drogą wyjścia z opisywanego świata“.

¹⁾ Por. I, 313.

*

Józef Jeremski, *Włókniarze*. Warszawa (bez daty), Wydawnictwo Współczesne (stron 228).

288. [Kupno skrzypiec, 53].

(Z rozdz. III: *Skrzypce*).

— — — Niemiec zapewne sam był fabrykantem skrzypiec i muzykiem. Przed gościem stanął, wzrokiem łypie w jego stronę z zachętą, by zechciał posłuchać pięknych treli, zabrząkał. Gaduli do ucha wpadł dźwięk miły, radosny, jakgdyby instrument był żywy. Potem smyczek zdezwał się szumem cichym i dźwięcznym, ciągnąc się włosiem po strunie, jakgdyby pieścił się struną, jakby unieść chciał się z melodją w górę, tony tak rzewliwe dobywał, że Gaduli oczy zasły szklivem łez, lecz zacisnął zęby, aby dziwny smutek swej duszy zwalczyć w sobie. Niemiec na przynętę mnie bierze — myśli klient. Ale muzyk wcale go nie widzi, wpatrzony w skrzypce, ciągnie dalej po strunach siwym smykiem, jakgdyby, tysiące miał przed sobą słuchaczy. Wreszcie fale drżące melodji uroczystej, życiem przepojone, przycichły i zamarły, wydając przed zgonem jęk serdeczny, jakby duch skrzypiec miał ulecieć.

Gadula był prostakiem, a mimo to przecie odczuł piękno muzyki¹⁾; poddał się nastrojom i trwał przez chwilę w ciszy; rozważał i pojał Wicka, który marzeniem żył, aby posiadać własne skrzypce. I przerwał ciszę: — Niech pan gada, ile mają kosztować. Niemiec się uśmiechnął i zażądał pięć

rubli. Na to klient: — Niechno pan tak dużo nie ceni. — Targ w targ i w pięć minut Gadula ze skrzypcami pod pachą i z miną tryumfatora wyszedł żwawo na ulicę.

Gdy powrócił do domu i ujrzał go Wicek z pudełkiem dostatecznie świadczącym, co wewnątrz kryje, skoczył z radości, bo wiedział napewno, że to dla niego. Oczy mgłą zasły z wzruszenia. Ojciec spojrział na syna ciekaw, czy doceniał jego wielką ofiarę, bo aż rubli cztery. Dostrzegł łzy i ukoił swoje serce szczerym wdzięczności wzrokiem Wicka. A i jemu w oczach błysnęło łzą. I myśl nim władnęła prorocza, że odtąd Wicek będzie inną życia drogą kroczył i Krant z synami²⁾ już go nie przemogą. Zagrajno — rzecze ojciec — masz z nutami zeszyt, to pieśni narodowe. Wincenty pospieszył do szuflady w komodzie — miał tam w pudełeczku dwa ruble z kopiejkami, związane chusteczką. — Niech to tata zabierze, com uciulał — zwracam. To jest moja fabryczna dodatkowa praca — uskładałem na skrzypce. Lecz ojciec pieniędzy tych nie przyjął. Skoro ja uciulałem prędzej niż ty — rzekł ojciec — niechaj mam z tego uciechę. Coś uskładał to twoje. — I wesołym śmiechem oraz żartami Wicka zagadał, zakrzyczał. Wicek spojrział na ojca wesołe oblicze i kiwnął głową na znak zgody. Wziął do ręki skrzypce i brzdąknął. Izbę napęłniły dźwięki. Wszystko w domu ucichło, jakby makiem zasiał. Matka siadła na stołku, trzymając Ignasia, obok Hanka na kufrze i Edmund, ciekawie wsłuchując się w strun dźwięki. Przy stole na ławie siedział ojciec i nuty przed muzykiem trzymał rozłożone, wlepiając się w niego oczyma. Wicek, ażeby pierwsza pieśń radość sprawiła ojcu, zaczął grać „Jeszcze Polska nie zginęła“³⁾.

Ręce ojcu zadrżały, lzy trysnęły z oczu, ale nut nie popuścił. A i Wicek poczuł, że się w jego uczucia jakaś moc zakradła, bo i jemu łza błysła, i na skrzypce padła ⁴⁾).

1) Tak samo pan Tadeusz: „Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia“ — — — Cały zresztą ten ustęp o muzyce świadczy o głębokiem obcowaniu z poematem Mickiewicza, a nietylko o naśladownictwie.

2) Robotnicy Niemcy, socjalni demokraci.

3) Widocznie rymuje: sprawiła — nie zginęła: dozwolone obecnie rymy niedokładne, których Jeremski często używa.

4) Koniec Księgi III.

289. [Bójka na wiecu, 70].

(Z rozdz. IV: *Masówka*).

— — Mówca wyłożył program swej partji, a potem krytykował programy inne. Jota w jotę mówił to sam esdek ¹⁾, chociaż propagował niby to inną rację. Mówcy o dwa słowa jednak się posprzeczcali: ten konstytuante chciał zwołać w Petersburgu, zaś w Warszawie tamten.

Wreszcie na skrzyni stanął znowu mówca trzeci. Był to Michał Gadula, który stanął przeciw mówcom socjalistycznym, twierdząc, że nie rości pretensji do klas innych w narodzie. W jedności jest siła narodowa, a on jest Polakiem i bliżsi mu rodacy, aniżeli jakieś tam rewolucjonisty z Moskwy czy Odessy.

Enzeterowiec ²⁾ rychło znalazł się w opresji, gdy Borelecki ³⁾ mocno rozdrażnionym tonem krzyknął, aby zaprzestać pleść duby smalone, i podszedł doń, pociągnął go za nogawicę. Gadula się zatoczył, co gdy widząc Wicek, przestraszył się, bo wiedział, że ojciec oberwie. Jakoś w tej samej chwili ktoś krzyknął: — W łeb ścierwie!

— Tobie w łeb! — odpowiedział zwolennik Gaduli. Ale inny z pięściami skoczył nań i stulił enzeterowiec uszy i milczał jak trusia. Niebawem jednak w bójce zbiorowej wziąć musiał udział, aby obronić Gadulę, albowiem jeden z esdeków rzucił weń ciężkim ołowiem wagi około funta i krwią go zabrocył. Narodowiec esdeka grzmotnął między oczy rurką żelazną — esdek zachwiał się i upadł. Na narodowców padła socjalistów kupa i bój zarwał jakiego w Łodzi nie widziano.

Gadula spadł z trybuny z dużą w głowie raną. Esdekowi kość pękła nosowa i oko krwią zaszło, na policzku pręga na szerokość dwu cali od nasady nosowej do ucha barwy fioletowej, z ust i nosa bucha krew tak obfitą strugą, że chyba z esdekiem będzie koniec. Lecz esdek słów plugawych stekiem, rzuca w stronę swych wrogów i puszca w ruch pięści. Co kto może porywa i żelazo chrzęści — rurki, sztaby... Wre walka krwawa i zaciekła, brat brata gotów żywcem zepchnąć na dno piekła.

Tysiąc ludzi zbiło się w jedno kłębowisko, a chociaż niejednemu już do śmierci blisko, przecież nienawiść wzmaga się w nich coraz bardziej. Tkacz folusznika chwycił rękoma za gardziel i dusi, tłukąc głową o ziemię, a styłu inny folusznik z bruku rwie kamień i z siłą rzuca na tkacza, który z folusznika spada, aż jęknął, jednocześnie przedarzy gromada wali weń bezlitośnie twardemi obcasy.

Krzyki, charczenia, jęki skotłowanej masy proletarjackiej lecą chaotycznym chórem wysoko, by pomiędzy mury wzlecieć w górę i po dachach ześlignąć się aż na ulicę. Lecz o tem nie myślano.

Walka we fabryce wre dalej. Trzech farbiarzy bije pakowacza, którego żona zdala mdleje i rozpacza w mniemaniu, że jej męża farbiarze zatłuką.

Kobiety także walczą. Wyzwiska jak: suko, małpo, szurmoku, szlompko, rozpustnico, szlajo, z ust kobiet rozszalałych jak strzały padają. Pisk coraz się rozlega głośniejszy i częstszy, mieszając się z odgłosem przekleństw, wrzasku mężczyzn. Prac jakoś biegnie naprzód, wpada w drzwi kotłowni, gonią go wilkarz, gremplarz, ślusarz i smarownik. Prac miota kawałami węgla w przeciwników, z których jeden otrzymał cios w głowę, lecz z dziką pasją, pomimo rany, brocząc krwią, dobiega do pracza i nieduży, lecz żelazny legar chwytą w ramiona z trudem i nadyma płuca, by sobie dodać mocy i przed siebie rzuca. Legar padł tuż przy praczu i dosięgnął nogi, kość pękła, pracz na węgle padł. Ślusarz za progi kotłowni się wycofał i na pomoc pobiegł windziarzowi, co w walce z tkaczem nie mógł sobie poradzić i już ledwo dyszał, a krew z nosa spływała prosto w usta, już nawet we włosach także się czerwieniało. Wreszcie ręką znaki dają z balkonu tkacze i krzyczą: Kozaki!

Jak różdżką czarodziejską dotknięty tłum w boju, nagle rozbiegł się w różne strony — zawarł sojusz. Niema wrogów — są bracia i wobec kozaków działają solidarnie⁴⁾. — Chodź tu, pepesiaku, schowaj się! — woła wilkarz na młodego mówcę. Zdejm kapelusz i stań tu w mojej maciejówce za wilkiem. Tam znów pepes i enzeterowiec ukryli się pod wozem, zaś jak stado owiec wszyscy się rozbiegają zgodnie, solidarnie. Większość wbiegła do tkalni, reszta na ślusarnię prze, stąd się bowiem można najłatwiej wydostać, drugim wyjściem na

pole, tu kozacza chłosta ich ominie. Kto znalazł się pod ręką z brzegu, temu na kark nahajka spada. Tam znów zbiega, który w odosobnieniu sam jeden ucieka w stronę stawu, dopędza kozak, i zdaleka krzyczy, by się zatrzymał, lecz zbieg jednym skokiem jest już w stawie i zda się utonął w głębokiej wodzie, gdyż znikł pod wodą. Jednakże po chwili głowa z wody wypływa⁵⁾. Kozak się nie silił na schwytanie pływaka, chwilkę z koniem stoi bezradny, wreszcie wraca i pędzi do swoich.

1) Członek partji: Socjalna Demokracja Król. Polskiego i Litwy; była to partja antynarodowa.

2) Członek Narodowego Związku Robotniczego.

3) Borelecki był pepesowcem, czyli członkiem Polskiej Partji Socjalistycznej, która obok hasel klasowych, stawiała i narodowe.

4) Całkiem tak jak „Dobrzyńscy z Litwą“ pogodzeni wobec Moskali...

5) Czy nie tak, jak pan Protazy, który w częstej opresji lubił skakać w konopie?...

290. Wesele, 224.

(Z rozdz. XIII: *Wesele*).

— — — Starosta wzniosł kieliszek do góry i śmiało za zdrowie starościny do dna go wychyla. Inni czynią to samo. Nie minęła chwila, gdy wuj Tekli przypuszcza atak do swej damy. — Czy starościna sądzi, że my się nie znamy na jej dowcipach? Wiemy, wiemy dobrze o tem i powiemy — wbrew temu, że milczenie złotem. Bowiem niekiedy złoto znajdziecie w gadaniu. Czy nie tak droga Teklo? Cz nie prawda Haniu?

Wszyscy milczeli, bowiem nikt nie umiał zgadnąć o czem wuj Tekli myślał. — Masz postawę

ładną zacna ma starościno — wuj rozprawiał dalej — i cięty masz języczek, ale to mnie wcale ku tobie nie pociąga, bo to jeno słowa. Czy pani starościna byłaby gotowa dowieść, że słowo z czynem idzie u niej w parze? W stronę wuja wszystkie się odwróciły twarze, wszyscy czuli, że teraz coś tutaj się stanie.

Nagle wuj starościnę, jak na zawołanie chwytając ją w płucho — a niewiasta była dosyć tłusta — i przycisnąwszy mocno pocałował w usta. Goście krzyknęli: — Brawo! — A wuj jeszcze głośniej: — Wasze piwo jest jeszcze gorzkie! Wrzawa rośnie. Kobiety, kryją twarze, pisk ich się rozlega, ale to nie pomaga — całuje kto z brzegu. Każdy jednak swej damy szuka, aż nareszcie wuj znowu głośno krzyczy: — Za szklanki się bierzcie! Nie! — poprawia — wstrzymać się, zaczekajcie troszkę, to piwo jest niesmaczne, jeszcze nieco gorzkie. Dlaczego? — ktoś zapytał. Jeszcze pani młoda! — No Wicek, jeśli między nami ma być zgoda, trzeba żebyś osłodził piwo, i to żywo. Goście krzyknęli: Prawda, jeszcze gorzkie piwo! Wicek zrozumiał, głośno cmoknął w usta żonę. Brawo! Pijmy! Niech żyje! Piwo osłodzone!

Kto chciał tańczyć, do drugiej izby się wysunął. Skrzypek nastroił skrzypce, brzdąknął każdą struną, basista krótkim smykem po basach przejechał. Klarncista spróbował tonu, lecz miał pecha, bo zapiszczał, że każdy aż zatykał uszy, dopiero kornecista ton fałszu zagłuszył. Gdy się jednak harmonji odezwały dźwięki, półtony grube i średnie, kilka tonów cienkich, które jakby same-mu Bogu się skarżyły, odrazu zapanował nastrój bardzo miły. O, bo harmonja cieszy się wśród ro-

botników największem poważaniem. Jeśli chcesz muzyką zjednać sobie roboczą klasę, to pamiętaj, że harmonja najlepiej będzie tam przyjęta.

Najprzód tańczyła młodzież: drużby i drużbowie, później również i starsi, by przypomnieć sobie młode lata, ruszyli w tany i walili obcasami w podłogę tak, że w pewnej chwili aż dom się cały zatrzęsł i szyby zabrzękły — — —

*

W związku z poematem epicznym powyżej omówionym warto wspomnieć o epicznym poemacie Alfonsa Dzieciółowskiego, z którego znam tylko próbkę, godną uwagi; wątpię, ze względu na styl („międzyrzeckie epos“), ażeby to był poeta ludowy, dlatego nie włączam go do Wzmianek; w każdym razie jest to jakiś utalentowany poeta. *Il. Kurj. Codz.* z 20. V. 1934 podaje: „*Nieznane międzyrzeckie epos*: 16 listopada 1919 r. znany z okrucieństw oddział niemieckich huzarów śmierci liczący 250 ludzi, z trzema karabinami maszynowymi, w powrocie do ojczyzny napadł podstępnie na załogę polską Międzyrzecza i wymordował zgórą 50 ludzi. Alfons Dzieciółowski, który był jednym z ocalałych, ujął ten nieznaną epizod poetycznie i ogłosił drukiem, pt. *Obrona Międzyrzecza*. Przytaczamy ostatni ustęp poematu, ten, gdy oblężeni w pałacu Potockich Polacy w liczbie 50-ciu widząc, że niema innego ratunku, postanowili przedrzeć się przez szeregi niemieckie.

Siecze karabin maszynowy, siecze
i śmierć za śmiercią na swej taśmie wlecze...
Nie było łatwo. Cóż mogła garść mała
wobec dwu setek chłopca. Zabielała
w powietrzu czyjaś chusta. Żołnierz prawy
ten znak szanuje, lecz nie zbój plugawy.
Totenhuzary rzucili się wściekli
na nas, i kłując, ku bramie nas wlekli.
Wlekli rozmyślnie, by dopełnić miary
cierpień... Psy podłe, nie śmierci huzary!
Na bramie, bracie, gwoździami przybity
wisiał Markiewicz, bagnetem przeszyty.

Krwią cały splywał. Żył jeszcze, bo okiem
zasnutem pomgły śmiertelnej obłokiem,
potoczył po nas... Skrzywił się. I głowę
na pierś opuścił... Śmiali się wrogowie.
Co było później, co się potem działo,
nie wiem, gdym ocknął się, znowu szarzało.
Oto nieznanie międzyrzeckie epos,
krwią poczerniałe, spowinięte krepą“.

*

O innym pocie ludowym epicznym p. we Wzmiankach pod: Bezimienny Sybirak.

E) PISARZE TEATRALNI.

XXX. TEATR LUDOWY.

Teatr ludowy ma swoje ciekawe i obfite zagadnienia, na traktowanie których nie ma tu miejsca. Zaznaczę tylko, że udział pisarzy ludowych autentycznych w twórczości teatralnej jest dotąd bardzo nieznaczny. Wprawdzie utworów teatralnych dla ludu i młodzieży pisze się moc, ale ich autorowie są to albo nieliczni raczej, artyści inteligencji (żeby tylko z dawniejszych Anczyca, Rydła, ze współczesnych Cierniaka wspomnieć), albo też, i częściej, ludzie z pogranicza ludu i warstw wykształconych, często księża o psychice nawpół ludowej itp. — a twórczość ich to typowa, jaką określam „prowin-cjonalną“, bez wyższego zazwyczaj artyzmu. Nowy ruch teatralny, którego entuzjastą i przewodnikiem jest Jędrzej Cierniak, dąży do wypłenienia małopolszczańskiego teatru dla ludu, chce stworzyć teatr prawdziwie ludowy, z elementów ludowego obyczaju, ludowej pieśni i ludowej sztuki; zastrzegam się w te zagadnienia nie wchodzić, więc tylko wspomnę o takim utworze jak *Wesele na Kurpiach* X. Skierkowskiego, który dał udatną próbę inscenizacji życia ludowego i znalazł naśladowców. *Pastorałka* L. Schillera jest wzorem, jak się takie rzeczy robi na poziomie wysokiego artyzmu. Czasopismo *Teatr Ludowy* razporaz daje na swych łamach przykłady utworów teatralnych w tym duchu.

Okazuje się jednak, że są to rzeczy trudne i że ta droga teatralna wymaga i talentów i odpowiedniego wykształcenia. Jeśli są na wsi dobre zespoły teatralne, które dają ładne i pomysłowe widowiska to dzięki nie tyle „twórczości zespołowej“, ile swoim indywidualnym kierownikom¹⁾.

Lud nasz lubi teatr, lubi odgrywać, lubi patrzeć i słuchać — i jest to dziedzina pracy pożyteczna i wdzięczna; teatr ludowy prosi się o utalentowanych autorów, znających dobrze istotne gusta ludowe, a już dla „konsumcji“ ludowej obójnym będzie, czy to będą pisarze ludowi autentyczni czy jacy inni.

¹⁾ Czytelnik, któryby chciał zapoznać się z temi zagadnieniami, ma fundamentalną książkę Adama Bienia i Jędrzeja Cierniaka: *Teatry ludowe w Polsce*, Warszawa 1928, wydawnictwa Instytutu Teatrów Ludowych w Warszawie, jak *Teatr szkolny* Z. Kwiecińskiego, *Teatr w pieśni* Z. Solarzowej i inne, oraz miesięcznik *Teatr Ludowy*, wyd. I. T. L. (Także: K. L. Koniński, *Z zagadnień teatru ludowego, Polska Oświata Pozaszkolna* 1—2 1931, oraz tegoż: *Romain Rolland o teatrze ludowym, Z dziejów teatru „zbiorowego“, O komedję ludową, Teatr obrzędowy, O tzw. teatralizacji życia, Rodzaje teatru, Pojęcie teatru* — wszystkie w rocznikach czasopisma *Teatr Ludowy* za r. 1932 i 1933 — oraz cenne o teatrze ludowym studjum Tadeusza Kudlińskiego w *Przeglądzie Współczesnym, Teatr powszechny*, (179, 180/37).

*

Jestem w możności poinformować o ruchu teatralno-ludowym w Zakopanem, gdzie się on rozwija dość żywo, stanowiąc ważną pozycję w życiu towarzyskiem i organizacyjnym górali. Przy Związku Podhalań jest sekcja teatralna, którą prowadzi pełna entuzjazmu do teatru ludowego, au-

tentyczna ludowa autorka dramatyczna, zapalona miłośniczka kultury ludowej, po góralsku nosząca się, Marja Bachleda Curusiówna¹⁾); teatr ten, amatorski, daje co roku po kilka przedstawień zawsze regionalnych, które ściągają nie tylko „ceprów“, lecz i, co najważniejsze, górali. Inteligenką imprezą był, z kół literackich wyszły Teatr Regionalny im. Orkana, który dał parę widowisk, a jedno z nich pt. *Podhale tańczy*, dzieło wspólne Mieczysława Rytarda i jego żony Heleny z Rojów²⁾ (którą, mimo że swoim sposobem bycia weszła już całkowicie w sferę inteligenką, można uznać za autentyczną pisarkę ludową) oraz Stanisława Mierczyńskiego, świetnego znawcy, zbieracza i wydawcy pieśni i muzyki góralskiej. *Podhale tańczy* podobało się bardzo w Warszawie, grane w teatrze Ateneum w r. 1929 przez zespół aktorów zawodowych. Uzyskało ono uznanie wybitnych krytyków, było rodzajem formistycznej stylizacji elementów ludowych (zdaje się jedyna w tej dziedzinie droga do wyższego artyzmu), ale nie słyszę, aby wróciło na stałe do teatru istotnie ludowego tj. amatorskiego. Prawdopodobnie dlatego, że widz ludowy pragnie albo realizmu na scenie, albo rodzajowych, żartobliwych lub naodwrot wzruszających treści, dydaktycznego patosu, finałów moralistycznych, przyczem wcale nie jest wybredny artystycznie. Utwory Curusiówny doskonale trafiają w gust ludowy: nie są to formistyczne inscenizacje, tylko sztuki o treści dramatycznej, z wplecionymi tańcami i śpiewami, dużo w nich niepodrabianego ludowego humoru i satyry obyczajowej, żywa akcja pełna niespodzianek i zawikłań śmiesznych lub wzruszających, nie bez morału łatwo zro-

zumiałego. Jest to dobry teatr szczerze ludowy, ludowy choćby dlatego także, że wprowadza i osoby z poza ludu, nie dbając o stylową linię ludową — ale teatr to bez pretensyj wyższego rzędu. *Zaduszki pod Giewontem* Stanisława Sieczki, górala z Zakopanego, znanego narciarza i współtwórcy filmu *Biały Ślad*, mogą widzowi naiwnemu podobać się jako *mixtum compositum* farsy, widowiska alegorycznego, dramatu, o efektach sentymentalnych a łatwych; być może zresztą, że ta droga jest właściwą dla widowiska ludowego — i że pisarze, którzyby tego rodzaju widowiska tworzyli z artystem, daliby utwory w swoistym stylu, dla sceny ludowej pożądane; sympatyczne w sztuce Sieczki wywoływanie duchów Sabały, ale i Witkiewicza i Chałubińskiego i Orkana, jako twórców podhalańskiego samopoczucia.

¹⁾ **Marja Bachleđa Curusiówna** podaje mi swą notatkę autobiograficzną: „Byłam jeszcze dzieckiem, gdy teatr Ludwika Solskiego na gościnnych występach w Zakopanem, robił na mnie niezwykle wrażenie. Ukrywając przed rodzicami, cichaczem bywałam na wszystkich przedstawieniach, co powodowało u mnie coraz to większe zamiłowanie do sztuki scenicznej, poczem obudziła się we mnie chęć napisania i wystawienia własnego utworu; na razie poprzestawałam na tem, że z moimi rówieśnikami urządzałam rozmaite improwizowane przedstawienia teatralne. Później zapragnęłam poznać arcydzieła sztuki dramatycznej, co ułatwił mi Jerzy Gawliński, bibliotekarz Biblioteki Publicznej w Zakopanem, dzięki któremu zapoznałam się z dziełami wielkich pisarzy polskich i zagranicznych; największe jednak wrażenie zrobiły na mnie utwory Konopnickiej, o doli chłopa, przemawiając do mej duszy. Pierwsze moje przedstawienie odbyło się w r. 1924, pt. *Nieudane namówiny dwóch głuchych wdowców*, potem poszły: *Wierna żona*, *Na szkolnem Podhalu*, *W dziesiątą rocznicę odrodzenia Polski*, *Wesele*

Jagnisi, Ojcowizno moja, Niezwalczony wojownik o niepodległość Polski; wszystkie sztuki grane były po kilka razy w Zakopanem i we wsi Bukowinie, *Niezwalczony wojownik* także w Warszawie w Teatrze Żołnierza. Mam pomysły szeregu nowych utworów. Wszystko to prowadziłam własnymi siłami i funduszami. Reżyserował Władysław Kowalski. Urządzam oprócz tego wieczornice góralskie dla przyjezdnych. Marzę o wybudowaniu własnej sali teatralnej dla szerzenia sztuki góralskiej“. (Curusiówna utrzymuje się z gospodarstwa rolnego po rodzicach).

2) **Helena z Rojów Rytardowa** podaje mi notatkę autobiograficzną: „Urodziłam się w Zakopanem 16 kwietnia 1899 r., gdzie skończyłam szkołę powszechną czteroklasową. Innego wykształcenia nie posiadam. Teatrem interesowałam się od wczesnej młodości, urządzając przedstawienia dzieciinne w gronie swych rówieśników. Przysłuchując się w domu opowiadaniom ojca mego o starodawnych czasach, bajdom o boginkach, legendom i pieśniom zbójnickim, których dużo pamiętał i chętnie sobie przypominał, postanowiłam wykorzystać ten materiał i ułożyłam z niego sztukę góralską w trzech aktach, ze śpiewem, muzyką i tańcami, zatytułowaną *Jak carownice pasowały Janosika na zbójnika*. Wystawiłam tę sztukę na wiosnę 1918 r. w sali kina „Sokół“ w Zakopanem, siłami miejscowych górali. W czasie akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku, grałam ze swoim zespołem *Janosika* przez 6 tygodni na terenie G. Śląska, na dochód Komitetu Plebiscytowego. W r. 1918 napisaliśmy wspólnie z mężem, Jerzym Mieczysławem Rytardem, sztukę o charakterze wodewilowym z muzyką, śpiewem i tańcami pt. *Podhale tańczy*, wystawioną w r. 1929 w warszawskim teatrze „Ateneum“, gdzie była grana przez sześć tygodni. *Podhale tańczy* jest widowiskiem, ilustrującym życie, obyczaje, obrzędy, tańce, śpiew i muzykę ludu pohalańskiego. W r. 1933 zorganizowaliśmy w Zakopanem razem z mężem zespół góralski pod nazwą „Orkanowy Teatr Regionalny“, rozporządzający własnymi dekoracjami. Napisaliśmy tegoż roku wspólnie z mężem komedjo-dramat góralski w trzech aktach pn. *Karczma* i zorganizowaliśmy dwa przedstawienia *Podhala* i *Karczmy* w wykonaniu „Ork. Teatr. Region.“ Pozatem *Podhale* grane

było kilka razy w latach 1933—1935 dla różnych wycieczek zagranicznych i krajowych, bawiących w Zakopanem, i w sierpniu 1935 w czasie „Święta Gór“*).

*) *Podhala* nie widziałem, z szeregu licznych pochwalnych recenzyj, najgłębszą wydała mi się J. Wołoszynowskiego, w *Gazecie Polskiej*: „— — — Oryginalność kompozycji Rytardów polega na tem, że wybór uzależnili od pewnej formy, ściśle arealistycznej. Nie jest to już prymityw ludowy, choć wrażenie prymitywu napozór czyni, tylko dość wyrafinowana, prawie ‘czysta forma’ — a przedstawienie jest właściwie formistyczne“. [Przypomina tu teorie teatralne S. I. Witkiewicza i inscenizacje Schillera]. — — „*Podhale* jest skonstruowane poetycko na wzór wykresu geometrycznego, wszelka zatem ‘okrągłość’ wymiarów realistycznych zaciera rysunek zbudowany z samych linii prostych. — — — Pani Roj-Rytardowa zebrała treść góralską, ale poeta Rytard, jej małżonek, nadał widowisku swoją formę poetycką“. Dalej mowa o „skomplikowanej i enigmatycznej twórczości“ Rytarda, która się odbiła na „wartościach formalnych“ tego widowiska. (Ze względu na tę współpracę artystyczną męża, wytrawnego poety, właściwie Rytardowej należy się wzmianka jako o „zbieracze materiału“).

*

W związku z pisarzami teatralnymi na Podhalu, należy wspomnieć, że Piotr Borowy z Orawy inscenizował sztuki teatralne, które się nie zachowały, bo były to żywe inscenizacje (wedł. inform. X. F. Machaya, por. r. XIX). — Andrzej Stopka z Kościeliska (nauczyciel gimnazjalny) autor książki o Sabale (por. I, 2), zostawił w rękopisie sztuki teatralne regionalne: *Wiatr halny*, rkp. w Związku Podhalań w Zakopanem, *Na świtaniu*, rkp. u p. Apostoła, organisty w Nowym Targu, *Kostka Napierski*, rkp. u p. Jakuba Zachemskiego w Krakowie (co wedł. inform. p. J. Bielatowicza, przy sposobności *pro memoria* notuję). — We Wzmiankach o innych pisarzach teatralnych, przeważnie z pogranicza literatury ludowej; godne uwagi imprezy W. Wiącka.

F) WZMIANKI.

Uwagi wstępne.

Dział ten jest pewnego rodzaju magazynem: umieszczam w nim wszystkich tych pisarzy, którzy, czyto nie nadawali się do umieszczenia w rozdziałach poprzednich, jako mniej ważni, tak iż udzielenie im osobnego rozdziału byłoby nieodpowiedniem, czyto, mimo, że ważni i że bardzo zasługiwaliby na osobny rozdział — nie mogli być przezemnie, na skutek braku dostatecznej ilości informacji, dość dokładnie opracowani, czyto wreszcie, zbyt późno, już po wydrukowaniu odpowiednich działów, zdołałem uzyskać o nich należyte informacje, tak iż dopiero we Wzmiankach ich umieszczam, nie zamierzając przez to wcale obniżyć ich znaczenia (Średniawski!). Pozatem umieszczam tu rzeczywiste „wzmianki“, zbierając szereg nazwisk z notatek dziennikarskich i pism literackich, autorów, których częstokroć sam nie miałem sposobności przeczytać; szereg takich notatek dostarczyli mi też znajomi życzliwi temu przedsięwzięciu; wynotowałem z roczników pism ludoznawczych co dotyczyło pisarzy ludowych; czasem tylko ze słychu wiem o jakimś pisarzu ludowym, żadnych nie posiadając o nim bliższych wiadomości, mimo to notuję go — w tej myśli, że ta pierwsza praca o pisarzach ludowych winna uratować od zapomnienia i te, choćby i bardzo małe nazwiska. Jako tego

rodzaju „magazyn“, którego zawartość w znacznym stopniu zawisła od przypadku, ten dział zawiera pisarzy o wartości bardzo nierównej: od Sredniawskiego począwszy, poważnego publicysty gospodarczego, aż do jakichś bardzo naiwnych i prymitywnych autorów jednego czy kilku wierszy; ale ta nierównowartościowość nazwisk tu traktowanych, nierównowartościowość aż paradoksalna, jest właściwą dla całej tej książki, i jest ona prawdziwym wyrazem współczesnego naszego życia ludowego — w jego ruszeniu się masy wzwyż ku życiu oświeconemu: gdy najwyższa czołowa fala jest już wysoko, to masyw, acz się i on już rusza, jeszcze się mieści w głębinie prymitywu lub półprymitywu.

Pozatem, dział ten nie jest dokładny: gdybym był mógł przeglądać znacznie więcej pism niż te, z których robiłem notatki, ja albo moi łaskawi informatorzy, gdyby zpośród osób, o których przypuszczałem, że mogą mi dać jakieś przyczynki do danej kwestji wszysy byli dali mi odpowiedź na me zapytania — to pewno i ilość nazwisk, którem zebrał, powiększyłaby się znacznie; ale toby było jeszcze bardziej obciążyło ten dział i wogóle książkę; może w przyszłości ktoś inny przedsięwzięmie dokładniejsze poszukiwania; to co tu się daje, na razie wystarczy; z pisarzy starszych i zesłych z tego świata, napewno żadne ważniejsze nazwisko nie zostało pominięte, z pośród młodych, zaczynających pisać, jeśli pominięto kogoś, ktoby w całej pełni zasługiwał na pamięć o nim, to i tak wielkiej krzywdy niema, bo młodzi i zdolni mają przed sobą przyszłość, która ich zauważy i zapamięta. Tak jak jest, z tej dość znacznej liczby nazwisk przytocz-

nych, czytelnik, który może ledwo o jednym albo dwóch pisarzach ludowych był słyszał, przekona się, że pisarstwo ludowe jest zjawiskiem obfitem i choćby tylko przez to ważnem. Ale, jak już nadmieniałem, i w tym dziale znajdują się autorowie utworów, które mogą dać, jak miemam, i wykształconemu czytelnikowi pewne, nawet estetyczne, wzruszenia.

Zbieracz utworów piśmiennictwa ludowego potyka się, dziś zwłaszcza, o dwie trudności: Jedną, że wobec rozwoju ilościowego pisarstwa, wobec jego masowości, wobec zacierania się, przy demokratyzacji społeczeństwa, granic między warstwami społecznymi, coraz trudniej określać ludowość (autentyczną) pisarza; nie oceniam tu tego zjawiska, stwierdzam tylko techniczną trudność, jaka dla badacza piśmiennictwa ludowego stąd powstaje: poprostu jak dopytywać się o stan wykształcenia, jak określać, czy ten oto młody człowiek w tużurku, współpracownik jednego z niezliczonych tygodników, jest jeszcze czy już nie pisarzem ludowym?... Piśmiennictwo ludowe autentyczne, czyli piśmiennictwo tworzone przez „ludzi prostych“, tj. piśmiennictwo środowiska dającego się wyraziście dostrzec, właściwie kończy się — i może to być ostatni czas — (nie licząc nb. przeglądu minionych już początków piśmiennictwa ludowego) — w którym książka taka jak ta, jest jeszcze możliwą? Ślady owego wahania się znajdzie czytelnik tak w tych Wzmiankach, jak i w całej książce: umieszczam i takich pisarzy, co do których nie mam czystego „klasyfikacyjnego sumienia“.

Zacierają się więc granice piśmiennictwa ludowego od góry — ale zacierają się także od dołu

— i tu druga trudność; rozpleniła się mianowicie bujnie jak chwasty, jakaś literatura od spodu, której nie można nazwać inaczej, jak półinteligencją, w najgorszym znaczeniu tego słowa, arcygłupia i ordynarna, jakieś najlichsze wierszoklectwo, jakaś magiczna medycyna, najdziksza polityka, najprymitywniejsze społeczne zbawicielstwo; nie mówię tu oczywiście o autorach należących do zorganizowanych partyj, za nich odpowiadają ich stronnictwa..., ale o tych wszystkich niezliczonych grafomanach (niekiedy zresztą najlepszej woli), o tych najdziwniejszych autorach gdzieś z pogranicza fokloru i domu obłąkanych, zasypujących swemi broszurkami i pisemkami redakcje dzienników i czasopism, które im się odwdzięczają sprawozdaniami w takich rubrykach jak *Pod ostrym kątem*, *Z osłej łaki*, *Camera obscura*... Ta smutno-śmieszna literatura grafomańsko-wulgarna jest oczywiście także zjawiskiem kultury, i dlatego (co podniósł J. Tuwim) także zasługuje na zbieranie i zbadanie... Jakie środowisko produkuje te *curiosa*? W jakiej mierze autorowie ich są ludowymi? O ile idzie o przeszłość, o zabytki czasów dawniejszych, zajmuje się nimi ludoznawca; badacz zjawisk piśmiennictwa ludowego współczesnego byłby niemi zainteresowany, o ileby stwierdził autorstwo chłopca, i to chłopca, który pozostał „samorodnym“; gdy zaś do miasta przeniesiemy się i tam szukamy autorów tego pokroju, to znajdziemy ich w środowiskach głównie tzw. małomieszczańskich, ale i to raczej pogranicznych i nieokreślonych, towarzysko, socjalnie, kulturalnie, w środowiskach na które składają się produkty i deklasacji i awansu społecznego, ale nieudanego... Od literatury tego typu

należy odciąć stanowczo pisarstwo ludowe, do którego należy zaliczać utwory nawet bardzo prymitywne, ale świadczące o zamkniętem wyrażnem życiu ludowem, jeśli zaś utwory z pogranicza ludowego, to tylko te, które, choćby poniżej były standartu literatury klas wykształconych, to jednak świadczą o awansie kulturalnym, udanym... Taka musi być tu zasada, ale w praktyce niezawsze tak się to jasno przedstawia...¹⁾.

Dział niniejszy dzielę na 3 rozdziały: XXXI, o pisarzach, których nie wiązę w grupy, tylko traktuję każdego z osobna, XXXII o pisarzach powiązanych w grupy, czy to regionalne (o ile się takie dały utworzyć), czy to ze względu na wspólne źródło informacji (com tu uczynił poprostu dla mej wygody przedstawienia rzeczy); w XXXIII zbieram kilka próbek pisarstwa ludowego bezimiennego i najprymitywniejszego.

(Wreszcie zaznaczam, że zasadniczo wzmianki drukowane są drukiem małym, wyjątek czynię dla pisarzy, których utwory są przytaczane; ustępy o tych pisarzach, zgodnie z przyjętą tu zasadą graficzną dla cytacyj, składane są drukiem normalnym — co jednak nie wyraża żadnej porównawczej oceny).

¹⁾ Co naprzykład zrobić z takimi wierszami:

Nasze stodoły świeciły szkieletem,
W naszych komorach pajęczyna siadła,
Pokrzywy zjedlim co rosły pod płotem,
Dworscy panowie smrodzili od jadła,
Ale nam głodnym bronili kruszyny,
A w okolicy ni jednej strużyny
Nie znajdziesz człeku. Wszystko co się dało
Zjedlimy zgłodniali i nic nie zostało.
We dworze, który ukradł trochę jadła,
Wśród ciemnej nocy głowa mu upadła.

Te wiersze (wyjęte ze Stanisława Pawliczka *Ojciec zagłodzonych*, Katowice 1934, nakł. wł.), A. Jesionowski (*Zaranie Śląskie*, 4/935) przytacza z zapytaniem: „Grafomanja czy proletarjacka poezja?” Co do mnie, nie znając całego zbiorku, tylko tę próbkę, zaliczam ją do ludowego rymopistwa, poezji na stopniu prymitywnym: ten wiersz płynie potoczyście, ma jakąś lapidarność, i czuje się szczerłość biednego człowieka, który się jakoś chce skarżyć. Natomiast ładną próbką grafomaństwa jest wierszyk wyjęty z *Czaru Wiersza*, organu literatów w Trembowli:

Róże kwitły mi w Chalinie,
Gdzie mieszkałem w oficynie,
Był tam kotlet z wieprzowinki —
Gdy go brakło, jadłem szynki.
Kuce wiozły mnie do miasta,
Gdzie zjadłem smaczne ciasta,
Gdzie pijałem smaczną kawę,
Co zwiększało moją sławę.
Byłem znany hen po Wronki,
Gdzie rodzina mojej żonki,
Mojej Zosi ukochanej
I przez wszystkich uwielbianej.
Gdy dziś jadę na rowerze,
To mnie wielka rozpacz bierze,
I tak sobie często nucę:
„Gdzie się działy moje kuce“.

Naturalnie i takie wierszyki wolno pisać dla rozrywki, jest to lepsze niż np. rozbijać po drogach; ale trudno zaliczać do jakiegokolwiek poezji takie bzdurki; natomiast to jest ciekawe, jako jakieś *signum temporis*, że od takich „organów literackich“, tchnących „czarem“ takich i tym podobnych wierszy, dziś zaroiło się — i ciekawe, jak na prowincję, do tubylczych rymopisów i grafomanów, nie doszły najmniejsze wpływy nowych form poezji oficjalnej... Ale to lepiej, najprzykrzejsze jest barbarzyństwo upozowane na postęp. Swoją drogą, nie zamierzam tego całego zjawiska bezapelacyjnie oddać wzgardzie: pośród tej grafomanji znajduje się i bezpretensjonalna, z jakiejś, godniejszej szacunku konieczności płynąca, prywatna poezja, którą przecież nie brzydzymy się znajdując jej okazy z dawniejszych cza-

sów *). Najokropniejszy w owych tworach wulgarnych jest ich język polski, mimo że wychodzą częstokroć spod pióra najżałostliwszych hurrapatriotów i antysemitów.

Zjawisko półinteligentstwa ma swoje sfery górne i dolne; do sfer górnych i najgórniejszych należy „filozofja“ jednego z najwybitniejszych obecnie europejskich mężów stanu, „filozofja“ powiadał, kiedy się w nią próbuje bawić, a nie jego polityka, w której niestety celuje zręcznością. (Por. I, 45). Ale dla scharakteryzowania jak mentalność pół- lub raczej ćwierć-inteligentcka wygląda u samego spodu, przytaczam taki oto wycinek z odpowiedzi redakcyjnych poczytnego dziennika:

„Niniejszem udaję się z zapytaniem do Szan. Redakcji, czy pomieści pismo moją teorię, w jaki sposób powstał wszechświat i w jaki sposób dostać się na miesiąc, Wenerę i Mars i powrócić na naszą ziemię. Ja nie posiadam żadnych wyższych klas, prócz szkoły wiejskiej. Ale przeczytawszy książeczkę czytelnianą „Astronomję“, mam teoretyczną podstawę poddać krytyce nawet takich filozofów, jak Laplas i Kant i wielu innych. Moja teoria przedstawia znaczenie i czynności komet“.

Absolutna nieznanomość własnych granic, tu już niemal patologji sięgająca; ale badacze współczesnych, w zasadzie tak zdrowych fermentów ludowych, powinni liczyć się z tym ich kwaśnym i niebezpiecznym dla utrzymania kultury produktem. (O tych kwestjach traktowałem już we Wstępie I, 7, 44—46).

*) Że przypomnę tu, wydane przez Idalję Kotową, wiersze starszlacheckiej rymopiski Stanisławskiej.

XXXI.

Jan Baranowicz.

201. Wyznanie.

Błądziliśmy: —

nam nie wolno żyć bez programu
jak głógom,
krzewiącym się kędyś na stokach wzgórza.

Piorun wskazań musi po nas przejść

i myśl rozpalic

i w krwi po szyję unurzać —

Świadomi nurtujemy w mozole,

w szary, prosty odziani drellich.

Moc niesiem w sobie.

Triumf Dzieła

niebliski jeszcze.

Brutalny czas nas odeń dzieli.

Godło?

Dwa kilofy na krzyż,

a w pośrodku młota grom ciężki

Rozumiecie:

mamy wyrąbać Polsce i Wam
granitowe do szczęścia ścieżki ¹⁾.

¹⁾ Wedł. *Il. Kurj. Codz.* 5. IX. 1935. Wiersz uczestnika
Ochotniczej Drużyny Robotniczej w Łąkach.

*

Franciszek Beciński. „Wśród regionalnych autorów wyróżnia się wcale znaczną siłą ekspresji Franciszek Beciński, samouk, kowal z zawodu, zamieszkały w Barcinie nad Notecią, ziemi Kujawskiej. Autor nie uczęszczał nawet do szkółki elementarnej, potrafił jednak własną pilnością nauczyć się czytania i pisania i stać się piewcą swej ziemi. Talent swój okazał już w zbiorze wierszy pt. *Modraki i maki z kujawskich równin*. Obecnie wyszedł nowy tom Becińskiego, mianowicie *Smętnice ziemi*, na które składa się znaczna ilość nowel regionalnych.

O talencie autora może dać świadectwo taka mała próbka, z przygód pijanicy, chłopca Kołtuna:

„Kołtun ni miał jeszcze z djablamy żodny przygody, jednako słyszoł o nich i mioł się na każdy roz na bacności. Totyż chociaż w głowie mu się kręciło kiej w jakim wietroku, dziw go ogarnął, jak chłop jakiś duży przestąpił mu drogę. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, no tak na wyciągnięcie ręki poprzeciw stojeli. Smiarkował się jednak Kołtun odrazu, że niebylejakie to lichu. Pomacał nieznacznie prze-

ciwnika, a ten był kosmaty. To źle — myślał sobie i gorzałka mu wnet ze łba wywietrzała. Zaciśnął więc w garści sękatą malachę i zawołał hardo: Wszelki duch Pana Boga chwali!“

Cyt. wedł. *Il. Kurj. Codz.* z 5. IX. 1935.

Bezimienny Sybirak, chłop polski deportowany z Ukrainy Sowieckiej na Daleki Wschód nadsyła do Radja warszawskiego, „na okropnym bibulastym papierze, drobnym maczkiem pisaną powieść rymowaną pt. *Częstochowa*, stron 76“. Poemat ten został napisany w baraku przymusowej brygady robotniczej w jednej z kopalń syberyjskich, w czasie od 1. lutego do 15 października 1936. Autor, streszczając „prawdźwie częstochowskim wierszem dzieje obrony Częstochowy“ zaznacza w załączonym liście, że pisał według „wiekopomnego i światowego dzieła kochanego pana Henryka Sienkiewicza, świeć Panie nad jego duszą“. Oto próbka jego wierszy o rycerzach polskich na Ukrainie:

Rycerz polski ze zwyczaju
Pilnował granic tego kraju...
Żołnierz króla polskiego
Jeden lepszy był drugiego.
Między nimi tacy byli
Którzy wiek życia służyli.
W ciągłych wojnach udział brali,
Za zwykłą rzecz to poczytali.

P. Wraga, który o tem pisze (w *Il. Kurj. Codz.*, 21. I. 37) tak komentuje nadesłany utwór:

„Proszę wyobrazić sobie przez chwilę tego naszego rodaka, który znalazłszy się w miejscach uświęconych już niejednokrotnie krwią „katorżników“ - Polaków, tęskni za krajem i swoimi i pozbawiony jest nawet tych łączników duchowych z Polską, jakie były dostępne za czasów caratu. Nie ma on książek, nie ma gazet, nie ma niczego 'poza świadomością, że gdzieś daleko istnieje przecież jego macierzysta ziemia, żyją rodacy, mający szczęście pracować, radować się, cierpieć i umierać na własnej polskiej ziemi, której on nigdy prawdopodobnie nie zobaczy.

I jako jedyny sposób wyrażenia swej głębokiej miłości i przywiązania do narodu polskiego, odświeżył on w swej pamięci wspomnienia o dawno przeczytanym *Potopie* Sien-

kiewiczza i napisał ten jedyny w swoim rodzaju poemat tęsknoty, miłości, wiary i siły narodowej“.

Józef Białoskórski. W roku 1933 u kapitana L. Ordyńca w Gdyni jawi się młody człowiek bardzo zbiedzony, który przyjechał niedawno statkiem z Afryki. Opowiada mu swą historję: Jest dzieckiem robotniczym z Łodzi. W czasie wojny osierocony przez oboje rodziców, rusza za jakimś zarobkiem, dostaje się aż na Morawy i Węgry. Gdy powstaje wojsko polskie, wraca do Polski, zgłasza się do wojska, zostaje kapralem, porzuca wojsko, udaje się do powstania górnośląskiego, wzięty do niewoli niemieckiej ucieka z niej, przedostaje się do Belgji, potem do Francji, daje się zwerbować do Legji Cudzoziemskiej, walczy z Arabami na Saharze, służy potem w Annamie w Azji, dosługuje się, jak twierdzi, stopnia sierżanta w Legji, dezertuje z niej, dobiega jakoś do Polski, tu dostawszy się pod opiekę wspomnianego oficera, zachęcony przez niego, spisuje swe wspomnienia na tysiącu trzydziestu stronach formatu podaniowego. Kapitan Ordyniec przesyła próbkę tego pamiętnika Boyowi Żeleńskiemu, a następnie sam Białoskórski ze swoim pamiętnikiem zjawia się u Żeleńskiego, który wyznaje, że „czyta to bez przerwy kilka dni, nie mogąc się oderwać“. Boy anonduje pamiętnik ów artykułem pt. *Antki i Felki na Saharze* (*Wiadomości Literackie* Nr. 14, 1934), jako „pisany wybornie — — — z uderzającą pamięcią wizualną, właściwą widać owym świeżym, niezużytym inteligencjom. Cóż na pozór monotonna niż wieczne marsze i bijatyki w piaskach Sahary? Otóż nie; każdą potyczkę, każdy epizod, mają pod jego piórem swoją inność... Bez przesady sędzę, że w pamiętniku tym zyskamy nietylko jedyny w swoim rodzaju dokument, ale i tęgi utwór literacki“. Zachęcony tem dziennik *Dzień Dobry* drukował Białoskórskiego, a w r. 1935 wyszedł pierwszy tom tego pamiętnika¹⁾, który rzeczywiście rzeźwo i żywo jest pisany. Niestety, niedawno (w r. 1936) pamiętnik ów został zakwestjonowany jako „mistyfikacja“ na skutek wielu nieprawdopodobieństw, które w nim ktoś, kto dobrze zna Legję Cudzoziemską, znalazł²⁾. Jakkolwiekby Białoskórski w Legji Cudzoziemskiej musiał służyć, bo inaczej byłby zmyślaczem cudownym, a jeśli koloryzuje tyle, iż pamiętnik ten w żaden sposób, jako dokument nie może

służyć, to w każdym razie świadczy, że ten proletarjacki zawadjaka — (nie pozbawiony sentymentu patryjotycznego, w Anamie obchodzi z kolegami święto 3. Maja...) — i zażarty kobieciarz, jest gawędziarzem i koloryzatorem, nie wiele gorszym od Imci Pana Zagłoby...

1) Józef Białoskórski, b. sierżant Legji Cudzoziemskiej. *10 lat piekła w Legji Cudzoziemskiej*, w opracowaniu Mirki Borkowicza. *Wstęp*: L. Ordyńca, *Książka* T. Boya Żeleńskiego. T. I. Warszawa 1935, skład gł. Księgarnia Tow. Wydawniczego.

2) Walerjan Charkiewicz, *Prostu z Mostu* 40/935, na podstawie relacji A. Zaliwskiego, b. sierżanta L. C., podaje w wątpliwość, czy Białoskórski wogóle był przy tem wojsku.

*

Kunegunda Bieńkowa.

Wieśniaczka w Szczawnicy Wyżnej, (pow. nowosądecki), umarła młodo w r. 1921, ogłaszała w pismach ludowych, bliższemi o niej informacjami nie dysponuję; dzięki Janowi Wiktorowi mam zeszyt jej patryjotycznych i religijnych utworów (pismo wyraźne, wprawne, ortografia prawie zawsze poprawna); jako utwór literacki najlepszy i silny znajduję poniżej podany *Cieniom przyjaźni*, — odnoszący się do zawiedzionej miłości, którą jak z innych utworów widać, srogo przeboleła.

292. Cieniom przyjaźni.

Ty chcesz żyć wiecznie? — Ha, musisz umierać!

Nie jesteś duchem, nie jesteś aniołem...

Idź precz nikczemny, z tem wytartem czołem,

Dość mi się było o kłamstwo ocierać,

Dość poznać ciebie, byś zginął od broni,

Którą walczyłeś — od kłamstwa, ironji.

Nie jesteś orłem, przeto w górnym locie
Śmierci nie ujdiesz, w obłoki nie wzbijesz;
Ty już w śmiertelnej agonji się wijesz...
Nędzny, bezsilny wisisz w stryczka splocie...
Jako płaz podły, ty pełzasz po błocie
I już za życia ty cuchniesz i gniesz...
Cień twej przyjaźni straszy, a zgnilizna
Trupa mi twego wszędzie przypomina;
Już śmierci twojej wybiła godzina,
Świat się już więcej do ciebie nie przyzna,
I ja na koniec odpowiem twej skardze:
Szydę ze wspomnień, przyjaźnią twą gardzę.

*

Andrzej Bobowski, „szewc, działacz polityczny i wierszopis, urodził się około 1855 r. w Kościanie. Krewki z natury, brał udział w walce z rządowym proboszczem w Kościanie, naślany w czasie Kulturkampfu wbrew prawowitym władzom duchownym. Rozruchy kościańskie skończyły się procesem, w którym Bobowski razem z wielu innymi skazany został na więzienie. Około r. 1894 przeniósł się do Poznania, gdzie zwłaszcza w okresie wyborów rozwijał gorączkową agitację. Pisywał nadto drobne utwory satyryczne do *Gońca Wielkopolskiego* i do *Postępu*, organu postępowców, antyklerykałów i antysemitów, założonego przez Stanisława Knapowskiego. Bobowski sam był gorącym zwolennikiem ruchu ludowego i walki z żydami. Wkońcu był współredaktorem *Postępu*. W r. 1903, w początkach ofensywy wielkopolskiej na Górny Śląsk, brał Bobowski udział w pracy przedwyborczej w owej dzieliczy tak gorliwie, że nadszarpnął zdrowie i ściągnął na siebie dwa procesy prasowe. Do skazania go jednakże nie doszło, gdyż nieustannie chorował, aż umarł 5 stycznia 1906 w Poznaniu. — Działacz polityczny z zamiłowania, literat i dziennikarz, mniej pilnował kopyta, wskutek czego położenie jego materialne było nieświatne. Satyry jego odznaczały się stylem oryginalnym, ciętym, i kryjącym niemal dowcip¹⁾).

¹⁾ *Praca* 1906, 107 (nekrolog, przedrukowany z *Postępu* 1906, nr. 5 i podobizna). Rodzaj wykony-

wanego przezeń rzemiosła i datę przeniesienia się do Poznania stwierdzono na podstawie *Adress- und Geschäftshandbuch der Stadt Posen*. (Cyt. według Andrzeja Wojtkowskiego, *Polski Słownik Biograficzny*, Tom II/2).

Wojciech Breowicz (pseudonim), jeden z najlepszych poetów ludowych, (wiersze w r. XXVI) założyciel Związku Literatów Ludowych i czasopisma *Wieś i Jej Pieśń*, pochodzi z pow. krośnieńskiego (woj. Krakowskie), wyemigrował do Brazylii, gdzie jest podobno nauczycielem; zapowiadał stamtąd antologję poetów ludowych; bodajże dotąd nie wyszła.

Jan Byczek, poeta ludowy starszego pokolenia, rówieśnik Kurasia i Jantka z Bugaja, z pow. krośnieńskiego albo rzeszowskiego; bliższych o nim wiadomości nie zdołałem zebrać.

Wincenty Job z Małej w pow. ropczyckim (woj. Krakowskie), podurzędnik akcyzy miejskiej w Krakowie, utrzymując kontakt ze swymi krewnymi i znajomymi „krajanami“ w Ameryce, posyłał im wierszowane opisy Małej i drobnych zdarzeń z życia jej mieszkańców i proboszcza tamtejszego, a za wiersz otrzymywał w listach po parę dolarów. Jeden z wierszy wydrukowanych w *Jednodniówce*, w latach powojennych, wydanej przez kółko Malan w Chicago; był to opis drogi do wsi od strony Dębicy ku plebanji w Małej, opis pełen frazesów z pierwszej księgi *Pana Tadeusza*. Emigranci malscy sycili swą nostalgię tymi opisami jak niegdyś inni emigranci opisami Litwy w *Panu Tadeuszu*, (O Jobie napisał prof. Tadeusz Sinko).

Jan Kaczak publicysta. *Czas*, 13. III. 1925 podaje: „Dnia 8 bm. zmarł w Dąbrowicy w powiecie tarnobrzeskim Jan Kaczak, włościanin, znany ze swej działalności na polu społecznem, jak i politycznem. Śp. Kaczak, ukończywszy kilka klas gimnazjalnych, osiadł na roli i poświęcił się jej uprawie z całym zamięłowaniem. Nie zapominał jednak i o nauce. Za skromne fundusze, zaoszczędzone z niebogatego gospodarstwa, skupował książki, gromadząc w swej wiejskiej chacie piękną bibliotekę, którejby mu niejednen inteligent pozazdrościł. Na lekturę własną wybierał dzieła poważne, stroniąc od strawy lekkiej, bo, jak twierdził,

wszystko do piana, a jedynie rzeczy poważne mogą być rzeczywistym pokarfnem dla ducha. Śp. Kaczak nie szedł za hasłami demagogicznymi wiejskich polityków, to też widząc zgubne skutki rozpolitykowania ludu wiejskiego, pragnął dostarczyć mu lektury zdrowej, któraby nie jątrzyła, lecz nawoływała do zgody i harmonji. W tym celu w porozumieniu z Drem Janem Hupką przystąpił w r. 1907 do założenia dla ludu tygodnika pt. *Rola*, który zasilał przez kilka lat swojemi pracami. Śp. Kaczak szczycił się przyjaźnią takich ludzi, jak hr. Stanisław Tarnowski, prof. Władysław Leopold Jaworski, Dr. Jan Hupka i inni. — (Z notatek dr. W. Olszewicza).

Tomasz Kalembasa, ur. 1870 w Bożydarze koło Sandomierza. Pochodzi z nędzarzy wiejskich. Do szkoły chodził tylko jedną zimę. Uczył się na szewca, zajmował się też murarką i kołodziejstwem, a wreszcie pisarkował u żyda arendarza. Pisał wiersze w młodości a drukował je w *Gońcu*, *Gazecie Świętecznej*, *Gazecie Narodowej*, *Wiadomościach Codziennych*. W r. 1905 otrzymał nagrodę na konkursie *Gazety Świętecznej*. Wiersze jego mają charakter patryjotyczny. Gdy jako członek redakcji *Sandomierzanina* umieścił w tem piśmie wiersz *Drzemka*, Moskale skazali redaktora głównego na grzywnę 100 rb. Tamże drukował powieść *Jak uczciwa praca człowieka wzbogaca*. W Łodzi wydano tomik jego poezyj (tytuł jest mi nieznan). Zajmował się polityką, uważał się za narodowca. Korespondował z Dmowskim, Nakoniecznym, Ostrowskim, Radziwiłłem, Druckim - Lubeckim, Prószyńskim, Witosem. Brał udział i przemawiał na wiecu włościańskim w grudniu 1905 za autonomją. Za to więziony był, uprzednio skatowany przez kozaków, do dziś ma bliznę. W tymże roku Sienkiewicz zainteresowawszy się nim, gościł go u siebie w Warszawie i podarował mu 54 tomów swoich wydawnictw. Podczas wojny zagnany zawieruchą wojenną do Moskwy, pisywał do *Gazety Polskiej*, po powrocie, sterrany chłop pisze tylko wiersze okolicznościowe, polityką nie zajmuje się wcale. Potoczystość myśli, swada, dobre intencje, ale bez poetyckiego przedstawienia. Rymy przeważnie rzeczownikowe i czasownikowe. (O Kalembasie napisane przez T. Seweryna; biblijografie ludoznawcze Gawelka i Bystronia nie znają go).

Antoni Kasprowicz, robotnik łódzki, drukuje w pismach literackich wiersze, wedł. S. Czernika „coraz lepsze“, w r. 1935 wydaje tomik wierszy *Słońce za murem* (Łódź, Drukarnia nakładowa).

*

Kazimierz Kieliszek.

Urodził się „w r. 1866, jako syn wiejskiego rybaka we wiosce Świętne w Kaliskiem w obecnym powiecie konińskim. Wioska ta leżała wtedy tuż na granicy rosyjsko-niemieckiej.

Rwał się do nauki. Nauczył się sam czytać i pisać i ruszył za pracą w świat. Przeszedł całą prawie Europę, przez Niemcy, Belgję, Francję, Hiszpanję i Włochy, a potem przez Finlandję i Rosję od Petersburga aż do Jałty.

W Berlinie pracował jako ogrodnik, w Paryżu w restauracji Kocha, a następnie w Jardin des Plantes przy cieplarniach, w Barcelonie pomagał pewnemu botanikowi angielskiemu przy wyszukiwaniu ciekawych okazów roślin, we Włoszech pracował przez trzy lata w winnicach kardynała Sanguinati we Frascati. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej był w Krakowie zatrudniony u OO. Jezuitów, a następnie porzucił rozmaite dorywcze prace i zarobki i oddał się księgarstwu. W wielu miastach pracował w księgarniach, a następnie przeszedł wszystkie ziemie polskie jako sprzedawca książek, przeważnie ludowych.

W przedwojennych latach był w Warszawie, gdzie zaopiekowali się nim dwaj wybitni pisarze ówczesni: Adolf Dygasiński i Kazimierz Gliński. Oni to różnemi sposobami starali się pomóc samoukowi-wieśniakowi, który za pracą przeszedł Europę, a który obdarzony niepospolitą inteligencją,

posiadał także talent poetycki. Niektóre zwrotki jego ukazały się na łamach *Tygodnika Ilustrowanego*, oraz w wielu pismach przedwojennych.

Po wojennej zawierusze znalazł się Kazimierz Kieliszek znowu w rodzinnych swych stronach i osiedlił się w Bydgoszczy, prowadząc handel książkami. Ale z roku na rok było gorzej. Z dziwnym uśmiechem goryczy mówi stary chłop-poeta o tem, że teraz książki nie idą, że kupuje się tylko romanse, których sprzedają on nigdy się nie trudził.

Staczając się coraz niżej w nędzę, znalazł się w barakach wraz z żoną i dwojgiem dzieci, ale i tam pobyt jego był niemożliwy, wskutek zupełnego braku pieniędzy.

Ruszył więc w Polskę. Szedł od miasta do miasta, zatrzymując się we wszystkich księgarniach i prosząc o jakąkolwiek pracę, o powierzenie mu jakichś książek do sprzedaży komisowej, aż zaszedł do Krakowa, nie znalazłszy nigdzie zarobku. Z Krakowa wyruszył na Śląsk. I tak dalej... Polska jest taka duża...

Długie lata nie pisał, gdyż nie mógł, pochłonięty ciężką walką z życiem o kawałek chleba dla siebie i swojej rodziny. Powinna znaleźć się instytucja, któraby zaopiekowała się nim i władza Rzeczypospolitej Polskiej, któraby pozwoliła mu na wolne od nędzy i tułaczki życie, chociażby z tego jednego powodu, że pół tego życia spędził on na roznoszeniu polskiego słowa drukowanego...“.

¹⁾ Cały ten ustęp przedrukowany dosłownie z artykułu *Ilustrowanego Kurjera Codziennego*: W. Z., 70-letni tułacz i poeta, 23. XII. 1934. Tak oto opisuje jego postać:

„Niezwykły gość przyszedł wczoraj do naszej redakcji. Stary chłop o pięknej polskiej twarzy, pobrudzonej ciężkim życiem, z siwymi długimi włosami. Ubrany w spleźną kurtkę, buty z cholewami, z tłumoczkim pod pachą, miał wygląd bardzo zmęczonego, utrudzonego jakby długą drogą. Bo istotnie chłop ten długą i ciężką przebył drogę idąc piechotą z Bydgoszczy do Krakowa. Ma lat 68. Przyszedł piechotą, poszukując pracy. Dzisiaj, gdy wzdłuż i wszcz Rzeczypospolitej tyłu przechodzi utrudzonych ludzi w poszukiwaniu pracy, nie zdziwiłaby nas ta wizyta. Ale gość nasz poszukiwał pracy w księgarstwie. W dokumentach przedstawionych nam, zawód jego podany był jako księgarz“.

293. Modlitwa.

Ty, co w przyrodzie objawiasz Twą chwałę,
Stoisz niebiosą w różnobarwne szaty,
Coś stworzył morza i góry wspaniałe
I w harmonijną piękność łączysz światy.

O, Niepojęty z gwiazdzistych przestrzeni,
Co miljonami słońc i światów rządysz,
Wiem, że Twa wszechmoc nigdy się nie zmieni,
Że w Twej mądrości Ty nigdy nie zbłądzisz.

Ty Nieśmiertelny Twórcu przyrodzenia,
Którego szata zdoła naszą ziemię,
Daj, niech ze zwątpień i ducha uspienia,
Zmartwychpowstanie nędzne ludzkie plemię.

Stwórcu wszechświata, nieśmiertelny Boże,
Co skarg niedoli nie gardzisz pieśniami,
Tobie łzy nasze składamy w pokorze
Po drodze życia, usłanej cierniami.

Przyjmij te skargi cierpiącej ludzkości,
Co w swej niedoli, którąś jej dał, Panie.
Wznosi do Ciebie głosem Twej miłości,
Prośbę o rychłe swoje zmartwychwstanie.

Te, miljonami głosów powtarzane
Wiekowych cierpień beznadziejne jęki,
Niechaj z anielską czystą pieśnią zlane
Błogosławieństwo wezmą z Twojej ręki.

Niech duch Kaina ustąpi ze świata,
Niech święty pokój i miłość zawita,
Twojego królestwa przyjdą błogie lata
I wiecznej prawdy słońce nam zaświta!

*

Kołąbryna, p. Wawrzyniec Sikora.

Antoni Leon Korniak, b. kapral Legjonów Polskich, *Mój Bataljon*, Kraków 1937, nakł. własnym, str. 160, z licznymi ilustracjami, bezpretensjonalne, żywo a nie bez humoru, opowiedziane przygody wojenne w II Brygadzie Legionów. Do pisania pamiętnika zabrał się, jak wyznaje, zachęcony słowami Józefa Piłsudskiego we wstępie do *Wspomnień legionowych*: „— — — Szukam wspomnień ulotnych, urywkowych, że tak powiem, życia, które najjaskrawiej w pamięci zostały, nie będą bowiem zatarte przez przeżycia późniejsze i odtworzą w ten sposób bez fałszu i pretensji ten czy inny moment silniej przez poszczególnego kolegę przeżyty“.

*

Jakób Kostucha.

Kurjer Warszawski z 1. IX, r. 1820, podaje w rubr. *Rozmaitości*:

„We wsi Pierzchowie w Galicji o 3 mil od Krakowa¹⁾, żyje wieśniak Jakób Kostucha, który sam, bez pomocy elementarza nauczył się systematycznie czytać i pisać, kształcił następnie swoje zdolności na czytaniu różnych autorów ojczystych. Tym sposobem obznajomił się z historją i naukami przyrodzonymi, w astronomji zaś tyle zasmakował, iż z wielką uwagą odczytawszy kilkakrotnie dzieło Jana Śniadeckiego, znajduje upodobanie rozmawiać

o układzie świata i zjawiskach Nieba. Użyty przypadkowo przy malarzu do rozcierania farb, gdy poznał cokolwiek sposób mieszania kolorów, niebawem zaczął przenosić na papier otaczające go przedmioty, kopjować z zręcznością i podobieństwem wzory mu przedstawiane. Obok takich talentów nie porzucił jednak roli ojczystej, którą dotąd własnymi uprawia rękami. Dnie świąteczne i godziny wieczorne poświęca zatrudnieniom naukowym i malarstwu. Ma prócz tego Kostucha zdolności do wynalazków mechanicznych; pojął również zasady rozmiaru gruntów; lecz najwięcej zasmakował w poezji, czytał z upodobaniem dzieła Krasickiego, Trembeckiego, Karpińskiego i innych, a z własnego natchnienia wzięwszy za pióro wydał niektóre plody swego genjuszu. Gdzieniegdzie naśladował pomysły w dziełach natrafione, tam zaś gdzie one z własnej czerpał wyobraźni, noszą cechy prostoty i oryginalności. — — — Zbiór wierszy Jakóba Kostuchy z opisaniem życia i sposobu kształcenia się jego tak szczególnym sposobem, posiada osoba, która je otrzymała z ręki autora. W płodach tych nie ma Kostucha śmiałych przenośni, nowych pomysłów, górnego stylu; prostotą bowiem malując prostych używa kolorów. W krytyce swojej *Na pisarzy sielaneh* przy końcu tak swoją nieudolność tłómaczy:

294. [Pisarz ludowy o sobie].

Wiem, żem żaden uczony; mądry i ciekawy
Nie znajdzie w moich rymach najmniejszej zabawy
Bo je też chłop napisał, ale nie kto inny,
Nie uczony lecz prostak, tylko człowiek gminny,
Co ledwie zna i proste albo krzywe esy

Ale nie poetyczne wykwintne frazesy.
Bo jakże lecieć w górę, gdy niewzrosły skrzydła,
Lepiej chodzić po ziemi i pilnować bydła.
Nikt nie widział, by wierzba rodziła brzoskwiny,
Jabłonia pomarańcze lub gruszka cytryny.
Zgani kto lub pochwali, jaka czyja łaska,
Ani mię tem rozgniewa ani też ugłaska,
A tembardziej, gdy sławne przysłowie tak niesie,
Gdy nie jesteś Homerem, milcz o Achillesie.

Życzeniem jest, aby niewielki zbiór poezji Jakóba Kostuchy mógł wyjść na widok publiczny, skoroby miłośnicy literatury ojczystej do tego celu przyczyli²⁾).

1) Wieś, która była własnością rodziny gen. Henryka Dąbrowskiego.

2) Z odpisu udzielonego mi przez Juljusza Zborowskiego, dyr. Muzeum Tatrzańskiego, z jego zbiorów. Cenna ta wiadomość powiększa o jednego poetę ludowego znikomą ich ilość za czasów pańszczyźnianych; jest to najdawniejszy z pisarzy ludowych wyliczonych w tej Antologii. Zacytowana próbka tych nader poprawnych aleksandrynów drży od tłumionej goryczy i ironji.

*

Władysław Kowalski, powieściopisarz, podobno samouk, syn fornala, autor powieści *W Grzmiącej* (Warszawa 1936, Zespół Literacki Przedmieście); charakteryzuje go recenzja E. Breitera (*Wiad. Liter.*, 3/37): „Dla Kowalskiego — w odróżnieniu od wielu dzisiejszych twórców powieści chłopskich — życie na wsi nie jest jedynie tematem wybranym spośród wielu innych. Wieś i chłop, wypełniają tak dalece psychikę pisarza, że trudno sobie wyobrazić, aby Kowalski wyszedł kiedykolwiek poza sferę, w której przebywają bandosi, chowają się Burusie i pędzi ciężki żywot ludność, mieszkająca w Grzmiącej. Tem swoim absolutnie chłopskiem spojrzeniem na świat przypomina Kowalski Or-

kana, który w *Roztokach* i *Komornikach* stworzył arcywzór chłopskiej powieści realistycznej i klasowej. [?].

Poczucie klasowości chłopskiej jest najbardziej istotnym rysem młodego powieściopisarza. Mniej interesują Kowalskiego zagadnienia artystyczne i kompozycyjne, sprawy pespektywy powieściowej i anegdotycznej. We wszystkich obrazach przewija się jedna teza i jedna myśl: *écrasez l'infâme*. Infamisem, którego trzeba zniszczyć, usunąć z powierzchni ziemi, wypalić siarką i ogniem, to dwór, panowie, polska szlachta i ziemiaństwo. — —

U Kowalskiego brak jest wszelkiego patosu. Autor, jak prosty chłop, nie chce wiedzieć co to naród, tradycja, wspólna idea, przyszłość i ofiara. Te imponderabilia nie posiadają w jego oczach żadnego ciężaru gatunkowego, bo nie dają się ani zmierzyć ani zważyć i nie można ich zamienić na doraźne wartości materialne. Zagadnienie chłopstwa stawia Kowalski na płaszczyźnie wyłącznie biologicznej. Jest ono dla niego kwestją bytu i poprostu nagiego życia.

Ściąganie wzniosłości na poziomy najsurowszej próży stanowi szczególny ton w powieści Kowalskiego. Wynika z niego niezamierzony cynizm wobec wszystkiego co uważaliśmy za uświęcone i nietykalne. Kowalski z autorytetem fachowca — bo na każdym kroku wyczuwa się, że tak myśleć i pisać może jedynie autentyczny syn chłopstwa — pozbawia nas ostatnich złudzeń, jakie zostały nam z literackiego znawstwa duszy chłopskiej. Przez całe lata wma-wiano w nas, że dla chłopstwa ziemia jest wszystkim, że dla zdobycia lub powiększenia gruntu chłop gotów jest ponieść największe ofiary. A tymczasem Kowalski twierdzi, że walka o ziemię jest wyłącznie formą walki o byt i że myli się ten, kto sądzi, iż za tą walką kryje się jakaś religijna lub narodowa metafizyka. — —

Chłop, którego ukazuje Kowalski, nie zna żadnych hamulców, a rozróżniając świetnie między tem co jego a co nie jego — za swoje da się zabić, a cudze, jeżeli pańskie, kradnie bez najmniejszych wyrzutów sumienia.

Z dużą plastyką i prawdą ukazał Kowalski życie gromady wiejskiej w Grzmiącej, która znalazła się w czasie wojny europejskiej na bezpośrednim froncie bojowym. Wieś przeszła przez okupację wojsk kozackich i niemieckich; wytrwała na stanowisku w czasie najcięższych ataków artyler-

ryskich i umiała przystosować się do straszliwych warunków. Chłopi zbierali carskie ruble, które uległy dewaluacji, potem ciułałi marki niemieckie, narażali się na upokorzenia i prześladowania, aby zmusić dwór do ustępstw i dobrowolnej parcelacji. — — —

Kowalski gromadzi szereg obrazów, aby dowieść, że „chłopi nie znajdują żadnego wyjścia“, że „nie należy wierzyć w nic co mówią“ panowie, że panowie „są gorsi od psów“.

Należy stwierdzić z całym obiektywizmem, że dowód ten udał się Kowalskiemu tylko na odcinku Grzmiącej. Gdzie panami są Olpińscy a rządcami Odalniccy, tam istotnie niema innego wyjścia jak to, aby panowie „zglupieli“.

Ale napewno Grzmiąca nie jest modelem stosunków dworu ze wsią, a Olpińscy należą już do „ginącego świata“. Obiektywizm powieściowy Kowalskiego, nie posiada wartości powszechnej i ogólnie obowiązującej. Pisarz generalizuje wyjątkowe zjawiska a co najważniejsze, nie uwzględnia tych ideowych sił, dla których stan duchowy Kubasów może być jedynie przestrożą lecz nigdy ideałem“.

Sebastian Lesiczka, *Czas* 136/1853 w feljetonie pt. *Wiejski wierszopis*, podaje wiadomość o „wiejskim chłopaku“ ze wsi Jeżowa, pow. rzeszowski (woj. Krakowskie), i przytacza jego dwa wiersze (wedł. informacji J. Zborowskiego).

Karol Antoni Macek. *Wieś i Jej Pieśń*, 6/934 umieszcza jego klepsydrę: „nowelista, członek Związku Literatów Ludowych, b. żołnierz dywizji Żeligowskiego, czł. Polskiej Partji Narodowo Socjalistycznej“.

Wincenty Mota w Grębowie, pow. tarnobrzeski, pisał wiersze narodowo-religijne, często trawestując pieśni patryjotyczne; w jednym wierszu (*Improwizacja*) przebija się rys satyryczny, a we wierszu *Święta prawda* społeczny; zaczyna się on od słów: „Już Panowie dziesiąta godzina wybiła, już się o godzinę śmierć do was zbliżyła“; o nim dr. Karol Matyas, *Motas, chłop poeta*, Kraków 1894, brosz.; (notatka T. Seweryna).

Mikołaj Musik, włościanin wsi Wierzchowna, pow. radzyńskiego, w r. 1902 miał około 40 lat, posiadał sporo wia-

domości z historii i literatury polskiej, sporządził pismem kaligraficznym (litery kształtu drukowanych) *Chronologią polską*, napisał takież pismem dla syna książeczkę pt. *Początki nauki polskiej dla Jana Musika* (*Wisła* XVII, 6, 759).

Józef Nakoneczny, jeden z włościan najwybitniejszych w Król. Pol., członek Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, jeden z najpoważniejszych pisarzy ludowych, drukował we *Wiśle* (XVII i XVIII, 1903 i 1904) obszerną pracę pt. *Pojęcia prawne ludu polskiego* (odpowiedź na kwestjonariusz); jest to rzecz wyczerpująca co do treści i doskonałą polszczyzną pisana. Nakoneczny zasługiwałby na osobne studjum.

Józef Nocek, o nim H. Hempel, *Jeszcze jeden chłop poeta, J. N. włościanin z Jodłowej, Nasz Kraj*, 1907 IV, 207, wedł. *Bibliografji* Gawelka.

Olcha, p. w r. XXVI i we Wstępie.

Radomczyk, o nim *Wisła* XVIII (1904), 2, 148: „Wszyscy wspominamy Radomczyka, pisarza z pod chłopskiej strzechy, którego artykuły pełne gorącej miłości społeczeństwa spotykaliśmy nietylko w *Gazecie Świątecznej* i w *Zorzy*, ale i w innych pismach (bardzo często w *Słowie*). Nie było sprawy społecznie ważnej, nad którąby ten parumorgowy rolnik nie zastanowił się, nie badał, zdania swego gruntownego nie wyraził. Ten należał do inteligencji...“.

Robert Rydz, pisarz teatralny z pogranicza literatury ludowej; ur. w r. 1890 jako syn rolnika we wsi Trynitat pod Bochnią, jako robotnik (ślusarz?) zdaje maturę, jest urzędnikiem kolejowym. Wydał *Utwory poetyczne*, Bochnia 1921, *Walkowe kochanie*, obraz dramatyczny w 4 aktach, ze śpiewami i tańcami, Poznań 1928, *Madej*, sztuka w 5 aktach, *Kasine wesele*, Miejsce Piastowe 1934, widowisko regionalne, wszystkie te widowiska z muzyką F. Koniora — i szereg innych komedyj i dramatów ludowych. Jest to sztuka na poziomie „prowincjonalnym“, ale która prawdopodobnie do widza ludowego trafi, spełni więc swoje zadanie; cechuje ją patryjotyzm, religijność, a także, zdaje mi się, humor.

Wawrzyniec Sikora, urodzony w Liszynie pod Płockiem w r. 1874. Mając 7 lat, sam w czterdzieści dni nauczył się

czytać i zapoznał się z 24 obrazami *Królestwa Polskiego*. W cztery lata później nauczył się pisać, ale szło mu to trudno, bo nie było komu pokazać, jak się pisze. W 28 roku zaczyna pisywać korespondencje do *Gazety Świątecznej*, potem stale pisuje do *Ech Chłopskich* pod pseudonimem Koląbryna. Ma dużo książek, głównie rolniczych, prócz *Echa Płockiego* prenumeruje pięć pism. O nim art. St. Gr. w *Tygodniku Ilustrowanym* w r. 1906, Nr. 12—906 pt. *Chłop dziennikarz*: „Oryginalna postać. Średniego wzrostu, o wejrzaniu śmiałem, wzrok przenikliwy, twarz uśmiechnięta... Chłop polski — prowincjonalny dziennikarz! Pan Hieronim Koląbryna w pœczie się nie bawi, nowel nie pisze. Czystej wody dziennikarz. Temperament, żywotność, bogactwo materiału, cyfr, spostrzeżeń, faktów z życia. Słowem, typ niezwykle. Posiadacz 27 morgów ziemi w Liszynie, pod Płockiem, nad Wisłą, wiosną, latem i w jesieni pracuje na roli, zimą wyplata koszyki, i co niedziela zasiada do pióra i pisze korespondencję do *Ech Płockich* i *Zorzy*. Czego nie notuje?! Opisuje sposób życia włościan, porównywa ich z sąsiadami Niemcami z pobliskiej kolonji, wnika w życie gminne, przedstawia stan urodzajów, oblicza ile zmniejsza się pijaństwo, daje kroniki bieżące, a kiedy przyjdzie przednówek, a roboty mniej na wsi, p. Koląbryna bierze kij w rękę, toból pod pachę i dalejże wędruje po całym powiecie płockim. Tu odwiedzi znajomych, tam wstąpi do sklepu, gdzieindziej zajrzy do monopolu, to spotka gdzieś organistę, jedni mu się uskarżają, inni sobie przychwalają, a on Koląbryna wszystko notuje w pamięci, i kiedy po dwóch tygodniach wróci do Liszyna, zasiada i pisze do *Ech Wrażenia z podróży po ziemi płockiej*. Językiem literackim pan Koląbryna nie włada, redaktor musi więc czytać rękopis z ołówkiem, ale materiał nieoceniony, spostrzerzenia i fakty, jakich nie poda żaden fachowy dziennikarz warszawski. Chłop z chłopem się zmówi, wszędzie dotrze, wszystko zobaczy. Dla pisma prowincjonalnego, które chce być odbiciem życia swojej okolicy, współpracownik to wybitny; i dla organu niezamożnego tem praktyczniejszy, że bezpłatny. Koląbryna co pisze, drukuje bez wynagrodzenia. Jest dziennikarzem z zamiłowania. Dla chleba uprawia rolę, wyplata koszyki“. (Ze zbiorów J. Zborowskiego).

Franciszek Słysz.

295. [Mowa w Nowosielcach].

W imieniu chłopów Nowosielczan, potomków obrońcy Nowosielec przed nawałą Tatarów, wójta naszego przed 312-tu laty Michała Pyrza, którego pamięć dziś czcimy, witam was wszystkich, a przede wszystkim naszego gościa, naszego wodza p. generała Śmigłego i pułki armji polskiej, które za chwilę pochylały swoje sztandary przed kopcem. Witam arcypasterza naszego Kościoła i prastarego kościółka, którego bronili nasi przodkowie, witam sąsiadów-chłopów z bliska i z daleka, którzy w kopcu Pyrza dojrzeli objawienie swej doli i znak widomy, iż oto w Polsce od stóp tego kopca świta jutrzeńka lepszych czasów i światłem swoim ogarnia cały naród. Witam wszystkich gości kochanych, co nasze zamiary wyrozumieli i składając hołd legendzie o chłopskiej wojaczce, przyszli przyświadczyć tej myśli, że fundamentem polskim jest ta warstwa narodu, która na sztandarach swoich pisze dawne hasło „żywią i bronią“. My, chłopie, chcemy być Polsce podporządkowani i chcemy, aby chłop miał w Polsce prawo trzymać w swoich twardych dłoniach sztandar państwa polskiego. Michale Pyrzu, wójcie i gospodarzu nowosielecki, niech Twój duch chłopski przyświadczy mi, że z gorącego serca mówię prawdę, niech cały naród uwierzy, że może żyć bezpiecznie w państwie i w gromadzie, nad całością czuwa chłop polski. Michale Pyrzu, na brzask twojej legendy przysięgamy, że krew Twoja i wola będą nam chłopom polskim przymierzem. Z całym narodem polskim i jego zbrojną potęgą nie straszne nam są moce przeciwne,

nikt nie ruszy granic Polski, nad których całością czuwają miliony ludu polskiego, które świadome swej siły chcą wziąć Polskę w swoją opiekę i uczynić z niej potężne i wolne państwo. Niejeden zapewne był Pyrz w Polsce przedrozbiorowej, który w czasie licznych najazdów bronił wsi ojczystej. Nie było tych, coby notowali bohaterskie czyny chłopów. Niejeden był zapewne taki, jak pomocnik Pyrza, Franek Dudek z Nowosielec, co uciekłszy przed pańszczyzną, szedł na wojenkę, a zaszczytnymi bliznami okryty, wrócił do pańszczyźnianego kieratu z głuchym żalem i żrącą w sercu goryczą. Niejeden był chłop, co w piechocie wybranieckiej albo jako ciura, towarzyszący swemu panu, nastawiał piersi za Polskę i niejednego czynu dokonał. Nie brakło też chłopów, czy to w powstaniu kościuszkowskim, czy w powstaniu listopadowem i styczniowem, niejeden, powtarzam, był Pyrz w przeszłości.

Ale masa chłopska, jako całość, obcą była Polsce, bo wszystko robiono, żeby była obcą, bo usilnie starano się o to, żeby chłop nie poczuł się obywatelem polskim. Trzeba było od czasów Pyrzowych trzech długich stuleci, trzeba było potężnych wstrząsów, przez które przeszedł świat i Polska, aby runął mur, oddzielający chłopów od ojczyzny. W 300 lat później, gdy nowa nawała ze Wschodu już nie tatarska, ale bolszewicka zagroziła Polsce, wtedy już nie poszczególni Pyrze, ani Dudki, ale cała masa chłopska uznała sprawę obrony ojczyzny za swoją i pośpieszyła na obronę granic na wezwanie innego wójta, wójta z Wierzchosławic Wincentego Witosa, który sam umiał i chłopów nauczał obejmować troską nie tylko wieś rodzinną, jak to było za czasów Pyrzowych, ale całą Polskę.

Wielkie przemiany dokonały się w nas, w masie chłopskiej, od czasu Michała Pyrza. Jesteśmy dziś świadomi naszych obowiązków wobec państwa, w pierwszym rzędzie obowiązku obrony państwa. Podatku krwi, który gotowiliśmy złożyć, nie traktujemy ani jako łaskę wobec ojczyzny, ani jako uprzejmość, za którą żąda się zapłaty. Bo daniny życia nie można odpłacić.

Obowiązek obrony, do którego się poczuwamy, wynika poprostu stąd, że chcemy mieć swoje państwo, że jesteśmy w niem jeżeli nie gospodarzami, to przynajmniej współgospodarzami. Ale właśnie dlatego mamy nietylko prawo, ale nawet obowiązek współdecydowania o tem, jakim to państwo ma być i w jakim kierunku ma iść. Mamy nietylko prawo, ale i obowiązek wołać, że odsuwanie masy chłopskiej od należytego jej udziału w sprawach politycznych, że pozbawianie jej praw politycznych może fatalnie odbić się na państwie w chwili, kiedy będzie potrzebowało chłopskiej ofiarności, chłopskiej krwi i chłopskiego życia.

Chcemy wierzyć, że udział armji z gen. inspektorem Rydzem-Śmigłym na czele, w uroczystościach ku czci chłopca-bohatera Michała Pyrza jest zapowiedzią większego niż dotychczas zrozumienia dla tych rzeczy, których masa chłopska pragnie i o które woła.

Wójcie Michale Pyrzu, śpijcie spokojnie, zawsze obronimy te skarby, których Wyście bronili i ty armjo polska wiedz, że Michał Pyrz to nasze zawołanie, z krwi i kości naszej wyrosłe i pamiętaj, że duch Pyrza skrzydła swoje nad Tobą rozpina i karmi swoją wielkością. Pamiętaj, że my z tobą na wieki, my, którzy żywimy i bronimy¹⁾.

1) Uważam za stosowne w książce mającej zobrazować twórczość literacką ludu polskiego, od zapomnienia w roczniku czasopisma uratować ten piękny okaz krasomówstwa ludowego, świadczący o ambicjach obywatelskich i poczucia się do historii. O uroczystościach w Nowosielcach, (pow. jarosławski, woj. Lwowskie, w dniu 29. czerwca 1936) opowiada *Piast*, z 5. VII:

„Odkrycia postaci bohaterskiego wójta Nowosielec Michała Pyrza, dzielnego plebana ks. Kisiele i beznogiego artylerzysty Franka Dudka, którzy 312 lat temu obronili rodzinną wieś przed dzikimi hordami Kantemira, dokonał Nowosielniczanin red. Tadeusz Opiola. Pamięć o nich żyła w tradycji miejscowego ludu, przekazywana z ojca na syna. Red. Opiola spisał tę ustną tradycję i spopularyzował ją w całej Polsce. W czasie jednej z takich rozmów nowosieleckich o dawnych dziejach, w cieniu starych lip otaczających drewniany kościółek, do którego obrony wezwał wójta Pyrza i gromadę chłopską stary pleban ks. Kisiel, zrodziła się myśl uczczenia pamięci chłopskiego bohatera.

Postanowiono usypać koło kościoła wysoki kopiec i uwieńczyć go głazem, z wrytem nazwiskiem Michała Pyrza. Trzeba — mówiono — przez utrwalenie jego pamięci przekazać Polsce honor chłopski a może ulgę znaleźć na ten sposób w ciężkiej doli współczesnej...

I tak powstał usypany rękami chłopskimi dziewięćmetrowy kopiec, zdaleka już widoczny na wzgórzu obok kościoła. Na jego szczycie stanął wielki głaz granitowy z napisem: 'Michał Pyrz 1624—1936'. Nad napisem wryto krzyż, pod którym znajdują się skrzyżowane kosa i cep.

— — — Obchód urządził miejscowy komitet obchodowy, ale wypełniło go Stronnictwo Ludowe z tamtej części kraju, w liczbie 120.000 osób w pochodzie z Grzeski, trwającym przeszło 4 godzin, około 30.000 uczestników, skupionych na miejscu w Nowosielcach, 5.000 banderji konnej, 2.000 rowerzystów, 4.000 milicji. Najłutniej stawił się dzielny powiat jarosławski (62.000), zanim łańcucki (około 40.000), przeworski (35.000), rzeszowski i nizański (po 10.000). Liczniejsze delegacje przysłały powiaty brzozowski (1800) i kolbuszowski (1.000); były reprezentowane i dalsze: ropczycki, tomaszowski i hrubieszowski z Lubelskiego (300), okręg warszawski (170). Wśród lasu sztandarów wyróżniały się krakowski i podhalański z Nowego Targu.

Takich rozmiarów manifestacji chłopskiej jeszcze Polska nie widziała — — —

Obok chłopów-ludowców wzięło udział uroczysty w święcie Pyrza wojsko polskie z generalnym inspektorem armji, gen. Edwardem Rydzem na czele. Podnieść należy życzliwy na całej linii stosunek wojska do masy chłopskiej; objawiający się zarówno w przyjęciu przez gen. Rydza postulatów politycznych obozu ludowego i defilady, wyrażającej jednomyślnie żądania ludu, jak i w każdym zetknięciu się wojska z chłopami, oraz w sposobie reagowania na ich okrzyki. Wspaniały przejazd kawalerji chłopskiej wywołał głośne uznanie wojska dla tężyzny chłopskiej. Przekonali się nacznie przedstawiciele armji polskiej, że chłop polski jest wrażliwy na hasła i potrzeby obrouności państwa.

Decyzja podniesienia swego głosu z całą siłą wobec zwierzchnika armji polskiej nabiera właściwej wymowy, gdy się zważy, ile ofiarności wymagało to chłopskie popolite ruszenie. Przy niesłychanem wynędznieniu wsi znalezienie tych kilkunastu czy choćby kilku złotych na koszty wyprawy jest dowodem, że dla honoru swego stronnictwa i swego wodza Wincentego Witosa, najuboższy chłop nie cofnie się przed żadnym wysiłkiem. A kto zliczy te trudy, związane z wyprawą? Jechały przez dwie a nawet trzy doby tysiące i tysiące fur z uczestnikami, obozujące głodno pod gołem niebem. Wędrowały dziesiątki kilometrów i więcej, masy ludowe, w pocie, zmęczeniu, w skwarze słonecznym, nie na widowisko ani na zabawę, ale jedynie w poczuciu obowiązku i sprawy publicznej, aby wobec całej Polski, wobec całej armji i całego narodu swą obecnością liczebną i miljonowymi okrzykami zadokumentować, czego pragną i od czego nigdy nie odstąpią“ — — —

W czasie defilady ludowej wręczono marszałkowi Rydzowi Śmigłemu petycję ze znanymi postulatami Stronnictwa Ludowego, których nie przytaczam ze względu na zamierzony i w przedmowie zapowiedziany, ściśle apolityczny charakter tej książki.

Katarzyna Smreczyńska.

Wieśniaczka z Poręby Wielkiej w górach Górcach (pow. myślenicki, woj. Krakowskie), ur.

1846, zmarła w 1936¹⁾, osobistość niepospolita przez swe szlachetne ambicje macierzyńskie, wytrwałość i inteligencję, za młodu uczestniczka pobożnego ruchu, który szedł od słynnego ongiś na pogórze krakowskiem świątobliwego proboszcza w Sidzinie X. Blaszyńskiego²⁾, jako matka poety Orkana³⁾ uwieczniona przez Sewera w powieści pt. *Matka*, gorliwa czytelniczka, pisywała we lwowskiej *Zorzy* wspomnienia ze swego życia. W jakiej mierze pomagał jej syn-poeta, trudno stwierdzić, w każdym razie jakieś tam retusze były — i dlatego Smreczyńska należy właściwie już do jednego z pograniczny literatury ludowej; ale znając już wiele doskonałych próbek pisarstwa ludowego, nie mamy powodu wątpić, że ta rozumna kobieta z dobrej rasy góralskiej, sama potrafiła podyktować główny zrab swych zajmujących opowiadań.

1) Daty według klepsydry (5 października 1937, w Zakopanem, gdzie, po śmierci Orkana, osiedliwszy się u starszego syna na ostatnie lata swego życia, zmarła i pochowana). (Nie umieszczam Smreczyńskiej między „Podhalańcami“, gdyż Podhale w ścisłym tego nazwania znaczeniu, rozciąga się od gór ku północy tylko po Nowy Targ. Gorce wznoszą się na północ od Nowego Targu).

2) Por. w przypiskach do życiorysu Piotra Borowego, r. XVII. O X. Wojciechu Blaszyńskim „apostole Podhala“ (1806—1866) prof. Pigoń *Z jednego źródła, Przegląd Współczesny* 167/36 (tam i o matce Orkana). O niej również Stanisław Pigoń, *Matka poety, Myśl Narodowa* 44/36. Juljan Szynalik, *Orkan, legenda i rzeczywistość, Kurjer Literacko-Naukowy*, 48/36, (z podobizną Smreczyńskiej), opowiada: „Katarzyna ze Smreczaków Smreczyńska jest bezprzeczenie jedną z najciekawszych postaci, jakie wydała ziemia podhalańska; czyni jej i postać przejdą kiedyś w legendę. Już za życia doczekała się pomnika, który jej wystawił Sewer. Książką jego nie była jednak zachwycona — — —: *Jo zodnyk*

znaków z nieba nie czekała — mówiła mi oburzona na to, że Sewer kazał jej tego oczekiwać w chwili, gdy się ważyły losy jej dzieci. Słowa te są wyrazem głęboko zakorzenionej religji, wolnej od szelkich zabobonów^{*)}). Do szczegółów o życiu tej bohaterki należy dodać, że pisywała ona artykuły. Na jeden z nich a drukowany w miesięczniku *Zorza*, z roku 1912, udało mi się natrafić. Wzywa w nim ta wielka patrijotka społeczeństwo do składek na dar narodowy. Artykuły te były jej dziełem; rola syna poety ogranicza się w tym wypadku do czynności sekretarza, który dyktowany tekst przenosi na papier“.

³⁾ Drugi syn, lub raczej pierwszy, bo starszy, p. Stanisław Smereczyński, emer. prof. szkoły realnej w Krakowie.

^{*)} Niechęć do zabobonów także u drugiego „siedziniarza“ z naszej Antologii, Borowego; widocznie taka była nauka X. Blaszyńskiego.

296. [Niepokój duszy i pielgrzymka do Sidziny].

(Z opowiadania pt. *Pierwsze kroki*, *Zorza*, lipiec 1900).

Już byłam zamężna, kiedy usłyszałam o jednym księdzu, do którego ludzie zewsząd chodzili, — nietylko z całego Podhala, ale nawet i od Tarnowa, bo daleko słynął pomiędzy prostym ludem. A ci, którzy tam już u niego byli, wiele o nim opowiadali, jak on to naucza, jak rozumu uczy, jak po całych nocach nie śpi, ale pracuje, aby ten ciemny lud jako oświecić.

Te nowiny bardzo mnie zaciekawiły, ale cóż, kiedy nic wyraźniejszego nie mogłam się o nim dowiedzieć, bo od nas, zblizsza, nikt tam jeszcze nie był. Tak nie ciekawi byli nasy ludzie. A noc dokoła była wielka, daleko w okolicę nie slychać było o żadnej szkole. Mnie mama w domu sylabizować uczyła, a gdym zdołała litery rozeznawać, po-

życzyła mi wielkiej książki, co tam gdzieś po księdzu mieli: „Stary i nowy testament“ w przedpopowym wydaniu. Przeczytałam ją dwa razy, bom książek inszych nie miała, nawet i katechizmu nie było. Można sobie wyobrazić, jaką korzyść mogło odnieść dziesięcioletnie dziewczę z czytania „wielkiej biblij“.

Później czytałam z wielką upartością, jakie tylko mogłam dostać książki, ale naonczas nie tak łatwo było o nie, jak dzisiaj. A kiedy miałam około czternastu lat, czułam się bardzo niezadowolona ze siebie i ze świata. Gniewałam się na wszystko, co mnie otaczało, jakgdyby wszystko winowate było, że nic nie umiem. Czułam wielki ugór w duszy, daleki, pusty i przestronny¹⁾. Tak mi się zdawało, że niczem inszem nie można go zapełnić, tylko nauką i nauką; a tu już pod tym względem wszystkie nadzieje prawie że stracone... Od sześciu lat musiałam paść bydło — w lecie, a w zimie prząść len. Często prosiłam mamy, żeby mi pozwoliła chodzić na kazania i nauki kościelne; tak chciałam się przynajmniej tem zaspokoić. Słuchałam pilnie, wszystko pamiętałam i to mnie religijnie usposabiało. Ale pragnienia duszy mojej nie zaspokoilo. I nieraz czułam wielki żal do księży, że oni przecie są uczeni, czemu nam też co więcej nie opowiadają? Ale może myślą, żebyśmy nie zrozumieli? — i takem ich sama uniewinniła.

Nadszedł czas, iż mama pozwoliła mi pasać woły w lesie, tam — na polanach... Wtenczas mogłam myśleć dużo: to też myśli latały, dokąd ino okiem dojrzeć mogłam i jeszcze dalej... Podziwiałam wszechmocność boską w tych cudnych utworach, które mnie otaczały, a najwięcej zachwy-

cały mnie wspaniały wschód i zachód słońca, na które często patrzyłam. Zapominałam wtedy o ziemi, o całej nędzy ludzkiej i o swojej i z wielkiem uniesieniem śpiewałam psalm:

„Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada,
Niechaj świat Boską chwałę opowiada“...

I tak czas prędko leciał. Powiedzieli mi, że mam rok siedemnasty i kazali iść za męża. Tak się też stało. Ale, pomimo odmiany życia i nowych obowiązków, tęsknota za nauką nie opuściła mnie; to też robiłam postanowienia: Jak mnie Pan Bóg obdarzy dziećmi, to je będę do szkoły posyłać, choćby nie wiem jakie przeszkody stanęły na drodze... A tymczasem zgromadzałam koło siebie sąsiednie dzieci, które ino chciały przychodzić i uczyłam przynajmniej tego, co sama umiałam. Na szczęście trafiłam na dobrego męża, który mi chętnie pozwalał w czasach wolniejszych od pracy polecieć do Krakowa. Tam podziwiałam starodawne kościoły, pamiątki, wszędzie chciałam się wścibić, chciałam obaczyć skarbcę, muzea, grobowce i co się dało. Z podziwem szczerym przyglądałam się zabytkom staropolskim i coraz większa paliła mnie ciekawość, jaka to ta Polska dawniej była, czemu teraz nie taka bogata? Ale cóż, kiedy tego nikt mi nie wytłómaczył, ani książek takich nie miałam.

Tak upłynęło lat parę.

Dopiero wtenczas dowiedziałam się o tym księdzu, co, jak powiadali, nauczał ludzi, i nie tylko swoich, ale i z dalszych, dalekich stron. To mnie bardzo zaciekawiło. Postanowiłam dowiedzieć się, gdzie ten ksiądz mieszka. Ale, jakem wspomniała, nikt tam od nas nie był, to też nie łatwo było się dowiedzieć. Poszłam do mojej mamy, bo jeszcze

wtenczas żyła, w tej myśli, że się coś dowiem, może przecie od kogo słyszała. I nie zawiedłam się. Powiedziała mi mama, że ten ksiądz mieszka po za Jordanowem, w Sidzinie, pod samą Babią Górą. Mówiła dalej, że gdy przed rokiem była w Bochni, spotkała po drodze gromadkę ludzi i pytała się ich, dokąd idą, a oni odpowiedzieli, że idą do Sidziny, do tego księdza, co to lud biedny naucza... I zapytała mnie odrazu:

— Na co ty, Kasiu, tak ciekawie dowiadujesz się o tego księdza?

— Moja mamusiu — odrzekłam, całując ją w rękę — bo ja tam muszę iść koniecznie, ja go muszę znaleźć, ja się muszę dowiedzieć, czego on naucza...

— Moja Kasiu, moje dziecko, na co ci tego, żebyś ty aż tak daleko chodziła po naukę? Kiedy my tu przy swoim kościele księży mamy i oni uczą, a wszyscy księża jednakowo uczeni, bo do jednakich szkół chodzą. A przecie ty nie jesteś tak doznaku głupia, żebyś nic nie umiała; boś przecie czytywała książki rozmaite. Twoje towarzyszk i czytać nie umieją, a przecie żyją spokojnie...

— O niema się czem chwalić, bo i to, co umiem, ucieka z głowy i już ledwo świeci, jak świętojański robaczek, wnet zgaśnie...

I tak po długiej z mamą gwarze, gdym już ostatnio powiedziała, że ja muszę tego księdza koniecznie znaleźć — mama stanowczo zaprzeczyła i oświadczyła mi, że obowiązek mój w domu siedzieć i nie łązić za niczem po świecie... a jeżeli jej nie posłucham, żebym się jej dzieckiem nie liczył!

Okropnie mnie serce zabolalo, jakem to usły-

szala, bom mamę kochała bardzo. I zrozumiałam zaraz, o co tu chodziło. Mama się obawiała, żebym pod tym pozorem od męża nie uciekła, bo dobrze wiedziała, że mnie wydała z domu poniewolnie; i słusznie mogła myśleć, że mnie tam nic nie wiąże. Nie odczuła zaś onych powodów, które mię parły. Nie odczuła tej palącej tęsknicy²⁾, jaka człowieka, otoczonego ciemnościami, do światła ciągnie. Wiedząc, żeby mię nie zrozumiała odrazu, postanowiłam więcej o tem mamie nie wspominać. Jak mi ino mąż pozwoli — myślałam — to już nie bardzo będę dbać o pozwolenie jednej i drugiej mamy, bo jeszcze i mężowa matka podówczas żyła.

Poprosiłam, by mi nie bronił iść na jeden dzień — a było to w lipcu, dzień duży — i on po chwili przystał. Dobrocią swoją wielką i pobłażliwością najwięcej mię ku sobie przywiązywał.

Zebrałam się i poszła. Poszłam w niedzielę, najpierw do swego kościoła, na ranne nabożeństwo, a potem przez Olszówkę do Rabki. Jakem zaszła do Rabki — jest tam niewysoka góra nad Słonką — usiadłam na miejscu, z którego mogłam widzieć daleko. I zaczęły myśli płynąć, jak chmara ptactwa... Przypomniałam te czasy, jakem pasła woły w lesie na polanach, kiedy to myśli unosiły mnie w nieznanne światy, i jak mi było wtenczas dobrze, a teraz już nie tak... o nie tak! Już te myśli przygębione, nie takie lotne, jak bywały... I zaczęłam rozmyślać nad wszystkim, a potem nad tem, gdzie ja idę, dokąd i po co... Przybaczyły mi się słowa mamy, nawet i męża, który mi radził po swojemu: „Lepiejby w domu posiedziała, nie chodziła nigdzie“... Teraz nastąpiła duża walka w osłabłej duszy. Zdawało mi się, że mam dwa duchy. Jeden mówił: „Idź!“, a drugi: „Nie chodź!“...

Ten drugi ozradzał: „Za czem ty będziesz chodziła, kiedy w swojej parafji są księża i nauczają, może tak samo, jak i tamten. Tyle niewiast żyje se spokojnie, chwalą w domu Pana Boga i za niczem nie łążą“...

A pierwszy znów z przekorą: „Nieprawda! Idź, na nic nie uważaj, bo ta ciekawość nie jest złem“...

I znalazłam się w trudnem położeniu: Których myśli się trzymać? I zaczęłam się nad tem zastanawiać: Czyżby to już ten człowiek na wsi przeznaczony był tak, jak nieprzymierzając ten kret, zawsze w ziemi grzebać i o niczem więcej nie myśleć, jak ino o żywności na jutro i na potem? Czy mu już taka niewola i wieczne konanie? ... I długo się nad tem zastanawiając, przyszłam do przekonania, że przecie ten człowiek rolny tak samo stworzony na obraz i podobieństwo Boże, a zatem ma rzetelne prawo do wszystkich darów i łask bożych.

I postanowiłam — co bądź, to bądź — iść!...

1) 2) W tych miejscach, i niektórych innych, wyraźny retusz synowskiej ręki: wyrażenia jak „ugor w duszy, pusty, przestronny“, albo „tęsknica“ są literackie.

297. Do Dzieci...

(W całości przedrukowane z *Zorzy Ojczystej*, 1908).

Było to z końcem października.

Wybrałam się do Krakowa, ale już było z południa, więc nie mogłam zejść daleko, i musiałam zanocować we Mszany. Nie miałam tam nikogo znajomego. — Weszłam do pierwszego lepszego domu i prosiłam o nocleg. Odrazu z ochotą pozwolili mi nocować. Przyniesiono mi garść grocho-

wianki i porzucono na ziemi przy ścianie. Położyłam tłóмок obok i usiadłam na tej grochowiance. Rozmawiałam z gospodarzami na chwilę. A było w tym domu dość sporo ludzi. Oprócz gospodarzy było dwóch parobków, dziewczka dorosła i pasterz. Krzżeli się po domu koło różnych robót, a ja ze znużenia zadrzymałam wreszcie i poczęłam spać i nie spać.

Przez sen słyszałam jeszcze ich rozmowy, wiedziałam, kiedy wieczerali, nareszcie zaczęli się tracić po jednym, aż wszyscy się gdzieś zapodzili. Zrazu przypuszczałam, że polegli i śpią. Ale gdy się naprawdę przysłuchiwałam, czy oddechów nie słyszczać, albo jakiego poruszenia — przekonałam się że niema nikogo w izbie. Wtedy mię już do znaku spanie odleciało. I dumałam, gdzie się ci ludzie popodzili. Ale jeszcze sama sobie nie dowierzałam. Niepodobna, żeby tu kogo nie było. I pytałam się na głos do trzeciego razu: „Jest tu kto?“ Ale nikt nie odpowiedział. Wiedziałam już, że doprawdy niema nikogo. Wstałam i poszłam ku piecowi szukać patyczków.

A wieczór zauważyłam, że w bocznej ścianie były drzwi do jakiejś komory. Założone były na skóbel patykiem. Teraz przyszło mi na myśl: — Kto wie, co tam mogą mieć w tej komorze?

Wyszłam na pole, przed sień zobaczyć, czy nie poszli do obory, albo do stodoły, ale w całym osiedlu było cicho. Ani żywej duszy. I nigdzie się już nie świeciło. Wtedy niepokój mię ogarnął: Kany ci ludzie stąd odešli i z jakiej przyczyny? To dziwne. Nie bali się, choć mię nie znają, żeby ich nie okraść. Pomyślałam też odrazu, że w tej komorze musi coś być.

Ale, wróciwszy, na nieszczęście nie mogłam znaleźć zapalek. Zbliżyłam się więc pociemku, odłożyłam skóbel i otwieram drzwi ostrożnie... naraż przedstawiło mi się w oczach, jak gdybym trumnę widziała, i takie zimno mię znagła owiało, że ażem ścierpiała. Zatrzałam drzwi, założyłam na powrót na skóbel — zegar prawie wybijał dwunastą. Wzięłam tłómaczek i wybiegłam z izby. Wolę iść — pomyślałam — całą noc, niż z umarłym nocować. Alem na pewno nie wiedziała, czy tam spał umarły, że napowrót wracając, dowiedziałam się od ludzi, że tak było.

Wyszłam z onej chałupy i przebiegłam kawał pola, aż do gościńca. I idąc, myślałam w rozżaleniu: Wolę iść do rana, niż tak nocować. — Dopokąd gościniec prowadził wsią, ot nic, niewielka była bieda. Ale niezadługo zaszedł na odludne miejsce, gdzie ino krzaki były i drobne przylaski, a o chałupach ani słychu! Wreszcie i las większy... Tam mię już niepokój cicha począł napastować — tembardziej, że o tem miejscu przeróżnie gadano. Że tam wychodziły draby, i napadały podróżnych, obdzierając z mienia. Nie poprawdzie dużego przy sobie nie miałam, ale i tak, choć te placki, choć te łachy marne. Niechżeby tak teraz wyszli...

W te razy ku wielkiemu mojemu przerażeniu obaczyłam przez gałęzie przydrożnych wiklin iskry, wylatujące z ogniska. Stałam, jak wryta. Myślę: Co tu teraz robić? Ni iść, ni się wrócić? Ale wrócić się — myślę — jeśli kto jest przy ognisku, już mnie mógł widzieć...

Przeżegnałam się i stawiam chwiejne kroki naprzód. Minęłam gęściejsze krzaki, a przez rzadsze zobaczyłam całe ognisko — przy ognisku zaś sie-

dzących dwóch barczystych chłopów. Dreszcz mię przeszedł od stóp do głowy. Pomyślałam: „Już to pewnie nie będzie kto inszy...“.

Drżącym głosem pochwaliłam Pana Boga, oni też odpowiedzieli, ale równocześnie wstali i šli prosto od ogniska ku mnie, na gošciniec. Wtedy mnie juź naprawdę ogarnęła trwoga.

Kiedy tak w milczeniu stoję, zagadują mnie, gdzie idę, po co i co niosę? Bałam się powiedzieć prawdy, że do dzieci idę, by nie przypuszczali w głowie, że mogę co niešć. Za to im powiedziałam, że idę na odpust — i niosę parę placków, zwyczajnie na drogę. Nie odrazu uwierzyli, a że kłamiąc jedno, poczęłam i więcej kłamać...

Zabrali się przedemną gošciniec, ja też przyostawałam, ochłonełam trochę z przestachu i cieszyłam się, że mnie juź odejdą. Ale nie, nie odešli — poczekali mnie wnetki na gošcincu, i szeptali coś do siebie, długo — ale ja nabrałam otuchy w sercu i spiewałam se, na głos, idąc, godzinki. Oni zaś ciągle — co odeszli, to mię poczekali, a choć blisko mnie byli, słyszeli śpiew godzinek, żaden przecie, jako zwyczaj, nie zdjął kapelusza. To mię wciąż niepokoiło.

Szliśmy tak — razem nie razem — półtory mili. Tam przy gošcincu był znów większy las i znowu się w nim ognisko paliło. Jeszcze ostatni raz mnie poczekali, poszeptali coś do siebie, i skęcili ku ognisku. Jam ich wtedy minęła i pospiesznie przeszła. Alem się jeszcze długo bała i trwożyła w sercu. Przecie fury nadjechały, było mi juź śmielej. Przytem świt na niebo wyszedł i poczęło dnieć.

A zaś było inną razą o połowie grudnia: Wy-

szłam z Krakowa już z południa i szłam za gościńcem, bo ścieżką mi nie porada było iść, jako że śnieg był duży i zadymka. Doszłam na Mogilany — słońko zachodziło. Pospieszyłam się wartko z góry, żeby jako na nocleg zejść do Głogoczowa. Przyszłam ku karczynie głogoczowskiej, gdzie się rozchodzą gościńce — jeden prowadzi ku Kalwarji, a drugi przez Głogoczów. Dumałam, czy nie lepiej w karczynie na noc ostać, bom słyszała, że w tych stronach nie radzi nocują. I w tym zamiarze wstąpiłam do karczmy. Ale cóż? Na drugi dzień miał być targ w Krakowie, przeto fur mnóstwo najechało i karczma była pełna pijanych furmanów.

Tu nie można nocować — myślę se — żadną miarą, trzeba się pchać dalej. A przecie do wsi idę...

Bo dopiero Głogoczów od karczmy nastawał.

Wyszłam z karczmy, minęłam dwór, chałupy już widać było w zmroku przy gościńcu. Zawróciłam do pierwszej obaczonej z kraju. Wchodzę do izby i zastaję kobietę z dwojgiem dzieci.

Proszę o nocleg, a ona na to:

— Nie proście, bo was na żaden sposób nie mogę nocować. Chłop, jak zwyczajnie powlókł się do karczmy. Przyjdzie opity, narobi tataru i może was wśród nocy wypakować z domu...

— Masz rację — myślę se — trzeba szukać dalej.

Wychodzę na gościniec, kilkadziesiąt kroków, i widzę sporo domów w koło. To nic! Kiedy tak. — Zboczyłam do najbliższego. Burzę się i czekam.

Wychodzi jakaś dziewczyna, otwiera drzwi, ale bardzo niechętnie. Wchodzę do izby nieśmiało. Zastaję matkę z córkami, proszę, jak umiem najgrzeczniej, o nocleg. Ale one mię złośliwie zaraz ofuknęły, że nie będą nocować.

— Po pierwsze nie ma słomy, nie ma na czem spać, a po drugie nie niewola nam nocować kogo.

— Hm — pomyślałam sobie — może nie chcą darmo...

Na szczęście miałam parę centów przy sobie.

— Moi drodzy — zaczęłam — ja wam chętnie zapłacę. Przenocujcie mnie choć na gołej ziemi. Ale one się ani na pieniądze nie uwiodły, obces mnie z domu wyгнаły.

— To źle będzie — myślę se — jeżeli już i za zapłatę noclegu nie dostanę.

Cóż było robić? Poszłam dalej.

— Będę wstępować — pomyślałam — do wszystkich domów przy gościńcu. Może przecie trafię choć na jeden...

Zaszłam do trzeciego. Burzę się nieśmiało i czekam. Wyszedł chłop, ofuknął mię.

— Czego chcesz, kobieto?

— Proszę o nocleg, moiście wy...

— Żadną miarą nie mogę, bo żonę nam słabą.

— Ostańcie z Bogiem.

Poszła dalej. Obróciłam się do czwartego. Było to duże zabudowanie, pomyślałam więc z nadzieją, że tu mnie już przyjmą. Zachodzę ku drzwiom i słyszę odrazu dobywające się z wewnątrz hałasy i śmiechy. Nachyliłam drzwi, bo nie były na skóbel zamknięte i stanęłam w izbie na progu. Nie zdołałam jeszcze dobrze Boga pochwalić, kiedy mię zagadnął młody człowiek:

— Czego chcesz, kobieto?

Proszę jak umiem o nocleg.

— Jakaś ty głupia! Jak możesz o nocleg prosić, kiedy widzisz, że gości mamy. Dziś imieniny u nas. Idź z Bogiem dalej.

— To przepraszam, kiedy tak, bom też nie wiedziała. Bawcie się z Bogiem...

I odeszłam. A tu już mrok doznaku zagroził gościniec, nieporada drogi uznać; ale rozpatrzyłam się pomału i dążyłam dalej. Już mnie ogarniał niepokój, co będzie ze mną, jeżeli mi się tak dalej powiedzie.

— Ale nie porada — myślę znowu — żeby w całej wsi człowieka nie było...

Skręciłam do piątego. Tam się już nie świeciło. Widać ludzie śpią. Ale niech ta. Burzę się odważnie i czekam. Wyszedł niezadługo chłop i rzecze:

— Kto tam tak po nocy łązi?

— Ja — nieśmiało odpowiadam i proszę o nocleg.

— Czemuś to kany wcześniej nie zanocowała? Teraz przecie już późno. Dziewiąta godzina.

— Prosiłam w paru miejscach, ale odmówili. Może też wy będziecie przecie miłościwsi.

— Daj mi spokój, kobieto! Widzisz, że my śpimy. Ja ci teraz będę za słomą chodził!

— Nie potrzeba żadnej słomy. — Ja się i na ławie wyśpię, albo i na ziemi, żeby ino nie na polu. Widzicie, że zima.

— Daj mi spokój — powiadam. Idź sobie do kmiecia...

— Kanyż to?

— A hań, widzisz. Patrz, jeszcze się świeci...

— Ostańcie z Bogiem. Dziękuję.

I poszłam.

Zachodzę do tego kmiecia. Ale mię psy obstały, bo już pospuszczali. Oganiem się jak mogę, i zbliżam ku drzwiom. Wyszła przecie z domu

dziewka, widać ich służąca i te psy pozwoływała. Pytam się jej, czy tem domu mogę o nocleg prosić.

— Idźcie do gospodarza — odrzekła. — Ja tu nie mam rządów.

Otworzyłam drzwi i weszłam. Siedzieli na ławach. Troje ludzi było obcych, a reszta domowi. Tu już prosiłam z nadzieją, że mi nie odmówią. Ale i tu się zawiodłam. Odpowiedział mi gospodarz:

— Już troje ludzi nocuje. Więcej nie mogę.

— Ja wam dużo miejsca nie zajmę, moiściewy, spocznę choć na ławie....

I targowałam się z nim długo, molestując bardzo. Ale ten na końcu pada:

— Kiedy nie, to nie! Ani zadarmo, ani za pieniądze... Idźcie dalej, jeszcze są dwie chałupy pod działem.

Wyszłam z tego domu, ale już zrozpaczona. Wieś się kończyła, a poczynał się dział ogromnie długi, pusty i bezludny. Wprawdzie jeszcze są dwa domy, jak powiadają. Ale jak mię w nich nie przyjmą? Traciłam wszelką nadzieję.

Idę ku tym chałupom, bo były blisko przy gościńcu, ale już pod samym działem, mizerne chałupy. Wchodzę do pierwszej — powiadają:

— Mogłaś u kmiecia nocować? Po co tu idziesz, do komornika biednego?

— Moiściewy, byłam u kmiecia. Ale nocuje parę ludzi, dla mnie miejsca brakło.

— Jak ci go brakło u kmiecia, to u mnie tembardziej. Ja komornik, nie bogacz.

— Przecie to może wasza chałupa?

— Co komu do tego, czyja? Idź z Panem Bogiem.

Podeszłam w końcu do ostatniej chałupy pod

działem. Burzyłam się, czekałam. Ale tam mię już nikt nie wyszedł puścić.

Wróciłam się na gościniec i stanęłam bezradna na chwilę.

Przeczekałam wschód księżyca, który się wytaczał wolno z poza odległej góry. Rozwidniło się nieco po wsi. Obejrzałam się na Głogoczów: była to wieś dosyć duża, ciągnęła się doliną, a gościniec, którąś szła, przecinał ją w poprzek. W świetle księżyca dojrzałam wieżę na kościele. Zegar wybijał na niej dwunastą godzinę. Dreszcz mię przechodził po kościach na samą myśl, że padnie iść przez ten dział bezludny i długi, a nawet, jak powiadali, niebezpieczny wieldze. Może by lepiej było — dumalam se — w tych gąszczach, które się tulą pod górą, kany zanocować? Ale znowu, jak tam usnę, a przyciśnie mróz...

Sama już nie wiedziałam, co sobie doradzić. Zdecydowałam się wreszcie wejść w pobliski las i chodzić w koło dokoła drzew póki świt nie wstanie. Już mam podchodzić do lasu — jeszcze raz błędem okiem spojrzałam za siebie — i w świetle księżyca dojrzałam jakąś postać daleko na gościńcu. Zatrzymałam się, pomyślałam: „Może ktoś tak samo nie mógł noclegu nigdzie dostać, i zmuszony iść. Skoro tak, to pójdziemy razem...” Ale nie, był to chłopczyzna nieduży; skoro nadszedł bliżej, pytam się:

— Skądżeś ty chłopcze?

— Z drugiej wsi — odpowiedział. — Chodziłem do mamy. A ja tu służę. I z chałupy powracam do gazdów.

— Daleko ten dom, kany służysz?

— Kawalek z gościńca. Widzicie hań, na tej górcie, co ją z tela widać.

— Słuchaj — no ty... A twój gazda lubi nocowywać ludzi?

— Do nas mało kto przychodzi, bo my daleko od drogi. Ale co prawda, to nie grzech, to moi gazdowie dobrzy.

— Wiesz ty, chłopcze, co... Nie mogłaby ja pójść z tobą na nocleg?

— Ze mną odrazu to nie, boby se gazda pomyślał, że ja was wiodę. Ale nadejdźcie później. Ja tymczasem psa uwiążę, bo jest bardzo zły.

Dałam mu za to parę centów i przyostałam na gościńcu, a on wyprzedził mnie i pobiegł naprzód. Zaszłam w pół godziny za nim. Pies był uwiązany, a w chałupie się świeciło. Zachodzę do izby — przywitały mnie dwa głosy, gazdy i gaździny. Oboje byli niestarzy, siedzieli na łózkach. Na samą wzmiankę o noclegu, przerwali mi razem:

— Siadajcie, kobieto droga, chętnie was przyjmemy.

Gazda zaraz chłopakowi kazał przynieść słomy, a gaździna zaś tymczasem roznieciła ogień, nalala mleka na rondel i postawiła na trójnóżku.

— Jeżeli dla mnie — powiadam — to nie róbcie żadnej subjekcji...

— Kto wie, kiedyście wy jedli, odkąd tu idziecie! Trzeba się koniecznie zagrzać...

I uwarzyła na prędcie: raczyli mnie razem, abym jadła, a w przestankach rozmawiali ze mną. Więc ja po długiej pogwarze spytałam nieśmiało:

— Chyba wy, drodzy ludzie, nie jesteście z Głogoczowa rodem?

Na co mi, śmiejąc się, odrzekli:

— A prawda, że nie.

Gazda powiedział, że rodem pochodzi z Sieprawia, tu się przyżenił, a po śmierci pierwszej żony, wziął drugą z Sieprawia.

— Ta to właśnie, widzicie, która przy was siedzi...

Wesołość i serdeczność siadły między nami¹⁾.

Zdarzyło się raz i tak, że mi o kąt dla wypoczynku padło prosić we dnie. Było to w połowie września: U nas największe zbiórki owsiane. Wypadło zajrzeć do Krakowa, a tu czasu niema. Zbierało się nie we dnie, ale i nocami, jak potrzeba zaszła. Tak było i tym razem. W jedną noc grabiliśmy suche pokosy, bo się na deszcz zanościło, a szkoda było dać zalać, w drugą zaś przysposabiałam utarcie na placki, w trzecią je piekłam, a w czwartą późno z wieczora wybrałam się w drogę. Fury z jarmarku jechały, podwiezłam się trochę, a nawet blisko pół drogi, potem trza było iść pieszo — począwszy od Dobczyc, bo mię tam furman ostawił, skręcając do domu. Jechały fury jeszcze, ale z ciężarami, wioząc deski do Krakowa na najbliższy targ. Pomykałam drogę z niemi, bo mi było śmieiej. Do góry wystarczyłam iść przy furach, ale z góry, jak padło, to mnie odjechali, musiałam sama przyostać. Wreszcie potracili mi się z oczu. Poczęło już świtać. A ze świtaniem owładnęło mną znużenie wielkie i senność taka ciężka, żem się ograć nie mogła. Potaczowałam się, idęcy na wszystkie strony, przepadłam parę razy przez kupę kamieni, zatoczyłam się do fosy i znów powstałam, aby iść, aby snowi nie dawać przystępu. I dużą chwilę tak szłam, aż się rozwidniło. Przeszło koło mnie parę ludzi, naśmie-

wania ich głośne wyrwały mię na moment z senności. Słyszałam, jak mówili między sobą:

—Opiała się i nie może iść jak ludzie, ino się zatacza...

Rozgniewało mnie to mocno, myślałam, że mnie już senność odleci. Ale gdzie tam! Wróciła jeszcze z większą siłą. Nieporada było iść dalej. Przy gościńcu bałam się spocząć, żeby mię kto, przechodząc, nie okradł. I spostrzegłam z otwierających się drzwi, w chałupach stojących przy drodze, że ludzie już powstają. Skreśliłam ku najbliższej, chłop prawie z izby wyszedł przed sień. Pochwaliłam Boga i proszę go, żeby mi pozwolił na pogródcie przy izbie odpocząć. Ten się mnie pyta:

— Laczego?

— Jestem bardzo śpiąca. Nie mam już siły iść dalej. Przy izbie będzie mi śmieiej... Choć na małą chwiliusię! pozwólcie...

Ale ten mię okrzyknął i kazał iść z Bogiem. Gdy jeszcze stałam i prosiłam pięknie — począł mi kłać i odegnał, jak psa, od chałupy. Zażaliło się serce we mnie na taką gościnność, myślałam, że oburzenie senność już odegna. Szłam wartko i pomknęłam duży kawał drogi. Ale drzemanie ze zdwojoną mocą poczęło mi zastępować, ani drogi uznać, jakby gęsta i ciemna mgła zaszła na oczy. Co krok, to się potykam — idę, a nie idę.

— E, niech już będzie, co chce — myślę, i ostatnim wysiłkiem woli zboczyłam do najbliższej, majaczącej przed oczyma chaty. Weszłam prosto do izby, ale, widać, nie było nikogo, pewnie powychodzili do bydła z polaniem, bo nikt się do mnie nie odzywał. Zrzuciłam z ramion tłumoczek, siadłam na niskim stołeczku, spotykanym pod nogą,

sparłam ręce na ławie, a na dłoniach głowę i zasnęłam odrazu, w tej samej sekundzie. Nie wiem, długo tak spałam. Aż mię przebudziły zciszone rozmowy koło mnie. Podniosłam głowę i zobaczyłam dwoje ludzi, stojących nademną i przypatrujących się mi z ciekawością. Oboje się mnie naraz zapytali:

— Co się wam stało, kobieto?

— Nic, moi ludzie, ino byłam tak śpiąca, że już iść nie mogłam, obróciłam się choć na jeden moment oczy zamglone przerzucić. Przebaczcie, że nie prosząc, usnęłam u was tak śmiało.

— Nie było nas, — odrzekli — jakeście tu weszli. Ale choćbyśmy i byli, to byśmy was z chęcią przyjęli. Czemuście się wygodniej nie ułożyli? Trza było se wziąć zagłówek.

— O, wystarczy — odrzekłam — Bóg zapłać i za to.

I dużo już rzeświejsza poszłam w dalszą drogę.

*

I znów wypadło mi iść z końcem października. Ale, że trza było wziąć ziemniaków i różnych rzeczy, najęłam furkę. Noce jak zwykle w tym czasie, były mgliste, przesiąknięte sączącą się ze mgły rosą, a księżyc nie rozwidniał ich oświatą, były całkiem czarne.

W taką noc, późnym zmrokiem, przejechaliśmy Myślenice. Chcieliśmy nadażyć innym furom, co na targ jechały. Ale te miały konie z drogą oswojone, wnetki nas poostawiały daleko za sobą. Co jeszcze na dopłatek! Mój furman ślepy był na jedno oko, a koń nie znał drogi w tę stronę. Do tego deszcz się zabrał i począł ciąć bez ustanku, coraz to mocniej.

Błądziliśmy po gościńcu, to w tę, to w ową stronę. Nareszcie zmuszona byłam wyjść z wozu, zaodziać białą płachtę, iść przed koniem i przyświecać mu sobą. I tak blisko dwie mile prowadziłam konia i furmana ciemnego, wśród deszczu — aż do karczmy, gdzie można było donocować.

*

O tym samym prawie czasie wracałam raz z Krakowa. Droga dowiodła mię ku Rabie, niedaleko od Lubnia, gdzie rzeka wije się jak wąż, zygzakowata, od brzegu do brzegu. Niewszędzie nad nią były ławy, chcąc ją przejść na prost, trza było ją w kilku miejscach przechodzić, a chcąc ją minąć, trza było wspinać się po urwistym brzegu nad samą wodą.

Nie zwracałam uwagi, że to było po deszczach — poszłam śmiało. A do tego jeszcze zmrokiem, kiedy już nikt nie sied. Uszłam kilkanaście kroków — a tu — gruch! za mną i przedemną... Odwaluje się po kawałku brzeg razem z krzakami. Stałam w przerażeniu wielkiem — co czynić? Ni iść dalej, ni się wrócić... Bo co chwilę pluskają do wody staczające się darnie ziemi. Widzę nad sobą ruchomy brzeg — pod sobą topiel... Ani żywej duszy, nima znikąd ratunku.

Stałam czas długi w bezradzie. Wreszcie przeżegnałam się w myśli krzyżem świętym i z zamrzonemi oczyma, utykając się na darniach ziemi, które mi zpod nóg uciekały, poszłam.

Jakim cudem przestermałam się, już nie wiem. Cała oblana potem, jak w kąpieli, siadłam na twardej ziemi, i długo nie mogłam z lęku ochłonać. Wtedy dopiero strach przebyty osłabił moje siły.

*

Jednego razu, o zimowej porze, kiedy mi znów wypadło zajrzeć do Krakowa, wybrało się ze mną dwoje ludzi, którzy mię namówili, abyśmy wzięli furę, i podwieźli się trochę. A że była sanica, furman naprawił wóz na włókach. Zaledwieśmy na mszańską wodę zajechali, zaraz na pierwszym strumieniu przewrócił. Wóz przechylił się tą stroną, gdzie ja siedziałem, więc wpadłam naprzód i najgłębiej, bo na sam spód wody, a towarzysze moi na mnie; posłużyłam im jeszcze za kładkę, bo na mnie się wspierali, wyłaząc z wody. Wydostałam się wreszcie cała mokra, przesiąknięta wodą. Pookręcałam z większa swoje łachy, ale że towarzystwo moje chciało jechać, to też i ja chciałam się pchać razem z nimi na jako tako. Dobiliśmy do gościńca jeszcze za widoka. Wiatr się wznagał coraz większy i mroził zmoczone łachy, ścinając je w lód prawdziwy, w skostniałe skorupy. Za najmniejszym poruszeniem wydawały chrzęst. To też, aby na pamięć nie przywozić zimna, starałam się cicho siedzieć i w martwym bezruchu. Tak jadąc, niby we śnie jakimś lodowatym, dostaliśmy się na przestrzeń, na wysoki dział, gdzie już było rzeczywiście panowanie wiatru. Wkuliłam się w siebie, że tak rzeknę, i starałam się myślami skurczyć²⁾, aby nie dotykać mrozu, który parzył i wypalał oczy. Widziało mi się, że siedzę wmurowana w grubą ścianę lodu — ani ręką drgając, ani się ruszyć — a dusza we mnie, widziało się, kurczy się pomału. To znów zdawało mi się, że jestem jak posąg z lodu, bez żadnego uczucia. A potem, jakby ktoś palił przy mnie blisko, zaczął ból chwytać ręce, nogi i żyłami do serca się zbliżać. Czułam, jakoby topnienie powolne przy

ogniu. I znów to samo tępe, zmartwiałe bezczucie³⁾. A wiatr wciąż wył i jęczał przeciągle na drutach. Jakby płacz pogrzebowy, szedł ciągle za nami i nie ustawał.

Dotarliśmy nareszcie do jakiegoś zajazdu. Furman się wrócił, a my pieszo ruszyliśmy dalej. Chód wartki mię rozruszał, rozgrzał i wzmocnił siły.

Dużo podobnych wypadków spotkało mię jeszcze, ale nie warte uwagi, bo choć niebezpieczeństwo było w nich, szczęściem kończyło się strachem.

Insza rzecz, że mogłam paść pod samą chałupą, a niktby był nie wiedział.

Tak było: Wracałam z Krakowa w zimie. Śniegi były wielkie. Zaspów takich nasypało, że miedz nie było znać, potoki do znaku zakryło. Dostałam ku kościołowi zapóźnionym mrokiem. Ale już nigdzie nie zanocowałam, bom chciała przecie do domu się dopchać. Od kościoła do domu był spory kawałek, trza było przechodzić działy i duże potoki. Ale się już ledwo pchałam. Garnęłam kolanami gęsty śnieg przed sobą i szłam, a droga mi się zdawała wiecznością. Siły mię już opuszczały — im bliżej domu, tem częściej spoczywałam w śniegu. I tak z mozołem dopchałam się do ostatniej miedzy. Tu już siły ustały, nie porada ani kroku zrobić. Co począć teraz? Wołać — nikt nie usłyszy — z domu okienka na dół niema, żeby kto usłyszał.

— Przyjdzie mi pod samą chałupą umarznąć...

Siedzę i tak myślę z trwogą. A w tartaku, trąbiono prawie na północ.

— Żle — myślę se — już teraz mię żadna żywa dusza nie usłyszy, choćbym na gwałt wołała...

I pozbierałem resztę sił ostałych i z ostatnim wysiłkiem doszłam przecie.

1) 2) 3) Zdania literackie, nie ludowej mowy, napewno Orkana, nie jego matki.

*

Leon Sz. Urodzony w r. 1901, w powiecie jasielskim (województwo Krakowskie), osierocony wczesnie przez ojca, który odjechał do Ameryki i „ma tam 6-cioro dzieci i (inną) żonę, a o swoim ślubnem dziecku i ślubnej żonie Saecula Saeculorum Amen!“ (wypadek wcale nie rzadki!), wychowywał się u swego dziadka macierzystego, który „znowu był zwolennikiem Alkoholu“, odsłużył wojsko, brał udział w stowarzyszeniach Stronnictwa Chłopskiego, postanowił rozmaitemi przykremi swemi przejściami podzielić się z czytelnikami jednego z pism ludowych i w r. 1932 napisał *Zywoł Radykała Społecznego*, na 6 stronach dużego formatu. Prócz zwykłych danych biograficznych, rodzinnych, gospodarczych, pamiętniczek ten zawiera ciekawy a smutny przyczynek do obrazu metod śledczych w polskiej policji: — — — „nastąpiła nasza Odrodzona Ojczyzna, Polska, pierwszym jej przywitaniem dla mnie była Policja państwowa“ — — (następuje bardzo przykry opis badania go na posterunku: nie chciał przyznać się do kradzieży, bo niewinnie był poświadczony — sprawca znalazł się później). (Rękopis użyty mi przez p. Wojciecha Skuzę).

*

Adam Szania.

298. [Napis na krzyżu Legionów]

Młodoży polska, patrz na ten krzyż,
Legjony polskie dźwignęły go wzwyż,
Przechodząc góry, doliny i wały,
Dla ciebie Polsko i dla Twej chwały¹⁾.

1) Druga Brygada Legionów Polskich przechodząc w październiku roku 1914 z Węgier do Galicji, na przełęczu Pantyrskiej, przy słynnej „drodze Legionów“, wzniosła krzyż

z tym napisem *). Autor tego napisu nie był znany; dopiero niedawno (w roczniku XVI *Wierchów*, 1936, str. 252) podaje Władysław Krygowski „wiadomość o autorstwie znanego czterowersza na krzyżu Legjonów. Nie był nim nieznanemu poecie, lecz zwykły żołnierz nie będący poetą, nazwiskiem [jak wyżej], którego prostemu i wzruszającemu wierszowi danem było wejść w historję walk o niepodległość“. (Też. samą wiadomość znajduję u Korniaaka, por. Korniak).

*) Tekst napisu, powszechnie zresztą znany, podaje wedł. Lipińskiego, *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905—1918*, Warszawa 1935, 66.

Maciej Szarek z Brzegów (pow. wielicki), pisał jeszcze za czasów pańszczyźnianych „czepał myśli z własnych przeżyć“ (wedł. inform. T. Seweryna). O Szarku: Piętka, *Sz. M. chłop-poeta*, *Kraj* 10/1905, art. niedostępny mi; M. Czula w art. *Nieco o celach i zadaniach literatów ludowych*, *Wieś i Jej Pieśń*, 3—4/1934):

„Lat temu zgórą trzydzieści — gdy jako „ministrant“ w komży a z dzwoneczkiem w rękę chodziłem ze swoim ś. p. proboszczem po kołędzie, znalazłem się i u ś. p. Macieja Szarka w Brzegach, szeroko wtedy znanego i cenionego — choć dziś już zapomnianego, zdolnego pisarza, mowcy i poety ludowego. — Miał ten niezwykły chłop samouk wspa- niałą bibliotekę, liczącą około 100 tomów najcenniejszych dzieł naukowych i powieściowych — a co to za radość była — gdy mi pozwolił je oglądać.

Ponieważ były to czasy t. zw. „chłopomaństwa“, bo wszak i ś. p. Kazimierz Badeni miał podobno słabość do chłopów, — chociaż bał się ich jak ognia — i przywódców ich prześladował, więc też, gdy miasto Kraków czciło 50-letnią działalność pisarską J. Kraszewskiego¹⁾ — zaproszono na tą uroczystość i Szarka, którego Kraszewski nie omieszkał przedstawić obecnym, jako ideał chłopskiego działacza i obywatela. Umarł Szarek lat temu przeszło dwadzieścia. Piękny życiorys napisał mu w *Przyjacielu* J. Bojko, a na cmentarzu w Grabiem, gdzie spoczywa, postawiono

mu ze składek gustowny pomnik z kamienia z odpowiednim napisem“.

*) 1887.

*

Mieczysław Szklennik.

Pisarz, który właściwie nie należy do „ludowych“ ale do typowo „prowincjonalnych“, małomieszczański, godny tu uwagi i cytacyj jako bardzo charakterystyczny w swoich wierszach, wcale prymitywnych ale miłych, charakterystyczny dla okolicy, która go wydała i gdzie przemieszkuje, dla Litwy (polskiej), z jej kryjącą się jeszcze po zacisznych miasteczkach staroświecczyzną, przenoszącą nas gdzieś w pierwszą połowę ubiegłego wieku, w czasy młodego Syrokomli, w kulturę małoszlachecką i w jej odnogę małomiejską. Mieczysław Szklennik jest księgarzem w Głębokiem, miasteczku Ziemi Wileńskiej, na północno-wschodnim krańcu Rzplitej; wydał dwa zeszyty poezyj, o których w feljetonie wileńskiego *Słowa*¹⁾ znajduję: „Dziwny urok mają poezje p. Szklennika... Niech największy pesymista, najczarniejszy melancholik“ itd. otworzy „zieloną książeczkę z wyrysowaną na okładce luteńką... niech się uważnie wczytuje w rzewne strofy... Ręczę, że uśmiech radosny rozchyli mu wargi“. I dalej: „Cechą charakterystyczną poezji Szklennika jest ciekawy, powiedziałbym, swoisty język. Takim językiem napewno nie pisał i nie pisze żaden polski poeta. O, nie jest to wykrygowany, wymęczony, mało rozumiały język innych poetów współczesnych. Język p. Szklennika, to język, który się słyszy na rynku w Dokszycach, w wa-

gonie motorowym Wilno-Królewszczyzna, w autobusie — Głęboke-Dzisna. Językiem podobnym (choć niezupełnie) pisuje inny poeta ziemi dzisiejskiej, p. W. D. R. z Sorok, ale ten ostatni poezji swych dotąd nie wydrukował. A p. Szklennik śmiało wydrukował swoje wersety, odważnie wprowadzając do literatury perły języka regionalnego. Z tego głównie względu pozwalam sobie tu wprowadzić choć nie ludowego, ale z pogranicza literatury ludowej, a dość egzotycznego, skromnego poetę²⁾.

1) Fin: *Bard głębocki czyli Pan Mieczysław Szklennik śpiewa dla siebie*. *Słowo*, 10, 3/34, (artykuł w tonie mocno naiwny, ale, zdaje się, pierwszy, który na Szklennika zwrócił uwagę i podniósł jego charakterystyczny język; w art. tym jest zresztą więcej cytowanych swoistych wyrażen „tutejszych“, niż w tych próbkach, które ja przytaczam). O Szklenniku jako o „reprezentancie ludu polskiego z nad Dźwiny“ w poezji ludowej, wspomina K. W. Zawodziński (*Wiadomości Literackie*, 38/36), (któremu zawdzięczam materiały do tej Wzmianki).

2) Szklennik wydał: *Śpiewam dla siebie*, Zeszyt I, składano i odbito w księgarni Z. Szejnbojna w Głębokiem, [bez daty, str. 64]; tego zeszytu nie znam; autor feljetonu w *Słowie* zaznacza że książeczka ta opatrzona jest w napis: „Przedruk wzbroniony“. Ja miałem w ręku książeczkę pt. *Śpiewam dla siebie a piszę dla swoich*, tamże, bez daty; broszura dość już pożółkła, prawdopodobnie przedwojenna, o czym, i z treści niektórych wierszy można wnioskować; jest to napewno zapowiadziany zeszyt II — tym razem bez owego srogiego zastrzeżenia, co ośmiela mię do wprowadzenia sympatycznego „barda głębockiego“ do tej Antologii.

*

Mieczysław Szklennik. *Śpiewam dla siebie a piszę dla swoich*.

299. Krupieńka, 37.

Lubię ja siedzieć nad twym brzegiem Krupieńko,
O północnej chwili pięknego maja,
Gdy księżyc oświeca, a gwiazdki maleńkie
Niby swawolą, niby do mnie mrugają,
I rzucać spojrzenie na senne wkrąg łono,
Podziwiać spokój, słuchać zdala słowika,
Słuchać derkacza z kwiecistej tuż błoni,
I słuchać, jak biegną u nóg wody strumyka.
W tem lubię wzbudzać najmiłsze wspomnienie
O czasach już przeszłych, złotych, najdroższych,
A o tobie Krupieńko, z czułem wzruszeniem
Ja dużo wspominam, bo ty jedno z najśodszych
Pamiętasz, gdy będąc chłopakiem,
Codzień za często ja ciebie zwiedzałem,
Bawiłem się z tobą jak z najbliższym rodakiem,
A czyż mało od ciebie ja miałem?
Zawsze ku tobie dążyłem od znoju,
Ty mię kąpałaś, jak matka w kąpieli,
Ty moje pragnienie morzyłaś napojem,
A chęci uwzględniałaś za wiele.
Złotą rybkę łapałem w twojej wodzie.
A motylki i strzałki na brzegach kwiecistych
Ganiałem! niby szedłem w zawody
Po trawie, ajerze, i strujach srebrzystych.
A ileż to wspomnień późniejszych o tobie
Z westchnieniem ja nieraz powtarzam,
Nie zliczę! lecz przy jednym ocieram łzy sobie,
Ty wiesz! ja o niem i we śnie marzę...
Pamiętasz wieczorem, już po zachodzie
Z nią przyszliśmy słuchać słowika,
Aromatem oddychać na miłej swobodzie
I spojrzeć na wodę twego strumyka.
A było spokojnie; usiedliśmy razem,

Ona westchnęła do cudnej natury;
Podałem kwiatuszek z serdecznym wyrazem:
„Odpędzać komary“, i jako zabawkę powtóre.
Wtem kukawka usiadła cichutko;
Pytając o los swój zacząłem rachować.
Odezwał się słowik tuż z krzaków kaliny,
Derkacze swój śpiew rozpoczęły,
Zaćwierkali i świerszcze — a żaby z kępiny
Kwakać rozmaicie zaczęły.
Mgła powoli opadła na łąki
I niby wskrzesiła jeziora.
Ja zaś spytałem: „Czy widzisz ty domki,
Czy widzisz sadek, gumna, obory?
Gdzieś niby jesteśmy na wyspie.
Niby od świata daleko,
Jakby te miejsca umyślnie
Otacza [sic] Erosa opieka“.
Czułem objęciem uścisnęła kochanka,
Usta swe z memi jakby na zawsze złączyła.
Usłyszałem nareszcie: „będziemy do ranka...“
Chciała jeszcze powiedzieć, lecz nie skończyła,
Rzewny zaś płacz jej rozdzierał mą duszę.
Nie wiedziałem co mam z sobą uczynić.
Były dla mnie ciężkie katusze,
Gdy z rozpaczą poczęła narzekać i winić,
Żal mię ogarnął, lecz zapłakać nie mogłem,
Niby się ze mną coś stało, jakby zdrętwiałem,
Rozczulić się wzajemnie na sobie nie wymogłem,
A przecież miłością nadludzką kochałem,
I zawsze pragnąłem ją widzieć przed sobą.
Bez niej minuta była dla mnie ciężarem,
Bo z nią nierozłącznie, jak rybka z wodą,
Dzieliliśmy miłość z największym zapałem.
Dalej wspominać gotów i do rana,

Lecz poco? O wszystkim ty wiesz i widziałaś,
Wolę spokojnie posiedzieć u ciebie kochana,
Bo na pociechę tylko ty pozostałaś.

300. [Śmierć łani, 76].

(Z utworu: *Hadzki bór*).

— — — Gdy doszedłem do pięknego rozdroża¹⁾, spocząć usiadłem na małym przestworze, gdzie i zwykle, na zielonym wzgórku spostrzegłem jak dwie wiewiórki po sęczkach wieszały się, skakały, wzbierały się do góry, na dół, padały. Z uwielbieniem ja na nie patrzyłem, i o szczęściu ich własnem marzyłem, jednak ta chwila trwała nie długo: jak ładna i mała ta cuga, znikła raptownie w przestrzeni, tylko kiwały się gałęzie zieleni. Ich szukając na drzewa patrzyłem. Wtem zatętniało. Momentalnie zoczyłem łanię, z nią dwojga małych. Ach! jakież to widok wspaniały! Gdy wyszła bliżutko na drogę, i stanęła — jakby wryła swe nogi, siedzieć starałem się cicho, tchu nie zmieniałem. Jak na licho, gadzina nie małej długości tuż przepęła w bliskości. Lecz na to uwagi nie zwracałem, z zachwyceniem uważałem, jak małe kozłęta bawiły się, podskakiwały, do matki tuliły się, która nie zmieniała swej postawy nie czując trwogi i obawy. Nie zechciałem ten przerwać im spokój. Gdy jeszcze ich miałem na oku, rozległ się wystrzał, aż mnie ogłuszyło, i dymem raptownie okryło. Zerwałem się wprost bez pamięci, wtem szukać począłem zawzięcie występce, tego zbrodniarza, który na macierzyństwo nie zważa. I ujrzałem biegnącego w tę stronę, gdzie krzycząc tarzała się łania skrwawiona. Z gniewem, jak upiór, dążyłem ku niemu złapać i wskazać żywiołu biednemu. Lecz podły, uniknąć

od trwogi, przyśpieszył swe nogi. Wróciłem do tego stworzenia, na widok okropny poczułem wzruszenie, gorzko do łez zapłakałem. Jak ciężko przy dzieciorach maciora stękała! Jak konwulsyjnie i ciągle o ziemię uderzała głową, a nogami swemi, zdawało się, chciała wstać. Nie mogła. Okropnie ją ścigał ten ból i znużenie, nareszcie spokojnie leżało stworzenie. Znów głowę podjęła, spojrzała na dziatki, a oni postali u nóg swojej matki, z bojaźnią tuliły się, żałośnie piszczały, jakby o sieroctwie i dołi mawiały. A biedna ich matka już ciszej stękała, gorzej i ciszej, nareszcie konała. Ból serce me ścisnął, a łzy się polały, gdy rozpacz ostatnią me oczy ujrzały. Pokładły się dzieci u boku maciory, cisnęły się spocząć pod błonie jej chore, po raz ostatni łania głowę podjęła, łzy z oczu polała i ciężko westchnęła. Na mnie spojrzenie żałosne rzuciła, jakby o litość dla sierot prosiła. Z tem cichem ostatniem weschnieniem znikło jej życie, znikło cierpienie. A gdyby nie widzieć, oczy czapką przykryłem, łzy ocierałem i jedno mówiłem: — „Poco stwarzając tak śliczną przyrodę raczył Bóg dodać człowieka wrzoda — tak niską istotę, równą psu szalonemu, co spokoju, swobody nie daje każdemu“. Z gniewem nareszcie o ziemię trąciłem, ubranie rozdarłem, przekleństwem skończyłem, w stronę poszedłem. A gdyby nie spojrzeć na biedne sierotki, co pokładły się umrzeć — kroki zawzięcie i dalej stawiałem, gdyby zapomnieć, coś z sobą mówiłem, jakąś w tem czułem obawę i trwogę, szparko ruszałem po drodze swe nogi. — — —

¹⁾ I tutaj pozwoliłem sobie z układu wierszowego przepisać na niby — prozaiczny.

Andrzej Tomasz Średniawski.

A. T. Średniawski¹⁾ należy do tych wielkich synów chłopskich, którzy na przełomie XIX i XX wieku, poraz pierwszy w dziejach Polski, ujęli samodzielnie ster spraw swej warstwy we własne ręce. Nie ma żadnej prawie ludowej akcji społecznej, gdzieby się udział Średniawskiego nie był zaznaczył. Życie tego człowieka wielkiej skromności, to jedno pasmo dobrych i mądrych czynów, prac, pożytecznych inicjatyw, rad, przestróg w słowie i piśmie.

Średniawski urodził się w Górnej Wsi, na przedmieściu miasteczka powiatowego Myślenice (woj. Krakowskie), dnia 24 listopada 1857. Do szkoły powszechnej uczęszcza między rokiem 1864 a 1870, ale nieregularnie, i kończy tylko 3 klasy. Po wczesnej śmierci rodziców, przyjęty przez ciotkę, zostaje oddany do terminu u szewca, przebywa jako terminator jakiś czas w Krakowie, wraca do wsi rodzinnej, gdzie się osiedla na stałe. Tam, w roku 1883, widzimy go zakładającego kółko rolnicze. Do pracy społecznej zachęca go jego wuj, Roman Gąsiorowski, nauczyciel szkoły rolniczej w Czernichowie (pow. krakowski), który nań wielki wywiera wpływ. W r. 1885 udaje się Średniawski na Ukrainę gdzie, jako zamiłowany pszczelarz i ogrodnik, u właścicieli ziemskich pracuje w tym dziale gospodarstwa przez 7 lat. Tam poznaje wdowę Zofję z Bieniewskich Rogozińską, właścicielkę wsi Piotrówka, którą zaślubia. Powraca do Górnej Wsi, gdzie do końca życia gospodaruje, na własnych początkowo 9 morgach i małym dzierzawionym folwarczku. Teraz zaczyna się jego ożywiona działalność społeczna i gospodarcza, organizuje kółka

rolnicze, straże pożarne, kasy, spółdzielnie, zakłady fabryczki przetworów owocowych, kapeluszy, suszarnię i mleczarnię. Zajmuje się sprawami emigracyjnymi, asekuracyjnymi, drogowymi, budową kanałów. Jego działalność na tych polach zyskuje mu takie uznanie, iż zostaje wybrany wicemarszałkiem powiatowym — jedyny bodajże tego rodzaju wypadek w galicyjskim samorządzie powiatowym, gdzie tradycyjnie przewodnictwo obejmowali ziemianie, że udzielono tej godności człowiekowi z ludu. Bierze również udział w polityce. W r. 1895 przechodzi jako kandydat ludowców do Sejmu lwowskiego piastując ten mandat do r. 1900. W r. 1907 zostaje, z łona tegoż stronnictwa, wystawiony i wybrany na posła do Rady Państwa, wybrany ponownie w r. 1911, posłuje do Wiednia aż do upadku monarchji. We Wiedniu poważną odgrywa rolę w Kole Polskiem. Po wykluczeniu Stapińskiego ze Stronnictwa Ludowego zostaje prezesem klubu posłów tegoż stronnictwa, bierze udział w założeniu Stronnictwa Ludowego „Piast“ i tygodnika pod tąż nazwą. W r. 1919, Średniawski zostaje posłem do Sejmu Ustawodawczego, a w r. 1922 senatorem. Był pracowitym uczestnikiem wielu komisyj sejmowych i senackich. Chlubny bierze udział w pracy niepodległościowej, zakłada w Górnej Wsi Strzelca, wysyła w r. 1914 na bój oddział własnym kosztem umundurowany i uzbrojony.

Prócz tych rozlicznych zajęć ma Średniawski czas na żywą działalność publicystyczną. Liczne jego artykuły pojawiają się we *Więncu i Pszczółce*, *Przyjacielu Ludu*, *Piaście*, *Przewodniku Kótek Rolniczych*. Osobno wydaje parę broszur²⁾.

Zmarł 13 listopada roku 1931. Dorobiwszy

się 40 morgów roli, posiadłość tę, wraz z budynkami i biblioteką, oddaje testamentem samorządowi powiatowemu w Myślenicach, jako fundację na szkołę rolniczą i cele charytatywne. W styczniu r. 1932 staraniem S. L. Piast odbywa się ku jego czci akademja żałobna, na której hołd temu zasłużonemu życiu oddają W. Witos, prof. U. J. Marchlewski, poseł Z. hr. Lasocki, dr. Kiernik i inni.

Średniawski, umysł, przy idealizmie narodowym i patriotycznym nawskróś trzeźwy i konkretny, jest niestrudzonym rzecznikiem pracy organicznej³⁾; oto kilka zdań z jego pracy o kredycie: „Do przetrwania a raczej przerwania tego ciężkiego kryzysu, powinniśmy szukać pomocy u samych siebie. Nie mamy złota, ale nam go nie trzeba. Potrzebą nam źródła rozrachunkowego oraz wzajemnego zaufania. — — Dotąd nie stworzyliśmy prawie żadnej takiej ustawy, któraby do pracy zachęcała lub dawała bodźca do pracy, lub robiła różnicę między próżniakiem a pracowitym człowiekiem⁴⁾. — — Praca jest podstawą bogactwa każdego narodu i państwa, zatem należy stworzyć takie warunki by umożliwiały pracę i zachęcały do niej. Każdy człowiek, chłop czy inteligent, robotnik czy urzędnik, powinien pracować więcej, by odrobić zniszczenia i zaniedbania wojenne. Każdy pracujący czy fizycznie czy umysłowo powinien być szanowany, bo on pomnaża dobrobyt społeczeństwa, zaś próżniak, czy bogaty czy ubogi, powinien być pogardzany i traktowany jako pasorzyt. Do tych należą także spekulanci, którzy nie pracą twórczą ale wyzyskiwaniem innych się zajmują — — —“.

Średniawski to nie ideolog nienawiści klasowej, ale prawdziwy, obejmujący sercem cały naród — narodowiec. (J. B.).

1) O Średniawskim napisał p. Jan Bielatowicz, student Uniwersytetu Jagiellońskiego. (Pozwoliłem sobie piśmownię jego rękopisu przystosować do przyjętej przemienne). (K. L. K.).

2) Broszury Średniawskiego: *Sprawozdanie* [poselskie], Wiedeń 1909, *O kanałach*, 1911, *O gospodarczej niedoli i kredycie*, Grudziądz [1926]. O Średniawskim: *Jednodniówka ku czci senatorów J. Bojki i A. Średniawskiego, w dniu obchodu 35-tej rocznicy ich pracy publicznej, dnia 28. września 1924 we Wierzchosławicach*. Sprawozdanie z akademii żałobnej ku czci A. Ś., *Piast* 5/932. Korzystałem też z łaskawych informacji dra A. Walaśzka, adwokata w Myślenicach, który przygotowuje życiorys Średniawskiego (J. B.).

3) Pod tym względem przypomina innego pisarza, o którym pisaliśmy, Władysława Berkana (r. V.). (K. L. K.).

4) Średniawski idzie stanowczo zadaleko, gdy np. do ustaw szkodliwych zalicza nawet takie jak: „ustawa o ochronie małoletnich i kobiet od pracy, by się za młodu nie przyzwyczajały do pracy; ustawę ubezpieczeniową dla bezrobotnych, ażeby nie troszczyli się zbytnio o znalezienie pracy“ itp. Średniawski stoi na stanowisku optymistycznym — nie chce podejrzewać: egoistycznym! — gospodarczego liberalizmu, że, jak jest produkcja obfita, to już wszyscy, byle się tylko im pracować chciało, znajdą pracę, a z nią i chleb; niestety, ten optymizm srogo zawiódł. (Że Ś. nie schodzi ze stanowiska humanitarnego dowodzi jego zastrzeżenie: „Oczywiście chorzy, kaleki, niedołęgi, starcy niezdolni do pracy, nie mogą być traktowani jako próżniacy“). (K. L. K.).

*

A. Średniawski, *O gospodarczej niedoli i kredycie*. Zakłady graficzne W. Kulerskiego w Grudziądzu [bez daty, prof. Bujak ustala na 1926, stron 23].

301. O pracy i pomocniczej walucie, 19.

Byłoby najkorzystniej, gdyby obcy kapitał budował u nas koleje, kanały, fabryki i t. p. przedsię-

biorstwa. By wpłynął jako udział na akcję Banku Polskiego lub akcję w przedsiębiorstwach przemysłowych, ale kapitaliści zagraniczni nie chcą się angażować w przedsiębiorstwa, by zadowolić się małym zyskiem w przedsiębiorstwach obciążonych u nas nadmiernymi zdobyczami socjalnymi, oni wolą monopol, bo tytoń mogą przerabiać u siebie, gdzie tych zdobyczy socjalnych niema, a tu gotowy wyrób przywiozą i przez to zarobią więcej. Cóż ich może obchodzić los naszych robotników i robotnic, los naszych inwalidów i popieranie plantacyj tytoniu u nas, lecz dla państwa polskiego, obojętnem to być nie może.

Nasuwa się jeszcze troska! Czem będziemy płacić raty pożyczek zagranicznych, jeżeli najpewniejsze i najbogatsze źródła oddamy w dzierżawę i z góry za lata czynsz pobieramy? Gdybyśmy nawet uzyskali pożyczkę nie na monopol, ale na innych umiarkowanych dogodnych warunkach, to i tak kredyt ten będzie drogi, bo w całym świecie kapitał podrożał, a Polska na niski procent pożyczki nie uzyska, a zaś drugiego kredytu, ani nasz przemysł, a tem więcej rolnictwo nie wytrzyma (bo z powodu drogości artykułów przemysłowych, których rolnicy potrzebują, rolnictwo się zupełnie nie opłaca). Zatem pożyczka zagraniczna na dogodnych warunkach jest pożądaną, lecz ona nigdy nie spełni tej roli, jaką dać może własna pomocnicza waluta kredytowa oparta na ziemi i na murowanych obiektach, puszczona w obieg jako pożyczka długoterminowa i nisko-procentowa.

Pomimo zatem pogorszenia się warunków z powodu zachwiania się złotego, uważam wprowadzenie złotego kredytowego jako jedynego i koniecznego

ratunek dla stworzenia nisko-procentowego długoletniego kredytu tak bardzo dziś potrzebnego dla uruchomienia życia gospodarczego w całym państwie.

Dając pożyczkę do połowy rzeczywistej wartości ziemi, zabezpieczamy tej walucie pewność hipoteczną podwójnej wartości, zatem gwarancję tak wielką, jakiej żadna waluta świata nie posiada. Mówią że podstawa złota jest lepsza, bo jest więcej elastyczna, niż nieruchomości, bo w potrzebie złoto można sprzedać lub zastawić w Londynie, ale to właśnie przemawia według mego zdania na korzyść lepszego zabezpieczenia jej wartości w ziemi, która nigdy wartości nie traci, ale zyskuje, której ani ukraść, ani wywieźć nie można, a gdyby dłużnik nie płacił rat, to ją zawsze sprzedać można dla zapewnienia regularnej amortyzacji długu i waluty.

Wreszcie gdybyśmy pożyczkę zagraniczną otrzymali, to otrzymamy ją nie w złocie, ale w papierach (banknotach), co wreszcie dla nas jest obojętne. Ale dlaczegoż papierki zagraniczne oparte na złocie, leżącym gdzieś w bankach o tysiące kilometrów odległych mają być lepsze i pewniejsze, niż nasze własne ubezpieczone w 100% na wartości ziemi naszej. Zagraniczne giełdy nie będą decydowały o kursie tej waluty, bo taby służyła tylko do wewnętrznego obrotu w kraju, a do obrotu zagranicznego, jak i w kraju będzie służył złoty Banku Polskiego (oczywiście ustabilizowany na równi złota). Użycie pomocniczej waluty tak w Niemczech jak i Anglii dało jaknajlepsze rezultaty, dlategoż więc my, którzy ją stokroć więcej potrzebujemy nie możemy użyć tego tak wypróbowanego środka dla wewnętrznego rozrachunku między so-

ba. W ostatnich czasach cały handel szedł obrotem weksli, które były używane w przeważnej części zamiast gotówki, lecz obrot wekslami jest dobry, gdy akceptant i wystawiciel jest człowiekiem zamożnym i rzetelnym. Weksle te reeskontowano w bankach, lecz każdy bank lub inny nabywca musiał zasięgać informacji o stanie majątku wystawcy i akceptanta weksla. Niektórych weksli banki nie przyjmowały, a przejęte często musiały protestować, co narażało strony na ogromne koszty oprócz niepomierne wygórowanego procentu i krótkoterminowego kredytu. Wiele przedsiębiorstw wskutek tego upadło. Czyż więc porównać można nawet weksel ze znakiem obiegowym kredytowego złoto, który zabezpieczony hipotecznie na ziemi, wydany przez Państwowy Bank Gospodarstwa Krajowego, gwarantowany już przez państwo i mający prawo publicznego obiegu i płacenia nim zobowiązań na równi ze złotem Banku Polskiego? Wprowadzenie kredytu długoterminowego (spłacalnego przez 24 lat) i nisko-procentowego (3%), przyczyni się również do obniżenia procentu wogóle, co uzdrowi przemysł i handel, pomnoży i potani produkcję tak w rolnictwie jak i przemyśle, słowem odrodzi życie gospodarcze.

Po wprowadzeniu tej pomocniczej waluty zapewno i kapitaliści zagraniczni przyszliby do nas z korzystniejszymi ofertami pożyczki, bo wiadomem jest, że temu co jest w wielkiej potrzebie kapitaliści stawiają najcięższe warunki.

Majątkiem narodu będą dopiero stworzone przez pracę nowe wartości.

Chociaż już na początku niniejszej rozprawki wspomniałem o tem, że cała niemal nasza praca

idzie na utrzymanie egzystencji naszej, lecz muszę tu jeszcze podkreślić, bo bardzo niewielu zdaje sobie z tego sprawę.

Zatem ta praca, którą wykonujemy dla podtrzymania egzystencji naszego życia jest konieczna i pożyteczna, bo daje siły, podtrzymuje i pomnaża energję ludności. Ta praca, która konserwuje wartości dawniejszą pracą wytworzone, jak utrzymanie mieszkań, komunikacja i t.p. wreszcie wytwarzanie odzieży, narzędzi i t.p., które się zużywają, także jest potrzebna i pożyteczna, bo przez nią możemy utrzymać wszystko w stanie ich dawnej wartości. Prace te pochłaniają jednak ogromne ilości sił, przypuszczalnie około 90% nie dzisiejszej, ale przedwojennej pracy, lecz one nie pomnażają majątku. Obecnie i tych prac nie wykonujemy w pełnej mierze. Tak pracując, to po najdłuższym nawet życiu (gdybyśmy żyli nawet dostatnio) zostawimy następnemu pokoleniu tyle, cośmy zastali po swoich ojcach, a może i mniej, to znaczy, że dorobku po nas zostanie tyle, co i po żebraku. Nie zmienia sprawy okoliczność, że część jednostek wzbogaciła się nawet, jeżeli wzbogacili się kosztem zubożenia innych, bo ogólny majątek społeczeństwa nie zwiększył się. Dopiero prace wykonywane dla stworzenia nowych wartości, jak budowa nowych domów, kolei, kanałów, dróg, mostów, fabryk, elektrowni i t.p. zakładów, także wykonywanie meljoracji gruntów, regulacji rzek, stwarza nowe wartości, więc pomnaża majątek dla obecnych obywateli i przyszłych ich pokoleń. To jednak wymaga dużego wysiłku i zrozumienia sprawy. Tak pracujące społeczeństwo może być pewne, że dobrobyt ogólny z roku na rok będzie wzrastał i że będzie

coraz lepiej. Ameryka doszła do olbrzymiego dobrobytu nie obcym kapitałem, ale wysiłkiem rozumu, oraz wysiłkiem pracy fizycznej jej obywateli i przybyłych z Europy emigrantów. Oprócz sił fizycznych ludzkich, zaprzęgli oni do pracy maszyny oraz siły przyrody jak ogień, wodę i elektrykę. U nas niestety na to się nie zanosi, niema u nas warunków dla zwiększenia pracy i niema dla niej należytego uznania.

Przeciwnie, u nas się karze za zwiększoną pracę, a nagradza się nierobów. Wielu ludzi poszło do urzędów dla lekkiego chleba, a stąd dla pracujących ogromne ciężary. Dziś każdy człowiek narzeka, że jest źle, i ten co pracuje i ten co próżniaczy spodziewa się, że będzie lepiej, a tylko bardzo niewielu niema tych złudzeń. Wielu spodziewa się poprawy po otrzymaniu zagranicznej pożyczki. Pożyczka przyniesie chwilową ulgę, ale w przyszłości, gdy trzeba będzie spłacać dług, wtedy będzie odpływać znaczna część naszego dorobku zagranicę, i wówczas trudniej będzie utrzymać w równowadze budżet i bilans płatniczy państwa, bo nietylko dług, ale i procenty (może nawet wysokie) trzeba spłacać. Dobrobyt musimy stworzyć sami własną pracą i wysiłkiem, by odrobić nie tylko zniszczenia wojenne, ale i dotychczasowe zaniedbania. Musimy jednak stworzyć warunki: a) kredytu przez prowadzenie waluty kredytowej i b) zmiany ustawodawstwa, któreby nie zniechęcało, ale zachęcało do pracy.

Po napisaniu tego artykułu dowiedziałem się, że w Niemczech, jest w obiegu banknotów marki złotej Państwowego Banku Rzeszy 2.640 milionów, prywatnych banknotów 171 milj., monet zdawko-

wych 585 milj., zaś marki rentowej banku rentowego 1.450 milj. razem 4.846 milionów (*Wirtschaft u. Statist.* Nr. 4. 1926 r.). Co jednak najciekawsze i bardzo znamienne, to chlubna opinia ministra skarbu państwa niemieckiego o marce rentowej, która jak to powyżej widzieliśmy, stanowi jedną trzecią waluty w obiegu się znajdującej.

Bardzo poważne pismo *Przegląd Gospodarczy* z dnia 15 lutego 1926 r. zeszyt 4 na str. 190 pisze:

„Minister skarbu Rzeszy niemieckiej dr. Reinhold, uchodzący za bardzo zdolnego finansistę, w mowie wygłoszonej 10 lutego br. powiedział, między innymi wyjaśnieniami i zamierzeniami, słowa dotyczące marki rentowej: „Niezbicie pewnym jest fakt, że silne pobory podatkowe w okresie stabilizacji, które odziedziczyliśmy szczęśliwie po czasach inflacji, które umożliwiły nam urzeczywistnienie problemu marki rentowej, tego cudownego dotychczas najśmielszego eksperymentu w historii techniki walutowej, na zawsze pozostaną chwalebna kartą zarządu skarbu Rzeszy“.

Tak mówią o walucie pomocniczej, opartej na hipotece ci, którzy ją mają u siebie już kilka lat. Ciekawym, co na to powiedzą nasi wielcy finansiści?

Prawdopodobnie powiedzą, że mogła się udać w Niemczech, ale to się u nas w Polsce nie uda.

Oczywiście u nas się z pewnością nie uda, jeżeli się jej nie wprowadzi.

Według mego przekonania warunki dla złotego kredytowego są u nas daleko lepsze niż w Niemczech, bo potrzeba jej jest daleko większa niż tam była; to jest jedyny warunek, by złoty został ustabilizowany tak gruntownie jak w Niem-

czech marka złota; jak marka złota w Niemczech, tak i u nas złoty musi być tą miarą, która się nie rozciąga, ani kurczy¹⁾.

¹⁾ Nie jestem w możności ocenić wartość tego ekonomicznego pomysłu; prof. Bujak (w liście do mnie) o tej rozprawie powiada: „mojem zdaniem istotnie stoi wysoko“ (K. L. K.).

*

F. K. Tuczyński, o nim T. Pietrzykowski, *F. K. Tuczyński*, Toruń 1932 (wedł. notatki w *Roczniku Literacym*, 1932, 246: „pisarz ludowy interesujący dla historii folkloru w Polsce“).

Wojciech Wiącek¹⁾, ur. 28 listopada 1869 r. w Machowie nad Wisłą, w pow. tarnobrzeskim, jako syn 8 morgowego gospodarza²⁾. 1878-1883 uczęszcza do szkoły zimowej we wsi rodzinnej poczem zarobkuje na folwarku i przy obwałowaniu Wisły. W r. 1886 zaczyna pracę społeczną od utworzenia spółdzielni kredytowej, która z czasem przekształcona została na kasę oszczędności systemu Raiffeisena, jedną z pierwszych w Galicji, poczem w r. 1888 zakłada kółko rolnicze ze sklepem i biblioteczką. Wnet potem bierze udział w przemycaniu ko Królestwa nielegalnej literatury patriotycznej i religijnej, za co w nagrodę zostaje zaproszony na uroczystość sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza do Krakowa w r. 1890. Już od r. 1890 urządza sobótki i „bitwy raclawickie“, przyczem odgrywa zwykle rolę Kościuszki. Najbardziej udana była podobno bitwa raclawicka na błoniach wsi Dzikowa w 50-lecie zniesienia pańszczyzny (1898). W r. 1894 zakłada w Machowie bibliotekę Towarzystwa Oświaty Ludowej, następnie wchodzi do Rady Powiatowej (w. r. 1896), gdzie pod kierunkiem wybitnego działacza narodowego, adwokata Surowieckiego, pracuje w kole włościańskim, a równocześnie tworzy we wsi ochotniczą straż pożarną oraz spółdzielnię mleczarską.

W r. 1897 wyjeżdża do Raperswyłu na Zjazd Narodowy, w następnym roku bierze udział w odsłonięciu pomnika Adama Mickiewicza, wreszcie w r. 1901 zostaje przyjęty do Ligi Narodowej.

Należy do założycieli hurtowni „Bazar“ w Tarnobrzegu

(1898) i powiatowego biura pośrednictwa pracy (1900), które stało się wzorem dla innych podobnych biur. Bierze także czynny udział w zorganizowaniu oddziału Tow. Szkoły Ludowej w Tarnobrzegu, regionalnego tygodnika narodowego *Głos Ziemi Sandomierskiej*, komitetu budowy pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu (1901), który zostaje odsłonięty w r. 1904.

W r. 1902 wchodzi do Zarządu Głównego T. S. L., a w r. 1907 został wybrany posłem do parlamentu austriackiego, gdzie przyczynia się do wprowadzenia radykalnych posłów chłopskich do Koła Polskiego.

Należy do najgorliwszych wśród włościan przeciwników pijaństwa, stara się budzić przemysł i handel w powiecie, wchodzi do Zarządu Głównego Tow. Kółek Rolniczych. Bierze także żywy udział w akcji kolonizacyjnej, werbując osadników do Galicji wschodniej jako agent przedsiębiorstw parcelacyjnych, zwłaszcza Banku Ziemińskiego.

Mimo tych licznych zajęć ma czas na zorganizowanie gniazda Sokola włościańskiego w Machowie (1908) i na spółdziałanie w propagandzie organizacji wojskowej (Dryżyny Bartoszowe). Po wybuchu wojny zmuszony wyjechać z rodziną do Czech (Chocień), zwiedza jako działacz polityczny Wiedeń, Berlin, Kopenhagę. Po powrocie do rodzinnej wsi (1915) rozwija żywą działalność nad odbudową życia gospodarczego w powiecie i w akcji politycznej, bierze udział w rozbrojeniu załogi austriackiej i organizowaniu administracji polskiej w Tarnobrzegu. W r. 1927 przechodzi do sanacji, zostaje senatorem Rzeczypospolitej, a w r. 1929 odwiedza go w jego chacie w Machowie, Prezydent Rzeczypospolitej, I. Mościcki³⁾.

Pisać zaczyna w r. 1901. Pisze głównie broszury patriotyczno-propagandowe, z których kilka zostało skonfiskowanych. W życiorysie własnym, przesłanym na konkurs działacza wiejskiego, zorganizowany przez prof. Grabskiego, jako pierwszą wymienia broszurę *Kto jest Polakiem*, i wylicza niżej podane dziełka osobno drukowane⁴⁾.

Gorący, pełen dobrej woli i bardzo ruchliwy agitator narodowy, gospodarczy i społeczny, odznacza się umysłem wrażliwym i barwnym językiem, brak mu jednak głębszej myśli i gruntowniejszego wykształcenia, to też zarówno

w działaniu politycznym jak i w pracach gospodarczych nie wysunął się na czoło. (F. B.).

1) Życiorys W. Wiącka, napisany przez prof. F. Bujaka, który też zestawił jego bibliografię; w mem posiadaniu *Krótki życiorys*, rkpis Wiącka; *Wspomnienia*, Kraków 1934, nieznane mi; o nim Henryk Jacek, *Wojciech Wiącek*, Machów 1937.

2) Z *Krótkiego życiorysu*: „Rodzice moi zmarli gdy miałem 17 lat, a pozostawili mnie i moje młodsze siostry. Nie trzeba dodawać jaki był los pięciu sierót bez pomocy, był rozpaczliwy. Czytać i pisać nauczyłem się w szkole zimowej, w której przez czytanie książek na dobre we mnie wzrosła miłość Ojczyzny Polskiej, dla której postanowiłem pracować całe życie, by ją uwolnić z niewoli. Myśl i metoda wychowania siebie i drugich na wsi, wszystkie pieśni narodowe, do tego narobiłem z drzewa lanc i karabinów i w każdą niedzielę wszystkich chłopców zbierałem na wsi i bawiliśmy się w żołnierzy i wojnę“.

H. Jacek (l. c.) opowiada: „We wsi i okolicy przeżywała ludźmi Wojciecha „Polakiem“ czując, że to właśnie najlepiej ujmuje istotę jego służby i życia. Sen ośmiomorgowego gospodarza, uczył się od 8 roku życia przez pięć zim w szkole „zimowej“ (od listopada do kwietnia), prowadzonej przez — flisaka, Jakóba Sałka, który wracając z Gdańska, nabywał po drodze książki, przywoził je do wsi, czytał je wieśniakom, a umiejącym czytać pożyczzał.

Od 13 roku życia chodził Wojtuś na robotę do dworu, do żyda Hausera. Mając lat 17 (w r. 1886) założył w Machowie „Towarzystwo Bratniej Pomocy“. Członkowie (narazie było ich 30, młodych) składali pierwszego każdego miesiąca swe oszczędności do wspólnej kasy, która je pożyczala potrzebującym na 12 proc., gdy lichwiarzom trzeba było płacić od 100 do 200 procent rocznie“.

Gdy towarzystwo doszło do kapitału 400 guldów, przemieniono je na parafjalną kasę oszczędności i pożyczek, potem na Kasę Stefczyka. Odtąd każdy rok przynosi nowe organizacje Wiącka.

3) W lipcu 1937 odznaczony złotym Krzyżem Zasługi.

4) *W sprawie reorganizacji szkolnictwa w Polsce. Ratujmy sieroty. Stuletnia historia rozwoju szkół i szkolnictwa w pow. tarnobrzescim. Jakie wojsko takie państwo. Sodoma i Gomora, czyli dzieje karczmy w jednej wsi. Sandomierz 1919, str. V+58. Kobieta wiejska, jako męczennica i niewolnica pijaństwa. Warszawa 1927. Wieści nadwiślańskie. Spółdzielnie i Spółki katolickie w Rzeszowie. Rzeszów 1927, str. 24. Jak zostałem plantatorem buraków cukrowych. O utworzeniu parafji i budowie kościoła w Chmielowie. Krótki zarys 40-lecia Kółka Rolniczego w Machowie. Co zrobiono na Wiśle, za czasów Wolnej Polski w pow. sandomierskim, Machów 1931, str. 15. Z działalności człowieka zasłużonego. Wspomnienia z pracy konspiracyjnej o wolność i niepodległość Polski. Kraków 1934. Brońmy się, Kraków 1911, str. 31+1 ryć. Kto jest Polakiem, głos włościanina do włościan, Kraków 1901.*

Dotychczas niedrukowane: *Jak mój ojciec uprawiał rolę i siał żyto. Najniezszczęśliwsze stworzenie boskie. Co to jest parcelacja. Mordowanie i chów koni na wsi. Dwie powodzie polskie. Targi i jarmarki w Polsce. Kultura dworów i wsi w Małopolsce.* (F. B.).

W *Krótkim zyciorysie* W. wymienia swe broszury niewyliczone w nin. bibliografji: *Hej bracia Polacy powstańcie co żywo i 365 bied Galicji*, obie z r. 1901, druga skonfiskowana przez władzę austriacką.

Bronisław Wiczorkowski.

302 [Praca]¹⁾.

Witaj praco najświętsza, życia mego wózku,
Z którym codzień jak pielgrzym wyruszam o świcie.
Ty odczuwasz mój dotyk, mój stalowy muskuł
I spojrzenie mych oczu utkwionych w błękitcie.
Kiedy zabłyśniesz tęczą, zrzuciwszy pleśń kory,
Ja stanę się wybrańcem z wszystkich twego grodu,

I wydam krzyk radości, aż zaszumią bory,
I tobą się upoję, jakby dzbanem miodu.
Uwieńczę w sierp księżycą, gwiazd zawieszę sploty,
Niech diamentami skrzą się w twym ożywczym
[zdroju,
I śnić będę o łanach pszenicznych sen złoty,
I cały ci się oddam, a ty będziesz moją.

¹⁾ B. W., robotnik łódzki, drukował w czasopiśmie *Okolica Poetów* (wedł. S. Czernika, *Pieśń o ziemi naszej*, II. *Kurj. Codz.*, 28. IX. 36). Przytoczonemu wierszowi brak logiki artystycznej, intencje dobre, ale całość nieprzemyślana.

Wojciech Zawada.

303. Jakiej pieśni nam trzeba...

Tam na krzaku choiny, niedaleko drożyny,
siedzi ptaszek i śpiewa,
płaszczem piór się odziewa.
Oj ty, drogi nasz ptaku, ty ojczysty śpiewaku,
czemu śpiewasz tak tęskno,
że mej duszy bolesno?
Twój śpiew taki grobowy, jak ukraińskie ostrowy,
i dźwięk głosu tak głuchy,
jak więzienne łańcuchy...
W twoim śpiewie się mieści
tyle skargi, boleści,
tyle żalu, tęsknoty,
jak w modlitwie sieroty.
Oj ty ptaku, ty ptaku, ty wolności śpiewaku,
pieśń wolności mi śpiewaj,
ducha mego rozgrzewaj.
Takiej pieśni nam trzeba,
co to płynie do nieba,
co to ducha porywa
i kajdany rozkuwa.

Pieśń co truje wroga, leci do tronu Boga —
takiej pieśni burzliwej,
a kraj będzie szczęśliwy.

1) Z tym poetą ludowym, swego czasu dość znanym, z pokolenia pierwszych „śpiewaków“ wiejskich, którego jedyny znany mi wiersz (*Zorza*, 1900) — może nie jeden z najlepszych? — powyżej przytaczam — mam dość kłopotu: Zawada podpisuje się: „z Dąbrowicy koło koło Szczucina“ (znowuż niedaleko ujścia Sanu do Wisły, ten „literacko-ludowy“ pow. tarnobrzeski!) i jako dąbrowiczanka znajduję go w artykułach Feliksa Gwiźdźa, we lwowskim *Tygodniu* (*Z zapadłej wsi*, 26/905 i *Pieśniarze wiejscy*, 42/905); natomiast *Bibliografja* Gawełka pod pozycją 4769 ma: „Z. W. poeta z Poronina, zmarły 26 października 1906“. Było dwóch tego nazwiska, czy też nieoceniony bibliograf ludoznawstwa tym razem pomylił się? Przypuszczam, że tak, skoro taki znawca góralszczyzny jak J. Zborowski (który mi materiału do Zawady ze swych zbiorów dostarczył) nie zna poety góralskiego o tem nazwisku.

Franciszek Żurek.

F. Żurek jest autorem dużej książki o udziale powiatu krasnostawskiego (w ziemi Chełmskiej) w walkach o niepodległość; książka wyszła w r. 1937; powstała przez „wstrząs psychiczny, którego Żurek, były bardzo czynny członek Polskiej Organizacji Wojskowej, doznać miał na wystawie poznańskiej, gdzie pawilon ziemiański zdobiły zbroje i zdobycze ze skarbców domowych, zdobyte namioty, a tymczasem włościański bił w oczy niskim lotem swoich pokazów“; autor nasz zapragnął wykazać, jakim był udział ludowy w walkach o niepodległość i dał obraz walk niepodległościowych w rodzinnym swym powiecie, od przedednia powstania styczniowego po wojnę o Lwów. Żurek podczas

swej pracy otrzymywał wskazówki naukowe ze strony instytucji naukowej, poświęconej badaniom najnowszej historii polskiej — ale, jak stwierdza przedmówczyni — pomoc ta starała się „uszanować najcenniejsze swoiste właściwości pracy: nie dotknęła koncepcji, podsuwała niektóre dokumenty, strzegła posługiwania się literaturą, która nie mogłaby być spożytkowana w pełni. Szło o zachowanie charakteru książki raczej jako źródła niż jako monografji“. W tych skromnych ramach zamierzenia autor wywiązał się zeń nadzwyczajnie: książka to niezmiernie pracowita, wyliczająca setki nazwisk, oparta na wielkiej ilości zebranych relacji, zbierająca odpisy wielu dokumentów, i wiele fotografii i podobizn (pośród tych nie ma niestety podobizny autorskiej). Są w tej, dość okazałej rozmiarami, książce, liczne przyczynki do dziejów stosunków społecznych (dwór i wieś), partyj politycznych (N. D. i P. P. S.), ruchów polityczno-oświatowych (Zaranie), tajnego nauczania, walk w latach rewolucyjnych 1904/5 i później, stosunków okupacyjnych podczas wojny, nastrojów w masie ludowej; pokazano wiele jednostek z ludu i inteligencji, które brały udział w działalności społecznej i patriotycznej, uderza np. żywy udział nauczycieli ludowych, między którymi byli i Litwini, sprowadzeni przez rząd z Kowieńszczyzny, dla rusyfikacji; są wspomniani i szpicle i zdrajcy. Autor wyraźnie zaznacza swe społeczno-polityczne niechęci, a mianowicie do ziemian i do znacznej części duchowieństwa, którym odmawia (może zbyt skwapliwie?) ofiarności patriotycznej, zarzuca egoizm, oraz (części duchowieństwa) austrofilizm podczas okupacji... Trudno niepoinformowanemu osądzić, o ile autor

jest sprawozdawcą obiektywnym, o ile kieruje się uprzedzeniami. Ujmującą cechą tej książki, która jest połączeniem historii z pamiętnikiem — (w typie „komentarzy do wojny gallickiej“) — jest, iż autor, opowiadający o sobie przez trzecią osobę, nie wysuwa siebie nigdy na plan pierwszy, ze skromnością dość rzadką w pamiętnikach żołnierzy i wodzów...

Z przedmowy wiadomość biograficzna: Franciszek Żurek, urodzony w pow. krasnostawskim w r. 1895, syn gajowego, analfabety, z opowiadań dziadka, uczestnika powstania styczniowego, „wyniósł żar patriotyzmu“. Samouk, nawet pisać i czytać uczył się sam. Podczas wojny wszedł do P. O. W., jako „obywatel Płomyk“ należał do lotnych oddziałów, które dezorganizowały tyły armji rosyjskiej podczas odwrotu, był członkiem Narodowego Wydziału Lubelskiego, współtwórcą ruchu ludowego. W wojnie 1920 i powstaniu śląskiem prowadził znowu trudne i ryzykowne, bohaterskie przedsięwzięcia dywersyjne. W rzadkich chwilach wolnych kształcił się, „zawsze jednak gotów porzucić“ kurs czy szkołę rolniczą na głos nowej pobudki wojennej... Obecnie gospodaruje na własnej osadzie i mając już trochę więcej czasu; wziął się do swej pracy pamiętnikarza i zbieracza materiałów historycznych swego rodzinnego powiatu.

*

Franciszek Żurek. *Powiat krasnostawski w walce o wolność*. Z przedmową Heleny Radlińskiej. Warszawa, Instytut Józefa Piłsudskiego, poświęcony Badaniu Najnowszej Historji Polskiej, (str. 296, dużego formatu).

304. [Tajne nauczanie, 78].

— — — Mimo niebezpieczeństwa, na jakie narażało uczenie języka polskiego, było ono bardzo rozpowszechnione. W każdym prawie skupieniu wsi był nauczyciel prowadzący taką szkołę, choć niekiedy nie miał potemu odpowiednich kwalifikacyj. Jako typowy przykład ówczesnych warunków nauczania przytoczę tu relację jednej z takich nauczycielek, Heleny z Borwów Strzępowej, która będąc sama samoukiem, przez 9 zim prowadziła tajne nauczanie w swojej wsi¹⁾:

„...wynajmuję sobie mieszkanie u sąsiada wolne, a nigdy w szkole nie byłam i nie miałam najmniejszego wyobrażenia, jak to urządzić salę szkolną, ale bez namysłu stawiam stoły wkoło stancji i stołki stawiam po obu stronach, i pod strachem Boga nauka się rozpoczęła, ale za każdym zjawieniem się do wsi strażnika, to moi uczniowie płci obojga wieją do domu aż trzeszczy“. Ponieważ liczba dzieci w tej szkole wzrosła do 30, trudno ją było zakonspirować w Czystej Dębinie. Toteż, jak pisze H. Strzępowa, „podówczas urządziłam się inaczej, kupuję wachmistrza za flaszkę wódki i trzy ruble i wtedy uczę na pewniaka“.

Takim nauczycielem samoukiem był również Stanisław Piotrowski, szewc w Olszance, oraz gorzelany w tej samej miejscowości, Witold Szwedziński, również Szumiłło w Łopienniku Lackim, który przygotowywał grupkę tamtejszej młodzieży do szkół średnich, Jan Piasecki w Górach pod Krasnymstawem, przez wiele lat tajnie uczący dzieci, i wielu, wielu innych, których nie sposób wymienić.

¹⁾ Około roku 1906.

305. [Wieś Krynica. Autor o sobie, 200].

— — — Źródłem inicjatywy i punktem ciężkości wszelkich poczynań niepodległościowych podczas okupacji austriackiej była dla tej okolicy niewielka, bo zaledwie 47 zagród licząca, wieś Krynica. Nie było tu z lat dawnych żadnych tradycji niepodległościowych. Jako kolonja powstała wieś Krynica (inna jej nazwa Orszulin) na części dóbr Krupe w roku 1890. Zamieszkiwały tu rozmaite elementy, bo kto miał tylko fundusz, mógł nabyć w tej wsi, jako byłej szlacheckiej, nie zaś ukazowej. Osiedliła się tu służba folwarczna, handlarze ziemią, robotnicy leśni, lub tacy, co niefortunnym handlem, procesami sądowymi czy pijaństwem roztrwonili majątek i za resztę pozostałych pieniędzy uczepili się tu kawałeczka ziemi. Osiadło tu zaledwie kilka rodzin typowo chłopskich, którym za ciasno było w rodzinnej wsi. Było to więc zbiorowisko ludzkie nie związane ze sobą, mieszkańcy byli obcy sobie krwią, zwyczajami, duchem, panowały między nimi ciągłe kłótnie i bójki, zdarzały się nawet zabójstwa. Wspólny był dla całej wsi tylko ciężki dorobek i nędza. Przed tą nędzą mieszkańcy Krynicy próbowali się bronić, przewożąc towary z Rejowca do Zamościa i innych miast nie mających połączenia kolejowego. Był to zresztą zarobek pozorny, bo w rzeczywistości ubożył gospodarstwa, ludzie nawykli do pijaństwa „na rozgrzywek“ i towarzyszącego mu złodziejstwa. Nie było tu szkoły, kradzież drzewa z lasu, zboża z pola, kłusownictwo były tu zjawiskiem normalnym, tak, że w okolicy w dużym promieniu powiedzenie, że się mieszka w Krynicy, oznaczało to samo, co przyznanie się do złodziejstwa. Młodsze pokolenie wyrosło w tych warunkach

było związane ze sobą pewną spójnią. Przejawiała się ona w solidarnem występowaniu w bójkach z mieszkańcami innych wsi, gdzie chodzono „na muzyki“ i poprostu szukać okazji. — — Zmiana nadeszła ze strony najbardziej nieoczekiwanej.

Na wzgórzu położonem wśród pól należących do Krynicy, stoi grobowiec arjański z XVI wieku. Liczni turyści z całego kraju przybywali go oglądać szczególnie latem. Ponieważ grobowiec stoi wśród pól uprawnych, musieli prosić miejscową ludność, by ich prowadziła miedzami do grobowca. Przytem zawiązywała się zawsze rozmowa, nie pozostająca bez wpływu na dzieci i podrostków, którzy zwykle spełniali rolę przewodników. Budziła się tęsknota do nauki, do wiedzy, do służenia jakimś ideom. Obcowanie z turystami, między innymi, wywarło wpływ taki i na Franciszka Żurka, wnuka powstańca z 63 roku. Żurek przybył do Krynicy w r. 1908 wraz z ojcem i matką, który za pieniądze oszczędzane przez parę dziesiątków lat w służbie gajowego po folwarkach nabył tu 5 i pół morga ziemi.

Żurek jako piętnastoletni chłopak, gdy widział, że rodzice mu nie pomogą w nauce, gdyż nie mają na to środków i nie rozumieją jej potrzeby, opuścił dom rodzinny i poszedł w świat szukać wiedzy i możliwości służenia Polsce.

W międzyczasie zetknął się już z pracami niepodległościowemi, a teraz wracał do domu rodzinnego, by się ukrywać jako dezerterski z wojska rosyjskiego. Organizuje się wtedy w Krynicy cała paczka takich dezerterskich. Ukrywają się oni w podziemiach kopalni kamienia wapiennego, a wraz z nimi jeden oficer, Szymon Olejnik ze Lwowa i jeden podofi-

cer austriacki, zbiegi z niewoli rosyjskiej. Dwa miesiące spędzone w tej kryjówce były pełne przygód i niebezpieczeństw. Dwa tygodnie zbiegowie znajdowali się pod lufami armat rosyjskich stojących tu na pozycji.

Nareszcie 25 lipca 1915 Moskale ustąpili. Od tej pory zaczyna się nowy okres w życiu Krynicy. Kolej zbudowana przez Austriaków między Rejowcem a Zamościem przekreśla raz na zawsze plagę wsi — furmaństwo. Mieszkańcy zaczęli żyć normalnym życiem chłopskim. Wraz z tem budzi się i życie umysłowe i duchowe. Zostało ono zapoczątkowane przez książki z rozbitej biblioteki adwokata Sekutowicza z Lublina. Biblioteka była ulokowana w sąsiadującym z Krynica folwarczku — Zosinie. Przejście od literatury jarmacznej do poważnych dzieł historycznych nastęrczało początkowo wielkie trudności w ich rozumieniu. Ale dowiedziano się z nich przyczynach upadku Polski i o upodleniu szlachty¹⁾). W czytających utwierdziło się przeświadczenie, że, aby Polska była sprawiedliwa i szczęśliwa, rola jej gospodarzy musi przejść w ręce innych klas społecznych, na których nie ciąży grzech zaprzepaszczenia niepodległości kraju, a więc w tem i na chłopów. Zrozumiano też, że tylko tajne przygotowanie walki może dać we właściwym czasie moc potrzebną do zrzucenia jarzma niewoli.

Do prac niepodległościowych z młodzieży krynickiej zabrali się Władysław Rogowski, Józef Osoba, Franciszek Żurek i inni. — — —

[203]. W Krynicy, poza ściśle niepodległościową pracą P. O. W. i Pol. Stronnictwa Ludowego, rozwijano także działalność ogólnokulturalną. Istniało tu koło młodzieży, istniała biblioteka, młodzież,

wraz z nieliczną garstką starszych gospodarzy, zorganizowała szkołę, do której na nauczyciela zaangażowano Franciszka Szuberta, legionistę ze Szczepieszyna, który swą pracą bardzo się przysłużył Krynicy. Przez długi czas młodzież całkowicie utrzymywała szkołę z funduszków uzyskanych drogą przedstawień teatralnych. Chcąc nadrobić długi czas nieuctwa, kryniczanie garnęli się bardzo do wszelkiej nauki²⁾. — — —

¹⁾ Z pewnością, że ci, co się przyczynili swoją obojętnością czy wprost zdradą do upadku Polski, byli upodleni, ale zarzut ten traci swą słuszność, jeżeli się go stosuje do całej tej warstwy bez ograniczeń lub tylko na nieliczne przyzwalając wyjątki; jeśli bowiem wina upadku państwa spada oczywiście na jego sferę rządzącą, którą była szlachta (lub raczej magnaci!) — to zarazem trzeba pamiętać, że ta sama warstwa podjęła się odbudowania Polski, rozpoczęła walkę o niepodległość, ona i jej do sfer miejskich przeszli potomkowie, w tej walce ogromne ofiary złożyli w ludziach i mieniu. Jeśli z radością stwierdzamy, że i lud, w ostatnich zwłaszcza czasach, daje pracom, i walkom polskim wielu ludzi bohaterskich i ofiarnych — to stwierdzenie to nie może przekreślić obowiązku historycznej sprawiedliwości wobec warstwy, która bądźco bądź tworzyła kulturę narodu, wraz z myślą troskliwą wielu z pośród niej pochodzących, o ludzie. Gdyby popod upodleniem nie było tam w szerokich złożach zdrowia moralnego i tężyzny życia, to nigdyby niezliczeni ludzie z tego środowiska nie zdobyli się byli na tyle trudu i męstwa.

²⁾ Jak bogaty w konkretną i ciekawą treść ten ustęp, dość zresztą niezręcznie skomponowany i nie bez drobnych usterek stylu: Opis tej wsi niemoralnej, złożonej z przypadkowo zebranych, a nie rdzennych rolników osiadłych tam z pokolenia na pokolenie, demoralizujący wpływ zawodowego furmiania na wieśniaków, „zakazanie“ patriotyczne i kulturalne przez przechodzących inteligentów, przypadkowy, ale ważny moment istnienia w okolicy zabytku historycznego, znaczenie korzystne upadku panowania rosyjskiego, ważność

przodowniczych, nieprzeciętnych jednostek, zdolność środowiska do odrodzenia się pod wpływem zespołu warunków gospodarczych, politycznych i działalności przodowniczej jednostek, ten zapal, z jakim środowisko jakby zdegenerowane bierze się wkońcu do czegoś lepszego — to wszystko znajduje się w tych rzeczowych relacjach. Żurek, wraz z Wantułą i Nakonicznym (częściowo Bojką) należy do nielicznych jeszcze pisarzy ludowych typu naukowego — pracujących nad historją najbliższej ziemi.

*

Nie zaliczyłem do pisarzy ludowych skromnej ale sympatycznej i szlachetnej poetki Marji Bartusówniej (która często za „ludową“ uchodzi), gdyż pochodziła ze środowiska wykształconego, była nauczycielką.

*

Z pośród współczesnych nie liczę do ludowych Marka Kryszanda, autora, nie bez artyzmu a z temperamentem napisanej powieści z życia łobuzów lwowskich, będącej kopalią wyrażen gwary lwowskiej, brukowej i popularnej, pt. *Akademja urwipolcia*, Kraków 1936, Nauka i Sztuka, gdyż na podstawie nadesłanego mi przez autora (pseudonim) krótkiego życiorysu, trudno mi go uznać za pochodzącego z ludu i żyjącego życiem ludowym; jest to raczej ktoś zdeklasowany, kto, po przebywaniu jakiś czas „na dnie“, wraca do sfery, do której — wedle relacji — należeli jego rodzice, tj. mieszczańsko-inteligenckiej. Gdybyśmy zasiąg ludowości rozszerzyli na mniej lub więcej zdeklasowanych w pierwszym pokoleniu, tobyśmy się — przy zbieraniu literatury ludowej — uderzyli o zbyt wielkie trudności — i, co ważniejsze, zatarlibyśmy granice tego zjawiska, o które właśnie idzie.

XXXII.

W tym rozdziale zbieram pisarzy w grupy a) lokalne, b) według wspólnego źródła informacji; w grupy lokalne o tyle, o ile ze względu na obfitość pisarzy ludowych występujących w niektórych dzielnicach polskich, — do których zaliczam też

Emigrację — dali się oni tak zebrać; tu rośnie trudność wydzielenia pisarzy ludowych autentycznych, tj. chłopów i robotników, z całości pisarzy danej dzielnicy, gdyż są to dzielnice — z jednym wyjątkiem — kresowe — i mamy w nich do czynienia ze społecznościami demokratycznymi, odbitymi od głównego i wysokiego nurtu kultury narodowej, dzielnice, gdzie literatura ma wogóle charakter nawpół ludowy, a w tym swoim charakterze tak jest jednolitą, iż mówiąc o niej, należałoby wszystkich bez wyjątku pisarzy uwzględniać, bez względu na to, czy to są ludzie bez wykształcenia nawet średniego, czy też nauczyciele lub księża: wszyscy piszą bardzo podobnie; w każdym razie będę trzymał się nadal mego w tej Antologii zamiaru — i pisarzy, acz z charakteru swej twórczości ludowych i ludowego przeważnie pochodzenia, o których jednak mi wiadomo, lub przypuszczać mogę, że przynajmniej średnią szkołę ukończyli, będę wymieniał tylko nawiasowo, w przypiskach, na co zwracam uwagę czytelnika.

AMERYKANIE.

Studjum literatury ludowej polsko-amerykańskiej musiałoby być zrobione przez kogoś tamtejszego; rozporządzam tylko dwoma źródłami zawierającymi wiązkę poezyj. Pierwszem z nich, ważniejszym, jest poniżej wymieniona antologja poezji polsko-amerykańskiej, opracowana przez Tadeusza Mitanę¹⁾, z inicjatywy Polskiego Klubu Artystycznego w Chicago, wydana w r. 1937. Na zbiorek (starannie wydany) złożyło się 136 utworów polskich, 42 angielskich, wybranych przeważnie z dzienników i czasopism, ale też i z osobno wydanych

tomików poezji oraz rękopisów; autorów jest 55, (w tem 14 kobiet), piszących tylko po polsku 42, tylko po angielsku 11, po polsku i po angielsku 2³). Polszczyzna prawie wszędzie poprawna; język angielski, według przedmówcy, „bogaty, z dna środowiska“; zacną jest treść tych utworów; między nimi ładnych znajdzie się niemało; garść autorów niewątpliwie utalentowanych, między nimi kilku o kulturze literackiej, zwłaszcza wśród piszących po angielsku; całość nie wykracza ponad poziom, który nazywam „prowincjonalnym“. Ciekawe, że w utworach polskich tak mało śladów kontaktu z obcą i odrębną kulturą, np. prawie nic z urbanizmu; całość mogłaby być napisaną równie dobrze w każdej z dzielnic polskich, mniej więcej taksamo wyglądała poezja nasza krajowa w swym przeciętnym wyglądzie, gdzieś np. w 8. i 9. dziesiątkach lat ub. w. Jest to poezja zamkniętego konserwatywnego środowiska mieszczańsko-ludowego, przechowująca formy z przed kilkudziesięciu lat. Wzruszającym objawem i wiadomością, którą poezja ta przynosi, jest gorący patriotyzm jej autorów: wszystkie ważne i wielkie zdarzenia polskie odbijają się poetycznym echem, czci się Paderewskiego, Piłsudskiego, Hallera. Ale przytoczę kilka zdań z przedmowy:

„ — — — W historii utajonej a dramatycznej walki Emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych o święte prawo moralnego samostanowienia, książeczka ta jest zjawiskiem niewypowiedzianem cennem i wzruszającym. Nie dlatego, aby była jakimś jedynym objawem rosnącej tęsknoty do ekspresji poetyckiej, ale dlatego, że jest pierwszą tego rodzaju próbą antologiczną na gruncie polskim w Ameryce — — —“. Wychodźstwo polskie, pochłonięte realizmem pracy jeszcze nie mogło zdobyć się na wielką poezję, i wogóle na

„szczyty uprawy duchowej“; niemniej jednak w zapracowanych masach uchodźczych zjawia się obecnie „coraz żywiej potrzeba kultury intelektualnej i duchowej, która stanowi konieczne podłoże wszelkiej twórczości literackiej. W tym procesie tężenia świadomości narodowej i krzepnięcia poczucia narodowego, rolę naczelną odegrał fakt zmartwychwstania państwa polskiego“, co zaczęło oddziaływać na wyobraźnię młodego pokolenia. Wzmógł się ruch ku wyższej oświacie, młodzież polska zaczyna licznie garnąć się do wyższych zakładów naukowych. Tam część jej ulega wynarodowieniu, ale inni składają dowody „samorzutnej i żywiołowej wprost tęsknoty do polskości“; między tymi niejeden, choć się „wyżywa literacko w języku angielskim, to jednak duch wypowiedzianych w tym języku uczuć i przeżyć jest nawskróś polski“. Stąd wiersze angielskie w tym zbiorze³⁾. Jasnym jest, że do antologii poetów emigracyjnych „żyjących i tworzących w środowisku kulturalnie obcym, tak dalekiem od źródeł wód żywych — — — nie można przykładać kryterjów czysto formalnych i estetycznych — — — Stare polskie przysłowie „wedle stawu grobla“ — i tu znajduje swe pełne zastosowanie — — — Jeśli niektóre z zawartych tu wierszy, wskazują mimo wszystko na dużą kulturę estetyczną i nawet na bezpośrednią znajomość najwybitniejszych współczesnych poetów polskich — — — to fakt ten jest tem bardziej wzruszający, że jest on raczej wyjątkiem niż zasadą. Podstawowem założeniem naszej Antologii jest poczucie, że wymagania formy powinny być podporządkowane wymaganiom treści ideowej, i że wskutek tego niezaprzeczalne braki ze stanowiska techniki stylu winny być z całym pietyzmem zachowane, ponieważ w każdym takim braku zaklęty jest tajemny dramat walki o język i duszę narodową — — —“.

Z antologii tej przytaczam parę utworów, nie-tyle najlepszych, ile tych, które wydały się mi charakterystyczne ze względu na zamierzenia mej Antologii.

1) Krakowianin, dr. fil. Un. Jag., uczeń prof. Chrzanoskiego, obecnie profesor literatury i języka polskiego w jednym z kolegów w Stanach Zjednoczonych.

2) Pomiędzy 14 kobietami jest 5 piszących tylko

po angielsku, 7 tylko po polsku, 2 po polsku i po angielsku; pomiędzy 41 mężczyznami po angielsku piszących jest 4, po polsku i angielsku żadnego; możnaby stąd obliczyć „współczynnik amerykanizacji“ dla mężczyzn na 10%, dla kobiet na 50%... Ale ten stosunek na niekorzyść kobiet — z naszego patriotycznego punktu widzenia — prawdopodobnie tem się tłumaczy, że piszący po angielsku są napewno studentami zakładów naukowych, i że dziewczęta w owem ludowo-mieszczańskim środowisku widać więcej się garną do wyższego wykształcenia, niż chłopcy, bardziej może „praktycznie“ usposobieni?...

³⁾ Oto parę tytułów angielskich tych wierszy: *The Battle of Grunwald* (Waliszewski), *Black Madonna* (Szymański), *Cracow* (tenże), *Flow on, Vistula* (Waliszewski) itp.

*

Antologia poezji polsko-amerykańskiej. Opracował dr. Tadeusz Mitana, 1937, Chicago, III. Wydawcy: Polski Klub Artystyczny (stron 239).

Walery J. Fronczak.

306. Chicago.

Chicago...

Miasto bez granic i bez miary...

Wielkie jak morze są jego obszary.

Przy Michiganu wodach życiem dyszy...

Tego co człowiek w niem widzi i słyszy,

Nie możesz ująć i wyrazić w słowie,

Choćbyś był mistrzem o potężnej głowie.

Chicago...

— Miasto kontrastów bez końca...

Dzielnice mroków i dzielnice słońca,

Złote pałace bez końca i lepianki marne,

Dachy czyściutkie i — od brudu czarne,

Zieloność parków — i brak traw i drzewa —

Wszystko to z sobą łączy się i zlewa.

Chicago...

— Miasto dostatków i nędzy...

Wielkich milionów i braku pieniędzy,
Najnowszych strojów i starych łachmanów,
Szlachetnych rządców i podłych tyranów,
Ludzi poczciwych i gromad zbrodniarzy,
Ludzi bezbożnych i twórców ołtarzy...

Chicago...

— Miasto oświaty i mroku.

Pogodnych spojrzeń i mętnego wzroku,
Pewnego kąta i doli tułaczey,
Dobrych intencji i myśli nikczemnych,
Otwartych czynów i knozań podziemnych.

Chicago...

— Miasto więzień i wolności,

Krzywd niezliczonych i sprawiedliwości,
Postępu z czasem i ruchu wstecznictwa,
Czystości w rządach i władz łapownictwa,
Pewności jutra i niepewności bytu,
Lekkiego życia i pracy od świtu...

Chicago...

— Miasto z granitu i stali,

I miasto cnotliwe i miasto rozpusty,
Żyjąc w niem — bywasz raz chudy, raz tłusty,
I nigdy nie wiesz jakie fazy bytu
Mogą w tem mieście powstać z brzaskiem śwtu.

Stanisława Kucharska.

307. P o b u d k a.

(Ze Zbioru *Poezji Proletarjackiej*).

Kto tam w szyby łomoce i w odrzwia pięścią wali?
Nie przeszły jeszcze noce, my jeszcze niedość spali?

Dłaboga, dzieci, żono! Czy tam nie krzywda czyja?
Wschód świeci się czerwono... Kto do drzwi się do-
[bija?!

Kto stuka?... A otwórzcie naościż domków wrota,
To świt was przecie budzi, świt w szyby tak łomota!

Pogaście te gromnice, co złotem światłem leją —
Wychodźcież na blask dzienny z weselem i nadzieją.
Nędzarzu, obudź żonę i dzieci weź za rękę,
I prowadź, gdzie dzień nowy rozpala już jutrenkę!
Niech padnie na ich głowy promieni łaska żywa.
Wstawajcie... Świt was budzi, świt ze snu was
[wyrywa!

Czesław R. Warchałowski.

308. Moje Góry Świętokrzyskie.

Zawsze ja wspominam mile,
Gdziem młodości spędził chwile,
Gdzie mi dnie radosne biegły,
Gdzie mnie oczy Matki strzegły,
Gdziem źródlane pijał wody,
Gdziem w lesie zbierał jagody:
Tam są miłe, sercu bliskie,
Moje Góry Świętokrzyskie!

Tam to na górze Łysicy,
W bardzo pięknej okolicy
Wznosi się klasztor prastary
Od zarania naszej wiary;
Tam wierny kolana zniża
Przed drzewem Świętego Krzyża:
Tam są miłe, sercu bliskie,
Moje Góry Świętokrzyskie!

Gdy jedziesz do Bodzentyna,
Gdzie płynie rzeczka Świślina,
Stoi tam stare zamczysko,
Biskupów dawne siedlisko;
Dziś ruina malownicza,
Niejeden się nią zachwyca:
Tam są miłe, sercu bliskie,
Moje Góry Świętokrzyskie!

Wszystkie lasem ustrojone,
Sine, piękne — wymarzone.
Czy to będzie Chełm, Klonowa,
Czy Strawczana, Radostowa,
Witosławska lub Zamkowa,
Kamień, Stróżna lub Bukowa:
Wszystkie miłe, sercu bliskie,
Moje Góry Świętokrzyskie!

Zaś w przełęczach i dolinach,
W gęstych haszczach i krzewinach,
Znajdziesz miękkie gozdy, smugi,
Skąd się wody sączą strugi;
Skąd Czarna Nida wypływa
Ku Leszczynom się wrywa:
Tam są miłe, sercu bliskie,
Moje Góry Świętokrzyskie!

Dziś, gdym stary, zgnębiony,
Myślą wracam w owe strony,
Gdzie są miłe, sercu bliskie,
Moje Góry Świętokrzyskie!

Jan Sass.

309. Pieśń wędrowca.

Duchem przebiegam łąny ojczyste
I ciche brzegi Dunajca,

Zielone błonia, te wody czyste,
Zostały w sercu wygnańca.

A gdy wieczorem na niebo spojrzę,
To widzę jak obraz żywy —
Na niebie zamiast błękitów dojrzę
Ojczyste góry i niwy.

Choć jestem od was bardzo daleko,
Lecz kiedyś pośród was stanę —
Na twoim brzegu, kochana rzeko,
Powrócę i pozostanę.

Jeśli wprzód obca ziemia zagrziebie
Me biedne ciało tułacze
To duch mój, Polsko, wzleci nad Ciebie —
Kraj mój kochany zobaczę.

A wiatr powieje może z zachodu
I moje prochy zanieśie
Tam, gdzie biegałem kiedyś za młodu,
Po błoniach, niwach rozniesie¹⁾).

¹⁾ W *Il. Kurj. Codz.* (16. IV. 37) znajduję artykuł pt.: „*Smutny los polsko-amerykańskich pisarzy i poetów.* Grono członków Klubów Małopolskich w Chicago urządziło w ostatnich dniach wieczór i bankiet na cześć znanego poety ludowego, Jana Sassa, dla wyrażenia mu uznania za jego pracę na niwie pisarskiej oraz celem zebrania odpowiedniego funduszu na jego podróż do Polski, do której serdecznie od lat wielu tęskni, opisując ją w swych prostych i szczerych wierszach.

W związku z tem zamieścił *Dziennik Chicagowski* artykuł, w którym zaznacza, że to uczczenie ludowego polsko-amerykańskiego poety jest czemś niebywałem, gdyż poeci i literaci nie cieszą się względami Polonji.

Nie jest tajemnicą, że przejawiające się od czasu do czasu prawdziwe talenty w dziedzinie poezji czy prozy,

były uważane tam dotąd za parjasów, za ludzi wykolejonych, niepraktycznych, nad którymi uśmiechano się pobłażliwie, jako nad ludźmi niepotrzebnymi, skazanymi niejako na zatracenie. Rodacy amerykańscy, myślący „trzeźwo“, tylko o zyskownych przedsięwzięciach, nie mają zrozumienia dla tych, którzy wybijają się ponad poziom codzienności, pozostawiają ich bez żadnej pomocy moralnej i materialnej.

Nawet prasa polsko-amerykańska, która ogłaszała często ich utwory, nie uznała za stosowne wynagrodzić ich za ich pracę, jakimkolwiek, choćby najmniejszym honorarjum i wyrazić im uznanie w formie przychylniej i bezstronnej recenzji. Niema wogóle ani jednego dotąd krytyka literackiego, któryby podał rzeczowe sprawozdanie.“

Olga Klug-Iwanowska.

310. O Maćku.

(Napisane podczas prohibicji).

Raz kumoszka przyleciała i drugiej się zapytała: „Na cóż tak biją dzwony? Na cóż woła ksiądz z ambony?“ Druga smutnie głową kiwa, z oka łza po łzie jej spływa, i tak smutnie opowiada: „Biada moi ludzie, biada! Maćka dzisiaj pochowają, wszystkie dziewczki tak wzdychają! Chłopci skory byli do tańca, do pacierza i różańca. Leży kieby kwiat podcięty, pewnik już nie będzie święty. Chcecie wiedzieć jak się stało? Opowiem ja wam niemało. — Gospodyni nieboszczyka nie zjrzała do koszyka, do spiżarki postawiła, flaszka wódki razem była z linimentem pachniejącym, spirytusem woniejącym, a że kolor był jednaki, ot widzicie nieboraki, co się za to z Maćkiem stało! Bo jemu było za mało, gdy mu gospodyni dała, jak sama jemu naląła. Kiedy ona wyszła w pole, Maciek z flaszką już w stodole, wypił wszystko jednym duchem, czuje nagle coś źle z brzuchem;

kłuje, wierci, pali, drapie! Powalił się, ledwo chrapie. Nim ludziska się zlecieli, Maćku oczy się zamknęli!... Powiedzcie też Marcinowi, niech se teraz postanowi, że zamiast pić, niech je cukierki, bo pijaństwo to grzech wielki!!¹⁾).

¹⁾ Prymitywny ten utwór zamieszczam jako rzadki w *Antologii poezji polsko-amerykańskiej* wyraz udziału emigrantów naszych w życiu amerykańskim.

*

Drugim ze wspomnianych źródeł jest *Pamiętnik 2-go Sejmu Związku Podhalań w Północnej Ameryce* z 3 i 4 IX 1933 Chicago — Ill., bez daty, zawiera kilka utworów poetyckich, z których dwa robią wrażenie ludowych, w każdym razie stanowią dość egzotyczne okazy poezji gwarowej podhalańskiej na tak dalekiej obczyźnie. Jest to J. Łopatowskiego *Mój góralski dom rodzinny*, 44 zwrotek 4-wierszowych, bardzo dokładnie opisujących chatę góralską, ale bez poetycznego polotu, i ładna *Piosenka Górala* Jana Leja; oto próbka z Łopatowskiego:

Hań prec pod Luboniem, pomiędzy górami,
We stronie Podhala nazwanej Gorcami,
Stał dom moich ojców nad wartkim potokiem,
Otocony sadem, polami i tłokiem. — — —
Za kumorom-wyzkom izba jesse była,
Która za mieszkanie w lecie nom służyła.
Dzisiok cas odmienny, właściciele mili
Dom ten rozebrali, wille postawili, itd.

Jan Leja.

311. Piosenka Górala Kosarza.

Słonecko zachodzi, żaby rzegotajom,
Od koźby pod wiecór kosorze wracajom:

Dozeliśmy zytka, po polu się rozlega,
Uboga niewiasta droge im zabiega.
Moji zeńcy mili, ni mom chleba w domu,
Wdowiego zasiewu ni ma posiec komu:
Dzieci na przypiecku stynchłe głowy susom,
Na kamionkach w piosku, kłosa mi sie krusom.
Poćciwe ludziska na te wdowie prośby
Syćko kielu było wzieni sie do koźby.
Zmachały sie rynce, poziwajom tworze,
Na połowie stajom, posnymi kosorze;
Ino siwy kosorz, choć mu z coła ciece
Nie doł sie zmyncyniu, ino ciągle siece.
Kiedy juz ostatnie zacion kosom kłosa
Wypadła mu z rynki, upod na pokosy.
Natychmiast niebawem, niebiescy janieli
Na wdowie sie pole gromadom zlecieli,
Poćcinane kłosa na roncke zbierali,
I niebieskom droge jemu wyścielali.
Siwego staruska dwok wzini pod rynce
I wiadom go wiadom, po owej ściezyncie,
Kyndo ślicna Pani, na tronie w niebiosak,
I tam go zawiedli po swoik pokosak.

*

Tytułem humorystyki wyjątek z wiersza Józefa
Orawca (tamże):

... Jako siłacz wagi ciężkiej,
W każdej chwili mej zwycięskiej,
Ród góralski tu wystawiam,
Jego siłę, hyr objawiam.
Jest to dla mnie praca miła
Wykazywać co za siła
Leży w Rodzie Podhalańskim,
Nad jeziorem Michigańskim. — — —

*

W *Il. Kurj. Codz.* (27. XI. 34) znajduję notatkę:
„Polski wieśniak jest teraz adwokatem i publicystą w Ame-

ryce. Na półkach księgarskich w Stanach Zjednoczonych ukazała się książka pt. *Depressions Causes and Solution* (*Przyczyny depresji i jej zażegnanie*) pióra Benjamina Ciereszko, który przed dwudziestu laty przybył z Polski do Stanów Zjednoczonych jako emigrant ze wsi, bez żadnego wykształcenia i zawodu. Pracował on wiele lat w fabrykach w Paterson (N. Jork), a wieczorami kształcił się i obecnie jest adwokatem. W książce swej wykazuje autor przyczyny kryzysu i wskazuje drogę do usunięcia obecnej depresji gospodarczej“.

*

Władysław Wójcik.

W Ameryce Południowej, w Brazylii, osiadł płodny pisarz-samouk, o którym Jan Stączek, *Wieś i Jej Pieśń*, 7/934:

— — — „Pisarzem, który, powiedzmy bez przesady, „odnalazł“ się dla literatury ludowej dzięki istnieniu organu literackiego ludowych pisarzy, a któryby pozostawał dotąd ukryty w cieniu — jest Władysław Wójcik (pseudonim autorski — Władywój). Jestto chłop-emigrant, były legionista i żołnierz armji polskiej, zamieszkały obecnie na obczyźnie w Bazylii, w miejscowości Teresinie — Ivai¹). Autor pochodzi z Podkarpacia w środkowej Małopolsce i posiada już za sobą wcale pokaźny i godny uwagi dorobek literacki. Osiągnął go przedewszystkiem na obczyźnie w chwilach wolnych od ociekającego potem trudu życiowego, od którego nie jest wolny żaden emigrant, którego wchłonęła i wprzęgła w kierat mozolnej pracy tajemnicza i oporna puszcza brazylijska. Ale nie trzeba przypuszczać, że ten chłop czas wolny od pracy znoonej około zdobycia chleba dla siebie i rodziny poświęca tylko miłemu trudowi twórczenia rzeczy pięknych. Pracuje ponadto na gruncie społeczno-oświatowym. Jakież to zatem godne zastanowienia się nad potęgą ukrytej energii chłopskiej:

Chłop-emigrant, który w kraju straciwszy większą część żywota w służbie Ojczyzny — wówczas — kiedy to jeszcze nie było w Polsce innych „krzyżów“, jak te, które stały na grobach poległych, teraz na obcej ziemi — w Brazylii, dokąd

pognała go z Polski bezlitosna bieda chłopska, oddaje się z całym poświęceniem roli uświadamiania, kształcenia i wychowywania chłopów-emigrantów. Pracuje społecznie i oświatowo z zaparciem się, bo świadomość tego faktu, że „najstraszliwszy wróg Polski — to ciemnota, — gdy jej się pozbędziemy, naszej potędze w narodzie nikt nie sprostą“, głęboko wryła mu się w mózg i serce.

Ale nas obchodzi w tej chwili głównie to, że pisze powieści ludowe, utwory dla teatrów ludowych, nowele dla pism emigracyjnych i różne rozprawki do pism, ostatnio zaś nowele dla *Wsi i Jej Pieśni*²⁾.

Godną szerszego zainteresowania jest skromnych wymiarów książka pt. *Pierwszy Postrzał. Wspomnienie własne z krwawego roku 1918/19*, wydana w roku 1925 w Kurytybie w Brazylii i uznana zarazem za dokument historyczny przez Towarzystwo Badań Historji Obrony Lwowa i Kresów Wschodnich (z siedzibą we Lwowie) w roku 1929.

Pierwszy Postrzał jest rodzajem pamiętnika, ujętego w formę powieściowego opowiadania, który skreślił autor na podstawie autentycznych przeżyć w czasie walk z ukraińcami w roku 1918/19. — — —³⁾.

Przytaczam opowiadanie malujące naszego osadnika w egzotycznych warunkach.

1) Gdzie się osiedlił i Wojciech Breowicz (por. r. XXXI).

2) *Elle (On)* i *Czary i zabobony nad Amazonką*.

3) Ogółem od roku 1924: *Szkice Urugwajskie; Szlakiem Przeznaczenia* (powieść ludowa); *Pierwszy Postrzał (Wspomnienia własne z krwawego roku 1918/19)*; *Zemsta Indjanina* (nowele); *Kalendarz Świtu* (nowele itp.); *Patrol Swatem* (obrazek sceniczny); *Bezdomne* (obrazek sceniczny); *Bolszewicy pod Warszawą* (obrazek sceniczny); *Historyczne Okruchy* (broszura); *Kazania Misjonarskie w Brazylii*; *Polskie Morze* (obrazek sceniczny); *Kondory Przeszłości* (o starożytnej Ameryce Południowej); *Baśń Puszczy Podziwotnikowej*; dwa przekłady: *Ballada* i *Wojna Domokrażców*. Wykaz nie obejmuje nowel drukowanych w pismach, lecz nie wydanych książkowo.

312. [Polowanie na pumę].

(*Elle (On)*). Autentyczna sylwetka z życia polskiego w Brazylii. *Wiś i Jej Pieśń*, 6/934).

Ważył¹⁾ z górą 250 funtów, a przecież, gdy podkradał się ku zdobyczy, nie złamał najsuchszego patyczka, nie zaszeleścił liściem. Na wilgotnej ziemi jedynie pozostawiał za sobą wgłębienia palców poduszkowatych, podobne do popularnej foremki na pączki... Jeżeli bystry wzrok leśnego mieszkańca — kabokla — dostrzegł owe „foremki“ u przełazu przez potok, człowiek doznawał raptem dziwnego kurczu w okolicy lewego płuca i trwożnie wytężył wzrok w gęstwinię.

Elle!...

Nie nosił bowiem imienia. Wystarczył mu w zupełności ten krótki zaimek, miękko wymawiany przez tubylców, a przecież brzemienny w znaczeniu. Stanowił całą historję.

O innych mówiono: tygrys, kot, jaguar, — „on“ atoli stanowił osobną regułę. Miał te same, co inni, ciemne centki na żółtawem tle i potężny ogon, — ba, ale miał też i swoje osobne zasługi. Kiedy przed dziesięciu laty pojawił się poraz pierwszy w wąwozach pod górą Trombudo, miał już na sumieniu dwóch „troperów“ o kędzierzawych czuprynach z długimi nożami u pasów i skałkowymi pistoletami o dwóch lufach. „On“ noże zostawił w całości, ale zmiążdżył lufy pistoletów, ponieważ nienawidził broni cuchnącej prochem. Również i głowy kędzierzawe pozostawił w dobrym stanie, jako, że nie było na nich wiele do ogryzienia. Tym filantropijnym wyczynem zyskał sobie sławę na rozległej przestrzeni Gór Nadziei, a nawet i Srebrnych po drugiej stronie rzeki Ivai.

Pewnego razu sunąc chyłkiem przez wąwozy przepastne i wartkie strumyki za stadem tatełów, dotarł do polskiej osady pod Bico de Papagaio. Poczul dym i przystanął zafrasowany wobec dziwnego zapachu, jaki wysubtelnione jego nozdrza osobliwie połechtali. Kobieta w chustce na głowie wysuwała właśnie chleb z pieca.

Dziwna rzecz — pomyślał „on“ — nie od dzisiaj dopiero plądruję koło ludzkich sadyb w tej puszczy, a takiej woni nie znałem? Tu musi być interesujące życie, — o, słyhać chrząkanie świń, nie leśnych, domowych.

Na wspomnienie hodowanego wieprza oblizal się szeroko, smakowicie.

— Tu zostanę, podoba mi się ta okolica! — zakonkludował rezolutnie.

Tej nocy jeszcze „zarznął“ w zagrodzie najtęższego paśnika, ale łakomstwo to przyplacił wielkim strachem. Psy uczyniły alarm okrutny i z przerażenia wdarły się do chaty, budząc osadnika. Przez chwilę słyhać było stękania, potem klątwy, potem charakterystyczny stuk zamykanej dubeltówki i ludzkie kroki. „On“ zaś nie mogąc udźwignąć wieprza, ważącego 150 kg. conajmniej, aby go wydobyć z zagrody, musiał się zadowolić wyszarpniętą na prędcę przednią nogą.

Zrana chłop znalazł poćwiartowaną sztukę i domyślił się sprawcy. Zacisnął pięści poprzysiągł zemstę. Nazajutrz spotkał się z kumotrem z tamtej strony góry.

— Tygier zarznął mi tamtej nocy najtłuścieszego „kapada“...

A mnie, cholera, jałówkę tej nocy! — odpowie kumoter, załamując ręce.

- Ano źle się zaczyna!
- Śmiała bestyja, pozwala sobie...
- Kabokli by zwołać na „niego“.
- Ba, już mówiłem, ale się boją juchy.
- Nawet z „Winczestrem“ nie pójda?
- Nawet z „Winczestrem“... straszno chybić.
- Bida — psiakrew!..
- Bida!
- Mam dubeltówczyne i gruby śrut „paraguajo“...

— Straszno... nie narywajcie się na „niego“!

W dwa dni później o pięć kilometrów stamtąd, po drugiej stronie Trombudy padła dwuletnia źrebica pewnego Rusina. W ciągu tygodnia „on“ zakosztował trzech gatunków mięsiwa.. Smakosz.

— Może powędruje dalej — pocieszał się Piotr Stępa, właściciel wieprza i dubeltówki.

Rusini urządzali obławę z wielkim hałasem. Następnego wieczoru, o księżycu, wracał Piotr z karczmy. Trzy psy jego biegnąc rażno ścieżyną naprzód, patrolowały zawzięcie. Najtęższy, Burek, brytan z wzoście barana a sile prawie konia, porwał się z pod grubego cedra i naszczekując zajądlę wpadł w zarośla bambusowe opodał.

— Burek! Rozeta! Pega — poszczuł z przyzwyczajenia Stępa. — Rany boskie — co to?

Burek dopadł z piskiem czegoś, lecz oto rozległ się w tej chwili głuchy pomruk, potem przeraźliwy skowyt psa i coś ciężko łupnęło w pień drzewa.

Po chwili przerażenia, które sparaliżowało formalnie chłopca, podchodząc w tym kierunku, ujrzał Burka bez przytomności leżącego pod drzewem. Psu ciekła krew z pyska i nosa. „On“ to był

co łomotnął psem o drzewo, poczem bez pośpiechu oddalił się w las. Stępa nie miał przy sobie innej broni, prócz noża...

A tom „go“ spotkał — szepnął zbiegły.

Tej samej nocy zginęła Stępie z zagrody prośna maciora. Tego już było chłopu za wiele. Nie pomogły perswazje i lamenty żony, Piotr się zawziął i postanowił się spotkać z rabusiem oko w oko.

— Albo śmierć moja, albo jego... mrucał przez zęby, szykując specjalne ładunki do swej dubeltówczyny. Specjalność tych ostatnich polegała na obcinaniu boków grubego śrutu, który stawał się przez to kanciasty, podobny do ładunków kartaczowych. Za to dubeltówka sama była już tak zużyta w zamku, że ani gilz nie wyrzucała, ani się nie domykała, klebocząc okrutnie lufami przy wystrzale.

Około północy, gdy dzieciśka posnęły na dobre, Stępa psy zamknął w stodółce, aby nie czyniły zbyt dużego alarmu, przeżegnał się ukradkiem za drzwiami i wyszedł na obejście. Świerszcze zawzięcie koncertowały, z lasu dochodziło czasem jęklive hukanie sowy polującej na nietoperze, a za zagrodą palma rzucała od księżyca wysmukły cień z rozczochraną głową.

— Przyjdzie jucha, czy nie przyjdzie?... medytował Stępa, sadowiąc się na grubym pniaku świętej niedawno peroby. — Zeszłej nocy zechłał mi hylością [sic] maciorę, to może i nie głodny?...

Po chwili strasznie zachciało mu się zapalić i już sięgnął po kęs „fumy“ do kieszeni, dobył noża, ukroił na dłoń plasterków parę, roztał... w tem przypomniał sobie:

— Poczuj choroba dym i zawróci!

Zrezygnował z jedynej rozrywki.

Morzył go sen coraz bardziej, szczególnie z powodu monotonnego świerkania wokoło i wyężania wzroku na ścieżynę wśród wyrębiska obsadzonego kukurudzą. Mijały godziny i księżyc półgębkiem tylko świecący, już krył się za korony pinjorów.

Naraz...

Stępie się zdało, że poza nim potoczył się obsunięty kamiyk. Zapał oddech, i jak najostrożniej obracał się na pniaku.

„On“ rozsuwał właśnie cienkie zarośla starego kukurydziska. Kwadratowy łeb opuścił ku ziemi i czerniał wśród zieleni długi, zgarbiony grzbiet.

— W imię Ojca i Syna... z obu łuf odrazu, a potem skoczę na pniak... jeno niech mi ślepie pokaże dokumentnie!

Stępa osunął się niżej, aby broń oprzeć na pniaku; — „on“ usłyszawszy szelest podniósł łeb. Zamerdał zlekka ogonem. Rozległ się ogłuszający huk, niby wystrzał z garłacza. Stępie przytulonemu do pniaka serce omal nie wyskoczy z piersi. Dym zasłonił wszystko, ale poprzez jego tuman doszedł do uszu chłopa urwany, niesamowity ryk, trzask gałęzi — i ciężkie sapanie,

Stępa miał u pasa długi nóż, ale mu już od strachu nogi zdrętwiały, więc czekał...

Po chwili sapanie ustało, Stępa wychylił głowę z poza pniaka. — „On“ leżał na ścieżce rozciągnięty zaledwie o parę kroków od pniaka. Ostatnim wysiłkiem tygrys usiłował dotrzeć do leżącej na pniu dubeltówki. Posoka broczyła mu ze łba w kilku miejscach..

Stępa pędem pognał do chaty, krzycząc już z podwórza:

— Wstawaj babo! Ostatnią parę choroba puścił, — zapłaciłem mu i za nasze świnie i za kumotrową jałówkę! Ale co skórkę, to ma fajną...

1) Zwierzę opisywane nie jest „tygrysem“, choć je tak widocznie tam nazywają nasi osadnicy, ale pumą (lub jaguarem), największym kotem drapieżnym tamtej części świata.

KRESOWCY PÓŁNOCNO-ZACHODNI.

Kaszubi.

Między Kaszubami udało mi się wyłowić jednego poetę ludowego, jest to:

Władysław Klebba, kowal, ur. w r. 1860 w Żelistowie, samouk, w r. 1923 w piśmie *Pomorze* drukował poemat humorystyczny gwara pt. *Jak w Pierwoszenie kuescol budowall*, ogłasza anegdoty wierszem i prozą w czasopiśmie *Rodzina Kaszubska*. „Nie jest wielkim talentem poetyckim, jednakże język jego jest dobry i opisom jego nie można odmówić świeżości“. (O nim Lorentz, na str. 131 dzieła zbiorowego Lorentz - Fischer - Lehr-Spławiński, *Kaszubi*, Toruń 1934) 1).

1) Może jeszcze ludowymi są **Aleksander Labuda**, który „rokuje pewne nadzieje“, oraz **J. Patoch** ze Strzelna, który w roku 1920 wydał *Fjigle gujeżdziejewskich gburów*, facecje, „dowodzące, że tematy czerpane z twórczości ludowej mogą przyczynić się do wzbogacenia literatury pięknej“ (Lorentz, tamże, 132). Inni pisarze kaszubszy są inteligentami: Lekarzem był **Florjan Ceynowa**, twórca literatury kaszubskiej, niestety separatysta (ale nie na korzyść niemiecką, tylko słowianofil), za młodu uczestnik powstania w r. 1846 (1817—1881), nauczycielem był znany **Jarosch** (Hieronim) **Derdowski** (1852—1902), który wyemigro-

wał do Ameryki (S. Z.), autor poematu epiczno-humorystycznego *O panu Czorliścim co do Pucka po sece jachol*. Lekarzem jest najwybitniejszy pisarz kaszubski dr. Aleksander Majkowski (ur. 1876), prozaik, o którego najnowszym dziele, *Żęce i przigode Remusa*, 1936, powiada krytyk (A. Bukowski, *Najnowsza literatura kaszubska*, *Wiad. Lit.* 27/37), że „zasługuje na miano arcydzieła“, że znać w tej powieści „twórczą pracę nad ukształtowaniem języka literackiego“; Majkowski zespala różne gwary kaszubskie, w jedną, syntetyczną, posługuje się pisownią uproszczoną. Wiadomośc o kilku innych: Woś Budzysz, liryk (*Nowolne śpiewe*), pisuje także dla teatru ludowego; X. Heyke, (pseud. Stanisław Ciernicki), wydaje w r. 1927 *Kaszebskie śpiewe*, pisze epos *Dobrogost i Mirosława*; młody X. Bernard Sychta jest pisarzem teatralnym, w dramacie *Śpiące uejskue* (*Śpiące wojsko*) wyraża swój patriotyzm polski; jego widowisko *Hanka sę żeni* (1937) zyskało szeroki rozgłos (dołączony słowniczek gwarowy). Wymieniają jeszcze innych. To bujne życie literackie tej małej naszej nadmorskiej krainy powinno więcej budzić zainteresowania opinii niż dotąd; miałyby tu coś do zrobienia szkoła średnia, Akademia Literatury i organizacje turystyczne (możeby jakie „Tygodnie nadmorskie?“ ...).

Mazurzy pruscy.

Więcej niż na Kaszubach, pisarzy ludowych znajdujemy w Prusach Wschodnich, między tamtejszymi ewangelickimi Mazurami; wszystko to są pisarze religijni.

E. Sukertowa Biedrawina (*Zarys piśmiennictwa polskiego na Mazurach Pruskich*, Działdowo, 1935, nakł. Muzeum Mazurskiego, na str. 24) podaje:

„Gospodarze mazurscy nietylko chętnie sami czytawali, ale starali się zasilać pisma swemi własnymi pracami i wy-

dawać księgi. Tak więc rolnik **Jan Dorsz** w Fjugalach przetłumaczył *Postyllę domową* Gossnera i wydrukował własnym nakładem w r. 1851. Księga ta liczyła 664 stron. Była ona na składzie u powróznika Reinlandera w Niborku i Schrotera w Szczytnie. Pozatem przetłumaczył i wydał gospodarz **Jan Bondzio** w Małych Strzechach w powiecie jańsborskim, *Czytania nabożne ku chwale Boga*. Rolnik **Wilhelm Michalczyk** w Łysach (pow. jańsborski) w r. 1855 opracował i wydał *Prawdziwą historję o bolesnej męce i śmierci Odkupiciela* oraz *Ewangelję Nikodema*. **Jan Jenczo**, rolnik w Markowskich pod Oleckiem, wydrukował własnym nakładem w r. 1859 *Zbawienny Łaski Ewangelicznej porządek*, z bardzo dobrą przedmową własną¹⁾. (Z inteligentów zasługują na pamięć patrjoci, pisarze i wydawcy, pastorowie G. Gizewjusz, zm. 1848, i K. C. Mrongowjusz, zm. 1855, korespondent Mickiewicza).

Michał Kajka.

Ur. w r. 1858 na Mazurach w Ełku, zamieszkały w Ogródkach, rolnik, współpracownik zasłużonego polskiego czasopisma *Mazur*, poeta ludowy piszący polszczyzną literacką, patrjota szczerzy, modli się do Boga za mową polską:

313. [Modlitwa za mową].

— — — Przywróć nam ojczystą mowę nam istą,
A my godnie chwalić Ciebie
Będziem na ziemi i w niebie,
Miej ją w obronie — niech nie utonie¹⁾.

¹⁾ O Kajce wzmianka u J. Giertycha, *Za północnym kordonem*, Warszawa 1934, 41; pięknie i wzruszająco opisuje w swej godnej zalecenia księdze *Na tropach Smętka* (Warszawa 1936, także *Pion*, 7/36) Melchjor Wańkowicz swe smutne odwiedziny u tragicznego szlachetnego starca, który na schyłku życia tonie wraz z sta-

ruszką żonę w otaczającej niemczyźnie, coraz możniejszej, nawet dzieci swoje widząc ziemczale, obce...

W a r m j a c y.

I ta, katolicka, dziedzina Prus Wschodnich ma swych poetów w stylu ludowym i dla ludu piszących, nie zdołałem jednak, posługując się zbiorkiem A. Steffena, dowiedzieć się, czy niektórzy są wieśniakami lub robotnikami¹⁾.

¹⁾ Steffen wymienia, nie podając bliższych dat biograficznych, następujących, którymi są: Marja Zientarówna, ur. w Brunswaldzie (znanym z działalności X. W. Barczewskiego) „pierwsza kobieta wśród liczego grona poetów warmijskich“; kształci się ona w Krakowie, potem wraca w ojczyście strony; w zbiorze znajduje się jej ładny, polszczyzną literacką napisany utwór o rzece warmijskiej (*Nasza Lyna*) i kilka gwarowych; Andrzej Samulowski, ur. w Sząbruku 1840, księgarz w Gietrzwałdzie, zmarły w 1929, gorliwy patrijota, najstarszy z poetów warmijskich*); pisze on polszczyzną literacką, treść wierszy przeważnie religijna; Antoni Sylwester Schnarbach, artysta malarz, uczeń Matejki, poeta i muzyk; Władysław Samulowski, syn Andrzeja, redaktor *Gazety Olsztyńskiej*; ci wszyscy do ludowych w naszym tu sensie nie liczą się; Wiktor St., którego parę wierszy polszczyzną literacką podaje, jest, zdaje się, uczniem szkoły średniej; dwa krótkie utwory gwarowe A. Sząbruckiego (fraszki) nie są ciekawe literacko, nawet przy pobłażliwych wymaganiach; jako poetę gwarowego, któregooby warto zacytować, znajduję Alojzego Śliwę, który i poprawne wiersze literackim językiem umie pisać; bliższych jednak dat o nim nie znajduję, prócz tego, że przybywał długo w Berlinie, że jego utwory „odznaczają się patriotyzmem i tęsknotą za ziemią rodzinną“; godzi się dać jego dość miły utwór *Gody na Warmji*, także dla przykładu gwary tamtejszej, mimo że nie wiadomo mi, czy to jest autor „autentycznie“ ludowy.

*) Melchjor Wańkowicz odwiedził podczas swej wycieczki do Prus Wschodnich (por. przypisek do Michała Kajki) wdowę do Andrzeju Samulowskim, 80 letnią staruszkę w Gietrzwałdzie; i to smutne odwiedzi-ny... Razem ze starymi, tak jakby na wymarcu była tam dziś polskość; prócz garstki bohaterów, godnych najwyższej czci naszej, młodzież odrywa się od tej cichej, prowincjonalnej, ale serdecznej polskości starych, zwabiona fanfarami, marszami, mundurami, hu-kiem, paradą i potęgą hitlerszczyzny...

*

Augustyn Steffen *Nasi poeci*, Kraków 1933, nakł. własnym (stron 38).

Alojzy Śliwa.

314. Gody na Warmji.

Gody jutro, dziś zilijo¹⁾: gospodyni sia łuzijo, bo mo dzisioj gwołt roboty, totyż nie krok ji łochoty. Ledwo śwyt, już dzisioj wstała, sia po-bożnie przeżegnała i pociyrze łodmóziuła, Boga pomoc łuprosiuła. Teraz dali! do roboty, że sia z ni łoć bandó poty. Znosi mónka i kopońki, brzan-czó mniski, garki, śklonki. Kuchy dzisioj łupsiec²⁾ trzeba bzioly jek to słónko z nieba, żeby wszystkim sia łudała i tyż dobrze smakowała. — — —

Kuchy żwawo w psiec wsadzóno, bandó za-roz łupsieczóno. Gospodyni już zmanczóno, a ro-bota nie skónczóno. Dzieci teraz chućko myje, wszystkie gamby, rance, szyje. Józul pyto roz i dru-gi: „Matko, czy tyż przydó sługi?“³⁾ „Przydó, przydó ty, psotniku, ano nie ró b zaraz krzyku!“ Józul wej sia mocno boji, że mu sługa skóra złoji,

bo gwołt psociuł bez rok długi, a psotników bzijó sługi. Nadszedł zieczór łupragnióny, już radośnie bzijó zwóny. Mózió, że w tan zieczór cichy do Býtlejem szapki lichy stómpsiuł z nieba Bóg na ziamnia, żeby zbazić ludzkie plamnia. Dzieci cicho nadśluchujó, przyjšcio sługów łoczekujó. Śluchać w tam psa łujodanie, zwóńków głośnie pobrzónkanie. Szurki wrzeszczó, łuciekajó i za łóžko sia chowajó. Sługi w siani już gadajó i z kozuchów śniyg strzójsajó. Zaroz wchodzó i łod proga pochwalajó Pana Boga. Wszyscy jam łodpoziedujó, sługi w jizbie dokazujó. Szemel zbytny, skocze żwawo, kanczuk migo w liwo, prawo, niedźwýdź garki łobwónchuje i ze złośció pomrukuje. Bocion kranci długó szyjó i po jizbie sia wyzijo, a chto prandko nie łucieknie, týgo dziobam w bary beknie. Sługi sia wnet domyślili, że sia szurki gdiżyś pokryli. Już po kóntach jých szukajó i spod łóžów wycióngajó. „Dali! dzieci, poklankojta i pocierze łodmoziojta!“ Sługi tak jam rozkazujó i kanczukam wymochujó. Szurki z stracham łuklankajó i pobożnie sia żegnajó, łodmoziajó týż pocierze: Łojcze, Zdrowaś także Zierze. Kiedy pocierz łodmózili, sługi do ných przemózili: „Za tan pociýrz, co możeta, w skóra dziś nie dostanieta, tlo rodziców wciójż słuchojta, a matulki nie gniýwojta, sia nie bzijta, nie spsiýrojta, Pana Boga derch słuchojta; kiedy chceta jiść do nieba, Pana Boga kochać trzeba. Polsko mowa w domó wszandzie, niech wom zawdy drogo bandzie. Czcijta mowa duszó całó, mówta ło ni zawdy śniało; pamniantojta każdy sili, żešta w Polsce sia rodzili!“ Sługi psianknie tak mózili, że sia wszyscy aż wzruszyli. Gospodyni ze łzó w łoku dała sługom po gudoku, szpaku z połcia łukrajała, kawoł duży

jam podała. Łóni psianknie dziankowali i wesolo pošli dali. — — —

Cias tak leci, już dziesiónto, gospodyni sia znów krzónto. Wnet za stołam wszyscy siedzó i zieczerzo z soló jedzó: ani mlyka, ni tłustości, bo Warnijok szczyrze pości.. Gdy skónczyli już zieczerze, dzieci stoziajó talyrze; Pon Bóg na talyrze włoży, kiedy łoczy san jam zmnoży. Poszły dzieci już spać w łóże, ale łusnónć nicht ni może. Każde teraz łó tam marzy, czam go Pon Bóg dziś łobdarzy. Myśló zawdy łó ty nocy, choć jam san już klyji łoczy. Czyż to nie cud nad cudami: Przyjdzie Pon Bóg z podarkami! Myśló, marzó tak, godajó, wreście cicho łusypsiajó... Ale dziś nie spały długo; jeszcze „wóz“ na niebie mrugo, a już ze snu sia zbudziły i z szlómbanka wyskoczyły, talyrz swój ze stołu wziyły i znów w szlómbank poleciały. Teraz dary łogłóndajó i z talyrzów wykłodajó Býgle, cukry i psierniki, Marcypony i kóniki. Nulka panna tyż dostała, sia z radości popłakała. Józul koniam sia raduje i wesolo wykszykuje. Zaboziájó sia tak dzieci, w łoczach radość jam sia śwyci. Jizba pełno jest łuciechy, brznió wesolo krzyki, śniychy starsi już sia łubudzili i jeglijko ¹⁾ zapolili. Dzieci skoczó i dziankujó, rance matce wciójż całujó. Potam psiosnki zaspsiywajó, Jezuskozi cześć łoddajó, co ty nocy sia narodziuł. Brzmi kolanda po kolandzie na Warniji cały wszandzie. Brznió kolandów polskiyh tóny, tak jek w Polsce łodrodzóny.

1) Nasza głoska w przeszła w z.

2) Upiec ciastka.

3) Kolędnicy.

4) Choinka.

PODHALANIE.

Józef Pilch z Chochołowa jest najstarszym z zanotowanych pisarzy ludowych podhalańskich; jego pamiętnik o powstaniu chochołowskim¹⁾ wydał Feliks Gwiżdż w czasopiśmie *Na naszej ziemi*, Lwów, 11—13/1900 (nieдоступny mi; wedł. notatki J. Zborowskiego).

¹⁾ W roku 1846, jedyni z pośród włościan galicyjskich, górale chochołowscy ruszyli się do powstania pod wodzą X. Kmietowicza, zostali rozbici przez żandarmerję i straż celną, przy pomocy zwołanych mieszkańców innych miejscowości okolicznych.

Andrzej Suleja, ur. około r. 1855 w Zakopanem, zmarły w r. 1915, czytać i pisać nauczył się od znajomego leśnego podczas pasania bydła w dolinie Kościeliskiej i „wnet wszystkie kamienie i głązy były pokryte jego ćwiczeniami kaligraficznymi“. Dorósłszy, był leśnym w dobrach Zamoyskiego, ze starym Sabałą odprawiał dalekie obchody po górach i wyprawy myśliwskie. Potem osiada na gospodarstwie w Jaszczurówce. Wiersze i utwory sceniczne, niektóre grane na okolicznościowych obchodach w Zakopanem, pisywał niedzielami, zamiast „iść spać lub pić w karczmie“. „Rytmu poprawnego u niego nie szukać, rym często kuleje“, zatracą gwara podhalańska; chętnie opiewa tatrzańską przyrodę. Z drukowanego w *Ludzie* XVI utworu pt. *Gewont*, który H. Nuzikowska (*Lud*, XVI) podaje jako „najładniejszy“, widać że nie jest on jeszcze poetą gwarowym. Gwara jawi się u poetów ludowych na wyższym stopniu ich świadomości artystycznej i stanowej.

Stanisław Krzeptowski Biały, zwany także „ze Młyna“, urodził się w roku 1860 w gminie Kościelisko; bratanek znanego Jana Krzeptowskiego Sabały, odznaczał się również jak ten niezwykłą swadą, humorem i plastyką swych opowiadań. Treść ich czerpał z legend ludu, przetwarzanych z bujną fantazją, bądź też z własnych przeżyć myśliwskich, gdyż podobnie jak Sabała był zapalonym myśliwym. Na wieczornicach, urządzanych przez Związek Górali corocznie przed wojną, opowiadania jego stanowiły dużą atrakcję, tak

dla osób inteligentnych jak dla górali. Zawierały one przytem w swej treści zawsze pewien sens moralny. Mimo frywolnych nieraz opowiadań, Krzeptowski był wierzącym i religijnym. Gdy przed wojną (około 1907 r.) dyrektor Szyfman zaangażował go do jednego z kabaretów w Warszawie, wrócił po tygodniu do Zakopanego, rezygnując z dobrego stosunkowo wynagrodzenia. — „Tam, wiecie“ — mówił do mnie — „trza było słuchać i opowiadać takie masne (tłuste) kawałki, że choć chłop, to musiałby się wstydić. Nie chcem takik zarobków“. Wrażliwy i spostrzegawczy umysł, doskonała pamięć, logiczne, żywe i barwne ujęcie opowiadań i doskonała dykcja cechowały ten bądź co bądź niepowszedni talent, wyszły z ludu podhalańskiego. Toteż Związek Górali mianował go swym członkiem honorowym. Zmarł w r. 1932 w Zakopanem (W. K.)¹⁾.

¹⁾ Tę notatkę podał mi p. Wojciech Krzeptowski, dyrektor Banku Podhalańskiego w Zakopanem, zamieszczam ją, ażeby przy sposobności utrwalić pamięć owego „barda ludowego“, choć należy właściwie do pogranicza pisarzy ludowych, gdyż gawędy swe, pod koniec życia dyktował bratankom. Rękopis nie był mi dostępny.

*

Wojciech Brzega.

Ur. się 1872 w Zakopanem, syn ślusarza i matki z górali zakopiańskich¹⁾. Traci ojca mając 4 lata. Kończy szkołę powszechną i przemysłu drzewnego w Zakopanem, następnie przez kilka lat pracuje jako czeladnik snycerski. Uskładawszy sobie trochę grosza, wstępuje do Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, potem jedzie na rok do Monachjum, na trzy lata do Paryża, wszędzie utrzymując się sam, jako snycerz, częściowo tylko wspomagany stypendjum rapperswylskim. Wraca do kraju, osiedla się w rodzinnem Zakopanem, pracuje jako rzeźbiarz, dzie-

ła swe wystawiając na wystawach polskich; zakłada warsztat artystycznego stolarstwa, potem kilimkarstwa; w końcu otrzymuje posadę profesora rzeźby artystycznej w zakopiańskiej Szkole Przemysłu Drzewnego, gdzie pracuje dotąd. Zaczyna pisać w dojrzałym już wieku, zachęcony przez Stanisława Witkiewicza; pisze przyczynki folklorystyczne, wspomnienia, sceniczne utwory ludowe i gwarowe opowiadania z życia górali. Zalecają się one dobrem oddaniem gwary podhalańskiej. Właściwie Brzega, (osobistość prawa i sympatyczna) nie należy już do pisarzy w ścisłym znaczeniu ludowych, gdyż z życia ludowego w znaczeniu gospodarczem i wykształcenia już wyszedł; że jednak utrzymuje z niem żywy kontakt towarzyski, a jest samoukiem, z tego względu uznaliśmy za stosowne i jego wprowadzić do naszego przeglądu pisarzy ludowych.

¹⁾ Według notatki autobiograficznej, sporządzonej na moją prośbę.

*

Wojciech Brzega, *Posiady*¹⁾. Opowiadania z Podhala. Kraków 1913, nakł. Księgarni Literackiej Karola Kwaśniewskiego w Krakowie, Warszawa Centnerszwer i Ska (stron 94).

¹⁾ Posiady: pogawędki wieczorne, kiedy to kobiety robią swoje, mężczyźni pykają z fajeczek i gwarzą.

315. Podłazy, 13.

„Niek będzie pokwolony Jesus Chrystus!
Na szczęście, na zdrowie,
Na to Boże Narodzenie!

Co by się wam rodziło,
mnożyło, syćko dobrze powodziło.

Cobyście mieli wołków,
jak na dachu kołków.

Cobyście mieli owiecek,
jako w kopciu mrowicek.

Cobyście mieli cielicek,
jako w lesie jedlicek.

Cobyście mieli dzieci,
jak przy dzwirzak śmieci;

w kozdym kontku po dziesiontku,
na pościeli troje!

Cobyście byli weseli,
jako w niebie janieli.

Cobyście mieli za zycia fortune,
a po śmierci niebieskom koróne“.

mówił Stascyk, z Gładkiej, od Jędrasiów, zwany ogrodnikiem, że to rad hodował drzewka owocowe — wszedłszy do izby Morcinka Tadzioka, do którego na podłazy przyszedł. Kiedy się miała pasterka ku końcowi, on nie czekając, aż ludzie gruchną hurmą z kościoła, ba wydostawszy się prędzej, szedł prościutko do starego towarzysza, by go pierwszy podejść¹⁾ i podług dawnego zwyczaju, stojąc przy drzwiach, winszował, siejąc po izbie owsem, który miał w rękawicy ze sobą. Po przemowie wyjął węzełek z pieniędzmi srebrnymi i poklepał niemi Morcinka po głowie, „co-by był bez cały rok zdrowy, jak piniądz“. Potem dopiero podał rękę gazdowi, który przez cały czas tego obrzędu siedział przy stole i z namaszczeniem słuchał słów podłaznika. Przywitali się. Morcinek z wdzięcznością popatrzał swojemi niebieskimi, do-bremi oczyma w wesołą twarz Stascyka i za-

prosił go za stół obrusem nakryty, pod którym był owies, a za którym w kącie stał snopek.

— Siedniciez — o! siądacie se, a probujcie hlebicka coby nom statek jod — a picie — jest tu krapka wina — jo do tego matury nimom — ale wy sie napicie — coby nom statek pił.

Podłóżnik musiał jeść i pić, bo inaczej „statek by ni miał matury do jedzenio i picio“ — tak gwarzeli downi ludzie, tak tez i Morcinek robiel. Stascyk nie doł sie nukać, ba wzion owsiany moskolicek, ułamał kęs i podał gazdowi:

— Hleba nasego powszedniego — ułomcie — to nolepsy nas hlebicek, starzy ludzie takim zyli, a chłopci beli.

— Bo tez beli.

— Nie tako zjedz, jako dzisiok!

— Bo tez nie tako.

— Ba głopy, jako buki.

— Co nie zol beło opatrzyć na nik! — Napicie sie Stasiu winka.

— Dej ta, ino pomału.

— Ino sie tez napicie! — Trza krapke w krztonie wloć, coby nase, wiecie, krowy piły.

— No dyć jo haw nie taki przebiorny. Niek bedzie pokwolony — mówili Stascyk, pijąc wprost z butelki.

— Boze wom daj zdrowie!

— Picie Stasiu, niek wom na uzytek wyńdzie. Mozebyście bryndzy, ale nima gaździny, nie znom ka sukać.

— Dajcie pokój — nie trza.

— Kwałaz Panu Bogu Jezusowi, co my się też Gód docekali.

- To wam też powiem.
- He, Mościewy! Bedzie sie juz podwysalo.
- Bedzie przymykalo dnia.
- Pudzie juz ku lepsemu.
- Pudzie,—

¹⁾ „Podłazić kogo“, stąd „podłazy, podłaźnik“, na Podhalu — także u innych Słowian, u Jugosłowian „podłaźnik“, u Rusinów „podłaźnyk“ — znaczy „iść do czyjego domu w noc wigilijną (albo na Nowy Rok) z powinszowaniem szczęścia“. Podłaźnik obsypuje zbożem, żeby był urodzaj i powodzenie w tym domu, bije pieniędzmi po głowie, żeby głowa nie bołała; zwłaszcza pierwszy, który wejdzie do domu w te dni, i jeśli do tego jest zdrow a ma pieniądze w kieszeni, spełnia tę swoją szczęsną funkcję magiczną. Cały obrzęd jest magją; człowiek pierwotny jest po swojemu, spełniając te, jak się dziś powie „zabobony“, swego rodzaju magiem, lub iżby tak rzec „kapłanem“ naturalnej religji, stąd powaga życiowa tych czynności, np. jeżeli się w odpowiedniej chwili pije, to i krowy będą chętnie piły wodę itd. (magja analogiczna). Dzień Bożego Narodzenia dlatego jest specjalnie odpowiedni do takich obrzędów mających zapewnić urodzaj i powodzenie na cały rok, że Boże Narodzenie przypada akurat na przesilenie dnia z nocą, a o tej porze było powszechne, prastare święto umarłych i zarazem urodzaju: Umarli, którzy poszli do ziemi, przeistoczyli się w umysłowości pierwotnej na duchy chłtoniczne (w ziemi mieszkające), od których należy urodzaj; ziarno, którem się obsypują jest symbolem, ale symbolem skutecznym, tj. magicznym, urodzaju. (O tem piękna — i pięknie wydana, — na szerokiem tle porównawczem oparta praca Tadeusza Seweryna, *Podłaźniki*, Studja z dziedziny sztuki ludowej, Kraków 1932, nakł. Muzeum Etnograficznego w Krakowie).

Z tych prastarych wierzeń pozostał widocznie z w y c z a j pocieszania się na Boże Narodzenie, że już słońce idzie wyżej i że będzie lepiej; wogóle rozmowa ludowa też przybiera formy obrzędu, ma swoje reguły, które Brzega dobrze oddaje.

316. [Sen starego Stascyka].

— A mnie sie, wiecie Morcinku, śniło, cok umar¹⁾. No, i jak jek umar i posełek na drugi świat. No i jak jek zaseł, tak zahodze tamok, a to nie beło ani niebo, ani cyściec, ani tez, Boze ta zahowoj, piekło, ino takie nic. — Pustka i pustka, ani zimi, ani wody, ino tako przestrzeń — a ciemne i corne, jak djasi. Myśle se: co tez ta dalej będzie? — Jaze jakisi duk ku mnie przyleciół i biere ci mnie za rękę — „hybaj, — pado — Stasek przed sąd Boski!“

— He, raty! — westchnął Morcinek.

— Ba baj! tak mie wereda — Panie odpuść — ciongnon, co ani pojrzeć nie doł.

— He, raty!

— Anik sie Panu Bogu ni miół času polecieć!

— Tak sie mu pililo i ciongnon ci mie w jakomsi dziure....

— No i jakoz?

— No i takoz, ze tamok my wysli nad wode — strześnie montno śła, a juz tak prędami biło, co jaze do nos skało. „Hybaj“ — pado duk i ciongnie ci mie we wode. Jo sie patrze, a tamok most z łańcuchów wisi! Jezus, Maryo, Józef! krzyknonek — z Budzyna²⁾ sie wrócis, z kraj-świata przydzies, z Hamaryki przyhodom, a z tustela nigda! I w te razy baba mie obudziła — rzece: „coz tak te kufe ozdziros?“

— He, raty, jako sie wom tyz to śniło!

— To jesce nie koniec. Obróciłek sie na drugi bok, gębom ku ścianie i zarozek ci usnon i śnije ci sie mi, ze idem juz po takim piknym kraju, co cud. Ani, Morcinku, pomyslenia, ani wypowiedze-

nio, kielo to tamok piknie beło! — Tele kwiaty, tele sady, co jaze tak cłeka ozbierało; to wom juz nie scekom — a ptoki juz śpiwały, to okowioki, mazoki, sieminioki, zięby, różne słowiki i rojskie ptoki — zje, jaki juz ptok na świecie, to syćko sie tamok darło.

To juz wom powiem, Morcinku, ze juz beło sie cemu napatrzeć i przysłuchać — e, beło.

— No i jakoz sie skończyło?

— Jescek wom nie dopodzioł. Idem se tamok i słuhom i patrze i widzem, jako tamok świenci cy jacy ta beli? — spacerujom. Syćka młodzi, a pikni na gębi co cud! Porami se śli!

— Tak sie wej wyzdajali?

— Tam juz ino beł przez baby — no, i stoję se ta, a tu idzie jedna pora — i tacy jacysi, jak by sie mi ik miała myśl hytać.

Jazek sie ośmielił i spytołek sie: Prosem tez, niek mi tez pedzom, co to tez to za kroj? „Kiedy nie słyse, bo ptoki śpiewajom!“ Pedziołek mu do ucha pote — „cy ty nie wies — pedo mi ten duk — cy jaki ta beł — ze tu niebo! he, zkondeś sie tu złeku wzion? Dyj tu niebo!

Tu som jest ludzie — pado mi — sprawiedliwi, co krzywdy ludziej, ani krzty, nie mieli na sűrmieniu!“

I wte mie baba łokciem sturknyna, bo i jej sie cosi śniło — i obudził sie.

— Wereda! obiesica — ozgniewoł sie Morcinek. — — —

1) Możliwe, że i gawędzenie o śmierci należy do konwenansu bożonarodzeniowego, będącego zażytkiem obrzędów prastarego święta umarłych?... Chrystjanizm ustanawiając święto Narodzenia Chrystusa na porę przesilenia dnia i nocy,

idzie w ten za zastanieniami przez się tradycjami świątecznymi, ale bierze z nich tylko ich słoneczną czyli radosną stronę: jest to święto chrześcijańskie z samej istoty i ze wszystkich zwyczajów wesole.

2) Budzyń : Budapeszt.

*

Dopiero po wojnie, i to w ostatnich czasach, poeci ludowi podhalańscy jawią się całą gromadką; pierwszy pokazał się Nędza Kubiniec, który otrzymał tu osobny rozdział, nie tylko że pierwszy, ale także jako najwybitniejszy talentem i najcharakterystyczniej wypowiadający pewne fermentacje; kilku innych ukazuje zbiorek wydany przez Koło Polonistów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Poeci podhalańscy Ludowi jawią się wspólnie z innymi, także gwarowymi, którym, wedle przyjętego tu kryterjum „ludowości“, przyznać jej nie możemy; otóż, zjawisko gwarowości w poezji, bez względu na to kim jest poeta w sensie socjalnym i wykształceniowym, ma swe własne zagadnienia, które należy traktować abstrahując od tego, czy mamy do czynienia z twórcą autentycznie ludowym, czy z pogranicza ludowości, czy inteligentem — i te zagadnienia odsyłam do studjum w Dodatkach; tu będę cytował tylko wieśniaków lub przynajmniej osoby z pogranicza ludowości; gdybym tu zajmował się podhalańską twórczością gwarową wogóle, to dla czegożbym nie miał wziąć np. Jana Gwalberta Henryka Pawlikowskiego¹⁾, doskonałego, w prozie gwarowej, legendzistę; ale od razu jawnym się staje, że to byłoby zbyt wielkie przeciw założeniom tej książki wykroczenie; dlatego też nie zajmę się na tem miejscu tymi, góralami z pochodzenia, którzy już chłopami nie są, Janem Mazurem, Au-

gustynem Suskim, Antonim Zachemskim²⁾).

1) J. G. H. Pawlikowski, *Bajda o Niemrawcu*. Medyka MCMXXVIII. Biblioteka Medyczna, z drzeworytami W. Skoczylasa. — Przy sposobności należy wspomnieć, iż brat wymienionego, poeta i publicysta Michał Pawlikowski, gwarą podhalańską, jędrnemi oktavami, przekładał wzgl. trawestował obszerne fragmenty Iliady (*Lamus*, MCMXII/XIII).

2) Jan Mazur, ur. 1915 w Zawoi pod Babią Górą, syn rolnika, wychował się w Zubsuchem koło Zakopanego, obecnie studentem U. J. K. we Lwowie; wydał zbiorek poezji *Z wysokik Tater wiaterny sum* (Książnica-Atlas, Lwów 1937). Augustyn Suski, ur. 1907 w Szaflarach, pow. nowotarski, syn rolnika, studjował polonistykę na U. J. w Krakowie, obecnie instruktorem Uniwersytetu Ludowego w Michałowce k. Radziwiłłowa. Drukował w *Murcholcie*, *Gazecie Podhalańskiej* itd. — Antoni Zachemski, ur. w Odrowążu, pow. Nowy Targ, syn rolników, polonista na U. J. w Krakowie, obecnie dziennikarzem w Warszawie; wydał zbiór poezji i prozy *Gęśle z jawora*, Kraków 1935.

*

Oprócz tych gwarowców inteligentów coraz nowi młodzi ukazują się z poezjami lub prozą podhalańską; ale przed i nad nimi, jako pierwszego poprzednika należy pamiętać nieodżałowanego Andrzeja Stopkę autora *Sabały*, o którym już była wzmianka w r. XXX; wielkiego inicjatora i entuzjastę, który też, jeden z pierwszych do gwary się wziął jako artysta, tłómacząc na nią opowiadania Tolstoja, Stanisława Witkiewicza; wielkiego „klasyka“, może na zawsze niedoścignętego, poezji i prozy góralskiej, górala-szlachcica Kazimierza Tetmajera; Orkana, który gwary używał w swej twórczości raczej dla scharakteryzowania środowiska niż od siebie, ale którego publicystyka (por. *Listy ze wsi*, *Wskazania* i inne, dziś łatwo dostępne, dzięki wydaniu zbiorowemu w opracowaniu prof. Pigonia) jest bardzo ważnym czynnikiem obudzenia się świadomości ludowej wogóle a podhalańsko-ziemnicowej w szczególności. Wreszcie, kiedy przejdziemy poza granice

właściwego Podhala Skalnego, od gór po Czarny Dunajec, Nowy Targ, Czorsztyn, ale weźmiemy góralszczyznę polską w szerszym zasięgu, to niepodobna przeczyć innego artystę inteligenta, który gwarę podniósł do wysokiego aryzmu, Emila Zegadłowicza, autora *Powsinogów Beskidzkich*, a który w pierwszym tomie *Mikołaja Srebrzempisanego*, w niektórych obrazach życia wsiowego, w takim np. pierwszym wygonie krów na wiosnę albo przyrządzaniu soku z jałowca i innych tp. daje wprost małe klejnociki; (różne dywagacje tego prawdziwego, ale niebardzo duchem zrównoważonego poety, nas tu nie obchodzą...); wobec takich utworów widzi się, jak lekkomyślnie głosili niektórzy ideologowie o drębnej „kultury ludowej“, że „nam“ nie potrzeba żadnych wzorów, ani Zegadłowiczów, ani Tetmajerów...

*

Przy sposobności wspomnieć należy o innych jeszcze pisarzach inteligentach, góralach z pochodzenia: Józefie Jedliczu (pseud.), osiadłym we Lwowie, autorze pięknego zbioru poezji pt. *Słoneczna pieśń*, — oraz o Feliksie Gwiżdżu i Jędrzeju Galicy (obecnie gen. W. P.), utrzymujących, zwłaszcza ten pierwszy, żywy kontakt z góralszczyzną.

*

Poezja Młodego Podhala (Jan Mazur, Stanisław Nęcza Kubiniec, Hanka Nowobielska, Aniela Stapińska, Augustyn Suski, Antoni Zachemski). Słowo wstępne Prof. Stanisława Pigonia. Kraków MCMXXXVII, nakł. Koła Polonistów U. J., skład gł. Gebethner i Wolff, Kraków, (s. 81¹).

¹)Zebrano 40 utworów.

Stanisław Nęcza Kubiniec¹).

317. Do braci moik.

Kańsi w kómorak cisowych, głęboko w okutyk
[skrziniak,

schowane (klucze od nik stracone — praśnione fto wie
[kany])

lezom pisma królewskie, wase sołtysie nadania,
na pergaminak pisane, pieczęciami pieczętowane,
ręką królewską przibite...

Hej bocycie,
co w nik stoi?

Za wysługi, za oddane zycie,
omurowane wase ślebody.

Wasa ta ziém, tén las,
prawo ognia w sałasie, prawo w potoku wody,
za wysługi ojczyńie, za oddane zycie.

Obdarowali was.

Ino cy wy bocycie,
hej, ludzie wy moji?

Śli dziadkowie w wybranieckiej piechocie
pod drewniane tyny Połocka i Wielkie Łuki.

Nocowali w plucie i słoćie.

Ginéni z hetmanem na Cecorskim polu.

Błysk ik ciupag widziały szwedzkie pułki.

Śli śpiewający pod cesarski Widzién
(pańskiej husarji drógi rąbali).

Znacyli swoje chodnicki codzien
cérwonom chłopskim krwiom...

I pokié byli króle, brali nadania
ślebody.

Na pergaminak pisane, pieczęciami pieczętowane,
z prawem ziémie i lasu, ognia i wody —
hej cy bocycie?!

Wy ludzie moi!

A kiedy brakło husarji, chrzęstu stalowych piór
w śtyrdziestym sóstym...

Pobrali ojce orle skrzydła i poseł okrzyk z gór:
— Polska to my!

Chłopi!
Przikryła ik Grajgóra i Kufsztajn²⁾.
Niedowno ...
wołoli nos i mé śli
płacić Dnieprowe wody.
Rubali mé w biołe Kijowa dźwierze,
tycyli Polski granice
przez pińskie błota i wołyńskie pioski,
ze by nam było sérzėj,
więcej ziémie i lasu i wody.
Obiecowali, kie była twardź...
A mé nie załowali krwie i trudu.
Zabocyli o nas w jasnej Warsiawie,
wzieni krew, a nie dali chleba.
Hej Podholonie!
Ludzie wy moi,
cy wy bocycie?!
Mé dziedzice téj ziemi z królewszik nadań,
sołtysi tatrzańskik polan, ze swojój krwie i trudu.
My Gromada — momé mieć prawo,
ziém i chléb.

1) Wprawdzie o nim traktuję osobno, w r. XXVII, ale od niecałego roku, między napisaniem tamtego rozdziału, a ukazaniem się antologii podhalańskiej, talent Kubińca tak się rozwinął, że zasługuje on na nowe przytoczenie; jeśli w Wstępie powiedział o nim, że się „dobija artyzmu“, to dziś nie waham się powiedzieć, że się go już dobił — i że, razem zresztą ze Suskim, wchodzi już do literatury literackiej jako poeta gwarowy; osobiście uważam go za najlepszego z pomiędzy wszystkich w tym tomiku przytoczonych: potężny, iście skalny temperament, przy liryźmie najczystszej wody, gwara czysta, jak najmniej „zanieczyszczona“ nalotami z języka literackiego, choć wyrażająca uchwyty bynajmniej nie naiwne, nic już z półintelligenctwa, swobodne władanie wierszem wolnym, rytmem i rymem, wszystko to pasuje naszego autora, chłopca najautentycz-

niejszego na najprawdziwszego poetę swego środowiska i na takiegoż poetę... Przytaczam wiersz ideowo znamienny i silny, choć nie najlepszy ze znajdujących się w antologii podhalańskiej (najlepsza *Gromada!*).

²⁾ Spielberg (Grajgóra) i Kufstein, twierdze, w których Austria więziła powstańców.

Hanka Nowobielska.

318. Lalki.

Kumoski i spółnice
wróżyły w swoik godkak —
ze kiedy jo wyrosne
be se mnie dobra matka.

Bo jakie ino, wicie,
smaciątka ka dopadła —
tok popki owijała
i w kolebecce kładła.

Miała jo dość tyk lalek:
duzyk i całkiem małyk —
były tam nawet takie,
co ocy zawierały.

Kiek miała lat śtyrnaście
ostatnią mi kupili —
choć mie juz przedtem łoni
Józkowi wyraili...

Ale mnie wydać młodo
mamusia załowali —
to mi kupili lalke,
byk była dzieckiem dalej...

Piekno to była popka,
z Krakowa sprowadzano —
cosi jaz dwaścia złotych
wydali na niom mama...

Lezy se haniok w sofie ¹⁾

mom przecie jom dosiela,
downiej — tokś niom po izbie
skokała mało — wiela.

Teroz jom wyjmiem casem
i patrzem na gębusie —
lec mi się z całej duse
inaksej fce lalusie...

Byłaby to wej radość
lo syćkik nos w chałupie —
ale — nijak nie bedzie
bo — jakoz — jo jom kupie?...²⁾.

1) W szafie.

²⁾ Urodzona w r. 1912 pod Lwowem, jest przyswojoną Podhalanką, od trzeciego roku życia pod Nowym Targiem; należy do pogranicza pisarzy ludowych; wiersze ogłasza po czasopismach; ich cechą jest bezpretensjonalny wdzięk, kobiecość niepodrabiana, nie bez domieszki, jak widzimy, w przytoczonym wierszu dyskretnego humoru.

Aniela Stapińska.

319. Cerwone korole.

Osypały sie cerwone korole
Marysi — hań na ubocy

W nocke ciemniućkom.

Pojzrała pote na hole

Ślicne beły i świat cały

Do kolićka piykny beł

Raniućko.

Padala matka Marysi:

Maryś! Kaz mos cerwone korole?

Co ci buzinke stroiły,

Podziałaś ik pewnie kanysi?

Ocka sie łzami blinkajom,

A tak ci się ślicznie iskrami
Srybrzyły!
Sukała Marysia cerwonyk koroli
Hań po ubocy zielonyj we dnie
Do słońca.
Jacy sie kanysi roli
Czerwone kwiatecki migaly.
Co ik wiaterek kołysoł
Do tońca.

Cicho sie matusi prziznała:
Stracyłak — hań na ubocy
Czerwone korole!

Zołośnie w serdeńku płakała —
Świat sie jyj brzycki zawidzioł
I ludzie... Na swojom przepaśnom ¹⁾
Niedole ²⁾.

¹⁾ Przepastną.

²⁾ I ten wiersz jest bardzo „kobieczy“, i doskonale w stylu ludowym — nie bez, prawdopodobnie, wpływu Kopnopnickiej korzystnie użytego — utrzymany, wykwiintnie obrabia motyw, tak znany w piosence ludowej, utraty korali przez dziewczynę (symbol wstydlivy utraty dziewictwa). Stapińska ur. się w 1898 w Poroninie (gdzie dotąd mieszka) jako córka rolnika, skończyła szkołę powszechną, zamężna za artystą malarzem; utwory drukuje w czasopismach i dziennikach.

Andrzej Florek Skupień.

320. Muzyka górska.

Kie se weźnie gęśle do gorzci prymista
i smykiem przewiedzie po strunak,
to nuta doprowdy siarcysto
zajęcy, jaz ozlegnie sie w turniak.
Sekundantów gęśle kie sie obezwały

a okrutne kie jękły basy
i z nutom prymisty kie sie zaś złączyły,
to jaze giełcały podhalańskie lasy.
A kiedy sie juz na dobre muzyka ozgrała
to od radości zymio podhalańsko drgała.
— O, nie ino sie radowały turnie i lasy,
kie grała muzyka górolsko —
Hej! bo sie radowały ludzie całe masy,
o, bo grała nicem kapela jancarsko!
twój głos, muzyko, jest nom kochany,
bo ty przegodać umies do kozdyj dusy
i choćby cłek nie wiem jako zapłakany
jak ty mu zagros, to sie uciesy¹⁾.

¹⁾ Ur. w Stołowem, przysiółku Poronina pod Zako-
panem, w r. 1902, ukończył szkołę powszechną, odbył służbę
wojskową, był długi czas parobkiem u gazdy, obecnie go-
spodaruje na paru morgach. Pisuje wiersze, opowiadania
góralskie, artykuły, jest gorliwym czytelnikiem, przy wojsku
korzystając z biblioteczki przy świetlicy pułkowej (krakowski
pułk artylerji), napisał popularną historję i geografję Pod-
hala, drukowaną w kilku feljetonach w poznańskim *Ore-
dówniku*. Wiersz jego antologja podhalańska zamieszcza jako
przykład „poezji prymitywnej, najbezpośredniej ludowej“;
ja podkreślam błędne artystycznie, bo niestylowe wyrażenia,
które szpecą utwór.

*

O Podhalańcach p. również w r. XXX, Teatr ludowy
(Curusiówna, Retardowa, Sieczka) i w r. nin. pod: Ame-
rykanie (Leja). (Por. Dodatek 3. O uprawnieniu gwary).

ŚLĄZACY.

Śląsk ma własną od wieków¹⁾ i obfitą lite-
raturę prowincjonalną o charakterze, niejednokrot-
nie, półludowym; ludowa autentyczna, tj. chłopska
i robotnicza literatura śląska jawi się dopiero
we w. ub.²⁾.

1) O średniowiecznej literaturze śląskiej Ludwik Łakomy, *Piśmiennictwo śląskie przed założeniem Akademii Krakowskiej*, Katowice 1934; źródłową, bardzo instruktywną pracą, od średniowiecza po pocz. w. XIX sięgającą, są *Uwagi wstępne o piśmiennictwie polskim na Śląsku* prof. Kazimierza Dobrowolskiego we wstępie do wydania *Listów Józefa Lompy do J. I. Kraszewskiego*, Katowice 1931, nakł. Instytutu Śląskiego; popularne przedstawienie tych rzeczy znajdzie się też w art. K. L. Konińskiego, *Kartki z dziejów polskośći Śląska Cieszyńskiego* (autor wychodzi poza tę granicę) w *Przegl. Współczesnym* 1935—36, (157/8, 163, 165, nadb. Warszawa 1936, tam trochę bibliografji). Zasadniczo szukać silesiaców w *Rocznikach Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku*, w czasopiśmie *Zaranie Śląskie* (Katowice, dawniej Cieszyn) i jego rocznikach, oraz w bardzo obfitych wydawnictwach i komunikatach Instytutu Śląskiego w Katowicach.

2) Nie jest robotnikiem, ale przedsiębiorcą hutniczym Walenty Różdzieński, z rodu hutników z ojca na syna, szlachcic, którego poemat dydaktyczny wydał prof. Roman Pollak, w nakł. Instytutu Śląskiego: *Officina Ferraria abo huta y warstal z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego*, Katowice 1936 (I. ed. Kraków 1612); rzecz ciekawa przez dokładne opisy pracy hutniczej, pełna technicznych nazw i szczegółów, zawierająca i dla folklorysty przyczynki, opisująca życie hutników, ale ukazująca nam autora nie prostego robotnika, tylko człowieka dosyć wedle ówczesnej modły wykształconego, znającego się na mitologii, umiejącego po łacinie; jest to więc literatura mieszczańska. Tembardziej nie jest chłopem Ślązak Karol Jerzy Skop, o którym T. Sinko pt. *Chłop Humanista* pisał w czasopiśmie *Eos* (XIII, 1908): dopiero na starość się sproletaryzował: „peregrinus inopsque in silvis latitans perditus agricola, któremu najbardziej dokuczał ekonom“; (wedł. podanej mi na mą prośbę notatki prof. Sinki).

Ślązacy Cieszyńscy.

Jura Gaydzica.

O nim wiadomość: Jan Wantuła, *Pamiętnik Jury Gaydzicy z Cisownicy*, (*Zaranie Śl.* VI, 3):

„Żył przed laty w „Pasiekach“, Małej Cisownicy, obok Ustronia, posiadacz średniego gospodarstwa zagrodniczego, Jerzy Gaydzica, (1777—1840), który był tak wielkim lubownikiem książek, że ile razy mu wypadło udać się w dalszą „furmankę“ — a jeździli wtedy śląscy gazdowie w dalekie strony, rozwożąc i zwożąc towary — to on zawsze przywoził nowe książki, jakie tylko mógł gdzie kupić, a naskupował ich takie mnóstwo, że każde z jego licznych dzieci, obok Biblii, „Dąmbrówki“ otrzymało jeszcze po kilka innych książek, a jeszcze ich sporo pozostało przy gruncie. W ilużto domach w Ustroniu i okolicy, liczni prawnukowie i praprawnukowie Gaydzicy, posiadają książki, opatrzone exlibrisem i napisem: *Jura Gaydzica z Małej Cisownicy!* Bo książki nabyte opatrzył na karcie tytułowej, a niekiedy i na zewnętrznej stronie „deski“ podpisem pieczętkowym: *Jura Gaydzica*, tak łądząco podobnemi czcionkami, jak ten gotyk w książce, że wydawało się, iż to nazwisko w książkę wdrukował drukarz przy nakładzie. — — Jura Gaydzica często kupował książki nieoprawne, które sobie sam oprowiał, będąc człowiekiem nader zręcznym: „Co oko widziało, to ręce zrobiły“. A oprawa jego książek bardzo misterna. Od jednego z wnuków Jury Gaydzicy otrzymałem w czasie wojny światowej pamiętnik: *Dło pamięci rodu ludzkiego*, przez niego napisany.

Pamiętnik Jury Gaydzicy nie może być wartościowany walorami literackimi, ani porównany z pamiętnikami późniejszych autorów chłopskich (Słomka, Bojko), bo Jura nasz pisał nie do druku, ale poprostu zapisywał, co go interesowało.

Urodzajny i nieurodzajny rok, burze, powódzie, które niszczyły plony, powodowały brak żywności. Wojny, kiedy przechodziły wojska, kiedy było trzeba dostarczyć koni i wozów do „forszpanów“. W pamiętniku swoim obok różnych dat, odnoszących się do historii Cieszyna, Frysztatu i spraw czysto ewang., zapisał sobie Gaydzica datę pierwszego podziału Polski. Jest to jedyna data, nie odnosząca się ściśle do Śląska“.

*

Jura Gaydzica. *Dło pamięci rodu ludzkiego (Zaranie Śląskie, VI, 3).*

321. [Rok 1812].

Roku 1812 przed gody Francuz prziszedł na Mozgola do bitki ale sie Francuzowi źle podarzyło, Pon Bog mu tam bardzo wybił, trefiła zima wielko i mróz i zmorz tam, że sie go mało wrocilo i musioł sie wrocié chned w poście z Galicye. Potem sie zaś woyna saczęła, Cysorz z Francuzem. I nasze cysarskie woysko też sie wrocilo z Polski i tu były tak wielki marsze, że yuż nie szło ku wytrwaniu a trwały od Apryla aż do Czerwienca, że niekiedy było 8 koni u yednego Pasieczana (gazdy z Małej Cisownicy), tego roku 1813 też wtedy wtych marszach szli francuzi Harwoci i wszelijaki zbierwy a ściągali sie ku Pradze i tam sie potem zaczęła woyna. Ale Chwała Panu Bogu, dał potem Zwycięstwo naszym Monarchom, bo tam byli wszyscy noń co są w Europie i za gnali go aż do Paryża i tam go wygnali Bonapartę, co był z yednego oficyrza urobiony za krola tam go zchynęli a inszego sobie urobili, to brata nieboszczyka krola

Ludwika 16, co go byli zcieli Francuzi, potem sie stała Rebelia a z niey Woyna tak nieszczęśliwa a długo trwająco, że sie końca nie było lza doczkać. Roku 1814 stoł sie pokoy dnia 30 maya, prawie w tem samem mieście, kandy sie poczęła woyna a to w Paryżu, w mieście francuzkim głównym. Ta woyna żalosno trwała wyszyc 20 lot, co sie zdało, że im końca nie bedzie.

Francuzowi sie wdycki darzyło, wygroł na istych mieyscach, więcey yak 36 razow. Prusowi przeszeł cały kroy i musioł mu być poddany. Francuzowi sie zdało, że yuż bydzie po całym świecie panować, to se tak myśłoł, ale mu Pon Bog w Mozgolskiey ziemi szyki zepsuł i zmarzło go tam bardzo moc. Roku 1813 chcioł sie yeszcze zmoc, ale mu Pon Bog szczęści odebroł. Ale potem zaś sie też Pon Bog zmiłowoł i użyczył nam pokoyu istego, bo przedtem był też opowiadany, ale długo nie trwał, to tam yeny było wytchnieni, choć też ze sławą. Ale potem, kiedy już był pokoy, tochmy go sławili wszecki po kościołach wszystkich, i kolekty zbierali na tych porąbanych na woynie i na tych w szpitalach leżących. — — —

[Następuje opis iluminacji w Cieszynie, który opuścimy].

Adam Sikora.

Tkacz z Jabłonkowa na Śląsku Ciesz. (obecnie pod zaborem czeskim) ur. 1819, um. 1871, chodził do parafj. szkółki katolickiej, miał liczną rodzinę, pisał wiersze pobożne i dydaktyczne (*Pieśń o krzyżu na Sałajce* drukowana w r. 1863, *Nabożne pieśni* Kraków 1887), drukował w *Gwiazdce Cieszyńskiej*¹⁾. W temże piśmie z r. 1892 str. 72, wiersz):

322. Przy czepieniu młoducho.

Kochana młoducho, stan ci się przemienia,
Teraz będzie z ciebie ładna gospodynia,
Teraz będziesz miała klucze w swojej mocy,
Będziesz się musiała starać we dnie, w nocy,
Ale co ci powiem, słuchaj mojej rady,
Nie będzie nigdy na tobie żadnej wady:
Naprzód kochaj wiernie małżonka swojego
I na włos wypełniaj dobry rozkaz jego,
Strofuj i nauczaj uprzejmie czeladkę,
By cię poważano jako dobrą matkę.
Skoro się zbudzisz rano, prędko wstawaj,
Wszystkim domownikom dobry przykład dawaj.
Chwyć się zaraz chętnie twojej sprawy
I nie gotuj nigdy na śniadanie kawy!...²⁾
Boć to nie należy dobrym gospodarzom
Ale tylko dworskim i pańskim kucharzom...
Nagotuj wodzianki i chleba razowego
Czem cię Bóg pożegna bądź kontenta z tego
Nie sprzedawaj nigdy podaremnie zęby³⁾
Jak się zechcesz wadzić nalej wody do gęby⁴⁾ — —

¹⁾ Zyciorys podany w *Zaraniu Śląskiem* 1907, przez syna Ludwika Sikorę, krawca w Jabłonkowie; (tu wiadomość o S. i wiersz według notatek p. Jana Wantuły).

²⁾ Wiersz pisany przed r. 1860, kiedy kawa uchodziła za zbytek (J. W.).

³⁾ Nie kłóć się.

⁴⁾ Jesteśmy, jak widzimy, gdzieś na poziomie pierwocin dydaktycznego wierszowania z XV w. w rodzaju wiersza Słoty o zachowaniu się wobec pań...

*

Na Śląsku Cieszyńskim liczni publicyści ludowi zasiłający tamtejsze pisma i dzienniki; z nich najwybitniejszym i znanym erudytą jest Jan Wantuła, o którym w r. XVII. Z pisarzy mających wykształcenie wyższe lub przynaj-

mniej średnie, tu należy wspomnieć przede wszystkim o Pawle Stalmachu, głównym twórcy popularnego piśmiennictwa śląskiego i jednym z pierwszych działaczy narodowych, zmarłym w r. 1892, o Janie Kubiszu, nauczycielu, autorze zbiorku poezji pt. *Spiewy starego Jakóba*, którego *Pamiętnik starego nauczyciela* (Cieszyn 1928) jest książką miłą i pouczającą, o publicystach i politykach XX. Świeżym i Londzinie, pastarze Franciszku Michajdzie, wszystkich już zmarłych; Jan Łysek, nauczyciel, młodo poległy w Legjonach, zapowiadał się jako dobry talent, w języku swym stylizował gwara śląską w duchu Wyspiańskiego, X. Emanuel Grim, katolicki proboszcz w Istebnej, wydawał zbiory poezji, jeszcze przed wojną pisał swego *Ondraszka*, próbując, niestety bez rezultatów artystycznych, dać Śląskowi jego „Janosika“, opracowując wierszem podania o morawsko-śląskim „zbójniku“ Szebeście; z pokolenia obecnie średniego i młodszego, wybija się znany powieściopisarz Gustaw Morcinek, używający gwary górników dla charakterystyki stylu.

Ślązacy Zaolziańscy.

Franciszek Pawlisz.

Podoficer II Brygady Legjonów, o którym pozatem bliższych wiadomości niema; pozostał po nim pamiętnik w rękopisie (Muzeum Śląskie w Katowicach) wydany przez S. Bąka, który na podstawie właściwości gwarowych wyznacza pochodzenie Pawlisza z pogranicza śląsko-morawskiego. Pamiętnik, jeden z nielicznych wojskowych, jakie dotąd „prości ludzie“ dali, obrazuje jakąś sympatyczną postać żołnierską.

*

Stanisław Bąk, *Pamiętnik żołnierza legjonisty*. Przyczynek do znajomości gwary Polaków w Morawskiej Ostrawie. Katowice MCMXXX, nakł. Muzeum Śląskiego w Katowicach.

323. [Wieść o pokoju Brzeskim, 8].

Józ od kilka dni nastąpiło między nami rozstrojenie i stałe szepty i ruch świadczyły, że jeszcze w żyłach naszych krew burzi, ji żeśmy jeszcze ducha niestraścili, pomimo żeśmy józ mieli pół czwarta roku Wojny za sobą. Było to dnia 14 lutego¹⁾ gdy nadszedł czas spłacenia naszej krzywdy, która nam została wirządzona przez państwa centralne przy zawarciu pokoju z Ukrainą w Brzeszczu Litewskim. Dzień óternastego lutego wryty zostanie w pamięć każdemu żołnierzowi Polskemu, który służył w ten czas w drugiej Brygadzie Legionów Polskich. Obchodziliśmy w ten dzień żałobne nabożeństwo za Majora Męzińskiego, — po nabożeństwie mieliśmy smutną dla nas odprawę przez kś. N. z trzeczego Pułku o czwartem rozbiorze Polski, co dotkło serca nasze, po nabożeństwie zaś śpiewaliśmy(y) kilka pieśni Narodowich i kdy kś. zanucił rote „nierzucim żimi skąd mój ród“ to wiara że żalem rykła, tak jak nigdy. Był w ten czas w Rosiji Generał Musznicki który miał zorganizowaną dwieścietysynczną armije Polską²⁾, ji my postanowili za odwet połączyć się z Generałem i zwalczacz wroga postanowiliśmy przejść przebojem przez front austryacki; postanowienie było niepowstrzymane, pomimo żeśmy wiedzieli, że będziemy mieli prace i trud ciężki bo od kilku dni józ austryaci zwąchali i wysyłali wojska na odcinek przez który my mieli przechodzić. My zaś mieli kontakt z pułkiem morawskim który stał w ten czas na pozycji ji on nas miał przepuścić oraz dwa pułki polske L. 13 i 16³⁾ ty mieli razem snami przejść, ale los temu tak nie chciał i austrijaci

zwąchając nasze zamiary, ten pułk zciągli i na jego miejsce dali osim pułków Madzarskich.

1) W dniu 9. lutego 1918 został zawarty między Niemcami i Austrią z jednej a Rosją bolszewicką i Ukrainą z drugiej strony, pokój w Brześciu nad Bugiem, mocą którego część Polski, mianowicie Ziemię Chełmską, sławną z bohaterskiego męczeństwa unitów, przyznano Ukrainie. Pokój ten wywołał głębokie oburzenie na ziemiach całej Polski. Wieść o nim dotarła do II Brygady Leg., (noszącej wówczas miano Polskiego Korpusu Posiłkowego, a stojącej na odcinku frontu austrij. koło Czerniowiec na Bukowinie) w dniu 12 lutego. Oficerowie i żołnierze II Bryg. Leg. pod wodzą płk. Józefa Hallera, zdecydowali wypowiedzieć posłuszeństwo Austrii i udać się na obszary kresowe między Polską i Rosją, gdzie się formowały korpusy armji polskiej z polskich żołnierzy i oficerów byłej armji carskiej, (także z jeńców Polaków z armji austriackiej i niemieckiej). Przejście to na drugą stronę frontu odbyło się w nocy z 15 na 16 lutego (bitwa pod Rarańczą). II Brygada ruszyła na ziemie Ukrainy, gdzie ją czekała bitwa pod Kaniowem. Nie wszystkim jednak udało się przejść, niektóre oddziały zostały otoczone przez Austrjaków i, nie bez walki, zmuszone do złożenia broni; część żołnierzy rozprószyła się, nie nadążywszy za głównym oddziałem. Ci starali się przekraść do Galicji, gdzie ich czekała opieka społeczeństwa polskiego. Do nich należał i nasz pamiętnikarz, który, jak twierdzi, „utknął na nogę“, parokrotnie uwięziony uchodził z niewoli i dostaje się do Lwowa.

2) Wieść legendarna; armja Muśnickiego była w rzeczywistości wielokroć słabsza (niewiele ponad 20.000 razem z oddziałami nielinjowymi, por. Wacław Lipiński, *Walka zbrojna o niepodległość Polski 1905-1918*, Warszawa 1935, str. 282).

3) 13 pułk piechoty i 16 p. strzelców — oba pułki rekrutowane w Krakowie i okolicach.

324. [Honor legjonisty].

(16 Marca w drodze) rano wstaliśmy dość porzeczpioni spankiem, bo od kilku dni nam można

było się rozebrać; mieliśmy pojedyncze seperatki, mogliśmy się zamknąć i niełobawiać się, że nam ubranie zginie; po śniadani przyszło dwóch żołnierzy jako nasza eskorta i prowadzili nas na stację, gdzie dostaliśmy obiad i weszli do pociągu, który za niedługo opuścił granice Węgier; po drodze przibraliśmy czapki Legionowe ujechaliśmy niedaleko, gdy nas spostrzegli urzędnicy kolejowij i przyszli do naszego wozu w którym my byli wsadzeni i namawiali do ucieki, że oni nas ukryją i dowiozą do Kołomeje, ale że to było przeddzień, niechęciliśmy się narażać na wstyt i popychanie przez żołnierza austrijackiego, bo honor Legionisty polskiego na to niepozwalał i niepozwoili pokąd będzie jistnieć choć same słowo Legionista¹⁾.

1) Wstydzieli się uciekać, nie chcąc narażać się na schwytanie i lekceważenie ze strony Austriaków.

*

Z inteligentów - literatów na Śląsku Zaolziańskim wymienię Pawła Kubisza i Adolfa Fierlę, — obaj są utalentowanymi lirykami gwarowymi (Fierla i nowelista). Z ludowych pamiętnikarz Bonczek, o którym w r. VII.

Ślązacy Katowiccy.

Zazwyczaj mówi się o nich, jako o Górnoszlązakach; mojem zdaniem powinniśmy zarzucić to nazwanie; Śląsk Katowicki (i Opolski) są „górnymi“ tylko dla kogoś, kto posiada, albo ma nadzieję posiadać cały Śląsk, wzdłuż całego biegu Odry aż po Śląsk do lny, po Wrocław; kto tej nadziei nie ma, jak właśnie i niestety my, bo tamten kraj już nieodwołalnie niemczony, temu nie może zależeć na tem, aby podtrzymywać fikcję całości śląskiej

z czasów minionych; dla nas więc niech będą: Śląsk Cieszyński (b. zabór austriacki, obecnie przekrojony na część polską, Cieszyńską, i na odpadłą do Czech część za rzeką Olzą, Zaolziańską), oraz, pod b. zaborem pruski, Katowicki i odpadły do Prus, Opolski.

Juljusz Ligoń.

Juljusz Ligoń¹⁾, „znany jako poeta ludowy, był synem kowala i sam kowalem z zawodu. Narodził się dnia 28 lutego 1823 w Prądach pod Koszęcinem (powiat lubliniecki). Pobożni rodzice starannie go wychowywali. Naukę szkolną pobierał w Strzebinie, gdzie urzędował dzielny „rektor“ Hadrosek. Potem Juljusz pomagał ojcu w kuźni i tak wyuczył się kowalskiego rzemiosła. Mając lat 18 poszedł w świat i znalazł pracę w Królewskiej Hucie. Tu przyuczył się też ślusarskiej roboty. Odслужиł wojsko. Bolesć ścisnęła mu serce, gdy w latach 1847/48 patrzeć musiał, jak klęska głodowa dziesiątkowała lud śląski. Ale równocześnie z uwagą śledzi ruch wolnościowy, który wtedy wstrząsał całą Europą. Tak zwana „wiosna ludów“ i w jego sercu budziła wielkie nadzieje. Ale po kilkunastu latach „odbyto go od pracy“, ponieważ zbyt otwarcie jako Polak występował. Około roku 1870 wrócił do Królewskiej Huty; rodzina jego liczyła już sześć głów. We walce kulturalnej prosty kowal stał się działaczem publicznym! Bronił kościoła, bronił narodowości. Po raz drugi i trzeci wydalono go z pracy. Popadł w nędzę, bo nie przyznano mu żadnej renty; długoletnim procesem ją dopiero wysądzić sobie musiał. Cierpiał, ale z przekonania nie ruszył. Sterany pracą i boleścią,

umarł dnia 17. listopada 1889, pochowany przy kościele św. Barbary w Królewskiej Hucie. Prosty krzyż kamienny, postawiony ze składek publicznych, zdobi jego grób.

Ligoń to pierwszy polski samouk na Górnym Śląsku. Po wsze czasy zostanie wzniosłym wzorem dla utalentowanych dzieci naszego ludu, które dla ubóstwa rodziców nie mogą uczęszczać do wyższych szkół. Wskazuje im drogę kształcenia się o własnych siłach. Już jako chłopiec zdradzał nadzwyczajne zdolności i wielkie miał zamiłowanie do książek. Nieraz, pasąc bydło, tak się zaczytał, że o wszystkim zapomniał. Podobno stary książę koszęciński na własny koszt chciał go wysłać do szkół, ale stary Ligoń się oparł z obawy przed zniemczeniem syna. I kto wie, czy Ligoń z akademikiem np. wykształceniem byłby dla ludu swego to zdziałał, co zrobił jako prosty rzemieślnik i samouk. Czując niedostateczność swego wykształcenia, sam się uczył dalej, i przez to nie tylko powiększał swoją wiedzę, ale też wyrabiał w sobie podziwu godną energję. Czasem nie dojadał ani dopił, byle zaoszczędzić kilka groszy na ulubione książki, które i do pracy kowalskiej zabierał ze sobą, by je mieć pod ręką we wolnych chwilach. Podczas pauzy obiadowej jedną ręką jadł a drugą trzymał książkę i czytał, więcej dbając o pokarm ducha, aniżeli o pokarm ciała. Dopóki na Górnym Śląsku wychodziły pierwsze gazety polskie, wiernym był ich abonentem; gdy potem dla obojętności ogółu upadły, a od roku 1853—1853 Górny Śląsk został zupełnie bez gazet, zamawiał sobie pisma pozaśląskie, jak *Gazetę Polską*, *Przyjaciela Ludu*, *Gwiazdkę Cieszyńską*, *Wielkopolanina* i inne. Póź-

niej czytywał *Zwiastuna Górnośląskiego, Katolika, Gazetę Górnośląską, Kurjera Poznańskiego, Orędownika, Gońca Wielkopolskiego* i mnóstwo innych czasopism obok książek, których posiadał własną bibliotekę. Ale ta mu nie wystarczyła. Jego mecenas czyli opiekun i dobrodziej dr. Chłapowski opowiada, że czasem musiał z biljotek publicznych sprowadzać dla Ligoń dzieła większe, których ów sam nie byłby dostał a kupić nie mógł, gdyż były za drogie¹⁾.

Pierwszy swój wiersz Ligoń drukuje w r. 1858 w *Gwiazdce Cieszyńskiej* (Pawła Stalmacha), od tego czasu niezliczone korespondencje w pismach śląskich, wiersze, opowiadania, zbiory żartów, komedyjki, opowieści²⁾. W r. 1883 obchodził 25-letni jubileusz swej pracy literackiej, w którym żywy udział wzięli patryjoci śląscy. Ligoń, mimo iż gorący katolik, umiał przeciwstawić się tym księżom górnośląskim, którzy, przynależni do stronnictwa Centrum (niemieckie stronnictwo katolickie), nie zdążali za budzącymi się wraz z walką kulturalną uczuciami narodowymi gorętszych jednostek z ludu i garstki inteligencji świeckiej i duchownej. Biograf jego powiada: „Warto wspomnieć, że synowie Miarki zniemczyli się, że krewni XX. Bonczyka i Damrotha po wielkiej części czują się dziś Niemcami, nawet dzieci Piotra Kołodzieja, poety ludowego w Siemianowicach uległy germanizacji — ale Ligoń wszyscy Polakami!“.

1) O Ligoniu przepisuję z *Głosów nad Odry, Czwierćrocznik oświatowy dla ludu polskiego na Śląsku, II/4, Opole 1919: X. Szramek Znaczenie Juliusza Ligoń. Stamtąd przytoczenia. O nim również Kazimierz Ligoń, Poeci Górnego Śląska, krótki zarys historii literatury ludo-*

wej na Górnym Śląsku, odczyt wygłoszony w Tow. Miłośników Literatury w Warszawie, Akademji Umiejętności w Krakowie i Collegium Minus w Poznaniu. Z przedmową Jana Kasprowicza, Lwów - Warszawa, Książnica Polska, 1920 — pożyteczna książeczka wyliczająca wszystkich starszych pisarzy śląskich, nietylko robotników i chłopów.

²⁾ X. Szramek zestawia utwory Ligoń, które wyszły osobno: *Walka smutku z pociechą*, ułożył i skreślił Juljusz Ligoń, 1874. (Nakł. autora, druk Nowackiego w Mikołowie). *Ziarnko dla zasilku ducha*, zebrane w gumnie serca ręką od młota z miłości Boga, bliźnich i własnej duszy przez Górnoślązaka J. L. w Król. Hucie 1877 (w rękopisie). — *Obrona Wiednia*, skreślił dla braci Ślązaków Juljusz Ligoń. Poznań 1883, czcionkami i w komisie W. Simona. — *Pogadanki Wicczorne* w kalendarzach „Katolika“ na rok 1883 i 1884. — *Śmieszek czyli figle i dowcipy* zebrał J. L. Król. Huta (bez roku). — *Iskra Miłości z Górnego Śląska* czyli odłamek śpiewu historyczno-narodowego z melodjami. Skreślił i ułożył Juljusz Ligoń. (Leżało długo u Chociszewskiego, który to miał drukować; wyszło nareszcie 1919, nakładem Adolfa Ligoń w Katowicach).

325. Ojczyzna.

— — — boleść w sercu swoim czuje
Co jest wygnańcem we własnej ojczyźnie.
Gdzie obca siła język mu krępuje,
Gdzie niby w domu a niby w obczyźnie.
Niby trzy cnoty — trzy części ojczyzny
Trzy różne nazwy polityczne mają,
Noszą na sobie mniejsze, większe bliźny,
Lecz wszystkie serce jedno posiadają.
To serce wszystkim dla ojczyzny bije,
Niby dzwon z wieży, pociechy i żale,
Bo w niem duch jeden, jedno czucie żyje,
I jedna wiara i kościół na skale.
Za nic kaźń wszelka lecącym nad chmury,
Za nic granice dla uczuć i ducha,

Ufajmy, że Bóg próśb naszych wysłucha.
Ześle pociechę dla ojczyzny z góry¹⁾.

¹⁾ X. Szramek dodaje: „Niejeden Ślązak dzisiaj jeszcze mówi, że nie jest Polakiem, bo się w Niemczech narodził“. Ligoń już przed kilkudziesięciu laty poczuwał się do braterstwa z całą Polską.

326. [Cała Polska].

Kaszubi, Staroprusacy, Mazurzy i Warszawiacy,
Wielkopolanie, Ślązacy, wszyscyśmy bracia Polacy.
I dalej pod Karpatami, też jednym duchem tchną
z nami, na Litwie i Królewiaci, wszyscyśmy jedni
rodacy. Więc kochajmy się wzajemnie, bo tak Bogu
jest przyjemnie; niech miłość z nami wciąż żyje
i jedno serce w nas bije!¹⁾.

¹⁾ To prostacze dość rymy, lecz ich wagę historyczną i moralną pojmie, kto sobie uświadomi, że to był wielki dla prostego człowieka wynalazek, wówczas, w tym kraju, w tym wychowaniu, tak czuć, kiedy jeszcze dziś wielu tam ludziom takie odczuwanie jest zbyt abstrakcyjnym, jak na ich pojęcie.

327. [Zaszczyt polskości].

(*Kurjer Poznański*, 34/1875).

— — O, to jest wielkim dla mnie zaszczytem, że
Pan Bóg dał mi się urodzić z rodziców polskiej
narodowości. W tym to ukochanym polskim naro-
dzie najwięcej znajduje się świętych, z których moż-
na brać wzór do cnotliwego życia. W tym to polskim
narodzie najwięcej sławnych rycerzy, którzy tak
dzielnie Europę a i Niemców piersiami swemi za-
słaniali od nieprzyjaciół, Tatarów i Turków okrut-
nych. W tym to kochanym języku polskim znajdu-

je się tyle miłych wyrazów łączących się z Bogiem, jak w żadnym innym.

Tego też więc języka, tej mowy, którą od Boga przez kochanych rodziców w spuściźnie otrzymałem, nie zamieniałbym nigdy na inny, i życzę każdemu co jego, ale nie opuszczę swego! I dlatego jest zaszczytem dla mnie, że mam tyle książek, z których mogę czerpać wiadomości o moim narodzie i z których mogę pouczać się, żeby nie być głupcem — — —¹⁾.

¹⁾ W kwietniu 1875 żandarmerja urządziła u Ligonia rewizję, podczas której znieważano brutalnie jego i jego żonę, zabrano mu wszystkie książki (które jednak mu później zwrócono, ale stracił pracę). W odpowiedzi na te szykany napisał korespondencję, z której wyjątek zamieszczam. Nie są to puste słowa u niego... Widać z nich, jak patriotyzm łączy uczucie godności z uczuciem historycznym.

328. [Słuchajcie wrogi dokoła...].

— — — Słuchajcie wrogi dokoła: Któż Boga pokonać zdoła? Daremna wasza mozoła. Napróżno się wielu sili, by kościół, język zgubili, napróżno je w grób wkładają i kamieniem przywalają, napróżno tam stoją strażę, gdzie im kościół stać nie każe, napróżno lud prześladują, w różnych pismach okłamują, daremne wszystkich nadzieje, bo Pan Bóg się z głupich śmieje. On powiedział: Jam obrońca, będę z kościołem do końca! Na opoce zbudowany, nie zmogą go piekła bramy, a cóż człowiek słabowity, dzisiaj żywy, jutro zgnity! Gdzież Herody i Anasze, Piłaty i też Kajfasze? Ich trupy już dawno zgniły, dusze są gdzie zasłużyły. Chrystus dziś z triumfem powstał, Matkę i uczniów pocieszał, tak kościół znów pocieszy, triumfu jemu przyspieszy.

Tylko kochajmy Go szczerze! Bądźmy mocnymi we wierze a ufajmy i wytrwale cierpmy ku Jego chwale¹⁾.

¹⁾ Ten wiersz w stylu prawdziwie ludowym, napisany był podczas tzw. „walki kulturalnej“ którą rząd pruski pod przewodem Bismarka wydał Kościołowi w r. 1874; główny ciężar tej walki spadł na katolików polskich.

Jan Kupiec.

Włościanin z Łąki pod Pszczyną (1841—1909), żyjący w niezmiernie skromnych warunkach, nie mając często pieniędzy na papier, pisał na torebkach i papierze do pakowania towarów; niezwykle płodny, napisał rymowany opis wesela śląskiego pt. *Cyganka* oraz poemat epiczny, drukiem ogłoszony, pt. *Sejmik w Jassach, poprzedzający konfederację targowicką*, skąd wiersz poniżej cytowany¹⁾.

¹⁾ O nim E. Rybarz w pożytecznej książeczce zbiorowej: Dr. Stanisław Komar, E. Rybarz, Dr. Aleksander Szczepański, *Górny Śląsk*, bez daty, nakł. Okręgu Śląskiego Związku Obrony Kresów Zachodnich; daty urodzenia i śmierci z notatek dra W. Olszewicza; wiersz zamieszczony w książeczce K. Ligonja, l. c.

329. [Renegat].

— — Taki przy pierwszym zdračnym podmuchu
Upadnie całkiem na swoim duchu,
I on się odtąd stanie nieczuły
Na wszelkie krzywdy i zelżywości
Swych obyczajów, narodowości,
On jest jak arkusz próżnej bibuły,
Na którym pisać po swojej woli
Może wróg jego i krzywdę braci

I to, co jego ojczyzna traci.
On powie: mnie to wszystko nie boli.
On wzgardzi swoje ojczyste progi
A chętnie kłania się przed obcemi.
I swą ojczyznę tak radby z sobą
Sprzedać albo też zabrać do grobu,
Więc chciałby zostać albo kramarzem
Swojej ojczyzny, albo grabarzem. — — —

*

Piotr Kołodziej, z Siemianowic (1853—1931), komedjopisarz ludowy, szereg jego utworów scenicznych wydano w Poznaniu, grano je bardzo chętnie w teatrach amatorskich, (wedł. notatki dra W. Olszewicza).

Wymieniają jeszcze górnika **Lisa** który w r. 1840 wydaje *Modlitwy i pieśni dla górnika*, robotników **Piecha**, **Wilczka**, **Hutnika**, **Michała z Bytomia**, **Daniela Szędzi-
lorza**, prócz nich wielu innych chłopów i robotników pisuje do pism śląskich, wiersze i publicystykę. Ładny wiersz przedwcześnie zmarłego **Augustyna Świdra**, który doczekał się odrodzenia Polski, ale jeszcze nie przyłączenia Śląska do Polski, przytacza Rybarz l. c. skąd wyjątek:

Augustyn Świder.

330. Powitanie Polski.

— — Daj mi Boże ucałować rolę, Polskę
świętą, wiernie wsławić Twoją Świętą wolę nie-
pojętą!

Daj mi Boże płakać jako dziecię Matki wolnej,
łzami memi zrosić cudne kwiecie ziemi polnej!

Daj mi serce wierne dla wolności aż do końca,
niech mi świecą blaski do starości wolnego słońca!

*

Wymienię tylko tych inteligentów, którzy czy to zbierają śląskie opowieści gwarowe, czy to sami w gwarze śląskokatowickiej tworzą; są nimi Stanisław Ligoń, Ludwik Łakomy¹⁾, Ludwik Kobiela, Emanuel Imiela;

prócz nich jest na Śląsku spora literacka gromadka innych, „tubylców“ i przybyszów, głównie z b. Galicji (por. *Zaranie Śląskie* XIII, 2 V, 1937).

1) Por. recenzję: Ludwik Łakomy, *Kwiaty na haldach*, górnośląskie legendy górnicze, Katowice, (nakładem księgarni T. Mikulskiego): „Gdy w czerwcu 1922 gen. Stanisław Szeptycki na czele oddziałów wojskowych obejmował imieniem Rzeczypospolitej Śląsk, witał go 78-letni ślepiec, Wawrzyn Hajda, cieszący się sławą śląskiego Wernyhory. Od oślepienia w 30 roku życia, ten górnik, umiejący tylko czytać, został w Wielkich Piekarach nauczycielem śpiewu chóralnego, komponował jako skrzypek, melodje kościelne i świeckie, dostarczał ludności książek polskich i tak niemi, jak przedewszystkiem opowiadaniem legend religijno-narodowych i przepowiedniami krzewił i krzepił polskość Ślązaków. Legendy jego zaczął spisywać już ojciec autora, potem on sam, a uzupełniwszy ten zbiór opowieściami górników, wydał je obecnie w dialekcie śląskim.

W przedmowie twierdzi, że jak *Pan Tadeusz* jest pomnikiem staropolskiego świata szlacheckiego, *Skalne Podhale* pomnikiem góralszczyzny podhalańskiej, a *Chłopi* pomnikiem kultury włościańskiej, tak te *Legendy* ukazują duszę rzeczywistego Górnoślązaka, ponurego, zaciętego, twardego, ale zdolnego do wyższych porywów tam, gdzie trzeba hartu i zaparcia się, jak na wojnie, w masowych demonstracjach, przy manifestacjach uczuć narodowych, a zwłaszcza religijnych. Bo górnik, narażony codzień na gniew żywiołów, jest głęboko religijny, jak o tem świadczą jego legendy. — — — Prócz swoistej fantazji i szczerego sentymentu działa na czytelnika przepyszna gwara górnośląska, z którą już po powolnem przeczytaniu jednej legendy całkowicie się oswajamy“ (*Kurj. Lit. Naukowy*, 18/37. T. S.).

Ślązacy Opolscy.

Na tle niezmiernie smutnem, wobec zacierania gwałtownego wszelkich śladów polskości (600 nazw

wsi i miast zniemczonych, niszczenie polskich napisów na Bożych Mękach), przy „propagandzie“ za zmienianiem nazwisk, przy nikłych i nic nie znaczących szczątkach polskiej szkoły, przy zagarnianiu polskiej młodzieży przez milicję hitlerską, przy tępieniu polskości nawet przez księży, w ten sposób widocznie próbujących zaświadczyć o swej lojalności wobec reżymu, przy istnym huraganie niemieczyny wiejącej przez ten kraj, i co gorsza, przez dusze wielu pomiędzy tym ludem, mimo to wszystko jeszcze się tam trzymają Polski dusze szlachetne, jeszcze tam garstka polskich pisarzy świadczy, że nie całkiem ta kraina przepadła...¹⁾

¹⁾ „Dawniej lud ten miał wałą pomoc w patriotycznym duchowieństwie — dzisiaj nie ma prawie zupełnie księży rodaków. Przedtem działały liczne zastępy inteligencji, które jednak opuściły te strony. Pozostał tylko lud roboczy i wiejski, zdany tylko na siebie. I jeżeli jeszcze uświadomimy sobie, wiele ten lud wycierpiał w czasie powstań, jak nieustannie jest teroryzowany, pozbawiony książki polskiej (istnieją zaledwie dwie biblioteki powiatowe), nie mający możliwości kształcenia swych dzieci w języku ojczystym (na całym Śląsku Opolskim, na półmilionową masę ludu polskiego, tylko 118 dzieci uczy się po polsku!) — to musimy podziwiać jego odporność na wrogie zakusy. I tem droższe muszą się nam wydawać te jednostki, które działają wśród ludu“ (J. Opolczyk, art. cyt.).



Jan Opolczyk w art. *Polscy pisarze ludowi na Śląsku Opolskim (Zaranie Śląskie, XIII/2)*, wymienia tych, o których poniżej:

Jakób Kania ur. się w r. 1872 w Siolkowicach pod Opolem, chodził do szkoły powszechnej, potem do rolniczej, odsłużył wojsko, tam poznał nauczyciela Robotę, który go pouczył o Polsce, zaczął teraz pisywać do *Gazety Opolskiej* wydawanej przez tamtejszego znanego działacza Bronisława

Koraszewskiego, był na wojnie we Francji, potem w powstaniu śląskim, tułał się, w końcu wrócił do swoich Siolkowic, odsiadywał za patriotyzm 6 miesięcy więzienia, bierze udział w działalności Związku Polaków, otrzymuje odznaczenie od rządu polskiego, pisuje wiersze okolicznościowe i patriotyczne (Jakób Kania, *Wiersze Śląskie*, wyd. trzecie, Środa 1936, nakł. Drukarni Średzkiej (Środa we Wielkopolsce. Por. cytację 331).

Teresa Odrzańska (pseud.), z młodszego pokolenia, ur. w Raciborzu, skończyła szkołę powszechną niemiecką i kursy handlowe, była urzędniczką, obecnie zredukowana, jest najstarszą córką licznej rodziny ciężko borykającej się z losem; zamieszcza w opolskich *Nowinach Codziennych* wiersze, przeważnie religijne, w dobrej polszczyźnie literackiej, melodyjne i rzewne.

Jacek Radziej (pseud.; drugi pseudonim Morcin Kapusta), dziś liczy około lat 50, syn górnika, sam też początkowo górnik, potem kończy szkołę handlową i pracuje w spółdzielniach polskich, podczas wojny na wszystkich frontach, skąd pisze korespondencje do dzienników, pisuje gawędy, sztuki teatralne, anegdoty itp. „Typowy i uparty śląski samouk o wrodzonych zdolnościach“.

Józef Matros z Grąbczoka w pow. opolskim, rolnik, syn rolnika, ur. w 1858, ma tylko szkołę powszechną, odbył służbę wojskową, sprawuje liczne funkcje samorządowe i obywatelskie, jest gorliwym czytelnikiem gazet, podczas plebiscytu bierze w nim żywy udział, ulega prześladowaniu, napadom, rabunkom; pisze przygodnie, nie drukuje (prócz ulotki na cześć wizytatora biskupiego, kard. Koppa, 1911), pisze na czem się da, „na odwrotnych stronach formularzy“, itp., wiersze wygłasza sam na różnych uroczystościach wiejskich i parafjalnych.

Z „inteligentów“ jak ich nazywa Opolczyk — wszyscy z młodszego, powojennego pokolenia — wymienia on Edmunda Osmańczyka, poetę, przebywającego w Berlinie, autora tomiku *Wolność jest słoneczna*; Ciołka, pisarza teatralnego, wystawianego przez zespoły amatorskie; nowelistę i poetę Stacha Górnika, drukującego w pismach

śląsko - katowickich (*Zaranie Śląskie*, XIII/2, maj 1937 zamieszcza wiersz Osmacińczyka *Wiosną*, w którym poeta woła do Polski:

„— — — słuchajmy pieśni wichru szumiącej codzien! Codzień!

Słuchajmy polskiej pieśni, co morzem się kolebie...

las szumi, zboża szumią, oddycha ziemia niebem,

hej, dumna to pieśń nasza, potężna i radosna:

to wśród jesiennych narodów szumi NARÓD WIOSNA!“

Szlachetne te rymy, a tem bardziej wzruszające, że wyśpiewał je ktoś, co wyrósł z ziemi, na której ktoś inny chlubi się swą „wiosną“...

W tymże nrze *Zarania* wiersz Stacha Górnik *Chrystusie* i *Odrzańskiej* *Lulaj Jezuniu na śląskiej ziemi*).

*

Jakób Kania.

331. Przy oddaniu bukietu nowożeńcom.
(*Zaranie Śląskie*, XIII/2).

Idę do was nie z kolasą, nie z wozem, tylko jedynie z tym tu darem bożym. Dziś w tym dniu ślubnej uroczystości przynoszę Wam w darze coś z mej szczerości. Gdybym ja to była¹⁾ z bogatego stanu byłby lepszy bukiet, nie z pokrzyw i krzanu. Ale i ten bukiet już wiele powiada, gdy właściwość jego dobrze się tu zbada, a właściwość taka krzanu z pokrzywami jest ogólnie znana, wiecie o tem sami: Pokrzywa, choć zielona jak inne rośliny, nie daje się zrywać jakoby maliny. Zaś krzan, gdy użyty bywa na surowo, choć niektórzy mówią, że to bardzo zdrowo, to pali on w ustach, pali i w żołądku. Użyty warzono smakuje w porządku. Z tego dla Was państwo jest nauka taka, żeście już nie jeden lecz gracie dwojaka. Tak jak krzan z pokrzywą, którzy oba palą, lecz dobrze użyci sami siebie chwala, tak Ty panie młody, tyś rodziny głowa, przyjmij też odemnie te napomnień słowa: Gdy o twojej żonie, źleby się gadało, tak ci będzie

chodzić jak o twoje ciało. Tak jak od pokrzywy ten będzie sparzony, któryby się ważył trącić honor żony. A Ty pani młoda, posłuchaj mej gadki, że życie małżeńskie, to nie same kwiatki. Gdy przyjdą złe chwile, byś nie zwyrodniała i swoim językiem jak ten krzan szczypała! Niechbyś w przeciwnościach, niby te orleża, umiała się podnieść, żeby miłość święta zawsze górą była, życie wam słodziła, żebyś wszystkie sprawy miłością swarzyła. A żeby jak krzan dobry gotowany, tak też wasze życie było bez nagany. Niechbyście na bukiet długo pamiętali, a siebie wzajem szczerze szanowali ²⁾.

1) „Gdyby ja to była“: wiersz w ustach starościny.

2) Dobry przykład obrzędowej wymowy ludowej; wiersz ten jest już na pograniczu ustnej twórczości ludowej; poprawna metryka, czysta polszczyzna tego wieśniaka z Opolskiego, z niektórymi elementami słownikowymi gwarowemi (gracie: rzecz, swarzyć: godzić).

*

Z pośród prowincjonalnych pisarzy górnośląskich (licząc jeszcze po dawnemu, razem Śląsk Katowicki i Opolski), należy z pośród dawniejszych wymienić przynajmniej Józefa Lompę, organistę i nauczyciela, patrijotycznego autora wierszy, gawęd, korespondencyj ze Śląska, który na siebie ongiś zwrócił uwagę Kraszewskiego; Karola Miarkę, powieściopisarza i publicystę, redaktora *Katolika*, księży: N. Bonczyka (por. notkę do r. XXIX) i — szczerych patrijotów polskich, obu poetów, Konstantego Damrótę, oraz wodza części księży czynnie narodowo usposobionych prałata Skowrońskiego; wszyscy ci i inni pisali w drugiej połowie w. ub.

INNI.

Królewiacy (prócz wymienionych w poprzednich rozdziałach).

Stanisław Poraj w art. *Poezja ludowa w Królestwie Polskiem*, *Krytyka* (1909, III/147) podaje poetów

ludowych: **Konrada Szydłowskiego** chłopca z pod Kocka, **Janka Pszczeliniaka** (napewno pseudonim), który wzywa do zakładania szkół, walki z tytoniem, monopolką, bójkami, przekleństwami, itp. nałogami, **A. Ziębę** który wpada w nutę Konopnickiej, **Michała Lazarczyka** który układa kolędy patryjotyczne (wedł. notatki Seweryna).

Obieżysasi w Niemczech.

Lud XXXIII podaje w art. pt. *Pieśni i wiersze polskich robotników w Niemczech*, prócz tekstów pieśni zapisanych przez K. Wróblewskiego w konsulacie R.P. w Szczecinie, które do studjum niniejszego nie należą, także i wiersze ze zbioru radcy I. Ziętkiewicza, drukowane w *Dzienniku Berlińskim* w latach 1929 i 1930; znajduję tam 11 nazwisk robotników i robotnic rolnych, pochodzących z województw zachodnich i środkowych; wiersze wcale poprawne, dziewczęta lepiej trzymają się w tonie pieśni ludowej, co, jak już wiemy, w poezji ludowej drukowanej nie jest objawem zbyt częstym... Większa izolacja kulturalna lepiej się przysługuje oryginalności (samorodności)...

Marjanna Miśkiewiczówna.

332. Żalósne lamenty.

(*Dziennik Berliński* 92/930).

O jak smutna wiosna również w tym roku,
Bo niejednej matce łza zabłyśnie w oku,
Gdyż te matki nasze w Polsce pozostają
A córki swoje znowu Niemcom posyłają,
Lecz posiew radości w sercach matek wszędzie,
Gdy z końcem jesieni znów grudzień nadejdzie.
Wtedy dobre matki wspomną sobie o nas

I przyślą fureczki na granicę po nas
A na miły widok dobrego konika
Do domu jadącym serce radość przenika.
Otwórzcie matki bramy! wołamy wesoło,
Bo stęsknionych córek wraca do was koło.
Matki bramy otworzą, córki powstają,
„Witajcie córeczki z niemieckiego kraju!
Czegoście doznały przez to lato całe?
Pewnieście odniosły zyski doskonałe?“

Ach, żyłyśmy naprawdę jak ryby bez wody,
Zaznałyśmy biedy, nędzy, wszelkiej niewygody,
Pieniądze, paszporty, wszystko zabierajcie,
Jeno nas do Prus już nie wysyłajcie! ¹⁾

¹⁾ Oto dobry przykład bezpośredniej i prawdziwie ludowej poezji, gdy język już jest dobrze opanowany, ale poeta jeszcze nie zaczerpnął szablonów poezji literackiej, jeszcze tkwi cały w prostocie ludowej; inne wiersze dziewcząt w tym rodzaju; miłość do matki, skarga na konieczność „obieżysastwa“, radość z powrotu do domu, narzekania na przykrości podczas służby obcym.

Pisarze ludowi grupujący się przy czasopiśmie „Prosto z Mostu“.

Zwracałem się do paru pism, w których pisują młodzi pisarze ludowi, jeden tylko p. Stanisław Piasecki, red. tygodnika warszawskiego *Prosto z Mostu*, dał mi chętnie kilka informacji:

Wincenty Stojek, którego nowela była drukowana, działacz Wiciowy, syn małorolnych z Kongresówki, samouk.

Władysław Frącz, autor kilku artykułów i opowiadań, syn małorolnych z Kieleckiego, samouk, działacz współdzielczy.

Józef Mejkut, syn włościański z pod Izbicy nad Wieprzem, szkoła powszechna (polska), gospodaruje na wsi, drukował jedno opowiadanie.

Aleksander Błachnio, syn małorolnych z Prędocina w Siedleckiem, szkoła powszechna (polska), pracował w Warszawie jako chłopiec u węglarza roznoszący węgle, wrócił na wieś, zaczął pisać, parę opowiadań drukował w *P. z. M.*, obecnie w Warszawie, gdzie się wziął do regularnej nauki; czytelnicy *P. z. M.* składają się na dalsze jego studia¹⁾.

¹⁾ **Nęcza Kubiniec**, który pisuje do *P. z. M.* jest osobno traktowany (r. XXIV); o **Władysławie Tylce** z Poronina, który drukował w *P. z. M.* dwa opowiadania gwarowe, p. Piasecki nie unie podać mi bliższych szczegółów. Natomiast nie należą do ludowych, wedle mego kryterjum (aczkolwiek są ludowymi z pochodzenia, z tematyki, z ideologii, z używanej częstokroć gwary*), bo mają albo gimnazjum, albo dokończony (lub niedokończony) uniwersytet: **Wincenty Burek**, nowelista, którego *Droga przez wieś* (1936) uzyskała tyle powodzenia u krytyki, jest synem włościan z Sandomierskiego, gimnazjum w Sandomierzu, obecnie stale w Warszawie; **Wojciech Skuza**, poeta i publicysta, syn włościan z Kieleckiego, polonistyka w Krakowie, obecnie stale w Warszawie; **Roman Koseła**, najstarszy z wymienionych, lat około 40, nowelista i historyk, syn włościański, gimnazjum w Sandomierzu, tam osiedlił się; znany poeta **Stanisław Młodzeniec**, ze wsi Dobrocie w Sandomierskiem, jest profesorem gimn. im. Batorego w Warszawie; **Stanisław Stefan Gębala**, nowelista, syn małorolnych chłopów z Zabna nad Sanem (pow. Radomyśl, woj. Lwowskie) skończył gimnazjum, wrócił na wieś, po śmierci ojca objął gospodarkę na kilku morgach. Nie wystarczało to na życie, więc dopomagał sobie pracą jako murarz w Jarosławiu. Przez jakiś czas bawi w Warszawie „podania o stypendjum nie chciał składać, natomiast poprosił mnie o wyrobienie mu gdzieś pracy murarskiej; obecnie [list z sierpnia 1936] już pracuje jako murarz, wieczorami czyta i studjuje“. O **Józefie Mortonie** bliższych wiadomości mój informator mi nie podaje (por. Uwagi wstępne do działu Beletryści).

*) Por. Dodatek 4.

Reportaże konkursowe NOWEJ WSI.

Miesięcznik ten, „organ Literatów Ludowych w Polsce“, będący dalszym ciągiem wydawnictwa *Wieś i Jej Pieśń* (pod redakcją Antoniego Władysława Mirka w Naprawie, a pod faktycznym kierownictwem Marjana Czuchnowskiego), ogłosił konkurs na reportaże, nowele, wspomnienia, który przyniósł 30 utworów pisarzy ludowych, przeważnie początkujących (ale między nimi i „kształcący się synowie chłopscy“). Wyniki drukuje *N. W.* w r. 1936. Czytelnikowi, który zna już *Pamiętniki Bezrobotnych* i *Chłopów*, utwory te nie przynoszą nic rewelacyjnego; owszem mamy styl wcale wyrobiony, ale nie znajdujemy nic podobnego do szczytowych pozycji u *Bezrobotnych*. W wyjątku z noweli jaki dajemy, autor władający mową obfitą i obrazową, obawiam się, manieruje się jako naśladowca Reymonta (lub Wiktora?). Naturalnie nie może to być liczone jako ujma, bo naśladownictwo wyższych, nawet z niebezpieczeństwami zmanjerowania, jest konieczne u niższych, jeżeli mają rosnąć. Ale jeszcze raz okazuje się, że wszelkie nadzieje na stworzenie osobnej, o własnych niezastąpionych swoistych walorach, jakiejś „literatury proletarjackiej“ jest fikcją. Są samorodne silne talenty, ukryte wśród masy — i jest jedna dobra literatura, poprostu literatura, ani ludowa ani pańska — a dobra literatura ludowa zbliża się ku tej literaturze normalnej, jak może i jak umie.

Kazimierz Piotr Nowak¹⁾.

333. [Walka na polu].

(Z noweli *Bunt*, *N. W.* 8/36).

— — Srożył się na koniu ciężką kurzawą słów, pienił burzyną ślin, jak rozwścieczony w swoim

korycie rwący potok, bryzgający ulewą piany. Przed nim stał, jak na zorotę [*sic*], podśmiewujący się pogodną twarzą Zaciek. To doprowadziło bestję do wybuchu. Ciętem uderzeniem pięści lunął go między oczy, że tamten zgiął się wpół, pojękując zcicha. Ale to było mało. Kopnął go w brzuch, i powalonego tratował koniem, klnąc w niebogłoty, nie zważając na jęki i płacz krzywdzonego.

Ale poruszyło zato towarzyszy. Jeden przez drugiego pędzili ku nim, dźwigając, co kto mógł złapać, na pomoc. Na ten widok, panicz wyrwał z za pasa rewolwer i palił w rozgorączkowany tłum, kładąc trupem co śmielszych. Nie powstrzymało jednak tłumy. Rzucili się na nich i tłukli, bili, tratowali. Nie widziałeś już nic, tylko potargany kłęb ludzkich postaci, uwikłany w potwornych skrętach, jakby powróslanych przegubach, w jedno ścisnięte, gorące rojowisko ciał, pulsujących krzykiem gniewu, jękiem zarzynanych bydła, kwikiem śmierci, dyszących krzykami zwycięstwa nowych, a śmiercią drugich — starych. Górowało nad tem, rwiąc się poprzez zaśpione dno powietrza, coś ryczące wrzaskiem buntu, rozlewające się turkotem po okolicy, zarywające się po kwaśnych jamach i bruzdach rozgniętego bagna i mułu, tchące stugębnem echem po sękatych, gruzłatych u koron ścianach borów, gdzieś zdała wylażających, szeroką garścią obejmujących równie pół. I nic.

Tylko krzyk i ból, posępność i smutek, wiały mrozem od bezwładnej ciżby ludzkiej. I tylko krwawo zachodzące słońce patrzyło czerwonym okiem na zapasy walczących ludzi za swoje krzywdy, farbując zieloną ruń oziminy, krwistymi smugami purpurzystej, jednolitej w swej ciągłości treści barw, zda się wiszącej w powietrzu lekkim kołtunem.

Zabijali panów, w pierwszym, życiowym swoim buncie — za krzywdy... Podnosili hardo, uznajone czoła, widząc, że wszędzie rodzi się już, nowy czyn!²⁾.

¹⁾ Ur. w r. 1919, w pow. łęczyckim, pochodzi z gospodarki 10-morgowej, kończył 7-klasową szkołę powszechną.

²⁾ Nie potrzebuję zapewniać, com już zaznaczał, że nie odpowiadam za poglądy przytaczanych pisarzy — a dla czego przytaczam i tych, z którymi się nie godzę, wykładam w Przedmowie. Tu mamy próbkę wymarzonej przez niektórych „literatury proletarjackiej“...

Wojciech Augustyn¹⁾).

334. Tęsknota za wiedzą.

Od lat najmłodszych, wtedy kiedy to po raz pierwszy zacząłem uczęszczać do szkółki wiejskiej, a poznawszy dokładnie cele i korzyści jakie daje nauka (czytanie, samokształcenie) pokochałem naukę, książkę tak, jak się poprostu wyrażę, nie miałem wyobrażenia iść dalej w życie bez nauki, bez książki. Nauczyciel widząc moją „tęsknotę“, pocieszał mnie jak tylko mógł, a kiedy mi przyszło już na zawsze opuścić progi szkolne, wtedy powiedział do mnie: „Wojciu, czytaj tak dalej książki, ucz się sam, żal mi cię...“. Na te słowa jego wypowiedziane, powstały mi łzy w oczach... łzy gorące — a sercem szarpał ból... okrutny, tak że nie miałem sił wy dobyć ze siebie słowa i w milczeniu opuściłem na „zawsze“ progi szkolne. Jeno mi te słowa wychowawcy pozostały w pamięci, wryły się w serce jak w głąz kamienny. Słowa te pozostały mi jedyną pociechą i bronią w mojem życiu pełnem łez, smutku, goryczy i bólu...

Mimo że wszelką cenę starałem się sam dalej uczyć, a mojem marzeniem było, żeby dostać się do wyższych szkół, czego nie osiągnąłem i to jest największym ciosem dla mego serca — czego dziś nie żałuję, tak bardzo, bo gdybym był osiągnął tę tęsknotę... — i poszedł dalej się uczyć do miasta, to napewno dziś zginąłbym dla wsi, w tem hulaszczem życiu miejskiem, dziś napewno wstydziłbym się swojej wsi rodzinnej, swoich braci, swojej matki, jak się to dziś trafia... — nie widziałbym tej nędzy wsi dzisiejszej, tego narzekania, tego płaczu i łez... nie widziałbym tej wielkiej niesprawiedliwości, która jest swym prądem skierowana do tej szarości, do tego ludu siermiężnego, do tych rąk czarnych od pługa...

I tak mi upływały te chwile smutne i nieraz gdzieś sam w ukryciu płakałem, żaliłem się. — Żaliłem się tym szarym zagonom, kołyszącym się łanom chlebnym, — żaliłem się tym łąkom pełnym kwieciami, po których uwijały się pszczoły, zbierające miód. Żaliłem się temu wschodzącemu i zachodzącemu słońcu... — żaliłem się szaremu śpiewakowi skowronkowi, żaliłem się księżycowi.

Lata moje minione to jeden długi bez końca żal tęsknoty za wiedzą, która jest dla naszego życia tak potrzebną, jak czarny chleb codzienny. — Mimo tego wszystkiego, co napotykałem na tej drodze życia i napotykam, nie upadałem, bo mi książki były tą iskrą, tą siłą do dalszej drogi. I dziś tylko mogę ocenić jak wielką daje korzyść nauka i samokształcenie. Gdyby tak cała wieś polska to rozumiała, na co jużby chyba był czas, to napewno w niedługim czasie osiągnęlibyśmy to, czego nam synom wsi najbardziej brakuje tj. poszanowania nas.

Wtenczas moglibyśmy podtrzymać egzystencję naszego wsiowego życia i iść moglibyśmy na równi z postępem cywilizacji.

Ale u nas jest z tem jakoś inaczej. Patrzymy się obojętnie na to wszystko co się obecnie dzieje... — Nachylamy się za lada podmuchem wiatru, nie trzymamy się swego głosu... głosu ziemi... myśmy powinni iść tylko za głosem ziemi, i zatem co z ziemi wychodzi, bo z niej żyjemy, ona nas żywi, i tylko dla niej powinniśmy mieć szacunek. Gdyby było takie zrozumienie pomiędzy nami, to wspólnymi siłami bylibyśmy zdolni usuwać nawet największe głazy rzucane pod nasze spracowane nogi — przebrnęlibyśmy śmiało i odważnie te kolce, o które tak często musimy sobie ranić nasze stopy — nie byłoby tyle narzekań... — nie byłoby tyle na naszych wiejskich cmentarzach świeżych mogił, kryjących nieraz rozpoczęte życie, młode, w kwiecie wieku przerywane nędzą... życie, któreby mogło z pożytkiem pracować dla idei dla drugich. Tego wszystkiego możemy uniknąć między innymi przez naukę, samokształcenie, uświadamianie się. — — —

¹⁾ Wojciech Augustyn, wieku, miejsca urodzenia nie podaje. Jest członkiem „Znicza“. Zamieszkały we wsi Jażwina k. Pilzna (woj. Krakowskie).

Konkursy pamiętnikarskie.

Pierwszym, w r. 1921, był konkurs Polskiego Instytutu Socjologicznego w Poznaniu, na „najlepszy życiorys pracownika, napisany przez niego samego“; nadesłano 149 prac (por. r. IV, V, VI, w Tomie I). — W r. 1931 Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie rozpisuje konkurs na „pamiętnik bezrobotnego“; nadesłano prac 774 (por. r. IX w T. I). — W r. 1933 tenże Instytut ogłasza konkurs na

„pamiętnik chłopca“; nadesłano prac 408 (por. r. X i w Dodatkach). — W r. 1936 tenże Instytut ogłasza konkurs na „pamiętnik emigranta“; wyniki dotychczas nieopublikowane. — W r. 1935 Instytut Socjologii Wsi przy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego ogłasza konkurs na „pamiętnik działacza społecznego na wsi“; nadesłano ogółem pamiętników 404, w czym włościanie uczestniczyli w 77⁰/₀, tj. 311 pamiętnikami (por. w Dodatkach). — Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach ogłosił ankietę, napisaną przez prof. Bujaka, rozesłaną do szeregu rolników małych, średnich i większych, na której wynikach opierał się W. Bronikowski w swem dziele *Drogi postępu chłopca polskiego*, Warszawa 1934 (*Biblioteka Puławska* nr. 41); na wyliczonych 113 uczestników ankiety przy 26 podano: „gospodarz“. — T. S. L. we Lwowie rozpiśało konkurs na „opis wsi“; nadeszło (1937) 19 odpowiedzi zespołowych z województw b. Galicji, dotychczas nieogłoszonych. — Razem więc wymienione instytucje rozporządzają, (prócz niewiadomej mi liczby pamiętników emigranckich) 1587 pamiętnikami ludowymi, wzgl. opisami wsi.

Pierwsi mowcy ludowi.

Dr. Józef Putek (*Pierwsze polityczne występy włościanstwa polskiego*, Kraków nakł. Domu Ludowego Wisła, bez daty [1934]) opracował udział włościan galicyjskich w Konstytuancie wiedeńskiej w r. 1848 i w pierwszym Sejmie galicyjskim w r. 1861. Podaję wyjątki z przemówień z okazji „dyskusji serwitutowej“¹⁾.

¹⁾ „Była to pierwsza polityczna rozprawa przeprowadzona między chłopami i szlachtą galicyjską“ — szło o te „las y i pastwiska“... Za czasów pańszczyźnianych chłopci korzystali z dworskich lasów i pastwisk. Gdy pańszczyzna została (w 1848) zniesiona, wyłoniła się sprawa służebności czyli serwitutów chłopskich na posiadłościach dworskich; powstały spory między chłopami przywykłymi do używania dworskich lasów i pastwisk, a obszarami dworskimi. W r. 1853

wydany został „patent lasowy“, na mocy którego miała nastąpić regulacja stosunków przez komisje administracyjne, w tym celu postanowione, które jednak pracowały bardzo powoli i niedbale; wobec tego strony spierające się udały się do sądów cywilnych, w których znalazło się tysiące sporów serwitutowych, przewlekłych i kosztownych. Wobec tego w dniu 16 kwietnia 1861 w Sejmie lwowskim został złożony przez przywódcę posłów chłopskich Jana Siwca, posła żywieckiego z kurji wiejskiej, wniosek o wyłonienie w każdym powiecie osobnych sądów przysięgłych polubownych, ale obdarzonych prawem definitywnej decyzji: „Tym sposobem usunie się zawadę najglówniejszą do budowania piękniejszej przyszłości na podstawie zgody i chrześcijańskiej miłości dla naszej wspólnej ojczyzny“. O Siwcu powiada Putek: „Z lekceważeniem i nienawiścią traktowany reprezentant włościactwa jako „intruz niepatryjotyczny“, zawadzający w Sejmie, wykazał, czem był w rzeczywistości. Sprawa zatargów między dworami a wsiami stała się sprawą polityczną dla rządu austriackiego, który z tego kapitału politycznego procenta już w r. 1846 inkasował. Przewlekanie uregulowania spornych spraw serwitutowych leżało w interesie austriackiej centralistycznej biurokracji. Tę grę chciał przeciąć poseł Siwiec i w imię doprowadzenia do społecznej zgody, zaproponował uczynienie z politycznej sprawy serwitutowej — sprawy społecznej, regulowanej przez same zainteresowane strony w drodze polubownych sądów przysięgłych, powołanych przez strony zainteresowane: „cesarski chłop“ zgóry wyłączał od regulowania zatargów społecznych ck. rząd i ck. biurokrację“. (Wniosek ten został zastąpiony innym podobnym Ziemiałkowskiego, odesłany do zbadania do Wydziału Krajowego, skąd już nigdy nie wyszedł na światło dzienne. Tymczasem nastąpiła ugoda z rządem, inicjowana przez namiestnika Galicji Gołuchowskiego, „za którą rząd zapłacił szlachcie galicyjskiej oddaleniem 30.000 skarg chłopskich“).

Co do Siwca, który kilkakrotnie zabierał głos, to ten nie jest „mówcą ludowym“, ściśle w tem znaczeniu jakie tu przyjęliśmy, gdyż był niedokończonym księdzem (z teologii na dziesięć lat wzięty do wojska jako, rzekomo, „komunista“; jego przemówienia, gdzie dowodzi, że na Zachodzie, tj. w krajach zach. austrj., „każdy obywatel pojmuje, że jest człowiekiem i przez Pana Boga wyższemi uczuciami natchnio-

nym“, nie tchną niczem specjalnie komunistycznym: tylko dzięki takim przekonaniom powstał naród współczesny).

Prócz Siwca przemawiało kilku innych już całkiem autentycznych chłopów.

Józef Sawka.

335. [Dlaczego chłopci w Galicji nie umieją po niemiecku, 12].

(Wiedeń, 1848).

Chłop w Galicji nie ma mieszkania, odzienia, niczego, wszystko stara się mu wydrzeć dziedzic. Chłop nie ma z czego żyć, a więc i do szkoły nie może chodzić. Mieszkańcy Galicji muszą sporo rzeczy gdzieindziej kupować, proszę niech sobie Wysoka Izba wytłómaczy, dlaczego nie mamy nikogo, coby umiał po niemiecku¹⁾.

¹⁾ Przemówienie to, przesadne i demagogiczne, wygłoszone jednak zostało po niemiecku, w obronie tych posłów chłopskich, co po niemiecku nie umieli, a zostali z tego powodu wyrugowani. Warto było przytoczyć tę „mowę“, aby zmierzyć całą przepaść pomiędzy nią a mową w r. 1936 w Nowosielcach, nie mówiąc już o tej na rynku tarnopolskim w r. 1920... (Możliwe jednak, że Sawka, z pow. gródeckiego, pod Lwowem, był Rusinem).

Wawrzyniec Szpunar.

336. [Podajmy sobie ręce, 53].

(Lwów, 1861).

— — z czystym sumieniem myślę sobie i o innych sprawach, naprzykład co do lasu. My las rachujemy za największe dobro, bo jak nie będzie lasu, to czemże będziemy palić, lub czem budować, a przecież, panowie, las jest dobrem publicznem (*śmiech*). Prawda, że są panowie, którzy poustępowali gromadom wręby jeszcze za polskich królów,

ale są także i drudzy panowie, co się wodzą po sądach z człekiem za lada płatew lub krokiew (*mówcy dalej słyszeć nie można, wielki szmer w izbie*). Podobnie dzieje się także z pastwiskami i gruntami, które gromady posiadały za czasów pańszczyźnianych. Ale to tam o tem wszyscy wiedzą. Albo z pustkami co się dzieje... To o tem już nie gadać... (*mowca znowu zupełnie niezrozumiały i niedostyżalny*). Proszę panów nie śmiać się ze mnie, bo ja mam 70.000 dusz pod sobą. Jestem tu jako poseł, który ma się upomnieć o prawa gromadzkie i dowiedzieć się co się też z niemi stanie...

Upraszam panów, aby się chcieli zastanowić nad temi krzywdami, ale na co nam się trudzić od komisji do komisji, czego oczywista potrzeba a ma się zrobić: niech każdy wejdzie w swoje sumienie. Nam nie trzeba komornika, ani adwokatów, podajmy sobie tylko ręce, abyśmy byli w jedności i żyli na wieki.

Maciej Czechura.

337. [Z jednego ciała i jednej kości..., 53].
(Lwów, 1861).

— — Dobrze, śmieć się panowie, albo nie, to mi zajędo, ale mi nie przeszkadzajcie, bo ja tu już trzynaście dni siedzę, a jesczem nie przyszedł do słowa... Ja uważałem na to, co p. Adam Sapięha gadał, co my się ze swojakami nie kochamy, ino z Niemcem jak ze sobą trzymamy.

Gdyby panowie uznali co nasze i oddali nam grunta, które nam zaprzeczają, to wtenczas byłaby między nami miłość braterska, a tak to do zgody nigdy nie przyjdzie. I słyszałem ja p. Ziemiałkowskiego, żeby zaprowadzić sądy polubowne, bo te

byłyby lepsze może niż te dawne, kiedy trzeba było dwadzieścia lat się procesować. Może być, że się tym sposobem nasze sprawy prędzej ukończą, a zawsze by to było lepiej iść zgodą, bo to my jednakowoż z jednego ciała i jednej kości (*oklaski*). I mojem życzeniem byłoby to, moi panowie, żeby to tak po dobremu można się było ułożyć, oddać co nie twoje a wziąć co swoje. Bo jak człek dostanie się do procesu, to jak mówią proces utraci gęsiora, zanim dostanie kaczora.

XXXIII.

Bezimienny bezrobotny.

338. [Skarga bezrobotnego].

(Z *Pamiętników Bezrobotnych*, str. 323, robotnik z Łodzi).

— — Gdyżem usłyszał o redukcji wieść, to aż mię na wskrós przeszedł śmiertelny dreszcz.

Na moje życie nadciągnęły czarne chmury wkrąg, bo uciekła mi już praca, uciekła z moich rąk, i zgasły już promienie radości dla mnie na tym świecie, i trzeba skończyć w smutku, biedzie i nędzy to doczesne życie.

Ciężko jest mi żyć, bo nie jestem jeden, ale mam rodzinę dużą, bo aż osób siedem, i na jednym łóżeczku sypia pięcioro mych dzieci, kiedyż mi, ach kiedyż lepsza gwiazdeczka zaświeci.

Jedno woła, mamusiu, daj mi trochę chleba, drugie woła, mamusiu, książeczkę mi trzeba, trzecie woła, tatusiu, kup mi buty, bo nadchodzi zima, a czwarte płacze, że sukienki niema.

Piąte, mamusiu, jest mi zimno, kup mi koszulczkę, mamusiu jestem głodna, daj mi raz malusią bułeczkę, za cóż wam kupię moje dziatki, kiedy

niema grosza, popatrzcie na moje nóżki, zem jest sama bosa¹⁾).

Tatusiu, wołają dziatki, daj nam co lepszego zjeść, bo czarna kawa już nam spaliła młodziutką pierś, i tak z głodu i zimna, dzieci nasze zrzedzą, a ja z moją żoną płaczem nad tą nędzą. Nie mamy pracy, nie mamy chleba, a żyć trzeba, a żyć trzeba, i skurczony drzę, bo i mnie jest zimno, ach, jakie straszne przedemną stanęło życia widmo.

Wałęsam się po ulicach za pracą, całkiem na duchu stargany, bo żyć bez pracy, to gorzej, to gorzej niż u rąk kajdany. Każdy się na nędzarza patrzy: to jest bezrobotny i każdy się śmiertelnie wzdryga, bo to los sromotny.

Po wilgotnych ścianach woda się jak ze zdroja leje, a przez dziurawe okno do izby mroźny wicher wieje, i w tej ciężkiej niedoli, jestem na wpół żywy, i w tem doczesnem życiu całkiem nieszczęśliwy.

Gospodarz z miną groźną wchodzi w swą misję — zapłać lokatorne, bo jak nie, to dam ci eksmisję, a ja cały drzę ze strachu, i serce we mnie kołacze, bo już lokatorne przeszło rok nie płacę. —

Żona moja narzeka na miłość, którąśmy się kochali, i żeśmy to marne życie dzieciom naszym dali, żebyśmy byli pierwiej w młodości pomarli, niż na te ciężkie czasy małżeństwo zawarli.

Serce we mnie pęka, gdy patrzę na nasz niedostatek wielki, gdy dzieci moje jedzą same z wodą kartofelki, i wszyscy nieraz idziemy spać, posileni tylko czystą wodą z solą, ach, zmiłuj się Chryste, zmiłuj nad naszą niedolą.

Niema co jeść, czem się okryć, nie ma i gdzie mieszkać, i tak w tych męczarniach trzeba śmierci

czekać, przebac, ach przebac Ojczy, prosimy cię
dzieci, niechże też jeszcze, niechże Twoja łaska nad
nami zaświeci.

Dajcie mi pracy, dajcie, żebrzę o nią wprost,
ach, jaki starszny zawisł nad nami los, przebac,
ach, przebac, Wielki Boże, myśmy są grzesznymi,
zmiłuj się nad nami, zmiłuj Królu Nieba, Ziemi.

¹⁾ Jest może pewną gruboskórnością wobec tej tra-
gicznej skargi bawić się we „wplywologję“, ale dla wskazania
jak poezja ludowa chętnie używa gotowych wątków, przytoczę
wyjątek z *Pieśni o starej kowalce*, powstałej w okolicach
Tomaszowa Mazowieckiego, około r. 1905 (ale mającej swoje
poprzedniki dawniejsze):

Ach Bożesz, mój Boże, z wysokiego nieba,
Któż moim sierotom da kawalek chleba?
Żeby jedno, dwoje, tobym poradziła
A tu dziewięcioro, czem będę żywiła?
Jedno chce koszulki, a drugie sukienki,
A trzecie chusteczki, a czwarte majteczki,
A piąte chce chleba, a szóste bułeczki,
A siódme chce mleka, ósme kolebeczki,
Dziewiąte chce piersi, a pokarmu nie mam,
Stoję między niemi, łzami się oblewam.

Z POEZJI WIĘZIENNEJ.

339. [W areszcie]¹⁾.

W Krzeszowicach mieście siedziałem w areszcie,
Za jaką przyczynę? Ukradłem bucynę!
Oj! Cóż mi zrobili, chociaż mnie wsadzili?
Czegom ja nie umiał, tam mnie nauczili.
Sędzia mnie nauczył śpiewać i tańcować,
Kluczny mnie nauczył kraść i dobrze chować.
Przynosił z pałacu do sądu rebuchy,
— — —²⁾.

Na górę mnie wiedli, dekret mi czytali,
Tam ojciec i matka na mnie spoglądali,
Na dół mnie powiedli, tam żelazna krata,
Nie ścierpisz więzienia, zginiesz z tego świata.
Oj synu, mój synu skutu,
Nie chciałeś mnie słuchać, masz żelazne buty,
Żelazne masz buty i burą sukmanę,
Ja się ciebie wstydzę, jak przy tobie stanę.

¹⁾ Wiersz ten już z pogranicza pieśni ludowej, znajduje się w książeczce Jacka Stodoły, *Krakowiaki*, 1880, wydawnictwo *Pieśń Polska*, Białá, nakł. Józefa Jurczyka; wiersz ten podał mi dr. J. S. Harbut, (który część jego przedrukował w swym *Małym Rzymie*, Warszawa 1936, III, 101).

¹⁾ Wiersz ten, już z pogranicza pieśni ludowej, zgłaszanie uważam za niebardzo pożądane...

340. Modlitwa więźnia ¹⁾.

Noc księżycowa perlami rosi
I w duszy więźnia smutek podnosi.
Śpią wszyscy ludzie zmęczeni pracą,
Leżą więźniowie, bo im tak każą.
Serc tam dziesiątki tęsknotą bije,
Marzy o wolności, a szczęście czuje,
Lecz są tam okna zakratowane,
Co dzień dwa razy kontrolowane.
Na każdej celi pisze karteczka,
Trawaji forse wisi tabliczka,
Piętnaście, dwadzieścia, perpetuite ²⁾.
Umieraj człowiecze, kiedy ty chcesz.
Szczęśni sędziowie, co wyrok dają,
Gdzież oni serce i uczucie mają,
Czyż oni nigdy nie mieli Matek
Czyż oni nigdy nie mieli dziątek?

Ach Boże! Boże! Boże ty daj!!!
By mieli szczęście mieć choć raz ten raj,
By zasądziłi własne dziatki swe,
Trawaji forse, perpetuite.

¹⁾ Autentyczny wiersz robotnika polskiego we Francji, podany przez Jana Wiktora w T. II *Wierzb nad Sekwaną*.

²⁾ Travail forcé à perpétuité: dożywotnia praca przymusowa.

Z POEZJI ŻOŁNIERSKIEJ.

Zniczowiec.

341. Śpiew żołnierski¹⁾.

Ty moja dziewczyno żuć [*sic*] na mnie spojzenie,
jako na miłego, swojego lubego,
niechaj raz zobaczą twoje zasmucenie
o swego miłego i nażeczonego.

Gdy już granaty będom do nas rypać
to będziem padali, droge tamowali
bo wtenczas nie będziem sobie grobu kopać
byśmy szykowali i pogrzeb sprawiali
nie będzie też czasu rekwje zaśpiewać
tylko o północy i to w przyciszeniu.

Ty moja dziewczyno racz się za nas modlić
przed matuchną Boga gózkie łzy wylewać.
By nas wspomogła niebieskimi siły
i w wierze gorącej serca nasze utrwalila.
To choćby do nas granaty waliły
to oddziały nasze będom najwytrwalsze.

¹⁾ Z zeszytu (którego mi udzielił p. W. Skuza) wierszy pisanych przez chłopca, który odbył służbę wojskową, członka tow. „Znicz“; zeszyt pisany ręką niezbyt wprawną, nie-

ortograficznie; trochę ciekawych szczegółów do folkloru; utwór przytoczony nie jest według mnie, pozbawiony nawiązanego wdzięku.

Z SATYR LUDOWYCH.

Seweryn Udziela w *Ludzie X*, 45, zamieszcza kolendę satyryczną, którą ułożyła jakaś służąca z Podgórzia pod Krakowem (1895) i przesłała do jednego z księży Kanoników Regularnych przy kościele Bożego Ciała w Krakowie, w której szydzi z obrazu w jednym z kościołów krakowskich, przedstawiającego nawrócenie się Szawła, na którym to obrazie na pierwszym planie znajduje się koń, czem autorka kolendy jest bardzo zgorzozona, przypuszczając, że koń odbiera cześć religijną.

342. [Koń na ołtarzu].

Hej nam hej, hej nam hej! Jest tu ci koń siwy który
[czyni dziwy, hej nam hej, hej nam hej!
Tak ma bystre oczy że ledwie nie skoczy, hej —
Do góry spogląda na kościół wygląda hej — —
Na kolana staje ochoty dodaje hej — —
Pełen podziwienia skąd jemu kadzenia hej — —
O ty koniu siwy bądź że litościwy hej — —
Wspomnisz nas w Potrzebie wołamy do ciebie
[hej —
Dodej swego wzroku i swego widoku hej —
Zeby ci widzieli, kturzy posaleli hej — —
Co wupoże stoją niech się ciebie boją hej — —
Niech rozmyślą sobie w jakiej świat żałobie hej —
A więc tobie koniu przystoi na błoniu hej — —
Spaczyrować sobie nie w takiej ozdobie hej — —

Z LISTÓW LUDOWYCH.

Listy ludowe są na pograniczu pisarstwa ludowego i mowy żywej: Pisarstwa, bo są pisane, mowy żywej, bo ich celowość i nastawienie przy ich pisaniu nie są już temi, które charakteryzują pisarstwo; dla przykładu poniższe lapidarne liściki do niewiernej kochanki 18-letniego chłopca z Wampierzowa (pow. mielecki), których odpisu dostarczył mi p. Wojciech Skuza.

Chłopiec z Wampierzowa.

343. [Listy do niewiernej kochanki].

[I].

Żebyś ty Jółciu widziała,
jak dzisiaj spać nimoge,
tobyś do mnie przy leciała
żeby całować ci nogi.

A jabym cie wzion do siebie
tobyś wiedziała jak [jest] w niebie
ale że ty śpisz u siebie
to ja nimogę spać bez ciebie¹⁾.

[II].

Jak jeszcze chodziłem do ciebie,
to tak się czuem [*sic*] jak w niebie.

Naprzód to sie mie broniłaś
a potem to sie nie broniłaś.

Na żniwa coś sie w ogrudku schowała
to jagem przyszedł toś płakała.

A potem samażes bluske rozpiniała
jagiem cie całował to tyś mie całowała²⁾.

[III].

Jak będziesz czytać te słowa
to będziesz łażać się po rowie
albo sie możesz śmiać, pokazać Frankowi
jak ja cie lubiał niech on sie dowie,
tężeś mie nieraz obiecywała,
że tybyś mie nie odleciała
a teraz jemu tak gadasz
i za mną sie nie oglondasz.
Ja ci wierzyłem że ty mnie nie oszukasz,
a ty z niem hodzisz
boś ty jest suka.

A ty mu wierzysz bo on bogaty
a on sie śmieje z ciebie i z twojego taty,
Chodzi po wsi i ciebie poniewiera
i mówi że ty jezdeś zdzira.

Ale ci dobrze tak niech cie oszuka
boś ty nie panna ino suka.

Raz lubisz jednego
a potem znowu drugiego.

Ale sie nie ciesz ja do ciebie nie pójde,
ja chce mieć panne a nie h..de.³⁾

¹⁾ Rym przekładany oznacza zasadniczo wyższy stopień wyrobienia „rymarskiego“; ale rymy identyczne, wiersze ośmizgłoskowe (raz 7, raz 9) bez średniówki — to wiersz archaiczny; w treści czysta rzeczowość bez ozdób.

²⁾ Trudno lakoniczniej i bardziej rzeczowo opowiedzieć historję miłości, przyczem nie brak w tym lakoniźmie wdzięku jakiegoś... Wiersze bezśredniówkowe, albo z niewyraźną średniówką, wahają się od 8—12 zgłosek. Rym tylko gramatyczny.

³⁾ Utwór ten, któryby się podobał czytelnikowi, co znajdzie smak w tej nagiej i brutalnej w sprawach mi-

łosnych rzeczowości człowieka prostaczego, nie jest całkiem bez formy — i jest pod pewnym względem lepszy od niejednego z utworów Zniczowca: gdy tamten w dążeniu do regularnego układu rytmicznego, wypełnia często swe wiersze wącią bezsensu, a chcąc budować duże zdania wikła się w nich bezradnie, to tu, wiersz w swojej niezmiernie prostej treści okazuje zupełne przystosowanie treści i formy: dzieli się na jednostki dystychiczne, z których każda ma samoistny i zamknięty sens. W swojej nagiej surowości nie są te utwory pozbawione specyficznego, egzotycznego uroku.

* * *

Tak więc przeszliśmy całą drabinę naszego piśmiennictwa ludowego, od jego szczytów, gdzie się literatura ludowa zlewa w jeden stop z dobrą literaturą z wysokiego poziomu kultury narodowej — aż po szczeble najniższe, po najsurowsze pierwociny pisarstwa.

Stąd byłoby przejście do zagadnień i antologii twórczości językowej ludu nie pisanej, ale mówionej i śpiewanej¹⁾, już z istoty swej bezimiennej — ale to już nie jest w zamiarze niniejszego dziełka.

1) Por. prof. J. S. Bystronia, *Artyzm pieśni ludowej* i wybór pieśni ludowych w edycji *Biblioteki Narodowej*.

DODATKI.

1. Pamiętniki chłopów, serja druga.

W ślad za tomem pierwszym pamiętników chłopskich (por. r. XI w T. I), zasłużony dla poznania naszej rzeczywistości społecznej Instytut Gospodarstwa Społecznego pod kierunkiem prof. Ludwika Krzywickiego, wydał ze swego obfitego zbioru pamiętników dalszych 10; tym razem są to pamiętniki rozmiarami większe niż te, zawarte w tomie pierwszym owego cennego wydawnictwa. Charakterystyka ogólna, jaka im się należy, nie odbiegnie od tej, którąśmy dali zamieszczając wyjątki ze serji pierwszej — tyle że, jako obszerniejsze, dają jeszcze dokładniejszy obraz rozmaitych aspektów życia chłopskiego — i nie tylko chłopskiego, lecz i robotniczego, w kraju i na emigracji — gdyż nieomal wszyscy autorowie byli robotnikami i rzemieślnikami, przebywali przynajmniej jakiś okres swego życia po miastach (co jest, nawiasem powiedziawszy, dowodem, że literatury ludowej nie można badać rozkładając ją na dwa o s o b n e działy: robotniczej i wiejskiej); wszyscy jednak — jak podnosi w swym głęboko ujętym wstępie Marja Dąbrowska, „zmniejszą lub większą siłą krążą zainteresowaniami i stosunkami swemi około pracy na roli“, wracają ostatecznie na rolę, a „instynkt, który ich tam z powrotem ściąga, nie wykracza poza uprawnioną dążność do posiedścia utrzymania lub zaokrąglenia skrom-

nego samodzielnego warsztatu pracy“. Jak i w serji pierwszej, tak i ci tutaj są ludźmi, którzy prawie zawsze ponad swem środowiskiem górują, inicjatywą, inteligencją i udziałem w pracach społecznych. Jak i tam, wiele tu obrazów walki z „kryzysem“, jak i tam, okazuje się, że ulegli mu przede wszystkim ci, którzy byli gospodarzami postępowszymi i aktywniejszymi, ci bowiem wzięli się do inwestycji, zaciągawszy w latach tłustych łatwe pożyczki, których potem, gdy ceny płodów rolnych katastrofalnie spadły, nie mogli spłacić i popadli w długi i klęski, z których dopiero nadzwyczajnym i ciężkim trudem przyszło im dźwigać się. Obraz życia wiejskiego przed wojną, podczas niej i w odrodzonej Polsce, stosunków z państwami zaborczeni, potem własnem, z innymi warstwami społecznymi, i tutaj obfity, może obfitszy niż w pierwszej serji; więcej niż w tamtej wspomnień wojskowych, a także wiadomości o życiu małżeńskiem i miłosnem, niektóre relacje straszne, ale i tu, jak tam, dezynwoltury seksualnej niema. Rozpiętość poziomu umysłowego, stylistycznego, językowego, jak i tam, znaczna.

W r. 1937 druga serja pamiętników chłopskich otrzymała nagrodę *Wiadomości Literackich* ¹⁾.

¹⁾ Nagroda została rozdzielona między następujących autorów: 1. Wojciech Klata, 2. Walenty Jacoszek, 3. Jan Drabikowski, 4. Andrzej Urban, 5. Wojciech Surdyn, 6. Stanisław Sienicki, 7. Paweł Gawryluk, 8. Jan Skawski, 9. Bolesław Solecki, 10. Józef Blaszczyk*). We *Wiad. Lit.* 69/37, z 14 lutego t. r. znajduje się sprawozdanie z rozprawy jury, które, na wniosek M. Dąbrowskiej, udzieliło nagrody i jego orzeczenie: „*Pamiętniki chłopów*, serja druga, zawierająca dziesięć życiorysów chłopskich, nie zamierzonych jako dzieło

sztuki, jednak przepelnionych mnóstwem pierwiastków bezwiednego, lecz nieklamane go artyzmu — zarówno w epickim toku powieści, jak w spostrzeżeniach psychologicznych i w napięciu lirycznym, czy dramatycznym, odtwarzanych uczuć i wypadków. — Życiorysy są ponadto bezcennym dokumentem kultury i obyczajowości oraz poglądów na świat olbrzymiej większości narodu, która dotąd milczała i poza wdzięcznym folklorem była dotąd reszcie społeczeństwa nieznana. Stanowią też one pierwszorzędne źródło wiedzy o wartościach i możliwościach cywilizacyjnych wnoszonych w całość życia narodowego przez chłopca.“

W nr. 724/37 *Wiad. Lit.* w art. pt. *Dokument i literatura*, Dąbrowska broni tej nagrody przed zarzutami, iż udzielono jej za dzieło, które nie jest literackim, i że popierając publicznie tego rodzaju literaturę pamiętnikarską, otwiera się wrota grafomanji. Dąbrowska odpowiada, wskazując, iż istnieją „niezamierzone“ dzieła literackie i także dzieła sztuki — a pamiętnik, jako forma pisarska, częstokroć właśnie do owej kategorii niezamierzonych dzieł sztuki pisarskiej należy. Co do grafomanji, to stwierdza, iż „grafomanja jest silnie rozpowszechniona we wszystkich warstwach społecznych, a wiele płodów literackich życzliwie rozpatrywanych przez krytykę należy do tego gatunku. Nie można jednak z punktu pomawiać o grafomanję ludzi, którzy na wyraźne życzenie instytucji społecznej, zachęceni do tego i pobudzani, zdobyli się na mozolny nieraz wysiłek spisania własnego żywota“. — — —

I dalej:

„Wielka poezja tych życiorysów tkwi w tem co nazwałbym ich fabułą. Można powiedzieć, że wzbogacają one naszą ubogą i przeważnie naśladowczą literaturę przygód. Pod tym względem — jeśli mówić o przygodach w ich potocznym znaczeniu — najwyżej stoi pamiętnik Drabikowskiego, ta istna odysea polskiego chłopca. Zaznaczyć jednak trzeba, że dla tych ludzi, wolnych od wszelkiego zblazowania, ludzi o świeżej, naiwnej wyobraźni i zażartem umiłowaniu życia, najdrobniejszy szczegół codziennego bytu staje się przygodą, pełną soczystej nowości. Tutaj znów na pierwsze miejsce wysuwają się doskonali samorodni psycholodzy — Urban i zwłaszcza Gawryluk, u którego poczucie dziwności życia wznosi się miejscami niemal do wyżyn

hamsunowskiego pogodnego koszmaru codzienności. — Źródłem arcyzmu tej książki jest wreszcie fakt, że pisali ją ludzie, którzy wiele cierpieli, a cierpienie było po wszystkie czasy rodzicielem poezji. Nieubłagana srogość życia dawała się tym chłopom ciężko we znaki, a i to, co uważali za dobrą odmianę losu, niejednemu z nas wydawałoby się dość trudne do zniesienia. Ale najwięcej może złęgo zaznali, czy też najwięcej świadomości swego losu ujawnili Surdyn i Skawski toteż ich pamiętniki przenika największy patos gorczy, u Skawskiego — buntującej się, u Surdyna — zrezygnowanej. — Jeśli zaś nawet któremu powodziło się, a nieuchronne bóle życia wnet nagradzała ta lub owa pomyślność, jak u bogatego Błaszczyka, u Sienckiego i u Soleckiego, to żywioł walki z otoczeniem lub męczarnie duchowe, związane z szerszą działalnością, nadają ich wspomnieniom bujność, wartkie tempo i dramatyczny rozmach. — Najbardziej przeciętne są być może pamiętniki Klaty i Jacoszka, dwu Wielkopolan, u których wszystkiego jest trochę, lecz niczego nie dosyć. I oni jednak ze swym trzeźwym umiarem i spokojnym rozsądkiem nie są wyzbyci uroku, a postawą duchową przypominają Reya w jego *Żywocie człowieka poczciwego*. — Najogólniejszą legitymacją swoistego skromnego piękna tych prac będzie, jeśli powiem, że wypełnia je miłość życia przecierpianego. A taka miłość ma w sobie zawsze znamiona poezji albo religii. —“

*) *Wiad. Lit.* 699/37 z 9 podobiznami. Przypadkowe poniekąd odstonienie nazwisk tych bezimiennych pamiętnikarzy nie oznacza, jakoby między innymi tu przytoczonymi bezimiennymi, nie było również takich, których nazwiska wartoby znać.

*

Pamiętniki chłopów, serja druga, Warszawa 1936, Instytut Gospodarstwa Społecznego, z przedmową Ludwika Krzywickiego, wstęp Marji Dąbrowskiej (stron 895).

Stanisław Sienicki.

344. [Mały nauczyciel, 451].

(*Pamiętnik nr. 6, gospodarz rolny w pow. ostrowskim woj. Białostockie*).

Matka moja była kobietą skrzętną i pracowitą, a przytem bardzo pobożną. Miała dużą książkę do nabożeństwa, drukowaną grubemi literami. Ta książka była mi elementarzem, na którym nauczyłem się czytać. W zimowe dni i długie wieczory siadałem z książką przy matce gdy przedła i uczyłem się z takim zapałem, że matka była zmuszona książkę przedemną ukrywać. Prządki, które schodziły się do mej matki wieczorami, zdumiewały się nad mojami zdolnościami i orzekły, że będę kiedyś „człowiekiem“, i że mój pociąg do nauki pochodzi stąd, że nie ssałem piersi matczynej¹⁾). W szóstym roku życia mogłem już dosyć biegle czytać, a od jednego z sąsiadów nauczyłem się nawet trochę pisać.

Ojciec kupował mi kalendarze, a wreszcie na moją usilną prośbę opłacił do spółki z jednym z sąsiadów *Gazetę Świąteczną* wydawaną przez Promyka, niezapomnianego przyjaciela polskiego ludu, a w tej liczbie i mojego. Gazety oczekiwałem co tydzień jak najmilszego przyjaciela, a przy niedzieli odczytywałem ją głośno zbierającym się sąsiadom, którzy czytania chętnie słuchali. Powzięto myśl postarania się o książki do czytania na długie zimowe wieczory, które wypożyczano od księdza i gdzie tylko się dało. Ktoś we wsi miał książkę Sienkiewicza *Pan Wołodyjowski*, która tak mi się podobała, że czytałem ją niezliczone razy.

Kiedy skończyłem siedem lat, na moją usilną prośbę postanowił ojciec posłać mnie do szkoły.

Trudna to jednak była sprawa, gdy na całą gminę była jedna szkoła mogąca pomieścić 50 dzieci. Dopomógł mi szczęśliwy przypadek²⁾). Pomimo dorywczego tylko uczęszczania do szkoły ukończyłem ją nawet z nagrodą w postaci grubej książki rosyjskiej zatytułowanej *Opowiadania z życia rosyjskiego (Razkazy iz ruskoj żyzni)*. Gdy w czytaniu tej książki doszedłem do rozdziału, w którym było opisane jak to Taras Bulba, półdziki kozak, „rzezał“ Polaków na Ukrainie, spaliłem książkę na ognisku rozpalonym na pastwisku do pieczenia ziemniaków. W książce tej były niesłychane brednie o Polsce i Polakach. Takie książki były w bibliotece szkolnej — — —

Od tego czasu dobiega już czwarty dziesiątek lat. Spróchniały już kości Hurki, Apuchtina i innych twórców i wykonawców piekielnego planu zruszczenia Polski i zniszczenia jej narodowego ducha, a jednak ta Polska istnieje wolna i potężna, a to pokolenie, któremu nie wolno było uczyć się po polsku, wzięło czynny udział w wypędzeniu zaborców. Takie myśli przychodzą mi do głowy, ile razy zdarzy mi się być w Zarębach i przechodzić obok wspaniałego gmachu szkoły powszechnej, przed którym biega i po polsku szczebioce dzieciarnia, gdzie przed laty stała podparta słupami chałupa, w której ja pobierałem naukę, i w której nauczyciel Polak, przynajmniej dla oka, zabraniał polskim dzieciom rozmawiać po polsku w myśl zarządzeń swej władzy zwierzchniej.

W długie jesienne i zimowe wieczory w chałupie mojego ojca zbierała się zwykle cała wieś by słuchać czytania książek i gazet, które zawsze skądś mieć musiałem i słuchać opowiadań mego dziadka, który dużo przeżył i dużo pamiętał i opo-

wiadał o wojnach napoleońskich³⁾ i powstaniach polskich. Opowiadań tych słuchałem z wielką uwagą.

Moja umiejętność czytania tak podziałała na sąsiadów, że postanowili powierzyć mi nauczanie swych dzieci i powstała we wsi szkoła. Postarano się o deski, zrobiono duży długi stół na sztalugach, a wkoło niego ławy. Wybrano na szkołę największą izbę we wsi i nauka się rozpoczęła. Miałem wtedy lat jedenaście.

Ponieważ gospodarze byli wszyscy niezamożni, chcieli więc załatwić sprawę nauczania tanim kosztem. Mnie obiecali dać za fatygę po 30—50 kopiejek od dziecka, a jako podręczniki szkolne miały służyć dzieciom takie książki, jakie się u kogo w domu znalazły, a więc: książki do nabożeństwa różnej treści i wielkości, kantyczki, stare kalendarze, a niejedno z dzieci przyniosło sennik, echo trąby ostatecznej lub prorocstwo Sybilli, bo takie tylko książki można było na wsi spotkać. Przekonałem się w krótkim czasie, że nauczanie będzie w tych warunkach rzeczą niewykonalną. Zwołałem więc zebranie wiejskie, na którem starałem się wyjaśnić niemożliwość takiego nauczania, gdy jedno dziecko uczy się kolendy, a inne znowu modlitwy za dusze zmarłych. Niektórzy chcieli się nawet uczyć niesporów po łacinie, bo i te umiałem służąc za ministranta ks. Godlewskiemu. Po dłuższych szemraniach i sprzeciwach udało mi się jednak przekonać gospodarzy o słuszności moich poglądów. Zakupiliśmy elementarze Promyka i łupkowe tabliczki i nauka szła wtedy dość gładko.

Trudne miałem zadanie z nakazaniem sobie posłuchu i zaprowadzeniem w szkole karności. Do szkoły zaczęli uczęszczać szesnastoletni drągale i ta-

kiez pannice. Większość uczniów przewyższała mnie nie tylko wzrostem lecz i wiekiem, lecz i doświadczeniem w psich figlach właściwych w tym wieku. Toteż niektórzy moi uczniowie lekceważyli sobie takiego jedenastoletniego nauczyciela, a nawet usiłowali mnie wciągnąć w koło swych zabaw, na co mi nie pozwalała „powaga“ mego stanowiska. Takie za pan-brat moich uczniów ze mną nie podobało się nawet ich rodzicom. Zebranie nauczycielskie rodzicielskie odbyte pewnego wieczoru w szkole uchwaliło dosyć surowy regulamin, który miał odtąd obowiązywać w szkole. Mnie też nie oszczędzono wskazówek i napomnień względem nauczania, jak i samego prowadzenia szkoły. Postarano się więc o pomoce naukowe, czyli o porządną bat, łapę i woreczek gryki, a gospodarzowi domu, gdzie się mieściła szkoła, udzielono szerokich pełnomocnictw zalecając rznąć skórę każdemu wskazanemu przeze mnie łobuzowi, lub zapędzać do klęczenia gołemi kolanami na gryce, co było karą dosyć dotkliwą. W pojęciu ówczesnego starszego pokolenia uczeń, jeśli się miał dobrze uczyć, powinien był drżeć na sam widok nauczyciela, przyczem odwoływano się na własne przykłady. Z udzielonych mi uprawnień nie korzystałem, tak z przekonania, jak i z obawy, by moi uczniowie nie odwdzięczyli mi się w lecie za pasionkę, która była naszym wspólnym zajęciem.

W niedługim czasie po rozpoczęciu nauki, gdy odbywała się ona jeszcze na książkach do nabożeństwa, zjawili się w szkole strażnicy. Cóż to za szkoła — zapytał jeden z nich — a któryż nauczyciel? Ot! nie żadna szkoła, odpowiedział gospodarz — zlecieli się dzieciaki i bawią się książkami, pokazując sobie nawzajem litery.

Strażnikom wiadome było już moje nazwisko. Popatrzyli na mnie pobłażliwie, a przejrzawszy leżące na stole książki do nabożeństwa, zaopatrzone w cenzurę rządową i kościelną, doszli widocznie do przekonania, że niema tu nic takiego coby zagrożać bezpieczeństwu publicznemu lub całości państwa rosyjskiego, bo zmienili ton rozmowy i stali się dziwnie uprzejmi.

Dzieci tymczasem rozbiegły się po wsi, roznoząc wieść o pobycie strażników; wkrótce na stole znalazła się butelka wódki, bochenek chleba i duża patelnia smażonego mięsa. Strażnicy jedli, aż im się uszy trzęsły, bo na dworze był mróz. Zajechała wnet furmanka, która niezbyt miłych gości odwiozła do gminy. Więcej w ciągu tej zimy już nas nie napastowali, choć na wszelki wypadek przeniesiono szkołę do innej chałupy, położonej na środku wsi i w razie ukazania się strażników miano mnie ostrzec, by dzieci mogły rozlecieć się domów.

Przez szereg lat prowadziłem w ciągu zimowych miesięcy tajne nauczanie zarówno w swej wiosce, jak i w sąsiednich, ukrywając się przed czujnym okiem policji rosyjskiej, która mnie zawsze miała na widoku. Gdy szkoła nie zdążyła zawczasu pójść w rozsypkę, udawałem wobec strażników ze-strachanego i niewiedzącego, co czynię, w czem mi dopomagał mój dziecienny wiek i takiż wygląd, gdyż byłem chłopcem słabowitym i wątłym.

Z drobnych opłat za nauczanie mogłem się jako tako ubrać, a nawet opłacić gazetę i kupić parę książek.

Mam to przekonanie, że z podjętego zadania wywiązałem się dobrze, bo niejednen z moich ucz-

niów, a dzisiejszych sąsiadów, nauczył się w ciągu jednej zimy czytać i pisać po polsku⁴).

¹) Albo jakiś przesąd albo specyficzna logika pierwotna: jeśli jest coś niezwykłego w tem dziecku, to przyczyną tej niezwykłości napewno jest inna niezwykłość, bez badania, czy i jaki związek rzeczywisty między temi niezwykłościami istnieje. („Matka“, o której opowiada, była to maćchocha; matka odumarała go przy urodzeniu).

²) Wikarjusz X. Godlewski, zamiłowany czytelnik, ale słabego wzroku, wziął go sobie na lektora i wzamian trzymał go u siebie, we wsi gdzie była szkoła, wyrobiwszy mu w szkole miejsce.

³) Niemożliwym jest, aby dziadek autora mógł być żołnierzem napoleońskim, napewno opowiadał o przygodach swego ojca jako o swoich, a autor pamiętnika zaniedbał zrewidować daty.

⁴) Pamiętnikarz, urodzony w r. 1892, ze schłopiałej szlachty, syn rolnika na kilkunastu morgach, samouk, przez 7 lat uczeń, potem czeladnik bednarski, przez parę miesięcy pisarz sądowy, zresztą rolnik, jest jednym z najlepszych naszych pisarzy ludowych, a jego pamiętnik pisany polszczyzną poprawną, stylem żywym, pełen wiadomości bardzo ciekawych, zwłaszcza z czasu okupacji niemieckiej, pełen uwag inteligentnych, a nawskróś trzeźwych o wielu ważnych sprawach, zawsze ze staraniem o obiektywizm, należy do najcenniejszych płodów naszego pamiętnikarstwa, nie tylko specjalnie „ludowego“, i zasługiwałby na osobną odbitkę z *Pamiętników*, jako książeczka „budująca“; znowuż ten sam co u Berkana iście Smilesowski typ człowieka. Ten „mały nauczyciel“ nie zawiódł przepowiedni kobiet, że będzie „człowiekiem“: Przeszedłszy straszne i srogie koleje życia, zawsze się z nich zwycięsko podnosząc, ostatecznie utrwaliwszy byt swój rodzinny na 18-morgowym gospodarstwie, wątły ciałem, miał jeszcze czas, przy katastrofach rodzinnych, przebytej nędzy, ciężkiej pracy, brać udział w różnych akcjach społecznych, napisać książkę, która uzyskała pierwszą nagrodę na konkursie Naukowego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach i tamże została wydana (*Gospodarstwo na piaskach*, 1930, *Biblioteka Puławska*), prócz tego zaś 200

artykułów w pismach rolniczych i spółdzielczych. (*Wiad. Lit.* 699/37 podają m. i. podobiznę Sienickiego; przedwcześnie postarzały, ma wygląd, fizjognomję i ubiór, „prostego człowieka“; wogóle, z podobizn pamiętnikarzy tam podanych, widać, że urbanizacja wyglądu, nie tylko ubrania lecz i twarzy, nie wiele wspólnego ma z rzeczywistą oświatą człowieka. Sienicki, najoświeceniwszy ze wszystkich, wygląda „najprościej“).

2. Wiejscy działacze społeczni.

W r. 1935 Instytut Socjologii Wsi przy Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego pod kierunkiem prof. Władysława Grabskiego, ogłosił konkurs na „pamiętnik działacza społecznego na wsi“; nadesłano 404 pamiętników, w czym chłopcy samoucy 77% (311), resztę nadesłali rzemieślnicy, kupcy, urzędnicy spółdzielni, nauczyciele szkół powszechnych, urzędnicy państwowi i samorządowi, instruktorzy rolni, ziemianie; z pamiętników chłopskich I. S. W. wybrał 19 i wydał je jako I tom wydawnictwa zatytułowanego jak powyżej. Pamiętniki te są rzeczywiście obfite we wiadomości i poglądy, z którymi zaznajomiwszy się, nowo wstępujący w tę dziedzinę pracy działacze wiejscy, nie tylko gospodarczy, lecz i oświatowi, humanitarni, duszpasterze, będą mieli znaczną korzyść. Ze względu na tak wyspecjalizowany temat konkursu, ci pamiętnikarze stanowią w wyższym stopniu elitę wiejską, niż pamiętnikarze konkursu na „pamiętnik chłopca“. Mniej tu o wiele opowiadań o życiu prywatnym; niema tej rozpiętości co do wyrobienia stylistycznego i językowego co w tamtych pamiętnikach, ogólny poziom wysłowienia inteligencki, zresztą wydawcy, jak zaznaczają, poddali pamiętniki, umieszczając je w książce, stylistycznemu retuszowi. Całość utwierdza w tem,

nabytem podczas lektur poprzednich przekonaniu, że wieś polska posiada wielu ludzi bardzo dzielnych, z dużą inicjatywą, że typy przodownicze, zmagające się z bezwładem ciemnego środowiska, choć jako przodownicze, z natury rzeczy, muszą być czymś wyjątkowym, to jednak, jeśliby tak wolno rzec, te wyjątki, na szczęście, nie są czymś wyjątkowym...

*

Wiejscy działacze społeczni. Tom I: Życiorysy chłopów. Warszawa 1937, skł. główny Kasa Miąnowskiego, wydawca Instytut Socjologii Wsi Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

345. [Przodownik wiejski a zacofani, 88].
(*Pamiętnik nr. 6, gospodarz na 16 mg., b. wójt, z pow. łukowskiego (w Siedleckiem).*)

W r. 1916 zaczynają się pomiary, przy których spotykało nas dużo przykrości, bo oporni wychodzili z kobietami na pole, stawali na swoich rólkach, nie dając przez nie przechodzić geometrze z pomocnikami, zrzucali taśmy, wyrywali tyczki pomiarowe. Geometra ich często musiał „sztorcować“ niezgorzej, straszyć sołtysem i żandarmami, do której to ostateczności istotnie o mało że nie doszło. Ustąpili. Robota poszła trochę naprzód, ale oni znów się między sobą porozumiewali i nie chcieli geometrze posyłać ludzi do pomocy, żeby tym swoim niemądrym bojkotem utrudniać prace seleniowe¹). Ale ogłosiliśmy, że będziemy, bo mamy prawo, najmować ludzi na ich koszt po wysokiej cenie dniówki, a już tam żandarmi sobie poradzą

ze ściągnięciem kar. Ta groźba poskutkowała i narzeczcie, mrużąc i klnąc naprzemian, po jednym poddali się i do roboty przystąpili. Tylko kobiety, jako od mężczyzn przesądniejsze, zaczęły siać postrach, że jak geometra przeciągnie żelazną taśmę przez pola, to tam nic się nie urodzi przez trzy lata. Przez jakiś czas podnosił się wielki lament niewieści i męskie przekleństwa, że będą przezemnie głodować trzy lata. Mimo to jednak roboty były prowadzone w dalszym ciągu sprawnie i prawidłowo. W tym czasie spotkała mię klęska żywiołowa: 17 sierpnia 1917 roku w moją stodołę uderzył piorun paląc mi tegoroczne zbiory. W kilka dni potem przyjechał geometra i wydał wykończone już kolonje. Oporni zakrzyknęli:

— Dlatego Bóg pokarał S. za naszą krzywdę!

— A tak, ino szkoda, że w stodołę, lepiej ten piorun powinien być trafić w jego łysy łeb!

— Nic, nic, pocekojcie jesse, Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy...

Początkowo, kiedy po otrzymaniu kolonji każdy był rozczarowany, rozgoryczony i zniechęcony, wtedy padały pod moim adresem przezwiska, potwarze i insynuacje wysrane z palca i podyktowane przez ludzką złość i zawiść. Potem jednak zwolna wszystko to ucichło, ale gdy zaczęli się na kolonjach lepiej mieć niż na szachownicy, wtedy zwolna zwrócili się do mnie przyznając mi tę zasługę, że tak wydatnie pomogłem im poprawić byt, wbrew ich głupiemu oporowi.

W dniu 5 maja 1914 r. zorganizowałem parafjalne kółko rolnicze w W. w naszej gminie przy pomocy instruktora z Łukowa p. Ł. i właściciela majątku M. p. C. Jego też wybrano prezesem tego

kółka, a mnie wiceprezesem. Zebranie organizacyjne odbywało się na placu parafjalnym. Wyszli ludzie z kościoła i zebrała się ich spora gromada. Słuchali z wielką uwagą każdego z nas, w osobnej mowie zachwalającego pożyteczność takiego kółka. Zawiązano je bez większego trudu i myśmy wrócili do domu. Część ludzi również, ale pewna część została i posiadawszy w cieniu drzew pod parkanem kościelnym pogwarzyli sobie o tem co widzieli i słyszeli i co o tem myślą... Rozmowa ich da pojęcie o tem, jakimi kategorjami chłop polski myślał przed wybuchem wielkiej wojny. Rozmowa ich jest autentyczna.

— Zwiduje mi się, że nasz Ś. sprowadził tych panów nie bez kozery... Coś z tego będzie, bo ony nietylko zakładajom kółka rolnicze, ale tam gdzieś zrobiły takom wystawę, co to nasprawdzali wyborowego bydła, nierogacizny i pokazywali że tak mają wszystkiego dużo i wszystko dobrej rasy. Nawet i zboże tam było. Opowiadali mi, że to wszystko okazują poto, żeby wiedział Austryjok, że tak dużo wszystkiego majom, to on zrobi wojnę a ony będą mu pomagały...

— A psie ich niedocekание! Nas cysorz jest mocny, tak sie jem łatwo nie do! A ta ślachta, draństwo, ino myśli jak nazod pańszczyznę wprowadzić. Powstanie przegrali, to tero chcom wojny. Wszyćko na tego chłopia!

— Macie wy racje, a i to se weźcie na rozum, ze do owej wojny a bez wojnę do pańszczyzny, to im ten Ś. pomaga, choć i chłop, bo i sprowadza panów, z nimi zakłada kółka, potem wystawy, potem wojna...

—Bo on jest specjalista, do niego przyjeżdżały

dragony z Garwolina, ino ze im ucik.. A teraz się z panami zadał, to mu się Polski zachciało,

— Patrzajcie, ten Ś. taki młody chłop a tak już i tych chłopów naciąga. Nawet mu i ksiądz pomaga, ale przecie ksiądz z panami i socjalistami trzyma, bo mu się chce Polski i pańszczyzny. Przecie jak Ś. w Ł. kółko zakładał, to ksiądz z ambony nakazał się zapisywać.

Z boku odzywa się F. J., młody średni gospodarz:

— Stareśta, ale głupie ze olaboga! Kółka rolnicze to nie są na żadnon: wojnę, ino po to zeby się uczyć, jak lepiej gospodarzyć. Ten z brodą co tu buł dziś z Łukowa, to instruktor i on nas poucy, jak mamy poprawiać nase gospodarstwa, zeby częściej chlib jeść i rubla powąchać. A wy tu o wojnie...

— E, plecies, sameś taki, a moześ się z nim zwąchał? Powiedział raz ten Ś. zeby rżysko zara po żniwach podorywać, a ja se myślę: Nie głupim! Na rżysku krowę popasę do zimy, to mi mlika do, a z podorywki to co mi to? Nie jemu mlecakowi ucyć starych gospodarki!

— Same pleciecie, ja ta jemu wierzę. — —²⁾.

[96] Kółko rosło dobrze, prosperując ku ogólnemu zadowoleniu. W dniu 12 marca 1915 roku na posiedzeniu kółka postawiłem wniosek o założenie kasy kredytowej, co udało mi się przeprowadzić — — —

¹⁾ Grunta były rozbite na przestrzeni kilku kilometrów.

²⁾ Takich obrazków daje więcej. Ostatecznie jednak prawie zawsze udało mu się z pomocą światlejszych i odważniejszych zrealizować swe zamiary. Powstała mleczarnia, piekarnia, odbywały się kursy hodowlane, założono półka doświadczalne, wprowadzono nasiona selekcyjne, założono szko-

łę, zorganizowano opiekę nad ubogimi itp. (Autor pamiętnika, ur. w 1887, nauczył się pisać i czytać przygodnie, od sąsiadów, podczas wojny brał udział w P. O. W., po wojnie jest członkiem Stronnictwa Ludowego, zapoznał się w ostatnich latach z aresztami, ale jak zapewnia, rąk „nie założył beczynnie“, pracując dalej w ruchu spółdzielczym).

³⁾ Uwagi o konserwatyźmie, por. I, 64—66.

3. O uprawnieniu gwary.

Ukazanie się antologii podhalańskich poetów dało sposobność do pewnych rozważań ogólniejszych na temat ujęty jak powyżej, które tu, z jednego z pism literackich¹⁾, częściowo streszczam, częściowo dosłownie powtarzam, w tej myśli, iż, jeżeli ta książka dostanie się w ręce — jak się spodziewam — niejednego z młodych a inteligentnych pisarzy ludowych, to rozważania poniższe mogą być dla nich nie bez pożytku. Muszą one być poprzedzone zastanowieniem się o samemże uprawnieniu gwary w życiu kulturalnego narodu i dopiero na ich tle uwydatni się właściwy sens, estetyczny i kulturalny, literatury gwarowej.

Czy wolno używać gwary w literaturze — pytanie takie, niecałkiem bez sensu, postawione zostało przed laty, i to nie przez kogo innego, tylko przez tak ludową w swych intencjach i melodjach poetkę, jak Konopnicka...²⁾ Pytanie to, nie całkiem, powiadam, bez sensu, bo jest jeszcze inne, nie z antydemokratycznej płynące wątpliwości. Gwara izoluje lud wiejski i roboczy od świata ludzi wykształconych — i jest to normalną dążnością ambitnego „prostego człowieka“ pozbyć się piętna swojej „prostaczości“, umieć z ludźmi wykształconymi porozumieć się bez trudności, wyrażać się tak jak oni, bez pomyłek i bez śmieszności, poprostu oderwać się od mowy ludowej; tendencję tę widzimy u znakomitej większości pisarzy ludowych — i trudno nie uznać jej za legalną i nawet pożądaną: pożądaną, bo tym sposobem ułatwia się porozumienie warstw wewnątrz narodu. Jest to zjednoczenie się narodu w kierunku pionowym; ale i w kierunku poziomym, pożądanem jest, aby się rozprzestrzeniał centralny język narodowy, z natury rzeczy inteligentki i literacki; widzi się jawną słuszność tego postulatu na kresach.

Z drugiej strony jest faktem, że się rozwija poezja gwarowa, i że — (zjawisko z innej dziedziny) — razem z postępującą centralizacją państw, występują ruchy autonomiczne dzielnicowe, których odpowiednikiem literackim bywa częstokroć literatura posługująca się językowo gwarami i dialektami. Te fakty należy zrozumieć. Są to ruchy ideowe z natury swojej podobne do ruchów narodotwórczych; tutaj tego tematu nie mam miejsca rozwijać; wskażę tylko na styczność ruchu literackiego ludowo-gwarowego i w ogólności ruchu tzw. „kultury ludowej“ z inną ideą, w najszerszym jej znaczeniu.

Ruch „kultury ludowej“ ma sens ochraniarski: Jak się broni gór przed zabudowaniem ich, zwłaszcza w stylu miejskim, pewnych krajobrazów przed budowniczymi-pudełkarzami, starych drzew przed wyrębem, starych gmachów przed ruiną, powietrza przed hałasami maszyn śpiewających i dudniących — tak się broni swojskiego rodzaju zabawy i sztuki przed zapomnieniem, a to wszystko znaczy, że broni się wsi przed miastem, czyli inaczej: rozmaitości przed jednostajnością, czyli inaczej: życia przed maszyną, czyli jeszcze inaczej: osoby przed niwelacyjną centralizacją. Ruch kultury ludowej może iść płytko, więcej na pokaz, albo może iść głębiej i rzeczywiście — to już inne sprawy w które tu nie chodzę — ale taki jest istotny jego cel i wartość: Idzie o to, żeby (ujmując to bezpretensjonalnie) zachować dla wsi zabawę, zabawę rytmiczną i barwną, żeby wieś miała w niej ozdobę swego życia przy szarej ziemi, ozdobę wyprowadzoną ze swej własnej i właściwej sobie psychiki i natury.

Ale nie będziemy i nie możemy upierać się przy staroświecczyźnie za wszelką cenę, nie możemy i nie chcemy traktować wsi jako rezerwatu folklorystycznego: psychiczna dezizolacja wsi musi iść dalej, i na to nietylko nie ma rady, ale nawet we wielu wypadkach dezizolacja ta jest pożądana; więc jakże się przedstawi sprawa z tą „kulturą ludową“? Trzeba się zrezygnować na to, że ona musi być czemś poniekąd sztucznym. Ale gdyśmy już użyli tego słowa, to ukazuje się nam odrazu nowa perspektywa: od sztuczności do sztuki — perspektywa artystyzmu: Rozwój artystyczny folklorystycz-

nej zabawy ludowej ukazuje się nam jako warunek jej przetrwania. Mówmy poprostu: Te widowiska znudzą, staną się monotonne, gdy nie będzie w nich postępu w kierunku stylizacji artystycznej, gdy braknie artystycznej rywalizacji. To co w życiu się zachwiewa, to przez życie sztuczne w sztuce może żyć dalej i, w pewien sposób, wyżej³⁾. Weźmyż tylko strój ludowy; jak badacze mody ludowej stwierdzają, moda ta we wieku ub. aż do naszych czasów idzie powszechnie w kierunku większego urozmaïcenia motywów, bogactwa ornamentyki, żywszej kolorowości, to zrozumiałe: strój ludowy we wieku niwelacji demokratycznej załamuje się, odrzucają ten chłopski mundur, ale jeśli się gdzie utrzyma, to dzięki temu, że wypiękniał (przynajmniej w subiektywnym poczuciu tych, co go noszą): taka nadkompensacja była tu warunkiem jego przetrwania. Co się nie rozwija, to zanika, a co zanika, ażeby się mogło obronić, musi zacząć rozwijać się, jeśli już nie w życiu praktycznym, to przeniesione w sferę życia estetycznego.

To wszystko odnosi się i do gwary ludowej, jako integralnej części kultury ludowej. Czy utrzymywać gwaraę? Utrzymywać jako tworzywo poetyckie. W mowie codziennej i literaturze prozaicznej (publicystyce politycznej, gospodarczej, moralistycznej) będzie się gwara cofać — już zresztą cofnęła się ławą — i na to rady nie ma i wszelkie pod tym względem przymusy (konwensowne) wobec pisarza ludowego byłoby nieodpowiednie; wszelka sztuczność w tym kierunku byłaby nieprzyjemnym „paradebauerstwem“; zresztą, jak długo utrzyma się mało-rolny typ wieśniaka, pracującego więcej rękoma i koniem niż maszyną, jak długo utrzyma się chata wiejska ze świętymi obrazami na ścianie i z polami za płotem, jak długo utrzyma się rodzina wiejska, z matką-gospodynią, staranną o dzieci i domowników — a nie mamy powodu wątpić, że to wszystko utrzyma się — to i tak długo utrzyma się ta wieśniacza postawa ducha, która się charakterystycznie, w mowie codziennej, wyrazi stylo- i słowo-twórczo, choćby nawet mowa ludowa asymilowała się fonetycznie i stylistycznie do miejsko-inteligenckiej, i choćby się niwelowały różnice lokalno-gwarowe. Ale pełniejsze życie gwary może być ocalone tylko wewnątrz poezji regionalnej, jako jakiś luksus konserwatywny, jakiś hieratyzm, jako pewna świadoma po-

etycka odrębność od codziennej prozy. Ale z tem nowe zagadnienie, które już będzie dla naszych tu rozważań istotnem.

*

Jawi się kwestja stylu tej poezji. Zagadnienie to ujmuję tak: Czy poecie gwarowemu wolno mieć podstawę stylotwórczą tylko i wyłącznie chłopską (ludową)? Jest to zagadnienie estetyczne. A znaczy ono: Czy i w jakim stopniu jako „nieładne“ czyli niezgodne z zamierzonym ładem wyobrażeń i wyrażań się, odczujemy w poezji tej, te wszystkie sposoby wyrażenia się, które nie będą właściwe najprawdziwшему chłopu, temu ludowemu człowiekowi archaicznemu, którego mowę i podstawę duchową ma właśnie poezja gwarowa przechować? Zdarzają się w poezji gwarowej wtřęty z obcego świata, tak wyraźne, że wątpliwości nie ulega, iż tu nie ma porządku na którym zależy, np. *niebo corne, chmur wagony*, — takie wyrazy są stanowczo niedopuszczalne. Nie wolno używać ich twórcy, który, jeśli jest artystycznie ambitnym, to musi dbać o wewnętrzny ład swoich utworów.

Poezja gwarowa twórców artystycznie ambitnych musi mieć swój „kanon“, swoje utwory klasyczne; takimi są w poezji podhalańskiej, utwory Tetmajera, proza opowiadań *Skalnego Podhala*, niezapomniane dystychy *Listu Hannusi*, rymy i rytmy legend o Janosiku, cudownie poetyczne szczyty poezji gwarowej, do których dopiero wspinać się przyjdzie następcom. Wprawdzie poeta nie wszędzie trzyma się tam wyłącznie gwary, ale zato idealnie dorównaną jest jego stylotwórcza postawa ludowej legendy: nie masz tam ani dalekiego powiewu ze świata, któryby był innym światem, niżli świat wielkoludów górskich i leśnych, myśliwców i zbójników, żołnierzy i rycerzy, pasterek i kasztelanek, i fantastycznej cesarki, co hula jak lalka w szopce... Stylowo językowem kryterjum kanonicznem dla poety gwarowego jest pytanie: Czy tak mógłby być czuć, myśleć, zachowywać się, mówić i śpiewać, starodawny chłop, nietknięty przez współczesną (nam) kulturę miejską, inteligentką i literacką? Już nam wiadomo, że są pewne grube, bijące w oczy, przeciwko temu kanonowi wykroczenia, na które sobie poeta artystycznie wytrawny nie pozwoli.

Ale sprawa niezłałatwiona, a niezłałatwiona dlatego, że mogą być subtelniejsze wykroczenia przeciw archaiczno-ludowemu kanonowi stylu, o wiele trudniejsze do uniknięcia, niż owe grube i jawne. Oto proszę: Poeta gwarowy pisze wiersz *Do mojej gwary*. Jasnym jest, że sam już temat „niekanoniczny“ w poezji o stylu ludowym: boć człowiek prosty nigdy się refleksyjnie nad swą mową nie zastanawia, a cóż dopiero pieścić się nią, ody do niej składać! Samo słowo „gwara“, w tym użyte sensie, nie jest ludowem. *Do gwary mojej* — oto postawa nawskróś inteligencka, lub raczej literacka. Czy więc wolno poecie w gwarze tworzącemu, przybierać taką postawę ducha, w której zawarta jest możliwość takiej i podobnej tematyki, wraz ze wszystkimi jej konsekwencjami stylowymi?

Zarysowały się w tej kwestji dwa stanowiska: K. Budzyk⁴⁾ odmawia poecie gwarowemu podobnego prawa (nb. estetycznego), i Suskiemu, nie bez szydu, zarzuca, iż gwara jego, acz prawidłowa gramatycznie i nawet leksykalnie, nie odpowiada tematyce, wyjęta została ze swej „socjalno językowej rzeczywistości“; kiedy poeta snuje swoje:

Kaś sie rodziela? cy w prysku siklawic
wykołysana siumnom pianom?
Cy cie w zimnicy miesiacka i mgławic
tulila nocka tęcom ramion?
Hej! od malička śpiewałaś mi nuty
twarde choćkiedy jak zbrój zbójcecko
a choćkie ciche jak północ i smutne...
jak skarga dziecka...

— — — — —
w cichość sie zatrace
i bede hytoł na strunice
śmiehy i płace
i Twoim jacy bede growoł graniem,
gwaro Ty moja kwietna Pani — — —

to surowy krytyk domagający się jaknajczyściejszego stylu ludowego, czyli konkretnie: góralskiego, widzi w tem „maskaradę“, „powiewnego Arjela“, przybranego w góralskie portki, „paradującego w towarzystwie Muz...“.

Przeciwnie stanowisko znajduję u J. Bielatowicza⁵⁾, który jednak nie wyraził go z należytą wyrazistością; jego

intencje tak sformułując: To wszystko, co można wyrazić w mowie literackiej, da się wyrazić i w gwarze — i dlatego gwara jako język literacki ma prawo nasiąkać stylistycznie elementami języka literackiego; i to byłby drugi nurt (lub raczej: kilka pobocznych nurtów) centralnego języka narodowego: gwary awansowałyby z rangi gwar do rangi języka, różniąc się od mowy centralnej tylko nieznacznymi odmianami gramatycznymi i fonetycznymi, przyczem miałyby nad nią, jak B. twierdzi, przewagę pewnego bogactwa, bo, naodwrot, nie wszystko, co się da wyrazić w mowie ludu, da się wyrazić w mowie inteligentkiej. Chcę zająć w tej kwestji stanowisko.

Z czysto estetycznego i teoretycznie lingwistycznego stanowiska, Budzyk ma rację niewątpliwą. Ale weźmy tę rzecz inaczej: Nie wolno przerywać ciągłości rozwoju człowieka, i jakby to zrobić bez gwałtu i przymusu? Człowiek się komplikuje, i tego prawa narastającej komplikacji nie można bezkarnie zanegować; człowiek się rafinuje — i z nim razem rafinuje się jego mowa; w jakim punkcie człowiek ludowy, który tkwi jeszcze w żywym jeszcze świecie gwary — i ma oprócz tego swoje serdeczne i ideowe powody, dla których chce gwara swoją w poezji pielęgnować — ale człowiek ludowy, który już zaczerpnął postaw psychicznych od świata kultury literackiej — w jakimże to punkcie miałby on sobie powiedzieć: Stop! Do tej chwili byłem chłopem, i wolno mi było po chłopsku gadać, a teraz już jestem inteligentem, i wolno mi już tylko po inteligencku się wysławiać? W jakiejże chwili miałby sobie zakazać i nakazać tak: Do tego momentu byłem prostaczkiem, od tego jestem wyrafinowanym, do tej pory grałem sobie na „gęślikach“, a teraz rzucam je i biorę inny instrument? Czy jest możliwym, ba, czy jest pożądaniem, aby człowiek tak w sobie rozcinał i tak jedno swoje życie drugiemu życiu przeciwstawiał, skoro jest między nimi ciągłość codziennego stawania się, i skoro jest pożądaną taką właśnie ciągłość?...

Jawią się nowe postawy, nowe zadumy i refleksje. Kiedy harnaś szedł w góry, to nie po to, by dumać nad Przyrodą i Bogiem, ale poto, by żywić się cudzemi baranami, spać z dziewczętami, spadać stamtąd poza Tatry, gdzie jest „ślakcic bohaty“, — to w jego, współczesnym nam

potomku, choćby nawet „czuł w sobie“ jakieś „wspomnienia“ tego prymitywnego życia i chciał oddać w poezji tę dawność prostaczą — to jednak jest w nim już równocześnie drugi i nowy człowiek, który już po inteligencku дума o czemś całkiem innym: krajobraz górski jest tłem dla marzeń o tej jego mowie rodnej, w której mu się rymuje najlepiej, najprzyjemniej i najambitniej?

takoś:

ostro — jak stol zbójnickiego noza,

piekno — jak zorza w świtów błysku,

cudno — jak ozwito w turniak róza,

słodko — jak dziewce przy watzrisku.

Wysłaś ku mnie z siklawic tęce

z słonecznej mgiełki i leluje kwiatu...

Przniós mi cie sum wiatrą i sum orlik skrzydeł

i śpiew dziewczek z polany... Wzionek Cie na ręce

i idem z Tobom pokazać Cie światu.

Tamten wiersz o gwarze miał autora inteligenta; tym razem autentyczny góral Kubiniec, tak chwali swoją „gwarę góralską“. Powątpiewać w szczerłość tej chwalby? Temu właśnie poccie odmówić prawa do *licentia poetica*, które się wszystkim poetom przyznaje, do tej skrzydlatej przesady natchnienia, bez której wogóle nie ma poezji? Byłoby to niewątpliwie psychologiczną niesprawiedliwością. Dlatego musimy uznać, że gwara ma prawo jako język literacki nasiąkać wyobrażeniami i wyrażeniami, które wykraczają poza archaiczny świat dawnych chłopów, izolowanych od kultury klas oświeconych.

A tak zrozumiawszy, zdołamy i estetycznie nastawić się tak, iż, jako piękne odczujemy te utwory gwarowe, w których nietylko najprostsze i klasycznie ludowe, odbijają się wzruszenia i przeżycia, lecz i te bardziej wyrafinowane, bardziej, rzeknijmy tak, romantyczno-literackie. Istotą przeżycia estetycznego będzie w tym wypadku sympatja z życiem osobistem, które, tkwiąc jeszcze w środowisku mowy ludowej, już się zrywa po przeżycia subtelniejsze i bardziej — w biologicznym sensie — luksusowe...

Naturalnie, że w poszczególnych wypadkach można dysputować i odczuwać czy to konieczność wewnętrzną --

(czy jej brak) — użytego języka i stylu, ze względu na tematykę i „postawę“ utworu; ale idzie o zasadnicze prawo poezji gwarowej do wyrazu odczuwań, niekoniecznie i wyłącznie ludowych. Jak to pogodzić z „kanonem?“.

Dostrzegamy w literaturze ludowej, że pisarze ludowi zwracają się ku literaturze inteligenckiej, w niej czerpią wzory, z niej czerpią swoje postawy duchowe, że, jednym słowem, „ludzie prości“, ci najinteligentniejsi, komplikują się tak, iż literatura ludowa odchodzi od prostoty pieśni ludowej. I to jest jej największą trudnością i problematem. W swem do antologii podhalańskiej słowie wstępem, zauważa prof. Pigoń: „Faktem jest, że gromada młodych entuzjastów porwała się, by na tych gęślikach ojcowych wygrać symfonje co najkunsztowniejsze, by mową swej ziemi wyrazić w potędze poetyckiej wzruszenia serc, co najsztudniejsze, najbogatsze, najbardziej osobiste“. Cóż to jest jak nie (inteligentka) komplikacja? I tu powstaje właśnie ta trudna problematyka stylu, o której była dopiero co mowa. Poezja gwarowa ma być miejscem schronu dla prostoty dawnego życia ludowego, którego mową była gwara — i stąd jej istotną cechą musi być pewien ludowy klasycyzm, pewna w tym duchu kanoniczność; ale ludzie od tej prostoty odchoǳą i oto nowe chwytły stylistyczne wprowadzają, nowe elementy słownikarskie, nową metrykę, daleko odbiegłą od prymitywnej metryki ludowej piosenki. Trzeba wyszukać złotą a bardzo cienką linię taktu, gustu, wycucia co jeszcze dozwolone tutaj, a co już niedozwolone...

Bez wahania trzeba odrzucić takie, jak *kurtynę cyrnyk chmurzyc, skały tatrzańskie kolosów, lawiny chmurzyc, moik społecznych* itp.: ale bodajże i: *przypioneł nartły...*; wprawdzie na nartach jeżdżą górale, ale ten całkiem nieludowy tylko sportowy obraz, jawi się jako niepotrzebna niespodzianka, więc przykro, w wyobraźni czytelnika, który przez gwarę wiersza został już był zaproszony do wejścia w świat chłopski; także jako sztuczność przykrą odczuwam we wierszu Nowobielskiej *Roraty*, wykrzyk *O życie zakłamane!*... — jest to czysto fonetyczny przekład, jakby zdzienniały, wyrażenia nawskróś inteligenckiego — i już wyszarzałego; trąci to snobizmem stylistycznym, półinteligentkim — i ładny wiersz został popsuły.

Poezja, a w szczególności gwarowa, ma zostać kaplicą, w której się celebryje mowę rdzenną i nieskażoną przez miejską prozę; (z cudzoziemczyzny wolno zachować tylko stare nabytki, już fonetycznie obrosłe przez gwarę).

Subtelniejsze są takie, nie wiem sam, czy błędy do uniknięcia, czy takie, z punktu widzenia stylu ludowego, „niekanoniczności“, które jednak w tem życiu na pograniczu, między życiem ludowo-gwarowem a inteligentką literaturą i kulturą, są nie do uniknięcia — jak np. u Nowobielskiej:

żebyś ty mnie
choć roz w życiu do siebie ciepło przigarnął,
z całego serca upieścił
i rzekł:

Nie płac Hanuś, minęło syćko złe...

Zebyś ty mie

odcuł swojã

w kездеj dusy cãstecce...

wte —

nie mów nic...

nie fcem...

nie trza słów...

Ino mie ukołys w ramionak...

Ino zcałuj łzy z moik lic...

To ładne jest, i jeżeli współczesna dziewczyna wiejska taką sobie czułą i delikatną wyobraża pieśczętę miłosną, — (inaczej, niż ta biedna Hanusia z Tetmajerowego *Listu*, co, całkiem poprostu, płacze „kie wspomni“ *jakeś ty spał se mnã*...⁶) — to trzeba się wczuć w ten jej rwany, i jakże obcy metryce ludowej piosenki, szept melancholijny — i to jedynie wczucie się będzie wymiarem psychologicznej i zarazem estetycznej sprawiedliwości; mimo to, owo „ciepło przigarnął“, a, zwłaszcza „odczucie jej w każdej cząsteczce duszy“, przy czytaniu wiersza odczułem jako, subtelny wprawdzie, ale w każdym razie — na tle gwarowem, dysonans.

Są tu całe utwory, ładne i melodyjne, o niefałszowanym liryźmie, które jednakowoż nasuwają powątpiewanie o konieczności wewnętrznej użycia w nich gwary, np. Nowobielskiej *Majową nocą*:

A mnie się przecie zdaje,
ze w taką noc, bez księżyca,
kiedy dziewczki zakończą śpiewy przy kaplicak
a w izbak
ostatnie pogasną kaganki
i sen się przicał na przizbak
ze w taką noc — samiutkim rzeki krajem —
idzie Pani o jasnyk licak...

Albo u Stapińskiej melodyjny wiersz, o wpływach wyraźnie literackich:

W przidroznym starym kościele dzwony
niek się ozdzwoniom, niek się ozdzwoniom!
W słonecnej fali
Za kwile nowe prziczichnom tony.
W przidroznym starym kościele dzwony
Niek się ozdzwoniom!
Na smentarzisku biole narcyze
Niek się ozsmucom, niek się ozpłacom!
W promieniak słońca
Stare spróchniałe chylom się krzize,
Na smentorzisku biole narcyze
Niek się ozsmucom!

Ten wiersz, z którego tylko dwie zwrotki przytaczam, ma subtelną myśl poetycką, którą eksplikuję tak, że słońce wywabia na jaw utajony sens istot, ich głos skryty, ich nietylko wesołość, ale i smutek itp. Oba te wiersze są jawnie nieludowe, „niekanoniczne“; już na pierwszy rzut oka widać, iż od poezji inteligenckiej różnią się (tylko i wyłącznie fonetyką, wystarczy odrzucić mazurzenie i inne nieważne różnice, wziąć np. *rozdzwonią*, zam. *ozdzwonią*, a będziemy mieli wiersze w literackiej polszczyźnie, i co najważniejsze nic one na niej nie tracą; Budzyk (któregośmy już cytowali) powiedziałby, że to się panny miejskie przebrały w kierpę i w chusteczki na głowę, i udają wymowę góralek... No tak, ale faktem jest, że to są góralki, które nie udają swej wymowy, natomiast już tak czują, że takiej rytmiki, takich słów, takiego stylu trzeba im... W to należy wczuć się i na to się zgodzić... Mogłyby co prawda łatwo odrzucić swą fonetykę — i wiersz zostałby

wierszem nie gorszym niż jest; ale tu wchodzi w grę motyw: ideowo-emocjonalne: Oni wszyscy mają tę ambicję, że ich język rodziny jest jednym z nurtów języka narodowego, w którym można również i subtelniejsze nastroje wyrazić.

Jakkolwiekby, za najwłaściwszą i najlegalniejszą postawę i tematykę dla gwarowego materiału językowego, należy uznać tematykę i postawę ściśle ludową. U naszych poetek znajdujemy i całe wiersze i ich fragmenty, w których nuta ludowa, choć transportowana na tonację bardziej literacką — nie w ujemnym tego słowa znaczeniu — została dobrze utrzymana; np. *Cerwone Korole* Stapińskiej, lub u Nowobielskiej zakończenie *Listu*:

lno mi na papier z pół kopy
upadło łez dużyk jak jałowiec...
ozmazaly się syćkie haniok —
i nie wiem cy sie zdadzo do cytanio —
i cy Ty ik zrozumies?...

— odpowiedz!

Albo u tej samej, ile wdzięku we wierszu *Lalki* i innych, wdzięku szczerzej prostoty, która już cokolwiek wie o sobie — i w której jest już taka kokieterja dyskretna, jaka się nie narzuca... Żeby taką ludową i gwarową poezję dobrze odczuć, trzeba ją brać „w terenie“, jak się ona tam rodzi: trzeba np. znać jakieś miłe dziewczęta, które już świadome są swego poniekąd egzotycznego uroku dziewcząt z ludu, ale mają jeszcze wiele prostoty i tę godność, która je chroni instynktownie przed złym tonem. Estetyczny, i nie tylko estetyczny, bo i etyczny i kulturalny, walor poezji ludowej, i wogóle „kultury ludowej“, jest kwestją smaku, dyskrecji, pewnej dystynkcji, która na tem pograniczu ludowości i świata inteligenckiego, unikać będzie półinteligencjonalnej zuchwałości i stylistycznego snobizmu¹⁾.

¹⁾ W *Myśli Narodowej*, 45/37 i nast. O uprawianiu gwary, Czy pielęgnować gwara, O styl i kanon, Poezja młodego Podhala.

²⁾ W r. 1888, gdy się w *Tygodniku Ilustrowanym* zaczął ukazywać *Beldonek* Dygasińskiego, Konopnicka

w *Gazecie Polskiej* zakwestjonowała uprawnienie gawry jako języka literackiego, o czym w *Pamiętniku Świętokrzyskim* na str. 138 w art. W. Wolerta o korespondencji między Dygasińskim a Witkiewiczem.

3) Interesujące na ten temat uwagi o potrzebnej pewnej „akademizacji“ widowiska obrzędowego znajdują w art. T. Kudlińskiego *Od szczyrzyckich pól (Il. Kurj. Codz. 5 XI 34)* o udalej artystycznie imprezie dożynek w Szczyrzycu (pow. limanowski, woj. Krakowskie): „Wartością, której szukamy jest synteza wartościowego prymitywu ludowego, którego naruszać nie wolno, z wyższą formą artystyczną, które dać umie tylko inteligent — — —

W uroczystościach szczyrzyckich ujrzałem po raz pierwszy tę myśl zrealizowaną. Tekst i melodie lokalne zostały pieczołowicie zebrane wśród starszego pokolenia, a rolą reżysera było odpowiednie skonstruowanie materiału słownego i muzycznego i uzupełnienie brakujących tekstów kompozycją własną. Całość miała mieć ton obrzędowo-religijny. Miało to być misterjum wegetacji roślinnej, jako podstawy bytu chłopskiego, uświęcone apoteozą pracy, zagrożonej ślepymi siłami natury, poddanej opiece Opatrzności (w czym kryje się zawiązek dramatu), a zakończone radością pomyślnego żniwa i zbiorową modlitwą błagalną o chleb powszedni dla wszystkich.

Otóż trzeba tu wyraźnie podkreślić, że początki teatru europejskiego mają swe korzenie właśnie w misterjach religijnych (np. teatr staro grecki właśnie w kulcie wegetacji poświęconym bogini Demeter). Tak więc postawienie współczesnego, prymitywnego teatru ludowego na poziomie podobnego obrzędu najlepiej odpowiada istocie rzeczy, gdyż ewolucyjnie myśląc, spodziewać się można (za historją teatru europejskiego idąc), że z tych to obrzędów rozwinie się kiedyś — nowy teatr ludowy. Ten więc misteryjnie i dramatycznie rozbudowany obrzęd dożynek, korzystnie wyróżnia się od innych istniejących, będących raczej statycznym widowiskiem, zbiorem piosenek dożynkowych“.

⁴⁾ W art. nader instruktywnym pt. *Gwara a utwór literacki*, *Język Polski*, 4/36.

⁵⁾ W *Prostu z Mostu*.

⁶⁾ Dla próbki tej poezji ludowej w najlepszym i najprawdziwszym stylu, jedna zwrotka z *Listu Hanusi*:

Głowa mię boli, serdecka nie kuję,
lzy ino syćko z ocu mi się lejom,
nikt tego nie wi za kim ja banuję,
ale się ludzie nasy se mnie śmiejom.
Zal mię za tobom ciągle w serce kłuje
i nie wiem ka sie me ocy podziejom
od tych łez. Widzi mi się co mnie powiezom
wnełki hań w trumnie ka ojcowie lezom.

Widzimy, że poeta nie dba tu pedantycznie o ścisłą fonetykę gwarową, ale ważniejszą jest ta najszczersza poezja prostoty. (Cytuję z taniego wydania Biblioteki Narodowej *Wybór poezji K. Tetmajera*, opracował J. Lorentowicz).

⁷⁾ W związku z zagadnieniem poezji gwarowej możnaby jeszcze inne kwestje poruszyć, np. zaznaczyć, że i gwara jako język literacki, jeśli tylko staje się językiem literackim, z kolei ulega pewnej konwencji: a to ortograficznej*), gdyż dokładne oddanie fonetyki gwarowej wymagałoby naukowej pisowni fonetycznej, dla pisarza ludowego nietylko niedostępnej, lecz i wysoce niepożądaney, gdyż zniechęcałaby czytelników — oraz geograficznej: między gwarami podobnymi, jedna wybija się na pierwsze miejsce jako szczególnie uprzywilejowana; jest to ten sam proces, który prowadził do wywyższenia jednego z dialektów na język literacki, a inne zepchnął do rzędu gwar; (ten sam proces zresztą zachodzi w całej kulturze ludowej, np. podhalańszczyzna stroju ludowego w okolicach podgórskich, które do właściwego Podhala nie należą; zwolennicy regionalizmu dokładnego i na to narzekają).

*) Pisarze podhalańscy odbyli w r. 1937 zebranie, na którym uchwalili zasady wspólnej pisowni, których

intencją jest „zbliżenie możliwe ortografji podhalańskiej do ogólnie literackiej“.

4. Jeszcze raz o kryterjum „ludowości“ pisarza.

Ta kwestja już omówiona przezemnie we Wstępie, nasuwa, jak się przekonałem, wątpliwości; podaję przeto mą odpowiedź na zarzuty wysunięte przez J. Bielatowicza (w *Prosto z Mostu*).

Rozważania rozpocznę od kwestji wstępnej, tej, od której dyskusja wyszła: Czy mianowicie używanie języka ludowego przez pisarza stanowić powinno kryterjum jego „ludowości“, czyli przynależności do „pisarzy ludowych?“ Tak właśnie twierdził p. Bielatowicz, zaliczając do „pisarzy ludowych“ Dygasińskiego, Tetmajera, Stanisława Witkiewicza i wielu innych, przynależności inteligentkiej: Raz dlatego, że „świat języka ludowego“ jest „samodzielnym“ światem, i tylko ktoś, kto albo wyszedł sam z ludu, albo też głęboko się z nim zżył, „uludowił“ (żeby tu dodał), może gwarą władać nietylko poprawnie, lecz i artystycznie; a powtóre dlatego, że „klasa i jej cechy nie są przeznaczeniem człowieka“, w obrębie narodu jest krążenie dóbr kulturalnych, czyli niema powodu, by pod mianem „ludowy“ rozumieć tylko — jak to właśnie ja czynię — „prostego człowieka“, który jest pisarzem. Odpowiadam tak: Kwestja jest terminologiczna; idzie o wygodną umowę, o znaczeniu wyrazu, a umowa ta zależy od tego, jakie tu zagadnienie uznamy za najbardziej zajmujące. Moje tzw. „podejście“ do literatury ludowej jest socjologiczne, czy tam historyczno-kulturowe; zainteresowało mię to, iż wiele osób pracujących fizycznie i nieposiadających wyższego wykształcenia zaczęło pisać utwory literackie; to fakt nowy; postanowiłem sobie tym ludziom i tym utworom przypatrzeć się. Jakżeż ich nazwać inaczej, niż pisarzami, właśnie tak a nie inaczej, „ludowymi?“ Ani język, którego używają, ani żadna inna cecha ich twórczości nie mogła być wzięta jako kryterjum przynależności do „pisarzy ludowych“, skoro właśnie trzeba badać jaki jest ich język i inne ich cechy. W szczególności, język ludowy, jako kryterjum „ludowości“ pisarza, tembardziej

nie może być użyty, iż tylko niewielu pisarzy ludowych używa języka ludowego, a natomiast używali go nieraz pisarze, których, na podstawie ich stanowiska społecznego, nie można zaliczyć do „ludu“. Otóż sądzę, że, dopóki będzie istnieć w społeczeństwie ta warstwa społeczna, która jest „ludem“, czyli ludźmi fizycznie pracującymi, nie biorącymi udziału w oficjalnej i regularnej oświacie szkolnej na stopniu wyższym i średnim, tak długo, to słowo „ludowy“ będzie miało ów, niedwuznaczny, sens, i będzie wygodnie używać go odnośnie do zagadnień dotyczących się tej i tylko tej warstwy społecznej. Ale naturalnie wolno i w innych sensach mówić o „ludowości“, a mianowicie ludowości pisarza: Np. pisarz, który ma tę ambicję, iż on, lepiej niż kto inny wyraża najwłaściwsze idee ludowe albo jakieś specjalnie ludowe postawy ducha, może o sobie mówić, że jest „pisarzem ludowym“, (konkretniej: „chłopskim“ albo „robotniczym“); „pisarzem ludowym“ można też nazwać tego pisarza, który umiał trafić do ludu i tam znalazł najliczniejszych czytelników — a w takim razie najbardziej ludowym pisarzem polskim byłby Sienkiewicz, autor *Trylogji*, o wiele bardziej ludowym niż Orkan, Reymont, (nie mówiąc o Kasprowiczu!), Sienkiewicz, który skądinąd, ze względu na pochodzenie i typ, jest pisarzem rdzennie „szlacheckim“; „ludowym“ będzie także pisarz popularyzator, który specjalnie dla ludu pisze, Chociszewski albo Promyk, ci wszyscy niezmiernie dla oświaty ludu zasłużeńi, acz społecznie do ludu nie przynależni. Ale znów Tetmajera, choć w jednej części swej twórczości jest tak ludowym, że go żaden autentyczny góral z drewnianej chaty nie zakasuje — byłoby trudno nazwać „pisarzem ludowym“, gdyby takie nazwanie miało określić całość jego osobistości pisarskiej, co się odnosi i do Witkiewicza, Orkana, Reymonta, i wielu innych: „Ludowość“ ich nie obejmuje całego człowieka — i gdyby nawet ich ludowa postawa ducha biła z ich dzieł — (Kasprowicz zwłaszcza, to, według Norwidowskiego pragnienia, „ludowe podniesione do ludzkości“!) — to jednak ta „ludowość“, na skutek wyższego wykształcenia tych twórców, jest już czemś innym, niż „ludowość“ twórców, którzy tego wykształcenia nie otrzymali, czemś innym jako zagadnienie, bo właśnie zagadnieniem jest, jak wygląda

ludowość bliżej swego źródła żywego, a jak ta, która już przesączoną została przez inteligentną kulturę. Mogę dojść do tego, że Kasprowicz „w istocie“ jest chłopem, ale to będzie dojście, a nie wyjście; ale kiedy zastanawiam się nad Sawczukiem, to mój punkt wyjścia będzie ten, że to jest de facto, w rzeczywistości codziennego życia, społecznej, historyczno-kulturnej, wieśniak — i dopiero dojść mogę do przekonania, że w „istocie“ ten chłop jest inteligentem — zacząłem jednak od właściwej jego lokalizacji na jego tle środowiskowym. Uważam więc, że powinniśmy się zgodzić, aby słowa „ludowy, ludowość“, brać w ich sensie najściślejszym, zresztą potocznym, jako pochodne od słowa „lud“, oznaczającego warstwę fizycznie pracującą, dziś jeszcze, w swej masie, niedysponującą wyższym wykształceniem.

5. Wzmianka o niektórych obcych pisarzach ludowych.

Ażeby zdać sobie sprawę ze znaczenia polskiego piśmiennictwa ludowego, ze względu na ocenę możliwości kulturalnych polskiego ludu, należałoby zbadać i porównać, czy jest na jakim poziomie, i jak jest obfitą literatura ludowa innych narodów; nie było to w mej możności, przygodnie tylko zebrałem kilka notatek; jedną z nich o francuskim powieściopisarzu ludowym podałem w T. I (38); poniżej kilka uzupełnień. Specjalnie interesującym byłoby dla nas porównanie pod tym względem ludu naszego z ludami innych Słowian; mała ankieta, którą próbowałem przeprowadzić na ten temat, pozostała przeważnie bez skutku; ale prof. Bohdan Łepki, prof. literatury ruskiej na U. Jagiellońskim, pośpieszył z uprzejmymi informacjami, dotyczącymi literatury ludowej ruskiej (w Rzplitej i za Zbruczem):

— — — „W prasie, zwłaszcza popularnych tygodnikach, spotykam sporo autorów ze stanu chłopskiego lub robotniczego, którzy piszą i drukują wiele, ale osobnych zbiorów nie publikują, więc utwory ich przepadają w mętnych falach zadrukowanego papieru. Z tej szerszej rzeszy pisarskiej wybili się Dumka Pawło (1854—1918), wieśniak,

poseł do Sejmu galicyjskiego (w latach 1908—1913), pisał poezje okolicznościowe i patriotyczne, nie naśladowując poezji tzw. sfer oświeconych. Donykiw Szekieryk, Hucuł, który do szkół średnich nie uczęszczał ale zdobył jako samouk wcale szeroką oświatę. Założył huculską trupę teatralną, był posłem do Sejmu Polskiego, obecnie jest wójtem w Żabiu. Postać, ze wszechmiar ciekawa, a jako pisarz wcale utalentowany. — — — S e r g j u s z D o u s z k o w z Krzemieńca, samouk, autor powieści *Bulo kolyś* (*Było to nie gdyś*, która wyszła w r. 1937 w drugim wydaniu w Krzemieńcu), zapowiada cały szereg innych powieści historycznych. Po drugiej stronie grobli (za Zbruczem) jest pisarzy ludowych bardzo wielu — — —“.

Z tamtejszych wymienię za prof. Łepkim: T e s t e n k ę A r c h y p a (1882—1911), który miał tylko szkołę ludową, brał udział w rewolucji, uwięziony, zmarł na gruźlicę; M y k o ł ę C h w y l o w e g o (1893—1933), samouka, robotnika fabrycznego, „który zrobił wielką literacką karierę, jako pierwszorzędny talent beletrystyczny, który urobił sobie własną formę i odrębny styl; skończył samobójstwem, nie chcąc ugiąć się przed despotją moskiewską“. Jeszcze parę nazwisk pisarzy żyjących, których już nie przytaczam: „Wszyscy oni, to zjawisko na tle przewrotu społeczno-politycznego na Ukrainie. Trzeba ich mierzyć osobną miarą, gdyż miara pisarzy ludowych nie jest w tym wypadku wystarczająca. Ze starszych na Nadnieprzańskiej Ukrainie wspomnę Konoszenkę, Wdowyczenka, Szełudka, Romanczenka, autodydaktyw, którzy zdobyli wyższą oświatę i podnieśli się do poziomu pisarzy warstw wykształconych“.

Stanisław Vincenz, *Na wysokiej poloninie*, Warszawa 1936 (T. 1/712) opowiada także o znakomitym a „ostatnim“ opowiadaczu huculskim Petrze Szykieryku Donykiwie, który spisywał swe opowiadania.

Dr. Jan Magiera, znakomity znawca literatur słowiańskich, donosi mi o literaturze czeskiej i słowackiej, iż w obu tych piśmiennictwach nie rozróżnia się pisarzy ludowych i inteligentkich, gdyż społeczeństwa tamtejsze nie czują podziału społecznego na te dwie warstwy, a zresztą prawie wszyscy tamtejsi najwybitniejsi pisarze są pochodzenia ludowego. (Zauważę do tego, iż podział na pisarzy samouków i tych, którzy mają wyższe oficjalne wykształcenie,

oraz tych którzy przeszli do życia pracy umysłowej, jest obiektywny, niezależny od takiej czy innej świadomości społecznej).

W literaturze litewskiej znajdujemy starą włościankę nazwiskiem Peleda, która „po 40 latach pracy porzuciła zydel tkacki, aby przedstawić w swych powieściach duszę swego ludu“ (Asper, *Dążenia kultury Litwy, Odnowa*, 16/II, 37).

U T. Grzebieniowskiego, *Irlandja współczesna*, (Warszawa 1935), znajduję dwóch pisarzy irlandzkich, chłopów, Maurice O'Sulliwana, autora powieści autobiograficznej *Dwadzieścia lat dzieciństwa i młodości*, która przetłumaczona na angielskie, uzyskała rozgłos, i Thomasa O'Crohana z poprzedniej generacji, (ur. 1856) autora pamiętnika pt. *Wyspiarz*, który nauczył się pisać i czytać we wieku dojrzałym od dzieci szkolnych, a do pisania zachęcony został przez norweskiego lingwistę, który dla nauczania się po irlandzku przebywał w jego nadmorskiej wiosce rodzinnej.

We Francji w r. 1936 opinię „wielkiego talentu“ uzyskał szewc z Montmartre Margravou, autor powieści pt. *Gouillou*, z życia wiejskiego.

ZAKOŃCZENIE.

Pragnę wkońcu dać szkicowy zarys historyczny piśmiennictwa ludowego i podkreślić, względnie uzupełnić niektóre myśli wypowiedziane tak we Wstępie jak i w tekście książki.

*

Zanim lud wszedł w literaturę jako podmiot, już się trafiał w niej jako przedmiot ze swoim życiem i gwarą. Zebrali te rzeczy dla dawniejszej literatury W. Nartowski i W. Szyszkowski (w *Ludzie* XIX, XX), dla XIX w. Zdziarski i inni. Te rzeczy tu nie należą. Zaznaczę tu tylko, że staropolska, szlachecka i mieszczańska literatura, ale literatura niższego rzędu, zna miejsca gwarowe, mianowicie w ustach chłopów, traktowanych z żartobliwą drwinką. Wiek XVIII, wiek sielanki i filantropji, widzi jednego z największych magnatów, Macieja Radziwiłła, piszącego w gwarze mazurskiej „nadzwyczaj udały tekst“ (Brückner) do operetki *Agatka* w r. 1784 wystawionej w Nieświeżu, ale już w r. 1778 Królewski Teatr w Warszawie daje Kamińskiego *Zośkę czyli zaloty wiejskie*, a Bogusławskiego *Krakowiacy i Górale* w r. 1794 budzą zapal demokratycznie i patryjotycznie usposobionej publiczności warszawskiej: już mowa „naszych pracowitych“ przestaje być śmieszną. Dość dziwne, że doba walki o niepodległość i szerzącej

się idei demokratycznej, doba przytem romantyzmu, a także wszczętych prac i zbiorów ludoznawczych, nie zapisuje się żadnym utworem, w którymby mowa ludu została artystycznie traktowaną i poprawnie odtworzoną, co najwyżej w pisemkach obliczonych na doraźny efekt polityczny, w jakiejś odezwie demokratów, w jakichś dydaktycznych książeczkach, używa się zrzadka gwary albo raczej pseudo-gwary, której niezręczne próbki i w beletrystyce się znajdują. Beletrystyka doby t. zw. pozytywistów zna częściej i lepiej naśladowaną gwara ludową (Sienkiewicz, Prus, Dygasiński, Junosza), ale raczej jako środek charakteryzacji osób ludowych (nieraz humorystycznie jak np. u Sienkiewicza) niż jako źródło estetycznej przyjemności. Ale już między nimi Sienkiewicz, jak wiadomo, w *Krzyżakach* używa pomocniczo gwary, nie tylko dla archaizacji lecz estetycznie, a *Sabałowa bajka* jest utworem w gwarze pełnej. Dopiero jednak Młoda Polska jest właściwą odkrywczynią gwary jako wspaniałego materiału artystycznego, przystępując do niej z całą powagą i patosem, a Reymont i Tetmajer rzeźbią w niej dzieła sztuki najwyższego. Droga gwary idą liczni inni, żeby wymienić Orkana, Zegadłowicza, Stanisława Witkiewicza¹⁾.

¹⁾ Kasprowiczowi, Rydlowi, Wyspiańskiemu nie była obcą gwara jako tworzywo artystyczne; wspomnieć też należy Włodzimierza Tetmajera; Rostworowski gwara skomponował swój makabryczny dramat *Niespodziankę*; o władających artystycznie gwara podhalańską Michale i Janie Gwałbercie Henryku Pawlikowskich, Gwiżdżu, Suskim, Mazurze, Zachemskim, już była wzmianka; była również mowa o Ślązakach Janie Łysku, Adolfie Fierli, Pawle Kubiszu,

Wszyscy tu wymienieni są inteligentami, w tym sensie, że mają studia wyższe lub przynajmniej szkołę średnią ukończoną albo... nieukończoną, lub równorzędną np. artystyczną — albo przynajmniej typem swego życia całkowicie złączyli się z warstwą inteligencką. Większość z nich pochodzi z ludu wiej-

Gustawie Morcinku; należy jeszcze wspomnieć używających gwary, więcej przygodnie, beletrystach i poetach, starszych i młodszych, E. Jędrkiewiczu, Z. Bartkiewiczu, Edmundzie Zechenterze, Ferdynandzie Machayu, Andrzeju Cierniak, Wincentym Burku, Andrzeju Kruczkowskim, Stanisławie Młodożeńcu, Wojciechu Skuzie, Karolu Marcza, S. Szakłaku, a prócz nich ciągle nowi i nowi się jawią na widowni literackiej (nie mówiąc już o falandze zbieraczy tekstów gwarowych, jak z dawniejszych Stopka). Osobne miejsce mają pisarze narzeczowi jak Jarosz Derkowski, Kaszuba, lub co prawda, już do polskiej nie należący literatury, ale stanowiący podobne historycznie zjawisko, polsko-szlacheccy twórcy piśmiennictwa białoruskiego *).

Prócz gwary wiejskiej i narzecz (*patois*) należy pamiętać o gwarach miejskich i przedmiejskich (*argot*), używanych najczęściej humorystycznie, żeby tylko wspomnieć popularnych wodewilistów w Krakowie Krumłowskiego i Turskiego, słynnych radjofonistów Tońka i Szczepka we Lwowie, w Katowicach Stanisława Ligonja (Karlik z Kocyndra). Na serjo i, jak myślę, nie bez efektu artystycznego, użyła niedawno w swej powieści śląskiego argotu małomieszczańskiego Pola Gojawiczyńska. Można mieć jednak wątpliwości, czy godzi się sankcjonować literacko, mocno przez niemiecką zdeformowaną mowę środowiska niecałkiem jeszcze z Polską zżytego? Warszawski zespół literacki „Przedmieście“ używa małomieszczańskiej mowy warszawskiej tak, jak powieść pozytywistów, tj. dla charakteryzacji osób.

*) Tak np. Wincenty Dunin Markiewicz, o którym Józef Gołębek, Wilno 1931; to się i do literatury litewskiej odnosi, por. M. Brensztejna, o Dyonizym Paszkiewiczu, Wilno 1935).

skiego, niektórzy z ziemiaństwa, nieliczni z wykształconych warstw miejskich. Ale jeśli ci, co z ludu pochodzą, używają gwary, to nie jest to w immanentnym związku z ich pochodzeniem, używają jej bowiem z tych samych pobudek, uczuciowych czy artystycznych, co ich koledzy, którzy nie są ludowego pochodzenia, używają jej z wolnego wyboru, dlatego że mają taki gust, ale bynajmniej nie z konieczności: wpływy mowy ludowej na literaturę inteligencką są dotychczas zjawiskiem literackim a nie społecznym, zjawiskiem artystycznego upodobania, a nie jakiegoś przegrupowania socjalnego. Jest to pisarstwo w stylu ludowym a nie ludowe. Pisarstwo rzeczywiście ludowe, kiedy ludzie od pług a i od warsztatu biorą się do pisania i ogłaszają drukiem to co napiszą, jest nowem zjawiskiem społecznem wzgl. historyczno-kulturowem.

*

Mógł być Klemens Janicki, towarzysz Kmitów i Tarnowskich, pochodzenia chłopskiego, ale nie był chłopem, należąc do ówczesnej wysokiej hierarchji społecznej i stojąc na szczytach ówczesnej kultury. Gdy się zwrócimy do „małej literatury“ dawnych czasów, o której pisał Karol Badecki, jako o „mieszczkańskiej“, to znowuż mamy do czynienia z piśmiennictwem rozmaitych „klechów“, niedokończonych studentów, rybaków, słowem ówczesnych półinteligentów. Może jakie poszukiwania znajdą we wiekach przed XIX-ym autentycznych pisarzy ludowych? Z epoki pańszczyźnianej wymieniamy znikomą liczbę nazwisk, co nie jest dziwnem, choćby dlatego tylko, że z piśmiennością na wsi było

wtedy bardzo słabo²⁾. Natomiast na kresach zachodnich, w okolicach protestanckich (na Mazurach) istnieje w połowie w. ub. pobożne piśmiennictwo ludowe. Na Śląsku rozwija się w tym czasie piśmiennictwo, które zwę „prowincjonalnem“, bliskie ludowemu.

Druga połowa w. XIX zna częstsze okazy pisarstwa ludowego, i to przeważnie w Galicji, pod koniec wieku także i w Królestwie Polskiem. Dopiero jednak na przełomie wieków, kiedy już podrosły pokolenia, co w dzieciństwie przeszły szkołę, i znowuż w Galicji głównie, a to w środkowej zwłaszcza, w żyznych powiatach nadwiślańskich, przy atmosferze życia politycznego, przy czynnej pracy oświatowej i współdzielczej inteligencji, w temperaturze duchowej, która od krakowskiej Młodej Polski szła, obudzonych nadziei narodowych i tego przekonania, że „chłop potęgą jest“ — dopiero w tej epoce zjawiają się pierwsze książki pisarzy ludowych, którzy dotąd zadowalali się współpracownictwem w pisemkach popularnych. Rok 1905, kiedy wychodzą tomiki Jantka i Kurasia jest ważną datą w historii naszej literatury ludowej i nie błahą w historii naszej kultury. Lata przedwojenne są piękną i niezapomnianą epoką, kiedy życie narodowe wielką i szeroką falą, falą pogody, solidarności międzystanowej i narodowej nadziei wlewało się na wieś. Ówczesna literatura ludowa w treściach i nastrojach swoich jest wiernem odbiciem tych uczuć: jest zasadniczo optymistyczna i pa-

²⁾ Gdy w r. 1866 podpisywano pewien dokument w Chocholowie na Podhalu, na 32 podpisujących się były tylko 4 podpisy a 28 krzyżyków (u X. Tyburcego, *Żywot X. Blaszyńskiego* l. c.).

trjotyczna, bez nienawiści klasowej: wszak pisarze ludowi wiele zachęty i pomocy zawdzięczali inteligencji, poszczególnym osobom i oświatowym inicjatywom i tej całej ideowej atmosferze.

Można więc na takie podzielić fazy rozwój literatury ludowej: Wstępna (faza „niemoty“) za czasów pańszczyźnianych, kiedy tylko najzupełniej wyjątkowo spotykamy pisarzy ludowych; pierwsza („oświatowa“), kiedy wyrosło pierwsze pokolenie, co już umiało czytać i pisać, i kiedy powstały pisma ludowe, z zapalem do oświaty jako intencją naczelną, z r. 1905 jako szczytowym, trwająca do wybuchu wojny. Początkiem drugiej fazy („masowej“, wzgl. „żywiłowej“), może być albo rok 1923 konkursu poznańskiego z pamiętnikiem Wojciechowskiego, jako rewelacją „oddolnej“, proletarjackiej literatury, albo rok 1933 z pamiętnikami bezrobotnych, także rewelacyjnymi acz w odmienny całkiem niż tamta książka sposób, albo wreszcie tenże sam r. 1933, w którym pisarze ludowi uczuwają potrzebę założenia własnego organu literackiego. Mniejsza o dokładne daty: dość, że ta faza zaznacza się obudzonym masowo i żywiłowo pędem do pisania, przyczem jako nastrój przeważa pesymizm, a także jawią się nastroje rewolucyjne, jako naczelną zaś idea — idea stworzenia własnej, niezależnej literatury ludowej.

Zdaje się, że już dość stanowczo wyraził się we Wstępie o tym postulat; zostaje mi streścić zwięźle i powtórzyć, że postulat ten, psychosocjalnie rozumiały, uważam jednak za nierealny, bo czytelnikowi zależy tylko na tem, aby miał dobrą literaturę, a pozycja socjalna pisarza jest mu obojętną. Uważam literaturę ludową (w tym, określonym przez nas sensie) za etap rozwojowy,

a nie za coś, coby mogło mieć wagę ideału: W ideale zawsze jest *implicite* zawarty postulat wiecznego trwania, tymczasem dla pisarza ludowego naturalną i legalną ambicją jest, i nie może być nic innego, jak tylko i prosto tworzyć dobrą literaturę, tak dobrą, ażeby zapamiętała ją sobie historia, historia niekoniecznie tylko ludowej, ale narodowej literatury. I jeśli — czego tylko najgoręcej pragniemy i co jest ideałem rozwoju — lud będzie się kiedyś składał z samych oświeconych czyli inteligentnych ludzi, którzy pracują rękoma, to więcej będzie takich ludowych pisarzy, jacy będą — jak są już dzisiaj, ci nieliczni — pisarzami na poziomie wysokim. Tak będzie z tymi, którzy będą mieli i talent wyższy i takąż umysłową i literacką kulturę. Reszta stanowić będzie pisarstwo na poziomie popularnym i prowincjonalnym, może bardzo pożyteczne, ale które nie będzie mogło żywić ambicji do jakiejś specjalnej swoistości. I dlatego też, dodajmy nawiasowo, za jakichś parę dziesiątków lat, jeśli wszystko dobrze pójdzie i kultura ludu pójdzie naprzód żwawym i pewnym krokiem, to przedsięwzięcie takie jak niniejsze, to znaczy rzecz o „literaturze ludowej“, będzie bez interesu; dziś jesteśmy jeszcze przy fermentacji i pierwszych ambitnych wysiłkach — i to uczyniło nam studjum niniejsze zajmującym.

Ale chyba jeszcze dobrych parę dziesiątków lat będziemy mogli wyodrębnić „literaturę ludową“, a w szczególności „chłopską“ i obserwować ją jako pewną swoistą całość. Zastanówmy się jeszcze nad jej ideologią, która chwieje się między klasowością, a stanowością³⁾. Nie będzie-

³⁾ Klasy walczą między sobą, klasa proletarjacka zwyciężywszy, tępi i na tej podstawie zakłada „społeczeństwo

my już z klasowością polemizowali; ale stanowść jej uznamy za intencję zdrową, moralnie podnoszącą, kulturalnie postępową, narodowo zachowawczą. Mali rolnicy chcą być stanem w narodzie: chcą zachować swoją swoistość (to jest to, co się nazywa „kulturą ludową“) i chcą zarazem zdobyć sobie oświatę (to, co się nazywa „kulturą ludu“), należyny respekt w stosunkach towarzyskich i polityczne zrównanie. I właśnie literatura wsiowa⁴⁾ czy tam chłopska — (teraz już bez względu na to, czy tworzący ją pisarze będą chłopami autentycznymi, czy też inteligentami jakiegokolwiek pochodzenia, byleby tematy chłopskie były dla nich głównymi) — otóż taka literatura może i powinna być organem wyrabiania się tej stanowej świadomości. W jaki sposób? Czy przez wyspecjalizowanie w jakichś ściśle określonych politycznych tendencjach? Taka droga, droga, którą idą państwa totalne ze swoją literacką polityką i kontrolowaną literaturą, może prowadzić tylko do zadławienia w załączku wszystkiego, co jest w literaturze swobodą i artyzmem. Tylko swobodne, szczerkiem dla celów artystycznych, tylko śmiałe i bezkompromisowe, bez stanowego pochlebstwa lub taniej demagogji, traktowanie zagadnień wsiowych

bezklasowe“; stany mogą rywalizować ze sobą, ale w zasadzie dążą do współdziałania; społeczeństwo czujące się stanem jest zadowolone ze swego zróżnicowania. (Jeśli dzisiaj wzywa się warstwy pracujące i ubogie, ażeby, zamiast żywienia nienawiści klasowej, poczuły się do swojej godności stanowej, to jest to możliwem tylko dzięki temu, iż mamy za sobą wiek XIX, wiek demokracji, zrodzonej nietyle z krwawej Rewolucji francuskiej, ile z Deklaracji praw człowieka i obywatela, poprzedzającej Rewolucję...).

4) Proponuję słowo „wsiowy“ dla wsi włościąńskiej, „wiejski“ da wsi wogóle.

przez pisarzy, którzy znają wieś i którzy ją kochają ale kochają surową i wymagającą miłością, może wytworzyć literaturę chłopską (czy, *mutatis mutandis*, robotniczą), jaka będzie artystycznie dobra i prawdziwą, a społecznie twórczą. Wzór takiego człowieka, twórcy, moralisty i publicyisty, widzę w Orkanie, który był arystokratą w demokracji, konserwatystą w postępie, narodowcem w ludowości, Polakiem w podhalaństwie: „Cóż zrab, rękojmię trwałości gmachu ma utworzyć? Oto rzetelna, wiążąca dół z górą demokracja — i jedna, spójna, jak cement lutujący głązy, narodowa kultura“. Nie widzę przyszłości dla literatury wsiowej w klasowym rewolucjonizmie. Jest wiele do poprawienia w ustroju socjalnym — ale głównie w mieście. Wieś nie może być obojętną na to, co się w mieście dzieje, z rozmaitych łatwo zrozumiałych względów, choćby dlatego tylko, że daje swoje dzieci miastu. Stanowi wiejskiemu zależy więc na naprawie społecznej taksamo jak biednym i jak sprawiedliwym ludziom po miastach. Ale ni wieś ni miasto nie mają nic do zyskania na rewolucji społecznej, któraby, w danych warunkach dziejowych, doprowadziła do niewoli socjalnej i narodowej. Co innego przyspieszona ewolucja! Nie jest to temat do omawiania tu. Dość, że przed wsią leży, jako droga do poprawy tego jej biednego życia, droga pracy organicznej. Przypuśćmy jakąś sprawiedliwą reformę rolną (sprawiedliwą, to jest taką, któraby nie wytępiła doszczętnie średniej własności rolnej i nie poniszczyła dobrze funkcjonujących gospodarstw, nie sproletaryzowała warstwy rolników średnich, którzy i w gospodarstwie narodowym mają jakąś funkcję do spełnienia i jakieś prawo do bytu w społeczeństwie narodowym) — otóż przy-

puścimy reformę rolną, która jakiemuś milionowi chłopów da rolę: Przeludnieniu wsi naszej ona nie zaradzi. Pozostaje intensyfikacja gospodarki mało-rolnej, parcie do miast, rzemiosła, spółdzielczość, pozostaje ulepszanie nie tylko roli, lecz także i nade wszystko umysłów i obyczajów, uszlachetnianie dusz, żeby zrobić w Polsce taką wieś, w jakiejby się żyło prawdziwie po ludzku. Lisków czy Kołchoz? ⁵⁾). Takie pytanie stawia epoka naszemu ludowi wiejskiemu. Do pisarzy ludowych należy na pytanie to stanowczo sobie we własnych sumieniach i we własnym rozsądku odpowiedzieć, w pismach swych odpowiedzi tej dawać mocny wyraz. Literatura ludowa wsi zajmie ważne miejsce w gospodarce duchowej narodu, jeśli stanie się w pełni świadomym organem ludowej świadomości cywilizacyjnej, jeśli satyrą pchać będzie wieś do poznania własnych, trzeba przyznać, że niemałych, zaległości kulturalnych, lecz i moralnych; jeśli zdoła poświęcić piękna otoczyć życie wsi, tak, ażeby mały rolnik, ubogi ale wolny człowiek, o ziemię wsparty, w ulepszaniu swego życia, dla siebie, dla swoich dzieci i dla całego narodu, uczuł swoje przeznaczenie piękne.

W sytuacji niestety o wiele gorszej, dziś jakby tragicznej, zostanie literatura ludowa miasta...

⁵⁾ Lisków, znana wieś w Kaliskiem, gdzie pod przewodnictwem wybitnego działacza X. Wacława Błazińskiego, w ciągu paru dziesiątek lat, wieś, od biedy i zacołania, za pomocą szeregu licznych instytucji spółdzielczych doszła do wyjątkowego dobrobytu, oświaty, nawet odmiennego, wysoce cywilizowanego wyglądu ulic, gospodarstw i ludzi... Lisków jest tu użyty jako symbol pracy organicznej — nie jest bowiem jedyną wsią u nas tego rodzaju, choć

Przy ocenie pisarzy, wzgl. utworów, dwa uczucia kierowały mną: życzliwość dla ludzi niewykształconych, którzy dobijają się — i z jakimż często heroizmem! — trudnej sztuki pisania, ale i obawa, aby pod wpływem tej życzliwości nie przesadzić; dlatego niektóre oceny mogły wypaść zbyt pożąłiwie, inne zbyt surowo; przy ocenie zagadnień pisarstwa ludowego, tażsama życzliwość walczyła często z obawą, aby szeroki rozlew pisarstwa nie miał, prócz dobrych, i pewnych ujemnych dla kultury narodu następstw; sprawiedliwość była główną troską autora tej książki.

Nie należę do tych, którzy mniemają, że literatura, i ogólniej: kultura klas tzw. „wyższych“, czyli raczej „inteligencka“, jest tak przeżyta i podupadła, iż potrzebuje „odrodzenia“ od ludu; nawet przy najprzykrzejszych zaćmieniach naszej kultury europejskiej, i tu, w Polsce, polskiej, nie wątpię, że rozwój intelektu jest gwarancją dobrej kultury narodu i epoki — i, tu w Polsce, pamiętam, że kultura nasza narodowa ma ton szlachetny i wysoki. Ale po zrobieniu tego studjum, które się niniejszem Czytelnikowi przedkłada, tem głębsze mam przekonanie, że kultura polska ma w ludzie polskim obfite i bogate, bogate w talenty, dobrą wolę, energję, rezerwy współtwórcze i twórcze.

może tam wyniki były najwybitniejsze; jest więcej wsi podobnych, a pionierami postępu gospodarczego i kulturalnego prawie zawsze są w nich dzielni duszpasterze.

TABLICA CHRONOLOGICZNA,

zawierająca przegląd najważniejszych faktów literatury ludowej, na tle zdarzeń historycznych i literackich mających bezpośredni lub pośredni związek z demokratyzacją społeczną, względnie świadczących o zainteresowaniu się warstw wykształconych życiem ludowym — począwszy od roku 1765. (W nawiasach podaje się niektóre najważniejsze wypadki polityczne i literackie, dla ramy historycznej).

1770. Konkurs biskupa Massalskiego na pracę o oświecenie ludowej.

1772. (Pierwszy rozbiór Polski).

1773. Ustanowienie Komisji Edukacyjnej.

1774. X. A. Popławski, pijar, *Przepis do szkół parafjalnych*.

1779. W Teatrze Narodowym w Warszawie operetka ludowa M. Kamińskiego *Zośka albo wiejskie zaloty*.

1784. W Nieświeżu, na przyjęcie króla, operetka ludowa i humanitarna M. Radziwiłła, pt. *Agatka*.

1785. *Elementarz dla szkół parafjalnych narodowych*.

1787. Grzegorz Piramowicz, *O powinnościach nauczyciela*.

1789. (Zgromadzenie narodowe w Paryżu: *Deklaracja praw człowieka i obywatela*).

1791. Konstytucja 3 Maja bierze lud włościański pod opiekę prawa.

1794. 1/III. *Krakowiaczy i górale* Bogusławskiego z entuzjazmem przyjęte w Warszawie. — 4/IV. bitwa pod Racławicami. — 6/V. Manifest Połaniecki Kościuszki.

1795. (Trzeci rozbiór Polski).

1797—99. (Legiony Dąbrowskiego i Kniaziewiczza).

1807. (Księstwo Warszawskie). — Napoleon w Warszawie ogłasza: „niewola znosi się“, uwłasnowolnienie włościan, bez uwłaszczenia jednak.

1808. Izba Edukacyjna w Warszawie — 500 szkół ludowych.

1815. (Upadek Napoleona, Kongres wiedeński, Królestwo Polskie).

1818. Powieść dydaktyczna dla ludu, *Pielgrzym z Dobromila* Izabelli Czartoryskiej. *O Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej* Chodakowskiego.

1820. Brodzińskiego *Wzstawa*. — Ur. się J. Rak.

1823. Urodz. się J. Ligoń.

1824. Kurja chłopska w ustawie o wyborach do sejmu w Poznaniu.

1826. *Kurjer Warszawski* drukuje wiersz **J. Kostuchy** i wiadomość o nim.

1830. (29 listopada — 1831. 7 września. Powstanie listopadowe).

1836. Manifest (Polskiego) Towarzystwa Demokratycznego w Paryżu zapowiada walkę o niepodległość Polski i sprawiedliwość społeczną.

1842. Urodz. się J. Słomka.

1846. (Luty: Powstanie krakowskie; powstanie chochołowskie, rzeź galicyjska, Szela). — Ur. się F. Magryś.

1848. („Wiosna ludów“). Rewolucja w Paryżu. Powstanie poznańskie. Ruch rewolucyjny w Galicji. Konstytuanta wiedeńska). Zniesienie pańszczyzny w Galicji.

1849. *Chłopi arystokraci* Anczyca, w teatrze krakowskim.

1858. Zaczyna pisać **J. Ligoń**.

1863. (21 stycznia do 5-go sierpnia 1864: powstanie styczniowe). 21 stycznia 1863: Rząd Narodowy ogłasza uwłaszczenie włościan.

1864. Ukaz carski o uwłaszczeniu włościan.

1865. (Sejm krajowy w Galicji). — Samorząd gminny i powiatowy. — Wiersz patriotyczny **Raka**.

1868. (Rada szkolna krajowa w Galicji. — Język polski w szkolnictwie).

1869. Austrjacka ustawa o szkolnictwie powszechnem. — (W Galicji język polski w urzędach i sądach).

1871. (Zwycięstwo Niemiec nad Francją. Cesarstwo niemieckie).

1872—78. (Walka z katolicyzmem w Niemczech, tzw. „Kulturkampf“). — Zniesienie języka polskiego na Śląsku Górnym). Wiersze patriotyczne **Ligoni**.

1875. Ks. Stojałowski zakłada dwa pisma ludowe, *Goniec* i *Pszczołkę*.

1876. (Prześladowanie unitów na Podlasiu, ich bohaterski opór).

1877. Wielki wiec chłopski Stojałowskiego we Lwowie.

1879. Jubileusz Kraszewskiego w Krakowie, na nim Kraszewski prezentuje starego poetę Szarka.

1884. (*Ogniem i mieczem* Sienkiewicza).

1885. (W Królestwie Polskiem w szkole ludowej język rosyjski).

1886. (Komisja Kolonizacyjna w Prusach, 100.000.000 mk. na wykup ziemi polskiej). — Liga Polska (Paryż) ogłasza program niepodległościowy i demokratyczny. — Bolesław Wystouch (Lwów) ogłasza program „Polski ludowej“; podobne idee J. K. Potocki i J. L. Popławski w założonym w Warszawie *Głosie*. — *Placówka* Prusa.

1887. (Zniesienie nauczania polskiego w Wielkopolsce).

1888. *Beidouek* Dygasińskiego; dyskusja o uprawieniu gwary w literaturze.

1889. (Wielki strajk na Śląsku Górnym, silny ruch narodowy, *Nowiny Raciborskie* dra Rostka). — Kandydaci chłopcy Stojałowskiego przechodzą do sejmu we Lwowie. — Zaczyna pisać *Magryś*.

1890. (Pogrzeb Mickiewicza — przeniesienie zwłok na Wawel — wielką manifestacją narodową. Manifestacje w Warszawie na 3. Maja).

1891. Towarzystwo Szkoły Ludowej we Lwowie. — *Na przełęczu* Witkiewicza.

1892. Sejm galicyjski tworzy fundusz na budowę szkół. (Polska Partja Socjalistyczna). — 1892—97: *Pon Balcer* Konopnickiej.

1893. Wielki wiec Stojałowskiego w Krakowie z okazji rocznicy zwycięstwa Sobieskiego pod Wiedniem, 12.000 chłopów.

1894. (Wystawa Krajowa we Lwowie. Liga Narodowa, Demokracja Narodowa).

1895. Polskie Stronictwo Ludowe. Siedmiu posłów Stojałowskiego w Sejmie lwowskim. *Suspensa* Stojałowskiego. — Bojko posłem do Sejmu.

1900. *Chłopi* Reymonta, *Komornicy* Orkana.

1901. *Wesele* Wyspiańskiego.

1902. (Wilhelm II w Malborgu grozi Polakom. Pismo *Górnoślązak* rozpoczyna energiczną walkę narodową. — Bo-

haterski opór dzieci polskich we Wielkopolsce, Września). — 1902—1904: *Na Skalnem Podhalu Tetmajera*.

1903. (Ożywienie ruchu narodowego na Górnym Śląsku; zwycięstwo wyborcze Polaków narodowców, Korfanty posłem do Sejmu pruskiego).

1904. (W zaborze pruskim zakaz osadnictwa polskiego, wóz Drzymały). — Sejm galicyjski ogłasza ustawę o włościach rentowych. — Pomnik Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu. *Dwie dusze Bojki*.

1905. (Wojna rosyjsko-japońska. — Ruch rewolucyjny w Rosji i Królestwie Polskiem). — 17 grudnia wielki wiec chłopski w Warszawie. — Macierz szkolna. — Pierwsze tomiki poeji ludowej *Kurasia* i *Jantka*.

1906. (Duma, tj. parlament w Petersburgu, z Królestwa Polskiego 36 posłów, demokraci narodowi, między nimi *Nakoneczny*).

1907. Zamknięcie Macierzy Szkolnej, powstają kółka imienia Staszica, z których rozwinie się później ruch Zarania. — *Witos* posłem do Sejmu galicyjskiego.

1908. (Ustawa pruska o wywłaszczeniu tj. przymusowym wykupie ziemi od Polaków. — Związek Walki Czynnej, Lwów, Piłsudski i Sosnkowski). *Galicja* Bujaka (t. I).

1910. (Obchód rocznicy bitwy pod Grunwaldem w Krakowie, odsłonięcie pomnika Jagiełły, ufundowanego przez Paderewskiego, wielka manifestacja narodowa dziesiątek tysięcy Polaków ze wszystkich zaborów i Ameryki).

1912. *Słomka*, *Pamiętniki włościanina* (edycja T. S. L.). — Dar narodowy dla *Kurasia*.

1914. (6. VIII. Wymarsz I. Brygady Legionów z Krakowa. — 16. VIII. Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie. W Królestwie Polskiem w październiku Polska Organizacja Wojskowa).

1915. (Kłeska Rosji, opuszczenie przez nią Królestwa Polskiego).

1916. (5. XI. Rada Regencyjna w Warszawie).

1917. (23. I. Odezwa Wilsona, m. i. żądanie „Polski wolnej, zjednoczonej i niepodległej“, z dostępem do morza. 5. VI. mocarstwa koalicyjne uznają niepodległość Polski. Komitet Narodowy w Paryżu, armja polska we Francji. Uwięzienie Piłsudskiego i Sosnkowskiego w Magdeburgu).

1918. (9. II. Pokój w Brześciu nad Bugiem, zawarty

między Niemcami i Austrią a bolszewikami i Ukraińcami, oddaje Ukrainie Ziemię Chełmską. Rozruchy w Polsce. 16 lutego bitwa pod Rarańczą, Haller na czele II. Brygady powstaje przeciwko Austrii. Od 1. XI. obrona Lwowa. 11. XI. koniec wojny na froncie zachodnim, Niemcy poddają się. Powrót Piłsudskiego do Warszawy.

1919. (28. VI. Traktat pokojowy w Wersalu, w imieniu Polski podpisany przez Paderewskiego i Dmowskiego, przyznaje Polsce Wielkopolskę i Pomorze. Pierwsze powstanie śląskie. Plebiscyt na Orawie i Spiszu).

1920. (Plebiscyt na Warmji i Mazurach. Rząd Obrony Narodowej z premierem Witosem. W sierpniu drugie powstanie śląskie. 15 sierpnia zwycięstwo pod Warszawą). Ustawa o reformie rolnej.

1921. (18 marca pokój w Rydze z Rosją; koniec wojny w Polsce. 20. III. plebiscyt na Górnym Śląsku. 3. V. trzecie powstanie śląskie). — Konkurs na życiorys robotnika.

1922. *Wskazania* Orkana na zjeździe Podhalan w Czarnym Dunajcu: program regionalizmu podhalańskiego.

1924. *Poezje Sawczuka*.

1925. *Przez ciernie żywota Kurasia*, z przedmową Żeromskiego. *Życiorys własny Berkana*.

1929. (Początek „kryzysu“). — Zjazd w Łowiczu obraduje nad kwestjami kultury ludowej.

1930. *O życie wewnętrzne wsi Niecki*. *Życiorys własny Wojciechowskiego*.

1931. Konkurs na pamiętnik bezrobotnego.

1932. *Magrysia Żywot chłopca działacza*.

1933. *Pamiętniki bezrobotnych*. — *Wieś i Jej Pieśń*.

1935. *Pamiętniki chłopów I-szy tom*.

1936. 29. VI. Uroczystość w Nowosielcach. — Instytut Kultury Ludowej w Warszawie. — *Dobrzyńskiego Czarna poezja*, powieściopisarze: **Brzoza, Pawlak, Worcell**.

1937. *Jeremskiego Włókniarze*. **II tom Pamiętników chłopów**, nagroda *Wiadomości Literackich*. **Poezja Młodego Podhala**. — Antologia literatury ludowej

SPIS PISARZY LUDOWYCH.

Pisarze, co do których wyrażono wątpliwości, czy są autentycznie ludowymi, ci, o których nie ma żadnych innych wiadomości, prócz tego że są w zbiorach poezji ludowej, pisarze z różnych pograniczy, przygodni, „bardowie ludowi” — zaznaczeni [klamrą]; cyfry rzymskie w nawiasach oznaczają rozdziały, w których szukać cytacyj.

- | | |
|---|---|
| Augustyn Wojciech II 405
(XXXII). | 181, 214, 305, 379, 468
(XIII). |
| [Baranowicz Jan] II 194, 259
(XXVI, XXXI). | Bonczek Alojzy I. 77, 196, (VII). |
| Beciński Franciszek II 260. | Bondzio Jan II. 356. |
| [Berkan Władysław] I, 6, 46, 127,
315, 430, 469 (V). | Borowy Piotr I. 47, 116, II.
89, 252, 283, (XVII). |
| Bezimienni pamiętnikarze ro-
botnicy I. 125, 469 (IV). | Breowicz Wojciech I. 9, 42,
II. 193, 195, 265, (XXVI).
(XXVI). |
| Bezimienni pamiętnikarze bez-
robotni I, 201, 469 (IX). | [Brzega Wojciech] II. 362,
(XXXII). |
| Bezimienni pamiętnikarze chło-
pi I. 252 (X, Dodatek II, 1). | Brzoza Jan (Worobiec) I. 39,
II. 103 469 (XVIII). |
| Bezimienni pamiętnikarze dzia-
łacze wiejszy II. 431 (Doda-
tek II, 2). | Byczek Jan II. 265. |
| Bezimienni pamiętnikarze poeci
ludowi II. 412 (XXXIII). | Byczek Wojciech p. Breowicz. |
| Bezimienni „wyrzutki społec-
zeństwa“ I. 316 (Dodatek
I. 2). | Chłopiec z Wampierzowa II.
418 (XXXIII). |
| Bezimienny Sybirak II, 261. | Curusiówna Bachleda Marja II.
249, 250. |
| Białoskórski Józef II, 262. | Czechura Maciej II. 411,
(XXXII). |
| [Bieniówna E.] II 195, (XXXI). | Czuła Maciej I. 16, II. 305,
(XXXI). |
| Błachnio Aleksander II. 402. | Dobrzyński Konstanty I. 48, II.
187, 227, 464, 469 (XXVIII). |
| Błaszczyk Jan II. 422. | Dorsz Jan II, 356. |
| Bobowski Andrzej II. 264. | Drabikowski J. II. 422. |
| Bojko Jakób I. 35, 47, II. 14, | Frańcz Władysław II. 401 |

- [Franusiewicz Piotr] II. 201, (XXVI).
- [Fronczak W. J.] II. 339, (XXXII).
- Gaydzica Jura II. 86, 378, (XXXII).
- Gawryluk Paweł II. 422.
- [Hayda Wawrzyn] II. 395.
- Hutnik II. 422.
- [Iwanowska Klug Olga] II. 344.
- Jacoszek Walenty II. 422.
- Jantek z Bugaja** (Kucharczyk) I. 10, 34, 48, 94, II. 144, 156, 169, 187, 194, 457, 468 (XXIV).
- Jenczio Jan II. 356.
- [Jeremski Józef]** II. 233, 468 (XXIX).
- Job Wincenty II. 265.
- Kaczak Jan II. 265.
- Kajka Michał II. 356 (XXXII).
- Kalembasa Tomasz II. 266.
- Kania Jakób II. 396, 398, (XXXII).
- Kapusta Morcin p. Radziej.
- Kasprowicz Antoni II. 267.
- Kieliszek Kazimierz II. 267, (XXXI).
- [Kirschowa Kasiénka] II. 203, (XXVI).
- Kłata Wojciech II. 422.
- Klebba Władysław II. 354.
- Kołąbryna p. Sikora Wawrzyniec.
- Kołodziej Piotr II. 389, 394.
- Koral Waclaw I. 203 (VIII).**
- [Krystjan Franciszek] II. 2.
- [Krzepkowski Biały Stanisław] II. 361.
- [Krzepkowski Jan] p. Sabala.
- [Kornik Antoni Leon] II. 270, 305.
- Kostucha Jakób II. 270, (XXXI).
- [Kowalski Władysław] II. 272.
- Kubiniec p. Nędza.
- Kucharczyk Antoni p. Jantek.
- [Kucharska S.] II. 340 (XXXII).
- Kupiec Jan II. 393, (XXXII).
- Kuraś Ferdynand I. 23, 39, 41, 23, 39, 41, 48, 90, 124, II. 144, 154, 173, 187, 457. (II, XXIII).**
- [Labuda Aleksander] II. 354.
- Lazarczyk Michał II. 400.
- [Leja Jan] II. 345, (XXXII).
- Lesiczka Sebastjan II. 274.
- Ligoń Juljusz II. 387, 466 (XXXII).
- Lis II. 394.
- [Łachaciński Czesław] II. 202 (XXVI).
- [Łopatowski J.] II. 345.
- Łakomski Stanisław I. 305, (XI).**
- [Łęczynianka - Lesiowska Kachna] II. 202, (XXVI).
- [Macak F.] I. 16.
- Macek Karol Antoni II. 274.
- Magryś Franciszek I. 2, 29, 48, 107, II. 1, 149, 163, (III, XIII, XXII).**
- Majkut Józef II. 401.
- [Małyga] I. 36.
- Matros Józef II. 397.
- Michalczyk Wilhelm II. 356.
- Michał z Byłomia II. 394.
- Mirek Antoni Władysław p. Olcha.
- Miśkiewiczówna Marjanna II. 400, (XXXII).
- Motas Wincenty II. 274.
- Musik Mikołaj II. 274.

- Nakonieczny Józef II. 266, 275.
- Nędza-Kubiniec Stanisław** I. 48, II. 209, 369, 374, 402, 442. (XXVII, XXXII).
- Niecko Józef** I. 6, 16, 47, II. 53, 211, 214, 469 (XV).
- Nocek Józef II. 275.
- [Nowak Franciszek] II. 2.
- Nowak Kazimierz Piotr II. 403, (XXXII).
- Nowobielska Hanka II. 374, 443, 444, 446, (XXXII).
- Odrzańska Teresa II. 397, 398
- [Olcha Antoni (Mirek)] I. 10, 12, II. 194, 204, 205, 275, 403, (XXVI).
- [Orawiec Józef] II. 345.
- [Patoch J.] II. 354.
- Pawlak Władysław** I. 39, II. 102, 116, 469 (XIX).
- Pawliczak S. II. 258.
- Pawlisz Franciszek II. 383, (XXXII).
- Piech II. 394.
- Pilch Józef II. 361.
- Pszczeliniak Janek II. 400.
- Radomczyk II. 275.
- Radziej Jacek (Kapusta) II. 397.
- Rak Jan** I. 47, II. 141, 187. (XXI).
- [Rydz Robert] II. 275.
- Rytardowa z Rojów Helena II. 249, 251.
- [Sabała (Krzepkowski Jan)] I. 2, 19, II. 250.
- Sass Jan II. 342, (XXXII).
- Sawczuk Kajetan** I. 47, II. 144, 185, 451, 469 (XXV).
- [Sawka Józef] II. 410, (XXXII).
- Sędzielnor Daniel II. 394.
- Sieczka Stanisław II. 250.
- Sienicki Stanisław II. 433, 425, (Dodatek II. 1).
- Sikora Adam II. 381, (XXXII); [Sikora L.] II. 382.
- Sikora Wawrzyniec (Koląbryna) II. 275.
- Skawski Jan II. 422.
- Skupień Florek Andrzej II. 376. (XXXII).
- Słomka Jan** I. 23, 47, 51, 97, 107, 110, 117, 124, 314. II. 11, 101, 181, 379, 468 (I).
- [Słysz Franciszek] II. 277, (XXXI).
- [Smreczyńska Katarzyna] II. 281, (XXXI).
- [Sobierajski Edward] II. 205, (XXVI).
- Solecki Bolesław II. 422.
- Stapińska Aniela II. 375, 445, 446, (XXXII).
- Stoupał Wiktor p. Witos.
- Stopa Antoni II. 206 (XXVI).
- Suleja Andrzej II. 361.
- Surdyn Wojciech II. 422.
- Sz. Leon II. 304.
- Szania Adam II. 304, (XXXI).
- Szarek Maciej II. 305.
- [Szkłennik Mieczysław] II. 306. (XXXI).
- Szpunar Wawrzyniec II. 410, (XXXII).
- Szydłowski Konrad II. 400.
- [Śliwa Alojzy] II. 357. (XXXII).
- Średniawski Andrzej II. 253, 312, 464, (XXXI).
- [Świder Augustyn] II. 394. (XXXII).
- Tuczyński F. K. II. 322.

- [Turska Aurelja] II. 206.
(XXVI).
[Tylko Władysław] II. 402.
Urban Andrzej II. 422.
[W. D. K.] II. 307.
[W. St.] II. 357.
Wantula Jan I. 47, 315, II. 79,
263, 378, 382, (XVI, XXXII).
[Warchałowski C. K.] II. 341,
(XXXII).
Wiącek Wojciech II. 252.
Wieczorkowski Bronisław II.
325, (XXXI).
Wilczek II. 394.
Witos Wincenty I. 47, II. 38,
278, 281, 314, 468 (XV).
Wojciechowski Stanisław I. 19,
20, 54, 127, 149, 295, II.
101, 107, 145, 458, 469
(VI).
Worcell Henryk II. 58, 103,
126, 469 (XX).
Worobiec p. Brzoza.
[Wrona Edward] II. 207,
(XXVI).
[Wykrot Piotr] II. 207,
(XXXVI).
Zawada Wojciech II. 327,
(XXXI).
Zięba A. II. 400.
Zniczowiec II. 416, (XXXIII).
Żurek Franciszek II. 464,
(XXXI).

SPIS INNYCH PISARZY,

z których cytuję, z których korzystałem bezpośrednio, albo którzy stanowią pozycję bibliograficzną dla zagadnień pisarstwa ludowego i kultury ludowej w ogólności; natomiast nie przytacza się nazwisk pisarzy wymienianych w książce z innych powodów; ponadto wymienione są osoby, które mi służyły informacjami (prócz wyliczonych w Przedmowie).

- Anusz A. II. 40.
Asper II. 455.
Badecki K. II. 456.
Bąk S. II. 383.
Bielatowicz J. II. 252, 315, 440, 449.
Bień A. II. 248.
Borkowicz M. II. 263.
Boy-Żeleński I. 151, 152, 189, 190, II. 262.
Brasillach R. I. 39.
Breiter E. II. 372.
Brensztejn M. II. 464.
Brodacki J. II. 40, 44.
Bronikowski W. II. 23, 24, 408.
Bruhl-Levy I. 64.
Brückner A. I. 152, II. 454.
Budzyk K. II. 440, 441.
Bujak F. I. 2, 9, 30, 54, 72, 74, 75, 86, 111, 112, II. 1, 4, 35, 40, 58, 315, 408, 468.
Bukowski A. II. 355.
Burek W. I. 3, 261, II. 402, 463.
Bystroń J. S. I. 28, 30, II. 156, 266, 420.
Chałasiński J. I. 156.
Charkiewicz W. II. 263.
Chętnik A. II. 75, 76.
Chodakowski Z. D. II. 58.
Cierniak J. I. 29, 36, II. 65, 247, 248, 463.
Czachowski K. I. 27, 156.
Czernik S. II. 194, 267.
Czuchmowski M. I. 10, 14, 15, II. 194, 235.
Daszyńska - Golińska Z. II. 83.
Dąbrowska M. II. 224, 421, 422, 423.
Dobrowolski K. II. 378.
Dobrowolski T. I. 28.
Dygasiński A. II. 446.
Dzięciołowski A. II. 245.
Fin II. 307.
Fischer A. II. 188, 354.
Gawełek F. II. 156, 327.
Giertych J. II. 356.
Gołabek J. II. 464.
Grzebieniowski T. II. 453.
Gwiżdż F. II. 145, 361, 371, 463.
Handelsmann M. I. 5.
Harbut J. S. II. 415.
Hempel H. II. 275.
Hitler A. I. 45.

- Illakowiczówna K. I. 313.
Ingłot S. I. 111, II. 1.
Irzykowski K. II. 107.
Jacek H. II. 324.
Jarosz S. X. I. 317.
Jesionowski A. II. 258.
Kapuściński M. I. 316.
Kasprowicz J. II. 390.
Kącki F. II. 35.
Kielanowski L. II. 111.
Kończakowski S. I. 28.
Komar S. II. 393.
Koniński K. L. I. 29, 36, II. 78, 84, 248, 378.
Konopnicka M. II. 446.
Kora S. II. 40.
Kotowa I. II. 258.
Krygowski W. II. 305.
Krzepkowski W. II. 361.
Krzywicki L. I. 21, 211, 222, 257, II. 421.
Kudliński T. II. 248, 447.
Kwieciński Z. I. 36, II. 248.
Lehr-Splawiński T. II. 354,
Ligoń K. II. 389, 393.
Limanowski M. I. 29.
Lipiński W. II. 305, 385.
Lorentowicz II. 448.
Lorentz II. 354.
Łakomy L. II. 378, 394, 396.
Łepki B. II. 451.
Łoś J. II. 156.
Maciański L. I. 29.
Machay F. X. I. 5, 18, 89, 94, II. 252.
Magiera J. II. 452.
Matyas K. II. 274.
Michałowski J. I. 275.
Mickiewicz A. II. 237, 240.
Mierczyński S. II. 249.
Mitana T. II. 336.
Młodożeniec S. I. 313.
Morton J. II. 108.
Myslakowski L. I. 5.
Napierski S. I. 26.
Nartowski W. II. 454.
Niklewiczowa M. I. 7.
Nitsch K. II. 95.
Norwid C. I. 17, II. 222, 450.
Ogrodziński W. II. 235.
Olszewicz W. II. 266, 393, 394.
Opolczyk J. II. 396, 397.
Ordyniec L. II. 263.
Orkan W. I. 4, 18, 27, 314, II. 17, 20, 211, 212, 216, 218, 272, 282, 304, 450, 455, 460, 464, 469.
Orzechowski Oksza S. II. 17, 18, 30.
Osmańczyk E. 397, 398.
Pajdak F. I. 3.
Patłowa W. I. 89.
Pawlikowska L. II. 25.
Pawlikowski J. G. II. 94.
Piasecki S. II. 401.
Pietrzykowski T. II. 322.
Piętka II. 305.
Pigoń S. II. 216, 370, 443.
Piłsudski J. II. 277.
Piwocki K. I. 28.
Płomieński J. E. II. 216.
Pollak R. II. 378.
Popławski J. L. II. 54, 69.
Poraj S. II. 399.
Putek J. II. 408.
Radlińska H. II. 329.
Rafacz J. I. 76.
Rybarz E. II. 393, 394.
Rytard J. M. II. 249, 251, 252.
Rzewuski H. I. 36.

- Schramek X. II. 389.
Seyda M. II. 228, 229.
Sewer II. 282.
Seweryn T. II. 13, 145, 266,
274, 305, 366, 400.
Sinko T. II. 265, 378, 395.
Skuza W. I. 3, 13, 14, II. 172,
202, 416, 418, 463.
Słomka J. iun. I. 54, 93, 95.
Sobieski W. I. 54, 149, II. 218.
Solarzowa Z. II. 248.
St. Gr. II. 276.
Stączek J. II. 347.
Steffen A. II. 356.
Stępowski J. I. 29.
Stopka A. I. 2, II. 252, 370,
463.
Suchodolski B. II. 58.
Suski A. II. 370, 440.
Syrokomla I. 26.
Szczepański A. II. 393.
Szelburg Zarembina II. 70.
Szuman S. I. 156.
Szyalik J. II. 282.
T. S. II. 395.
Tetmajer K. II. 448.
Thugut S. I. 305.
Tuwim J. II. 256.
Tyburcy X. II. 94, 464.
Udziała S. I. 316, II. 70. 417.
Vincenz S. II. 452.
Walaszek M. II. 315.
Wańkiewicz M. II. 358, 386.
Wasilewski Z. I. 29.
Wiktor J. I. 31, II. 266, 403,
416.
Witkiewicz S. I. 2. 35, 66, 313,
II. 250, 447, 449, 450, 455.
Wojtkowski A. II. 265.
Wolert W. II. 447.
Wołoszynowski J. II. 252.
Wybranowski I. 64.
W. Z. II. 268.
Zawodziński K. W. II. 236,
307.
Ziętkiewicz II. 400.
Zborowski J. I. 7. II. 145, 272,
274, 276, 361.
Znaniński F. I. 125, 128.
Zdziarski B. II. 454.
Żeromski S. I. 95, 96, 99.

SPIS RZECZY TOMU DRUGIEGO.

(Cyfry w nawiasach *kursywą* oznaczają ustępy cytowane).

- B) Publicyści, mowcy, mraliści** 1—101
- XII. Franciszek Magryś (172—179) 1—14
Duma chłopska 1. O dzieleniu gruntów 2.
Potrzeby rolnictwa w Galicji 4. O projek-
cie gminy zbiorowej 7. Karczmy 8. Pijań-
stwo. Pożywienie 10. Strój narodowy 11.
Dzielną dziewczyna i zacofani ludzie 13.
- XIII. Jakób Bojko (180—190) 14—38
Chłop pańszczyźniany 20. Chłop ostrzyżony
z kołtuna 21. Obrazy w chłopskiej cha-
cie 23. Dusza starej brzydkiej pani 25. Na-
zywasz się gospodarz 28. Szczere wyzna-
nie 30. O Stojalowskim 32. Wolna dusza
rozmawia z duszą pańszczyźnianą 35.
Gdyby Bóg chciał żebyśmy się cofali 36.
Dajcie bracia kubel wody 37. Jestem, żyję
i chcę żyć 38.
- XIV. Wincenty Witos (191—194) 38—53
Mowa na zgromadzeniu publicznem w Tar-
nowie 41. Wieś czeska a nasza 44. Czeska
reforma rolna 47. Wspomnienie o Pade-
rewskim 51.
- XV. Józef Niećko (195—208) 53—79
Sity odgórne 59. Obecna kultura wsi 60.
Folklor a istota kultury ludowej 61. Dusza
słowiańska 62. Ruch młodej wsi 64. Dom
społeczny 65. Przeżycia w gromadzie 65.
Dożynki 66. Obrzęd wigilijny 67. Miasto
niema duszy 71. Sens życia we wnętrzu

wsi. Człowiek wsiowy 72. Józef Niećko o sobie 74. O Chrystusie i chrześcijaństwie 77. Objętościowość myśli narodowej 78.

- XVI. Jan Wantuła (209—210) . . . 79—89
Przeciw nienawiściom wyznaniowym 85.
Czytelnictwo ludowe na Śląsku 86.
- XVII. Piotr Borowy (211—218) . . . 89—101
Dziewiąta mowa we Warszawie. Przy odchodzie z Warszawy 94. O złych oczach 95. O gusłach 96. O rzeczach poświęcanych 97. Takie rzeczy widział ja 97. Rzecz przeraźliwa 98. Co będzie ze mną 99. Sprzeczności 100.
- C) Beletryści** 102—139
- XVIII. Jan Brzoza (219—221) . . . 108—116
Praca pisarska 111. Dzieci ulicy 113. Mała gazeciarka 115.
- XIX. Władysław Pawlak (222) . . . 116—126
Medycyna ludowa 118.
- XX. Henryk Worcell (223—225) . . . 126—139
Jak zacząłem pisać 129. Ruch na rewizje 134. Tragedja kelnera 137.
- D) Poeci** 140—246
- XXI. Jan Rak (226—230) 141—149
Podróżnik książkowy 146. Włóczęga nocny 146. Pójdź Kuba do wójta 147. Dialog nieboszczyka z żywym 148. Pisarz ludowy 148
- XXII. Franciszek Magryś (231—233) 149—154
Powitanie ziemi 150. Nieśmiertelnej pamięci Teofilowi Lenartowiczowi 152. W smutną 100-letnią rocznicę rozbioru drogiej ojczyzny 153.

- XXIII. Ferdynand Kuraś (234—240) 154—168
Do zagrody 156. Do lasu 158. Bał pożegnalny we dworze 159. Poświęcenie Japończyków 163. Fortuna kołem się toczy 167. Prośba 168. Marji Konopnickiej 168.
- XXIV. Jantek z Bugaja (241—249) 169—185
Białe kwiatki 173. Sierota 174. Wspomnienie 175. Do... 176. Bocian i wróbel 177. Pyrcicka 178. Kto jest twórcą litanji do Najświętszej Panny Marji 179. Jestem Polakiem 180. Jak Jantek z Bugaja Maćka Bzdurę uczył na poetę powiatowego 181.
- XXV. Kajetan Sawczuk (250—257) 185—193
Tu na ziemi wieczna skarga 188. Tęsknota za chatą 189. Ojczyzna 189. Pożegnanie 190. Głos z ziemi lez 191. Szukajcie Boga 191. Moja pieśń 192. Marzenie 193.
- XXVI. Wieś i Jej Pieśń (258—272) . 193—209
J. Baranowicz, Chłopski rozum 194. *E. Bieliówna*, Darmo 195. *W. Breowicz*, Widziałem kiedyś 195. Syn do ojczyzny 196. Pionierzy 198. *P. Franusiewicz*, Głos polskiego tułacza 201. *C. Łachaciński*, Tęsknota tułacza 202. *K. Łęczynianka Lesiowska*, Moja chata 202. *K. Kirschowa*, Chłopi 203. *A. Olcha*, Bunt dzieci 204. *E. Sobierajski*, Kiedyż? 205. *A. Stopa*, Do Matki Boskiej 206. *A. Turcka*, Kochaj książki 206. *E. Wrona*, Konferencja pokojowa 207. *P. Wykrot*, Tłumaczenie 207.
- XXVII. Stanisław Nędza Kubiniec (273—284) 209—227
Dusza góralska 217. Kostka Napierski 217. Hymn na cześć słońca 218. Dusza pańszczyźniana 220. Skarga ostatnich czarownic 220. Pieśń ludowa 222. Misja ludu 223. Powrót do dumy rasowej 223. Polska

- krainą kontrastów 224. Sen nad ranem 225. W Tatrach jęczy 225. Taniec zbójnicki 226.
- XXVIII. Konstanty Dobrzyński (285—287) 227—233**
Jan Cebula 229. Lipiec 231. Wiosna w Łodzi 232.
- XXIX. Józef Jeremski (288—290) . 233—245**
Kupno skrzypiec 238. Bójka na wiecu 240. Wesele 243.
- E) Pisarze teatralni 247—252**
- XXX. Teatr ludowy 247—252**
- F) Wzmianki 253—420**
- XXXI. (291—305) 259—335**
Jan Baranowicz, Wyznanie 259. *Kunegunda Bienkowa*, Cieniom przyjaźni 263. *Kazimierz Xieliśzek*, Modlitwa 269. *Jakób Kostucha*, Pisarz ludowy o sobie 271. *Franciszek Słysz*, Mowa w Nowosielcach 227. *Katarzyna Smreczyńska*, Niepokój duszy i pielgrzymka do Sidziny 283. Do dzieci 288. *Adam Szania*, Napis na krzyżu Legionów 304. *Mieczysław Szklennik*, Krupieńka 308. Śmierć łani 310. *Andrzej Tomasz Średniawski*, O pracy i pomocniczej walucie 315. *Bronisław Wiczorkowski*, Praca 325. *Wojciech Zawada*, Jakiej pieśni nam potrzeba 326. *Franciszek Żurek*, Tajne nauczanie 330. Wieś Krynica. Autor o sobie 331.
- XXXII. (306—337) 335—412**
A merykanie 336—354
Walery J. Fronczak, Chicago 339. *Stanisława Kucharska*, Pobudka 340. *Czesław R. Warchałowski*, Moje góry Świętokrzyskie 341. *Jan Sass*, Pieśń wędrowca 342. *Olga Klug*

Iwanowska, O Maćku 344. *Jan Leja*, Piosenka Górala Kosarza 345. *Władysław Wójcik*, Polowanie na pumę 349.

Kresowcy północno-zachodni 354—360

Kaszubi 354. *Mazurzy pruscy* 355. *Michał Kajka*, Modlitwa za mową 356. *Warmiacy* 357. *Alojzy Śliwa*, Gody na Warmji 358.

Podhalanie 361—377

Wojciech Brzega, Podlasy 363. Sen starego Stascyka 367. *Stanisław Nędza Kubiniec*, Do braci moik 371. *Hanka Nowobielska*, Lalki 374. *Antela Stapińska*, Czerwone korole 375. *Andrzej Florek Skupień*, Muzyka góralska 376.

Ślązacy 377—399

Ślązacy Cieszyńscy 378. *Jura Gaydzica*, Rok 1812 380. *Adam Sikora*, Przy czepieniu młoduchy 382. *Ślązacy Zaolziańscy* 383. *Franciszek Pawlisz*, Wieść o pokoju Brzeskim 384. Honor legionisty 385. *Ślązacy Katowiccy* 386. *Juljusz Ligoń*, Ojczyzna 390. Cała Polska 391. Zaszczyt polskości 391. Słuchajcie wrogi dokola... 392. *Jan Kupiec*, Renegat 393. *Augustyn Świder*, Powitanie Polski 394. *Ślązacy Opolscy* 395. *Jakób Kania*, Przy oddaniu bukietu nowożeńcom 398.

Inni 399—

Królewiacy 399. *Obieźysasi w Niemczech* 400. *Marjanna Miśkiewiczówna*, Żalodne lamenty 400. *Pisarze ludowi grupujący się przy czasopiśmie „Prosto z Mostu“* 401. *Reportaże konkursowe „Nowej Wsi“* 403. *Kazimierz Piotr Nowak*, Walka na polu 403.

Wojciech Augustyn, Tęsknota za wiedzą 405.
Konkursy pamiętnikarskie 407.
Pierwsi mowcy ludowi 408. *Jan Sawka*, Dlaczego chłopi w Galicji nie umieją po niemiecku 410. *Wawrzyniec Szpunar*, Podajmy sobie ręce 410. *Maciej Czechura*, Z jednego ciała i jednej kości 411.

XXXIII. (338—343)	412—420
<i>Bezimienny bezrobotny</i>	412—414
Skarga bezrobotnego 412.	
Z poezji więziennej	414—416
W areszcie 414. Modlitwa więźnia 415.	
Z poezji żołnierskiej	416—417
<i>Zniczowiec</i> , Śpiew żołnierski 416.	
Z satyr ludowych	417—418
Koń na oltarzu 417.	
Z listów ludowych	418—420
<i>Chłopiec z Wampierzowa</i> , Listy do niewiernej kochanki 418.	
Dodatki	421—453
1. Pamiętniki chłopów, serja druga (344)	421—431
<i>Stanisław Sienicki</i> , Mały nauczyciel 425.	
2. Wiejscy działacze społeczni (345)	431—436
Przodownik wiejski a zacofani 432.	
3. O uprawnieniu gwary	436—449
4. Jeszcze o kryterjum „ludowości“ piararza	449—451
5. Wzmianka o obcych pisarzach ludowych	451—453
Zakończenie	454—464
Tablica chronologiczna	465—469
Indeksy	470—476



WAŻNIEJSZE Z DOSTRZEŻONYCH OMYŁEK

W TOMIE II:

(Prócz niżej wymienionych, za błędy druku należy uważać wszelkie niezgodności z pisownią Łosia, której się trzyma autor Antologii).

str.	wiersz	jest	ma być
17	w. 2 od góry	w osobie	w sobie
25	przyp.		
	3 w. od dołu	Anieli	Leli
72	przyp. 2	Pasożytujących	pasorzytujących
101	przyp. 4	wstępu	ustępu
104	5 od góry	Pawluk	Pawlak
137	1 „ „	wyższym	b) wyższym
235	przyp. 2	Bończyk	Bonczyk
240	przyp. 3.	dozwolone	
		obecnie rymy	nie są to owe rymy
240	przyp. 4.	księgi III	rozdziału III
258	1 „ „	Pawliczka	Pawliczaka
262	13 od dołu	każdą potyczkę	każda potyczka
265		Breowicz (pseud.)	[opuścić] (pseudonim)
267	1 od góry	Anton	Antoni
270	10 „ „	Korniak	Kornik
274		Mota	Motas
282	przyp. 1. i 2.	Smereczyńskiej	Smreczyńskiej
283	przyp. 3.	Smereczyński	Smreczyński
287	4 od dołu	Lepiejby	Lepiejbys
290	15 „ „	cicha	z cicha
„	12 „ „	Nie	Nie
305	3 od góry		[cudzysłów przenieść o wiersz niżej]: „Nie był
305	8 „ „	Korniaka, Korniak,	Kornika, Kornik.
315	„ 2	A. Walaszka	M. Walaszka
324	przyp. 2.,	sen	syn
326	wiersz	tyle skargi, boleści	[podnieść o 1 rząd wyżej]
„	„	co to płynie do nieba	„
326	10 od góry	posnymi	posnyni
348	20 „ „	ukraińcami	Ukraińcami
354	14 od góry	<i>kuescol</i>	<i>kuescuel</i>

355	2 od góry	<i>Czorliścim</i>	<i>Czorlińścim</i>
358	15 od dołu	totyż	totéż
			[i wogóle, w utworze „Gody na Warmji“ wszystkie <i>y</i> i <i>y</i> w miejscach gdzie występuje <i>e</i> pochylone zmienić na <i>é</i> wzgl. <i>ié</i>].
„	14 „ „	krok	brok
359	4 od góry	szapki	szopki
„	6 „ „	Śluchać	Śluchać
360	8 od góry	zmnoży	zmoży
„	12 od dołu	Býgle	bégle
„	11 „ „	Marcypony	marcypony
364	10 od góry	dzwizsak	dźwizsak
365	16 „ „	zjedz	zjedź
„	19 „ „	opatrzyć	popatrzyć
376	6 „ „	kanysi roli	kanysi na roli
377	8 „ „	ludzie	ludzi
„	8 od dołu	Retardowa	Rytardowa
383	19 „ „	charakterystyki stylu.	charakterystyki śródowiska.
414	przypisek	Bożesz	Bożeż
415	„ 2		[przekreślić wiersz 1., na jego miejsce:] Opuuszczam wiadomość lub plotkę, której roz-

Postscripta.

1. Do prac tyżących się zagadnień kultury ludowej przybyła, już po wydrukowaniu głównego zrębu *Antologii*, wysoce instruktywna J. S. Bystronia *Kultura ludowa* (Warszawa 1936) str. 462.

2. Na str. 10 w notce podano: ... „specyficzne wpływy Czuchnowskiego“: Od tego czasu Cz. ogłosił publiczną deklarację przystąpienia do S. L., co każe przyjąć, że przyłączył się do światopoglądu politycznego socjalnie nierewolucyjnego — i to zanotować uważam za obowiązek lojalności.

3. Autor *Antologii* uprasza o łaskawe nadsyłanie mu recenzyj, materiałów do piśarstwa ludowego, wydawnictw i ewentualnych sprostowań pod adresem: K. L. Koniński, Zakopane.

7993 -01- 2 0

11. 05. 1999

2009-09- 0 3

2011-11- 2 5

2013-09- , 1

SN K 19897

W „BIBLIOTECE DZIEJÓW I KULTURY WSI“

ukazały się dotychczas następujące tomy:

1. Franciszek Magryś: *Żywoć chłopa-działacza*, opracował dr Stefan Ingot. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1932, str. XVI+236 z 24 rycinami. Cena zł 3.—.

2. Stefan Kora: *Wincenty Witos a państwo polskie*. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1936, str. VII+103. Cena zł 1.—.

3. Michał Janik: *Na drogach myśli ludowej. Studja historyczno-literackie*. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1936, str. XV+206. Cena zł 1.50.

4—5. Karol Ludwik Koniński: *Pisarze ludowi. Wybór pism i studjum o literaturze ludowej*. Z przedmową prof. dra Fr. Bujaka. Lwów 1938. Tom I, str. XVI+325. Tom II, str. 484. Cena za oba tomy zł 6.

W przygotowaniu do druku:

6. Jan Gerlach: *Piechota wybraniecka*.

7. Józef Rafacz: *Walka włościan z uciskiem w królewszczyznach*.

8. Erazm Kostołowski: *Udział włościan w walkach zbrojnych o niepodległość*.

9. Stanisław Szczotka: *Podhalańscy i karpaccy zbójnicy*.

10. Franciszek Kącki: *Ksiądz Stanisław Stojałowski*.

Do nabycia w Spółdzielni Wydawniczej „Wieś“, Lwów, ul. Trzeciego Maja 11, I p. Konto P. K. O. Nr. 500.803.